PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK OŚMNASTY. — TOM LXX.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1901.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1901.

W STO LAT PO ODKRYCIACH VOLTY i DAVY'EGO.

Rzut oka na rozwój elektrotechniki i elektromedycyny w XIX. wieku.

I. Wstęp. — II. Epoka odkryć na początku XIX. stulecia. — III. Rozwó elektrotechniki w XIX. wieku. — IV. Rozwój elektromedycyny w XIX. w.

I.

Historya wynalazków podobną jest do historyi narodów. Jak roczniki dziejów ukazują nam świetne okresy, w których wypadki cisną się niejako jeden za drugim, aby przysporzyć chwały jakiemuś państwu lub narodowi, tak też i w księgach naukowych od czasu do czasu pojawiają się jak gdyby uprzywilejowane epoki wynalazków, których liczba i doniosłość rzuca światło nietylko na współczesnych, lecz i na cały dalszy przebieg dziejów. Tak np. u schyłku wieku XVI. i na początku wieku XVII. zabłysnęły prace Galileusza, wsławiły się traktaty S. de Causy o siłach fizycznych, rzucono podstawy pod naukę o magnetyzmie, której ojcem stał się lekarz królowej Elżbiety, Gilbert z Colchestru, wreszcie weszła w życie pierwsza maszyna parowa, o wynalezienie której wydzierają sobie palmę pierwszeństwa Anglia (Worcester), Francya (de Caus) i Włochy (Branca). Podobnie ma się rzecz z przełomem wieku XVIII. i XIX. W ostatnich bowiem latach wieku XVIII. Galvani odkrył elektryczność zwierzęcą, a Volta elektryczność powstającą przy kontakcie metali, któremu to zjawisku niebawem Davy dał naukowe

wyjaśnienie i racyonalne podstawy teoryi chemicznej. Wielkiemu wynalazkowi w pierwszych miesiącach r. 1801 konkurs Bonapartego nietylko nadał oficyalną sankcyę, lecz pobudził nadto szereg licznych uczonych do dalszych badań, które w pierwszych latach wieku XIX. stały się podwaliną nowej ery rozwoju i hasłem ogólnego postępu. Nigdy może bardziej niż dziś, w sto lat po epoce wielkich a licznych odkryć, nie godzi się rzucić okiem na przeszłość, aby oddać niejako jubileuszowy hołd tym pionierom cywilizacyi, których imiona zapisane złotemi głoskami w dziejach ludzkości.

Nie przypadek może zrządził, że zamknęliśmy wystawę najdonioślejszych wynalazków elektromedycyny i największych zdobyczy elektrotechniki, równo w sto lat po odkryciu pierwszej słabiutkiej bateryi w tym samym Paryżu, w którym ongi bito słynnemu badaczowi złoty medal i rozchwytywano między sobą księgę, tytułowaną *Eloge de Volta*. Nie przypadek może połączył w cudną harmonię efektów światło elektryczne i wodę w przepysznym pałacu elektryczności tegorocznej wystawy; wszak również przed stu laty po raz pierwszy iskra elektryczna rozłożyła wodę na składniki, wydzierając przyrodzie tajemnicę molekularnej budowy ciał. Może nie przypadek chce także, aby w czasach ogólnego ruchu i niepokoju, wśród łamów dziennikarskich, które muszą tętnić szczękiem oręża, cichem echem odbiła się pokojowa chwała tych, co podwaliny położyli pod wielką naukę, dającą nam dziś i światło i ciepło i ruch w przeróżnych formach, oraz tych, którzy nauki tej prawa badając dalej, zakres jej pogłębili i zastosowanie wszechstronne doprowadzili do dzisiejszego świetnego stanu rozwoju. Rzut oka na cały wiek wstecz i na całe pasmo wiekopomnych faktów nie jest wprawdzie łatwym, lecz może najodpowiedniejszym hołdem, złożonym u przełomu wieków przez wdzięczną potomność, a złożonym tak cicho, jak cichemi były początki i przyczyny głośnych w sławę skutków. To też wędrówkę naszą wspólną rozpoczniemy z łaskawym czytelnikiem od cichych pracowni uniwersytetów w Como i Bolonii, a przypatrzywszy się dokładnie w I. rozdziale, w jaki sposób tam zapalono znicz nowej prawdy, w na-

stępnych dwu rozdziałach przejdziemy dzieje rozwoju elektrotechniki i elektromedycyny, trzymając się w naszej wędrówce jako punktów wytycznych tych luminarzy nauki, którzy byli punktami wytycznymi postępu.

II.

Nie wszystkim są znane szczegóły doniosłego odkrycia Volty, dokonanego u przełomu wieków XVIII. i XIX., tem bardziej, że różne podania i baśnie przez długi czas zaciemniały początkową erę historyi elektryczności. Aby te szczegóły należycie zrozumieć, cofnąć się nam wypada o lat 120 wstecz, do Uniwersytetu Bolońskiego, w którym profesor anatomii, Galvani, pracował od dłuższego czasu nad badaniem drażliwości, jak ją podówczas nazywano, nerwów i mięśni żabich. Przypadek chciał, że w tem samem laboratoryum równocześnie odbywał doświadczenia z maszyną influencyjną inny uczony, oraz że jeden z pomocników podczas tego doświadczenia dotknął końcem noża anatomicznego odpreparowanych nerwów łapki żabiej, która się też natychmiast skurczyła, wykonywując szereg rytmicznych drgań. Fakt ten uderzył obecnych, a żona uczonego, Lucia Galvani, zauważyła nawet, że tylko wtedy łapka żabia się kurczyła, gdy z poblizkiej maszyny influencyjnej wydobywano iskrę elektryczną. Bystrość spostrzegawczą pani Galvani przerobiono na różny sposób w późniejszych podaniach; jedni przypisywali jej całe odkrycie, drudzy puszczali w ruch bajeczkę o rosole z żab, gotowanym dla chorego męża. Ale i samemu badaczowi historya niejedną przypięła łatę, a zwłaszcza w późniejszych czasach sporu Galvanistów i Voltaistów niejednokrotnie spotkać się można było z broszurami, zarzucającemi Galvaniemu bądź to przypadkowe skorzystanie ze zwykłego trafu, bądź też nawet brak podstaw fizycznych, któreby innemu uczonemu dopomogły do wyjaśnienia dziwnego na pozór faktu. Oba zapatrywania są jednak mylne, a przynajmniej tendencyjnie przesadzone. Doświadczenia nad drażliwością łapki żabiej nie były wynikiem czystego przypadku, lecz przeciwnie jednem z ogniw długoletnich badań, ogłaszanych w roku 1772, 1773 i 1774 pod tytułem:

De motu musculari, de viribus, de irritabilitate i t. d. Z drugiej zaś strony nie można zarzucać Galvaniemu braku wiadomości fizycznych, a Matteuci w swoim traktacie o zjawiskach elektrofizyologicznych w ustrojach zwierzęcych wyraźnie wspomina o tem, że uczony badacz był zupełnie świadom ówczesnych teoryj o elektryczności, lecz nie poprzestając na tem, iż skurcz łapki żabiej daje się wytłumaczyć zwykłym wstrząsem zwrotnym, głębiej chciał dociec źródła prawdy i przekonać się, o ile elektryczne *fluidum*, jak się sam wyrażał, krąży w ekonomii ustroju zwierzęcego i ludzkiego. Z całą też skrupulatnością i szczegółowo obmyślanym programem, przystąpił Galvani do zmieniania i miarkowania wszelkich warunków doświadczenia wstępnego. Przez całe 6 lat używał rozmaitych ciał, dobrze i źle przewodzących elektryczność, o rozmaitym kształcie i wielkości, rozmaitych sposobów przygotowywania łapek żabich, wreszcie rozmaitych źródeł elektryczności, jak dodatnich i ujemnych ładunków maszyny influencyjnej, butelki Lejdejskiej, elektroforów, wreszcie elektryczności atmosferycznej. Wprowadzenie tego ostatniego czynnika w grę, naprowadziło dopiero na właściwe tory nieustraszonego badacza, który dla zaspokojenia swojej niepohamowanej ciekawości naukowej nie wahał się nawet w dniu 7 kwietnia r. 1786 uchwycić za gromochron, podczas gdy w otoczeniu szalała burza i biły pioruny. Wprawdzie w dniu tym wyczekiwany przez badacza piorun na szczęście nie uderzył w gromochron, lecz za to w kilka miesięcy później, również podczas burzy, na balkonie pałacu Zambonich, stał się fakt, który można uważać za właściwą podwalinę nauki o elektryczności zwierzęcej. Oto na żelaznej balustradzie balkonu wisiał na miedzianych haczykach szereg łapek żabich, które Galvani od czasu do czasu obserwował, aby przekonać się, czy one się będą kurczyły za każdem uderzeniem piorunu. Ku wielkiemu zdziwieniu jednak, kołysane powiewem wiatru, tylekroć popadały w drgawki, ilekroć się dotknęły żelaznej balustrady, niezależnie od tego czy szalała burza, czy nie *(non solum fulgurante coelo, sed interdum etiam quiescente ac sereno)*. Wystarczyło tylko Galvaniemu powtórzyć to doświadczenie, a dotykając się do

łapki żabiej jednym lub (jeszcze lepiej) dwoma metalami, przekonać się, iż łapki się kurczą regularnie, aby stworzyć teoryę o elektryczności zwierzęcej i o wrodzonej sile mięśniowej, która się objawia na zewnątrz kurczliwością, niezależnie od tego czy w otoczeniu inne odbywają się zjawiska elektryczne. W pięć lat po opisanem odkryciu a w 11 lat po pierwszem doświadczeniu, pojawił się też w Akademii Bolońskiej memoryał, udowadniający, iż ustrój ludzki i zwierzęcy posiadają własną elektryczność i że mięsień jest rodzajem butelki Lejdejskiej, którą nabić i rozbroić można, za pomocą metalicznych przewodników, zwanych przez niego „łukiem pobudzającym". Teorya Galvaniego, napisana i wywnioskowana przy pomocy piorunów, była prawdziwą błyskawicą wśród pogmatwanych a ciemnych teoryj ówczesnych. W nauce, znającej dotąd tylko elektryczność statyczną, powstającą przez tarcie, oświetloną została droga do badań nad elektrycznością w ruchu, elektrycznością dynamiczną. Nie obniżając jednak olbrzymich zasług Galvaniego, które niesłusznie potem oceniano niższą stopą procentową, podkreślić trzeba, że sumienna jedenastoletnia pracowitość uczonego posłużyła innym za szczebel do jeszcze ważniejszych odkryć: *novis capiendis experimentis viam sternamus aliquam.*

Oto bowiem Volta baczną zwrócił uwagę nie na kurczącą się łapkę żabią, lecz na metale, któremi jej dotykano, a podczas gdy szereg uczonych we Francyi, Anglii i Niemczech chętnie się przyłączał do obozu Galvaniego, śmiało postawił teoryę o zetknięciu się metalów, które jest źródłem elektryczności. Teorya ta doprowadziła Voltę, jak zobaczymy niżej, do konstrukcyi pierwszego stosu elektrycznego, złożonego z szeregu blaszek metalicznych, a będącego prototypem tych wszystkich urządzeń, które dziś są dla nas źródłem ruchu, światła i ciepła, przyczyną chemicznych i fizycznych zjawisk, wreszcie potężnym czynnikiem technicznym i leczniczym. Swoją drogą teorya Volty o pochodzeniu elektryczności li tylko z zetknięcia dwóch metali była w pierwszych zarysach równie błędną, jak i teorya Galvaniego o wyłącznie biologicznym charakterze sił elektrycznych w ustroju; z walki jednak dwóch uczonych, oraz z równo-

cześnie toczącej się walki dwóch obozów Europy, wypłynęła prawda naukowa, której owoce do dziś dnia zbieramy, a której rozwój coraz świetniejsze roztacza widnokręgi. Tej walki szczegóły i rozwój myśli nawet dla niefachowych są wielce interesujące, a każdy, kto się bliżej przypatruje szeregowi błędów, krytyk i polemik, musi powtórzyć z Baconem: *veritas emergit ex errore.*

Jakeśmy już powyżej wspominali, dla Galvaniego, w doświadczeniu z łapką żabią, źródłem elektryczności był mięsień, a metale, któremi dotykano odgrywały rolę drugorzędną. Volta przeciwnie od razu uderzył w ważną *heterogenitas* metali, twierdząc, że źródłem elektryczności jest k o n t a k t dwu różnych metali. W odpowiedzi na to Galvani wywołał skurcze łapki za pomocą pałeczki szczerozłotej, a więc tylko jednego metalu, a nawet za pomocą dwu szklanek wody i zmoczonej bibuły, a więc bez metalu. I na to Volta odpowiedział twierdzeniem o kontakcie różnych materyj, bądź co bądź heterogenicznych — Galvani nie pozostał jednak długo zwyciężonym, i potrafił wywołać skurcz łapki żabiej przez odpowiednie przyłożenie do niej nerwu drugiej łapki. Fakt ten, do dziś dnia demonstrowany na wykładach, rozumiemy w obecnych czasach i tłumaczymy nieco inaczej; podczas sporu ówczesnego był to jednak ostatni cios zadany fizykowi z Padwy przez bolońskiego anatoma. Do szranków bojowych, z kolei rzeczy, wystąpiła chemia. Słynny badacz florencki Fabroni, obdarzony niezwykłą intuicyą, na pięćdziesiąt lat przed powstaniem chemicznej teoryi elektryczności, odczuwać zaczynał ukryte prawa natury. Widywał od dawna w Muzeum kortońskiem napisy etruskie wyryte w ołowiu, których nie nadgryzł ani trochę ząb czasu; naodwrót medale papieskie z galeryi Florentyńskiej wszystkie ulegały zniszczeniu. Przypuszczenia swoje o wpływie tlenu powietrza na metale stykające się ze sobą potwierdzał na każdym kroku, a zanieczyszczenia blach miedzianych w tem miejscu, gdzie przybite były żelaznemi gwoździami, lub aliażu ołowianego używanego w przemyśle, ugruntowywały z każdym dniem jego przypuszczenia. Przyczyną skurczu łapki żabiej była, według niego, siła che-

miczna, a przyczyną i źródłem tej siły wpływ tlenu na metale, utlenianie się tych metali, może pod wpływem płynów, zawartych w ustroju zwierzęcym. To nie jest, wołał, nieuchwytny *stimulus* Galvaniego, ani ogólnikowo określona teorya „kontaktów" Volty; to rodzaj spalania się, kombustyi, zjawisko kaloryczne lub przejście tlenu w nowe chemiczne kombinacye. Uczony, zbijający wywody zarówno Galvaniego jak i Volty, oczywiście bez poparcia upadł; a tymczasem do walki zeszeregowali się po stronie Galvaniego Jan i Jerzy Aldini z Bolonii, Valli i Fontana w Pizie, Giulio i Rossi w Turynie; Bassiano zaś, Carminati i Carvadori w Padwie po stronie Volty. Pod jedne lub drugie sztandary pospieszała Europa; w Niemczech doświadczenia Galvaniego powtarzali Ackerman i Er z Moguncyi, Smuck z Monachium, Gren z Halli, Soemmering i Behrend z Frankfurtu i Kielmayer ze Sztutgartu; przeciwko szkole zaś bolońskiej wystąpili Reil i Pfaff w Niemczech, a w Anglii za namową Cavalla potworzyły się stowarzyszenia Voltaistów. Niektórzy uczeni fakta nowo odkryte zaczęli stosować nawet do praktyki, jak Klein, Monro, Hunter, Crève, Pignotti, Berlinghieri, stawiając pierwsze podwaliny pod przyszłą naukę o zastosowaniu elektryczności do celów leczniczych. Inni uczeni zajmowali się stroną czysto teoretyczną odkrycia, a nie można nie wymienić Humboldta, który zbadał wpływ elektryczności na serce i wnętrzności zwierzęce, Aldiniego, który pierwszy zauważył znaczenie każdej minimalnej ranki, Fowlera, który zakres badań rozszerzył na wpływy termiczne i farmakologiczne, wreszcie Tréviranusa, który nawet w świecie roślinnym obserwował wpływy wybitne elektryczności. Wszyscy wymienieni badacze dodawali coraz to nową cegiełkę do budowy, która właściwie nie miała teoretycznych fundamentów; powiększał się zakres spostrzeżonych objawów, lecz związek przyczynowy był ciągle okryty chaotyczną mgłą, której poza spornemi zdaniami Voltaistów i Galvanistów nie mogły rozproszyć ani teorye Reinholda o *fluidum* nerwowem, ani metafizyczna filozofia Rittera. Do końca roku 1799 zwycięstwa właściwie nie było po żadnej stronie, a epokę, choć pełną życia i walki, pod względem naukowym możnaby nazwać niezdecydowaną.

Cóż podczas tego wszystkiego robi Volta? Oto, porzucając katedrę profesorską w Padwie, cofa się do Como, miasteczka rodzinnego, i pracuje w dalszym ciągu nad swoją teoryę kontaktów. Przy ówczesnym stanie nauki, przy pomocy tak niedokładnych instrumentów mierniczych, jak zwykły elektroskop o złoconych listkach, wśród nieustannych przeszkód eksperymentalnych, Volta dochodzi do spostrzeżenia, że dwie płytki z cynku i srebra zetknięte ze sobą ładują się niejako elektrycznością, która odchyla listki elektroskopu. Co więcej, kilka takich par, złożonych z blaszki cynkowej i srebrnej, odchyla listki bardziej, niż jedna, co jest chyba dowodem, że w miarę wzrostu ilości blaszek wzrasta także i źródło nieznanej siły elektrycznej. Słupek, złożony z kilkudziesięciu blaszek, z końcem roku 1799 zostaje też ochrzczonym przez Voltę mianem elektromotora, a z początkiem roku 1800, prezydent królewskiego Towarzystwa Nauk w Londynie, Sir Joseph Banks, otrzymuje w formie listu dokładny opis nowego aparatu, wraz z kilkoma luźnemi spostrzeżeniami o wpływie tegoż na dotyk, wzrok, słuch i smak. W kwietniu tegoż roku Akademia londyńska na plenarnem posiedzeniu wysłuchuje opisu nowego odkrycia, a już w listopadzie wobec pierwszego konsula Bonapartego, Instytut narodowy francuski poświęca całe trzy posiedzenia na przypatrzenie się doświadczeniom Volty, sprowadzonego naumyślnie do Francyi wraz z Brugnatellim. Komisya wybrana przez Instytut, w skład której wchodzili mężowie takiej miary, jak Laplace, Coulomb, Halle, Brisson, Pelleton i inni, przez usta Biota przedstawiają Voltę do odznaczenia medalem złotym i do nagrody 6000 franków. Od tej chwili na Voltę coraz to nowsze sypią się zaszczyty: krzyż Legii honorowej, korona żelazna, tytuł członka włoskiej konsulty, senatorstwo lombardzkie i tytuł hrabiego, jeszcze może nie znaczyły tyle, ile nieustanna pieczołowitość Bonapartego, który na każdej audyencyi szukał tylko Volty, przy każdej sposobności pytał się o jego zdrowie i stosunki, a nawet wpływał na Zarząd Padewskiego Uniwersytetu, aby Volta, dla oszczędzenia sobie sił i czasu, tylko parę razy na rok wykładał. Rozentuzyazmowany do ostatka słupkiem Volty, o którym mówił

do przybocznego swojego lekarza Corvisart'a, że to jest obraz życia, bo „wszak słupek to kręgosłup, jeden biegun to pęcherz, a drugi to wątroba“ — Bonaparte postanawia wreszcie po bitwie pod Marengo w początkach roku 1801, aby nagroda 3000 franków, była udzieloną temu uczonemu, którego odkrycia, według brzmienia konkursu, staną się epokowemi w historyi elektryczności i galwanizmu. Wezwanie to, skierowane do uczonych wszystkich narodów, stało się bodźcem tak potężnym, że szereg prac posypał się w tym wyłącznym kierunku, a choć nagroda Akademii przyznaną została dopiero po latach trzech, to jednak już w początkowych miesiącach r. 1801, a więc równo sto lat temu, Cruikshank we Woolwich, a Van Marum i v. Pfaff w Haarlemie budują pierwszy prototyp elektrycznej bateryi, a z drugiej strony Humphry Davy rzuca podwaliny pod właściwą chemiczną teoryę elektryczności, podczas gdy Wollaston teoryę te popiera doświadczeniami nad rozkładem wody pod wpływem iskry elektrycznej, w myśl pierwszych prób na tem polu, dokonanych przez Nicholsona i Carlisle'a w Londynie. Tak więc powoli z porządku dziennego zaczyna znikać i kształt zewnętrzny słupka Volty i, co ważniejsza, pierwotna jego teorya o kontakcie, ustępując coraz bardziej rozwijającej się teoryi chemicznej. Rok też 1801 uważać należy za ową epokową erę, do której nawoływał konkurs Bonapartego, a jeżeli rok 1780 zapisał się w dziejach pierwszem spostrzeżeniem Galvani'ego nad elektrycznością zwierzęcą, a rok 1799 pierwszem doświadczeniem Volty nad elektrycznością metali, to rok 1801 przyniósł nam pierwszą właściwą bateryę elektryczną i pierwszą racyonalną teoryę tejże, od której dalekimi byli obaj pierwsi badacze. Jesteśmy dalecy od tego, aby prawo pierwszeństwa uchylać od właściwych twórców nowej nauki, na cześć których późniejsze kongresy elektryków oznaczyły różne przyrządy i różne jednostki elektryczne mianem wielkich badaczy; zaznaczamy tylko, że właściwy zwrot w pojęciach i postęp w wynalazkach datuje się od początku roku 1801. Jakbyśmy nie wertowali memoryału Volty, zawsze na wierzch wypływa idea kontaktów, zawsze słupek jego jest tylko zwykłą butelką Lejdejską, która sama się nabija, lub

sztucznym narządem elektrycznym, analogicznie zbudowanym do żabiej łapki. Nawet znaczenie wody zwilżającej płatki sukna lub bibuły, które oddzielały blaszki metaliczne od siebie, Volta nie podkreślił należycie, chociaż doświadczenie niejednokrotnie mu udowadniało, że woda kwaśna lub słona lepiej jeszcze działa niż zwyczajna; przeciwnie Volta wyraźnie zaznaczył, że działalność elektrycznego fluidum nie powstaje skutkiem kontaktu jakiegoś płynu z metalami, lecz kontaktu metali samych; płyn służył, jego zdaniem, tylko do ułatwienia zetknięcia *(les couches humides dans les appareils composés ne sont donc là que pour faire communiquer l'un à l'autre tous les couples métalliques, rangés de manière à pousser le fluide électrique dans une direction de façon, qu'il n'y ait pas d'action en sens contraire).* Trzeba było dopiero wspomnianych odkryć Carlisle'a i Nicholsona, oraz teoryi Davy'ego, który śmiało rzucił twierdzenie o chemicznej podstawie galwanizmu, aby od razu nadać rzeczom inny obrót. Skoro bowiem woda pod wpływem elektryczności została rozłożoną na dwa gazy, a skoro z drugiej strony jeden metal zanurzony do dwu odmiennych płynów te same wywoływał skutki co dwa metale Volty, nie ulegało już chyba wątpliwości, że nie chodzi o kontakt dwu metali, lecz o jakiś głębszy proces przemian molekularnych właśnie w zapoznanem miejscu zetknięcia się metalu z cieczą. Poznaniu praw tej siły chemicznej coraz więcej zaczęto od tej chwili poświęcać czasu, a gdy równocześnie odmienne zachowanie się każdego z metali w stosie i każdego z biegunów w słupku Volty naprowadzać zaczęło badaczy na pewną analogię z odmiennem zachowaniem się biegunów magnesu, posunięto się jeszcze o krok dalej i postawiono pytanie, czy na dnie wszystkich tych zjawisk nie należy szukać wspólnej przyczyny? Pytanie to stało się podwaliną nauki o elektromagnetyzmie czyli o elektryczności indukcyjnej, a ta ostatnia, wsparta na swej młodszej siostrzycy, i wspierając ją nawzajem, stała się pierwszem ogniwem tego olbrzymiego postępu elektrotechniki, który w krótkim czasie zawładnął siłą i ruchem, połączył ze sobą światy, a nawet stał się przenośnikiem ludzkiej myśli. Niezależnie i równocześnie w drugim kie-

runku odbywać się także zaczął ruch ku bliższemu poznaniu innych tajników prawdy, a szereg badaczy, którym ciągle przyświecał przykład Galvani'ego, zwrócił swoje wyłączne usiłowania ku dalszemu i głębszemu określeniu wpływu elektryczności na ustrój zwierzęcy i ludzki. W ten sposób obok elektrotechniki rozwinęły się: elektrofizyologia, elektrodiagnostyka, elektroterapia, czyli ten całokształt nauk, które obejmujemy wspólną nazwą elektromedycyny. Podobne do dwu rozłożystych drzew, z których całe społeczeństwo dziś zbiera owoce, elektrotechnika i elektromedycyna splotły się tak ze sobą konarami i gałęziami, że w historyi naukowego postępu ciągle te dwa działy wzajemnie się krzyżują, kontrolują i wspomagają. Pomimo tej wzajemnej łączności i tego wzajemnego krzyżowania się gałęzi, nam, którzy zaczęliśmy się przypatrywać wzrostowi drzew od samych początkowych korzeni, wypada i nadal w niniejszym szkicu rozpleść poszczególne ogniwa dalszej historyi rozwoju, a omówiwszy erę pierwszych odkryć, która sto lat temu zajaśniała na horyzoncie nauki, rzucić z kolei rzeczy w dwu osobnych rozdziałach okiem na dalszy a szybki rozwój elektrotechniki i elektromedycyny.

III.

Gdy się spojrzy dziś na olbrzymi rozwój elektrotechniki, gdy się uwzględni co znaczy zwykły drut dla przenoszenia myśli w telegrafie i telefonie, lub dla przenoszenia ruchu, światła i ciepła od elektrycznych motorów, gdy się rzuci okiem nawet w przyszłość, która nam zapowiada coraz to nowsze zdobycze w myśl tak wielkich idei jak telegraf bez drutu, lub radiografia, przenikająca ciała, tam gdzie dotąd uzbrojone w najlepsze przyrządy oko dosięgnąć nie mogło, wierzyć się nie chce, że to wszystko jest owocem tak młodym i dziełem tak niedalekiej przeszłości. Jakże to niedawno jeszcze stosunkowo bito medale *urbis securitas et nitor* temu kto pierwszą łojówkę zaświecił na ulicy miejskiej, a jakże nikle przedstawia się dziś ten szereg świec w najpierwszych stolicach obok pierwszej lepszej stacyi elektrycznej dzisiejszych czasów, która, jak np. berlińska, zapo-

mocą 2000 motorów świeci 200.000 lamp żarowych i 10.000 łukowych latarni! Jakże to niedawno jeszcze pierwsza maszyna Cugnot'a poruszała się po podwórzu paryskiego arsenału, przez „cały“ kwadrans, według zeznania świadków, rozwalając jego mury, dla braku wprawnego kierownictwa, a jak śmiało dziś ze siłą pary rywalizuje a nawet wypierać ją zaczyna elektromotor, który dziś prawie w każdem mieście włada komunikacyą kilkukilometrową, a setkom konsumentów porusza maszyny potrzebne do handlu i przemysłu. Jakże wreszcie małostkowo wygląda pieniężna nagroda Bonapartego dla pierwszego twórcy nauki o elektryczności, wobec olbrzymich kapitałów, obracających się równocześnie z obrotem kół elektromotorów, przy których zatrudnienie znajduje tysiące robotników po warsztatach i fabrykach. Trudno pojąć szybkość, z jaką kroczył postęp i trudno chcieć wyliczyć wszystkie tegoż ogniwa; niemniej jednak temu wielkiemu ruchowi, który od wieku do wieku tak przekształcił powierzchnię ziemi, przyświeca kilka słynnych imion, które mogą służyć nam w niniejszym szkicu jako punkta wytyczne w dziejach rozwoju elektrotechniki.

Podczas gdy następcy Davy'ego zajmowali się coraz to nowszemi chemicznemi teoryami elektrycznego stosu i coraz to nowszemi konstrukcyami stosów, zwrot nowy powstał w nauce, jak to już zaznaczyliśmy, przez połączenie wyników nauki o elektryczności z nauką o magnetyzmie w jeden wielki dział, oparty na wspólnych podstawach. W niespełna dwadzieścia lat po odkryciu Volty Oersted z Kopenhagi odkrywa, iż igiełka magnetyczna odchyla się od swojego punktu zerowego, jeżeli naokoło niej przepływa prąd elektryczny. Bliższe warunki tego odchylenia bada prawie równocześnie słynny Ampère i w tydzień po odkryciu Oersteda podaje do wiadomości pierwsze prawa elektrodynamiczne, stając się dla nauki o magnetyzmie, której Kolumbem był Oersted, prawdziwym Pizarrem lub Fernand Cortezem. Niebawem jeszcze bardziej nauka o magnetyzmie zostaje zespoloną z nauką o elektryczności, przez konstrukcyę solenoidów, czyli zwiniętych spiralnie cewek z drutu, które zupełnie tak samo jak magnesy, będąc zawieszone, zwracają się

w kierunku południka magnetycznego, w chwili gdy przez nie prąd przechodzi, oraz zupełnie tak samo jak magnesy wzajemnie przyciągają się lub odpychają się, zależnie od tego, czy są zbliżone biegunami różno- czy też równoimiennemi. Już krok tylko dzieli nas od spostrzeżenia Aragi, że żelazo staje się magnesem, gdy prąd przejdzie na około niego oraz od wielkiego odkrycia Anglika Fáraday'a, iż naodwrót w cewce zwiniętego drutu tyle razy powstaje prąd elektryczny, ilekroć w jej obwód wsuniemy magnes. Pierwsze spostrzeżenie stało się podstawą nauki o zastosowaniu elektromagnesów, a drugie nauki o magnetoelektryczności. I znowu ze wspólnego konaru dwie wyrastają gałęzie, o odmiennym kierunku i rozwoju, choć tak blizkie do siebie i genezą i treścią. Na jednej z tych gałęzi, niby bujne, a wciąż w nowej formie odrastające kwiecie, pojawiają się nazwiska twórców maszyn magnetoelektrycznych, jak Pixii, Clarke, Nollet, Wilde, na drugiej zaś widnieje sławne imię Ruhmkorffa, którego wielkie induktoryum otrzymało słusznie ową pierwotną nagrodę napoleońską, przeznaczoną następcom Volty, oraz imiona tych wszystkich badaczy, którzy elektromagnetyzm zaprzągnęli w służbę przenoszenia ludzkiej myśli, mowy i woli. O Ruhmkorffie i jego następcach na tem miejscu dużo mówić nie będziemy, ponieważ idea skonstruowania wielkiej cewki drutu nawiniętej naokoło pęku drutów, a zasilanej prądem elektrycznym, automatycznie przerywanym, doprowadziła wprawdzie do świetnych wyników, lecz dziś przeważnie znajduje zastosowanie w elektromedycynie, której omówienie należy do następnego rozdziału. Poza skutkami elektrolekarskimi cewki Ruhmkorffa wspomnieć możemy tylko przelotnie o innych zastosowaniach induktoryum Ruhmkorffa, oraz w ścisłym związku z niem stojących przyrządów Foucalt'a, Geisslera, Grove'go, Becquerela i t. d. Są to zjawiska tej miary, jak rozkład alkoholu, eteru, amoniaku i kwasu węglowego, jak żarzenie się rurek Geisslerowskich, jak zapalenie materyałów wybuchowych, świecenie się lampek w kopalniach, wreszcie wysadzanie w powietrze min, zastosowane po raz pierwszy przez Austryaków we Wenecyi, a przez Francuzów w Chinach. Świetny, lecz smutny to był chrzest wyna-

lazku naukowego, o którym porucznik Trève pisał z pod Peï-ho, że wysadzenie fortów za pomocą bobiny Ruhmkorffa w podziw wprawiło Anglików, a admiralicyę „zachwyciło“ zarówno dokładnością zniszczenia, jak matematyczną koincydencyą wszystkich równoczesnych wybuchów. Miło nam zaiste, że obok tego szybkiego przenoszenia się idei zniszczenia, wspomnieć możemy natomiast w niniejszym szkicu o tych wszystkich dobroczynnych dla ludzkości zastowaniach elektromagnetyzmu, które wprost przeciwnie miały na celu łatwiejsze rozszerzenie komunikacyi myśli. Do tej kategoryi zaliczamy przedewszystkiem telegrafią systemu Morse'go lub Huyghes'a, opartą na tej najprostszej podstawie, że żelazo, przez które prąd elektryczny przechodzi, staje się chwilowo magnesem, a przestaje nim być z chwilą przerwy prądu. Prosta kotwica przyciągana przez magnes daje też znaki ilekroć gdzieś w odległości ktoś prąd idący do magnesu w dowolnych częściach przerywa, a prosty konwencyonalny układ znaków staje się najdoskonalszym alfabetem *par distance*. Na wielką skalę zaprowadzają pierwsi w tym kierunku warsztaty Gauss i Weber w Gietyndze w r. 1833, a Steinheil w Monachium w r. 1837; zdolny oficer artyleryi, Werner Siemens niedługo potem ulepszonym sposobem własnego pomysłu łączy Berlin z okolicami nadreńskiemi, a, co ważniejsza, zastosowując izolacye z gutaperki, Sardynię z Algierem. Wreszcie przez wprodzenie kondematorów do przemysłu telegraficznego i konstrukcyę osobnych kabli podmorskich, nie ulegających zepsuciu i pewnych w zastosowaniu, urzeczywistnia myśl komunikacyi wszechświatowej i kładzie fundamenta pod ten nowy dział elektrotechniki, który dziś siecią nie łatwo dających się rozwikłać kombinacyj połączył i podrutował kraje i światy drogą podziemną i podmorską. Gdy nadto w pomoc telegrafii przybyły mikrofon i telefon, zastępujący alfabet konwencyonalnych znaków elektromagnesu, przenoszeniem rzeczywistych wibracyj głosu ludzkiego, gdy wszystkie te urządzenia tak weszły w nasze życie domowe i publiczne, handlowe i przemysłowe, pokojowe i wojenne, że poprostu trudno sobie wyobrazić, jakbyśmy dziś żyli bez tych zdobyczy postępu i jak kiedykolwiek bez nich żyć było można,

możemy rzeczywiście powiedzieć u progu wieku XX., za słowami mowy inauguracyjnej prof. Arnolda z Karlsruhe, że cały szybki rozwój techniki XIX. wieku zawdzięczamy elektryczności, a specyalnie elektromagnesowi. Zdaje się jednak, że i na tem polu nie zakreślone są jeszcze granice twórczości ludzkiego ducha, a w tem samem mieście, gdzie wyrzeczone zostały powyżej zacytowane słowa, Hertz swojemi badaniami nad falami elektrycznemi położył podwaliny pod teoryę przenoszenia się elektryczności bez przewodników metalicznych, którą z takim pożytkiem i chlubą w naszych czasach zastosował Marconi, twórca telegrafu bez drutów.

Podczas gdy część uczonych w ciągu lat rozwijała kolejno tę część elektrotechniki, którąby można nazwać elektrotechniką komunikacyjną, panującą nad przestrzenią i czasem, druga część badaczy rozwijała w dalszym ciągu chemiczne teorye Davy'ego. Oko historyka może rozróżnić w tych dziejach dwa obozy, z których jeden powiększając ilość stosów Volty i ulepszając tychże konstrukcyę, coraz większą wydobyć pragnął siłę z tego utajonego skarbca, a drugi przeciwnie zastanawiał się tylko nad zastosowaniem chemicznem elektryczności i nad rozszerzeniem tego zastosowania. Do pierwszego obozu zaliczyćby można twórców olbrzymiej bateryi, skonstruowanej w Szkole politechnicznej paryskiej, a złożonej ze sześciuset par blach cynkowych i miedzianych o znacznej powierzchni 90 cm. kwadratowych; dalej Wollastona z swoją wielką londyńską baterya o 2000 podobnych parach; następnie tych wszystkich, którzy przekształcili stosy o jednym płynie na stosy o dwu płynach w najróżniejszym składzie i kształcie, jak Daniella, Grovego, Bunsena i cały szereg innych; wreszcie jako ostatnią a odrębną grupę twórców nauki o „termoelektryczności", a przedewszystkiem Seebecka, który pierwszy zauważył, że przez ogrzanie odpowiednio zlutowanych metali, otrzymać można prąd elektryczny, oraz Nobili'ego, który skonstruował i do celów praktycznych oddał bateryę termoelektryczną. Do drugiego obozu zaś zaliczyćby można tych wszystkich, którzy począwszy od rozkładu chemicznego alkaliów i ziem, i naodwrót od chemicz-

nego łączenia tychże z tlenkami metali w amalgamy, doprowadzili elektrochemię do tego wybitnego stanowiska naukowego, jakie dziś zajmuje. Ojcami tej wielkiej nauki byli poza Davy'm, Berzelius, Gay-Lassae i Thénard, a gdy z biegiem lat coraz więcej prac i doświadczeń wzbogaciło zakres pierwotnych spostrzeżeń, elektrochemia stała się ważnym składnikiem nauk ścisłych i niezbędną podporą przemysłu. Wyliczanie nazw mężów zasłużonych lub tytułów prac wybitnych nie posłużyłoby zdaniem naszem, na tem miejscu, do niczego. Wystarczy natomiast, gdy rzucimy okiem na małe i wielkie warsztaty, na kopalnie i fabryki, na ogniska przemysłu żelaznego i drzewnego, na elektrometalurgię w usługach redukcyj i oksydacyj, na wytwarzanie ługów i karbidów, na sztukę wydobywania i łączenia metali, na galwanoplastykę, wreszcie na te wszystkie działy nauki i przemysłu, które wprawdzie bezpośrednio nie spotrzebowują prądu elektrycznego, lecz opierają się na zasadach, wykrytych przy pomocy prądu, wystarczy powtarzamy, taki ogólnikowy rzut oka, aby umieć ocenić należycie ważność odkrycia, dokonanego przed niespełna stu laty, a polegającego na rozkładzie ciał zapomocą prądu na ich chemiczne składniki.

Wszystkie działy postępu elektrotechnicznego, któreśmy powyżej rozważali, objąćby można nazwą techniki „słabych prądów" w porównaniu do tak zwanej „techniki prądów silnych". Powstała ona właściwie z chwilą, gdy Werner Siemens w połowie tego wieku wprowadził w życie zasady dynamoelektryczne, pozwalające na użycie zwykłego żelaza i odpowiednio wikłanych zwojów drutu do wytworzenia daleko silniejszych prądów, niż te, które dotąd wywołać było można za pomocą elektrycznych stosów i magnesu. Jak ongi Volta pisał do Banksa, zwiastując epokowy wynalazek, tak teraz Werner Siemens pisał do brata swego Wilhelma, że nowa era elektromagnetyzmu zapanuje na świecie, gdy tylko jego zasady zostaną wprowadzone w życie. Potrzeba było na to lat dziesięciu, aż zwykły stolarz Gramme myśl Siemensa wcielił w czyn, budując maszynę pierścieniową, a niebawem inżynier fabryki Siemensa, V. Hefner-Alteneck maszynę kotwicową. Równocześnie prawie podobne budują maszyny Brush,

Schuckert, Gülcher, a zasada przeistoczenia pracy mechanicznej w prąd elektryczny i naodwrót prądu elektrycznego w pracę mechaniczną, nietylko staje się silnym filarem fizycznej nauki o przemianie energii, lecz potężnym motorem całego światowego ruchu. Już w najbliższym czasie przenosi Francuz Deprez siłę motoru za pomocą telegraficznego drutu do odległych fabryk, tracąc 75% pracy pierwotnej, a następne usiłowania Browna i innych doprowadzają do utraty 50%, a w końcu tylko 25%. Gdy zaś równocześnie w Ameryce odkryto lampę żarową, a Hefner wprowadził system dyferencyalny oświetlenia, dozwalający na włączenie lamp w obwód jednego prądu, drut telegraficzny nietylko staje się przenośnikiem mowy i myśli, ale ruchu i pracy, światła i ciepła. Krok nas tylko dzieli od puszczenia w ruch przez Siemensa pierwszej elektrycznej kolei oraz od wynalazku Plauti'ego, dozwalającego na przechowywanie w ołowianych akumulatorach wytworzonego elektrycznego napięcia, niby w jakim spichrzu, z którego każdej chwili wydobytem być może. Elektrotechnika, stawszy się też nietylko gałęzią wysoko rozwiniętego przemysłu, lecz wprost nauką, opartą na trwałych podstawach i celu swojego pewną, od tej chwili rozpoczyna śmiałą walkę ze wszystkiemi innemi siłami przyrody, zaprzągniętemi do pracy przez rękę ludzką. W tym ogólnym ruchu brać coraz bardziej zaczynają udział szkoły fachowe i naukowe pisma, a myśl ludzka, panując nad siłą i przestrzenią, kusi się dziś nietyle może już o ulepszanie, co o rozpowszechnienie ekonomiczne zdobyczy postępowej nauki. Ostatnim tej dążności wyrazem było przed jakiemi siedmiu laty wprowadzenie w życie na turyńskiej wystawie transformatorów Gaulard'a, urzeczywistniających myśl zamiany wzajemnej prądów stałych i przemiennych.

Zakres i charakter niniejszego szkicu nie pozwalają nam na bliższe zapuszczenie się w szczegóły, z natury rzeczy suche i może nie wszystkim zrozumiałe. Epoki tej dziejowej nie możemy jednak zupełnie pominąć milczeniem. Dotąd znano w technice prąd stały, taki, jakiego dostarczają stosy elektryczne, począwszy od słabego pierwowzoru Volty, a kończąc na skomplikowanych konstrukcyach jego następców, oraz prąd prze-

mienny, o którym wspomnieliśmy, mówiąc o cewce Ruhmkorffa. W tej ostatniej i w przyrządach do niej podobnych, jak wiadomo, za każdem wsunięciem i wysunięciem magnesu z cewki zwiniętego drutu, w cewce tej powstaje prąd w jednym lub drugim kierunku; również w drugiej cewce nawiniętej naokoło pierwszej powstają takie same silne „wzbudzone“ prądy, ilekroć w pierwszej prąd pierwotny, zwany „wzbudzającym“, zamkniemy lub przerwiemy. Dla różnego kierunku tych prądów nazwano je przemiennemi. Wspominaliśmy, że zastosowanie ich do celów technicznych, z wyjątkiem kilku już wymienionych specyalnych urządzeń, nie było tak bardzo rozległe. Dopiero konstrukcya odpowiednich motorów, złożonych z obrotowej kotwicy magnetycznej i kollektora ze zwojów, a dostarczających niezmiernie silnych, a łagodnie przebiegających prądów, według tak zwanej harmonijnej fali Sinusoïdalnej, otworzyła zapomnianym prądom przemiennym nową erę. Wspomniane transformatory Gaularda, a potem prace Zipernowsky'ego, Deri'ego, Bláthy'ego, a przedewszystkiem wielkiej firmy „Helios“ Cörper'a, udowodniły, że te prądy o zmiennych kierunkach łatwo przeistoczyć można do różnych celów na prądy stałe. W krótkim stosunkowo czasie dostarcza technika prądów przemiennych daleko silniejszych źródeł pracy mechanicznej i światła. Gorączkowa i ożywiona jak najlepszemi nadziejami działalność techników i uczonych, przypadająca znowu dziwnym trafem na ostatni dziesiątek lat stulecia, doprowadza znów u przełomu wieków do takich wyników, jak znane wszystkim teorye Tesli o wysoko napiętych prądach przemiennych, jak kilkufazowe motory Ferraris'a lub jak zadziwiające dzieła fabryki Herlikon, na czele której miło nam widzieć nazwisko rodaka Dobrowolskiego, a która od r. 1891 na przestrzeń paruset kilometrów przeprowadzała taką siłę elektryczną z utratą około 20%, jaką niedawno jeszcze zaledwie na 7 km. przenieść było można. Wydobyta z ukrycia, a właściwie chwilowo zapoznana siła prądów przemiennych, u schyłku w. XIX. rzeczywiście zapanowuje w krótkim czasie nie nad otaczającą nas bezpośrednio przestrzenią, lecz nad teoretycznie nieograniczoną przestrzenią, i to z łatwością i prostotą najmniej skombi-

nowanej zagadki matematycznej. Mały warsztat Siemensa, który przed laty zakładał pierwszą linię telegraficzną, obraca dzi stukilkudziesięciu milionami i zatrudnia do dziesięciu tysięcy robotników; mała fabryka Schuckerta, która budowała pierwszy elektromotor, rozporządza stukilkudziestu milionami i zatrudnia pięć tysięcy robotników w Norymberdze, a kilka tysięcy po innych miastach; inne towarzystwa akcyjne w samych niemieckich krajach rozporządzają 520 milionami, a jak przemysł elektrotechniczny podniósł się właśnie w ostatnim dziesiątku lat, najlepiej świadczyć może, że na 80 takich towarzystw zawiązało się ich aż 69 po r. 1890.

Zdaje się czasem, że gdy na zegarze wieków uderza wielka godzina, ludzkość cała drga w posadach i podwójnie wytężonemi siłami chce jeszcze u progu przeszłości zdziałać coś wiekopomnego dla przyszłości. Jedni zostawiają potomności dzieło zniszczenia, drudzy te lub inne dodatnie plony, inni wreszcie, o których się mniej może wie, a z pewnością mniej mówi, składają cichą pracę postępu do wielkiego obrachunku wieków. Suma tej pracy doprowadziła właśnie do tego faktu, że gdy wiek XVIII. oddawał XIX-emu pierwszy prototyp bateryi elektrycznej, wiek XIX. z tej spuścizny nietylko nic nie uronił, lecz XX-emu przekazuje w darze zdobycze elektrochemii i elektrometalurgii, ruch turbin i motorów, sieć kolei podmorskich i podziemnych, przeniesienie ruchu na odległość, skapitalizowanie ekonomiczne mechanicznej pracy i zapanowanie myśli i mowy nad przestrzenią.

(Dok. nast.).

Dr. J. Zanietowski.

JOSÉ ROUMANILLE.

Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską.

(Dokończenie).

Chcąc dobrze ocenić literacką działalność Roumanille'a, rzeba koniecznie mieć przed oczami cel, dla którego pracował zadanie, do którego w poezyi i prozie dążył. Pierwszem jego staraniem było zapoznać Prowansyę z uroczym językiem trubadurów i pokazać, że on w poezyi choćby i pierwsze miejsce godnie zająć potrafi. Był to trud nie lada! Mnóstwo neologizmów źle utworzonych, gorzej jeszcze wymawianych zeszpeciło język, zakres idei dających się w nim wyrazić, był bardzo ograniczony; treść ludowych śpiewek, opowieści i baśni urągała wszelkim przepisom prawa i przyzwoitości; z grobu więc zapomnienia, z zapleśniałych ksiąg trubadurów, z żywego choć mętnego zdroju ludowej gwary Prowansyi trzeba było wprowadzić na widownię ten język w całej jego pierwotnej krasie. Widzieliśmy wyżej, jakiemi drogami dążył Roumanille do tego celu, który względnie łatwo osiągnął. Oczyścił język z obcych i niewłaściwych naleciałości, wrócił mu dawną świeżość i, zauważa Mistral w swej mowie, wypowiedzianej z okazyi poświęcenia posągu Roumanille'a w Awinionie, „zyskał dla niego uznanie ludu, otworzył mu zwycięski wstęp do sal akademii, kazał mu śpiewać i nucić przy dźwiękach organów w kościołach ku czci Najwyższego, a bogatym tej ziemi umiał wy-

cisnąć łzę z oka, gdy do nich przemawiał o *Santo Paurio* „Świętem Ubóstwie“ [1].

W większej jeszcze mierze odpowiedział Roumanille drugiemu zadaniu, którem był wpływ na lud. Umoralnić ten naród zaniedbany, wskazać mu wyższy cel życia, oderwać go od karczmy i pijatyk, zwrócić uwagę jego na przyrodę, a przez nią poprowadzić go do Boga, to hasła jego pism. Dlatego też nic nie znaleźć w dziełach poety, coby jakkolwiek uczucie moralne obrażało; żeby nawet cienia wątpliwości pod tym względem uniknąć, odczytywał przed wydrukowaniem swe utwory księżom i do ich sądu w tym względzie skrupulatnie się stosował. A ponieważ bał się czasami, że lud go nie rozumie, wysyłał na zabawy i zgromadzenia wieśniacze swych przyjaciół, którzy jego wiersze odczytywali; sam ukryty gdzieś w kącie badał wrażenia, jakie odpowiedni utwór wywrze, a gdy spostrzegł, że lud go nie pojmuje, wykreślał lub zmieniał całe ustępy, słowa zastępował innemi, czasami nawet niszczył utwór skądinąd doskonały gdyż nie potrafił go zastosować do stopnia pojęcia swych czytelników. Że wobec tego nie uchybił poezyi i nie został moralizatorem a w wiersze swe, acz tendencyjne, potrafił jednak wlać wiele poezyi, nadać im dużo wdzięku i prawdziwej piękności, to tylko pochlebnie świadczy o jego wysokim talencie i zdolnościach twórczych, choć skądinąd wcale nie utrzymujemy że w wszystkich wierszach swych miał ten cel bezpośrednio na oku, aczkolwiek go nigdy zupełnie z uwagi nie spuszczał. Z tego więc stanowiska trzeba się zapatrywać na wszystkie jego dzieła.

Pierwszy tomik Roumanille'a *Li Margarideto* „Stokrótki“ składa się z czterdziestu trzech utworów, a dzieli się na cztery części odpowiednio do czterech pór roku, z zastosowanemi do czasu napisami. Pod tytułami: „Kiedy tarń zakwita“, „Kiedy zboże dojrzewa“, „Gdy liście spadają“ i „Przy kominku“ prezentuje nam Roumanille kilkanaście barwnych, mieniących się klejnotów. Cześć pierwsza zawiera urocze obrazy z wiosny przyrody i czło-

[1] *Armana Prouvençau*, 1895, str. 34.

wieka, uczucie też w nich wiosenne, radosne, podczas gdy część druga poważniej do serca przemawia, a trzecia i czwarta to o struny melancholijne, to znowu o swobodne i swojskie potrąca. Roumanille staje w „Stokrótkach“ przed nami odrazu jako skończony poeta. W języku jest prawdziwym mistrzem. *La Fado di Flour* n. p. „Rusałka kwiatów“ jest „welonem czarodziejki, uwitym z piękności poranku, blasku słońca i pieśni słowika a haftowanym perłami rosy“ [1]; jeżeli jednak potrzeba, umie i w poważne uderzyć struny, wywołać ponure akordy kościelnego *Dies irae*, gdzie smutek lecz nie beznadziejny i potęga wyrażenia w parze idą.

W pomysłach jest bardzo szczęśliwy. Ot! na kwiatami zasłanej łączce bawi się małe dziecię z jagnięciem — pełno dokoła promieni, pełno światła, szmeru wód i gwaru liści, a nad tem rozciąga się błękitna kopuła nieba. Poecie zdaje się, że to kawałek raju to błonie zielone — zachwyca się niem, ale wnet przypomina sobie, że owa piękność wkrótce przeminie. Przystępuje do rozbawionego chłopięcia i mówi mu o walce życia, o cierpieniu i niewinności — dziecko uśmiecha się, patrzy jasnym wzrokiem w twarz przybysza i nie rozumie, czego ten obcy człowiek od niego żąda. Ta gra na strunach duszy, to bawienie się z uczuciem i przerzucanie się z jednego w drugie, tworzy też główną może siłę zbiorku; unika tym sposobem powtórzeń, nie nudzi, owszem znajduje zawsze silne, najczęściej niespodziewane zakończenie, wywołując tem samem wrażenie niezwykłe.

Świeżo wzrosły pączku wonny
W róż rozkwitłych, jasnych rzędzie:
Jeszcze raz cię muśnie słońce,
A kwiat z ciebie cudny będzie.

Na zielonym róży krzaku
Wdziękiem zaćmisz sióstr swych roje —
Lecz pojutrze zaczną zwolna
Spadać zwiędłe listki twoje.

[1] Kreiten. *Stimmen aus Maria-Laach*, r. 1875. t. VIII. str. 149.

Dziecię! tyś jak pączek mały!
Skarbie ty mój, mój niewinny!
Da Bóg w kwiat urośniesz może.

W lat dwadzieścia ślub cię zwiąże,
W lat trzydzieści więdnieć poczniesz,
Potem... umrzesz dziecię hoże!

Potrąca dalej i o silniejsze jeszcze akcenty. W *Madaleno* rozwija w cudnym obrazie szczęście niewinności, głębię upadku i nadzieję w pokucie — materya to trochę drażliwa, ale wzorowo przeprowadzona tak, że i najdelikatniejszego serca nie urazi. Jest smutnym, kiedy płacze nad śmiercią swego w młodzieńczym wieku zmarłego brata, ale nad tym smutkiem unosi się rezygnacya i gwiazda chrześcijańskiej nadziei. „Pożegnanie Muzy“ kończy „Stokrótki“.

Jak w każdem dziele, nie brak i w tem błędów. Znajdują się tam utwory słabsze, nielicujące z harmonią całości; jest też może trochę za wiele naśladowań we względnie małej książeczce; nie uniknął i jednostajności, mimo że starał się odwieść poezyę od jednego, jedynego przedmiotu dawnych trubadurów; za to zastąpił tę jednostajność przedmiotu rozmaitością obrazów, uczuć i samego przeprowadzenia rzeczy. A o tem pamiętać trzeba, że jak sam mówi, „nie chciał być słowikiem tylko zwykłym ptaszkiem, wyśpiewującym swe melodye na otwartem polu, tak jak go matka nauczyła... Palmy i dęby mogą inni sadzić, jemu wystarczy hodować fiołki, które rosną w trawie u ich stóp“ [1]. Wobec tego można się zgodzić na sąd, jaki o „Stokrótkach“ wydała krytyka, że mianowicie znajdujemy w nich „słońce wiosny, śmiech młodości, świeżość pierwszych wzruszeń i zapach kwiatów — nic coby zaniepokoiło najczystsze oko. Idea chrześcijańska pojawia się często a tym blaskom jutrzenki i tej swobodzie z nad morza Śródziemnego nadaje charakter poważny lub wzniosły“ [2]. I w rzeczy samej poezya ta „jest i pełną ufności i niezdecydowaną, czasami bardzo śmiałą, czasami trochę słabą,

[1] Ritter, *Le centenaire de Diez suivi des lettres de Roumanille à Victor Duret:* list z 18 marca 1859 r..

[2] Cornut, *Les maîtres du Felibrige,* str. 117.

zawsze jednak nabiera znaczenia przez szlachetne natchnienie, które poecie wkładało pióro do ręki. Te „Stokrótki“ były na prawdę polnemi kwiatami, czystą i niezatrutą woń wydzielały ich korony... Jedna nuta panowała w nich przeważnie: radość z dobra połączona z radością ze śpiewu, naiwny zachwyt serca i umysłu“ [1].

„Stokrótki“ choć niesłychanie ważne dla ruchu literackiego w Prowansyi, z powodu ciągłych zaburzeń politycznych nie wywarły tego wrażenia poza krajem, jak na to zasługiwały; w ojczyźnie jednak poety im trzeba przypisać pojawienie się w roku 1852 „Prowansalek“ *Li Prouvençalo*. „Widziałżeś kiedy farandolę w naszych wioskach na południu? W pewne święta, kiedy umysły w jednakowym znajdują się nastroju, wystarczy... słowo lub sygnał: w jednej chwili ręce szukają rąk, tworzy się koło, rozszerza, rozwija swe ogniwa, otacza wioskę; cały naród jest w tańcu a harmonijne ruchy, podobnie jak dźwięki basu, podtrzymują *crescendo* pieśni. Roumanille zagrał pierwszy, wkrótce zetknęły się ręce wszystkie i farandola się rozpoczęła“ [2]. W tych słowach charakteryzuje bystry francuski krytyk, który powstającej literaturze okazał swoją sympatyę napisaniem przedmowy do „Prowansalek“, szczęśliwie, trafnie i dobitnie genezę tych utworów i ich zakres. Istotnie! poezye te, powstałe w pięć lat po pojawieniu się „Stokrótek“, ciekawy przedstawiają nam widok. Trzydzieści jeden nazwisk wystąpiło po raz pierwszy obok siebie, a między niemi takie jak Mistrala, Aubanela i innych. Zbiorek ten był prawdziwą rewelacyą i pokazał, jakie silne życie tętniło w kraju. Wprawdzie niektórzy z poetów wystąpili w „Prowansalkach“ po raz pierwszy i ostatni, inni za to wybili się wkrótce ponad ogół i wysoko ponieśli sztandar literatury ojczystej.

Ogólne wrażenie, jakie zbiorek wywołuje, jest dodatnie

[1] S.-René Taillandier. *Nouvelle poésie provençale* w *Revue des deux mondes*, t. V, r. 1859, str. 810.

[2] S.-René Taillandier. l. c. str. 811.

Uderza rozmaitość treści, poważny, głęboki, chrześcijański pogląd na życie, i wielostronność formy w rozmaitych stopniach doskonałości. A choć charakter wierszy jest w wielkiej mierze czysto południowy, odznacza się więc trochę hałaśliwą wesołością, to jednak nie obraża on w niczem uczuć moralnych, owszem w utworach Roumanille'a, Mistrala, Glaupa i kilku innych sięga niebywałych wyżyn idei chrześcijańskiej. Pomijając na razie trzech głównych felibrów, nie możemy jednak nie wspomnieć o Kamilu Reybaud i A. Crousillat. Kto chce być dobrym pisarzem, powiedział kiedyś Joubert, musi posiadać pewną przyrodzoną łatwość i pewną nabytą trudność. Ogółowi poetów „Prowansalek“ nie brakło na pierwszem, zbywało za to niektórym tem bardziej na drugiem. Groziło więc niebezpieczeństwo, że albo tak świetnie rozkwitająca szkoła rychły znajdzie koniec, jeżeli i banalne utwory do jej przybytków wtargną, albo też będzie w oczach literackiego świata trochę zdyskredytowaną i straci na sympatyi i okazywanem jej dotąd zaufaniu, jeżeli podniesie do ideału talenty mierne, nie przekraczające poziomu codziennych, przeciętnych zdolności. Do usunięcia tego niebezpieczeństwa przyczynili się, oprócz Roumanille'a, Mistrala i Aubanela, właśnie Reybaud i Crousillat. Wychowani i wykształceni na greckich i łacińskich wzorach, potrafili w swe formy wlać tyle piękności, w wyrażenie tyle elegancyi, w opracowanie tyle niespodziewanych obrazów, zwrotów i pomysłów, że „zamknęli wejście kulawym, a przygotowali teren dla nowych mistrzów“. Pokazali innemi słowy, czego czytelnik od poety domagać się może; nauczyli stawiać samym sobie wymagania bardzo wygórowane, przeto jednych na zawsze od poezyi odwiedli, drugich zachęcili do pracy i dalszego kształcenia się, wszystkim zaś, szczególniej obcym pokazali, do jakiego stopnia doskonałości można doprowadzić język prowansalski. Jego bogactwa i piękność wyrażenia zabłysły w poezyach Reybauda, który między innemi pierwszy w Prowansyi napisał wierszowany traktat o mięczakach swej ziemi, a dla każdego rodzaju i każdej odmiany znalazł odpowiednie wyrażenie w języku krajowym. Wzorem klasycznej prawie formy i nowości

w obrazowem opracowaniu rzeczy jest jego „Chore dziewczątko“, to cudne majaczenie ulatującego do nieba aniołka.

Wśród wieczornych chmurek w blasku.
— Mamo! cóż się trwożyć masz? —
O! ujrzałam jak w obrazku
W jasnej mgle anioła twarz.
Wzywał mnie swą rączką małą,
Lilie mu wieńczyły skroń...
A mnie coś tak w górę rwało
W tę świetlaną, złotą toń.
Mamo, mamo! nie płacz proszę,
Już i oczek nie otworzę
Na te chmurki przy wieczorze.

To znów gdym z pierwiosnków chciała
Na dolinie wianek zwić,
Naraz burza nadleciała,
Nad studzienką jęła wyć.
Wiatr mi wianek zdarł z nad czoła
I mnie uniósł wśród swych fal,
Że jak łabędź ponad sioła
Gdzieś płynęłam, het-het w dal.
Mamo, mamo! nie płacz proszę,
Już nie zajdę nigdy w stronę,
Gdzie dmą wichry tak szalone.

W drodze mi znów coś nad głową
Biło młotem — jęczał dzwon,
Ach! tak smutno, tak grobowo,
Jakby czyjś wydzwaniał zgon.
Więc o śmierci i mogile
Nie chcąc — zadumałam się,
Lecz tak jakoś błogo, mile...
Choć to wpierw trwożyło mię.
Mamo, mamo! nie płacz proszę,
Już nie będę póki życia
Słuchać owych dzwonów bicia.

Wieczór kiedy gwiazdki tłumnie
Przez skłon niebios świetlny mkną,
Mrużą oczka i skry ku mnie
Na promykach lotnych ślą,
Rozmodlona, w tę dal złotą
Lecę, z ócz ucieka sen;
Widzę, jak mi z gwiazdek plotą
Już anieli wianek — hen.

Mamo, mamo! nie płacz proszę.
Czyż bo zresztą ja rozumię
Co się dzieje w gwiazdek tłumie?

Mamo moja! nie płacz tyle —
Kocham cię nad życie me,
Lecz się nie łudź, bo za chwilę
Już cię rzuci dziecię twe.
Ludzie mówią, że śmierć sroga.
O nieprawda — ty się masz
Cieszyć raczej — bo ja Boga,
Skoro umrę — ujrzę twarz.
Mamo moja — nie płacz wcale!
Z nędz tej ziemi uwolniona
Wejdę do aniołków grona.

Wielce artystyczna i wykwintna strona Reybauda, opuszcza go tylko, gdy wchodzi na teren pieśni ludowych; studya nad klasyką nie pozwoliły mu zrozumieć i odczuć w całej pełni tego najpiękniejszego wykwitu życia ludu — w każdym razie stoi on jednak wyżej od drugiego mistrza słowa, Crousillata, tak pod względem techniki, jak szczególniej idei. I Crousillat opanował formę i igrał z nią, lecz to igranie nie pozwoliło mu uniknąć błędów, których przy usilniejszej pracy potrafiłby był się ustrzedz; myśli za to jego i świat idei i poglądów są o całe niebo niższe od idei Reybauda. Z formą przejął Crousillat ze starej, klasycznej poezyi i treść, oczyszczoną wprawdzie przez szczerze chrześcijańskiego ducha, zawsze jednak prawie wyłącznie to, na czem mu w domu i utworach trubadurów nie zbywało — przejął uczucie miłości; to też stoi ono u niego na pierwszym planie. Gdzie zaś o miłości zapomina, jak n. p. w sonecie „Wieczorem“, wtenczas staje się wielce oryginalnym i daje nam małe, lecz jasne i świetlne obrazki:

Gdy pełen szczęść i trosk zmierzch ściele się,
A sen znużone chce mi stulić oczy,
Pożegnać wprzód gwiazd muszę świat uroczy,
Co w blasku w górze drży na niebios tle.

O gwiazdko ma! w świetlanej, wietrznej mgle,
Czy w niej, czy zlana w złotych fal strumienie;
Perełko nocy — cudne snu widzenie,
Gdy długo wzwyż mój wzrok w marzeniach ślę!

O gdybym mógł wsiąść w złotą nowiu łódź.
I wznieść się hen! w błękitne gwiazd przestworza
I szczęsny te głębokie tonie pruć!

Z świata w świat — w rozkoszne płynąć morza,
I z czaru w czar — a tak bez pamięci
Zatonąć w Bogu, jak w Nim toną Święci!

Z wymienionymi dwoma autorami rywalizuje pod względem artyzmu Paweł Giéra, ukrywający się pod pseudonimem Glaup: co do swych dążności zaś, myśli i zasad przewyższa ich obu. To też jednym z najpiękniejszych utworów całego zbiorku, jest jego pieśń do Najświętszej Panny, gdzie w jedenastu gorąco odczutych zwrotkach przedstawia nam życie Boga Rodzicy, aż do Jej Wniębowzięcia, a kończąc oddaje siebie i nowo powstałą szkołę prowansalskich trubadurów Jej opiece.

Czas nam jednak wrócić do Roumanille'a i jego udziału w „Prowansalkach". Wiersze w tym zbiorku ogłoszone zaznaczają już wybitnie charakter jego prac: wdzięk, moralną siłę i pewną świeżą, swojską werwę. Trzy: „Ubóstwo i miłość" „Jasełka" i „Dwa Serafy" są z tych wszystkich utworów Roumanille'a najdoskonalsze a dziwnym trafem wszystkie trzy mają tło religijne; robi to wrażenie, jakby poeta chciał zwrócić uwagę towarzyszy na najwznioślejszy, im najbardziej odpowiedni temat, taki, któryby całą szkołę potrafił obronić od złych wpływów i upadku. Słusznie też twierdzi Taillandier, że „nikt nie potrafił tak śpiewać jak on o wielkich skrzydłach miłości, i nikt też nie znalazł jeszcze tak czułych słów, gdy wzywał do zstąpienia na ziemię pięknego anioła, którego uśmiech jest tak miły, a spojrzenie tak słodkie" [1]. Miłość tę gorąco opiewaną sam poeta wprowadza w czyn; kto go czyta staje się lepszym. Szuka zawsze człowieka, który płacze i cierpi często bez winy, częściej jeszcze zasłużenie, a miłość w cierniowej koronie nędzy wysyła, by cieszyła strapioną matkę, czuwającą u łoża umierającego dziecięcia i lała otuchę do zbolałego serca; miłości też

[1] S. René-Taillandier, l. c. str. 813.

wskazuje cierpiącego głód starca i każe jej nieść mu pomoc, iść wszędzie tam, gdzie ukryte łzy płyną i łzy te w uśmiech zamienić. Religijność zaś jego, streszcza się w słowach: pracuj i módl się, ufaj Bogu i samemu sobie, stąd też pobożność jego jest zawsze wesołą, uśmiechniętą, przyciągającą do siebie. „Między wzniosłością wielkiej poezyi religijnej a poezyi katolickiej, tak jak ją Roumanille pojmuje, istnieje ta sama różnica, jaka się znachodzi między katedrą XII. wieku, a skromną kaplicą wioskową“ [1]. Dlatego też pieśni religijne Roumanille'a nie prowadzą nas na te wyżyny, po których stąpał kiedyś Dante, a jeżeli czasami i tam się wzniesie, to zawsze marzenia jego ziemi sięgają i niedługo z nieba na ziemię nas sprowadza, pomiędzy ludzi, ich walki, cierpienia i trudy, które nawet aniołowi nie pozwalają cieszyć się w niebie, lecz nieprzezwyciężoną siłą w dół go pociągają, gdzie tyle łez do otarcia, a złamanych, zbolałych serc do pocieszenia.

Najpiękniejszemi z tych poezyj religijnych, są bezsprzecznie „Jasełka“, napisane z okazyi poświęcenia domu sierot; gdziekolwiek je poznano, przyjęto je wszędzie z uwielbieniem i gorącem sercem.

Wśród aniołów jasnych grona, co tron Boży otaczają
I w zachwycie wszechmiłosnym „Święty, Święty“ wciąż śpiewają:
Chodził smutny Seraf cichy, na te pienia nieb nie czuły.
Czyżby radość go raziła, ból i zazdrość serce truły?
Swe promienne, śnieżne czoło w zamyśleniu w ziemię wbija,
Jak gdy w braku rosy z niebios schyla kielich swój lilia.
Gdyby w Bożym tym zachwycie mógł się w sercu przesyt wzbudzić,
Rzekłbym: Śliczny, cichy anioł musiał się wśród niebian nudzić.
Lecz o czemż tak dumać może, sam za Świętych błądząc kołem?
Czy się czegoś czuje winnym, tak z schylonem chodzi czołem?
Ach! patrz, zwraca się i idzie, i przed Bożym tronem klęka,
Chcąc go słyszeć idą wszyscy — rajska rwie się wpół piosenka.
„Gdy w stajence Syn Twój płakał, Ojcze, jam Go śmiechem cieszył,
A gdy z zimna drżał tom ciepłem moich skrzydeł grzać go spieszył.
Odtąd, Panie! gdy usłyszę, że zakwili gdzieś dziecina
Zaraz mi się z bólem w duszy żłobek z szopką przypomina.
To też często chodzę smutny, czuję w sercu rozdwojenie,
Bo raz rwie mnie rozkosz nieba, to ból słodki i cierpienie.

[1] S. René-Taillandier, l. c. str. 814.

Abym dzieła mógł dokonać, pozwól zbiedz mi w ziemskie łany.
Patrz! jak rączkę niewiniątek okrwawiły nędz kajdany.
Biedne dziatki, łona matek i ich pieszczot pozbawione
Na śnieg, burze, wiatr — po drogach tak bez serca porzucone.
Ja im znajdę wnet schronienie, ciepły kącik, miękkie puchy.
Oddam je w troskliwe ręce, w czyste owiję pieluchy.
Zamiast jednej o! dwadzieścia matek każde będzie miało,
Przy ich śpiewie będzie spało, budziło się, uśmiechało...“
Przyklasnęły bratnie duchy, — więc jak strzała szybko leci,
Błyskawicą na dół spada, w zimnych sercach miłość nieci.
Z łzą radości matki stoją z wiarą dziś przed jasełkami,
Patrzą gdzie zwisł anioł śliczny ze słodkiemi usteczkami.

Sainte-Beuve, któremu niniejsze wiersze poświęcił autor, wyraził się, że ów „smutny Seraf“ nie potrzebuje się wstydzić ani Abbadony Klopstocka, ani Eloy A. de Vigny. Ta sama nad nim unosi się poezya, ta sama żyje w nim tęsknota połączona z pragnieniem niesienia pomocy.

Mniejsze już, choć wcale dodatnie wrażenie wywołały „Dwa Serafy“, klęczące w bolu i płaczu u żłóbka Jezusowego.

Gdy do szopki, gdzie Bóg leżał
Cnych pasterzy garstka szła,
Wśród łez piosnki te nuciły
Białe tam Serafy dwa.

Pierwszy.

Widzę jak na Matki łonie
Bóg-dziecina w płaczu tonie.
Och wiem, czemu łka — łzy lśnią.
Miłość mówi tej dziecinie,
Że wbrew winie
Cudna skroń mu kiedyś krwią
Pod koroną z ciernia spłynie.

Gdy do szopki, gdzie Bóg leżał
Cnych pasterzy garstka szła,
Wśród łez piosnki te nuciły
Białe tam Serafy dwa.

Drugi.

Ach! me serce aż lęk mroczy.
Pana niebios we łzach oczy
Wśród radosnych, nocnych cisz.
Miłość mówi tej dziecinie.
Że wbrew winie
Przygotował grzech już krzyż
Mu na tron, na którym zginie.

Gdy do szopki, gdzie Bóg leżał
Cnych pasterzy garstka szła,
Wśród łez piosnki te nuciły
Białe tam Serafy dwa.

Razem.

Już na krzyżu krwią się rosi,
Z ust do Ojca jęk się wznosi
Z pośród cieni śmierci wzwyż.
Miłość mówi tej dziecinie,
Że wbrew winie
Człowiek ciernie, zbawczy krzyż
Zdepcze z wzgardą, zdepcze w czynie.

Gdy do szopki, gdzie Bóg leżał
Cnych pasterzy garstka szła,
Wśród łez piosnki te nuciły
Białe tam Serafy dwa.

W tym samym jednak czasie, w którym na skrzydłach poezyi wzbijał się wysoko ponad tłum i żył cały w dziedzinie piękna, nie zapominał o celu, jaki sobie założył. Dlatego znajdujemy też między temi klejnotami liryki wiersze o treści popularnej, wyjętej z życia ludu. Ten sam Roumanille, który nam dał „Jasełka“ ze swą nieskończenie delikatną sceneryą, daje nam poezye tryskające dowcipem i życiem, w których się aż roi od ludowych wyrażeń, przysłów, przenośni i naiwnego sposobu patrzenia się na świat, a zarazem od głębokich poglądów na życie, jego walki i potrzeby. Jednem z takich opowiadań jest wierszowana powiastka: *Se nen fasiam un avouca.* Mały dzierżawca, Sauvaire, kłopocze się, jaki zawód ma sobie obrać dorastający syn, Toinon. Rzemiosłem złotem jest zawód adwokacki a więc *se nen fasiam un avouca.* Żonie nie bardzo się ta myśl podoba, lecz Sauvaire stoi uparcie przy swojem zdaniu, wysyła chłopca do szkół, a młody używa i marnotrawi ciężką pracą rodziców zebrane pieniądze. Przebrał się za pana, a nie jest ani panem ani wieśniakiem; pieniądze w Paryżu lecą, ojciec sprzedaje pole, winnicę, nawet swój piękny, troskliwie pielęgnowany ogródek; nie pozostaje mu nic więcej „krom oczu do płakania“. Żona przestrzega męża po raz ostatni, ale zaślepiony ojciec dzisiaj jeszcze wierzy, że syn wkrótce przyjdzie i zaspokoi jego potrzeby, boć przecież urząd adwokata, to rzemiosło złote. Przychodzi wreszcie nie syn, lecz egzekutor sądowy, który wypędza małżonków z ostatniego domku. Stara matka umiera z bólu w szpitalu, a ojciec z kosturem w ręku i workiem na plecach chodzi od wsi do wsi, prosi o kawałek chleba, a usta jego ciągłą szepcą przestrogę: „nie wychowujcie dzieci ponad ojców stan“.

Oprócz wysoce praktycznej myśli uderza w tym poemacie szczególniej wykonanie; kontrast między rozrzutnością syna a pracami ojca namalowany po mistrzowsku. Roumanille nie wchodzi w szczegóły, kilku tylko rysami cechuje sytuacyę, ale tem właśnie mówi to, co chciał wyrazić. Lud go też dobrze zrozumiał i pojął, że rada dana przez Roumanille'a jest bardzo zbawienna i warto się nad nią dobrze zastanowić, nim się jej na przekór postąpi. Poemat stał się w krótkim czasie popular-

nym a słowa *se nen fasiam un avouca* przeszły po prostu w przysłowie.

W innym znowu utworze kładł główny nacisk na dobre wychowanie córek. I tu bogaty wieśniak postanawia córkę swą wydać za mąż do miasta. Piękna Magdalena gardzi porządnymi lecz prostymi ludźmi, oczekuje co najmniej hrabiego, aż wychodzi biedaczka za skończonego rozpustnika, który ją czyni nieszczęśliwą a nie myśli o tem, żeby jej życie jako tako uprzyjemnić. I znów powtarza się głęboki refren: „nie wynoście córek ponad matki". Nie przesadził krytyk francuski, kiedy wyrzekł, że te jego myśli są tak jasne jak i słuszne, a z jakim artyzmem je wyraził, jak je uwydatnił, jak je określił!

Rok pojawienia się „Prowansalek" był zarazem rokiem, który stworzył jeden z najdoskonalszych pod względem artyzmu poematów, *Li sounjarello*, „Marzycielki", „delikatnie utkany welon, pełen światła, słońca i cieni nocnych, rosy i łez, radości i bólu" [1]. Leleto i Małgorzata, dwie narzeczone spotykają się wczesnym niedzielnym rankiem. Pierwsza uszczęśliwiona, bo jutro przybywa po całorocznej morskiej podróży jej narzeczony Pauloun, więc niezadługo wianek ślubny ją oczekuje; dlatego też zdala od zgiełku świata, chce się na łonie przyrody podzielić swą radością z kwiatami ubranemi w perły rosy i ptakami, które po polach pieśni serca wydzwaniają. I Małgorzata szuka samotności — lecz ona idzie tam się wypłakać, bo w ciężkiej chorobie leży jej narzeczony na łożu boleści, a lekarz żadnej już nie zostawił nadziei. Leleto pociesza przygnębioną rówieśniczkę i opowiada jej sen ubiegłej nocy, który nietylko dla niej ale i dla Małgorzaty zdaje się dobrze wróżyć. I ta ostatnia miała widzenie senne, ale smutne i ponure, jak smutną i zrozpaczoną była jej dusza. Trzy dni upłynęły, a oto wszystko się zmieniło. Chory przyszedł do zdrowia; radość opromienia Małgorzatę, stojącą już u celu a na jej szczęście rzuca tylko cień wiadomość, że narzeczony Lelety umarł w czasie morskiej podróży. Węzeł opo-

[1] Kreiten l. c. str. 464.

wiadania jest tu bardzo prosty, ale za to poemat aż lśni się od piękności bardzo szczęśliwych wyrażeń i obrazów. Uczucie unoszące się nad całością, nie przemienia się bynajmniej w ckliwą sentymentalność. Roumanille nie napisał nic bardziej czystego i wdzięcznego, a jedyny zarzut, jaki krytyka stawia, jest ten, że *materiam superabat opus*, że innemi słowy treść nie dorównywa ani w dziesiątej części wykonaniu; szkoda było tyle wysilenia się na przedmiot miły wprawdzie, ale ostatecznie bez większego znaczenia.

W następnym roku zwrócił się Roumanille znowu do więcej praktycznej strony życia i dał nam dwa dzieła, w których jako pisarz ludowy osiągnął to, co w tym kierunku wogóle osiągnąć mógł. *La part dóu bon Diéu*, „Cząstka Boga“ i *La campano mountado*, „Dzwon zawieszony“ są utworami na wskróś realistycznemi, ale w dobrem słowa znaczeniu, gdzie dowcipny autor, jak taranem uderza w nałogi ludu i niemiłosiernie chłoszcze lenistwo, pijaństwo i próżniactwo. Pierwszy z tych poematów jest apoteozą pracy, a osiągnął w nim Roumanille to, do czego z takim aparatem wiedzy w nowszych czasach przystępują uczeni. W kilku pieśniach „Cząstki Boga“ opowiada nam o wieśniaku, który znalazł skarb, wyprowadził się do miasta i tu niepomny przestróg kochającej żony, oddał się pijaństwu, stracił pokój duszy, zniszczył szczęście rodzinne, a natomiast znalazł pogardę u ludzi. Ale kiedy on tak obrał sobie cząstkę dyabła, obrała jego żona cząstkę Boga. Trochę pieniędzy ze znalezionego skarbu udało jej się zachować, temi ratuje męża i siebie w tych ciężkich czasach, praca dokonywa reszty. Marnotrawca przejrzał, upokorzył się przed żoną, został na nowo uczciwym człowiekiem a Bóg błogosławił tak, że nawet swego syna mogli Mu na księdza ofiarować.

W wyszydzaniu lenistwa i pijaństwa jest Roumanille niemiłosiernym, a mimo to z duszy jego rwie się krzyk boleści z powodu utraconego czasu, zdrowia, cnoty i zrujnowanego szczęścia rodzinnego, którego zanik przenikającemi do głębi duszy barwami maluje. Zakończenie dopiero uśmierza wzburzone serce, napawa nadzieją i wskazuje, gdzie szukać wytchnienia i ra-

tunku. W tym i w drugim mniej jednak już ważnym utworze, pojawiają się wszystkie razem cechy talentu Roumanille'a: obrazowanie, humor, wyzyskanie sytuacyi, zdrowy komizm, cięta satyra, język aż tryskający życiem, a na dnie wszystkiego litość i miłość.

Prace Roumanille'a z następnych lat, jak n. p. *Li flour di Sauvi*, „Kwiaty szałwii", cechują mniej więcej te same własności, jakieśmy w „Stokrótkach" poznali, niema więc potrzeby rozwodzić się nad niemi, wypada za to zatrzymać się jeszcze chwilę nad zbiorkiem kolend, ogłoszonych w roku 1856 p. t. *Li Nouvé*, „Kolendy". Ogłoszenie tych poezyj już z tego względu jest ważnem, że uroczystość Bożego Narodzenia jest tak związana z życiem ludu prowansalskiego i taką wśród niego odgrywa rolę, iż trudno o kraj, gdzieby między jednem a drugiem tak silny, wewnętrzny prawie zachodził związek. To też w czasie Bożego Narodzenia cała Prowansya rozbrzmiewa kolendami, które co do ilości i jakości chyba jedynie z polskiemi rywalizować mogą. Uroczystość grudniowa wszystkich znajomych, krewnych i przyjaciół razem łączy i opowiada im o tem małem dziecięciu, które się z czystej Dziewicy narodziło. Ton kolend prowansalskich jest tak rozmaity i zmienny, jak zmiennym jest charakter Prowansyi samej. Są to poezye śpiewne, malownicze prawie, proste a jednak bogate i ruchliwe, raz pogrążone w rozmyślaniu, to znowu kapryśne i czarujące swą lekkością, to opowiadają, to znowu apostrofują lub proszą, pełne wzniosłych myśli nie cofają się jednak przed trywialnością, pełne obrazów, czasem i aluzyj w zdrowym, jędrnym języku ludowym. Nie wszystkie nadają się do kościoła, ale przecież i poza kościołem modlić się można, a Pan Bóg mniej wymaga od modlitwy rozbrzmiewającej dźwiękiem kolend w gronie rodziny przy kominku w długi wieczór zimowy, aniżeli od modlitwy w domu Bożym do Niego zanoszonej. Chociaż więc kolendy prowansalskie, tak samo jak i nasze, tu i ówdzie za daleko zaszły, tak iż ich realizm zamienił się w trywialność a naiwność w śmieszność, to jednak z drugiej strony dają tyle piękna i uroku, że wynagradzają

inne braki. Główny rozkwit tych kolend datuje się od początków XVII. wieku, a ich ojcem i mistrzem był Saboly, który z Hugenota został katolikiem a nawet księdzem i dyrygensem chóru przy katedrze w Awinionie. Życie całe Sabolego († 1675) zeszło na tworzeniu kolend. „Komponował od razu słowa i muzykę. Gdy skończył jedną, zaczynał drugą. Co roku w grudniu wylatywały nowe kolendy z jego samotni, jak rój ptaków. Śpiewać o przyjściu Chrystusa było jedynem zajęciem tego zacnego człowieka, a ponieważ był zarazem i organistą pewnego kościoła w Awinionie, sam popularyzował swe pieśni, przygrywając pobożnemu zgromadzeniu, które je pełną piersią wyśpiewywało. Kolendy Sabolego nie są wprawdzie arcydziełami; w swej naiwnej wyobraźni widział on mury betleemskie, stajenkę, żłobek, wołu i osła i ze szczerem, gorącem sercem biegł powitać Boskie Dzieciątko, wzywając do niego cały świat, pasterzy i wiejskie dziewczęta... a tak zawiązywały się pogadanki między poetą i wieśniakami. Temat ten powtarza się bez końca. Żadnej abstrakcyi, żadnych konwenansów“ [1]. I dzisiaj po dwustu latach, jak za życia poety, dźwięczą jego kolendy po całym kraju, a swe znaczenie zawdzięczają na wskróś popularnemu sposobowi przedstawiania rzeczy, przeniesieniu czasu i miejsca tego najwyższego dramatu miłości do aktualnej Prowansyi. Na jednem im tylko zbywało, na pierwotnej melodyi, która w biegu lat wielkim uległa zmianom. Dopiero około r. 1855 odnaleziono w jakiejś prywatnej bibliotece awiniońskiej stary egzemplarz kolend Sabolego z nutami z jego czasów. Kiedy Séguin wydał je w bardzo starannem opracowaniu, było to zachętą dla nowych poetów, by temu polu pracy bliżej się przypatrzyli. Roumanille, Mistral i Aubanel ogłosili drukiem dawne pieśni Sabolego a oprócz tego każdy z nich sam nowe kantyczki tworzył. „Stary organista musiał zadrgać w swoim grobie“ [2].

Nas obchodzą tu jedynie *Li Nouvé* Roumanille'a. Podczas kiedy inni w tworzeniu swych pieśni Bożego Narodzenia trzy-

[1] S. René-Taillandier l. c. str. 822 i nast.
[2] S. René-Taillandier l. c.

mali się historyi i Pisma św., wszedł Roumanille wiernie w ślady poprzednika; to też kiedy idzie do żłóbka, nigdy nie wychodzi z Prowansyi. Stąd te dzieci, które śpieszą do stajenki, aby tam oddać Boskiemu Zbawicielowi kwiaty i owoce i gołąbków parę, które się bawią z osiołkiem i wylękłemi oczami przyglądają Dziecięciu i jego Matce, to wszystko dzieci prowansalskie, tak jak niegdyś pasterze Sabolego z Prowansyi pochodzili. Dlatego też stały się kolendy Roumanille'a ulubionemi pieśniami ludu a niektóre przeszły zupełnie do skarbu poezyi ludowej; tak n. p. mały poemacik *L'enfantoun*, „Dzieciątko", ze swą istotnie dziecięcą radością i dźwięcznym językiem, jak niemniej *La chato avuglo*, „Ciemna dzieweczka", z epigrafem św. Tomasza: *Praestet fides supplementum sensuum defectui.* To także młode prowansalskie dziewczę, biedne i nieszczęśliwe, bo ociemniałe, które prosi swej matki, by ją do stajenki zawiodła. „Mamo czemuż masz mnie tu samą zostawić? Ja się zapłaczę, gdy wy tam Dziecię kołysać będziecie". „Córko! i cóż ty przy żłóbku czynić będziesz? Twoje biedne oczka na ślepotę skazane. A jakąż to radość ci sprawi, gdy wieczorem powrócimy. Opowiemy ci wtedy wszystko cośmy tam widzieli". Dziewczę prosi jednak i błaga tak gorąco i usilnie, że się matka nad nią wreszcie lituje, prowadzi ją do szopki, a kiedy nieszczęsna do swego serca przyłożyła rączkę Boga-Człowieka, w tej chwili wzrok otrzymała. Łatwo więc zrozumieć, dlaczego kolendy Roumanille'a tak się przyjęły. Uszczęśliwiały i lały zarazem do serca strapionego pociechę, obudzając w niem wiarę i nadzieją, a przemawiając do uczucia prostego ludu i będąc w całem tego słowa znaczeniu popularnemi, potrafiły jednak uniknąć trywialności, uszlachetniały ducha i wskazywały na prawdziwe piękno.

* * *

Jak wobec tego wypadnie nasz sąd ogólny o literackich pracach prowansalskiego poety? Nie jest bogaty w inwencye, w dramatyczne zawikłania i w epiczne fabuły. Stąd też nie stworzył dzieła, któreby samo przez się zaznaczyło mu miejsce wybitniejsze w literaturze światowej. W poezyach lirycznych

lub liryczno-epicznych, a raczej w motywach tych poezyj, powtarza się i jest trochę monotonnym, ale błąd ten wynagradza pięknością formy i wyrażenia. Oryginalnym, bogatym i na wskróś swojskim staje się dopiero, gdy wkracza w sferę życia ludu, przedstawia jego zwyczaje z dodatniemi i ujemnemi stronami, chłoszcze występki i niezdrowe kierunki. Charaktery, które stworzył, osoby, które wprowadził, są z życia wyjęte i jakby z bronzu wykute, ich prototypy można było na żyjących wykazać, choć bynajmniej nie miał zamiaru stawiać pod pręgierz jakiejś znajomej osobistości. Dla swego humoru muszą te dzieła pobudzić do śmiechu i zatwardziałego hypochondryka. W niezdrową uczuciowość nie bawi się Roumanille nigdy, trywialność szczęśliwie ominął a podnosząc język i pomagając mu do niebywałego rozkwitu, nie zaniedbał i strony moralnej. W chwilach dowcipu i humoru, gdzie czytelnik komizmem rozkoszować się musi, rzuca od czasu do czasu głębokie myśli, wskazuje na życie jak na czas walki i zasługi, uczy jak na ziemi być szczęśliwym i innych uszczęśliwić. O poklask i aplauzy możnych tej ziemi nie dbał, opinia dla niego nie istniała — szedł tam i tak, gdzie i jak wiodło go jego przekonanie osobiste i zadanie, jakie pracom swoim naznaczył. Główną zaś jego zasługą jest, że pierwszy zwrócił uwagę na skarby języka prowansalskiego i postarał się o to, aby ten język wyższym służył celom i otrzymał obywatelstwo nie tylko między ludem, ale i w sferach piękna, w literaturze i poezyi. Cel ten osiągnął; literatura prowansalska zakwitła na nowo, lud czuł się nią na duchu podniesionym, a choć przewyższył go później Mistral a może i inni, jednak po wieczne czasy z imieniem jego będzie się łączyła nazwa „patryarchy prowansalskiego“, o duszy czystej jak kryształ o sercu gorącem jak słońce Prowansyi, o wyobraźni tak uroczej i poetycznej, jak niebo jego ojczyzny.

Ks. Wiktor Wiecki.

MURZYŃSKA CYWILIZACYA NAD NIGREM.

(Ciąg dalszy).

III.

Niestety największe miasto, z początku VIII. wieku datujący gród Songhoisów Gao zniknęło z powierzchni ziemi. Tak jak Sunni Ali zniszczył niegdyś Giddio nad jeziorem Debo, tak z kolei Tuaregowie stolicę jego zniszczyli. Dziś wpośród chat murzyńskich sterczy już tylko ciężka, kwadratowa wieżyca, grobowiec Askii Wielkiego, a zarazem cząstka meczetu wystawionego r. 1325 przez króla Mali, Kunkura Mussę, wracającego z pielgrzymki do Mekki. Oto wszystko co zostało z Gao. Szczęściem dla naszej ciekawości Dienne ocalało, dzięki warowności swego położenia. Otoczone naokół wodą, broniło się nadto stromością brzegów a ponad niemi grubością 3—5 metrowych murów, poza któremi drugie, wysokie wznosiły się mury. Na taką twierdzę dzisiejszych armatby trzeba; oblężenie wymagałoby znacznego wojska, czatującego na lądzie i wodzie; o ogłodzeniu przy ilości ówczesnych zbiorów trudno było pomyśleć. Diennenczycy też powtarzają z chlubą, iż jedyne w całym Sudanie miasto ich nie było nigdy zdobyte, ani zniszczone, ani złupione, a *Tarik è Sudan* potwierdza ich chwalbę. W czasie gdy Gao i reszta państwa poddawały się królestwu Mali, Dienne wraz z okoliczną ziemią Dienneri, zostało niepodległem. „Bitew było wiele. Liczą ich niespełna sto. Diennenczycy zawsze zwy-

ciężali. Ludzie Malinke po ostatniej porażce, mówili, że powrócą. Ale dotąd, w roku w którym piszę (1654), setna bitwa jeszcze nie wydana: ludzie z Mali jeszcze nie wrócili!"

Odnowiciel państwa Songhoi, Sunni Ali, więcej sił zużył na odzyskanie Dienne, niż na wszelkie inne wyprawy. Oblegał miasto, według jednych lat 7, według drugich „tylko cztery", tak długo, iż żołnierze jego zająwszy naokół ziemię Dienneri uprawiali ją dla siebie. Wtedy po raz jedyny w dziejach, Dienne poczuło biedę. Młody wódz miasta ofiarował kapitulacyę, którą król przyjął z radością, jego samego zaszczytami otoczył, obok siebie przy stole posadził i matkę jego pojął w małżeństwo. Miasto zaś zostawił nietknięte. Gdy z kolei przyszli najezdcy z Maroku, Dienne paktowało z nimi bez walki, podobnie też z Fulbejczykami i z Tukulorami. Ci ostatni bronili się przeciw Francuzom, ale snać gród nie ucierpiał od walki. Zdaje się również, iż wszyscy ci zdobywcy zadawalniali się nominalnem poddaniem i w szczupłej tylko liczbie osiadali w mieście, któremu pozycya na wzgórzu otoczonem wodą, nie pozwalała rozrastać się w przedmieścia zatracając pierwotne kształty. Marokanie wszakże posiadają tam po dziś dzień własną, acz niewielką dzielnicę; fort francuski zajmuje najstarszy punkt miasta.

Przybysze z nad Nilu nie znaleźli na stawianie swych gmachów marmuru ani alabastru — kamienia daleko szukać od Dienne. Natomiast istnieje wyborna glina, którą na sposób staroegipski ulepiają w foremce cegły podłużne, płaskie, o końcach zaokrąglonych. Wypalone raz i drugi żarzącem słońcem Sudanu, złączone wapnem i powleczone osobnym gatunkiem tynku, tworzą mur tak zbity, iż się wydaje wykutym ze skały i dzięki częstym odnawianiom tynku, wytrzymuje zarówno ulewne tutejsze deszcze jak i dżdżyste zawieruchy, t. zw. tornady, które w tych stronach są ustawicznym postrachem podróżnych. Zauważyć trzeba, iż podobny sposób budowania nieznanym jest poza granicami dawnego Songhoi: zwykle murzyni ulepiają swe chaty z ziemi zmieszanej z nawozem albo śmieciami; łatwo sobie wystawić co się z niemi dzieje pod deszczem! Glina dienneńska nadaje się wybornie do prostych i masywnych kształtów architektury

egipskiej, to też założyciele miasta mogli się ściśle trzymać wspomnień z ziemi ojczystej, w czem po dziś dzień potomkowie naśladują ich wiernie. Domy w Dienne noszą przedewszystkiem główną cechę egipskiej sztuki: skłonność do formy piramidalnej. Fakt ten uderza od razu tak w liniach całości jak i w szczegółach, mianowicie około bram. We wszystkich starych budowlach ściana zda się nieco pochylać w tył; okna rzadkie i szczupłe, dachy — w przeciwieństwie do okrągłych murzyńskich - płaskie jak na Wschodzie, zdobne u frontu wysokiemi trójgraniastemi blankami, przypominającemi pałac Ramzesa. Te blanki, choć często zdobią tylko środek fasady, nadają kamienicom wygląd niemal forteczny, wzmocniony jeszcze owym brakiem okien, zastąpionych na górnych piętrach otworami w suficie lub terasowym dachu. Egipcyanie nie umieli nigdy stawiać kopuły, nie znają jej też Diennenczycy.

Jest jeszcze inny charakterystyczny szczegół architektury egipskiej — pylon. I tego tu nie brak, podobnie jak tam, u wstępu gmachów. W Dienne stanowi zwykłą ozdobę fasad, na których widzimy po dwie po bokach bramy, czasem po cztery długie szkarpy, nieco rozszerzające się i wystające u dołu. Zrazu zdawałoby się, że służą ku wzmocnieniu ścian; miejscowi budowniczy twierdzą jednak, że to dodatek czysto dekoracyjny, i że domy mniej bogatych ludzi niemniej są silne choć pozbawione tego upiększenia.

Na niektórych fasadach pylony owe złączone są u góry gzymsem wystającym, przypominającym propylee. W całości budowle posiadają harmonię w rozmiarach i symetryę w ozdobach, którym niepodobna zaprzeczyć artyzmu, przyczem ogrom ich, powaga i ciężkość, nie mówiąc już o szczegółach, wskazują na sztukę egipską. Sam opis budowy tych domów zgadza się zupełnie z opisem domów miast Faraonowych, stawianych nie z kamienia, jak świątynie lub groby, lecz z niepalonej cegły, z dachem płaskim, wystającym lekko ponad ściany. Prócz tego są szczegóły istnie zdumiewające — cały system kanalizacyi domowej za pomocą rur z czerwonej kafli, zlewy na wodę, wreszcie na terasach urządzone ustępy ze spustami i fosami urządzo-

nemi wzorowo... Niektóre domy stoją od kilkuset lat, są starsze i nowe, wszystkie w jednym stylu, choć różne w szczegółach. W nowszych brama opatrzona bywa wielkim okapem, zasłaniającym od słońca i deszczu. Na wewnątrz dom posiada jeden lub dwa dziedzińce. Rzadkie okna lub otwory obramowane są czerwonemi kaflami, Marokanie usiłowali wprowadzić drewniane futryny do okien ale musieli je ze swego kraju sprowadzać. Próbowali też z dienneńskiej cegły budować swoje koronkowe pałace; materyał wszakże nie nadawał się: kruszył się i topniał pod falą deszczów zimowych. Trzeba się zatem było trzymać starego miejscowego zwyczaju.

Większość domów posiada monumentalne rozmiary, brak wszakże wielkiego, publicznego gmachu. Istniał wprawdzie pałac wielkorządcy miasta, ale ten już w XI. w., w chwili wprowadzenia islamu został zamieniony na meczet. Wspaniałość tego ostatniego głośną była nad Nigrem: mówiono, że był najpiękniejszym po Mekce. Był to ogromny kwadrat: 56 metrów długi i 11 m. wysoki, opatrzony na zewnątrz zwykłemi rzędami pylonów, a prócz nich grubemi szkarpami, wystającemi u dołu o trzy metry od ściany i zacieśniającemi się ku górze. Szczyt uwieńczony był trójkątnemi zębami, pomiędzy któremi sterczały wierzchy szkarp, podobne kształtem lecz wyższe. Podwójny rząd okien oświecał wielki zamknięty krużganek, biegnący naokół gmachu. Od strony zachodu, na wewnątrz murów, był obszerny dziedziniec, a za nim ciężka kwadratowa wieża minaretu, wchodząca w głąb wewnętrznej ściany, poza którą ciągnęła się równolegle z „fasadą świętą“ obróconą na wschód, właściwa świątynia. Nad tą, z terasy dachu wznosił się drugi minaret. Osobny mur biegł jeszcze dokoła całej budowli, z trzech boków o 5 metrów od niej daleki, od „świętej fasady“ zaś oddalający się na 20 m., zostawiając miejsce na cmentarz dla marabutów. Meczet wznosił się na najwyższym punkcie wzgórza, skąd majestatycznie nad całym grodem panował. Zbudowany z gliny, przetrwał on osiem wieków i stałby dziś jeszcze, gdyby w r. 1830 zdobywca miast Sudanu, król Fulbejczyków Szeiku-Ahmadu, nie był kazał go zburzyć. Co dziwna, to, że bezbożny ten rozkaz miał fanatycznie reli-

gijną pobudkę. Ahmadu przed osiągnięciem władzy spędził był lat kilka na naukach w Dienne, gdzie wówczas swobodnie było i aż do zbytku wesoło. Ubogi student, nie mogący zapewne brać w zabawach udziału, patrzał z najwyższem oburzeniem na rozpustę drugich, gorszył się, i słusznie, widząc przylegające do muru świątyni domy zabawy, gdzie *dolo*, trunek upajający i jako taki wzbroniony przez Koran, gęsto nocami spijano przy dźwiękach hulaszczej muzyki. Zdarzało się, iż tancerze i tanecznice zapędzali się aż na krużganki meczetu... Gdy zatem 25 lat później, Ahmadu, pobiwszy Rumasów stał się panem miasta, nasamprzód zabronił doń wstępu wszystkim cudzoziemcom, następnie, nietylko wymiótł wszelkie gniazda rozpusty ale mieniąc ją zbezczeszczoną — zburzył świątynię. Dziś istnieje z niej tylko pagórek ruin, otoczony grubemi murami, a taka jest tych starych murów twardość i moc, że jak od końca XI. w. wytrwały pod warstwą tynku, odnawianą corocznie, tak trwają od lat 70 bez tynku, wśród opuszczenia, deszczu i słońca. Szeiku-Ahmadu w miejsce starego wystawił meczet nowy i wielki ale goły, banalny, iście purytańskiej prostoty.

„Dienne — pisze stara kronika — jest jednym z największych punktów handlowych islamu. Tu sól z Thegazzy spotyka się ze złotem z Bundu. Przeto mieszkańcy wielkie zyskali bogactwa. Tu szczęście jest w ziemi. Z powodu tego błogosławionego miasta ludzie ze wszech stron spieszą do Tombuktu..." Przyczyny tej pomyślności są jawne. Dienne osiadło na południowo-zachodnim krańcu pierwotnego państwa Songhoi [1], pomiędzy rzeką Bani a Nigrem, ponad jednym z kanałów łączących obie te rzeki. Wodne drogi handlowe były dlań więc wyjątkowo korzystne. Ziemia Dienneri, istnie „egipska", użyźniana co rok silnym wylewem od końca września do grudnia, stała się bez wielkiego trudu jednym z krajów bogatego Sudanu najbardziej w płody obfitym, nadto zamieszkałym przez ludzi łączących starą cywi-

[1] Gao było na krańcu przeciwnym, bo północno-wschodnim. Tombuktu bliżej Dienne tylko więcej na północ.

lizacyę z niezmierną przedsiębiorczością. Podczas gdy inni murzyni od wsi do wsi kupczyli, w Dienne istniały wielkie „domy handlowe“ w europejskiem znaczeniu słowa, z takąż organizacyą wewnętrzną i sprężynami ruchu. Miały one filie w Tombuktu, stałych przedstawicieli po większych punktach handlowych, ajentów podróżnych pobierających tantyemę od zawartych przez się interesów. Na parterze domów urządzono ogromne składy towarów; tu gromadziły się worki z ryżem i prosem, naczynia z miodem, ogromne stosy masła *karité*[1], ryby suszonej, cebuli, pigmentów, arachidów[2], indygo, liści baobabu, pióra strusie, piżmo, słoniowa kość, czyste złoto, ołów z gór Humburi, sztaby wybornego żelaza wykopanego w Karaguana i ulanego tamże w zadziwiających doskonałością piecach; dalej bransoletki z marmuru, tkaniny krajowe bawełniane i wełniane, cienkie i grube, białe i farbowane, wielkie, przepyszne koce umajone deseniami w kolory czarny, żółty, miedziany i niebieski i różne inne przedmioty handlu, między któremi — także pod dachem — stał, choć w niewielkiej liczbie, żywy towar, niewolnicy. Dziwnem jest, że nie było specyalizacyi handlu: każdy sprzedawał co chciał, choćby najrozmaitsze towary. Wszystko to istnieje dziś jeszcze choć na małą skalę: nie darmo tędy przeszli Tukulorzy! Ruch na rzekach mniej żywy ale zawsze dziwnie odbijający od reszty Afryki. Łodzie kupieckie, najemne lub prywatne, zbudowane z tafli cedrowych lub hebanowych, pozszywanych silnie sznurami z konopi, miewają do 20 metrów długości na 3 szerokości, mierzą 20 do 30 ton i noszą ładunek, którego transport lądem wymagałby 1000 ludzi lub 200 wielbłądów. Przejazd na takim

[1] Masło *karité* jest zgęszczoną oliwą z drzewa *karité* czyli *butyrospermum;* świeże ma być wyborne, z czasem twardnieje zupełnie i jełczeje jak łój.

[2] *Arachidy* czyli pistacye ziemne są migdałkami rosnącemi na roślinie nizkiej na 30 ctm. Europejczycy wprowadzili ją do Afryki r. 1840 z Ameryki, gdzie bywa uprawianą w wielkiej ilości. Oliwa z arachid coraz bardziej zastępuje w handlu prawdziwą; do samego portu w Marsylii dowóz roczny wynosi 600.000 cetnarów migdałów. Ob. *Trente mois au Continen Mysterieu.c.* Paris-Didelot Str. 294.

statku płaci się na osobę z Dienne do Tombuktu 1500 kaurisów [1] czyli 2·50 fr.; za 3 franki można przesłać 1000 kg. towaru.

Użytek wielkich łodzi diennеńskich rozciągnął się z czasem na wszystkie porty Nigru, wraz z architekturą staro-egipską i wpływem handlowym. Pomimo, iż Gao nie Dienne było stolicą, Feliks Dubois w ślad za kronikami i ustną tradycyą, temu ostatniemu miastu przypisuje przewagę nad wszystkiemi innemi, a mianowicie nad Tombuktu. W Europie tylko o Tombuktu wiedziano, bo dotąd dochodziły karawany, wstrzymane siecią rzek i kanałów, zamykającą od północy wstęp do Sudanu. Wielbłąd, przywykły do piasków pustyni, nie znosi tu wilgotnego powietrza, nie znosi wodą nasiąkłych traw, na które za przybyciem rzuca się łakomie. Zresztą nie było po co kupcom z Północy zapuszczać się dalej; toż Dienne ściągnąwszy produkta własne i całego kraju, słało je wodą do swych tombuktuańskich kantorów. Wszak *Tarik* zaświadcza, iż „dzięki temu błogosławionemu miastu, ludzie ze wszech stron spieszą do Tombuktu...“ Na południe sława wielkiego songhojskiego grodu rozlegała się poza kraj Kongo do Atlantyku. Podczas gdy część jego handlu dążyła do granic Sahary, skąd ją karawany Maurów niosły nad morze Śródziemne, druga część szła w stronę przeciwną, na oceanu wybrzeża. Gdy pierwsi Europejczycy, kupczący między Beninem a przylądkiem Palmas, pytali skąd pochodzi złoto i inne produkta, które im sprzedawali murzyni, odpowiadano im zawsze: To pochodzi z Dienne [2]; że zaś murzyni wymawiali wadliwie, Europejczycy rozumieli G j e n n e i stąd poszła nazwa Gwinei, nadana całemu wybrzeżu równie jak przylegającej zatoce i monecie angielskiej, bitej pierwotnie z diennеńskiego złota.

Na miejscu czyste złoto diennеńskie sprzedaje się w kształcie pierścieni, jak niegdyś nad Nilem. Z nad Nilu również zachowała się cześć dla gołębi i dla krokodylów, zastąpionych tu odmianą bardzo do zwykłego krokodyla podobną. Ogromne, zie-

[1] *Kauris* jest muszelką używaną w całym Sudanie za drobną monetę. Ze złota dawniej wybijano *mitkale* wartości 15 franków.

[2] Według autora, miasto wyraźnie nazywa się D i e n n e a nie D ż e n n e, jak znajdujemy na niektórych mapach, z jakich młodzież nasza się uczy.

lone iguany, które w innych krajach murzyńskich zabijane są wszędzie dla mięsa, tu uchodzą za świętość, „bo tak ojcowie czynili“. Podobnie czczone są gołąbki, które gdzieindziej, nawet w Tombuktu, nadziewają na rożen...

Usposobienie ludności jest i było, zdaniem *Tariku,* równie jak Leona Afrykańczyka, bardzo łagodne, uprzejme i dziwnie życzliwe, jak na ludzi, których życiem jest handel. Toż świeżo nawrócony na islamizm założyciel starego meczetu o trzy rzeczy prosił Pana Boga a jedna z próśb brzmiała: by cudzoziemcy, którzy kraj swój dla niedostatku opuścić musieli, znaleźli w Dienne życie dostatnie i łatwe! Świeżo zaś jeden z kupców diennеńskich, tłumacząc autorowi rolę ajentów handlowych, dodawał: „Ludziom bez majątku powierzamy towary, aby je sprzedawali po kraju. Część zysków do nich należy. Przy dobrej woli mogą po pewnym czasie sami zostać kupcami. U nas wstydem jest żebrać, bo każdy może tu zarobić na życie. Choć najbiedniejszy może się wzbogacić, byle pracował...“ Praca zaś, to wyroby i handel. W rzemiosłach znać ślady dawnych korporacyj; murarze i kowale np. przekazują swoją sztukę z ojca na syna i podlegają naczelnikom cechu, ci zaś biorą wraz ze starszymi urzędnikami miasta udział w naradach nad publicznemi sprawami. Tkaczami i to bardzo dobrymi są mężczyźni; widzieliśmy już, iż sami jak w Nubii ubierają się biało, ale na wywóz farbują tkaniny swoje na różne barwy. Rynek targowy, jedną stroną otwarty na meczet, z trzech innych otoczony jest rodzajem Sukiennic, nawpół krytą galeryą, pod filarami której mieszczą się kramy. Wielkie w nich miejsce zajmuje sklep rzeźnika, w pobliżu którego stoją piece, kędy każdy może natychmiast usmażyć lub upiec zakupiony kawał baraniny, byle przyniósł własne swe drzewo, a tego znów dostarcza tuż obok siedząca przekupka. Coś nakształt *grillrooms* londyńskich. Po domach autor zastał drewniane łóżka wraz z przynależnemi doń wygodami trudnemi tu do wymienienia a jeszcze trudniejszemi nieraz do znalezienia po domach zajezdnych naszych polskich miasteczek. Kształty naczyń glinianych, zwłaszcza wielkich czar, używanych w miejsce półmisków, przypominają malowidła z mau-

zoleów egipskich. Natomiast pismo egipskie znikło zupełnie: arabszczyzna zatarła nawet wspomnienie...

IV.

Statki dienneńskie dwadzieścia dni płyną do Tombuktu. Feliks Dubois pożegnawszy z żalem mieszkańców i mury Dienne, dziwnej i tem dziwniejszej, że żywej relikwii przeszłości, puścił się w drogę na swej dawnej łodzi, pchanej znów przez Bozosów, równie obcych w tym kraju jak on. Z busolą w ręku lawirował wśród labiryntu wysp i wysepek, kanałów, wielkich łożysk i jezior utworzonych w trzech deltach Nigru między Dienne a Tombuktu, kierując się śladami innych łodzi po ruchomej powierzchni traw. W siedem dni, błąkając się nieraz, przebył delty i spokojnie jął płynąć korytem Nigru mijając liczne kupieckie transporty i rzeczne porty: Korienze, Sarefere i Dare-Salam, wśród których dwie reduty francuskie strzegą zbrojno nowej zdobyczy. Poza Sarefere widok wybrzeży, gdzie dotąd zdały się przesuwać krajobrazy z Syryi albo Normandyi, zmienia się zwolna: w miejsce rozkosznych scen widzimy obraz dramatu natury — walki Nigru z pustynią, życia ze śmiercią. Coraz to mniej świeżych szmatów zieleni, coraz częściej piaszczysty wał iskrzy się białością pod słońcem. Tombuktu już blizko. Niger płynący dotąd prosto na północ, słabnie i skręca ku wschodowi. Po lewym brzegu kupy piasku mnożą się i rosną, łańcuchem białych pagórków schodzą ku rzece. Tam w dali, o kilkanaście godzin za miastem [1] walka się kończy. Nagle prawie, po prawej ręce widnokrąg się rozszerza, a na wschód, wprost przed jadącym połyska wielka przestrzeń wód: to Niger ustępując Saharze łamie się i niemal w kącie prostym zawraca ku południowi. Zanim jednak opuści plac boju, olbrzym zwalczony raz jeszcze zadaje cios wrogowi: wysyła wielką odnogę Dai wprost ku pustyni. Na tę skręcają łodzie do miasta jadące i to po rzece, to po kanałach, to wre-

[1] Dubois pisze: *à quelques heures de la ville* — musi to jednak być lekki sposób wyrażenia się — na wszystkich bowiem mapach zakręt Nigru naznaczony jest dość daleko na wschód od Tombuktu. Chyba że mapy się mylą?

szcie po ziemi zalanej płyną wśród gmatwaniny zieleni i piasku. Nakoniec obraz zarysowuje się jaśniej: długi grzbiet piaszczystego wału, nad nim, na jednym końcu kwadrat murów z powiewającym sztandarem — to fort. Na drugim końcu, na jasnem tle nieba, wysoki, czarny krzyż. Poniżej kubiczne lepianki i słomiane szopy schodzące do brzegu: to port tombuktuński, Kabara.

W basenie pełno dienneńskich łodzi; z brzegu dochodzi gwar tłumu. „Od pierwszej chwili dwie rzeczy biją w oczy i nigdy później nie wychodzą z myśli: piasek i Tuaregowie. Piasek — bo gdzie stąpisz, noga twa w nim się zanurza; Tuaregowie — bo choć ich nigdzie nie widzisz, wszystko o ich obecności ci świadczy...“ W porcie niezwykła mnogość i uzbrojenie straży, eskorta, bez której tłum przybyłych podróżnych nie śmie z portu do miasta wyruszyć; sam ów krzyż wreszcie stojący tu nietyle jako godło co jako przestroga: oznacza bowiem grób, pod którym leży z 19-tu towarzyszami porucznik okrętowy Aube, zamordowany o parę kilometrów od fortu. Napadnięty przez bandę rozbójniczą, nieostrożny młodzieniec dał się w pogoni pociągnąć ze swoimi żołnierzami pomiędzy kępy piaszczyste, skąd żaden z nich nie wyszedł żywy.

Kabara ucierpiała dużo podczas epoki zawichrzeń; tak tam jednak rojno i gwarno, że nie od razu spostrzega się zniszczenie. Ale ten ruch trwa tylko podczas wezbrania wód, w miarę opadania ich łodzie muszą się zatrzymywać w dwóch poprzednich przystaniach. Kanał bowiem, który Askia Wielki wykopał z odnogi Dai do samej Kabary, aby tam port wojenny utworzyć, od dawna piaski zasnuły. Od Kabary 8 kilometrów trzeba iść do Tombuktu. O wyznaczonej godzinie gromada mężczyzn, bab, dzieci i osłów z przeróżnym ładunkiem puszcza się pod osłoną tyralierów z nabitą bronią. Droga wiedzie szlakiem błyszczącego piasku wzdłuż gaju skarłowaciałych drzew, dalej trzeba przejść kanał w bród wśród krzyków, wierzgania osłów, ratowania pakunków spadających do wody; nieład taki, iż gdyby Tuaregowie napadli, kto wie, czyby żołnierze zdołali swój konwój ocalić. Za kanałem tłum uspokaja się nieco i przyspiesza pochód skupiony około strzelców, jak pisklęta około kury. Aż wreszcie

zbita gromada rozluźnia się i rozbiega w prawo i w lewo, szlak wiedzie w górę na goły wał piaszczysty, z ponad którego niespodzianie przedstawia się oczom Tombuktu.

I tu znów ciemna, podłużna masa na tle lśniącej ziemi i lśniącego nieba, linie surowe i proste. Dokoła również surowość i prostota, ziemia prawdziwie pustynna, naga, falista. Na tem morzu piasków zwierzęta i ludzie zdają się mrówkami, jedno miasto przejmuje wielkością i majestatem. W miarę jak się zbliżasz widnieją na piasku zbielałe kości, obnażone zębem dzikiego zwierza szkielety koni, osłów, wielbłądów — zwykły ślad drogi w pustyni. Z mglistej, jednostajnej masy miasta poczynają wykrawać się pojedyncze kształty, trzy wieże w równej od siebie odległości strzelają w górę, terasy domów piętrzą się zwolna, pierwsze złudzenie wielkiej wstęgi murów opasującej miasto niknie, ustępując wrażeniu głębokości ogromnej. Czy przyjdziesz od brzegów Nigru, czy od Sahary, od wschodu czy od zachodu, zewsząd też same przedstawią ci się kontury, toż samo wrażenie ogromu i siły.

A wewnątrz? Niestety, za pierwszym krokiem obraz się zmienia jak dekoracya w operze: zewsząd upadek, ruina, zniszczenie. Zda się jakoby wczoraj nieprzyjaciel miasto opuścił zostawiając za sobą śmierć. U wstępu domy puste, walące się, o zapadłych powałach widnych przez wyszczerbione ściany, kupy gruzów, cegły, drewna, miejsca puste, gdzie niedawno stały domostwa. Dalej nie lepiej. Na placu targowym, jednym z placów Tombuktu, kilkanaście kobiet siedzi obok drobnych kupek towaru — to wszystko. Tu i ówdzie znać, że wśród tych ruin ludzie się gnieżdżą, zatykając dziury deskami lub słomą, inni sporządzili sobie słomiane szopy niby w murzyńskiej wiosce. Wydaje się, jakoby miasto po dniach zniszczenia opustoszało zupełnie i jakoby dziś dopiero wylękli mieszkańcy wrócili obozować do dawnych swych siedzib. Niektóre części dzielnic wszakże stoją jeszcze całe, tu mury odrapane, miejscami dziurawe, bramy tylko w najlepszym stanie, silne, grubemi gwoździami nabite i starannie zawarte. Kształty ich do dienneńskich podobne, tylko że stylowe ozdoby rozsypują się w proch.

Pałac szeika El Bakay, przyjaciela Bartha, sterczy ścianami, przez które przegląda słońce, otoczonemi wzgórzami gruzów.

Dubois szedł wciąż wśród ruin: zdawało mu się, że to nieprawda, że to majaczenia złego snu, że musi znaleźć w olbrzymim grodzie choć jeden kąt zdrowy, nietknięty zniszczeniem. Szukał daremnie. W głowie czuł zamęt: „Byłoż to owo Wielkie Tombuktu, potężne, bogate, stolica handlu Sahary i Sudanu? Tombuktu święte, uczone, pochodnia Nigru, o którem pisano, iż przyjdzie czas, gdzie będziemy teksty greckich i łacińskich klasyków poprawiać na chowanych w niem rękopisach? Toż tu nie widać nawet szkółek pod gołem niebem, jakich pełno po ulicach w Dienne...“ Biedny, zawiedziony podróżnik rozpaczał nawet o znalezieniu schronienia, chciał już rozbijać namiot na pustem miejscu, gdzie żaden chwiejący się mur nie groził mu śmiercią. Ale służący jego, dawny senegalski strzelec, zaprawiony do wszelkich niebezpieczeństw w walkach ze strasznym Samori, zakrzątał się po mieście i wrócił mówiąc, że znalazł mieszkanie, poczem wprowadził z tryumfem swego pana w głąb jednego z walących się domów. Tu Dubois zdumiał się: w pośrodku nie było śladu zniszczenia. Dwa przedpokoje, dalej dziedzińczyk, na który otwierały się trzy izby mieszkalne z korytarzem prowadzącym na drugi dziedziniec i schodkami na terasę dachu. Całość czysta, chłodna i dobrze utrzymana, zupełnie niespodziewana wśród ruin — za cenę 25 fr. miesięcznie.

Przerażony na wstępie widokiem miasta, Dubois nie spostrzegł był, jak wiele ludzi po tych smutnych ulicach się snuje, ludzi o twarzach białych i czarnych, o typach berberyjskich, arabskich, murzyńskich, songhojskich. Nie spostrzegł długich korowodów jucznych wielbłądów — wszystko to było widocznie ożywione i czynne, ale ubogie, nędzne, jakoby jednostajną powłoką zniszczenia zasnute. Uspokoiwszy się nieco, rozesłał listy polecające dane mu przez znaczniejszych obywateli dienneńskich i wnet mieszkanie jego napełniło się gośćmi. Wiedziano, iż przybywał szukać materyałów do „nowego Tariku“, więc nie szczędzono mu wiadomości. Przez kilka dni nie wychodził z pokoju, zajęty spisywaniem słów, które płynęły z ust ludzi starszych, poważ-

nych, pod ścianami w krąg izby siedzących. Dowiedział się rzeczy ciekawych, całych dziejów wielkiego miasta dopełniających opowieść *Tariku*, dziejów potęgi i bogactwa, ucisku i niedoli, grozy, przed którą pozostałe życie ukryło się w głębi popękanych murów.

Tombuktu jest znacznie młodszem od Dienne i początków swoich nie wywodzi z nad Nilu. Zawdzięcza je koczowniczemu szczepowi Maksara (odnodze Tuaregów) z rasy berberyjskiej, który tu u krańców pustyni założył około 1100 r. obozowisko, skąd wychodził paść swoje trzody. Zwolna obóz zamienił się w osadę: „wędrowcy odpoczywali tu — mówi *Tarik è Sudan* — potem ludzie poczęli osiedlać się stale. Za wolą i mocą Bożą ludność rozmnożyła się. Karawany z Północy i Wschodu dążące do królestwa Mali i do Ganaty, zatrzymywały się tu dla odnowienia zapasów. Utworzył się plac targowy. Dawne ogrodzenie z suchych cierni zastąpiono wysokim płotem plecionym. I stało się tu miejsce spotkania między tymi co przybywają w pirogach a tymi co na wielbłądach“. Tombuktu wszakże wtedy dopiero wyrosło, gdy doń przybyli wielcy handlarze z Dienne: „Tuaregowie byli ojcami miasta — mówili Duboisowi mieszkańcy — ale Dienne jest jego matką, bo je wykarmiło, wyhodowało i uczyniło zeń plac handlowy przywożąc doń różnorodną kupię“. Dienneńczycy nauczyli ich budować z cegły, wznieśli dokoła mur, postawili meczet, który potem został „meczetem katedralnym“. Następnie jakaś bogata pani wybudowała drugi, zwany Sankore, który stał się meczetem uniwersyteckim. Wtedy już Tombuktu dorównało a wkrótce prześcignęło Ualatę, dotychczasowy punkt zborny karawan Zachodniej Afryki i siedzibę uczonych i bogatych ludzi z Egiptu, Fezu, Tuatu i innych stron. Z tych wielu przeniosło się do Tombuktu w XIII. wieku, gdy wyprawy zaborcze królów Mali siały niepokój w Zachodniej Afryce. W XIV. wieku Ualata zagasła — cały jej splendor jaśniał obecnie w Tombuktu.

Tuaregowie Maksara, założyciele pierwotni, powrócili byli w pustynie, uważali się jednak za panów miasta i haracz wybierali ogromny. Tombuktuanie wezwali przeciw nim zdobywcę

państwa Songhoi, króla Mali Kukur-Mussę, i ten, opanowawszy gród, zbudował w nim pałac i wieżę na meczecie, a odjeżdżając wielkorządcę swego zostawił. Malinkesi jednak nie umieli miasta bronić; król z Mossi złupił je i spustoszył (około 1331), Tuaregowie napadali bezkarnie, aż wreszcie Malinkesów wyparli. Szczęściem było, gdy po 40 latach srogiego ucisku, Ali Zdobywca przyłączył Tombuktu do państwa Songhoi (1469). Odtąd zaczęła się epoka wzrostu, pomyślności, spokoju. Złoty wiek Askii Wielkiego przyniósł i tu złote owoce. Tuaregowie ukryli się w dal przed regularnem wojskiem królewskiem, miasto rozrosło się w dwójnasób, pobudowano nowe meczety, odnowiono stare, wykopano ów dobroczynny kanał do samej Kabary. Wtedy też, pod nowym napływem Songhoisów, żywioł arabski poniekąd ustąpił; mowa songhojska zapanowała wraz z songhojskimi kupcami na placu targowym; arabska zaś uciekła do szkół, stała się mową kapłanów i uczonych. Sława uniwersytetu Sankore rozniosła się po arabskich krainach, ściągając nauczycieli z Maroku, Fezu i Egiptu. I tu znów zlanie się cywilizacyi arabskiej ze staro-egipską sprowadziło rozkwit cudowny, epokę największej tombuktuańskiej świetności trwającej od 1494 do 1591 r. Impuls żywotności był wtedy tak silnym, iż dziś z pod popiołu ruin iskry jej jeszcze błyskają, blask był tak wielki, iż choć Europa nie miała do brzegów Nigru dostępu, przecież promienie jego przedzierały się ponad Saharę i krainy Maurów, tworząc tajemniczą aureolę nad murami nieznanego grodu.

Jak w Dienne tak i tu zwycięstwo Marokańczyków było hasłem upadku. Wśród krwawych zamieszek w całej Zachodniej Afryce ruch handlowy zamarł, życie umysłowe przygasło. Po krwawo stłumionem powstaniu r. 1594 większość uczonych została wywiezioną. Następnie przyszedł straszliwy głód a r. 1618 dżuma. Nawet po uspokojeniu Sudanu, gdy Tombuktu stało się rezydencyą namiestników marokańskiego rządu, pomyślność już nie powróciła. Bunty wojskowe, niezgoda baszów, wzrastająca dezorganizacya w państwie zdobywców mąciły spokój. Swarzący się baszowie łupili i poniewierali mieszkańców, lud prosty dzielił się i burzył za jednym albo za drugim, stawiał po ulicach ba-

rykady i rabował domy bogatych. Jedna z tych rewolucyj w r. 1716 trwała cztery miesiące, w czasie których plac targowy trawą zarastał. Nie dziw, iż wielu opuszczało miasto; nie dziw też, iż napady band berberyjskich ponowiły się, coraz czętsze, coraz bliższe i coraz groźniejsze. W r. 1770 Tuaregowie, owi straszni męże, o twarzach zasłoniętych jak u tureckich kobiet, wtargnęli do miasta i dopiero po czterech miesiącach opuścili je za ogromnym okupem. Rumasowie już nie umieli się bronić: wyciskali tylko na mieszkańcach złoto, konie i szaty, aby się niemi okupywać napastnikom. Przez ten czas Tombuktu upadało stopniowo, domy waliły się, dzielnice w XVI. wieku wyrosłe przestały istnieć. Zabór Fulbejczyków, który na czas jakiś przyniósł ratunek, zastał miasto w tychże samych rozmiarach lecz w gorszym stanie, jak niegdyś Ali Zdobywca. Chwila wytchnienia była wszakże zbyt krótką. Z kolei królowie fulbejscy musieli się synom pustyni opłacać, a gdy władza ich w r. 1861 upadła pod mieczem wodza Tukulorów Omara El Hadż, nastał czas najsroższego ze wszystkich ucisku i nędzy. Tombuktu stanęło bezpańskie, bezbronne. Wtedy to zbójeckie bandy Tukulorów i Tuaregów pohulały do woli, zostawiając za sobą śmierć i zniszczenie, w jakiem dziś miasto widzimy. Oto co Feliksowi Dubois opowiedziano na miejscu:

„Widziałeś ich, tych zawoalowanych ludzi (Tuaregów), odzianych ciemno, z piersią i grzbietem opancerzonym amuletami z czerwonej i żółtej skóry? Teraz są wobec nas skromni. Ale przed waszem przybyciem suche ich postacie sunęły po ulicach dumnie i hardo z dzidą żelazną w ręku. Co roku składaliśmy im haracz w soli, odzieniach i zbożu. Wodzowie ich z drużyną bywali ugaszczani obficie. W pustyni karawany i łodzie na rzece musiały im się opłacać, ale im to nie starczyło, a dla nas było jeszcze niczem! Od początku roku do końca traktowali nas jak jeńców, jak niewolników. Co chwila wpadali kupkami i rozpraszali się po mieście. Każdy pospiesznie zawierał drzwi, ale oni bili w nie dzidami gwałtownie, tak, że im trzeba było otwierać. Wtedy nie bacząc na właścicieli rozsiadali się w najlepszych izbach, zabierali łóżka i poduszki, domagali się

brutalnie miodu i mięsa, a wychodząc, na podziękowanie zabierali coś i spluwali na gospodarza... [1] Na targu porywali wszystko, co im się podobało; kupcy tedy mieli rozstawione czaty, aby skoro się ukażą, zamknąć swe kramy. Na ulicach łupili przechodniów. Jeśli kto miał piękną, haftowaną suknię, odzienie nowe, buty lub sandały, zdzierali je. Podobnie obdzierali kobiety z klejnotów, paciorków, korali... Dawniej uczono tu dzieci przed mieszkaniem nauczycieli, dzieci bawiły się na dworze ale Tuaregowie porywali je i oddawali dopiero za okupem..."

Z opowiadania widać, jak strasznie lata niedoli podziałały były na ludność, skoro wobec pojedynczych garstek nieprzyjaciół stała bezsilna, spłoszona jak stado owiec przed wilkiem. Zapytani, czy nie próbowali się bronić, odpowiedzieli, iż ktokolwiek opierał się któremu z Tuaregów, opłacał to życiem... Co prawda była to ludność przeważnie kupiecka, od wieków odwykła od walki. Większość tedy, mianowicie klasa średnia, wolała ratować się ucieczką. Pozostali tylko ubodzy, niemający nic do stracenia i bogaci, którym ubytek konkurentów w interesach handlowych dawał zyski równoważące stratom, jakie mogli przez Tuaregów ucierpieć. Aby jednak tych strat uniknąć, poczęli się kryć ze swem mieniem; piękne swe białe lub błyszczące turbany [2] zamieniali na byle jaką czapkę lub szmatę. Stare trzewiki zastąpiły buty z cienkiej, czerwonej skóry haftowanej jedwabiem; w miejsce poważnych szat olśniewającej białości, w miejsce haftowanej, frendzlą obszytej opończy okryli się odzieniem kusem a brudnem. Kobiety na ulicę zasłoniły się płaszczami z ordynarnej tkaniny. Szkoły przeniesiono z ulicy do domów. Przestano nawet tłuc ziarno w moździerzach, aby hałasem Tuaregów nie zwabiać. Mieszkania również przybrały wygląd ubogi i nędzny a raczej zachowały ślady zniszczenia na zewnątrz, podczas gdy

[1] Czyż nie tak samo postępowali żołnierze niemieccy we Francyi, nie mówiąc już o obecnych barbarzyństwach Europejczyków w Chinach? Toż Tuaregowie wydają się barankami wobec wychowańców naszej cywilizacyi!

[2] Autor parękroć wspomina o ślicznej materyi wyrobu dienneńskiego, błyszczącej jak mika i używanej przeważnie na turbany.

wewnętrzna strona była naprawioną i utrzymaną starannie. Na zewnątrz bramy tylko strzegące ukrytych skarbów, stały się przedmiotem troski gospodarza: ubito je z twardego drzewa i okuto żelazem, a poza ich osłoną poczęto interesa traktować po cichu, ukradkiem, w czasach wolniejszych od natręctwa prześladowców. Gość zanim był wpuszczony do domu musiał wyliczyć swe imię, swój stan lub rzemiosło i powody, dla których przychodził.

I tak zrobiło się, iż pod powłoką ruin zachowało Tombuktu tajemne życie, które dziś, gdy przed karabinem francuskim zbladła zmora zbójów pustyni, pocznie zapewne coraz to bardziej wychodzić na jaw a może i na nowo zakwitnie. Toż obok rycin przedstawiających zniszczenie i gruzy, Dubois podaje już rysunek domu odnowionego zupełnie z zachowaniem dawnej architektury songhojskiej.

Życie w Tombuktu złożone było z trzech głównie żywiołów: handel, zabawa i nauka. Kupiectwo wydaje się dla tutejszego ludu koniecznym składnikiem powietrza, bez którego nie mogliby oddychać. To też wpośród nawałnic on stosunkowo najmniej ucierpiał, bo przytłumiony gwałtownie podnosił się za każdą chwilą wytchnienia. Podobnie dzieje się i teraz. Dubois, dzięki rekomendacyom z Dienne, wtajemniczony w podskórne życie Tombuktuan, znalazł w niejednym domu, za odartą i popękaną fasadą, stosy towaru za kilkadziesiąt tysięcy wartości, te same mniej więcej przedmioty co w Dienne tylko z większą przymieszką towaru ludzkiego i europejskich wyrobów. Handel niewolnikami prowadzony był tu dawniej na wielką skalę przez handlarzy z Mossi, obecnie przycichł; być może, iż pod francuskim rządem ustanie a w zamian przybędzie znaczniejszy napływ europejskich wyrobów. Te oczywiście rosną w cenę, w miarę jak dalej docierają w głąb kraju; podczas gdy produkta Środkowej Afryki dochodzą nieraz w Tombuktu do ceny trzykroć wyższej, niż były płacone na miejscu. Zazwyczaj karawany wychodząc od brzegów morza Śródziemnego obładowują tylko połowę swoich wielbłądów; reszta przeznaczoną jest pod sól Obecnie kopią ją nie już w Thegazzie ale w Taudenni, bliżej

od Tombuktu. Istnieje w zachodniej Saharze długie pogłębienie zwane El Dżuff, zawierające na całej przestrzeni kopalnie soli. Taudenni, nawet w oczach mieszkańców pustyni, jest jednem z najsmutniejszych miejsc na świecie. Niemasz tam ani drzewka, ni trawy, po wodę słodką trzeba chodzić o cały dzień drogi. Niema tu nawet ziemi, tylko cienka warstwa piasku, pod którą jest sól. To też mieszkania i meczet zbudowane są ze soli i nakryte skórą wielbłądzią; żywność przynoszą karawany — daktyle z Północy, ziarno i inne zapasy z Sudanu. Sól leży niemal na powierzchni ziemi w cienkich warstwach, które niewolnicy przedsiębiorców tombuktuańskich rzną na tafle 1·20 m. długie, na 0·40 m. szerokości. Im taka płyta grubsza jest i bielsza, tem wartość jej wzrasta. Na drogę bywa pospinana rzemieniami z niewyprawnej skóry i naznaczona cyframi właściciela, do których w Tombuktu, zanim ją puszczą w kraje murzyńskie, dodanem bywa żywemi farbami, nakreślone wśród arabesków, imię któregoś z wielkich ludzi jak Abd-El-Kader, Omar El-Hadż, patron miasta Sidi Jahia i·t. p. Zupełnie tak, jak u nas na pudełkach zapałek umieszczają Kościuszkę lub Mickiewicza. Jak wielkim jest handel solą świadczy sam fakt, że w Tombuktu osobny cech zajmuje się przez rok cały znaczeniem i owiązywaniem płyt. Ceny wahają się według mniej lub więcej bezpiecznych stosunków w pustyni. Był czas — mówią starzy — gdzie płytę płacono 5 do 10 franków; podczas pobytu autora dawano 30—50 fr. Wielcy handlarze z Dienne zamawiają ich naraz 400 do 500 sztuk; w Dienne już wszelako płyta kupiona w Tombuktu za 30 fr. sprzedaje się po 60 fr., w Sansanding do 80 fr., i tak cena wzrasta aż do jeziora Czad. Boć też w Sudanie łatwiej o złoto niźli o sól: nieraz murzyn odmówi sprzedaży jakiego przedmiotu za pieniądze lub inną zamianę, ale za szczyptę soli go odda. A jest to sól twarda jak kamień, niedostępna niemal wilgoci; mniejsze tylko ilości przewożone bywają w workach.

Ilość i siła karawan zależy też od spokojności kraju. Wielkie karawany liczą 600 do 1000 wielbłądów i 300 do 500 ludzi, a wtedy wartość ładunku dochodzi do miliona franków. Przy-

bywają głównie w grudniu i styczniu, w lipcu i sierpniu. Małe, złożone z 60—100 wielbłądów przychodzą co tydzień, o każdej porze roku. Były czasy gdzie rocznie ściągało 50.000—60.000 wielbłądów; w rok po zajęciu przez Francuzów naliczono ich tylko 14.000. Karawany zatrzymują się na osobnem przedmieściu. Stąd niegdyś można było w czasie wezbrania wód przenosić od razu towar na łodzie; obecnie kanał Askii W. jest już tylko mniejszym czółnom dostępny. Dopływa on naprzeciw wielkiego meczetu do jednej z wielkich sadzawek, napełnionych infiltracyą podziemną. Z tych jedne służą do prania i do pojenia wielbłądów; z największej zaś czerpaną bywa woda do picia i do kąpieli; osobny strażnik czuwa, aby nikt nie wskoczył do stawu lub go nie zanieczyścił: jako łaźnie służą pod gołem niebem wanny wkopane w ziemię. Dokoła stawów są ogrody warzywne; za czasów Askiów stały tu palmy, migdały i inne drzewa ozdobne, wieńczące miasto zielenią: wycięli je Marokańczycy na łodzie wojenne a nowych nikt nie zasadził. Tombuktuańczyk nie zwykł sam produkować, on tylko przerabia produkta drugich, jest tkaczem, krawcem, hafciarzem, przekształca cienkie tutejsze skóry — prawdziwy safian, na poduszki, woreczki, czerwone lub żółte haftowane buty, jest przedewszystkiem kupcem, ajentem handlowym i oberżystą. Każdy zamożniejszy posiada kilka domów, gdzie wynajmuje przyjezdnym mieszkania, służy im przytem radą i pośrednictwem w sprawach pieniężnych, oprowadza ich, przedstawia, ostrzega. Prócz tego są osobni, oficyalni faktorzy gotowi do wszelkiej posługi.

Nietylko wszakże o interesach myślano za dobrych czasów w Tombuktu. Dziś jeszcze niejeden stary Arab wspomina z uśmiechem wesołe hulanki, których byłby się wstydził w kraju rodzinnym, ale które uchodziły na sucho w dalekiej podróży, wśród napływowej, zmiennej a rozbawionej ludności w Tombuktu. Działo się tu to, co się dzieje dla marynarzy w odległych miastach portowych. Zresztą obyczaje w Sudanie odznaczały się zawsze lekkomyślną, dziecinną niemal płochością, gorszącą surowszych wyznawców Koranu. Widzieliśmy, iż Askia Wielki nakazał kobietom zasłony a przedewszystkiem przyzwoite odzienie,

ustanowił nawet policyę strzegącą obyczajów z surowością niezmierną. Reforma ta jednak, najpierwsza z jego ustaw, upadła. Dziś oczywiście trudno jak dawniej bawić się wśród ruin, kobiety jednak nie są zamknięte jak u innych muzułmanów, ani jak u innych murzynów, obracane w niewolę. Wśród pań miejscowej arystokracyi (bo gdzież jej niema) wiele jest przystojnych, o rysach dość cienkich i wielkich błyszczących oczach. Głowy ich uczesane misternie, strojne w cekiny, przepaski lub złote ażurowe kuleczki, pierś w mnogie rzędy bursztynu i korali, cała postać udrapowana w cienkie tkaniny arabskie, miejscowe lub europejskie. Pracę około dzieci i domu wykonywają pod okiem ich niewolnicy, one same spędzają czas na czytaniu, paleniu fajki, odwiedzinach i graniu na rodzaju skrzypców o jednej strunie.

Bogatsi kupcy dawali często obiady proszone, gdzie „spożywano baraninę, gołąbki, kuskus, daktyle, orzechy kola, ciasta z miodem, pito herbatę *(sic!)* a niekiedy i kawę. Zapraszano uczonych i ludzi umiejących pięknie opowiadać, każdy przynosił wieści z kraju, z którego przybywał. I tak w Tombuktu wiedziano nietylko co się działo w Maroku, Tripoli i nad Czadem ale nawet wypadki z Europy...“ Nie wszystkie atoli uczty były równie niewinne; wielu traciło na nie majątki, niejeden przybywszy z bogatym ładunkiem przehulał całą jego wartość nim wrócił.

Jedną z przyczyn, które Tuaregom ułatwiły zniszczenie miasta, jest kruchość materyału, z jakiego było stawiane. Niema tu bowiem kamienia, ani pięknej dienneńskiej gliny, więc nietylko domy ale i meczety ulepione są z ziemi. Dlatego, choć w tymże stylu co w Dienne, są architektonicznie o wiele niższe — nawet wielki meczet Sankore nie może się szczycić pięknością. Raz jeszcze — wina materyału, nie twórców. Ci cały swój artyzm przenieśli w sferę umysłową: Tombuktu stało się „mózgownicą Sudanu“. Nie darmo przysłowie sudańskie mówi: „Sól przychodzi z północy, złoto z południa, srebro z ojczyzny

białych, lecz słowa Boże, rzeczy nauki, dzieje i piękne powieści znajdziesz jedynie w Tombuktu".

Zdanie to zawiera prawdę zupełną — jeżeli się patrzy z wybrzeża Nigru a nie z wysokości Bolonii, Salamanki lub nawet szkół arabskich Syryi, Hiszpanii lub Egiptu. Autor nie znalazł w Tombuktu żadnego nieznanego nam utworu, mogącego się równać z arcydziełami znanych pisarzy arabskich. Przyznaje wszakże, iż był to jeden z wielkich punktów zbornych muzułmańskiego naukowego świata, „młodsza siostra uniwersytetów Kairu, Korduby, Fezu i Damaszku". Widział kolekcye starych rękopisów, niedozwalających żadnej wątpliwości w tym względzie.

Koran, dzięki Maurom, dotarł już w wieku IX. do krajów murzyńskich, a z nim powoli rozszerzył się właściwy mu rodzaj oświaty. Gdziekolwiek tam stanął meczet, wraz wkoło niego skupiali się napływający z cywilizowanych krajów arabskich duchowni słudzy Proroka, współzawodnicząc z pogańskimi wróżbitami. Z tymi walka nie była łatwą, zwłaszcza u ludu. Widzieliśmy wszakże jak wcześnie w Ualacie zakwitły nauki, jaki wpływ marabuci wywierali w sprawach publicznych na władców songhojskich. Toż nawet wyklęty przez nich Sunni Ali czcił tych, co mu nie włazili w drogę, a wielki Askia Omar był ich najgorętszym rzecznikiem. Stali się więc potęgą tem większą, iż zrazu nie wmieszani w ludność miejscową, utworzyli kastę kapłańską z czasem wzmocnioną a wkońcu zastąpioną przypływem żywiołów krajowych. Syn dziedziczył po ojcu pobożność — prawdziwą lub urzędową, dziedziczył naukę oraz przywiązane doń intraty i przywileje. W państwie Songhoi zazwyczaj dziesiąta część podatków szła na meczet i jego sługi, oni mieli monopol nauczania młodzieży, tłumaczenia praw i sprawowania urzędów. Zwano ich *faki, szeik* albo *marabut*: pierwsza nazwa oznacza wyłączniej prawnika, dwie ostatnie kapłana i uczonego.

Gdy Ualata, pierwotna twierdza Islamu na pograniczu ziemi Czarnych, ustąpiła godności Tombuktu, ono z kolei stało się tą warownią, siedzibą „najznaczniejszych z ludzi uczonych i świętych". Tu schronili się mędrcy i poeci z pomiędzy Maurów

wygnanych z Hiszpanii, przynosząc zdobycze Grenady i Kordoby; tu karawany z północy niosły nowe światła z Fezu, Maroku i Tunisu, pielgrzymki do Medyny i Mekki odświeżały stosunki z Kairem. Tombuktu zatem stało się największym zbiornikiem wiedzy arabskiej i mogło najbogatsze biblioteki utworzyć. „Był to istny kantor, nietylko towarów, ale języków i nauk, które stąd rozchodziły się wraz z tkaninami i solą... Mowa arabska stała się w Sudanie dyalektem międzynarodowym, mocą którego mogły się porozumiewać różnojęzyczne ludy". Wtedy już kasta marabutów liczyła wiele rodzin czysto krajowych, w których dziedzictwo pracy duchowej wyszlifowało umysły w sposób zadający najzupełniejszy kłam teoryi o niższości rasy murzyńskiej.

Uczeni tombuktuańscy mieli przedewszystkiem sławę świętości. O jednym pisze kronika, że całe mienie rozdał na biednych i żył w domu bez drzwi, by każdy, o każdej godzinie mógł żądać jego usługi; o drugim, że trawił noce na modlitwie w meczecie, o innym, że spędzał życie w postach, zajęty opieką nad sierotami; przytacza też przeróżne widzenia i mniej lub więcej bałamutne cuda, psujące wrażenie sprawione opisem cnót tych ludzi dobrej woli. Na grobach ich stawiano rodzaje kapliczek a były tak czczone, iż niejeden zbrodniarz w chwili zgonu żałujący za grzechy, kazał się w ich pobliżu pochować, aby sobie modlitwy świętego zapewnić.

Świętość w Tombuktu chodziła często w parze z wielką nauką i szaloną pracą. Opowiadają, iż słynny tu z pobożności Sidi Jahia był równocześnie uczonym profesorem i kadim. Wiedza jego miała być niemal powszechną, ludzie cisnęli się doń tłumnie po błogosławieństwo i rady, wielu żyło według przepisanej przezeń reguły. Mianowany kadim zreformował urzędy, wypierając z nich nadużycia; jako profesor nowy duch wzniecił w naukach. Dwa pokolenia ludzi zacnych i mądrych wyszły z pod jego kierunku. Zmarł w r. 1462 po 50 latach nauczycielstwa. Podobnie uczony Mohamed ben Abu Bekr nauczał od świtu do późnej nocy, prócz dwóch godzin, które codzień spędzał u kadego dla spraw swoich klientów: jedynym dlań odpoczyn-

kiem była trzykrotna modlitwa w meczecie... W Sankore wolno było nauczać każdemu, byle pozyskał dostateczną liczbę słuchaczów; przybywało też wielu mistrzów z daleka, ale nie każdy dorastał zadaniu: „Pewien sławny prawnik z Hedżazu, przybywszy w tym celu do Tombuktu, zastał miasto pełne uczonych sudańskich. Nadto zauważywszy, że go przewyższają w nauce praw, ujrzał się zmuszonym przenieść do Fezu i tam nauczał". Przeciwnie niektórzy Sudańczycy jeżdżący do Kairu, Fezu i Tunisu dla rozszerzenia swych pojęć, „zadziwiali największych uczonych islamu głębokością swej wiedzy", nieraz więc osiadali w Egipcie i Maroku i tu zaczynali nauczać.

Biblioteki w Tombuktu były liczne, zawierające, jak z pozostałych katalogów widnieje, dzieła zwłaszcza religijne, prawnicze i gramatyczne. Obok nich nie brakło pism literackich wierszem i prozą, skreślonych w owym fantastycznym rodzaju właściwym Arabom. Dalej były dzieła historyczne i astronomiczne obok medycyny i geografii. Zbiory te, liczące 700 do 2000 tomów, bywały gromadzone z zamiłowaniem największem, przyczem zbieracz niekiedy przepisywał dzieło, gdy go nie mógł nabyć. Co dziwniejsza, to, że je potem chętnie pożyczał, choćby na nieoddanie. Książki rzadkie płacono drogo: pewne dzieło, którego od 20 lat szukano, zostało sprzedanem za 40 złotych groszy czyli 400 fr. Dziś oczywiście biblioteki te wielce zmalały, ale każdy człowiek zamożny miałby sobie za wstyd nie posiadać choć kilku książek - nawet gdy ich nie czyta.

Napływ uczniów był wielki. Przybywali tu królewicze songhojscy i synowie tuaregskich wodzów, a obok nich biedacy, których utrzymywali wysocy urzędnicy i kupcy. Poprzednio każdy musiał przebyć niższą szkołę miejscową, jakich dziś pełno w Sudanie, gdzie uczyli go czytać, pisać (na drewnianych deszczułkach z powodu drogości papieru) i powtarzać na pamięć niektóre sentencye Koranu. Potem tłumaczono mu cały Koran z dodatkiem komentarzy religijnych i historycznych, a gdy dojechano do końca, rodzice chłopca, którzy tygodniowo składali dotąd nauczycielowi drobną zapłatę, wydawali dlań obiad, na który spraszali przyjaciół i rodzinę. Z kolei następowało dla

ucznia czytanie różnych dzieł, poczem dopiero udawał się do Tombuktu na dalsze nauki. Kursa odbywały się zazwyczaj pod arkadami meczetu Sankore, czasem w domu profesora lub jego ogrodzie, czasem też w jego wiejskim dworze, choćby oddalonym od miasta. Wartość udzielanych nauk była oczywiście względna: nauka Koranu i filozofii stała wysoko, natomiast matematyka nie miała osobnego wykładu a w medycynie najgrubszy empiryzm zmieszany był ze zwykłemi zasadami hygieny. Wszystko to zabierało czas nieskończony: „Zatrzymaliśmy się trzy lata nad objaśnieniem *Teshilu* imana Maleka — pisze pewien autor z Tombuktu — aby się doskonale wtajemniczyć w subtelności gramatyki arabskiej...“ (system tombuktuański snać pokrewnym był z naszym dzisiejszym). Za to wykształcenie fizyczne było nietylko zaniedbane, ale co gorzej zakazywano dzieciom zabawy i ćwiczeń fizycznych. Wytwarzano tedy ludzi żyjących tylko głową, niezdolnych do brania inaczej jak umysłowo udziału w życiu społecznem. Kończący szczęśliwie nauki dostawał dyplom, coś jakoby doktorski, bo dozwalający mu drugich nauczać, wstępował w szeregi marabutów tj. szedł na profesora, sędziego, prywatnego sekretarza, pisarza miejskiego lub przepisywacza książek. Ci co nie zyskali dyplomu ratowali się wyrobem i sprzedażą talizmanów zwanych w Sudanie *grisgri*, tłumaczeniem snów, wróżeniem a wreszcie czarami.

Za czasów songhojskich paru marabutów wyszło na ministrów; powaga ich zaś i wpływ były tak wielkie, iż sułtan Maroku El Mansur uznał za konieczne, chcąc własną władzę ustalić w Sudanie, wywieźć najznaczniejszych do swego kraju. Jeden z tych, murzyn Achmet-Baba, umiał był sobie zjednać taką sławę w Maroku, iż sułtan musiał na prośbę swoich uczonych wypuścić go z więzienia, a wtedy powiedziono go w tryumfie do meczetu, gdzie zaczął nauczać retoryki, religii i prawa wśród natłoku i entuzyastycznego zapału słuchaczów. Żył tak przez lat 12 otoczony hołdami Maurów i Arabów; dopiero po śmierci El Mansura pozwolono mu wrócić do Tombuktu, gdzie życie zakończył r. 1627. Dzięki głównemu jego dziełu *El Ibtihadż*, zawierającemu życiorysy uczonych, możebnem jest odtworzyć

umysłowe dzieje Tombuktu. Achmet-Baba jest najpopularniejszym, najbardziej u swoich i u Arabów znanym pisarzem Sudanu — jemu na ślepo przypisanem bywa każde dzieło niewiadomego autora. Tak np. przypisano mu autorstwo tylekroć tu wspomnianego *Tarik é Sudan*, dziejów Sudanu, których Barth pierwszy odkrył niektóre fragmenta. Feliks Dubois zaś odnalazł całość a zarazem dociekł, iż twórcą dzieła był urodzony r. 1596 Tombuktuańczyk Abderrahman Sadi, uczony z dziedziczności i z zamiłowania. Był przez sześć lat imanem meczetu w Dienne, potem profesorem w Tombuktu i sekretarzem marokańskiego baszy, stanowiącego wówczas główny rząd w Sudanie. Podróżował niemało, wszędzie chlubnie przyjęty, czczony zarówno przez współziomków jak popierany przez zdobywców, miłujący nadewszystko swe miasto rodzinne. „*Tarik é Sudan* — pisze Dubois — nakreślony jest według jasnego i logicznego planu, według wszelkich zasad kompozycyi literackiej. Niczego tu nie brak, nawet przedmowy". Smutną jest, bo tchnącą poczuciem upadku całej świetności, jaką opisał. Zaczyna się od słów:

„Chwała Bogu jedynemu, któremu wiadomo wiele waży każda perła na ziemi!"

Tarik doprowadza nas do r. 1653. Styl jest w nim jasny, prosty, bez wschodniej przesady. Dubois miejscami porównywa go z Tacytem, a sądząc po przytoczonych przezeń ustępach, zdaje się — że nie przesadza. Jest przytem bezstronnym, moralnym, szlachetnym, dalekim od fatalizmu mahometan. Czuć, że człowiek, który to pisał nie był Arabem, choć wyrósł na cywilizacyi arabskiej. Jest to dzieło wykształconego murzyna i murzyni znają je nad brzegami Nigru i Czadu; toż Barth znalazł fragmenta jego w Gando a Dubois posłyszał o niem na wstępie do Senegalu... Późniejsi dziejopisarze naśladując *Tarik* Abderrahmana spisali kolejno historyę Sudanu, aż prawie po nasze czasy — ale nie tu miejsce, aby o wszystkich mówić. To, co nam danem było dojrzeć z tajemniczych dotąd dziejów, wystarcza, aby wzbudzić zajęcie dla tej cywilizacyi nieznanej, której fala wzniosła się tak wysoko i tak upadła, jak inne, podobne fale w Assyryi, Egipcie, Meksyku...

Francuzi opanowali Tombuktu niemal bez walki. Pułkownik Archinard zdobywszy Dienne, wysłał tam natychmiast trzy niewielkie kolumny wojska, z których najmniejsza, jadąca wodą pod dowództwem porucznika Boiteux, pierwsza przybyła. Było w niej 19 Europejczyków i garstka *laptotów* — czarnych senegalskich majtków. Tuaregowie wyszli do walki, ale za pierwszą salwą wystrzałów uciekli; mieszkańcy zaś poddali się niemal z radością. Boiteux oszańcował się czekając na przyjście sił lądowych. Tuaregowie wrócili oblegać go, lecz teraz Tombuktuanie stanęli po jego stronie przeciw swym ciemiężycielom. Gdy Francuzi przybyli, zaczął powracać spokój. Tuaregowie zeszli do roli zbójów, napadających po drogach dla łupu, są to jednak pomniejsze ich szczepy, i zda się, że gdyby nie współzawodnictwo Anglii i Francyi, podszczuwające wciąż to jednych, to drugich, byłoby może do tej pory cicho i bezpiecznie w Sudanie. Autor wyraża nadzieję, że gdy to nastąpi, Tombuktu, dzięki swej wyjątkowej pozycyi geograficznej, podźwignie się i zakwitnie na nowo. Dziś krzyże nad grobami poległych żołnierzy nie są tu jedynemi znakami zbawienia. W ślad za zdobywcami przybyli Biali Ojcowie pod wodzą O. Hacquart, dawnego komendanta Braci Zbrojnych kardynała Lavigerie. I wnet wobec meczetów wzniósł się kościół Najświętszej Panny, która lepszą, niż Sidi Jahia, będzie miastu patronką.

(Dok. nast.)

T. Wodzicka.

MYŚL ŚREDNIOWIECZNEJ SZTUKI.

(Ciąg dalszy).

III.

Tam, gdzie ponad kopuły kościołów i piętra domów, ponad dachy wielkich gmachów publicznych i kolejowych dworców, ponad niedbale rozrzucony, różnorodny kram zabudowań przedmiejskich strzelają dziś w niebo, rozpierają się dumnie i wznoszą pamiątkami, wiekiem, ogromem majestatyczne i poważne wieże katedry, tam wstecz o sześć albo siedem stuleci całkiem od dzisiejszego odmienny roztaczał się widok.

Jak okiem sięgnąć wysypało się dokoła jedną wielką, szeroką ławą nieprzeliczone, ruchliwe, skrzętne ludzkie mrowisko. Tysiące rąk uzbrojonych w dłuta i młoty pracuje bez wytchnienia, niezmordowanie, uparcie, wytrwale, obrabia potworne bryły kamienia, z nadludzkim wysiłkiem wydarte ziemi z wnętrza skorupy, przywleczone o stajań wiele, bezkształtne, olbrzymie, posłuszne jednak rękom i woli człowieka, co postanowił zakląć w nie myśl swoją na długo — na całe wieki...

Miarowo, na komendę, podnoszą się w górę, raz po raz, i opadają ciężkie topory, obciosują cały las dębów i sosen, wyrabiają potężne bierwiona i belki, składają w rusztowania, przygotowują na więźby dla dachów.

Zewsząd długim, wyciągniętym daleko sznurem wloką się, noga za nogą, ciężarne wozy, naładowane po brzegi kamieniami,

drzewem, wapnem, worami zboża — budulcem i żywnością, wszystkiem co potrzebne do wzniesienia domu Bożego, do podtrzymania sił tych, którzy go wznoszą.

Szczególne to wozy! Sprzężaj ich składa się z ludzi różnych wiekiem i płcią, urodzeniem i stanowiskiem w świecie, mieniem i oświatą. Każdy z nich bierze kolejno w pokorze, w głębokiem milczeniu, na kark i piersi szle tej dziwnej ludzkiej uprzęży, zakłada się ochoczo do wozu jak pociągowe bydlę; ramię szuka ramienia, ręce krzyżują się wpół ciała szukając oparcia, muskuły się naprężają, wyciągają postronki, i wóz rusza dalej pomału, zapadając skrzypiącemi kołami w głębokie wyboje drogi, waży się to w jedną, to w drugą stronę za każdą nierówną pochyłością gruntu, grozi wywrotem, podtrzymywany co chwila setkami rąk, luzem idących towarzyszów pobożnej karawany, gotowych zawsze na czas śpieszyć z ratunkiem.

Za wozami ciągną tłumy starców, kalek, kobiet i dzieci: potężna armia błagalna, upraszająca u Boga modlitwą błogosławieństwo na rozpoczętą pracę rąk wielu, na szczęśliwe jej ukończenie. I oni mają również swój udział, część swoją, w tej ogólnej krucyacie co wyludniła okoliczne miasteczka i wioski, pchnęła niesłychanym zapałem i uniesieniem lud wierzący do pracy na chwałę Bożą.

Nad całem tem wielotysiącznem zbiorowiskiem ludzkiem rozlało się dziwne jakieś milczenie i spokój, jakiś uroczysty nastrój skupienia i modlitwy. Słychać jeno przeciągłe razy toporów zagłębiających się w miazgę drzewa i krótki, suchy odgłos kamieniarskiego dłuta. Czasami ziemia zajęknie pod ciężarem wyważanej żelaznemi drągami z woza bryły kamiennej lub odwiecznego tramu; czasem zadźwięczą na chwilę zwięzłe, przelotne słowa wydanego rozkazu...

Za to gdy już nastanie chwila spoczynku, kiedy strudzone dłonie upuszczają narzędzia pracy, a śpieszą obetrzeć kroplisty pot z czoła, wtedy wszystko co żyje rzuca się na kolana, potężnym jak ryk grzmotu, albo szum morza, chórem pobożnych pieśni uderza w niebiosa, we łzach i szlochaniu poczyna jawnie wyznawać grzechy. Waśnie ustają, wrogowie rzucają się wza-

jemnie w objęcia, wszystkich łączy tylko myśl jedna, jedno pragnienie — zgotować Majestatowi Bożemu wspólnemi siłami dzieło wielkiej miłości i wielkiej ofiary.

Tak powstawały wspaniałe średniowieczne katedry — dzieło nie pojedynczych ludzi, z których każdy poczynał w swej głowie ideę budowli od całokształtu aż do najdrobniejszych szczegółów, by następnie plan jej na świat wydać skończony, dojrzały, jak Jowisz Minerwę, a powierzyć go obojętnym, najemnym robotnikom do wykonania. Nie. Średniowieczny kościół to zbiorowe dzieło wierzących tłumów, dzieło miłości, ofiary i natchnienia poszczególnych jednostek, przynoszących wespół z innymi w darze, każda na co ją stać było, czy zasób prawdziwego talentu, czy odrobinę mienia, czy może tylko modlitwę, zapał lub zdrowych rąk dwoje, oddając się w zupełne, dobrowolne usługi tym, których Kościół wyznaczył za kierowników, a kładąc w tę pracę własną, ofiarną, cząstkę swej duszy, swej wiary, swojego życia.

Dziś, ludziom patrzącym ustawicznie na bezbarwną, jałową prozę teraźniejszego życia, na wyrachowaną, zimną praktyczność, co oblicza zysk z każdego grosza w kieszeni, ocenia każdy krok, każdą sprawę według *business* i materyalnej korzyści, którą przynosi. obraz, jaki nam przedstawiają wieki średnie w chwilach tworzenia najwspanialszych arcydzieł swej sztuki, wydać się może przesadnym, nieprawdopodobnym, całkiem może nawet fałszywym.

Tak jednak było. To co mówią o budowie średniowiecznych kościołów akta kapitul, dokumenta erekcyjne, kroniki i zapiski współczesne, to samo już starczy w zupełności do obalenia gołosłownych twierdzeń takiego Wiktora Hugo lub Viollet-le-Duca.

Historya budowy katedralnego kościoła w Chartres, od połowy XII. do końca XIV. wieku, to żywy protest przeciw fantastycznym, tendencyjnym teoryom o emancypacyi umysłów średniowiecza od wszelkich religijnych wpływów, o wrogiem, buntowniczem stanowisku, jakie społeczeństwa miały naówczas przeciw Kościołowi przybierać.

Pod datą 1144 roku pisze Robert z Thorigny, opat klasztoru Mont-Saint-Michel: „Tegoż roku, ujrzano po raz pierwszy w Chartres, jak wierni poczęli zaprzęgać się do wozów naładowanych kamieniami, drzewem, zbożem, wszystkiem co mogło służyć do budowy katedry, której wieże wzniosły się jakby cudem. Kto tego tam nie widział, ten nic podobnego nigdy nie ujrzy; nie tylko tam jednakowoż, lecz w całej niemal Francyi, Normandyi i na wielu innych miejscach“[1].

W r. 1859 członek Instytutu, Leopold Delisle, znajduje między rękopisami paryskiej Biblioteki Narodowej długi list Haimona opata Saint-Pierre-sur-Dive, pisany 1145 r. do mnichów prioratu Tutbury w Anglii[2]. „Kto kiedy widział — brzmią słowa listu — u wszystkich przeszłych pokoleń, kto słyszał kiedy, by despotyczni władcy, książęta, potężni świata panowie, nadęci zaszczytami i mieniem, by mężowie i niewiasty urodzeniem szlachetni, uchylali swe dumne i wyniosłe głowy, zaprzęgali się postronkami do wozów, jak juczne bydlęta, zwozili wino, zboże, oliwę, wapno, kamienie, drzewo i wszystkie rzeczy niezbędne dla pożywienia robotników oraz dla wzniesienia kościoła? Co jednakże dziwniejsza, iż pośród tej ciężkiej pracy, gdzie czasem więcej tysiąca ludzi, mężczyzn i kobiet, zaprzężonych jest do jednego wozu... tak głębokie panuje milczenie, iż nie usłyszysz by jednego słowa, by najmniejszego szeptu. Gdy zatrzymają się w drodze, nic nie obije ci się o ucho prócz jawnego wyznania grzechów i modlitwy błagalnej o przebaczenie. Tam, na głos księży, którzy przepowiadają pokój, nienawiści zostają stłumione, usunięte niesnaski, odpuszczone długi, a zjednoczenie serc przywrócone“.

Chartres staje się centrem, do którego ze wszystkich zakątków Francyi poczynają ściągać coraz liczniejsze pobożne pielgrzymki. Z tego ogniska wiary i ofiarności zapał udziela się pątnikom, powracającym w strony rodzinne z silnem postanowieniem naśladowania we własnych dyecezyach tego, czego

[1] Pertz, *Scriptores Germanici*, t. VI.

[2] Drukowany w *Bibliothèque de l'École des chartes*. Sér. V, t. I.

tam byli świadkami. Stolice biskupie, opactwa poczynają rywalizować, iść o lepsze, ubiegać się o piękność, wielkość, wspaniałość wznoszonych u siebie świątyń. Organizują się nowe falangi tej pobożnej milicyi, walczącej z największemi trudnościami ochotnie, byle tylko zapewnić Bogu na ziemi godne Jego Majestatu przybytki: zaciągają w swoje szeregi tych tylko, których godnymi uznają zająć w nich miejsce.

„Nasi dyecezyanie — czytamy w liście arcybiskupa Hugona z Rouen, pisanym pod tąż samą datą, co list poprzedni — otrzymawszy od nas błogosławieństwo, udali się aż na miejsce (do Chartres), czyniąc zadość swym ślubom. Poczem, w podobny sposób, poczęli schodzić się do swego macierzystego kościoła w naszej dyecezyi, po naszych biskupstwach, z tem postanowieniem, iż nikt do ich grona należeć nie może, kto wprzód grzechów nie wyznał i nie podjął pokuty, kto nie złożył wprzód gniewu i nienawiści, kto nie odmienił dawnej niechęci w zgodę i pokój trwały. Poczem, jednego z pomiędzy siebie obrawszy na wodza, pod jego rozkazem w pokorze i milczeniu ciągną wozy własnemi ramiony: a ofiarę tę swoją czynią nie bez wielu łez i biczowań" [1].

Co chwila, jakaś nieprzewidziana przeszkoda, jakaś katastrofa niespodziewana, paraliżuje i udaremnia nadludzkie wysiłki tej zapamiętałej pracy niestrudzonych tysięcy. W Amiens, po spaleniu katedry w 1220 r., w sześćdziesiąt dwa lat później ukończoną zostaje nowa, największa we Francyi. Kościół opactwa Saint-Denis, wzniesiony przez Sugera 1144 (data konsekracyi), ulega zniszczeniu skutkiem szalonej burzy w 1230 r., lecz wnet zostaje gruntownie przebudowany i wykończony, bo już w r. 1281. W Cantorbery r. 1174 pożar niszczy doszczętnie chór, transept i kaplice katedry: w ciągu lat pięciu (1175—1180) kościół zostaje z gruntu odbudowany. 1185 r. trzęsienie ziemi rujnuje sklepienia i mury katedry w Lincoln: jest to jakby tylko pożą-

[1] Hugonis Rothomagensis episcopi, *Epistola ad Theodoricum Ambianensem episcopum*. Patr. lat. t. CXCII, col. 1133.

daną sposobnością do tego, by wznieść niebawem na starych fundamentach o wiele od poprzedniej okazalszą i piękniejszą.

W Chartres, za biskupstwa Fulberta, w r. 1020, katedra spalona po raz trzeci z kolei, odbudowywana z tak wielkim trudem, jakeśmy widzieli, w połowie XII. stulecia, z końcem tegoż staje się po raz czwarty, tym razem z całem miastem, pastwą płomieni.

Zdawałoby się, iż doświadczeni nieszczęściem mieszkańcy opuszczą ręce w zniechęceniu, lub, co najmniej, pomyślą wprzód o zapobieżeniu własnej nędzy i niedostatkom. Dzieje się wręcz przeciwnie — rzecz godna najwyższego podziwu, jakiej następne czasy nie ujrzą: cała troska, całe staranie pogorzelców zwraca się do katedry; każdy bez namysłu oddaje pieniądze, sprzęty co tylko zdołał wynieść z płomieni; możniejsi poświęcają dochody lat kilku, biedniejsi resztę pozostałych zasobów i mienia, bo chcą, bo postanawiają, z większą okazałością, jak przedtem kościół z gruzów podźwignąć[1]. Jak mrówki, które przerwaną sobie pracę z jednakiem zawsze, wytrwałem rozpoczynają staraniem, tak w tem wierzącem mrowisku ludzkiem średniowiecza każda przeszkoda, zda się, zdwaja jeno energię i zapał. I powtarza się znów to samo, co miało już miejsce przed pół wiekiem, tylko że tym razem w większych jeszcze rozmiarach. Całe parafie, pod wodzą swoich proboszczów, z wozami ładownemi materyałem budowlanym i prowizyą, kolosalne pielgrzymki, organizowane w najrozmaitszych dyecezyach, śpieszą z ratunkiem nie dają się ani wyprzedzić, ani zastąpić w osobistej pomocy.

Nigdzie nie znajdziemy podobnych kart jak „w Poemacie o cudach Matki Bożej w Chartres“, współczesnym utworze pieśniarza Jana Marchant[2].

„Wszyscy ludzie z tej miejscowości, (Pithiviers w dyecezy orleańskiej) duchowni i świeccy, wzruszeni pożarem w Chartres sporządzili własnym kosztem ogromny i mocny wóz i wyłado-

[1] Bulteau, *Monographie de la Cathédrale de Chartres*, t. I, c. 8. Chartres, 1887.

[2] Jehan le Marchant, *Poème des Miracles de Notre-Dame de Chartres*. Édit. Duplessis. Paris, 1855.

wali go pszenicą, którą chcieli dostawić do „fabryki" w Chartres. Wszyscy się zaprzęgli do niego: i zaraz pierwszego dnia, stanęli opodal od Puiset [1]. Mieszkańcy Puiset, wielcy i mali, mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy wyszli wszyscy z miasta, by zobaczyć pielgrzymów i śpieszyć na ich spotkanie. Gdy tedy ujrzeli ich zmęczonych i wyczerpanych, rzekli im: Dajcie nam wasze naszelniki, pomożemy wam i za was powleczemy wasz wóz. Wam potrzeba spoczynku; my zaś jesteśmy wypoczęci i cali. Pielgrzymi z Pithiviers odrzekli: Przystać nie możemy na wasze żądanie: sami nasz wóz zawlec pragniemy, nie chcemy bowiem nic utracić z naszej pielgrzymki; dziękujemy wam przeto za waszą pomoc" [2]. Jest to tylko jeden z faktów, któremu podobnych daje nam „Poemat o cudach" bardzo wiele.

Obraz, jaki nam przedstawiała w wiekach średnich *Fabrica ecclesiae*, pozwala jedynie zrozumieć, skąd społeczeństwa ówczesne, pokawałkowane feudalnym systemem, utrudniającym wszelką akcyę wspólną, wszelką koncentracyę kapitałów, stanowiącym przeszkodę w skierowaniu ich do jednego danego celu, skąd społeczeństwa te zdobyć się mogły na olbrzymie wydatki, jakie pociągało za sobą wznoszenie podziwianych przez nas arcydzieł.

Bo powstawała ich, w krótkim stosunkowo czasie, moc wielka. Sama tylko Francya, w ciągu lat dziewięćdziesięciu (od 1180—1270 r.) wystawiła osiemdziesiąt katedralnych kościołów i blizko pięćset w różnych opactwach! Wydelegowana w 1840 r. komisya, pod przewodnictwem Lassusa, obliczyła kosztorys katedry w Chartres, gdybyśmy ją dziś chcieli postawić, na 125 milionów franków: zaś wszystkie kościoły stolic biskupich i opactw Francyi, w ciągu niespełna jednego stulecia zbudowane, przedstawiały wartość przeszło pięciu miliardów! [3]

Wydatki pokrywała ofiarność panujących, kleru, stanów szlacheckiego i mieszczańskiego, bezinteresowność majstrów i ro-

[1] Miasto w kantonie Janville, departamencie d'Eure-et-Loir.

[2] *Poème des miracles*. Chap. *D'un miracle qui avint au gens de Péviers en Gâtinois.*

[3] Bulteau. Op. cit. t. I. c. 10.

botników. Hojność ówczesna dla kościołów chwilami graniczyła niemal z rozrzutnością.

Przy położeniu kamienia węgielnego w kościele opactwa Saint-Denis, w r. 1140, w chwili gdy chór intonował antyfonę: *Lapides pretiosi omnes muri tui*, król Ludwik VII., zdjąwszy z palca pierścień zdobny wielkiej wartości kamieniem, rzucił go we fundamenta mającej się wznieść niebawem świątyni; zaczem, otaczający go dworzanie, wszyscy poszli za jego przykładem [1]. Ceną tych, wmurowanych we fundamenta klejnotów, możnaby było, jak świadczy kronikarz opactwa, nowy kościół postawić [2]. Podobnież, jak niesie tradycya, postąpili w XIV. wieku kanonicy katedralni w Chartres, gdy do roztopionego kruszczu, z którego miano odlać dzwon, służący następnie do zwoływania zgromadzeń kapituły, wrzucili wielką ilość srebra [3].

Wszelako li tylko niezwykła solidarność, z jaką wszystkie, bez różnicy, warstwy ówczesnego społeczeństwa brały udział w kolektywnem dziele budowy kościoła, zaradzić mogła wydatkom, na których pokrycie nie starczyłaby ofiarność pojedynczych, najbardziej choćby zamożnych, osobistości.

Większość robotników przy „fabryce kościoła“ pracuje darmo. W Strasburgu na sto tysięcy zajętych przy budowie katedry, siedemdziesiąt tysięcy zrzeka się dobrowolnie zarobku [4]. Pomagają hojne jałmużny, po które rozchodzą się wysyłani na wszystkie strony *petitores structurae*; sypią się obficie datki do skarbom kościelnych, tak, iż one same starczyły, bez mała, do zaspokojenia tygodniowych wypłat „fabryki“ [5]. „Nauka o do-

---

[1] Cf. Sugerii abbatis S. Dionysii, *Libellus de consecratione ecclesiae a se aedificatae*. Patr. lat. t. CLXXXVI, col. 1247.

[2] „On auroit eu de quoy bastir une esglise du prix de toutes les pierreries qui furent en ceste journée jettées ès fondemens de l'esglise monseigneur saint Denis“. Cf. Bourassé, *Les plus belles églises du monde*. Tours. 1875.

[3] Mgr. Pie, *Notice historique concernant la sonnerie ancienne et moderne de l'église cathédrale de Chartres*. Paris, 1840.

[4] Bulteau, ibid. Cf. Dacheux, *La Cathédrale de Strasbourg*. Paris, 1900.

[5] „Au siècle précédent, (XIII) la dévotion étoit si grande, qu'on trouvoit dans les troncs de l'or et de l'argent en une telle abondance, qu'il

brych uczynkach — pisze Kraus — przyszła budowie kościołów z wielką pomocą. Przy wznoszeniu naszych nadreńskich tumów podejmowało mieszczaństwo największe ofiary, zaciągało hypoteki na domy, i ujmowało sobie nie tylko z tego co zbytecznem, lecz nawet z tego co niezbędnem było do życia“ [1]. Odpusty, udzielane przyczyniającym się do wznoszenia kościołów, nadawane przez dyecezyalnych biskupów, wypraszane u dygnitarzy kościelnych, jak legatów albo nuncyuszów, bawiących chwilowo w miejscu rozpoczętej budowy, a mających zazwyczaj władzę udzielania czterdziestodniowych indulgencyj, wreszcie nadsyłane przez papieży bulle odpustowe podtrzymują zapał, zachęcają do współudziału w podjętej pracy.

Cechy, korporacye, bractwa, budują własnym kosztem, ku czci swoich patronów, kaplice, przesadzając się wzajemnie w ich ozdobieniu, bogactwie, rozmiarach [2]; zamawiają dla katedr olbrzymie, wspaniałe witraże. W jednym tylko kościele Notre-Dame de Chartres, znajdziemy ich, z fundacyi stowarzyszeń zawodowych miasta, czterdzieści siedem! [3]

Zbiorowe dzieło wierzących mas, sztuka średnich wieków nie wyklucza nikogo. Widzieliśmy, jak powstająca od fundamentów katedra grupuje dokoła siebie wszystkie warstwy ówczesnego społeczeństwa, jednoczy i równa wszystkie jego klasy we wspólnej, uzupełniającej się wzajemnie akcyi. Pociąga to za sobą oderzającą, wybitną zmianę, która, poczynając od połowy XII., przez z górą dwa wieki stanowi równie znamienną cechę średniowiecznej sztuki, jak duchowość. Przybiera ona charakter, będący wyłączną własnością katolickiego Kościoła:

y en avoit quasi assez pour payer les ouvriers au bout de chaque semaine“. Dom Doublet, *Histoire de l'abbeye de Saint-Denis.* — Cf. Merson, *Les Vitraux.* Bibl. de l'Ens. des Beaux-Arts. Paris, 1895. Ch. IV.

[1] *Geschichte der Christlichen Kunst.* II. Bd. 1. Abth. 15 B.

[2] Cf. Corroyer, *L'Architecture Gothique.* Bibl. de l'Ens. des Beaux-Arts. Paris. 1891. Ch. X.

[3] Cf. *Cartulaire de Notre-Dame de Chartres.* Édit. Lespinois et Merlet. Chartres. 1862—65.

podobnie jak jego nauka staje się na wskróś ekumeniczną, powszechną.

„Podówczas — pisze z rzadką u naszych niemieckich sąsiadów bezstronnością ks. Stefan Beissel T. J., przyznając Francyi poczęcie i rozwój architektury, dowolnie i fałszywie zwanej gotycką — podówczas łączyła jedna wiara wszystkie serca. Trafiały się i małe objawy zazdrości, świadczą o tem dzieje Wojen Krzyżowych, były to jednak nieznaczne i przemijające przeszkody. Jeden Kościół, jeden język, jedna nauka łączyła wszystkich chrześcijan we wspólnem dążeniu. Mógł w owym czasie taki św. Tomasz, Włoch, być profesorem w Kolonii, Paryżu, Rzymie, Bolonii lub Neapolu. Co było wynalazkiem jednego narodu, stawało się od razu własnością wszystkich“ [1].

Dlatego też widzimy, jak naraz wyrastają wszędzie kościoły, wznoszone według tych samych zasad, natchnione zawsze tym samym duchem, budowane często przez tych samych artystów.

„Sławna katedra kolońska, arcydzieło niemieckiej szkoły, początek swój bierze bezpośrednio w tradycyach francuskich; chór jej jest jeno powtórzeniem chóru katedry w Amiens“. Świadectwo to podejrzanem wydać się nie może nikomu: wypowiada je kilkakrotnie Niemiec i to jeden z cieszących się największym rozgłosem i powagą — Wilhelm Lübke [2]. „Katedra w Burgos rozpoczęta w pierwszej połowie XIII. wieku, jest jedną z tych, które przypominają najwidoczniej budowle francuskie z XIII. i XIV. wieku planem swym oraz sposobem wznoszenia przełęczy i okien, również jak dekoracyą rzeźbioną portyków“ [3]. „Architekci angielscy przyswoili sobie zasady konstrukcyjne budowniczych z Anjou i Ile-de-France, a w tej wielkiej liczbie katedr, jakie wznieśli od XII. do XV. stulecia, odnaleźć łatwo, pośród zmian i przyswojeń, stosownie do zwyczajów oraz indy-

[1] *Der Dom von Köln.* Stimmen aus Maria-Laach. XIX. Bd. 1880. 1. 3.

[2] *Grundriss der Kunstgeschichte.* Stuttgart, 1892. – *Geschichte der deutschen Kunst.* Stuttgart, 1890.

[3] Corroyer, opus cit. ch. VIII.

widualnych pojęć brytańskich artystów, cechy oryginalne, wyróżniające sztukę francuską“ [1]. „W Siennie i w Orvieto... wielkie tematy, w których się lubuje sztuka średnich wieków, pojęte są tak, jak w Paryżu lub w Amiens“ [2], „Najgodniejszym uwagi zabytkiem XIII. wieku, jest katedra w Nikozyi (na Cyprze), wzniesiona od r. 1209—1228, pod wezwaniem św. Zofii, wielki kościół o trzech nawach... mający wszystkie cechy katedr francuskich z tejże epoki“ [3].

Rzecz prosta, iż tak było, od XII. stulecia bowiem mistrze, zarówno jak i będący u nich w terminie uczniowie, wędrują po całym świecie, ofiarując, gdzie się tylko okaże tego potrzeba, swoje usługi.

Opat Suger zleca wykonanie witraży w Saint-Denis majstrom szklarskim „różnej narodowości“ [4]. 1174 r. ogłoszony zostaje konkurs celem odbudowania zniszczonej pożarem katedry w Cantorbery. Wybór pada na Francuza, Wilhelma ze Sens, który też zaraz rozpoczyna pracę od budowy chóru, według przyjętego już we Francyi systemu architektury, zwanej wówczas *opus francigenum*. W podobnyż sposób powstaje katedra w Upsali, dokąd, dla jej wybudowania udaje się na mocy rozporządzemia królewskiego z 30 sierpnia 1287 r., francuski budowniczy Stefan z Bonneuil [5]. Katedrę praską rozpoczyna podobnież artysta francuski, Maciej z Arras. Z papierów po Villardzie z Honnecourt w Pikardyi, okazuje się, iż w czasach panowania św. Ludwika, zawędrował on aż na Węgry [6], gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa wzniósł w Koszycach kościół św. Elżbiety, planem swym zupełnie przypominający, wystawiony przez niego, kościół św. Szczepana w Meaux.

[1] Id. ibid.

[2] Émile Mâle, opus cit. *Préface*.

[3] M. de Vogüé. *Les Églises de la Terre-Sainte*. Paris, 1860.

[4] Sugerii abbatis S. Dionysii, *Liber de rebus in administratione sua gestis*. Patr. lat. t. CLXXXVI. col. 1237.

[5] Ch. Lucas. *Les architectes français à l'étranger*. Cf. Corroyer. loc. cit.

[6] Cf. *Album de Villard de Honnecourt*. Édit. A. Darcel. Paris. 1858.

Porównywając dzieła dawniejsze z temi, jakie zaczęły się ukazywać od połowy XII. wieku, uderzeni będziemy objawem, wywołanym przez uniwersalny charakter sztuki, nienależącej już ani do jednego narodu lub kraju, ani też do jednej tylko warstwy społeczeństwa, do jednego wyłącznie stanu.

Jakieś nieznane przedtem, życiodajne, potężne tchnienie przeciągnęło przez ten olbrzymi, przygniatający masą swego kamiennego cielska, ociężały organizm katedry, z niesłychaną pewnością siebie uniosło w górę sklepienia, zuchwale i śmiało rozparło potężne mury, rozpaliło tęczowe światła na powietrznych ścianach witraży, zaludniło cały budynek setkami rzeźb i posągów.

Ale tych nagłych objawów życia w katedrze nie należy bynajmniej kłaść na karb organicznego rozwoju średniowiecznej architektury. Duchowy wyraz, jakiego nabiera wraz z zastosowaniem nowego systemu budowania przez użycie przypór i przełęczy, co, służąc do osłabienia parcia osadzonych na skrzyżowaniu dwuluczy, sklepień, pozwalają je wynieść do niebywałej wysokości nad ziemię, a zarazem zastąpić pełnię ścian przezroczem okien, wszystko to jest jeno szczęśliwym, dodatnim warunkiem, wpływającym pomyślnie na rozniecenie, rozwinięcie, spotęgowanie nowego życia w całokształcie sztuki wieków średnich. Lecz samo to życie, nowe, dotąd nieznane, zadrgało po raz pierwszy w malowanych na szkle postaciach, zatętniło w wykutych z kamienia figurach i statuach, przemówiło przez cały ten świat istot twórczą siłą artysty powołanych do bytu, świat, który nazywamy średniowieczną, chrześcijańską ikonografią. Katedra stała się kolosalną, wspaniałą księgą o kartach wielu, na których ręka mistrzów sztuki szklarskiej i dłuta wypisała całą myśl sztuki ówczesnej.

Ci mistrze — kto oni byli?

Utrzymując, iż w średnich wiekach „Księga budownictwa należy do fantazyi, do poezyi, do ludu“, Wiktor Hugo powiedział tylko połowę prawdy, a zupełnie fałszywe i błędne wygłosił zdanie, utrzymując, iż katedra w owej epoce „nie należy do kapłanów, do religii, do Rzymu“ [1].

[1] Loco cit.

Od chwili, gdy pisał te słowa, którym zawtórował Viollet-le-Duc, upatrując w średniowiecznej sztuce objawy buntu, antyreligijnej, wrogiej Kościołowi swobody umysłów, upłynęło do czasów obecnych lat sporo. Ci nawet, którzy nad średniowieczną sztuką nie robili tak specyalnych studyów jak Cahier i Martin, Didron lub Mâle, ci nawet, bez badania szczegółowego jej myśli, przyznają jej dziś charakter rdzennie religijny, wierny niezachwianie tradycyom katolickiego Kościoła.

Już w 1862 r. pisze Ernest Renan: „Kościół XII. i XIII. wieku wznoszony był literalnie przez miłość“ — a o następnym wieku powiada: „Wiara, która stworzyła te dziwy, nie zmniejszyła się wcale: owszem skąpszą znajdowała w umysłach liczbę wątpliwości i zarzutów, gdyż wiek XIV. mniej swobodnie myśli od XIII.“ [1].

W znanej szerszym kołom, gruntownie, ze znajomością rzeczy opracowanej, wydawanej pod kierownictwem Juliusza Comte, zbiorowej publikacyi *Bibliothèque de l'Enseignement des Beaux-Arts*, przedstawiającej dzisiaj poważną liczbę przeszło pięćdziesięciu tomów, nic nie znajdziemy, coby w jakikolwiekbądź sposób podawało w wątpliwość religijny, na szczerej wierze oparty, charakter średniowiecznej sztuki. Owszem, znajdziemy tam takie ustępy:

„Poddając się prawu ustawicznego przekształcania się, porzucili (średniowieczni rzeźbiarze) hieratyczne, przez religijną tradycyę narzucone formy, nadając nowy wyraz tymże samym tradycyom, uszanowanym i zachowanym“ [2]. „Ornamentacya portalów i fasad staje się niezmierną encyklopedyą obrazową, nad którą góruje wiara: cnoty i występki, sztuki, nauki, prace, wszystko tam jest obecne i w związku z ideą religijną“ [3]. „Artysta XIII w. przedewszystkiem jest religijnym: szczera wiara i cierpliwość,

[1] *L'Art du Moyen Age et les causes de sa décadence.* Revue des deux Mondes, 1 juillet, 1862.

[2] *L'Architecture Gothique* par Eduard Corroyer, Architecte du Gouvernement, Inspécteur général des Édifices diocesains. Ch. XI. Paris, 1891.

[3] *Précis d'Histoire de l'Art* par C. Bayet Directeur des l'Enseignement primaire au Ministère de l'Instruction publique. L. II. ch. V. Paris, 1894.

jaką się odznacza, robią zeń człowieka jego epoki i jego rasy bez żadnej obcej przymieszki... Żyje on o swych własnych zasobach, niezależny jeszcze ani od wpływu lub fantazyi panującego, ani od upodobań szczególnej jakiej osobistości, słowem, wyraża on wiarę i przekonania całego narodu, pracuje z nim i dla niego, począwszy od kowala, co robiąc okucia do drzwi świątyni, przemienia rzemiosło w sztukę, aż do rzeźbiarza, stawiającego anioła sądu na najwyższym szczycie stromego dachu“ [1].

Od XIII. wieku artysta ten jest wyłącznie niemal laikiem. Ogrom katedry, na którą składały się całe pokolenia, niezmierna moc rzeźb, figur, posągów, ornamentów architektonicznych, wszystko to wymagało długich lat kształcenia się i wtajemniczania w sztukę, nabycia wielkiej techniki i wprawy w szybkiem tworzeniu, potrzebowało i zatrudniało niebywałą przedtem liczbę artystów. Sam kler nie był w możności na to wszystko wystarczyć. Ale — jak słusznie zauważa Kraus — „nie stan świecki stworzył sztukę gotycką, lecz na odwrót, sztuka gotycka wytworzyła kamieniarza-laika“ [2].

Wychodzi on z rąk kleru, który go pierwotnie w XII. w. do pomocy w pracach przyzywa, wciela do utworzonych przez siebie bractw i korporacyj, zorganizowanych jedynie w tym celu, każe mu pracować pod swoim kierunkiem i ścisłą kontrolą, początkowo powierza kamieniarstwo i murarstwo, wreszcie zupełne prowadzenie całej *fabrica ecclesiae* [3]. Charakteru buntowniczego i objawów antyreligijnej swobody dopatrzy w nim chyba ten tylko, kto myśli średniowiecznej sztuki nie badał, a o stosunkach ówczesnych ma niejasne pojęcie.

Lud, który wydaje ze siebie w średnich wiekach artystę i kler, idą ręka w rękę jednomyślnie i zgodnie w tem dziele

---

[1] *Les styles français* par Lechevallier-Chevignard, Professeur à l'École nationale des Arts décoratifs. IV. *Style ogival.* Paris, 1892.

[2] Loc. cit.

[3] Cf. Schnaase, *Geschichte der bildenden Künste.* IV. Bd. Stuttgart, 1879.— Janner, *Die Bauhütten de Mittelalters in Deutschland.* Leipzig, 1844. — Renouvier et Ricard, *Des Maîtres de pierre et autres artistes gothiques de Montpellier.* Montpellier, 1844.

Bożem, jakiem sztuka była podówczas, rozumieją się doskonale, wspomagają i dopełniają wzajemnie. Zarówno nie odchodzą ani na krok od tego, co ich zespala i kieruje każdą czynnością, każdym objawem ich działalności artystycznej: od wiary, od uczucia religijnego, od zapomnienia o swej własnej chwale dla chwały Bożej.

W charakterze artysty-laika z XIII. wieku spotykamy się z podobną pokorą, z podobnym wstrętem i obawą próżnej chwały, jak u zamkniętego w murach celi klasztornej mnicha. Jeśli autor ksiąg „O Naśladowaniu“ nie wyjawia swego nazwiska, jeśli mnich-kaligraf, ukończywszy żmudne pisanie księgi, prawdziwą nieraz torturę, owoc ciężkiego wysiłku i niezmordowanej cierpliwości, kładzie wkońcu, jako *explicit*, słowa:

Expleto libro, referatur gratia Christo;
Nomen scriptoris non pono, quia ipsum laudare nolo[1].

to i średniowieczny artysta-laik idzie w ich ślady. Każde niemal dzieło jego jest anonimem, a imię jego rzadko kiedy przechodzi do potomności. Pracę swoją uważa jedynie za dobry uczynek zbawienny dla duszy, i w tej też intencyi ją podejmuje, podobnie jak ten drugi mnich-kopista, co manuskrypt „będąc młodzieńcem i lewitą, pobożnie napisał dla zbawienia swej duszy“[2].

Średniowieczny artysta uważany jest i sam siebie uważa za rzemieślnika. Niema nic w sobie z tych próżnych słabostek, z tych aspiracyj nadmiernych do rozgłosu i sławy, będących wybitnem piętnem epoki odrodzenia, co dąży do najskrajniejszego indywidualizmu i zaznaczenia na każdem polu jednostki. W epoce kolektywizmu, jaką jest średniowiecze, artysta nie stara się nigdy wybić na pierwszy plan ze szkodą dla swoich współtowarzyszy, owszem, sam dobrowolnie podporządkowuje się pod plan ogólny, nadający zbiorowym dziełom tamtych czasów charakter zadziwiającej jednolitości i zgody. Ale też właśnie dlatego prawie zawsze pozostaje nieznanym. Pierwszy życiorys średniowiecz-

[1] Lecoy de la Marche. *Les Manuscrits et la Miniature*. Bibl. de l'Ens. des Beaux-Arts. Paris, 1884. Ch. III.

[2] „Frater Robertus Gualensis, dum esset juvenis et levita, devote scripsit pro salute animae suae“. Id. ibid.

nego artysty spotykamy dopiero z końcem XVI. wieku w „Żywotach sławnych ludzi“ Andrzeja Theveta. Szczęśliwcem tym, któremu poświęca kilka kartek swojego dzieła, jest Eudes z Montreuil, towarzysz św. Ludwika w wojnach krzyżowych i twórca kilku wspaniałych kościołów Paryża. Ale jakżeż się biograf znakomitego artysty przytem zastrzega! Ma się wrażenie, iż jest on mocno zakłopotanym wobec czytelnika, przed którym uważa sobie za obowiązek usprawiedliwić się z tego, że śmiał zwrócić przez chwilę jego uwagę na człowieka tak nizkiej kondycyi jak Eudes![1].

Skutkiem solidarności artystów średniowiecznych i duchowieństwa, złączonych w pracy nad utworzeniem wspólnego, kolektywnego dzieła ku chwale Bożej, sztuka ówczesna przedstawia nam syntezę dwóch pierwiastków, dążących przez oba stulecia, XIII. i XIV., zgodnie i nierozłącznie, do tegoż samego, jednako zamierzonego celu.

Pierwszy z pomiędzy nich, to element teologiczny, to cały świat myśli oderwanych, duchowych, przemawiający do nas z pomników średniowiecza językiem symbolu, równie transcendentalnym i nadzmysłowym, jak cała współczesna literatura i liturgia. Drugi z kolei to element ludowy, to świat od poprzedniego całkiem odmienny, świat form pozbawionych myśli głębszej i treści, patrzący na wszystko co go otacza z prostotą i naiwnością dziecka, rozmiłowany w przyrodzie, zżyty z nią, znający ją i odczuwający przedziwnie, co w niej nie szuka i nie znajduje nic prócz tego, co się da zmysłami uchwycić.

Gdzie jednak znaleźć granicę między temi dwoma światami, tak różnemi w zasadzie, a tak zespolonemi i pozestawianemi ze

[1] „... duquel plusieurs s'émerveilleront (attendu qu'il était de ceux qu'on voit bouffer, parmi le peuple, de gloire, ains était un simple architecte, se mêlant d'un état mécanique) que j'ai ici proposé son portrait. Mais s'il leurs plaît de prendre la patience de considérer que parmi ces vielles masures du menu populaire, quoiqu' elles soint assez sales, ce néanmoins on y trouve parfois de précieux et exquis joyaux, ils ne se topiqueront pas si aigrement de ce que j'ai ici entremêlé cet Eudes“. *Vrais portraits et vies des hommes illustres.* Paris, 1584.

sobą na murach katedry? Jak odgadnąć, dokąd sięga symboliczna myśl średniowiecza, a odkąd zaczyna się pozbawiona wszelkiego wewnętrznego znaczenia, swobodna, dowolna fantazya artysty? Co powstało pod wpływem teologicznej nauki i wiedzy Kościoła, a co jest owocem badawczego, realistycznego poglądu na przyrodę, na świat zewnętrzny?

Kwestya ta dotyka zawilego, trudnego punktu. Stajemy w nim od razu między fałszywą, jakeśmy to z góry orzekli, teoryą Wiktora Hugo i Viollet-le-Duca, którzy, odmawiając średniowiecznej sztuce wszelkiego duchowego, wyższego pierwiastku, mają ją za otwarty manifest buntu społeczeństw, wyłamujących się z pod zasad wiary Kościoła i praw posłuszeństwa dla jego duchownej władzy, a między całą szkołą symbolistyczną, która, wpadając na łeb na szyję w drugą ostateczność, każdy, najdrobniejszy nawet listek, każde, dziwaczne, potworne zwierzę, utwór swobodnej, wybujałej fantazyi artysty, przyjmuje za pełen znaczenia wyraz głębokiego, bogatego w treść i myśl ukrytą symbolu.

W trudnej tej kwestyi, największą w ostatnich czasach położył zasługę tylokrotnie już przez nas wspomniany Emil Mâle [1]. Nie buduje on żadnych teoryj symbolistycznych w powietrzu jak Auber: nie bawi się w przypuszczenia subtelne i nierzadko genialne nawet, jak znana ze swej patrologicznej erudycyi pani Felicya d'Ayzac. Z bystrością i trzeźwym spokojem, z nieubłaganą logiką i sumiennością w przeprowadzaniu postawionej przez siebie zasady, to jedynie w sztuce średnich stuleci, te w niej tylko szczegóły uważa za natchnione przez wewnętrzną myśl symboliczną, gdzie się daje wykazać bezpośredni związek między danem dziełem artysty a odpowiednim tekstem pisarza owej epoki.

W ten sposób o wiele naprzód posunął Emil Mâle studya nad średniowieczną sztuką, a szczególniej potrafił głębiej od innych wniknąć w myśl tamtoczesnej ikonografii; ujął w jeden pewny, umiejętny i niezawodny system, ugrupował, rozwinął

[1] Opus cit.

i uzasadnił wszystko to, co przed nim częściowo, a poniekąd bezładnie, choć niezaprzeczenie z wielką zasługą i umiejętnością zdziałali w tym kierunku Didron oraz OO. Cahier i Martin; dał każdemu możność zoryentowania się w tym wielkim, tak długo niezrozumianym, zapoznanym labiryncie myśli, którą tchnie sztuka w XIII. i XIV. stuleciu.

Opierając się na wybornej, gruntownej pracy Emila Mâle, jesteśmy dzisiaj w możności, nie wchodząc jeszcze w bliższe szczegóły, dać na postawione wyżej pytania konkretną, choć niezupełnie wyczerpującą przedmiot odpowiedź. Twierdzić tedy można na śmiało, iż, ogólnie biorąc, cały świat rozumny, myślący — czysto duchowy, czy złożony z duszy i z ciała — aniołowie czy ludzie, wszystko to powstało pod ręką artysty, natchnione myślą średniowiecznych pisarzy, jest w pierwszym rzędzie kreacyą teologiczną kleru, duchowieństwa, jest pełne mistycznej doktryny i symbolizmu. Cały zaś świat zwierzęcy, roślinny, to własność artysty-laika, z którą on obchodzi się wedle swej woli, nie kładąc w nią żadnej szczególnej myśli, żadnego głębszego, duchowego znaczenia, nic, prócz zamiłowania szczerego do przyrody, którą odczuwa, z którą się pieści, nadając jej według upodobania albo potrzeby najpowabniejsze, najbardziej idealne formy.

Powiedzieliśmy — biorąc ogólnie — gdy będziemy bowiem przechodzić kolejno różnorodne wyrazy i kształty, jakie w średniowieczu przybierała myśl sztuki, zobaczymy niebawem, że i w tej dziedzinie znajdują się, choć nierównie rzadziej, dzieła symboliczną treścią bogate.

Rzecz jednak pewna, że do XII. stulecia ikonograficzna flora i fauna kościołów była jedynie fantastyczną ornamentacyą. Plastyka chrześcijańska dopiero w XIII. wieku miała się całkowicie rozwinąć; przedtem była jeno w zawiązku.

Przez pięć wieków pozostaje ona zaklętą w drogich kruszcach, w kości słoniowej; gdy z początkiem XI. wieku, pod ręką św. Bernwarda, ośmiela się ukazać na dziełach monumentalnych: na drzwiach bronzowych i na spiżowej kolumnie w Hildesheim,

to figurki, pokrywające oba odlewy, rozmiarami nie przenoszą wielkości dłoni, niewiele się zatem różnią w zasadzie od poprzednich na biżuteryach i relikwiarzach, od wzorów, których szukały w miniaturach rękopisów.

Rzecby można, iż dziwny jakiś wstręt czy obawa powstrzymywały chrześcijańskiego artystę przez długie stulecia od rzeźbienia posągów i figur świętych.

Nie ograniczając się na samych tylko płaskorzeźbach sarkofagów, nie obfitowały jednak pierwsze wieki w dzieła rzeźby pełnej. W chwili gdy Kościół przyzywa plastykę na usługi, w świecie pogańskim chyli się już ona do zupełnego upadku; bezduszna, bezmyślna, jest tylko kopią niewolniczą dawniejszych typów; pozbawiona wszelkiej twórczości, technicznie schodzi do rzędu zwykłego rzemiosła. W epoce Antoninów Rzym zapełnia się sklepami, gdzie pełno gotowych posągów z marmuru, różnej wielkości, w różnych pozach i formach stało rzędami, wszystkie bez głów, oczekując rychło im je na kark rzeźbiarz nałoży, stosownie do zamówienia kupującego, który w ten sposób łatwo przychodził do posiadania portretów kogoś z rodziny, przyjaciół, dworu panującego, lub do statuy jednego z bogów [1].

Być może, iż instynktowo odczuwał chrześcijański artysta tę niemoc upadającej plastyki, niezdolnej już dorównać żadnemu z arcydzieł czasów ubiegłych; być może, sądził, że najbardziej materyalna z pomiędzy sztuk, tem mniej będzie w możności oddać idealną, czysto duchową, nadzmysłową piękność Chrystusa i Jego Świętych; być może, iż wzdrygał się żądać usług od sztuki, która tak długo była narzędziem bałwochwalstwa, wydając niezliczone posągi pogańskich bożków, co nieszkodliwie już, bo przez nikogo nie czczone, oszczędzane jednak i ochraniane od zniszczenia przez Kościół, zawsze wyrozumiały, zawsze troskliwy i pełen starania o dzieła ludzkiego gieniuszu, zaludniały gęsto ulice i drogi „Miasta“ [2]; być może, iż bał się na-

[1] Cf. Martha. *Manuel d'Archéologie étrusque et romaine.* Paris. Bibl. de l'Ens. des Beaux-Arts. Ch. IX, § 3.

[2] Cf. H. Grisar S. J.. *Geschichte Roms und der Päpste im Mittelalter.* 1. Bd. 1. B. 1, n. 16. Freiburg im Br. 1901.

rażać świeżo z pogaństwa nawróconych, a niedość jeszcze w prawdach wiary ugruntowanych umysłów na niebezpieczeństwo czci bałwochwalczej, niemniej nizkiej i grzesznej jak ta, której wspomnienie jeszcze się w nich nie zatarło do szczętu. Bądź co bądź prócz dwóch znanych lateraneńskich posążków Dobrego Pasterza i trzech po innych muzealnych zbiorach, prócz bronzowej statuy św. Piotra [1] i marmurowej św. Hipolita [2], prawie nic więcej nie zostawiły nam, w tym kierunku, pierwsze wieki w spuściznie.

Bez wątpienia pewien wpływ na tę kwestyę wywarły też i walki obrazoburców.

Jak malarstwo religijne w czasach tych walk sprowadzonem zostało do jednego tylko rodzaju — do miniatury, tak podobnież rzeźba chrześcijańska zdobiła wyłącznie cacka ze złota albo słoniowej kości. W kamieniu, na większą skalę, wolno jej było wykuwać jedynie ornamentacyę konwencyonalną, arabeski, floresy, chimeryczne potwory, których motywy zapożyczone u świata roślinnego i zwierzęcego, lecz przeistaczane we fantastyczną kombinacyę, traciły nawet cały charakter form rzeczywistych, od których brały początek.

Wprawdzie Ojcowie drugiego Nicejskiego soboru nie potępili bynajmniej plastyki; owszem, wyraźnie orzekli, iż należy się cześć obrazom świętym „bez względu czy są malowane czy rzeźbione, czy utworzone z jakiegokolwiekbądź materyału“ [3] — w każdym razie jednak, aż do połowy XII. wieku, w swojem pojęciu sztuki religijnej, duchowieństwo skrupulatnie oddziela malarstwo od rzeźby.

W r. 1020 scholastyk z Chartres, imieniem Bernard z Angers, robi, wraz z przyjacielem swoim, podobnież jak on klerykiem, pielgrzymkę do opactwa Conques słynnego cudami świętej Wiary *(sainte Foy)*, której relikwie przechowuje w swoim ko-

[1] Burckhardt, *(Cicerone)* za epokę utworzenia naznacza jej wiek V. Podobnież i Grisar l. c. VII, n. 284.

[2] Cf. Id. ibid. n. 283. Kraus, Opus cit. I, Bd. III. B. 1.

[3] Cf. Hefele, *Conciliengeschichte*, III. Bd. Freiburg im Br. 2 Aufl.

ściele. Uderzony cudami zdziałanemi za przyczyną Świętej, pisze o nich scholastyk Bernard obszerną księgę [1]. Odrzuciwszy szczegóły widocznie zaczerpnięte z podań ludowych, nie zawsze zasługujące na wiarę, miejscami nawet wprost niedorzeczne, znajdziemy tam ustępy, które odkrywają nam jasno w tej mierze pojęcia i zapatrywania ówczesnego inteligentnego świata.

Scholastyk Bernard nie może powstrzymać słów oburzenia i ostrej nagany, widząc złotą, emalią i klejnotami pokrytą figurę dziewicy-męczenniczki z Agen [2].

W pozie siedzącej, na pozłocistem krześle, z pochyloną nieco w tył głową i wyciągniętemi przed się rękami, robi ona wrażenie dziwnie potężne, a dla wiernych, którym się często ukazywała we śnie gromiąc za popełnione występki, lub wymagając jakiejś ofiary, była zawsze przedmiotem wielkiej czci, którą jej okazywano zazwyczaj, obnosząc przy dźwięku trąb, procesyonalnie, wkoło kościoła.

Dla scholastyka z Chartres jest ona tylko przedmiotem zgorszenia, objawem bezbożności i bałwochwalstwa. „Jak sądzisz, mój przyjacielu — pyta swego towarzysza pielgrzymki — nie jestże to Jowisz albo Mars, Dyana czy Wenus?“ I wypowiada przekonania swoje kategorycznie: „Jest to bezbożność i niedorzeczność tworzyć statuę z gipsu, drzewa lub bronzu, wyjąwszy Zbawiciela na krzyżu“. Co do postaci Świętych, to te pozwala jedynie przedstawiać farbami na ścianach [3].

W sto lat później, św. Bernard potępia piorunującemi słowy

[1] *Liber Miraculorum Sanctae Fidis.* Édit. Bouillet, d'après le manuscrit de Schlestadt. Paris, 1897.

[2] Tę statuę świętej, o wielkich, biało i niebiesko emaliowanych źrenicach, majestatycznym, przejmującym grozą wyrazie twarzy, mogli zwiedzający ostatnią paryską wystawę podziwiać, jako mistrzowskie dzieło złotnicze, nieznanego mnicha-artysty z końca X. wieku. — Cf. dwa artykuły Emila Molinier w „Matin“ z 21 czerwca 1900 r. p. t. *Le Petit Palais* i w „Gazette des Beaux-Arts“ z sierpnia 1900 r. z wyborną heliograwurą Chauveta. Etiam. *Sainte-Foy, vierge et martyre,* par A. Bouillet et Servière. Rodez, Carrère, 1900.

[3] „Sanctorum autem memoriam humanis visibus vel veridica libri scriptura vel imagines umbrosae coloratis parietibus depictae tantum debent ostendere“. Opus cit. p. 47.

rzeźby zdobiące przebogate opactwo Cluny: „W klasztorach, pod okiem czytającej braci, co znaczy ta świetna potworność, dziwna jakaś bezkształtna powabność? Co znaczą te małpy nieczyste? te lwy dzikie? te monstrualne centaury? ci pół-ludzie? te centkowane tygrysy? ci walczący żołnierze? ci dmący w trąby myśliwi? Widzisz pod jedną głową ciał kilka i odwrotnie, na jednem cielsku głów wiele. Tu zobaczysz u czworonoga ogon wężowy, tam na rybie głowę czworonogiego zwierza. Bydlę, z przodem konia, pół kozy wlecze za sobą. Ówdzie zwierzę rogate o końskim zadzie... Dobry Boże! jeśli nie wywołuje wstydu niedorzeczność, czemuż, co najmniej, nie żal wydatków?“ [1]

Oba te fakty, tak oburzenie scholastyka z Chartres na widok złotej statuy św. Wiary, jak ostra nagana św. Bernarda, zwrócona przeciw kluniackim rzeźbom, świadczą, iż do połowy XII. wieku nie trzeba szukać w plastyce teologicznej, duchowej myśli. Kleryk z Chartres, robił swą pielgrzymkę do Conques, jakeśmy widzieli, w r. 1020; statua świętej pierwsze, być może, tego rodzaju dzieło w średniowiecznej ikonografii, powstała najprawdopodobniej, około r. 990 [2]. Była to zatem rzecz całkiem nowa, niepraktykowana od wieków i nieznana w Kościele, z którą się dopiero uprzedzone, nieprzygotowane umysły miały zżyć i oswoić.

Z zupełnie odmiennego punktu, jak scholastyk na złotą figurę z Conques, zapatruje się święty Bernard na rzeźby Kluniaku. Niema on bynajmniej zamiaru potępić plastyki chrześcijańskiej: słowa jego dowodzą tylko wymownie, że, jak mówiliśmy, rzeźba, do połowy XII. stulecia, była czysto dowolnym, fantastycznym, pozbawionym wszelkiej symbolicznej myśli ornamentacyjnym elementem romańskiej architektury. Czyż święty Doktor, który się więcej, niż inni Ojcowie i Pisarze Kościoła, posługiwał symbolicznym językiem, on co z nieporównaną słodyczą i siłą wymowy porywał swych zakonnych słuchaczów, odkrywając im niezgłębione tajnie mistycznej salomonowej „Pieśni

[1] *Apologia ad Guilhelmum Sancti Theodorici abbatem.* Patr. lat. t. CLXXXII, col. 916.

[2] Molinier l. c. w „Gazette des Beaux-Arts“.

nad Pieśniami" — gdyby istotnie rzeźby te skrywały w sobie intencyę i myśl symboliczną — czyż, powtarzamy, nie byłby ich zdolny odgadnąć i odczuć? Tymczasem, zaprzątają one niepotrzebnie, zdaniem jego, umysły zakonników; dziwaczną rozmaitością kształtów, przeszkadzają im Prawo Boże rozważać [1].

Wiemy, co Apologia św. Bernarda, z której przytoczyliśmy ustęp powyższy, miała na celu.

W chwili kiedy ją pisał (około r. 1124) rozluźnienie reguły zakonnej i zbytek dochodziły w Cluny do ostatecznych granic. Karcąc bogatą ornamentykę opactwa, św. Bernard potępiał sam tylko przepych i niezgodną z przepisami surowej dyscypliny miękość, co pieszcząc zmysły nie przemawiała wcale do ducha. Wiemy dalej, jak nadzwyczajny skutek uwieńczył gorliwe wdanie się Świętego, jak rychłą wywołało reformę zakonną, jak wiele spowodowało nawróceń [2].

Wśród nich, najgłośniejszem było nawrócenie opata z Saint-Denis, Sugera, ulubionego ministra dwóch z rzędu królów francuskich, Ludwika Grubego i Młodego.

Nawrócony pod wrażeniem przeczytanej „Apologii" [3] Suger poczyna, w jakiś czas potem, budować kościół.

Dziś, z pamiątek po opacie w Saint-Denis pozostały ledwie okruchy. Ale zachowała się jedna, której ani wieki nie naruszyły, ani dosięgnąć nie mogła ręka rewolucyjnego wandalizmu, co powyrzucał prochy monarchów francuskich z krypty królewskiej. To księga o sprawach czynionych w czasie rządów Sugera, którą on sam podyktował jednemu z mnichów opactwa — Wilhelmowi [4].

---

[1] „Tam multa denique tamque mira diversarum formarum ubique varietas apparet, ut magis legere libeat in marmoribus quam in codicibus, totumque diem occupare singula ista mirando quam in Lege Dei meditando". Ibid.

[2] Cf. Ratisbonne, *Histoire de Saint Bernard* t. I, ch. XIII; XIV. Paris. 1843.

[3] Mabillon, *Annales ordinis S. Benedicti.* L. LXXV. n. 90. Parisiis. 1713—39.

[4] Patr. lat. t. CLXXXVI.

Ten zbiór notatek, który zajmuje w Patrologii Migne'a zaledwie piętnaście, niespełna, stronic, jest dla badacza sztuki średniowiecznej prawdziwym skarbem. Czytając je, kładzie on bezpośrednio rękę na pulsie życia, co nagłe, niespodziane, jakby pod wpływem karcących słów świętego mnicha z Clairvaux, naraz poczyna tryskać obfitem źródłem myśli duchowych i czystych, zapełniać martwe dotąd mury świątyni.

Skruszony, nawrócony potęgą słów św. Bernarda wyrzeka się Suger wszelkiego przepychu, zbytku i pompy, którą się tak lubił otaczać. Chciwie stara się nagromadzić jak najwięcej złota, klejnotów, arcydzieł sztuki, lecz obecnie po to jedynie, by z nich uczynić wspaniałą ofiarę Bogu, któremu sam odtąd, aż do końca życia służy w głębokiej pokorze i surowem ubóstwie.

W jego wspaniałem opactwie święty autor „Apologii" nicby nie znalazł, coby go mogło razić światowością, brakiem powagi zakonnej. W kościele, najwspanialszym i najbogatszym w całej Francyi, każda, najdrobniejsza rzecz, mówi o Bogu, każda wypowiada jakąś głęboką myśl symboliczną. To jeden wspaniały poemat z kamienia, klejnotów i złota, poemat, którym jego twórca Suger pragnie umysły wiernych podnieść, jak sam mówi, od zmysłowych rzeczy do duchowych, *a materialibus ad immaterialia excitare*[1].

Tam, gdzie się obawia, iż myśl, którą chce symbolicznie wyrazić, trudną będzie do odgadnięcia i nie dość jasną, tam, jak przeważnie na witrażach, z których się jeszcze zachowały szanowne szczątki, umieszcza wierszowane sentencye, ułatwiające zrozumienie przedstawionego tematu[2]. Sam każe się wyobrażać u dołu w mniszym habicie, boso, z odkrytą głową, w postawie

---

[1] Ibid. col. 1237.

[2] Tak, na jednym z witraży, chcąc wyrazić, iż Stary Zakon w Nowym znalazł wypełnienie, przedstawia św. Pawła mielącego pszenicę, której worki znoszą mu Prorocy, i kładzie czterowiersz:

Tollis agendo molam de furfure, Paule, farinam,
Mosaicae legis intima nota facis;
Fit de granis verus sine furfure panis
Perpetuusque cibus noster et angelicus.

Loc. cit.

leżącej kornie, z wyciągniętemi błagalnie rękami, u stóp Matki Bożej [1], a na odrzwiach wnijścia kładzie napis:

Suscipe vota tui judex districte Sugeri,
Inter oves proprias fac me clementer haberi [2].

Pierwszy krok był zrobiony. Myśl symboliczna poczyna się przyoblekać w wyraz, rozwija się, olbrzymieje, przenika i opanowuje sztukę średnich wieków — na dwa stulecia staje się, jak modlitwa, pośredniczką między Bogiem a ludźmi.

(C. d. n.).

Ks. Józef Tuszowski.

[1] Merson, Opus cit. ch. II.
[2] Patr. lat, ibid. col. 1229.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z nowych powieści.

Sewer: „Legenda, Kto ona, Euthanasya". — Władysław Orkan: „Nad urwiskiem". — Tenże: „Komornicy". — Marion: „Miraże". — Władysław Zdora: „Fuimus". — Zofia Kowerska: „Z pamiętnika ornitologa".

Kiedy przed dwoma laty zaczynała się głośna, powiedzmy raczej, krzykliwa, a dziś już do przeszłości należąca epoka krakowskiego modernizmu, p. Sewer był pierwszym, który jej mistrza sympatycznie, bardzo nawet sympatycznie, powitał. Niewtajemniczeni w intencye p. Sewera mogli sobie ten występ jego najrozmaiciej tłumaczyć; można to było uważać za akt zwykłej grzeczności, można też było wziąć za wyraz szczerego przekonania. Jakiekolwiek były wówczas zapatrywania p. Sewera, dziś po ukazaniu się jego „Legendy"[1] jest zupełnie widocznem, że do stronników nagiej duszy nie należy.

Rozważając „Legendę" genetycznie, jak pomysł jej kształtował się w duszy autora, nie trudno zauważyć, że punktem wyjścia były refleksye nad teoryami i utworami nagiej duszy — no i nad bardzo oryginalnym trybem życia jej wyznawców. Bywało wtedy w cichym Krakowie bardzo rojno i zadzierzyście; zdarzały się co prawda i epizody mniej ciekawe, ale były też i arcyciekawe, a nieraz zachodziły i cudowne metamorfozy. Pierwszy lepszy z brzegu, romantyczny młodzian, po jednej tajemniczo-mistycznej mowie mistrza, wygłoszonej cicho, bardzo

[1] Sewer: „Legenda, Kto ona, Euthanasya". Warszawa. 1901.

cicho, tak cicho, iż mogło się zdawać, że to miłosny szept wierzchołków jodeł z topolami, zwłaszcza, jeźli mistrz poklepał go poufale po ramieniu i, hipnotyzując błędnym wzrokiem, rzekł wielkie słowo: „tyś geniusz!“ — na drugi dzień budził się od razu twórcą, zgłębiającym wszystkie tajemnicze runy wszech świata, ba, nawet jakimś mitycznym Królem-Duchem, gdzieś wysoko, ogromnie wysoko unoszącym się ponad motłochem mydlarzy, ponad mieszczańską moralnością i logiką. W tym motłochu mydlarzy pozostawiał z pogardliwem wzruszeniem ramion marnego Mickiewicza, takich kretynów, jak Szekspir i Dante, i inne tego kroju indywidua, niewstydzące się wysługiwać plebsowi poezyą, mającą jakiś związek z życiem społecznem, z ideami i ideałami, z miłością ludzkości i uszlachetnianiem jej, z moralnością i religią, z logiką, zwłaszcza z logiką. Halucynacya, w której kwitną odurzające kwiaty wizyj i ekstaz, w której można się wessać w praiłowe tajnie prabytu duszy, zwłaszcza w jej nielogiczne przeskoki, suggestya dla suggestyi, nastrój dla nastroju, poezya jednego dla jedynego, metasłowo — to są hasła nowej, najwyższej poezyi! Ale jakżeż dobrać się do tego cudownego raju halucynacyi, gdzie tak czarodziejskie rodzą się kwiaty? Marne pytanie — czyż mistrz w swoich pismach nie wskazał na to sposobu? Więc cztery kąty pokoju zapełniały się z dniem każdym nowym rzędem próżnych butelek, nowo narodzony geniusz wsysał się w praiły bytu, aż po dniach wielu i po nocach wielu schodziło z wyżyn ekstazy nowe objawienie, olbrzymie poema o trzech zwrotkach, razem wierszy dwanaście. Świat stawał w swym biegu zdumiony i czytał i jeszcze raz czytał prorocze słowa, nieróżniące się wiele od słów głośnej w swoim czasie parodyi:

Hipopotamy żalu kroczą
Po menażeryi mych rozpaczy...

Ale typy takie i taka sztuka, poza śmiesznością, miały także i bardzo smutne strony. Nasuwały się więc niejednemu patrzącemu i poważne myśli. Czyżby nie można przeciwstawić zwyrodniałej tej, sztucznej, poezyi prostego szczerego piękna natury? I wogóle, czy to wysuwanie poezyi i sztuki na jedyne bożyszcze świata, stawianie jednego nastrojowego sonetu ponad wszystkie wartości życia, czy nie jest to strasznem kłamstwem i nierozumnem mamieniem się? Pojmując nawet pod kątem poezyi to życie, czy poza poezyą pisaną nie istnieją inne objawy czarującą poezyę w sobie mieszczące, — czy nie istnieje poezya czynu?

Te myśli złożyły się na „Legendę“.

Roztacza się przed nami sielanka tak idealna, że gdyby taka w rzeczywistości istniała, trzebaby powiedzieć, iż jest wymarzoną. Ustrojona i w zachody słońca, płonące czerwono na sosnach, i w seledynowe błękity wieczorne, z czerniącemi się na nich wieżyczkami kościółka, owiana pogodną ciszą łąk i łanów wiejskich, ciszą przerywaną we dnie tylko turkotem wozu i porykiem wracającego z pola bydła, a w nocy dalekim odgłosem wartowników, lub uderzeniem o szybę lecącej do światła ćmy, a wśród tej uroczej przyrody urocze pożycie dwojga kochających się małżonków, nauczyciela wiejskiego i jego żony, dwojga dusz prostych i dziecięco naiwnych. Na to, i tak już słoneczne tło wysuwa się jeszcze bardziej świetlane zjawisko. Do pomocy nauczycielowi przyjeżdża z miasta młoda nauczycielka, szlachetne, idealne dziewczę, dostrajająca się doskonale do sielankowego otoczenia, a wznosząca się ponad nie wyższym umysłem i głębszem, poświęcającem się sercem. Dusza gorąca, wrażliwa na piękno i sztukę, dlatego że wrażliwa, nie mogła znieść karykatury tej sztuki, krzykliwego modernizmu i, aby wyrwać się z dusznej atmosfery dekadentów, z którymi ją przyjazne łączyły stosunki, przyjmuje posadę wiejskiej nauczycielki. Dość już jej nastrojów bez treści i siły życia, chce światła, energii, wiosny, szuka pola do „szaleństw, szlachetności“, do „poezyi czynu“. I w tem przeciwstawieniu tych dwu światów leży główny moment tej noweli. Światek nagiej duszy ukazany jest w listach jakiegoś dekadenta do nauczycielki, dekadenta o fizyognomii takiej, jak ją poprzednio naszkicowaliśmy, zeszpeconej ponadto cynizmem, — świat „poezyi czynu“, otoczony sielanką przyrody i serdecznego pożycia z zacnymi ludźmi, jawi się w jasnem świetle ofiarnej, sercem całem oddającej się pracy dla ludu i błogich plonów tej pracy.

„Legenda“, mimo niezaprzeczonych zalet jak jasny i idealny pogląd na życie, jak oryginalność pomysłu, jak serdeczne wczucie się w psychologię serc prostych i naiwnych, jak silne odtworzenie sielankowego nastroju, należy do mniej udatnych utworów Sewera. Przedewszystkiem psuje artystyczne wrażenie to, że przez całą prawie powieść odczuwa się dość silnie, iż nowela jest tylko argumentem na powziętą z góry tezę. Nadaje to noweli charakter polemicznego artykułu, dającego się streścić w tych słowach: „to błoto, a to złoto — wybieraj“. A potem, choć każdy woli złoto, to jednak złoto, takie, jak je tu widzimy, wskutek miękkich odcieni i drobnych kształtów, jakie mu nadał autor, nie osiąga zamierzonego skutku. Miękka, senty-

mentalna sielanka, w jaką ostatecznie ideał „Legendy“ skrystalizował się, może się podobać, ale nie zaimponuje, nie ma tej siły i tęgości, ażeby mogła stanąć na ruinie jednego świata, jako zmuszający do hołdu, zwycięski przedstawiciel drugiego. Zasada przeciwieństwa dwu tych światów w założeniu była słuszna, spaczyła się jednak przy artystycznem wykonaniu.

Niezależnie już od tezy, „Legenda“, jako sielanka, jest przeforsowana. Tyle tu sentymentalizmu, tyle przeczulonej czułości, że wszystko to w końcu ogromnie nuży. Choć słońce i pogoda są zawsze miłe, tem milsze w utworze literackim, że w dzisiejszej beletrystyce tak ich mało, to jednak takie przesłonecznienie, jak je „Legendzie“ widzimy, wywołuje przesyt. Opisy przyrody są piękne, niema w nich jednak całkowitej bezpośredności; czuć, że autor na opisywane szczegóły sam patrzył i patrzył z zachwytem, patrzył jednak przez literackie opisy innych pisarzy. I jeszcze jedno. Wyjazd nauczycielki do miasta, aby przyjść choremu dekadentowi z pomocą, wydaje się bezcelowym dla kompozycyi utworu wstrętem. Jeden z krytyków dojrzał w tym wyjeździe przełomowy, tragiczny moment noweli. Mili ci krytycy, jakąż oni mają bujną wyobraźnię! Jest jednak w tej dowolnej hipotezie racya o tyle, że wyjazd ten nadawał się na moment przełomowy i gdyby autor tę hipotezę krytyka był przeczuł i za nią poszedł, to uratowałby jedność artystyczną utworu, której brak przy zakończeniu się odczuwa. Kończy się ta nowela projektem małżeństwa między panną nauczycielką, a owdowiałym nauczycielem. Zakończenie w szczegółach prześliczne, ale, jeżeli w tym kierunku miała pójść akcya, to nie trzeba było kłaść takiego nacisku na drugą akcyę, odnoszącą się do modernizmu. Druga ta akcya i złączona z nią idea przeciwstawienia modernizmowi poezyi czynu rozpływa się niedociągnięta gdzieś w mgle, projekt zaś małżeństwa zjawia się dość niespodzianie. Powstaje stąd chaos i przyćmienie właściwej idei utworu.

Nasuwa nam jeszcze „Legenda“ pewną ogólniejszą obserwacyę, odnoszącą się do poprzednich utworów Sewera, mianowicie co do pewnego rodzaju tematu, jaki szczególniej lubi Sewer w swoich powieściach poruszać. Jest nim sztuka. Autor jest zapalonym jej wielbicielem, więc uwielbieniu temu daje nieraz wyraz, czy, gdy przedstawia malarza, dążącego do zdobycia tajemnic pleinair'u, lub wieśniaczkę czytającą Słowackiego i Szekspira i poprawiającą wiersze swojego syna. Wyrażano tu i ówdzie zdanie, że motywy takie sprawiają w powieści wra-

żenie nienaturalności, ale nie dano racyi, dla czego. Pomijając już taką ekscentryczną sytuacyę, jak to, że prosta góralka czyta Szekspira, sytuacyę, która już dla swej ekscentryczności sprawia w powieści wrażenie nieprawdopodobieństwa (choćby nawet w rzeczywistości była najzupełniej prawdziwą) przyczyna nienaturalności leży głębiej. Zapewne, także talent artystyczny może przedstawiać dla powieściopisarza jakiś ideał, będzie to jednak ideał drugorzędny, ze spiżowemi ideałami moralno-życiowemi niemogący żadną miarą iść w porównanie. Więc, kiedy autor dwa te rodzaje ideałów tak obok siebie umieszcza, jakby je stawiał w równej linii, wykracza tem samem przeciw prawdzie życiowej. Mogą zajść sytuacye, gdzie wskutek zbieżności dwóch tych ideałów w jedno, i talent artystyczny wyrośnie na pierwszorzędny ideał powieści. Taki Michał Anioł, spędzający kilka lat na rusztowaniu pod sklepieniem Sykstyny, znużony, chory, a mimo to malujący zawzięcie, z głową wciąż przegiętą w tył, tak, że oczy z orbit wychodziły, z farbami kapiącemi ze sklepienia, na twarzy, szamocący się z rozpierającą go, nieuchwytną koncepcyą, — zarysowałby się wspaniale w noweli. Zresztą, nie potrzebujemy zatrzymywać się dłużej nad uzasadnieniem tej idei, bo „Legenda“, przeciwstawiająca poezyi pisanej poezyę czynu, najlepiej dowodzi, że i autor już teraz to samo zdanie podziela.

W tym samym zbiorku pomieścił autor dwa jeszcze drobniejsze obrazki, o mglistym nastroju „Euthanasyę“ i rozwodową historyę, „Kto ona?“ W tej rozwodowej historyi winnym jest mąż, zawiniła i żona, a jednak postępowanie żony w jasnem i dodatniem ukazane jest świetle. Czyżby p. Sewer chciał być obrońcą romansujących poza plecami męża żon?

Szkoda, że zaniedbał *Przegląd* sprawozdania z powieści Sewera „Matka“. Powieść w głównym swym zrębie bardzo udana; dziwimy się nawet, że tak dzisiaj o niej cicho. Przypomniała nam się w tem miejscu dlatego, że chcemy kilka słów poświęcić p. Orkanowi, a powieść ta opowiada o matce p. Orkana i o jego młodych latach. A jak p. Sewer zapewnia, powieść ta jest prawdziwą nawet i w drobnych szczegółach.

Sądząc z tej powieści, młodość p. Orkana była „sielska, anielska“. Spędzona pod skrzydłami kochającej, a bogobojnej matki, wieśniaczki, na łonie pięknej, podkarpackiej przyrody, w ciągłem, bezpośredniem zetknięciu z ludem, była najlepszem przygotowaniem dla przyszłego

powieściopisarza motywów ludowych. Czy posiew tej młodości wydał spodziewane plony?

Pan Orkan orłem nie jest, przynajmniej dotychczas orlego nie zatoczył lotu, ale jest dobrym powieściopisarskim talentem. Zwróciwszy się ku ludowi, kreśli jego życie w najdrobniejszych szczegółach, w kościele, przy pługu, w karczmie, pod strzechą. Faktura realistyczna służy mu bardzo dobrze; opisywany przedmiot, uchwycony trafnie w kilku uderzających na pierwszy rzut oka rysach, występuje zawsze plastycznie. Dzięki tej plastyce, także wskutek zachowania gwary ludowej, głównie zaś wskutek zżycia się autora z wsią, niepodobna przy czytaniu jego kartek nie czuć blizko tej wsi przy sobie.

A jednak po przyglądnięciu się pewnej ilości sielskich obrazków w zbiorku „Nad urwiskiem“ [1] widzi się jasno, że ta blizkość jest bardzo złudną. Natura chłopska jest w nich strasznie płytko pojęta; chłop p. Orkana jest zwykłem sobie, dwunożnem zwierzęciem. Chłop ten mówi wprawdzie, ale tylko jedno słowo: „bieda“; widzi go się także w kościele, ale widzi się tylko ciało ściśnięte w ciżbie i pocące się. Poza tem, jest to nierozumny koń roboczy, prawie niczego prócz biedy nie odczuwający: czasem tylko wyglądnie z tych obrazków kawałek ludzkiego serca, ale to blady promień i tylko przez chwilę świeci. Pan Orkan pisał, jak czuł i myślał, chciał dać portret ludu, ale w rzeczywistości dał tylko jego karykaturę. Nie trzeba wielkiej znajomości wsi, aby zrozumieć, że chłop nasz ma swoją głęboką logikę, prostą, ale głęboką, że ma też i głębokie serce. I gdybyż tę wieś tak przedstawiał wytworny dandys, obserwujący ją monoklem, z okien biegnącego pociągu, ale syn ludu, tyle lat z nim obcujący — to już doprawdy łamigłówka. Na szczęście, na tej płytkości połapał się już częściowo autor, bo w ostatnim utworze „Komornicy“ [2], skądinąd strasznie pesymistycznym i od czarnych farb aż się uginającym, maluje chłopów bardziej do ludzi podobnych.

Płytkość, pesymizm i radykalizm, to są trzy kule u nogi p. Orkana, które dalszej jego literackiej ewolucyi bardzo stanęłyby na przeszkodzie. A szkoda byłaby i talentu i tych pięknych lat młodzieńczych, w których taka nieprzebrana krynica artystycznych motywów się kryje. „Matka“ p. Sewera mogłaby mu wskazać jasną drogę dalszej literackiej działalności.

[1] Władysław Orkan: „Nad urwiskiem“. Szkice i obrazki. Lwów 1900.
[2] Tenże: „Komornicy“. Powieść. Lwów 1900.

W powodzi szarych, nudnych, mniej lub więcej bezwartościowych książek, wypłynęła na wierzch jedna, bardzo wybitna. Autor zjawia się po raz pierwszy na widowni, nie powinienby więc jeszcze mieć za sobą technicznej wprawy, a jednak posiada ją w wysokim stopniu. Wstępnym bojem, pierwszą powieścią, zajął bardzo poważne stanowisko w dziedzinie beletrystyki. Mamy tu na myśli „Miraże“ Mariona [1].

Czy pod pseudonimem „Marion“ kryje się autor czy autorka, kwestya to dla krytyki literackiej drugorzędna, poruszamy ją jednak o tyle, o ile posłużyć nam może do trafniejszej charakterystyki powieści. Otóż, nie wdając się wcale w samo *meritum* faktu, nie wykluczając bynajmniej możliwości, że Marionem jest stary, łysy, zatabaczony literat, konstatujemy tylko, że ton i ogólny charakter powieści, sposób patrzenia na świat i życie, psychologia w przedstawianiu ludzi i rzeczy, są takie, jakby tę powieść pisała kobieta. Kobieta jeszcze młoda, stojąca dopiero u wejścia do właściwego życia, niezwykle wrażliwa, nie bez pewnych idealnych porywów, nawet nie bez pewnej samodzielności, ale rządząca się tylko wyobraźnią, kapryśna, ekscentryczka, wielka egoistka, posiadająca jakiś daleki, pierwiastkowy zmysł moralny, ale o właściwej moralności, jaki jest cel życia, co jest dobro, co obowiązek, co poświęcenie, niemająca najmniejszego pojęcia, lub co jeszcze gorzej, nie chcąca mieć pojęcia. Jak z tej powieści wnosić można, musiała ta etyczna kwestya przed nią czasami stawać, ale zbyła ją półmyślą, — jak okruszynę chleba, strąciła ją lekko ze stołu. A jednak okruszyny takie przydałyby się jej bardzo, bo najwidoczniej w świecie straszny głód cierpi. Szukała długo i gorączkowo za jakiemś szczęściem, za jakimś celem życia, ale że szukała na fałszywej drodze, więc to światełko, za którem goniła, było błędnym ognikiem, złudnym mirażem. Teraz już znużona przestała szukać, w duszy czarna pustka, w której ani jeden świecący atom nie wiruje, a tu zbliża się ku niej życie właściwe, życie nakładające obowiązki. Na to życie patrzy okiem martwem, bezwładnem, zupełnie nie rozumiejąc, czego ten natręt od niej chce. Więc odwraca się od tego życia ku wnętrzu swej duszy, wraca myślą do czasów minionych i wspomina dawne lata, począwszy od pierwszego rumieńca wobec mężczyzny, wszystkie zabawy, znajomości, wszystkie marzenia i nadzieje i ułudy i rozczarowania, czarne rozczarowania, aż po tę chwilę, gdzie ten natręt z jakiemiś obowiązkami się zjawił, — twarde, rzeczywiste życie. Cała młodzieńcza energia

[1] Marion: „Miraże“. Powieść. Warszawa 1900.

silnej wrażliwości w tym kierunku wspomnień popchana, odtwarza te wszystkie przejścia z niezwykłą wyrazistością, z uwypukleniem każdego najdrobniejszego szczegółu, który cieszył, albo bolał; wszystko to tak obecne, jakby się w tej chwili przed oczyma działo, jakby miniona młodość po raz drugi wróciła i każda jej chwila na nowo była przeżywaną. To jest powieść „Miraże“ i co do swego charakteru i co do treści.

Czy ta cała hipoteza, co do autorstwa kobiety, zwłaszcza takiej kobiety, jest słuszną, czy nie, nie zależy nam na tem wcale. Powtarzamy jeszcze raz, że autorstwo możemy także przyznać łysemu, zatabaczonemu staruszkowi. Chcieliśmy tylko zaznaczyć, że taki jest charakter powieści, a tak wyrazisty, że do tej hipotezy prawie zmusza. Jeżeli to pisał staruszek, to trzeba powiedzieć, że w tę hipotezę dobrze umiał wejść i wytrwał w niej konsekwentnie aż do końca.

Hipoteza ta tłumaczy nam dobrze wszystkie właściwości tej powieści. Tłumaczy nam najpierw, dlaczego postacie męskie są tylko zewnętrznemi naszkicowane rysami, bez pogłębienia psychologicznego, a dlaczego to pogłębienie subtelnie jest wyżyłkowane aż do najdrobniejszych poruszeń i drgnień przy charakterach kobiecych, zwłaszcza przy charakterze bohaterki powieści. Tłumaczy nam dalej samą kompozycyę utworu. Kompozycya ta, bardzo oryginalna, mogłaby się wydawać na pierwszy rzut oka luźną Najpierw jedne wakacye, gdzie panny romansują z wracającymi ze szkół studentami, potem cały rok, kiedy studenci są w szkole, zbyty pobieżnie; znowu drugie wakacye, szeroko opisane; potem rozmaite perypetye, łudzenia się i rozczarowania panny, w mieście, na wsi, w miejscu kąpielowem, to w tym, to w tamtym domu, to w ogrodzie, to na ulicy, przy całem mnóstwie różnych osób, to silniej, to mniej wyraziście zarysowanych, z których wszystkie niby wchodzą w akcyę, a właściwie wszystkie poza nią stoją, — to wszystko na pierwszy rzut oka może się wydać błędem kompozycyi. Ale, jeżeli pojmie się tę powieść, jako jeden ciąg wspomnień i marzeń kobiety, jako wspominanie tych chwil tylko, które o jej serce dotykały, to kompozycya staje się zupełnie jednolitą.

I styl także, bardzo oryginalny, zyskuje w tej hipotezie swoje zrozumienie. Cała powieść, choć kilka lat obejmuje, pisana jest w czasie teraźniejszym (nie spotyka się w niej nigdzie użycia czasu przeszłego), bo w takich wspomnieniach dawne uczucia i wyobrażenia stają się żywą obecnością. Sposób ten stylistyczny ma swoją niezaprzeczoną wartość, bo opisywany przedmiot stawia żywo przed oczyma, ale, po-

nieważ napręża uwagę, w obszerniejszej powieści, jaką są „Miraże“, w końcu nuży. Nużą także w końcu zdania krótkie, urwane, opisy szkicowane najwypuklejszemi tylko momentami, kreskowane jakby od niechcenia. Niektóre opisy są tak synoptyczne, że niczem nie różnią się od sceneryi, jaką dramaturdzy przed aktami w nawiasie zaznaczają. Naprzykład: „Weranda eleganckiej restauracyi. Widok na aleje, gdzie w obłokach kurzu prażą się tłumy pod ciężkiem nakryciem przywiędłych liści. W restauracyi płoną kinkiety elektryczne, kelnerzy krążą między stolikami, pukają korki szampana, brzęczą talerze, przygrywa koncertująca orkiestra“. Jest w tej pobieżności także pewien odcień samolubstwa kobiety, która wszystkiemu, co nie jest nią, tylko przelotną poświęca uwagę. Ale wiele z tych opisów musi się podobać, bo są niezmiernie żywe, plastyczne, rzucane z pewnością siebie i z elegancką niedbałością; zwłaszcza w tego rodzaju psychologicznej powieści, w takim jakby pamiętniku ekscentrycznej, nerwowej kobiety są one zupełnie na miejscu. Jako objektywne opisy, jako sharmonizowane malowidła, jako odczuwania przyrody, mniejszą mają wartość. Choć i pod tym względem posiada Marion widoczny talent. Zaczynający tę powieść opis polnej drogi, przed zaściankowem miasteczkiem, jest prześliczny, harmonijny i odczuwający przyrodę.

Najpotężniej przejawia się talent Mariona przy malowaniu nastrojów i stanów psychicznych, w czem czasem zbliża się do Żeromskiego, czasem do Przybyszewskiego (w tym ostatnim wypadku staje się trochę krzykliwy). Naprzykład taki udatny ustęp: „Na duszę Jadwini opada zwolna ciężkie, szare przygnębienie. Bierze ją w niewidzialne, nieugięte ramiona i tłoczy, tłoczy do ziemi. Poza niem nie widzi już świata, przyszłości, pragnień, tylko jakiś przestwór bezkolorowy, jakieś jałowe ugory, jakieś osypiska przysiadłe, z których sucho szeleszcząc, zsuwa się drobny, dech tamujący, piasek“.

Zestawiając wrażenia, co do formy, przyznać należy, że w każdym calu widzi się talent, ale wskutek ciągłego uobecniania rzeczy, wskutek ciągłej nerwowości opisów, krótkiej, urwanej, skaczącej często paznogciami w oczy, w końcu jest się strasznie znużonym, nawet zirytowanym. Za wiele nerwów! Może, gdyby ta powieść była napisaną w formie bezpośrednio zwierzającego się pamiętnika, w osobie pierwszej, bezpośredniość ta złagodziłaby po części to nerwowe drażnienie, tak jak jest, pisana o osobach trzecich, z osobistą drażliwością osoby pierwszej, wadę tę tylko podnosi.

Wrażenie, co do treści i ducha powieści, jest bardzo ujemne. Przyczyna istotna leży w tem, że kiedy czyta się powieść o ludziach, chce się widzieć ludzi, a człowiek bez strony etycznej nie jest człowiekiem. O tej stronie w tej powieści zupełnie głucho. Sroży się tylko burza pocałunków, zalotów, czułych gruchań, zmysłowych popędów, po tem wszystkiem rozczarowania, nerwowe spazmy i przygnębienie. Świat taki, jak go w tej powieści widzimy, sprawia wrażenie wielkiej, żelaznej klatki, w której gromadka małpek rozbrykała się w najlepsze, a wśród pląsów, skoków, wywijasów, stoczywszy się aż po sam kraniec klatki, pod żelazną kratę, na niespodziane dotknięcie zimnego żelaza, martwieje na moment. A że te małpki, wobec zapewnień Mariona, mają być ludźmi, stąd wielki niesmak.

Jakie są nasze najżyczliwsze życzenia, z tego, cośmy powiedzieli, aż nadto widoczne.

I drugi jeszcze młody pisarz występuje po raz pierwszy na widownię. Marionowi, jak na razie sądzić trzeba, talentem nie równy, ale przewyższa go o niebo całe tem, że coś kocha poza sobą, że ma umysł i serce, dla szlachetniejszych myśli i uczuć otwarte. Obecny jego utwór na powierzchnię nie wypłynie, ale wypłynąć mogą następne. W każdym razie autor należy do ludzi, którzy do pisania są uprawnieni i pisać powinni. Ukryty także pod pseudonimem: Władysław Zdora.

Bohaterem powieści „Fuimus“ [1] jest młody człowiek, idealny entuzyasta, marzący tylko o szczęściu drugich; zrazu pragnie zapewnić szczęście swojej rodzinie, potem rozszerza widnokrąg patrzenia i chce się poświęcić cały szczęściu ludzkości. Aż potąd marzenia młodzieńca z takiem są kreślone uczuciem, że nie trudno rozpoznać, iż ideał bohatera powieści jest także ideałem autora. Odtąd rozchodzą się ich drogi. Bohater ten nie codzienną, mozolną pracą do wielkiego celu dąży, on pragnąłby jednym wielkim czynem cały świat odmłodzić. Wpadł w szpony socyalizmu, ale socyalizm wydaje mu się za chłodny i za powolny w dążeniach, zaciąga się więc do rosyjskiej partyi nihilistów. I tu już zwykły bieg podobnych aspiracyj: przyłapany przez policyę dostaje się do więzienia, potem zesłany na Sybir unieszczęśliwia siebie i rodzinę.

[1] „Fuimus“. Powieść przez Władysława Zdorę. Kraków. 1900.

Pomysł utworu był w myśli autora zatoczony szerzej. Szło mu o przedstawienie stosunku trzech ostatnich pokoleń do miłości ojczyzny. Dziadek aż do ostatniego tchu życia chowa tę miłość w sercu, ojciec, ścierpły smutnemi doświadczeniami życia, ścierpł także dla wszelkiej ogólniejszej miłości, syn wreszcie daje się porwać kosmopolitycznym, rewolucyjnym mrzonkom. Więc gdy w sercach tej miłości ojczyzny niema, to już ta ojczyzna w mogile na zawsze — *fuimus*. Pomysł bardzo szeroki, mający wartość rzetelną, piękny, ale w wykonaniu nie przeprowadzony umiejętnie. Wskutek słabego wykonania zostały z tego pomysłu tylko szczątki, zawadzające nawet jednolitości utworu. To, na co głównie autor uwagę czytającego zwraca, to są dzieje tego trzeciego pokolenia.

Przedstawiciel tego trzeciego pokolenia nie jest konsekwentnie przez autora pojęty. Autor daje mu się czasem wywieść w pole, coś, jakby chwilami w jego bohaterstwo wierzył. Tymczasem, jak pokazują czyny, jest to charakter słaby, zwykły zapalony fantasta, chorujący na manię wielkości. Czasem wpada autor w patetyczny liryzm, to znowu brak wyrazistości tak w kreśleniu charakterów, jak i w części naracyjnej i opisowej, brak przedewszystkiem zestrojenia poszczególnych epizodów w artystyczną jedność. Jest jednak coś, w czem tkwi talent, a to trafna analiza psychicznych stanów. Chwila przed aresztowaniem lub psychopatyczny stan rozdwojenia jaźni w celi więziennej, albo wreszcie chorobliwy stan umysłowy ojca, poprzedzający samobójstwo, nakreślone są nawet z finezyą. Gdyby autor zwrócił się na razie do małych obrazków, przedstawiających jeden tylko moment, i to jakiś moment psychiczny, to poszedłby, o ile z tej powieści sądzić możemy, drogą sobie najwłaściwszą. Czy tą zresztą, czy inną pójdzie drogą, życzymy mu serdecznie powodzenia.

Wspomnijmy jeszcze o ostatniej powieści Kowerskiej: „Z pamiętnika ornitologa“ [1], ale tylko mimochodem, bo tym razem niedopisało pióro autorce. I pomysł nie nowy i wykonanie słabe i niezwykłe u autorki bawienie się w drastyczność. Ale pocieszmy się tem, że i Homerowi trafiała się drzemka.

Ks. J. Pawelski.

[1] Zofia Kowerska. „Z pamiętników ornitologa“. Kraków. 1900.

Michał Grabowski, jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne. *Dr. Tadeusz Grabowski.* W Krakowie. Druk „Czasu". Nakładem *Przeglądu Polskiego.* 1900 (1901). Odbicie z *Przeglądu Polskiego.* (W 8 ce. str. 109, z portretem).

Pracę d-ra Grabowskiego przeczytaliśmy jednym tchem, bo pisana jest nadzwyczaj zajmująco, bo autor ma uczony pogląd na działalność wybitnego krytyka, bo umie roztoczyć przed czytelnikiem szersze horyzonty. Równocześnie jednakże uczuliśmy wielki żal do autora, który przy swoich zdolnościach mógł dać nauce polskiej długo wyczekiwane studyum o pisarzu niepospolitego talentu, a dał tylko „próbę studyum". Z pracy jego bowiem widoczna jest na każdym kroku powierzchowność, nienależyte obznajomienie się z opracowywanym przedmiotem, nieznajomość nakoniec źródeł, bez których niepodobna było pisać o Grabowskim. A przecież źródła te powinny mu były być dobrze znane jeszcze przedtem, zanim zabierał się do pisania swojej pracy. Jakie zaś skutki takiej powierzchowności? — tego nie potrzeba chyba dowodzić.

Wprawdzie nie zajmowaliśmy się nigdy bliżej Grabowskim, jakkolwiek spory kawał czasu poświęciliśmy studyom specyalnym nad okresem romantyzmu w pierwszej połowie XIX. wieku, a mimo to przecież jesteśmy w stanie aż nadto wiele dowodów przytoczyć na poparcie podniesionych przez nas wyżej zarzutów. Ponieważ zaś wykazywanie wszystkich luk i braków, jakie napotkaliśmy w pracy d-ra Grabowskiego, zajęłoby zbyt wiele miejsca, przeto ograniczymy się do wykazania powierzchowności jego rozprawy i niewyzyskania źródeł w jednym tylko rozdziale jego pracy — o młodych latach Grabowskiego.

„Niezmiernie trudno nakreślić dobrą biografię, gdy materyał do niej szczupły i nieodpowiadający wcale nawet dość skromnemu wymaganiu", powiada autor przystępując do życiorysu Grabowskiego. Już to jedno zdanie świadczy aż nadto wymownie, iż autor nie miał wyobrażenia, jak dalece rozminął się z prawdą. Boć przecież materyałów do biografii Grabowskiego jest bardzo wiele, tak że wystarczają w zupełności do skreślenia nawet szczegółowego życiorysu. Weźmy lata młode, lata szkolne. O tem, co Grabowski porabiał w szkole OO. Bazylianów w Humaniu, dowiadujemy się z pracy omawianej bardzo a bardzo mało, jakkolwiek młodość, która „jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały", według wyrażenia Krasińskiego, zasługiwała na szczegółowe traktowanie. Gdyby autor był wziął do ręki artykuł p. Zygmunta Wasilewskiego p. t. „Narodziny poety-romantyka" (*Ateneum,* 1895, III),

byłby poznał, jak wiele materyału znajduje się w nim do biografii Grabowskiego. Z przytoczonych tam ustępów z pamiętnika rękopiśmiennego Goszczyńskiego byłby się dowiedział, iż Grabowski „dziecko ładne... przytem zamknięty, poważny, arystokrata, zwrócił na siebie uwagę kollegów i wielu podbił jak kobieta, między innymi Bohdana Zaleskiego. Odtąd ściślejszy między nimi stosunek, aniżeli był mój... Bohdan kochał się w nim prawie jak w dziewczynie...“ tak, że jak wiemy z jednego listu, Grabowski był pierwszym, któremu Zaleski czytał swoje utwory. Z pracy znowu p. Duchińskiej o Zaleskim byłby się autor dowiedział, że Grabowski wraz z Goszczyńskim i Zaleskim zawiązali tryumwirat, nazwany od początkowych zgłosek nazwisk jego członków: Za-Go-Gra, że w tem kółku ścierały się zdania, wyrabiały poglądy na poezyę, w czem wiele pomagała lektura pism warszawskich i wileńskich. Jak zaś serdeczny i przyjacielski był ten stosunek, o tem świadczy jeden z „Pyłków“ Zaleskiego:

Bohdan, Seweryn, Michał — między nami trzema
Odgrywa się osobne niejako poema
Wszyscy trzej bo rówieśni, z jednego my gniazda
Porwali się do lotu...

Z pracy nadto p. Wasilewskiego byłby się autor dowiedział, że mylne jest jego twierdzenie, jakoby Grabowski skończył dwie najwyższe klasy w szkole bazyliańskiej (str. 12), albowiem pod koniec roku szkolnego 1819 r. zaszła nieprzyjemna scena pomiędzy Grabowskim a księdzem prefektem, który mu kazał za jakieś przewinienie klęczeć w klasie, a gdy Grabowski nie wykonał kary, zmuszony był opuścić zakład humański. Tak więc ubył jeden z członków tryumwiratu, który wydawał przez pewien czas rękopiśmienne zbiory wierszy p. n. „Ćwiczenia umysłowe“, na wzór wydawanych współcześnie w Warszawie przez byłych uczniów liceum krzemienieckiego „Ćwiczeń naukowych“. O tem wydawnictwie humańskiem mamy wzmiankę w liście Grabowskiego z dnia 16 lutego 1825 roku, kiedy on porównując teraźniejsze swoje stosunki z Zaleskim przypomina mu te czasy, w których „podobne składali pamiętniki prac pierwszej... młodości“. Nie ma autor też racyi mówiąc, że po przybyciu Grabowskiego do Warszawy, „stosunki z dawnymi przyjaciółmi pozostały na stopie wysokiej serdeczności“ (str. 16). Bo jakkolwiek według słów Zaleskiego:

Do stołecznego Lechów grodu
We trzech ruszyliśmy za młodu

Bojana swego niosąc pieśni
Otarte nieco z wieków pleśni...

to przecież na podstawie pamiętnika Goszczyńskiego, na mocy ustępu dotąd nieogłoszonego, możemy stwierdzić, że odnowiony tryumwirat nie rozwijał się należycie w swoich czynnościach, kiedy „harmonia trudna" była, gdyż „Grabowski salonowy, panicz, francuzik ze wszystkiemi wadami francuzika..." W ogólności o pobycie Grabowskiego w Warszawie wyraża się autor nadzwyczaj ogólnikowo tak, że zdaje się jakoby Grabowski przebywał w syrenim grodzie aż do roku 1830. Cały ten okres kształtowania się poglądów przyszłego krytyka został w omawianej pracy niemal że pominięty, gdyż autorowi były nieznane listy Grabowskiego do Bohdana Zaleskiego, ogłoszone w *Tygodniku Illustrowanym* z r. 1890, jako też urywek pamiętnika Goszczyńskiego, wydany przez p. Wasilewskiego, p. n. „Między kolegami z Humania" w „Księdze pamiątkowej na uczczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza" (Warszawa 1899, I, str. 163 i nast.). A przecież obydwa te źródła przyniosły niesłychane bogactwo szczegółów do biografii Grabowskiego, które tutaj pokrótce streścimy, ażeby dać dowód, iż twierdzenie autora co do braku faktów biograficznych jest z gruntu mylne, że owszem szczegóły te są bardzo bogate i cenne. I tak z listu, datowanego 17 listopada 1823 roku, dowiadujemy się, iż Grabowski prowadził życie bez celu: „O ileż razy potrzebowałem ciebie — pisze do Zaleskiego — ale moje błędne, niepewne i bezcelne życie nie pozwala mi tej słodyczy przyjaźni, aby dzielić z tobą troski i nadzieje moje... Nie uwierzysz, że w tym miesiącu miałem więcej pieniędzy, jak nigdy, i że znowu jestem bez szeląga przy duszy". Wogóle Grabowski — jak pisze 4 maja 1824 r. — „nudził się, robił długi, czytał Walter-Scotta, tracił pieniądze" i, rzecz dziwna, stracił „zapał do wszystkiego, co jest szlachetne, piękne". Mimo to czytał wiele rzeczy przeważnie francuskich, angielskich i niemieckich, zachwycał się Mickiewiczem i Zaleskim, którego to ostatniego utwory, co „jak czyste wody Dnieprowe powtarzają samotne brzegi i błękitne niebo Ukrainy, przeniosą mię w te miejsca i czasy, kiedym nie znał innego uczucia nad głęboką moją i czystą przyjaźń dla ciebie". Tymczasem, jak jeszcze w r. 1823 wyjechał z Warszawy Zaleski, tak teraz opuszcza Grabowskiego kolega szkolny z Humania, Jan Krechowiecki, udający się na Ukrainę. W samotności zaczął Grabowski nabierać przekonania, że musi to być napisane w górze, ażebym ciągle wiódł najnieregularniejsze życie..." Lekkomyślność zaś Grabowskiego była wielka, zwłaszcza na punkcie

finansowym, gdyż pieniądze w kwocie 1000 złp. otrzymane od matki, idą na pokrycie kosztu trzech uczt, które wyprawił na przeprosiny z poetą Humnickim, gdyż miał z nim mieć pojedynek skutkiem jakiejś sprzeczki. Kiedy brakło wesołych towarzyszów i pieniędzy, Grabowski zabiera się do książek, czytuje pamiętniki historyczne francuskie i „gotuje się do dyplomatycznego zawodu". Charakterystycznym jest z tego czasu sąd Grabowskiego o „Balladach" Stefana Witwickiego tak słuszny i trafny, że do dzisiaj się utrzymał: „Jam skakał ze złości — pisze do Zaleskiego 20 października 1824 r. — jak mnie zaczął piszczeć o jakichś robaczkach, Jaśkach i Marylkach. Jeżeli to romantyczność, życzyłbym, aby ją te duchy i upiory zdusiły... nie wiem, do czego nas doprowadzą te duchy, dyabły, mazgajstwo; a najwięcej owe... płaskości i gburostwa, które niektórzy romantycznością mienią... W Mickiewiczu widać geniusz... widzę złą szkołę, wielkie błędy, lecz okupione... Boskim promieniem, przeciwnie w Witwickim żadnej myśli prawdziwej..." Równie interesujące szczegóły dla biografii Grabowskiego znajdujemy w liście z 2 lutego 1825 r. Dowiadujemy się, że czytał romans Saint-Pierra *Paul et Virginie,* Walter-Scotta *Lettres de Paul* i Byrona *Conversations,* że dał do *Astrei* rozbiór Witwickiego i że pracował nad rozbiorem „Jana Tenczyńskiego" i nad rysem literatury romansów, dowiadujemy się dalej o nudach, jakie go trapiły i o długach, w jakie zabrnął. Tymczasem w połowie r. 1825 Grabowski wyjeżdża na Ukrainę do Aleksandrówki (o czem dr. Grabowski nic a nic nie wie), do opuszczenia zaś Warszawy spowodowało go nadwątlone zdrowie i chęć wstąpienia do służby dyplomatycznej w Petersburgu. Już wybrał się był nawet Grabowski w podróż we wrześniu, ale powrócił już z Kijowa „gdyż stan jego zdrowia się pogorszył". Niewesołe wszelako były dnie pobytu na Ukrainie, gdyż brak było mu odpowiedniego towarzystwa, kiedy wszyscy, to — według jego wyrażenia — „barbarzyńcy, scyty, antropofagi! Co za wyobrażenia! nie zrozumiesz, jak dziwne robi na mnie wrażenie, że może mieszkać tu będę; jest to zupełnie za światem, w krajach czczych, *regna inania!*" Pomimo więc, że był „roztrzepanym i płochym" i umiał „ożywiać całe koło", często „uczuwał się znudzonym — i mimo wszelkich wykrzykników zamykał się na kilka godzin u siebie". Wnet przecież przyzwyczaił się „do życia samotnego", w zimie pracował wiele od 8 z rana do 12 w nocy, brak mu tylko było warszawskiej jego biblioteki. Rozczytywanie się w rosyjskiej literaturze obudziło w Grabowskim chęć do pisania: „z poezyą myślę pożegnać się na zawsze, zawszem mało talentu sam widział.

Jest zawód, w którym obiecuję sobie pośpiechu tj. romansów historycznych, zwłaszcza z dziejów jak nasze. Teraz, chociaż pozbawiony wszelkich pomocy i dla braku kronik zatrzymywany za każdym krokiem, zacząłem pisać romans z czasów klęski warneńskiej; drugie dwa przedmioty są: Samuel Zborowski i spisek konfederatów barskich za Stanisława Augusta". Z listu wreszcie z 4 stycznia 1826 r. dowiadujemy się o miłości Grabowskiego: „Widziałeś sam — pisze do Zaleskiego — byłem kochany, a jednak wyrzekłem się uśmiechów miłości; kochałem i jeszcze serce drży na to wspomnienie... a jednak opuściłem na zawsze wyciągającą objęcia kochankę... dlatego, że nie wierzyłem w szczęścia uśmiechy..." Teraz też z namowy Zaleskiego chciał zbierać pieśni ludowe, lecz niestety, „wszystko, co robił, aby zebrać co z tych pieśni, było bezskutecznem: każdy, kogo się pytał, brał to za żarty, śmiał się, jam się zniecierpliwił nakoniec i porzucił. Daj mi sposób — pisze — a wszystko zrobię, co zechcesz". W lutym pojechał Grabowski do Jana Krechowieckiego, a z nim razem na kontrakty do Kijowa, poczem przywiózł go ze sobą do Aleksandrówki, gdzie na rozmowach płynął im czas szybko, wspomnienia z lat zarannych, z lat dawniej wspólnie spędzonych dostarczały ciągle nowego wątku, projekta rodziły się w ich głowie na poczekaniu (np. projekt zwiedzenia Włoch, Szwajcaryi i okolic nadreńskich). Ważnym też do tej epoki formułowania i zdań i poglądów Grabowskiego jest jego sąd o „Maryi" Malczewskiego: „Nie rozumiem, jak można upodobać sobie tak dziwną igraszkę rozumu, aby pełne energii pomysły i wysłowienia odziewać tą naciąganą nienaturalnością i psuć wszelki efekt tak dziwaczną ciemnością stylu. Im więcej widzę w nim (Malczewskim) prawdziwego talentu, im wierniejszemi znajduję jego smutne obrazy Ukrainy, tem się więcej gniewam i żalę, nie mogę się bowiem spodziewać, aby go zrozumiano u nas..." Na lato 1826 r. wyjeżdża Grabowski z Krechowieckim do Leszczynówki, dokąd też przybywa Goszczyński. Teraz też powstaje w głowach przyjaciół zamiar wydania rocznika literackiego, który miał zawierać Goszczyńskiego „Zamek Kaniowski", „Żeglugę poety" i „Noc w Zofijówce", Krechowieckiego „Nową literaturę polską" i ocenę „Maryi", oraz prace Grabowskiego: „Powieść ukraińską" i „Rys historyi literatury polskiej". „Jeżeli do tego — pisze Grabowski do Zaleskiego 20 lipca 1826 r. — zechcesz także dodać twe prace, które u nas dały początek historycznej narodowej poezyi, Rocznik nasz będzie bardzo dobry". Z pamiętnika dalej Goszczyńskiego („Księga pamiątkowa" I, 165) dowiadujemy się, że w r. 1826 pisał Grabowski

powieść p. t. „Libeda“, rozprawę o romansach polskich i recenzyę „Pojaty“ Bernatowicza, i że teraz nastał pomiędzy nim a Grabowskim bardzo przyjacielski stosunek. „W trójce naszej — pisze Goszczyński — on miał najwięcej życia literackiego, świadomości literatury i widzenia głębokiego w przedmiotach literatury. Listy jego były piękne, takoż niektóre poezye, na polu doktryny literackiej zawadzała mu francuszczyzna, która kaziła jego polski język. Sam to czuł i później nie wzdrygał się powierzać mi niektóre rozprawy, pisane po polsku, dla oczyszczenia ich z gallicyzmów“. Niebawem przenieśli się trzej przyjaciele do Aleksandrówki do Grabowskiego. Dwór „leżał w wesołej okolicy nad Taśminą, był obszerny i porządny. Matka rządziła jeszcze majątkiem, staruszka bardzo zacna, ułomna, ale żywa i z twarzą wydającą wiele piękności młodego wieku. Rodzinę Grabowskiego dopełniał brat młodszy Ludwik, świeżo ze szkół krzemienieckich przybyły“. Całą jesień spędził Goszczyński u Grabowskiego, teraz też napisał dwie pierwsze pieśni „Zamku Kaniowskiego“. W grudniu 1826 r. bawi czas pewien Grabowski w Warszawie, poczem wraca na Ukrainę i z Goszczyńskim i Krechowieckim jedzie na kontrakty do Kijowa, gdzie rozchorował się, ale widocznie niezbyt ciężko, kiedy w lutym widzimy go wraz z przyjaciółmi w Leszczynówce: „Moje przeznaczenie — pisze do Zaleskiego — już rozstrzygnięte, nie będę się włóczył po świecie i cudzym Bogom kłaniał... owszem chcę zostać na swojej ziemi... zanadto matkę kocham... w tym roku zapewne się ożenię i będę szukał szczęścia w progach domowych“. Grabowski zachwyca się teraz „Zamkiem Kaniowskim“: „Jaka poezya, jaki język! — pisze — wszystko odpiętnowane niestartą cechą geniuszu. Z przesądów a wyobrażeń gminnych on porobił sceny dramatyczne, kreacye Szekspirowskie. Czytaj prolog do „Zamku Kaniowskiego“ — on wart „Sobótki“ Goethego“. Myśl wydania rocznika literackiego nie opuszczała Grabowskiego, który zamierzał zamieścić w nim swój „Wstęp do rysu literatury polskiej“, „Wawrzyńca z Powodu“, legendę z XVI. w., i powieść słowiańską, wspomnianą wyżej w pamiętniku Goszczyńskiego „Libedę“. Gdzieś w lecie 1827 r. sprowadził sobie Grabowski Goszczyńskiego do Aleksandrówki, wracając z matką z podróży na Wołyń, i tutaj podczas gdy Goszczyński pisał trzecią pieśń „Zamku Kaniowskiego“ i poprawiał dwie pierwsze, on robił przypiski do poematu. Odjechał dopiero Goszczyński z Aleksandrówki w listopadzie na kontrakty kijowskie, Grabowski zaś musiał pozostać w domu, gdyż przybyłe do niego kuzynki zachorowały na szkarlatynę. Rok 1828 zaczął się niewesoło dla Grabowskiego, gdyż

musiał się leczyć u jakiegoś lekarza humańskiego, mimo to przecież zebrał dosyć powieści ludowych i „dużo pieśni ukraińskich". W lecie wyjechał z Goszczyńskim za granicę, a powracając zobaczył się w Warszawie z Zaleskim, spostrzegł wszelako, że przyjaźń Zaleskiego dla niego ostygła znacznie. We wrześniu widzimy Grabowskiego w Zołotijowie samego, bo Goszczyński odjechał do Wacława Pilawskiego. Tyle nowych najważniejszych szczegółów przynoszą wskazane przez nas wyżej źródła dla biografii i rozwoju pojęć Grabowskiego w młodych latach do r. 1831.

Czyż tedy można wobec tego nazwać pracę d-ra Grabowskiego pracą sumienną i wyczerpującą? Rzecz inna, gdyby źródła biograficzne były dlań niedostępne, ale gdy są od lat wydane — obowiązkiem autora było na nich się oprzeć, a nie wykręcać się fałszywą wymówką, iż materyał do biografii Grabowskiego jest „szczupły i nie odpowiadający wcale nawet dość skromnym wymaganiom". Chyba wobec tego, co wyżej przytoczyliśmy, bezpodstawność tej wymówki jest aż nadto widoczna. Do biografii lat dalszych życia Grabowskiego materyału jest równie wiele, trudno go nam tu streszczać, gdyż i tak zbyt wiele miejsca poświęciliśmy pracy d-ra Grabowskiego, która, jako zbyt powierzchowna i niesumienna, na to nie zasługiwała.

Ażeby zaś nie wydawało się, że to, co powiedzieliśmy o materyałach do dalszych lat życia Grabowskiego, nie ma racyi, wspomnimy jeszcze, że autor nie wie nic w latach 1838—1849 o listach Grabowskiego do Kirkora („Księga pamiątkowa". I, str. 178—182), nie wie o współpracownictwie Grabowskiego w publikacyi zbiorowej Kazimierza Bujnickiego p. n. „Rubon", w której pomiędzy innemi zamieścił rozdział drugi z powieści p. n. „Stypa" (1843. III, str. 83—127), nie wie nic o zainteresowaniu się Grabowskim na emigracyi, kiedy to *Trzeci Maj* przedrukował z trzeciego tomu „Literatury i krytyki" rzecz „O Tomaszu Auguście Olizarowskim" (Por. I, 1840 nra z 23 września, 21 października i 31 grudnia), kiedy od wzmianek o Grabowskim roi się po pismach emigracyjnych. (Por. *Trzeci Maj* 1841. II, nr. z 9 kwietnia str. 54 nr. z 28 czerwca str. 105—106; nr. z 12 lipca str. 118; nr. z 11 września str. 151; nr. z 15 grudnia str. 210), nie wie nic o pracach Grabowskiego „O gminnych ukraińskich podaniach". („Rubon". Wilno. 1845. VI. str. 145—206), ani o piśmie „Do Pana Aleksandra Grozy". (Tamże. str. 207—216). Ostatnie to zwłaszcza pismo jest niesłychanie ważne. Nie zna nakoniec rozprawy nadzwyczaj cennej i bogatej w szczegóły d-ra Piotra Chmielowskiego p. t. „Z dziejów postępu i reakcyi

u nas", drukowanej w wydawnictwie zbiorowem „Prawda, książka dla uczczenia 25-letniej działalności Aleksandra Świętochowskiego. Lwów. 1899". (str. 94—105). I t. d., i t. d.

Jeśli tedy my, cośmy nigdy specyalnie Grabowskim nie zajmowali się, zdołali na podstawie tego, co się nam przygodnie zdarzyło napotkać, podać tyle nowych materyałów do biografii Grabowskiego, które są autorowi specyalnej monografii nieznane, — to chyba osobno sądu naszego o tej pracy d-ra Grabowskiego wydawać nie potrzebujemy.

Stanisław Zdziarski.

Kazania świąteczne. (Serya pierwsza). *Ks. dr. Jougan.* Cały dochód przeznaczony na budowę kościółka w Worochcie. Lwów. Nakładem autora. 1900.

Autor „Liturgiki", „Historyi Kościoła" i wielu dzieł treści dogmatycznej, nową cegiełkę dołożył do gmachu cennych prac swoich, dając społeczeństwu dzieło, pierwszą seryę kazań świątecznych. Dwadzieścia i kilka lat zawodu kapłańskiego przy wielkim darze wymowy, gruntownej wiedzy teoretycznej i praktycznej, i zamiłowaniu pracy kapłańskiej nagromadziły w „Skarbczyku" ks. d-ra Jougana spory zapas kazań, któremi ku chwale Bożej zapragnął podzielić się z młodszą swą bracią-kapłanami, ułatwiając im wstępne kroki na drodze arcytrudnego w tych zwłaszcza czasach obowiązku apostolskiego. Mając na oku, jak to sam wyznaje, niezbędne potrzeby społeczne, dostosował do nich treść kazań swoich. Ścisły podział na części i punkta podrzędne, wedle wymagań homiletyki, dodają im wartości; ułatwiając bowiem rychłe oryentowanie się w przebiegu myśli autora, dają możność korzystania z nich do kazań samodzielnie na inną modłę opracowywanych. Niewolnicze bowiem trzymanie się kazań drukowanych nigdy nie wyrobi kaznodziei, spęta jego umysł i każe mu kroczyć po drogach jego usposobieniu obcych, zabijając w nim najpiękniejszą cechę kaznodziejstwa — zapał, który jest owocem myśli odczutej i jakby we własnem sercu zrodzonej. Pierwsza ta serya zawiera 23 kazania na główne uroczystości roku kościelnego. Że szanownemu autorowi znane są te potrzeby społeczne, że jest w swych kazaniach rzeczywiście „aktualnym i praktycznym", świadczą takie kazania, jak np.: Na Poniedziałek Zielonych Świąt, gdzie mówi „o duchu czasu", lub na św. Szczepana „o nienawiści prawdy". W pierwszym z nich treściwie uderza na potrójną cechę wieku naszego, któren w ustach kaznodziei, a pod piórem autora, występuje w całej grozie, jako: „życie bez wiary — praca bez

cnoty — i żądza używania bez granic". Trafnem i wyczerpującem jest określenie socyalizmu i geneza sporu między pracodawcami a robotnikami: brak cnoty, egoizm i niepamięć na wieczne zbawienie u jednych i drugich. Nawiasem mówiąc, żałujemy, że autor nie wyczerpał tej myśli w odrębnem kazaniu, omawiającem wyłącznie sprawę socyalną ze stanowiska wiary. W kazaniu o św. Szczepanie, autor w dwóch częściach piętnuje szkaradę nienawiści prawdy i tejże zgubne następstwa, a czyni to z taką znajomością stosunków panujących we wszystkich sferach społecznych, iż choć pozornie kazanie to robi wrażenie mowy zastosowanej do ludu wiejskiego, może być z wielkim pożytkiem wygłoszone wobec audytoryum wielkomiejskiego. Bardzo silnem jest kazanie na uroczystość św. Apostołów Piotra i Pawła, a zupełnie aktualnem wobec powszechnej obojętności społeczeństw nawet katolickich. W siedmiu kartkach streszczona niemal zupełnie nauka dogmatyczna o Kościele, daje jasne pojęcie istoty, celu i obowiązków; szkoda tylko, że autor obszerniej nie omówił i nie odparł zarzutu indyferentyzmu głoszącego, iż każda religia jest równie dobra i prawdziwa. Trafny i świeży jest sposób wplatania we wstępy, lub domówienia historyi powstania pojedynczych uroczystości, jak to np. czyni autor w kazaniu o Trójcy Najświętszej. Pełen szacunku dla czcigodnego mowcy ośmielę się jednak zwrócić uwagę i w takiem kazaniu, jeśli treścią ma być „nieroztropność" w zaciekaniu choćby najsubtelniejszego rozumu ludzkiego w istotę tajemnic świętych, należało wpierw dobitnie zaznaczyć konieczność tajemnic we wierze; a to nietylko ze względu na przedmiot wiary, lecz przedewszystkiem na istotę „wiary", która od „wiedzy" się różni. Takie traktowanie przedmiotu ułatwiłoby znacznie, nieco zawiłe z konieczności tłumaczenie. Nie wchodząc w szlachetny zamiar autora aby dochodem z rozprzedaży pomnożyć dochód budowy kościółka w Worochcie, sądzę, że mniejsza cena przyczyniłaby się znacznie do rozpowszechnienia tych doprawdy pięknych kazań, którym chyba to zarzucić w końcu możemy, iż — jest ich za mało. Jednak pocieszmy się — autor szanowny, zapowiadając, iż tom ten stanowi „seryą pierwszą", tem samem obiecuje dać nam drugą, a może i trzecią.

Ks. Alfred Wróblewski.

Spis druków epoki Jagiellońskiej w zbiorze Emeryka hrabiego Hutten-Czapskiego w Krakowie, opracował *Felix Kopera*. Kraków. 1900.

Z tytułu wydaje się zwyczajny katalog. Jest to istotnie katalog, ale ze wszech miar godny uwagi, i pierwszy w naszych stosunkach

tak wykonany. W zbiorach hr. Emeryka Czapskiego znajduje się między innymi kilkaset druków z wieku XV. i XVI. Są to rzeczy drukowane w Polsce (polskie i łacińskie), albo za granicą przez Polaków (jak n. p. *Regimento de los principes*, drukowane w Sewili r. 1494 przez Meynarda Unguta Niemca i Stanisława Polaka), albo dzieła polskich autorów, wydane za granicą (np. bazylejskie wydania Kromera, Hozyusza, Orzechowskiego), albo wreszcie dzieła, które w jakikolwiek sposób weszły w związek z polskiem życiem umysłowem. Spis tych książek podaje praca dra Kopery.

Druki podane są w porządku chronologicznym, jedynie racyonalnym; dodany na końcu dzieła index alfabetyczny ułatwia poszukiwania. Najstarszą datą jest r. 1475, ostatnią 1572 (data śmierci Zygmunta Augusta). Przy tytule autor podaje szczegóły o formacie i rozmiarach książki. Poczem idą objaśnienia, odnoszące się 1-sze do druku samego, jego stanu, które to wydanie, treść dzieła, opis rycin i t. p., 2-gie do autorów (szczegóły biograficzne, znaczenie w literaturze i t. p.). Jest to więc katalog t. zw. „rozumowany"; takich nie mieliśmy dotąd, chyba, że Lelewela „Bibliograficznych ksiąg dwoje" do tego szeregu zaliczymy, — zaś *Incunabula* Wisłockiego wyszły równocześnie z pracą dra Kopery.

Objaśnienia, o których wyżej wspomniano, z natury rzeczy musiały być kompilacyą, zbierane ze stron najrozmaitszych; stąd po części zawierają rzeczy powszechnie znane, mogła się też wkraść tam niedokładność, lub pomyłka, zwłaszcza wobec ogromu pracy, jakiego ich przygotowanie wymagało. Pewne pomyłki należy najwidoczniej przypisać pośpiechowi pisania i druku [1].

Za to zupełnie są bez zarzutu, owszem na największą zasługują pochwałę ryciny. Jest ich 95, a w tej liczbie jest wszystko, czego tylko można pragnąć. Wybór rycin jest tak doskonały, tak znakomicie wykonany, że naprawdę wdzięczność się za niego należy autorowi. Jedne odnoszą się do historyi drukarstwa i pisma (oczywiście w zakresie tego czasu, który „Spis" obejmuje), inne mają ogólne kulturalne znaczenie. Tak zaraz na pierwszej stronie jest podobizna druku z r. 1475, na szpalcie 7 [2], inicyał słowiański z liturgicznej księgi cerkiewno-słowiańskiej, wydanej w Krakowie r. 1491, na szp. 17, *facsimile* pisma polskiego z końca XV. wieku, liczne podobizny kart tytułowych (z wi-

[1] Odnoszą się te uwagi do objaśnień grupy drugiej.

[2] Książka paginowana jest szpaltami, nie stronami.

nietami i ozdobami, n. p. prześlicznej karty tytułowej druku Unglerowskiego z r. 1513 z renesansowem obramieniem i herbem Krakowa, szp. 49, albo druku Victora z r. 1522, fig. 5, i wiele innych, wyłącznie albo charakterystycznych dla swego czasu albo mających znaczną wartość estetyczną), podobizna pisma z XVI. wieku (fig. 70), inicyały, winiety, ozdoby, znaki i herby drukarń i drukarzy i t. p. Jest to doskonała i niezmiernie a w sposób bardzo przyjemny pouczająca historya drukarstwa w Polsce w owych czasach, historya obrazowa, bez słów, a ucząca więcej, niż całe tomy opisów.

Drugi dział obejmuje ryciny z najrozmaitszych zakresów, wszystkie bardzo interesujące i godne uwagi, z jednej strony, jako okazy drzeworytnictwa polskiego [1], z drugiej przez swoją treść. Mamy tu n. p. portret Kopernika ze współczesnego rękopisu (fig. 95), portret króla Zygmunta Starego i Bony z książki z r. 1521 (fig. 42 i 43), Zygmunta Augusta z r. 1554 (fig. 74), sejm polski z r. 1570 (fig. 91), bitwę Polaków z Tatarami z r. 1521 (fig. 41), sceny rodzajowe (n. p. „raj ziemskich rozkoszy“ w Bielskiego kronice 1551, bardzo naiwnie pojęty), mitologiczne, wiele obrazów religijnych (przedewszystkiem świętych polskich), herby: państwa, królów, szlachty, biskupów, miast (jeden Lwowa, bardzo często Krakowa), nawet nuty i mapy, i wiele, bardzo wiele innych. Jedne zastanawiają wysoką wartością artystyczną, inne przykuwają do siebie swą myślą. Niema zaś ani jednej ryciny niepotrzebnej, zbytecznej, każda jest tam konieczna, wszystkie razem składają się na jeden wspaniały obraz. Pomieszczeniem ich i świetnym wyborem autor przysłużył się nauce w wysokim stopniu.

Przez te ryciny praca dra Kopery nabiera wartości ogromnej, ale i bez nich byłaby bardzo użyteczną. Najpierw każde skatalogowanie zasobów jakiejś biblioteki ułatwia wszystkim innym badaczom zadania. „Spis“ wymienia kilka unikatów, nigdzie indziej się nie znajdujących, tudzież wiele dzieł, będących rzadkością; n. p. cerkiewnosłowiańska księga liturgiczna „Triod cwietnaja“, drukowana w Krakowie r. 1491, osobliwość bibliograficzna i filologiczna; najstarszy polski psałterz z r. 1539; biblia Leopolity, 1561, najlepsza przed Wujkiem, a zarazem jedno z najważniejszych źródeł do historyi języka polskiego

[1] Niektóre drzeworyty były pożyczone z obcych wydawnictw (co dr. Kopera w każdym takim wypadku zaznacza), podobnie jak się to dzieje i dzisiaj. W takim razie zaś mamy pośrednie świadectwo do historyi kultury polskiej.

w owym czasie; bardzo rzadka akatolicka biblia Radziwiłłowska czyli Brzeska z r. 1563; pierwszy prawdziwy polski „Słownik“ Mączyńskiego z r. 1564, którego wartość według ostatnich badań jest daleko większa, aniżeli n. p. tak cenionego Knapskiego; i wiele innych.

Dodajmy wreszcie, że wśród tych wszystkich ksiąg autor odkrył cztery zabytki języka polskiego, z XV. i XVI. wieku, z tych trzy zupełnie dotąd nieznane.

Jak widzimy, lista zasług niemała, i autor ze swej pracy może być zupełnie zadowolony, my zaś tylko wdzięczni.

Dzieło, wydane bardzo ozdobnie i starannie (zasługa drukarni uniwersyteckiej), nakładem prywatnym (zasługa hr. Emerykowej Hutten-Czapskiej), poświęcone jest „Uniwersytetowi Jagiellońskiemu ku uczczeniu pięciowiekowej cywilizacyjnej pracy“.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Das Princip des Katholicismus und die Wissenschaft. Grundsätzliche Erörterungen aus Anlass einer Tagesfrage. *Georg Freiherr von Hertling.* 3. Aufl. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlbh. 1899.

Mam przed sobą niewielką książeczkę o 102 stronicach małego formatu, a jednak zawiera ona więcej, niż niejedno grube dzieło, porusza zaś tak pełne doniosłości zagadnienia i taki zyskała w Niemczech rozgłos, iż dziwić się zaiste wypada, że nasza prasa, a wśród niej nawet dzienniki mieniące się katolickiemi, które codziennie przynoszą całą wiązankę wiadomości naukowych i literackich, czerpanych ze źródeł przeważnie protestanckich i żydowskich, powyższą pracę dotąd — o ile mnie wiadomo — zupełnem pominęły milczeniem. Autor jej Hertling jest profesorem filozofii na uniwersytecie w Monachium, jeden z niewielu w Niemczech katolików, zajmujących tę katedrę, pod względem zaś naukowych zasług jeden z najwybitniejszych współczesnych myślicieli niemieckich.

Jego wielka na polu filozofii wszechstronność, jego prawdziwie nowożytny sposób patrzenia na filozoficzne zagadnienia, nie przeszkodziły mu wcale pozostać katolikiem i sztandar katolickiej myśli podnieść śmiało w górę.

Wiadoma to rzecz, że w kołach, ziejących nienawiścią do kato-

lickiego Kościoła, utarło się od dawna przekonanie, jakoby na gruncie katolickim swobodny rozwój nauki był niemożliwy, gdyż Kościół wszystko przygniata i wolności myśli nigdzie nie dopuszcza.

To też w prasie liberalnej i antichrześcijańskiej rozległo się istne wycie tryumfu i radości, gdy przed paru laty rozeszła się wiadomość, że pisma würzburskiego profesora teologii, Schella, dostały się na indeks i że autora wezwano, aby odwołał nauki, które kongregacya indeksu za błędne uznała. Patrzcie, wołano, oto katolicka wolność, oto sposób pojmowania swobody badania przez Kościół we własnem łonie. Profesor Schell stał się naraz bohaterem; dzienniki zaczęły zajmować się teoryami dogmatycznemi, o których najlżejszego nie miały wyobrażenia, gończa sfora wietrzyła już w powietrzu nowy skandal, a może, kto wie, nowego Döllingera... Co za pociecha dla serc trapionych zmorą ciągłych katolicyzmu postępów!

Niestety na niczem się skończyło, gdyż prof. Schell, jako znakomity teolog, wiedział doskonale, iż na polu teologii Kościół najwyższą jest powagą; skoro mu więc wykazano niezgodność jego nauki z nauką Kościoła, nie zawahał się ani na chwilę i błąd swój uznał. Ale skutkiem tego rozpoczęło się dopiero ujadanie na niesłychany terroryzm Kościoła, a nawet z kół katolickich odezwały się głosy powątpiewania, czy istotnie na gruncie katolickim wolność nauki jest możliwą. Otóż wobec faktu, że nawet katolicy mają bardzo często zupełnie niejasne wyobrażenia o stanowisku Kościoła względem nauki i badań umiejętnych, dalej wobec faktu, że mało kto zdaje sobie jasno sprawę z przewodnich zasad katolicyzmu w zastosowaniu do rozumowej wiedzy, wytknął sobie prof. Hertling za cel we wymienionej wyżej broszurze te właśnie zagadnienia wszechstronnemu i polemicznemu poddać rozbiorowi, ale z tem połączył jeszcze co innego, t. j. rozbiór pytania, czy prawdą jest, że ruch naukowy katolicki pozostaje w tyle za liberalnym, a jeżeli po części tak jest, to jakie mogą być tego szczególnie w Niemczech przyczyny. „Stara to skarga, że katolicy na uniwersytetach tworzą drobną tylko mniejszość“, powiada autor zaraz na wstępie. Podczas gdy jednak liberalizm przyczyny tego zjawiska widzi w katolickim zastoju, to Hertling w sposób przekonywujący wykazuje, iż główną tego przyczyną stała się sekularyzacya i znoszenie szkół klasztornych, dokonane przez liberalne rządy. Gdyby katolickie zakłady były zostały, byłyby podjęły współzawodnictwo z protestanckiemi wszechnicami; zamiast im to umożliwić, poznoszono je, znacznej zaś między niemi liczbie odebrano katolicki charakter, natomiast Królewiec i Halla do niedawna

wykluczały katolickich docentów, a Rostock czyni to jeszcze dzisiaj. Z drugiej jednak znowu strony Hertling przyznaje, że istnieją także wewnętrzne przyczyny, które wszechstronnemu rozwojowi naukowego ruchu w obozie katolickim przeszkadzały, a może i dzisiaj jeszcze przeszkadzają, ale te dadzą się usunąć, kto bowiem „w nauce szuka nie własnego zadowolenia, nie zaszczytów, ale prawdy i tylko prawdy, ten potrafi ocenić, w jak ciasnych granicach zamkniętą jest nasza wiedza, ten nie zatraci w sobie poczucia wyższej prawdy, której ta tutaj nam przystępna prawda słabem jest tylko odbiciem“ (str. 9).

Dwóch zaś należy się wystrzegać, zdaniem Hertlinga, ostateczności: t. j. z jednej strony zupełnego oddania się ziemskim trudom i obowiązkom, z drugiej strony wyłącznego wysuwania na pierwszy plan naszego zaziemskiego przeznaczenia. Kościół nigdy nie twierdził, że cel nadziemski da się osiągnąć tylko przez zupełne zniszczenie naturalnych warunków, dlatego też nigdy nie nauczał, aby prawdziwa wiara domagała się zrzeczenia prawa do wiedzy. Na czemżeż więc polega zasada katolicyzmu? Na to pytanie odpowiada Hertling w sposób bardzo jasny a bardzo spokojny w drugim ustępie swojej broszury. Ustęp ten nie zawiera wprawdzie nowych poglądów, ale dobrze jest przypominać umysłom w takiej formie bardzo stare prawdy. Wiara w Boga i w nieśmiertelność duszy, to zasadnicze podstawy katolickiego na świat poglądu, ale to nie wszystko jeszcze. Katolicyzm nie jest zaspokajaniem wyłącznie podmiotowych uczuć przy pomocy wyobraźni, katolicyzm to system prawd, dających odpowiedź na najwyższe i ostateczne pytania, na pytania, które daleko wychodzą poza nasz biedny ziemski żywot. Tego systemu zaś nie wymyśliła jakaś szkoła filozofów, lecz dał go Bóg. Katolicyzm wymaga bezwarunkowo wiary w objawienie, dlatego staje w ostrej sprzeczności do rozszerzonego dzisiaj naturalistycznego sposobu myślenia.

Naturalistyczny dogmatyzm i katolicyzm, to dwa stanowiska, które nigdy z sobą pogodzić się nie mogą. Tak jest, dodamy z naszej strony — tylko nie należy zapominać, że naturalizm, to nie wiedza, to także wiara, dwie zaś wiary nigdy obok siebie się nie ostoją. Powyższe jednakże cechy nie wyczerpują jeszcze w całości katolickiego stanowiska; katolik chcący za takiego uchodzić, musi jeszcze uznawać Kościół jako instytucyę, ustanowioną przez Chrystusa i tegoż Kościoła nauczycielską powagę; uznanie tego, co Kościół naucza, jest dla katolika obowiązkiem. Że z tego dla samodzielności naukowych badań, żadna nie urasta przeszkoda, to Hertling wykaże później. Na str. zaś 14 podnosi tylko

z wielkim naciskiem, że za spełnienie tego obowiązku katolik ma wyłącznie odpowiadać tylko przed Bogiem i własnem sumieniem. „Ze stanowiska historycznego — pisze — rozumiemy dlaczego w dawniejszych czasach odpadnięcie od wiary uważane było za zbrodnię stanu, odrzucamy jednak stanowczo dzisiaj takie pomieszanie zasad świeckich i duchownych, żaden rozumny człowiek nie życzy sobie powrotu przymusu państwowego w rzeczach wiary, ale jeżeli z drugiej strony ktoś wiary swojej się wyrzeknie, to niech nikt od nas nie żąda, abyśmy się takim czynem zachwycali, jako posiadającym szczególniejszą moralną wartość“ (str. 14).

Oto jest katolickie stanowisko! Katolik nie ma żadnego powodu do obawiania się nauki i naukowych badań, on uznaje tylko nauczycielską powagę Kościoła, która nie jest martwą literą, lecz jest żywą potęgą. A teraz zobaczmy, jak to rzecz ma się z nauką i umiejętnością.

Hertling w ustępie trzecim zbija w sposób bardzo świetny fatalny przesąd, jakoby nauka i naukowa wiedza żadnych nie posiadały założeń. Wiara w badaniach umiejętnych odgrywa bardzo ważną rolę. Większą część naukowego materyału przyjmujemy na wiarę od drugich. Tylko połowiczne wykształcenie przyjmuje zasadnicze rozchodzenie się wiary a wiedzy. Tymczasem przeciwieństwo istnieje nie między wiarą a wiedzą, ale między poglądami na świat, to znaczy — dodaję od siebie — właściwie między różnemi wiarami i religiami. Gdyż niech się zwolennicy naturalizmu nie łudzą, ich pogląd na świat opiera się także na wierze. Kto zaś ocenia wartość wiedzy nie z punktu widzenia ciasnego naturalistycznego dogmatyzmu, temu już ze stanowiska samejże wiedzy otworzy się widok na pogląd na świat, który odniesie wszystko do Najwyższego Rozumu i dlatego we wszystkiem rozumny uzna porządek. „Nietylko cała nasza umiejętność — pisze Hertling (str. 30) — polega na wierze, t. j. na wierze samego rozumu w siebie i w prawidłowy świata porządek, ale nawet założenia naszej wiedzy prowadzą nas do uznania wyższych i dalszych związków, wśród których jest miejsce także i dla wiary w teologicznem tego słowa znaczeniu“. A teraz w czwartym ustępie przychodzi rozbiór najważniejszego zagadnienia, t. j. wolności nauki. Autor wyróżnia wolność badania od wolności nauczania, dla badania domaga się o wiele dalej sięgającej wolności; tu dla katolika jedyną granicą może być tylko moralny obowiązek wiary. Ale wobec tego nasuwa się pytanie, czy może katolik z całą swobodą oddawać się badaniom, bez obawy, że dojdzie do wyników, sprzeciwiających się jego wierze (str. 33). Aby na to pytanie odpowiedzieć,

przechodzi autor różne zakresy badań, a więc najpierwej dotyka nauk przyrodniczych. Na tem polu, zdaniem jego, starcie się nauki z wiarą jest niemożliwe i nastąpić może tylko wówczas, jeżeli ktoś z badań przyrodniczych wyprowadza wnioski przeciw wierze, albo jeżeli za prawdę z dogmatu wynikającą, uważa jakieś przestarzałe szkolne poglądy. Jedynie z katolicyzmem niezgodny jest materyalizm, to zaś nie jest nauka, materyalizm jest także wiarą. W naukach historycznych jest sprawa więcej zawikłaną. Na gruncie tych właśnie nauk toczy się głównie walka przeciw Kościołowi, z drugiej więc strony oczywiście powstaje znowu dążenie, aby się bronić i nic przeciwnikowi nie przyznać. Otóż tu stanowisko prawdziwego badacza-katolika powinno być następujące: „Niema prawd niewygodnych“ (str. 38). Życie dziejowe Kościoła jest faktem niezbitym, wyższym nad wszelkie wątpliwości, tu wolności badania niema się co obawiać, śmiało i otwarcie należy patrzeć prawdzie w oczy; jeżeli były nadużycia, jeżeli przychodziły czasy upadku i poniżenia Kościoła, to właśnie te fakty stwierdzają Boskie posłannictwo Kościoła, który to wszystko przetrwał, zawsze ten sam, stary i zawsze młody. Cokolwiek inaczej rzecz ma się z teologią. Katolicka teologia jest systematycznem rozwinięciem prawd wiary przez Kościół nauczanych. Tu samowola teologa musi być ograniczoną. Prawdy wiary są dla teologa tem, czem fakty doświadczenia dla przyrodnika: trzeba je brać takiemi, jakie są, wolne od wszelakich podmiotowych przymieszek. Naukowa praca polega tu na duchowem przeniknięciu ściśle określonego materyału (str. 41). Oczywiście, że dla kogoś, kto się od Objawienia odwrócił, teolog katolicki wyda się pozbawionym wolności, tu jednak wyboru niema: kto chce pozostać katolickim teologiem, musi pewne fakty uznać, kto zaś ich uznać nie chce, a pomimo tego radby katolickim pozostać teologiem, ten popada w sprzeczność, z której jedno jest tylko wyjście: należy się zdecydować albo na jedną, albo na drugą stronę. Żądać zaś od Kościoła, aby w nauczaniu i w badaniu prawd wiary zezwolił na zupełną wolność, sięgającą aż do prawa zaprzeczania tychże prawd, znaczyłoby domagać się od niego, aby sam siebie podkopywał i przewracał, aby we własnem łonie szerzył anarchię. Inaczej jednak rzecz ma się już z filozofią, z którą teologia niejednokrotnie w ścisły wchodzi związek. Tu należy pamiętać, że katolicka teologia z żadnym filozoficznym systemem wieczystych ślubów nie zawarła; połączenie z systemem Arystotelesa odbyło się stosunkowo bardzo późno (str. 43) i nigdzie nie jest powiedziano, że ma pozostać na zawsze, może więc kiedyś przyjść czas, że się ten

związek rozluźni i że teologia znajdzie dla siebie o wiele odpowiedniejsze filozoficzne formy. Taka jednak rzecz na prędce dokonać się nie może. Próby z filozofią Kartezyusza, Kanta, Hegla najzupełniej zawiodły, czyż więc teologia ma się co chwila z coraz to nowym łączyć filozoficznym systemem? Hertling trafia w jądro rzeczy, gdy na str. 45 pisze: „System pojęć, któryby miał zastąpić system Arystotelesa, musiałby podobnie jak ten ostatni wyniknąć z całej pełni wiedzy i ducha czasu, musiałby tak samo opanować umysły w szerokich kołach ludzkości". Przecież i filozofia Arystotelesa z wielkim trudem i tylko powoli dobiła się znaczenia i trzeba było dopiero takiego geniusza systematyki, jakim był św. Tomasz z Akwinu, aby jej trwałe zapewnić panowanie. Słusznie przeto radzi Hertling teologom, aby się na nowatorstwa nie puszczali, gdyż profesor katolickiej teologii nie ma wykładać swoich podmiotowych pomysłów, lecz naukę Kościoła. Ale należy pamiętać, że nieomylnym jest tylko cały Kościół przez usta swojego najwyższego zwierzchnika: papieża; organa podrzędne mogą się mylić i błądzić. Skoro tak rzeczy stoją, nasuwa się teraz dalsze pytanie, czy teologia należy do uniwersytetów? Otóż tu autor bardzo trafnie wykazuje, że gdyby w imię naukowej wolności chciano teologię katolicką usunąć z uniwersytetów, to przedewszystkiem należałoby to samo zrobić i z protestancką. Bo czyż tu może istnieje tak zwana wolność badania? Niechby spróbował jaki protestancki teolog wykładać np. katolicką teologię, a zobaczylibyśmy, jak prędkoby się z nim uwinięto. Tu absolutna i zupełna wolność badania i wykładu istnieć nie może tak samo, jak nie istnieje także na wydziale prawa, gdzie dla wielkiej liczby wykładów obowiązujące prawo stanowi materyał i granice, które profesor uwzględniać musi. Uniwersytety są zakładami badającemi i nauczającemi, są one nietylko dla przyszłych adeptów nauki, ale przedewszystkiem mają przygotowywać umysły do tak zwanych wyższych zawodów. Czyżby zawód duchownego miał być wykluczony? Niech próbują — pisze autor — „jest nas 18 milionów niemieckich katolików, my sobie tego narzucić nie damy" (str. 51).

W ustępie dalszym, piątym, mówi Hertling o niektórych wewnętrznych przyczynach, które przeszkadzają wśród katolików rozwinięciu się żywego i wszechstronnego naukowego ruchu. Ustęp ten jest bardzo zajmujący i bardzo pouczający, zasługuje także u nas na szczególne uwzględnienie. Trzy upatruje on główne przyczyny pewnego zastoju naukowego w kołach katolickich, a mianowicie: 1) Niedostateczne oce-

nianie wartości nauki. 2) Nieuzasadniona bojaźliwość wobec nauki. 3) Przesadny naukowy konserwatyzm.

Niedostateczne poszanowanie dla nauki ma główne źródło w tem, iż nieraz katolikom się zdaje, jakoby mając objawioną naukę, żadnej innej już nie potrzebowali, zachowują się więc jak ów sługa z ewangelii, który otrzymany od Pana skarb zakopał. Katolicy tak myślący własnej sprawie najgorszą oddają usługę: „Im wszechstronniej, im energiczniej wierzący katolicy będą pracować nad zadaniami nowożytnej kultury i nowożytnej nauki, tem więcej będzie znikało niebezpieczeństwo, iż zdobycze tak jednej jak drugiej wyzyskują wrogowie Kościoła w sposób dlań nieprzyjazny, tem mniejszem stanie się także niebezpieczeństwo, że synowie chrześcijańskich rodzin, poświęcający się nauce, nie widząc śladów naukowej pracy u katolików, będą się od Kościoła odsuwali. Jeden wielki uczony, który imię swoje na kartach postępu wiedzy wielkiemi zaznaczy odkryciami, a który równocześnie okaże się wiernym synem Kościoła, znaczy więcej, niż całe tomy apologetyki“ (str. 61). Drugą przyczynę upatruje Hertling w przesadnej bojaźliwości katolików wobec nauki. Wrogowie Kościoła szukają przeciw jego Boskiej powadze argumentów w tak zwanych postępach nauki. Raz jest geologia, drugi raz fizyologia mózgu, to znowu teorya rozwoju, które mają ostatecznie Kościół przewrócić. Katolicy tego się boją i od nauki stronią. Tymczasem jest to właśnie oddawanie skutecznej broni w ręce nieprzyjaciół. Należy przeciwnie śmiało patrzeć nauce w oczy, nie lękać się jej wyników, które absolutnie prawdami wiary zachwiać nie mogą. W młodzież nie należy wpajać lekceważenia dla nauki, przeciwnie należy wpajać w nią całemi siłami przekonanie o wielkiem nauki znaczeniu, a strzedz ją tylko przed półuczonością, gdyż to jest dopiero grunt, na którym rozrasta się pycha i nadęte niedowiarstwo. „Potrzebujemy nauki — woła Hertling — potrzebujemy uczonych, musimy starać się, aby ‚Nasi‘ więcej, niż dotąd, brali udziału w współzawodnictwie naukowem z członkami innych wyznań“. Jako trzecią przyczynę przytacza Hertling przesadny naukowy konserwatyzm. Przykłady: Uporne zwalczanie nauki Kopernika, z ostatnich zaś czasów sprawa mniemanego Dionisiusza Areopagity, którego pisma okazały się świadomem fałszerstwem z V. wieku. Co do tego ostatniego przykładu, to sprawiedliwość nakazuje nam wspomnieć, iż do wykrycia fałszerstwa właśnie najwięcej przyczynili się katoliccy uczeni, a szczególnie O. Józef Stiglmayr, Jezuita, który szczegółowo, słowo za słowem, wykazał, w jaki sposób mniemany Dionisiusz czerpał

z nowoplatończyka Prokłusa. Tu więc katoliccy uczeni istotnie dowiedli, iż się krytyki i postępu w badaniach nie boją. W stosunku do nauki ideałem katolika powinno być: „Wieczne prawdy objawienia stawiać nad wszelkie skarby ziemskiej mądrości, ale z drugiej strony okazywać także ludzkiej wiedzy i nauce tę cześć, jaka się jej jako najpiękniejszemu z darów Bożych należy. Odziedziczoną wiarę jako drogocenny skarb przechowywujmy i od wszelkich chrońmy zamąceń, ale równocześnie wejdźmy bez obaw z męską pewnością siebie na szerokie pole badań i skarby wiedzy coraz nowemi wzbogacajmy nabytkami“ (str. 89).

Ostatni ustęp broszury poświęcony jest pytaniu: „czy istnieje katolicka umiejętność?“. Odpowiedź formułuje Hertling w następujących słowach: „Katolicką umiejętnością nazywam umiejętność katolickich uczonych, którzy przy rozbiorze wszelkich ściśle umiejętnych zagadnień uznają tylko powszechne prawidła umiejętnego badania, którzy jednak wszędzie tam, gdzie stanowisko badacza może się bez ujmy dla tych prawideł uwydatnić, sztandar swojej wiary bez obaw w górę podnoszą, głęboko przekonani, że między wiarą a wiedzą sprzeczności dotąd być nie może, dopóki wiara jest prawdziwą wiarą, na Boskiem opartą objawieniu, a wiedza także prawdziwą wiedzą, t. j. taką wiedzą, która krytyki się nie obawia, ale i bezpodstawnych twierdzeń nie uznaje“ (str. 97). Otóż taka katolicka nauka ma prawo istnieć i istnieje, starajmy się zaś, aby jak najwięcej w tym właśnie duchu liczyła przedstawicieli. Autor powiada wkońcu, iż tak pojętej katolickiej nauce powinna przypaść w przyszłości nadzwyczaj ważna rola. Faktem jest, że nowoczesna umiejętność zatraciła w sobie filozoficznego ducha. Uczeni cenią tylko to, czem się sami zajmują, uporni a ciasnym przesyceni dogmatyzmem, nie chcą uznać, że ten cały świat zmysłowy jest tylko wycinkiem z całości i to wycinkiem od bardzo różnorodnych zależnym warunków i że przed nim, za nim i nad nim znajduje się jeszcze świat inny, świat ducha, dla myśli także dostępny. Otóż zadaniem katolickiej nauki powinno być tym właśnie brakom zapobiegać i rozdrabniającej wszystko analizie przeciwstawiać wszechstronną syntezę.

Oto są najważniejsze myśli, zawarte w tej pracy, którą możnaby istotnie nazwać programową: zawiera zaś ona program nietylko dla niemieckich katolików. My, Polacy, co tak łatwo przejmujemy się obcemi naukowemi doktrynami, a pomimo, że z katolicyzmem wprost nie zrywamy, to jednak zawsze skłonni jesteśmy upatrywać w nim pier-

wiastki naukowego zastoju, my, którzy na wielu jeszcze polach hołdujemy zacofanym poglądom o przeciwieństwie wiary i wiedzy, nauki i religii, powinnibyśmy broszurę prof. Hertlinga szczególnie sumiennej poddać rozwadze. Tyle mizernych rzeczy tłumaczy się na naszą polską mowę, czyżby nie warto było przyswoić jej ten program wielkiego katolickiego myśliciela?

Dr. M. Straszewski.

Theologische Zeitfragen. Von *Christian Pesch S. I.* Freiburg im Br. Herdersche Verlagshandlung 1900. (Str. X, 167).

Książka ta rozbiera kilka pytań, które powstały w gronie teologów, zawianych duchem protestanckim wolnego badania. Szczęściem rozumnie zwrócone ku nim przestrogi przyjaciół wraz z osobnemi dla nich wskazówkami samego Leona XIII. powstrzymały ich zupełnie od dalszych kroków na bezdroże racyonalizmu. W całej utarczce przezierała ze strony rzeczonych teologów zasada dość podobna do tej, którą wyraził niedawno Paulsen w zarzucie: katolicka nauka tak trwa przy dawnych poglądach, podanych przez starożytnych pisarzy, że cała stanowi jedną trupią gromadę myśli, niezdolną wydać nic żywotnego ani rozwinąć nowego pojęcia a ledwo dostateczną, aby przeszkodzić nawale świeższych prądów; tylko w nowoczesnej umiejętności, wyzwolonej z więzów wszelkiej powagi, tryska strumień prawdziwego życia. Na ten zarzut i inne podobne wyrazy w ustach teologów nawet katolickich, dosadną odpowiedź streszcza autor w podobieństwie: przy lesie dębowym leży kupa nawozu i mówi do lasu: chcesz ty mieć w sobie strumień prawdziwego życia? to patrz się na mnie, jak codzień porastam nowemi grzybkami, a u ciebie co kiedy nowego widać? trupia gromada odwiecznych dębów, żadnych nowych porostów nigdy nie rodzisz, wiecznie tak samo dąb za dębem dzisiaj u ciebie jak przed setkami lat.

W tem podobieństwie streszczona odpowiedź znalazła w książce księdza Pescha szeroki wykład. Głównie przeciw profesorowi d-rowi Schellowi broni autor stanowiska, zajętego przez ogół powag teologicznych. Ale ta obrona płynie tokiem rozprawy zasadniczej ani nie zachodzi na żadną polemikę bądź przeciw katolickim teologom, bądź przeciw innowiercom.

Z dziwnym spokojem umie autor swoją zasadę rzeczowo wyłożyć bez żadnych wycieczek i docinków osobistych; mimo tej powagi nie przybiera tonów profesorskich i umie wyrazić swoją myśl dowci-

pnie albo objaśnić ją obrazkami, które przedstawiają dobitnie słabą stronę przeciwnika, ale nie wyrażają nic obraźliwego. Protestancką np. wolność badań przedstawia autor naprzód taką, jak ją głosił Luter, a potem opisuje obecny stan tej wolności, jak ją posiadają pastorzy i teolodzy na wykładach uniwersyteckich. Dzienniki donoszą od czasu do czasu, że któryś pastor z powodu kazań zanadto wolnomyślnych dostał naganę albo zupełnie stracił posadę. Często słychać głośne skargi, że pastor musi z kazalnicy uczyć wbrew swoim przekonaniom i wbrew poglądom, które na wszechnicy słyszał podane jako ostatnie słowo nauki; osobiście może wierzyć w co chce, ale urzędownie czuje prawdę piosenki: *Wess' Brod ich ess', dess' Lied ich sing.* Ale gdyby który pastor mocą wewnętrznego przekonania czuł się zniewolonym uczyć, że Chrystus oparł Kościół na opoce Piotrowej, więc trzeba iść do następcy Piotrowego: czy w takim razie wolnomyślne pisma podniosłyby skargę przeciw urzędowemu zakazowi takich nauk, chociaż opartych na osobistem przekonaniu? Tak przed pięciu laty rząd pruski usunął kilku teologów protestanckich z profesury na uniwersytecie, bez znoszenia się z senatem, za wykłady bezbożne: powstała z tego powodu wrzawa w parlamencie, podczas której Virchow wystąpił w obronie usuniętych profesorów i wyraził rządowi naganę na tej zasadzie, że dzisiejsza wolność badań niczem innem nie jest, tylko samą treścią protestantyzmu i hasłem Reformacyi: jeżeli tedy nie mamy co kroku doznawać ze strony rządu przeszkód w wolnym wykładzie prawdy poznanej, tedy rząd nie może działać w duchu owych ludzi, którzy utrzymują, że sami posiedli prawdę Boską i jej strzegą.

Słusznie Virchow wytknął, że rząd na swojem stanowisku obrońcy ładu musiał w praktyce zaniechać zasady luterskiej i postąpić w duchu zasad katolickich. Z uwagi Virchowa wypływa przecie, że sam już zmysł praktyczny odstąpić każe od Lutra i zakreślać ostatecznie jakieś granice swobodzie nauczania, jak tego Kościół wymaga.

Ks. K. Czaykowski.

Religion und Moral oder Giebt es eine Moral ohne Gott? Eine Untersuchung von *Victor Cathrein S. I.* Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1900. (Str. V, 142).

„U nas w Niemczech, — pisze autor we wstępie — panuje jeszcze gdzieniegdzie niedorzeczny pogląd, że tylko ten pisze książkę naukową, kto do każdego słowa dopisuje trzy odnośniki z uwagami, a każdą uwagę przeładuje tylu ciemnemi wywodami, że czytelnik musi wytężyć

całą siłę rozumu i woli, aby rozwiązać zagadkę przynajmniej w części. Ponieważ tylko błąd unika światła, zatem walczyć musimy i będziemy przeciw owym ciemnościom niemieckiego wykładu, które u Anglików weszły już w przysłowie: ciemno jak u Niemca w metafizyce".

Temi słowami wytyka ks. Cathrein sobie drogę, jak zamierza prowadzić czytelnika do zasadniczych prawd etyki. Nietylko Niemcom wyświadczył przysługę. W naszej dzielnicy prawie każdy uczeń i każda uczennica w wyższych zakładach czytuje autorów niemieckich znacznie mniej zrozumiałych, niż jasny wykład księdza Cathreina: więc prawie wszystkim można polecić tę książkę, a przedewszystkiem tym, którzy wyznają, że wierzą w możliwość uczciwego życia bez Boga. Nadto wielką zaletę posiada to dzieło z tego powodu, że tak ważną część filozofii raz już przecie podaje obrobioną na tle nowożytnem, a nie na starodawnych sporach z Demokrytem, Epikurem albo Porfyriosem. Zamiast zbijać poglądy mozolnie odczytywane w zbutwiałych pergaminach, ksiądz Cathrein wprowadza zaraz przeciwników dzisiejszych; w paru tylko rzutach pióra nakreślił postacie pierwszych twórców nauki o życiu uczciwem bez Boga, aby okazać, że nowocześni prorocy tej nauki przeżuwają wyłącznie stare dowcipy: do walnej rozprawy wzywa żywych mowców, dziennikarzy albo pisarzów i przedstawia czytelnikom ustępy z ich nauki takiej i na takich dowodach opartej, jaką czytamy i słyszymy w XX. wieku. Więc zapoznaje nas ze wstępem do *Manuel d'instruction civique,* ułożonym w pytaniach nauczyciela i odpowiedziach ucznia:

Nauczyciel: Co to jest Bóg?

Uczeń: Nie wiem.

Nauczyciel: Czyż to nie jest Stwórca świata i jego rządca?

Uczeń: Któż to wie i kiedy tego dowiódł?

Nauczyciel: Wszak świat ze siebie nie istnieje, Stwórcy potrzebuje.

Uczeń: Proszę to pokazać.

Nauczyciel: Nie możemy dowieść tego naocznie.

Uczeń: Po cóż zaprzątać głowę czemś przypuszczonem bez dowodu?

Za francuskiemi katechizmami tej moralności bez religii idą wyjątki z najnowszych pism niemieckich i angielskich, europejskich i amerykańskich. Czytelnik zaczyna na zdrowy rozum sądzić o tem, co słyszał wczoraj w szkole, dziś w parlamencie, w teatrze, na ulicy, co czuje w całem powietrzu, którem oddycha; wchodzi za przewodnictwem

księdza Cathreina na zgromadzenia odbywane obecnie dla propagandy etyki bez Boga, poznaje skrzętną robotę i chytrze obmyślany plan w tych ulotnych pisemkach i urwanych dwuznacznikach, które sączą jad niedowiarstwa do serc: zaczyna spostrzegać, czego nigdyby może nie przypuszczał. Słyszał nieraz, że tylko wiara, sztucznie wtłoczona w serce, uczy o Bogu, a że rozum swojem światłem wrodzonem poznaje brak naukowej podstawy w tym przesądzie. Książka księdza Cathreina spokojnie pokazuje prawdę wprost przeciwną: że tylko sztuczna propaganda wraz z przewrotnem sercem paczy rozum, który przestaje w świecie widzialnym wyczytywać prawdę niewidzialną i dostrzegać Boga; a bez tej propagandy, bez namiętnych żądz, którym zawadza sędzia, rozum własnem światłem wiedziony musi widzieć przyczyny poza każdym skutkiem, musi widzieć Stwórcę poza światem.

Księga dziejów dostarczyła nakoniec księdzu Cathreinowi wymownych dowodów, jakie owoce zgniłe rosną zwykle na drzewie moralności, któremu ateizm korzenie podciął.

Ks. K. Czaykowski.

Novum Testamentum Graece et Latine. Pars I.: Evangelia. *Fridericus Brandscheid.* Fryburg u Herdera 1901. (Str. 652).

W XIX. wieku postąpiła bardzo krytyka greckiego tekstu Pisma świętego. Do początków tego wieku używano prawie wyłącznie t. zw. *Textus receptus*, który wydał na świecie wieku XVII. Elzevir. Tekst ten, który szczególniej u protestantów uchodził za autentyczny, opierał się na późniejszych źródłach, głównie na pobieżnem i błędnem wydaniu, dokonanem przez Erazma z Rotterdamu. W XIX. w. zabrano się gorliwie do rewizyi i poprawnego wydania tekstu greckiego na podstawie najdawniejszych rękopisów, cytatów Pisma św. w dziełach Ojców, tłumaczeń i t. d. Prym wodzą w tej pracy teologowie i filologowie niemieccy i angielscy. Tak zwany „aparat krytyczny“, skrzętne zbieranie t. zw. *lectiones variantes* i t. d. doprowadzono prawie do doskonałości: znane są prace Semmlera, Bengla, Huga, Scholza, Lachmanna, Tregellesa, Tischendorfa, Westcotta i Horta i t. d. Większa część tych uczonych należy do obozu anglikańskiego i protestanckiego, to też z wielką radością witamy każdą pracę katolicką w tym kierunku. Kilka lat temu ukazało się w druku nowe wydanie tekstu greckiego, zestawione przez katolickiego kapłana, prof. Brandscheida. W przedmowie do swego wydania wskazuje sam, jakiemi drogami starał się otrzymać jak najpoprawniejszy tekst Pisma św. Podczas gdy Tregelles, Tischendorf i West-

cott-Hort opierają się przeważnie na kodeksach z IV. wieku (głównie t. zw. watykańskim B i synaickim ℵ), bierze Brandscheid (za wzorem św. Hieronima i znakomitego filologa Lachmanna) do pomocy stare tłumaczenia łacińskie (Italę i Wulgatę), syryjskie (t. zw. *Peschito*) i cytaty, które znajduje u najstarszych Ojców Kościoła i pisarzy kościelnych. W ten sposób otrzymuje tekst poprawniejszy, niż jest w kodeksach z IV-go lub V-go wieku; tłumacze Pisma św. na język syryjski lub łaciński żyli w wieku drugim (autor Itali i Peschito), ewentualnie w czwartym po Chrystusie (św. Hieronim): mieli zatem bez wątpienia przed oczyma lepsze i starsze manuskrypta greckie, niż te, które są dziś dla nas dostępne. Korzystając z tych źródeł, otrzymał Brandscheid (według świadectwa d-ra Hundhausena i innych) tekst lepszy i poprawniejszy, niż Tischendorf, Westcott-Hort i inni.

Pierwsze wydanie Brandscheida miało jednak tę niedogodność, że było za wielkie i nieporęczne. Dlatego też wezwała ruchliwa firma księgarska Herdera we Fryburgu, Brandscheida, by wydał swój tekst ponownie w formie dogodniejszej. To nowe wydanie tekstu Brandscheida obejmuje dwa tomy w 12-ce, ma zatem formę bardzo dogodną. Pierwszy tom, zawierający cztery ewangelie, opuścił prasę; drugi, który ma obejmować inne pisma Nowego Zakonu wyjdzie w najbliższym czasie. Do swego tekstu greckiego dołącza Brandscheid łaciński tekst Wulgaty, według najlepszego wydania słynnego Barnabity O. Karola Vercellone (z roku 1861). Zestawia oba teksty w ten sposób, że na parzystych stronicach książki podaje tekst grecki, a na nieparzystych łaciński. Na czele każdej stronicy podaje rozdział, na marginesie zaznacza miejsca równorzędne z innych miejsc Pisma św. Na początku I-go tomu znajdujemy dwie przedmowy i wstęp, w którym autor wyłuszcza swe zasady co do rewizyi tekstu; na końcu dodaje dość obszerny aparat krytyczny. Wydanie to zasługuje na uwagę nietylko fachowych, badaczów, ale także wszystkich miłośników Pisma św., a przedewszystkiem kapłanów i teologów, dla których głównie postarał się autor o tak wygodne wydanie.

Ks. dr. Adam Gerstmann.

La structure du protoplasma et les théories sur l'hérédité et les grands problèmes de la biologie générale. Par *Yves Delage*, prof. à la Sorbonne. Paris.

Spore dzieło obejmuje cztery części. W pierwszej zestawia autor wszystkie ważniejsze wyniki badań nad organizmami, dotyczące ko-

mórki, osobnika i szczepu. Obszerne wiadomości o składowych częściach komórki, o jej zjawiskach fizyologicznych i dzieleniu się zapełniają pierwszą księgę części pierwszej. W drugiej księdze, poczynając od organizmu jednokomórkowego i grupy komórek jednorodnych, przechodzi autor do organizmu złożonego z wielu komórek różnorodnych i omawia te zjawiska, które występują w osobniku wielokomórkowym jako takim. Więc szereg rozdziałów traktuje kolejno o zdolności pewnych organizmów odtwarzania części w jakikolwiek sposób utraconych — regeneracya, o wytwarzaniu się nowych organizmów — rozmnażanie, o kształtowaniu się nowego organizmu z jednej komórki aż do postaci doskonałej — ontogeneza. Ponieważ zaś rozwijający się organizm czasem nie od razu przyjmuje kształty swych rodziców, ale zatrzymuje się dłużej lub krócej na stopniach przejściowych, stąd dalsze rozdziały mówią o przemianie, gdzie w ciągu całego rozwoju to samo indywiduum ulega kolejnemu przeobrażeniu — *metamorphosis*, lub gdzie w czasie rozwoju występuje nowe mnożenie się, a więc zmiana pokoleń — *metagenesis*. Wreszcie rozdziały o płci, cechach ukrytych, o zboczeniach w ciągu rozwoju, zależności wzajemnej części tego samego organizmu, o śmierci organizmu, o ciągłości życia zamykają księgę drugą. Trzecia księga poświęcona jest szczepom. Słowa „szczep“ używa autor na oznaczenie mniejszej lub większej grupy osobników lub gatunków, rodzajów, rodzin, rzędów i t. d. Mówiąc o wzajemnym stosunku indywiduów do siebie, trzeba mieć przed oczami ogólny fakt, że nowy organizm jest podobny do swych rodziców, ale nie jest taki sam zupełnie, to też uwaga ta nasuwa sama podział trzeciej księgi: o dziedziczności czyli kwestya podobieństwa potomstwa do rodziców, następnie o odmianach tj. cechach nowych, które w poprzedniem pokoleniu nie występowały, w końcu o powstaniu gatunków.

Na tem kończy się część pierwsza, której autor dał zbiorowy tytuł — fakta. Jest ona obok części trzeciej najobszerniejszą i słusznie, gdyż musiała objąć wszystkie ważniejsze rezultaty badań z zakresu medycyny, zoologii i botaniki, których dostarczyły autorowi własne poszukiwania i nader rozległa literatura. Część ta jest zarazem podstawową dla wszystkich następnych. Dla łatwiejszego przeglądu przeprowadza autor swą rzecz w ten sposób, że tylko to, co ściśle jest konieczne do zrozumienia przewodniej myśli, podaje w tekście, wszystkie zaś uzupełnienia, ograniczenia, dodatki umieszcza drobnym drukiem w uwagach. „Fakta“ poddaje Delage krytyce umiejętnej a ścisłej i z prawdziwą przyjemnością trzeba wyznać — jest szczery. Mówiąc o powsta-

niu gatunków, śmiało wyznaje, że z całej masy faktów, podawanych za dowód, przeważna część nie ma potrzebnej ścisłości i może być różnie tłumaczoną, że po największej części przytaczane przykłady są wątpliwego pochodzenia albo są silnie przesadzone w tym celu, by dowodziły tego, czego kto sobie życzył, że ani jednego niema faktu takiego, któryby był bez zarzutu i dowodził, że odmiana dała początek prawdziwemu gatunkowi (str. 286, 287).

„Faktami“ przygotowawszy sobie grunt do swobodnych ruchów przedstawia i rozbiera autor teorye, które przy badaniu faktów się zrodziły.

Wszystkie drobniejsze teorye, które nie tworzą całego systemu i tyczą się tylko pewnej niewielkiej liczby kwestyj, zajmują drugą część dzieła. Takiemi są teorye o budowie i ruchach protoplazmy, podziale komórki, powstaniu gatunków i inne.

Część trzecia omawia teorye wielkie, ogólne, obejmujące całość faktów celem wytłumaczenia samej istoty życia. Wszystkie systemy tego rodzaju, począwszy od Arystotelesa i Platona, którzy objawom życia przypatrywali się gołem okiem i na tych obserwacyach swoje zapatrywania opierali aż do najnowszych czasów, w których starano się przy mikroskopie rozwiązać zagadkę życia, dzieli p. Delage na cztery wielkie kategorye.

Do pierwszej należą te pojęcia, podług których dusza jest początkiem życia — Arystoteles, Platon, całe wieki średnie *(Animistae)*.

Druga obejmuje teorye, które upatrywały w nasieniu zawarty cały przyszły organizm, potrzebujący tylko rozwinąć się i wyrosnąć — Galien, Leuwenhoek, Graaf, Swammerdan, Malpighi i inni *(Evolutionistae)*.

W trzeciej mieszczą się pomysły bardzo liczne i bardzo różne, schodzące się wszakże wszystkie w tym punkcie, że życie jest rezultatem własności cząsteczek specyalnych, jakby początkowych elementów substancyi żywej. Należą tu Spencerowskie jednostki fizyologiczne, Haacke'go kryształki, Haeckel'a *plastidulae*, Naegeli'ego *micellae*, wędrujące *gemmulae* Darwina, ludne państwo determinantów Weismanna i wiele innych podobnych *(Micromeristae)*.

Czwartą grupę stanowią teorye, podług których życie jest rezultatem walki wszystkich elementów organizmu — Roux *(Organicistae)*.

Z pierwszą kategoryą załatwia się autor krótko. Wypowiada ogólnik, że w biologii ogólnej wystarczy uczynić wzmiankę o takim systemie, gdyż nauki przyrodnicze powinny uciekać się tylko do sił naturalnych — dusza i podobne rzeczy są dla nich obcemi (str. 410),

zastawia się zaś tem, że pragnie pozostać na polu czysto naukowem (str. 184). Ten ogólnik nie wygląda bardzo naukowo.

Z następnemi teoryami postępuje autor tak, że każe wpierw mówić twórcy każdego systemu, poczem sam zabiera głos i wykazuje ściśle i trafnie przedmiotową wartość. Jeden i ten sam los zasłużony spotyka wszystkie teorye — nie wytrzymują krytyki, nawet fundamenty się rozpadają. Czyta się więc i czyta — przed oczami przesuwają się pyszne i wyniosłe gotyckie wieże, następnie walą się i na końcu tej części pozostają same ruiny. Stojąc na gruzach wypowiada autor główny zarzut skierowany zwłaszcza przeciwko niemieckim architektom, że to nie są teorye tylko powieści (str. 748, uwaga).

W czwartej części usiłuje autor wreszcie zbudować nowy system, choć niewykończony i niekompletny, gdyż, jak sam wyznaje, jest to na dziś niemożliwą rzeczą z powodu bardzo jeszcze wielkiego braku potrzebnych wiadomości. Można powiedzieć, że właściwie nie stawia nowej teoryi, tylko wskazuje drogę, której trzymać się winni badacze, jeśli w badaniach pragną zbliżyć się ku prawdzie. Punktem wyjścia jest znów protoplazma, substancya chemiczna, której wszystkie cząstki mają ściśle oznaczony porządek: z tego porządku i składu wynika życie. Ontogeneza nie jest cała tylko oddzieleniem, wyrazem dążności rozwojowej ale częściowo tylko, w drugiej zaś części tworzy dopiero nowe cegiełki przyszłego organizmu. Początkowa fizyczno-chemiczna, ściśle określona budowa pierwszej komórki i towarzyszące rozwojowi warunki wystarczą do wytłumaczenia dziedziczności. Powstanie gatunków zawdzięcza swój początek utrwaleniu i ustaleniu odmian powszechnych tj. spowodowanych naraz u całego szczepu albo przynajmniej u wielkiej liczby osobników. To jest w głównych rysach droga przez autora zakreślona. Zaprzeczyć nie można, że to pojęcie rzeczy grubo różni się od poetycznych, zbyt śmiałych polotów filozofujących przyrodników poprzednich a z pewnością jest już skromniejszem i szczerszem. Chwyta się doświadczeniem stwierdzonych faktów i na nich bezpośrednio chce się opierać, a gdzie raz po raz czuje ich brak, nie tai swych słabości. Protoplazma jest tedy substancyą chemiczną, której cząstki są ułożone w pewnym określonym porządku. Ten porządek daje w rezultacie życie, a skład chemiczny jest warunkiem nieodzownym. Dowód następujący: jeśli włożoną między dwa szkiełka protoplazmę zgniotę, to umiera. Ponieważ zaś nie zmienił się skład chemiczny, więc zmieniło się uporządkowanie: więc uporządkowaniem cząstek różni się protoplazma żywa od martwej; z niego wytryska życie (str. 749).

Trudno przypuścić, aby profesor Sorbony czuł siłę takiego dowodu. Przecież i całego człowieka można w podobny sposób ścisnąć trochę silniejszą prasą i osiągnie się taki sam skutek — czy dlatego ludzkie życie jest rezultatem uporządkowania elementów ciała ludzkiego? Jest wprawdzie niedokładność w tem porównaniu, gdyż z definicyi protoplazmy usunął autor wszelki inny czynnik, prócz substancyi chemicznej i pewnego ugrupowania. Wtedy jednak zachodzi pytanie, czy słusznie to uczynił. Kto tak twierdzi, niech okaże dowody.

Jeśli zaś wychodzi się z założenia chwiejnego, to wnioski wyprowadzone będą podobne do tych, które autor w części trzeciej zwalczał.

Gatunki powstają, zdaniem autora, przez utrwalenie odmian powszechnych w całym szczepie lub wielu naraz osobnikach. Odmiany takie są wywołane warunkami życia, a więc pożywieniem np. i zmianą klimatu, a obok tego ćwiczeniem się i używaniem pewnych organów albo przeciwnie brakiem ćwiczenia i używania. Dobrze! Ale porównajmy to twierdzenie z drugiem, na którem autor oparł tłumaczenie dziedziczności. Dziedziczność, mówi (str. 794), zapewnia stałość w składzie chemicznym z taką ścisłością, że każda komórka w każdej chwili znajduje się wobec dylematu: albo znajdę warunki te same, w jakich się znajdowały podobne komórki rodziców i będę oddziaływała na nie w ten sam sposób, a wtedy osiągnę rozwój całkowicie ten sam — albo prędzej lub później zginę. Dlaczego osobniki nie mają powyższego dylematu przed oczyma? Przecież i tu zmiana inaczej się nie odbywa, tylko za pośrednictwem komórek. Tu podobnie każda komórka ma tylko do wyboru — albo pozostać w dawnym stanie lub co najwięcej niezbyt zmienionym — albo zginąć. Jeśli zaś podlega temu prawu i z biegiem czasu przestaje być konserwatywną — to dlaczego?

Na te i inne podobne pytania jest ostatnią i najgłębszą odpowiedzią ta, którą autor daje już w pierwszej części, gdy mówi o gatunkach (str. 184), a którą później powtarza przy każdej sposobności (np. str. 286, 813): descendencya jest jedyną teoryą naukową, więc ją przyjąć trzeba.

Otóż znowu spotykamy autora w jego asylu. Może najlepiej uczynimy, cytując własne jego zdanie, które okaże, jak on sam zapatruje się na tego rodzaju schroniska. Na początku czwartej części (str. 748) przepisuje autor każdemu badaczowi, który chce iść drogą wiodącą ku prawdzie, by miał zawsze przed oczami punkt wyjścia a nie cel

i pozwolił się prowadzić faktom doświadczenia, a nie oddawał się na usługi teoryi, w której sobie z góry upodobał.

To są najważniejsze uwagi. Zdaje się, że wystarczą, aby dzieło we właściwem świetle postawić.

O zapatrywaniach autora filozoficznych, jak np. o poglądach na dedukcyę lub na wolną wolę, wystarczy jedynie wspomnieć, pamiętając o tem, że autor jest przyrodnikiem, a za mało filozofem.

Ks. J. B.

Vita di S. Rita da Cascia dell' ordine eremitano di S. Agostino. Scritta dal *P. M. Lorenzo Maria Tardi* dello stesso ordine. Roma. Tipografia vaticana. 1900. (Str. VII, 282).

Dzień 25 maja nad inne pozostał w pamięci zeszłorocznych pątników, zapisał się w kronikach bazyliki Piotrowej. Do szpiku katolicki lud włoski zapomniał na razie o zjednoczeniu Włoch, o parlamencie, o królu i królestwie, o rządzącej wszechwładnie masoneryi, aby ojców śladem wypełnić po brzegi kościół św. Piotra i wzywać opieki ulubionej swej, rodzonej patronki, którą tkliwe popularne nabożeństwo nie od dziś zowie świętą pośredniczką rzeczy po ludzku za niepodobne uznanych, *la Santa degl' impossibili.* Olbrzymia bazylika zajaśniała mnóstwem ozdób i blasków, a łącząc w swym obrębie *nova et vetera,* odwieczną Kościoła praktyką, do świec jarzących, które już w katakumbach płonęły, dodano elektryczne słońca, rzucające snopy promieni z Gloryi Bernini'ego oraz z innych wybitnych punktów wspaniałego przybytku. Nowych zyskując przyjaciół w niebiańskiej krainie, powinniśmy starać się o bliższe ich poznanie. W czem nam posłużą tym razem za przewodników Mgr. Gennaro i O. Wawrzyniec Tardi, najnowsi biografowie św. Rity.

Wonny to kwiat Umbryi, tej wybranej krainy, gdzie świętość i sztuka najpiękniejsze wydać miały owoce, stwierdzeniem powinowactwa między Prawdą a Pięknem. Pobożny biograf, wierny tradycyom odrębności małych Rzplt. italskich, kładzie nacisk na wpływ tych skupionych w ciasne ramy organizmów państwowych, które wydawały z siebie tak liczne a wybrane jednostki. Mnożyły się w owe czasy i całe rody „eugeniczne", czyli udarzone wyjątkowemi zdolnościami. A im burzliwsze bywały czasy, tem się silniejsze urabiały indywidualności, większe i szersze dusze. W małogłośnej, skalistej Cascia, archiwa miejskie zachowały pamięć dwóchset wybitniejszych rodzin w przeciągu dwóch wieków, a roczniki Kościoła zapisują z chlubą cały szereg wyszłych

stąd Świętych Pańskich. Pełna szczęku orężnego i powszechnego zamętu epoka potęgowała przymioty lub złe skłonności osobników. W tej atmosferze dojrzewali naprzemian bandyci i święci, okrutni kondottierzy i wybrani Pańscy. W tej to górzystej krainie, otaczającej starorzymską Cascia, opodal od Spoleto, w skalistej osadzie Rocca Porreno, przyszła na świat ta, która nad innych synów i córki tej ziemi miała wsławić rodzinne strony, i zwać się w późne pokolenia Ritą da Cascia. Urodzona w r. 1381, z rodziców podeszłych w wieku, którzy po długiem małżeńskiem pożyciu, już się nie spodziewali potomstwa, a zasłużyli sobie na nie wielkiem dla ubogich miłosierdziem, od kolebki miała być otoczoną nadprzyrodzonemi zjawiskami. Odniesioną po chrzcie św. dziecinę otoczył rój pszczół osobnego gatunku, które wchodziły na przemian i wychodziły z ust niemowlęcia, a ustaliły na zawsze swą siedzibę opodal jej grobu. W szczelinie skały, po dziś dzień dopatrzeć się można kilkunastu pszczół różnych ubarwieniem i zwyczajami od zwykłych. Pszczoły te stale się pojawiają w dniach poświęconych rozpamiętywaniu Męki Zbawiciela, a od czterech wieków nigdy nie opuściły ulubionej w Rocca Porreno skały. Tak to kolebkę i grób Rity oprawiają niby wonne kwiaty, pełne poezyi i prawdy umbryjskie legendy. Wszakże umierającej, gdy krewna postawiła zapytanie, coby jej przynieść ulgę mogło, przyśniła się tęsknota za różami z własnego ogródka: „Przynieś mi różę z Rocca Porreno“, powtarzała złożona śmiertelną niemocą Rita, nie pomnąc na porę zimową, jakoby pod wpływem gorączki. Owa krewna mało sobie ważyła słowa chorej, gdy jednak wracała do domu poprzez okolicę odartą z letniej krasy i szronem przysutą, było to bowiem w styczniu, rzuciła okiem na opuszczony ogródek, i jakież było jej zdumienie, gdy na pozbawionym liści krzaku, ujrzała najpiękniejszy kwiat samotnej róży, rozkwitający jakoby na pociechę umierającej. Uszczknęła kwiat mistyczny i oddała go chorej, która w tem zjawisku odgadła odpowiedź niebios i rękojmię blizkiego z pętów ciała wyzwolenia. Pszczoły i róże, tak często zachodzące w symbolice chrześcijańskiej, dostarczają rzewnych ram surowemu życiu pustelnicy świętego Augustyna.

Opatrzność różnemi zrazu prowadziła ją drogami, pragnąc śladem i wonią jej cnoty pociągnąć niewiasty na szlaki zbawienia. Po anielskiem dzieciństwie, dusza Rity rwała się do zaciszy klasztornych, do dziewiczej doskonałości. Starzy rodzice nie chcieli się z nią rozłączyć, błagali, aby pozostała podporą ich sędziwości i przełamawszy jej opór wydali za młodzieńca krewkiego usposobienia. Był to gwałtownik nie-

zdolny młodziutkiej uszanować towarzyszki. W kilka dni po ślubie, już ją zaczął poniewierać, bić, zasmucać na wszystkie sposoby. Cierpliwa Rita znosiła wszystko z największą słodyczą, usiłując odgadnąć życzenia mężowskie, złagodzić jego uniesienia, dogadzać nawet kaprysom. W mężu upatrywała głowę i pana swego, tak jak Chrystus jest głową Kościoła, i nie targowała się o bezwzględne posłuszeństwo i uległość. Nigdy się przed nikim nie żaliła na ciężkie domowe stosunki, nie zdradzała heroizmu, którego jej było trzeba, aby znosić ciągłe udręczenia i poniewierkę. To jej słodkie milczenie, wytrwałe a pełne miłości, zdobyło w końcu nietylko serce, lecz i duszę małżonka. Zwyciężony jej cierpliwością, pewnego dnia padł jej do nóg, przepraszał za długoletnią szorstkość i nieprzeliczone przykrości, obiecując poprawę i nawrócenie, nietylko wobec niej, lecz o co jej stokroć bardziej chodziło, wobec samegoż Boga. Zaczęły się po latach próby dni szczęścia dla zjednoczonych teraz pokojem Bożym małżonków. Rita używała wszystkich swych przyrodzonych i nadprzyrodzonych darów, aby męża utrzymać na drodze powinności chrześcijańskich. Wychowanie zbożne dwóch synaczków niemniej wypełniało jej czas i duszę. Odnajdywała w dzieciach niepohamowany temperament ówczesnych ludzi, dziedziczną gwałtowność rodzica. Tem bardziej starała się młode ich dusze nagiąć pod jarzmo zakonu, prowadzić na drodze cnoty, umocnić przeciw pokusom. Podwójna troska o męża jeszcze nieustalonego w dobrem, o synów zdradzających krewkość dziedziczną, wiodła ją do tem usilniejszych starań, tem gorętszych modlitw, tem liczniejszych dzieł miłosierdzia i częstszych umartwień. Aż oto gdy kosztować zaczynała owoców swych usiłowań i zachodów, mordercza ręka zgładziła jej małżonka opodal od rodzinnej wioski. Krwawemi łzami opłakała Rita jego stratę, bolejąc mianowicie nad nagłą i niespodziewaną śmiercią, która mu nie pozwoliła w ostatniej godzinie zasilić się św. Sakramentami. Zaledwie oddała małżonkowi ostatnią posługę, aliści nowa, sroższa ogarnęła ją troska o duszę dorastających synów, zionących nienawiścią i pałających zemstą przeciw zabójcy rodzica. Odnaleźć go, szukać odwetu, pomścić śmierć ojca, oto była myśl wyłączna obu pacholąt. Widząc, że macierzyńskie upomnienia i nawoływania do zapomnienia uraz i przebaczenia winowajcy nie skutkowały zgoła, Rita wzniosła się do rzadkiego bohaterstwa. A jeśli matka św. Ludwika powtarzała, iż wolałaby syna widzieć na marach, jak skalanego grzechem śmiertelnym, podobnież i Rita w serdecznej swej trosce, nie pomna na rozdarcie wnętrzności macierzyńskich, jęła błagać Pana, aby raczej

zabrał jej dzieci, aniżeliby one miały folgować zemście i targnąć się na cudze życie. Heroiczna ta prośba wysłuchaną została. W przeciągu jednego roku, straciła obu synaczków, a jeśli płakała po zgonie małżonka, nie znalazła łez jeno dziękczynienia, gdy dzieci swe widziała nieskalane krwią zemsty i oddała Bogu, spokojna o ich zbawienie. Miała lat 32, gdy w nią te potrójne uderzyły ciosy, przeżywszy lat ośmnaście w stanie małżeńskim. Rok jeszcze w wdowiej, a następnie i macierzyńskiej przeżyła żałobie, aby następnie pofolgować dawnej tęsknocie do zakonnego życia. Po trzykroć pukała do wrót pustelnic Augustyanek w Cascia, zawsze odmowną otrzymując odpowiedź. Zgromadzenie ich przyjmowało dziewice, nie wliczało nigdy wdów w poczet zakonnic swej reguły. Nie zniechęcona ponawiającem się odrzucaniem swej prośby, gdy raz trwała na modlitwie w osieroconem swem domostwie, w nocy przez osobliwych swych patronów: Jana Chrzciciela, Augustyna i Mikołaja z Bari uprowadzoną została przez niedostępne skały wiodące z Rocca Porreno do Cascia, i znalazła się wewnątrz klasztoru mimo zaryglowanych bram i opornych progów. Schodzące do chóru zakonnice zdziwiły się niepomału na widok tylokrotnie odrzuconej wdowy, która z wzruszeniem i pokorą, uznawała wielką a cudowną nad sobą rękę Opatrzności. Nie śmiały się już sprzeciwiać dobre zakonnice tak wyraźnie objawionej woli Najwyższego i przyjęły Ritę w poczet pustelnic św. Augustyna, nie domyślając się, jak wielkie światło niebawem wśród nich zapłonie.

Nie będziemy się rozwodzić nad cnotą nowicyuszki, a od r. 1414 profeski monasteru św. Augustyna w Cascia. Pobożny biograf wyróżnia jej milczenie, sławi wielką miłość dla towarzyszek zakonnych, z których przez lat 44 pobytu Rity w klasztorze, żadna nie umarła inaczej jak na jej ręku, pokrzepiona jej męstwem i słodyczą zarazem. Posłuszeństwo jej było tak ślepe, że chcąc je wypróbować, przeorysza rozkazała jej podlewać uschłe na dziedzińcu klasztornem drzewo. Rita usłuchała bez szemrania. I oto Pan pobłogosławił jej uległości, tak jak ongi na pustyni cudownie wynagrodził w podobny sposób posłuszeństwo pobożnego anachorety. Podlewane codziennie drzewo odzyskało świeżość, martwe gałęzie pokryły się zielonością, wydały owoce, i przez długie lata nazywano je w klasztorze: *l'albero della Beata.* Ubóstwo jej było tak zupełnem, iż przez czterdzieści przeszło lat w jednej i tej samej chodziła sukni, najnędzniejszą zajmowała celę, trwała ustawicznie na modlitwie i zdumiewała siostry zakonne ostrością życia i ćwiczeń pokutnych. Boski Oblubieniec chciał też dać jej udział w swej

męce, którą ochotnie rozpamiętywała: gdy raz zatopiona w kontemplacyi, odczuwała wszystkie bóle Ukrzyżowanego, nagle cierń z korony wieńczącej krucyfiks w kaplicy klasztornej zdał się oderwać, aby sługę Bożą tak silnie w czoło zranić, iż odtąd przez lat piętnaście nosić miała znamię miłości, w kształcie bardzo bolesnej, otwartej rany, budzącej wstręt towarzyszek, a upajającej jej duszę miłością. Święte te stygmata raz jeden tylko zniknąć miały na krótko w r. 1450. Papież Mikołaj V. ogłosił był światu szósty z kolei jubileusz, połączony z dziękczynieniem za wrócenie Kościołowi pokoju, ustaniem schizmy. Rita mimo siedmdziesiątego roku życia zapragnęła skorzystać z otwartego w Rzymie zdroju łask. Nie powinno nas zadziwiać to życzenie pustelnicy. Ostatecznie dopiero sobór Trydencki uregulował zakonną klauzurę, mniej ściśle ongi przestrzeganą. Sędziwą Ritę usiłowała przeorysza odwieść od zamiaru pielgrzymki, choćby odrazą, jaką wzbudzała otwarta na czole jej rana. Gdy ta nagle cudownie zniknęła, nie było już powodu przeszkadzać pobożnemu zamiarowi. To też Rita obiegła z towarzyszkami święte miejsca, uzyskała wszystkie łaski Miłościwego Lata, wróciła do Cascia, aby niezwłocznie święte i bolesne odzyskać znamię, które jej do śmierci już nie opuściło. Po czteroletniej ciężkiej chorobie, która jej anielskiej nie wyczerpała cierpliwości, ujrzała w zachwycie Boskiego Oblubieńca, który ją zapewnił, że po upływie trzech dni przejdzie do lepszego żywota. Zaczem przysposobiwszy się na ostatnie chwile, pożegnała i przeżegnała płaczące siostry, i dnia 22 maja 1457 r., za panowania Kaliksta III. czystą duszę oddała Bogu.

I stała się rzecz dziwna: ta pustelnica żyjąca w ukryciu ustronnego włoskiego miasteczka, po zgonie zasłynąć miała olbrzymim rozgłosem. Krótkie są kartki opisujące jej życie, nieskończone rozdziały przypominające jej uwielbienie, otrzymanemi za jej przyczyną przez cztery przeszło wieki łaskami oraz dziwami. Przedewszystkiem tak słodka i nadzwyczajna woń wydzielała się z jej ciała, że od razu dawała przeczucie szczęśliwości zmarłej *in odore sanctitatis* zakonnicy. Woń ta ustalić się miała dokoła jej grobowca. Po dziś dzień, raz po raz się przejawia, mianowicie ilekroć goretsze błagania za jej przyczyną w niebo płyną. Cudowna woń bywa zapowiedzią cudu, przesłanką otrzymanej łaski. Ciało nie zaznało zepsucia, zachowało się świeże i całe po dni nasze. Ilekroć komisaryat biskupi sprawdzał stan świętych relikwij i z ramienia Stolicy świętej otwierał trumnę, zwłoki cudownie się podnosiły w górę z śmiertelnego posłania, aby ułatwić zadanie wizytatorów. Nareszcie liczne świadectwa stwierdzają, iż nie-

jednokrotnie święte zwłoki poruszały się w trumnie, otwierając oczy na wiernych. A co powiedzieć o mnóstwie łask, uzdrowień, cudów, wyproszonych za pośrednictwem Rity? „Ślepi widzą, głusi słyszą, chromi chodzą", te słowa ewangelii przystają jak wraz do cudownej mocy wielkiej orędowniczki. Niepodobna przytaczać nadprzyrodzonych łask i dziwów wypełniających trzecią, najdłuższą część niniejszego żywota. Przedewszystkiem moc cudotwórcza przejawia się wracaniem wzroku nieprzeliczonym ociemniałym. Podobny też cud głównie w dekrecie kanonizacyjzym został szeroko opisany. Niebawem nadano Ricie wspomniany już a rzewny tytuł przysługujący jej w ojczystej ziemi, świętej od niepodobnych rzeczy patronki, *la santa degl' impossibili*. Zwątpiwszy o doczesnej pomocy i środkach, wierni garną się ufnie do Rity, przedstawiają jej swe troski, swe biedy i bóle, a nie odchodzą nigdy bez pociechy. To też na długo przed ostatecznem orzeczeniem Kościoła, już ją lud mienił błogosławioną, nazywał *la Beata*, uprzedzając rzewnem i tkliwem nabożeństwem rozstrzygający wyrok Namiestnika Chrystusowego.

Rok ten 1457 miał być pamiętnym w dziejach augustyańskiego zakonu, zasmuconego buntem Lutra na początku następnego wieku: W tymże samym roku przeszła do lepszego żywota błog. Krystyna Visconti i błog. Gabryel Sforza, arcybiskup medyolański, oboje z zakonu św. Augustyna. Kościół atoli nie spieszy się z wieńczeniem swych dzieci nieśmiertelnym kwiatem świętości. Mimo cudów bez liku, przekraczających granice przyrodzonej możliwości, mimo ustalającego i upowszechniającego się nieustannie nabożeństwa do świętej zakonnicy, sprawa beatyfikacyi szła w odwłokę. Dopiero w 1628 roku, Urban VIII. ulegając prośbom wielu znakomitych osób, wśród których nie brakło członków samejże rodziny papieża, książąt Barberini zakończył solenną beatyfikacyą ciągnący się od 170 lat proces.

I znów nastąpiła nowa odwłoka, jak gdyby Opatrzność chciała nasze czasy zdumieć nowych a nadzwyczajnych łask szeregiem. W ciągu XIX. wieku jęły się mnożyć tak nadzwyczajne cuda za pośrednictwem bł. Rity, że podjęto na nowo proces kanonizacyjny, zatwierdzony już i zakończony w 1856 r. przez wielkiego Piusa IX. Z różnych atoli powodów, sprawa zaległa w Kongregacyach, a tymczasem nowe cuda zatwierdziły nadzwyczajną świątobliwość błogosławionej, której sprawę przypomniano w 1892, 1897 i nareszcie 1899 r. Kiedy na wniosek kardynałów kanonizacya została postanowioną nieodwłocznie, z początkiem bieżącego roku Ojciec św. wydał ostateczny wyrok, zdobiący

nowym kwiatem świętości tę wybraną Umbryę, która wydała św. Benedykta i św. Franciszkę i cały nieprzeliczony poczet błogosławionych. Trzy cuda objęte dekretem i stwierdzające nadprzyrodzoną świętość Rity, to woń po dziś dzień płynąca z jej zwłok, przeważnie w chwili wyproszenia większej, cudownej łaski, dalej uleczenie ociemniałej dziewczynki, nareszcie uzdrowienie ciężką i chroniczną złożonego niemocą krawca, który w r. 1877 dźwignięty za przyczyną św. Rity z choroby, dożył późnej sędziwości, sławiąc do końca swą dobrodziejkę.

Niniejsza biografia św. Rity może nie ze wszystkiem zadowolnić nowoczesnego czytelnika, trzymaną jest w archaicznej formie, nużącą bywa rozwlekłością u Włochów nierzadką. Atoli bije z niej i promienieje świętość przedmiotu, i pozwala ogarnąć znaczenie tej soli ziemi, bez której wszystko zwietrzeje. Rita przychodzi na świat w najciemniejszej dobie historyi papiestwa, historyi Włoch. Schizma rozdziera łono Kościoła, stronnicze zapasy rozrywają łono Italii, wszędzie klęski, walki, zamachy i zbrodnie. Życie naszej Świętej upływa w skrytości, umiera nieznana, w ustronnym klasztorku. Ale któż odgadnie, ile jej zasługi zaważyły na szali Boskiej sprawiedliwości? Oto po jej zgonie rozpoczyna się dla ojczyzny niebywały okres powodzenia i rozkwitu, czasy bujne i rodzajne jak żadne inne. Kto zmierzy, ażali nie ta to właśnie kropla świętości, wsączona w ustrój narodu, całą zaczyniła mąkę, pierwiastkiem wielkich dzieł i czynów?

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z TAJEMNIC KLASZTORNYCH.

Toczące się dzisiaj w kilku od razu krajach i wszędzie prawie równoczesne walki przeciwko Kościołowi i zakonom, a szczególniej ostatnie zajścia we Francyi, Hiszpanii, Portugalii, a nawet Austryi, każą się domyślać wspólnego tej walki czynnika i wywołują mimowoli domysł, czy też całym tym nienawistnym ruchem nie kieruje przypadkiem jedna i ta sama ręka. Gazety katolickie, jedne mniej, drugie więcej śmiało, wskazywały na międzynarodowe wolnomularstwo, które pod wpływem zaciekłej złości elementu żydowskiego, pragnie Kościołowi i zakonom zadać cios stanowczy, aby później uprzątnąć się tem łatwiej z klerem świeckim. Nie solidaryzujemy się ze zdaniem tych wszystkich, którzy w każdej hecy antykościelnej widzą zaraz rękę masońską lub semicką, w tym jednak wypadku twierdzenia gazet trafiły, zdaje się, w sedno. Na międzynarodowym kongresie wolnomularzy, jaki się odbył we wrześniu zeszłego roku w Paryżu, wyraził się tak wielki mistrz wielkiego hiszpańskiego oryentu, Don Miguel Morayta y Sagrario, jak i brat Albert Maréchand, że przeciwko szkodliwej działalności Kościoła katolickiego trzeba koniecznie na szerszą skalę rozpocząć akcyę, a akcya tu nie doprowadzi do niczego, jeżeli

nie będzie akcyą wspólną i międzynarodową. Dlatego też postanowiono tam federacyę wszelkich masońskich lóż, a postanowienie to nazwano najważniejszym aktem w dziejach wolnomularstwa, punktem wyjścia dla nowej ery. Jak wynika ze sprawozdania kongresu, spada na Francyę wątpliwy zaszczyt zainicyowania tej federacyi. Dziwnym też trafem w kilka i kilkanaście tygodni po kongresie zakotłowało we Francyi, zahuczało w Madrycie i Oporto, a i Wiedeń stał się świadkiem niebywałego zgorszenia...

Nim jednak zadraśnięty w swej godności naród zwrócił się przeciwko ciemiężącym go zakonom w Hiszpanii i Portugalii, odegrała się jako przygrywka mała komedya w Belgii. Do zakładu zakonnic w Rue Hors-Chateau w Liège oddano małą siedmioletnią dziewczynkę, której rodzice starali się o pozyskanie rozwodu. W czasie świąt Bożego Narodzenia chciała matka córkę do siebie zabrać i wyrobiła sobie u rządu pozwolenie, że zakonnice jedynie jej dziecko oddać będą mogły. Tymczasem dziewczynka zginęła; rządowa rewizya nic nie pomogła, aż zbolała matka z płaczem zaczęła wołać ukochanego dziecięcia, a wtenczas gdzieś z daleka, z głębi ogrodu odpowiedział jej głos: mamo, mamo! Klasztor posiadał, w sam raz jak w powieściach, swoje podziemia i do tych podziemi zamknięto dziecko z jakąś zakonnicą. Gdy się mała odezwała, zamknęła jej wprawdzie okrutna zakonnica usta, ale siłą rozpaczy wyrwało się dziecię z rąk swej siepaczki, wybiło szybę i pobiegło do matki, ta zaś na Boga i ziemię zaprzysięgła zemstę klasztorowi; pokazało się bowiem, że katowane dziecko miało być uprowadzone za granicę i tam pewnie wsadzone do klasztoru.

Na ten temat snuły rozmaite gazety i gazetki „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“. Lecz cóż robić z nieszczęśliwymi klerykałami, którzy właśnie tam się rodzą, gdzie ich nie posiali, a zapominają o głębokiej, filozoficznej prawdzie przysłowia: „Gdzieś nie dał grosza, nie wtykaj nosa“. Grosza wprawdzie nie dali, ale tem lepiej zbadali sprawę, a rzecz według relacyi *Gazette de Liège* tak się wcale niewinnie przedstawia: W czasie, w którym matka miała córkę na wakacye z kla-

sztoru zabrać, przybył do zakładu ojciec, aby się z dzieckiem swem rozmówić; on też wyszedł z małą na spacer do ogrodu, połączonego z leżącym na drugim końcu, lecz zupełnie od zakładu odosobnionym domem poprawy dla upadłych. Kiedy więc matka nadeszła, córka znajdowała się z ojcem w podwórzu drugiego domu, stąd jej w zakładzie samym nie było można znaleźć, a tymczasem ojciec sam chciał dziecko siłą z sobą uprowadzić. Zaszła jednak jakaś przeszkoda, mała dziewczynka wróciła z zakonnicą, która jej również szukała, do matki, a piękna przędza bajek o oryentalnej barwie obróciła się w nicość.

Niczem jednak komedya z Liège wobec drugiej z Madrytu, gdzie na scenie pojawiają się grający w dzisiejszem społeczeństwie rolę kominiarzy dla dorosłych dzieci, Jezuici. Cóż znowu ci Jezuici tam zbroili? Starym zwyczajem zrujnowali szczęście rodzinne, od łoża umierającej matki oderwali młode, niewinne, nieletnie dziewczę, a chcąc zabrać jej majątek, zamknęli ją w klasztorze i to zdaje się nawet w jezuickim. *Padre Carmeno* (jak to pięknie brzmi to *Padre,* tak czysto z hiszpańska) był tym złym duchem, który kierując się właściwą Jezuitom przewrotnością i znaną zasadą o celu i środkach, postanowił zagarnąć jej pieniądze, a samą p. Ubao na zawsze nieszczęśliwą uczynić. Obrażony w najświętszych swych uczuciach naród stanął jednak jak jeden mąż w obronie zagrożonej niewinności i doszedł do przekonania, że jeżeli w Hiszpanii mają lepsze nastać czasy, musi ona przestać być krajem Torquemady i Piotra Arbueza, dwóch największych potworów, jakich dotąd ziemia wydała; dlatego też ten lud, potężny w swej samowiedzy, postanowił sobie wymierzyć sam doraźną sprawiedliwość. Bombardowano więc kolegia Jezuitów, obrzucono kamieniami powóz nuncyusza, poturbowano podobno jakiegoś ministra, a okrzyki: „precz z Jezuitami“ brzmiały w całej Hiszpanii. Była to rzadka a świetna okazya do wylania swej żółci na wszystko co katolickie. Pokazało się więc, że oprócz gazet żydowskich całego świata, mają dwa pisma krakowskie i jedno lwowskie nader dokładne wiadomości o stosunkach hiszpańskich. Usłyszeliśmy dlatego, że Hiszpania jest przerznięta jednym łańcuchem klasztorów, a miasta

jak Saragossa, Bilbao, Madryt, Walencya, Barcelona, Valladolid, otoczone niby wałem, imponującemi gmachami klasztornemi. To też nie dziwić się, że zakonnicy hiszpańscy zgromadzili w swych murach większą część majątku krajowego, że skoncentrowali całą władzę i tak opanowali rząd, iż wszystkie wyższe i niższe szkoły w ich rękach się znajdują. Nie dosyć na tem. Wszystkie ważniejsze przedsiębiorstwa finansowe ześrodkowują się w klasztorach, które mają np. monopol tytoniowy i zawiadują bankami hiszpańskiemi; klasztory też urządziły w swych murach najrozmaitsze fabryki, a ponieważ nie płacą ani podatków, ani robotników, uniemożliwiły przeto konkurencyę świeckim przedsiębiorcom. Ileż jednak jest prawdy w tych wszystkich trenach i wywodach? O ile cała sprawa hiszpańska miała tło polityczne, nas tu niewiele obchodzi; pewnem jest, że zaślubiny księżnej Asturyi służyły tylko za pretekst i że ruch bynajmniej nie był tak groźny ani też tak ogólny. Chcemy jedynie uwydatnić stanowisko zakonów, a przedewszystkiem Jezuitów; ich bowiem za głównych winowajców poczytano. Faktem jest tedy, że dwudziestoczteroletnia Adela Ubao, narażona w domu na prześladowania ze strony rodziny, postanowiła wstąpić do klasztoru, tem bardziej, że czuła do życia zakonnego powołanie; zamiar też swój urzeczywistniła. Za tę zbrodnię spadła odpowiedzialność na ks. Cermeno (nie Carmeno, jak podawały pisma), Jezuitę, który miał być stałym spowiednikiem Adeli, a korespondencyą, przesyłaniem książek wbrew woli matki, zakreślaniem ustępów przemawiających do rozegzaltowanej wyobraźni dziewczęcia, utwierdzać ją w postanowieniu; niektóre gazety przytaczały nam nawet dla większego efektu ustępy z tych listów i pism. Tymczasem, a twierdzimy to oparci na prywatnej, zupełnie pewnej korespondencyi naocznego świadka, ks. Cermeno spowiadał p. Ubao dwa razy i to przed dawnym już czasem. Przed półtora zaś roku otrzymał od niej jeden jedyny list i na ten jeden list przed półtora roku jeden jedyny raz odpowiedział. Więc ani księdzu Cermeno, ani nikomu innemu nie przeszło przez myśl zmuszać dziewczynę do życia klasztornego, tem mniej nie chodziło ani obwinionemu, ani Je-

zuitom wogóle o majątek Adeli, który był cały do dyspozycyi w rękach jej matki. Gdyby ta małoletnia panna była uciekła ze swoim kochankiem, moralność w oczach prasy liberalnej nicby na tem nie straciła; nad panną Adelą przeciwnie unosiłaby się pewna aureola romantyzmu, w każdym razie niktby o niej nie wiedział, ani o niej pisał. Lecz ona wstąpiła do klasztoru, a to rzecz zmienia; prawo hiszpańskie przepisuje, że dziewczyna może między 23 a 25 rokiem życia tylko wtedy wbrew woli swych rodziców dom rodzicielski opuścić, jeżeli sobie obierze jakiś stan; do różnych stanów zalicza się logicznie i stan zakonny. Jak więc panna Ubao nie mogła wstąpić do klasztoru, to już jest tajemnicą trybunału hiszpańskiego, który dziewczynie zakon opuścić kazał, i adwokata Salmerona, nawiasem mówiąc najzaciętszego wroga Kościoła katolickiego. W każdym razie sprawa p. Ubao nie potrafiła sama Jezuitów i wogóle zakonów zohydzić; do tego celu musiała służyć sztuka, ta sztuka, która zdaniem modnych estetyków wolna od wszelkich tendencyj, ma cel swój sama w sobie i służyć powinna jedynie pięknu i ideałom.

Jak grzyb po deszczu wyrósł nagle w Hiszpanii „narodowy poeta, nowożytny hiszpański Molière“, Pérez Galdós, który po zdjęciu maski okazał się tylko prostym oszczercą i burzycielem ładu społecznego. Dramat „Elektra“ napisał Galdós wyłącznie w tym celu, by ciemny tłum przeciw Jezuitom podbudzić; cel też ten częściowo osiągnął. W arcydziele występuje bowiem sprawa podobna do sprawy p. Ubao, a głównym bohaterem jest niejaki Salvador Pantoja, świecki koadjutor (!) Jezuitów i reprezentant ich moralności. Niegdyś był łotrem, teraz stał się zagorzałym fanatykiem i chce, żeby jego nieślubne dziecko wstąpiło do klasztoru i tam zadosyćuczyniło za grzechy jego młodości. By przeszkodzić miłości Elektry do jej krewnego Maxima, głosi oparty na jezuickiej zasadzie o celu uświęcającym środki, iż ten ostatni jest jej bratem. Elektra zrozpaczona wstępuje do klasztoru, tu jednak w halucynacyi pojawia się jej matka, wyjawia całą prawdę, Elektra z kochankiem ucieka, koadjutor świecki Jezuitów wścieka się ze złości — koniec

końcem wszystko się załatwia zwykłym trybem rzeczy. Tłum w teatrze ryczał od radości; „precz z Jezuitami“ rozlegało się, sztuka osiągnęła swój cel. Ta garść tłumu, rekrutującego się z wszystkich zaułków Madrytu i pewnej części studentów o barwie polnego maku, wyszła od razu na „bohaterski naród hiszpański“, który potargał nałożone przez klerykałów pęta i szukał „ratunku przed Jezuitami“. To też im więcej bohaterów brało w ekscesach udział, tem bardziej rosło uszanowanie pewnego odłamu gazet dla tego ruchu ludu, który wreszcie zrozumiał, iż jego największymi wrogami są klerykali, za których rządu kraj powoli do ładu i spokoju wracał, a największymi przyjaciółmi są liberali, za których gospodarki poniosła Hiszpania straszną klęskę w wojnie o Kubę i Filipiny. Swoją drogą gazety przez jakieś niezrozumiałe zapomnienie nie wyzyskały jednego jeszcze szczegółu. Aktor, który grał rolę Pantoji, a więc koadjutora świeckiego Jezuitów, dziwnym trafem prawie bezpośrednio po przedstawieniu „Elektry“ umarł. Nie wchodziłaż tu w grę czasem trucizna jezuicka? To pominięcie tej ważnej okoliczności ze strony prasy ciekawie, bardzo ciekawie wygląda!

Że cała heca nie była znów tak straszną, a do niemożliwych prawie rozmiarów wyśrubowała ją w swej wyobraźni czerwona prasa, skrzętnie notująca każdy świst, każde uderzenie kamienia ze strony bezmyślnej ulicy, pokazują choćby te dwie okoliczności, że jednego dnia „Elektrę“ przyjęto z entuzyazmem, a już następnego w tym samym teatrze madryckim wyszydzono nielitościwie, i że ci Jezuici, którzy w popłochu z Madrytu i innych miast uciekali (tak nas w pewnych pismach pouczano), nie przerwali ani na chwilę swej pracy w stolicy i na prowincyi. Jakżeż tedy fakt ten połączyć ze sprawozdaniami gazeciarskiemi o ruchu, który objął całą warstwę społeczeństwa? Nie! Jezuitów tą sprawą nie zdyskredytowano, boć przecież tej niezbyt zresztą licznej garstki, która, jak pisze *Neue Freie Presse*, szła za głosem sygnałów pochodzących „z okien i balkonów“, nie można chyba uważać za wyraz opinii ogólnej; objawiał on co najwięcej chęci i pragnienia pewnej klasy. Lecz mimo tych krzyków i hałasów, telegramów i korespondencyj, i Kościół wy-

szedł z niemiłego tego zajścia cało. Klasztory są bez kwestyi liberałom i masonom cierniem w oku, ale każdy kto zna jako tako stosunki hiszpańskie, przyzna, że one są właśnie środowiskami dobrobytu i nawet kultury, choć to w oczach naszej inteligencyi jest od razu wykluczone. Ci tak szkalowani zakonnicy hiszpańscy poświęcają swe życie pracy nad podniesieniem dobrobytu ludu. To też dochody klasztorne idą w maleńkiej części na utrzymanie zakonników, w stokrotnie większej za to służą do prowadzenia szpitali, ochronek i szkół tak, że istotą działalności zakonnej w Hiszpanii jest praca nad ludem. Cośmy słyszeli o działalności politycznej, ekonomicznej i socyalnej zakonników, którzy tych swoich wpływów nadużywają w okropny sposób, należy wszystko do krainy baśni i — nienawiści i kłamstwa. Że tu i ówdzie jakiś ksiądz wystąpi i na tem polu do pracy, to z tego mu zarzutu czynić nie można; działalności np. ks. Hitze lub Abla, a u nas ś. p. Badeniego nikt zgubną nie nazwie, utrzymywać zaś, że zakonnicy w Hiszpanii opanowali życie publiczne i wyzyskują je w niemożliwy sposób, może twierdzić tylko ten, kto albo nie zna tamtejszych stosunków, jak większa część korespondentów dziennikarskich, albo ten, kto się opiera na tej samej zasadzie o celu, jaką Jezuitom zarzuca. Huki i stuki, frazesy i strachy nic tu nie pomogą, nic też nie tłumaczą. Konserwatyści wydaliby sobie samym świadectwo ubóstwa, gdyby się stawili pod kuratelę Jezuitów. Wiedzą oni o tem dobrze, że toby im powagi i uznania nie przyczyniło, dlatego też coś podobnego nie miało nigdy miejsca; zresztą zdrowa część narodu w Hiszpanii i kleru i rządu o takie rzeczy bynajmniej nie podejrzywa, ale na tysiąc czytelników naszych gazet, nie tych gazet poważnych ale tych o trochę czerwonym kolorze, może jeden tylko te rzeczy zna i z nich sobie zdaje sprawę. Dla innych wystarczy aksyomat starożytności: mistrz tak powiedział.

Wprost już śmiesznem i niezmiernie ograniczonem jest twierdzenie, że klasztory hiszpańskie to olbrzymie fabryki, uniemożliwiające świeckim konkurencyę i koncentrujące w swych murach wszelki przemysł. Nie przeczymy, że jak tu i ówdzie we

Francyi np. jeden lub drugi klasztor pracuje w jakiejś gałęzi przemysłu, tak samo i w Hiszpanii tu i tam przemysłem sobie na utrzymanie zarabiają. Ale twierdzić, że klasztory hiszpańskie z zasady i powołania przemysłem się zajmują i świeckim kupcom niedozwoloną konkurencyę robią, to znaczy mówiąc delikatnie, spekulować albo na naiwność i łatwowierność czytelników, albo nawet na ich głupotę. Jedno i drugie jasno pokazuje, że prasa lekceważy tych, bez którychby istnieć nie potrafiła.

Żeby choć krótko o prawdziwe przyczyny rozruchów hiszpańskich poruszyć, wystarczy powiedzieć, że opinia publiczna lepszej i zdrowszej części ogółu przypisuje całą historyę agitacyom masoneryi i liberałów, którzy w ostatnich czasach wiele na znaczeniu utracili, a jednak za dawnem stanowiskiem tęsknią i do niego dążą. Dlatego też pisze korespondent *Germanii* (nr. 41,1): „najniewinniejsze zajścia śrubują do niebywałych rozmiarów, wywołują namiętności ludu, a do pomocy używają kłamstw i podejrzeń". Nietylko kłamstw i podejrzeń. Obywatele czy towarzysze Canalejas, Romanones i Romero Robledo ofiarowali, jak bliższe badania wykazały, piętnaście tysięcy pesetów specyalnie w tym celu, żeby wywołać ruch przeciw Kościołowi i Jezuitom. I ruch ten nazwano: przebudzeniem się samowiedzy ludu!!! Liberali jak wszędzie w całym świecie tak i w Hiszpanii oburzają się na wolną jezuicką moralność, a sami posługują się wyłącznie temi niby jezuickiemi sztuczkami.

Że tak się sprawa ma, przedstawia nam niemniej jasno i najnowsze zajście w Portugalii. Miły Boże! czegoż tam nie napisano znowu „o gwałcie jezuickim w Oporto", słynnem w roku zeszłym ze swej dżumy a „obecnie zaprzątającem uwagę Europy z powodu swych Jezuitów", o pannie Rosie, „która była dumą swych rodziców i dla której marzyli oni o jak najświetniejszej przyszłości". a którą Jezuici dla jej majątku chcieli gwałtem do klasztoru wsadzić, i stąd też zaaranżowali wielce romantyczną szopkę niemniej romantycznego uprowadzenia. Nie zaniedbano przytem zwrócić uwagę publiczności na fakt, że ci straszni ludzie z szczególniejszą predylekcyą wybierają zawsze

młode i piękne dziewczęta — wszak to tak wiele myśli i marzeń nasuwa!

Panna Rosa, duma swych rodziców, liczy niestety już 32 lat, wobec czego rojenia o przygotowaniu jej jak najpiękniejszej przyszłości wyglądają co najmniej trochę spóźnione, tem bardziej, że tak panna Rosa jak i jej rodzice nie posiadają absolutnie żadnego majątku. Ojciec panny Calmon jest sobie zwykłym konsulem, a co bardzo wiele tłumaczy, jest zarazem i dostojnikiem loży; matka w swych zapatrywaniach niewiele od męża się różni. Trzydziestodwuletnia córka chciała opuścić dom ojcowski, a ponieważ była, zdaje się, już pełnoletnią, udała się z tą sprawą do sądu, który mimo oporu rodziców rozstrzygnął na jej korzyść. Rosa postanowiła skorzystać ze swego przywileju i gdy w pewną niedzielę lutego wychodziła po nabożeństwie z kościoła, oświadczyła matce ona, „duma swej rodziny“, że przenosi się do mieszkania przyjaciółki. Gdy zamierzała wsiąść do karety swej towarzyszki, matka narobiła hałasu, a konsul, który dziwnym zaiste trafem znalazł się te że niedzieli w kościele (widocznie przeczuwał, jaką mu niespodziankę Jezuici gotują) i chwilowo gdzieś się zawieruszył, nadbiegł i narobił wzorem inteligentnego człowieka wrzasku, że Jezuici porywają mu córkę do klasztoru. Córka, uczciwsza od „nieszczęśliwego ojca“, zaprotestowała, a jej protest ten w każdym razie osiągnął skutek, iż bliżej stojący, konsula trochę za silnie przekonali o tem, że kłamać nie wolno, inni za to, a na takich szlachetnych nigdzie nie zbywa, skorzystali z faktu, by wyprawić małą szopkę Jezuitom; z szopki zrobiono w wyobraźni pewnych ludzi całą szopę i można było znowu informować się z dokładnych i prawdziwych sprawozdań żydowskich gazet niemniej dokładnie i prawdziwie o nowej zbrodni Jezuitów, którzy starą a przytem ubogą pannę chcieli w klasztorze zamknąć i podobno ją nawet we własnym klasztorze ulokowali. Jezuici odegrali znowu swą rolę kominiarzy dla starych dzieci; tymczasem w Portugalii przeszli nad tą sprawą, która miała wywołać takie olbrzymie konflikty, do porządku

dziennego a w izbie po krótkiem wyjaśnieniu ze strony rządu odłożono ją *ad acta*.

Włochy jednak pozazdrościły tego tryumfu dobrej sprawy w Madrycie i Oporto i chciały w tych trudnych czasach pokazać, że i one nie są zacofane i potrafią iść zgodnie z duchem wieku. Więc też telegram z Florencyi ogłosił, że we wsi Capradossa został tamtejszy proboszcz po odprawieniu Mszy świętej zastrzelony przez brata uwiedzionej dziewczyny. Na ten temat improwizowano wiele, głównie zaś takich rzeczy, które się do powtórzenia nie bardzo nadają; wielka radość zapanowała w Izraelu, a radość tę osłabiło trochę urzędowne sprostowanie, nadesłane z Florencyi, które jasno wykazało, że podobnego zajścia, jak Włochy długie i szerokie, nigdy nie było i że w archidyecezyi florenckiej, w której zbrodnia zajść miała, niema żadnej wsi, przypominającej choćby w przybliżeniu nazwę Capradossa. Proch spalił na panewce, szukano rozumie się lepszego i na prędce wykryto nowy dramat klasztorny. Ot! dawny rektor szkockiego kollegium w Rzymie, Mgr. Campbell, uprowadził z klasztoru Benedyktynek w Rzymie młodą zakonnicę, Angielkę, a wraz z cnotą zabrał jej i miliony. Wiadomości tak pikantnej już dawno prasa nie miała, to też w tryumfie obeszła ona wszelkie stolice a dzienniki rzymskie *Patria* i *Messaggero* zacierały ręce z radości, że to one pierwsze fakt ten podały. Lecz Nemezys dziejowa wyjątkowo czepia się czasem i gazetki, a już pasyami lubi psuć humor Bogu ducha winnym redaktorom. W pierwszych dniach marca przyniosła *Patria* bardzo pokornie wprawdzie, ale jednak dość stanowczo i otwarcie skromną notatkę, że cała ta historya, która po raz pierwszy w jej łamach się pojawiła, jest z gruntu fałszywą, wyraża więc głębokie ubolewanie z powodu lekkomyślności jednego ze swych redaktorów, który taką kaczką czytelników uraczył. „A ponieważ, dodaje, ta oszczercza, fałszywa wiadomość bardzo się rozszerzyła, życzymy sobie, żeby i obecne odwołanie, ratujące dobre imię Msgra. Campbella, nie mniej szeroko się rozeszło". W ten sam sposób odwołał potwarz i *Messaggero*. Takie szczere

przyznanie się do winy (*Patria* donosi nawet, że dyrektor dziennika odpowiedniego redaktora surowo *severamente* skarcił) zjednać musi uznanie, ale swoją drogą nie pomału zadziwi.

Tak się więc przedstawia ta wiązanka dramatów klasztornych; rzuca ona wcale ciekawe światło na prawdomówność prasy i na dokładność informacyi gazet. A konkluzya z tego jaka? *Głos Narodu* będzie i nadal pisał o paunie Ubao „trzymanej wbrew woli rodziców w klasztorze OO. Jezuitów“ [1], brzmi to bardzo niewinnie, a za myśli z powodu tej notatki w głowie czytelników się rodzące *Głos Narodu* już nie odpowiada; organ „u c z c i w y c h“ będzie i nadal zamieszczał telegramy i artykuliki pod nagłówkiem „precz z Jezuitami“ i „doigrali się“, telegramy których treść stoi z tytułem najczęściej w stosunku przypominającym przysłowie o pięści i nosie; a i *Słowo Polskie* nie tak prędko zapomni o „porwaniu z domu rodzicielskiego bogatej dziewczyny Ubao i zamknięciu jej w klasztorze, ani o złym duchu, objawiającym się w P a d r e C a r m e n o“ [2]. A już od czasu do czasu zamieści z pewnością elukubracye w rodzaju zawartej w numerze 119, gdzie na widownię wypłynie znowu „stara jezuicka zasada: cel uświęca środki“.

Redakcya *Słowa* składa się podobno z ludzi lubiących robić interesy, mamy więc dobrą propozycyę do uczynienia. Przed kilkunastu laty przeznaczyli Jezuici w Frankfurcie nagrodę 1000 fl. dla tego, który pokaże choć jedno dzieło jezuickie, uczące lub broniące powyższej zasady. Sędziami w tej sprawie są członkowie fakultetu prawnego w Heidelbergu i Bonnie. Dotychczas jeszcze nikt się po tę nagrodę nie zgłosił, ale *Słowo Polskie* musi mieć pewne dane, skoro tak stanowczo o owej zasadzie pisze, ma więc nadzieję czystego zysku.

SZERMIERZE MORALNOŚCI.

Parlament austryacki ostatnich lat robił w wielkiej części swych członków niestety zbyt często wrażenie bezmyślnej, niesfornej bandy; trudno jednak było przypuścić, żeby wichrzące umysły niektórych deputowanych

[1] Dodatek do *Głosu Narodu*: *Głos literacki i społeczny* nr. 9.

[2] *Słowo Polskie* nr. 103.

mogły się tak wystawić na śmiech i pogardę ogólną, jak to miało miejsce w interpelacyi Schönererowców odnoszącej się do teologii św. Alfonsa. W obronie moralności publicznej stają ludzie, z których jeden musiał przyjąć rzuconą mu publicznie, na posiedzeniu parlamentarnem nazwę, niedającą się nawet powtórzyć; Kościołowi katolickiemu i klerowi zarzucają niemoralność ludzie, którzy już dawno z wszelką moralnością zerwali. Ci sami, którzy w pismach i zebraniach ośmieszali *lex Heinze,* którzy nie mają słowa nagany dla nagości wystawianych publicznie po muzeach i oknach sklepowych, którzy bez rumieńca przypatrują się po teatrach nie tak znowu bardzo moralnym sztukom a po norach i jaskiniach, odeonami zwanych, przysłuchują się bezwstydnym kupletom, którzy karmią swą wyobraźnię nieobyczajnemi pismami, oni robią się szermierzami moralności społecznej i jadem bryzgają na postać tak wielką, tak świętą, tak idealnie piękną, jaką był Alfons Liguori. A na kim czy na czem opierały się w swej interpelacyi te czyste dusze, które nie mogły patrzeć bez oburzenia i świętego gniewu na szerzoną przez Kościół demoralizacyę? Na pamflecie człowieka bez czci i wiary, na halucynacyach zaciekłego protestanta, dla którego nawet socyalistyczna *Münchener Post* ma jedynie słowa wzgardy i oburzenia. Pamflet Grassmanna jest bijącym w oczy dowodem, jak głęboko może upaść człowiek, kierujący się jedynie nienawiścią a nieumiejący hamować swych namiętności. Z ośmiu tomów teologii moralnej św. Alfonsa pozbierał oszczerca wszystko, cokolwiek ma jakąś styczność z szóstem przykazaniem, a żeby większe wywołać wrażenie dodał mimochodem od siebie, że całe dzieło jedynie takiemi sprawami się zajmuje, gdy w istocie rzeczy traktaty te obejmują zaledwie sto kilkanaście stron. Twierdzeń św. Alfonsa Grassmann nie zrozumiał; inne pozmieniał lub pofałszował, stawiał zdania wprost przeciwne zdaniom Świętego tak dalece, że nawet uwagi wyjaśniające komentatorów podał za tekst oryginalny. Żeby zaś sprawie więcej dodać senzacyi zwrócił uwagę i na to, że św. Alfons każe się kobiet i dziewcząt szczegółowo wypytywać o wszystko, co jak-

kolwiek dotycze szóstego przykazania, podczas kiedy św. Alfons tego właśnie surowo zakazuje [1]. Wystawił sobie wprawdzie tem wszystkiem świadectwo niesłychanego ubóstwa umysłowego, ale za to jasnem było każdemu, że św. Alfons jest na wskróś niemoralnym i cynikiem, że jego nauka burzy podwaliny życia społecznego, a kler szerzy zarazę zepsucia i ku uciesze apostołów-apostatów heca była gotowa. A chociaż nawet niektóre bardzo liberalne pisma niemieckie wyśmiały i Grassmanna i Związek ewangelicki, który się nie mało do rozszerzenia pamfletu przyczynił, to za to *Ostdeutsche Rundschau* uderzyła w kotły i bębny: „Wczorajszy dzień, pisze pod datą 24 lutego, był wielkiem świętem ruchu *Los von Rom;* w obozie polsko-klerykalno-feudalnych burzycieli narodów i krajów wybuchła mina o straszliwej działalności". Radość była trochę przedwczesną, bo już kilka dni później ta sama gazeta pisała, tylko pokorniej: „teologia moralna św. Liguorego nie jest bynajmniej dziełem pisanem świadomie w celu niemoralnym, jakby się z wyciągów Grassmanna wydawać mogło". Pierwsze twierdzenie *Ostdeutsche Rundschau* wykazało, że celem osławionej interpelacyi nie była bynajmniej obawa o moralność publiczną, lecz pragnienie zamanifestowania swej nienawiści względem Kościoła katolickiego, drugie znów dało dowód, że obóz Schönererowców zbankrutował na całej linii, tem bardziej jeżeli się zważy, że komedya wywołała wprost przeciwny skutek. Parlament udowodnił szczególniej w świetnej przemowie hr. Dzieduszyckiego, że oprócz garstki ludzi zdolnych do wszystkiego, zasiadają w nim jeszcze tacy, którzy umieją bronić godności poselskiej i godności kraju, co mimo wszelkich agitacyj i szalonych a z niczem się nieliczących wysiłków, nie chce mieć nic wspólnego z ruchem antyko-

[1] Powołuje się Grassmann na św. Alfonsa, który powtarza ciągle: *quaeritur — respondeo,* pytam — odpowiadam. Św. Alfons, wzorem kazuistów swego czasu stawia pod nagłówkiem *quaeritur* kwestye, które w konfesyonale zajść mogą; pod nagłówkiem zaś *respondeo* odpowiada jak w danym wypadku sobie postąpić. Dla Grassmanna jest ten sposób przedstawiania rzeczy dowodem, że kobiet o to wszystko, o czem tam pisze, pytać potrzeba.

ścielnym. Nikogo też nie zadziwi zbytecznie, że szumowiny społeczeństwa jad swój chciały wylać na wszystko, co święte i drogie dla serca katolickiego; ich nienawiść i złość jest najlepszem poleceniem inkryminowanej rzeczy. Nikogo nie rozgniewa, co najwięcej uśmiech politowania wywoła na usta niesłychana niewiadomość, jaką objawił sam Grassmann i posłowie austryaccy wraz z pismami omawiającemi zajścia parlamentarne. Mogła przecież berlińska *Post* uraczyć swoich wykształconych czytelników takim pasztecikiem, jak ten że „teologia moralna napisana przez Liguorego, fundatora Jezuitów (a gdzie Loyola?) wywołała w parlamencie wiedeńskim, niebywałą burzę"; o ile bowiem o Kościół chodzi, prawda, nauka i sumienność ustępują na drugi plan. Co boli, to fakt, że między reprezentantami ludu polskiego w parlamencie znaleźli się tacy, którzy zaufanie tego ludu zawiedli i nie uwzględniając, że łączą się z największymi wrogami narodu polskiego, razem z nimi wściekli nienawiścią do Kościoła i duchowieństwa przyłączyli się do tej interpelacyi, która zawsze będzie ciężyła niezmazaną plamą na czole zdrajców. To boli ale i poucza.

Ks. Wiktor Wiecki.

Kronika ekonomiczno-socyalna.

Instruktorowie dla stowarzyszeń rzemieślniczych i rolniczych. — Przymusowa organizacya zawodowa dla ludności rolniczej. — Przygotowania do odnowienia traktatów handlowych w Niemczech. — Projekt ustawy o statystyce pracy. — Sposobność do siedzenia w sklepach. — Domy robotnicze. — Wojna celna Rosyi ze Stanami Zjednoczonemi.

Rozporządzeniem z 31 maja 1899 r. c. k. Ministerstwo handlu powołało do życia nowy urząd „instruktorów dla stowarzyszeń rękodzielniczych" (*Genossenschaftsinstruktoren*). Chodzi w tym wypadku jeszcze o jedną próbę ochrony rzemiosła w ciężkiej a niebezpiecznej walce z wielkim przemysłem. Przymus cechowy przywrócony w r. 1883 w połączeniu z dowodem uzdolnienia, nie ziścił nadziei, związanych z tą nowelą do ustawy przemysłowej. Przymusowe cechy okazały się prze-

ważnie ciałami o egzystencyi papierowej, których działalność ograniczała się do biurokratycznych formalności. Hr. Egbertowi Belcrediemu i innym twórcom noweli przemysłowej z r. 1883 zdawało się, że cechy przymusowe staną się ogniskiem zdrowej, ekonomicznej pracy, że popchną ludność rękodzielniczą do asocyacyi, do zakładania stowarzyszeń, mających na celu sprowadzenie surowca lub wynajęcie sklepu i magazynu na wspólny rachunek, udzielanie taniego kredytu członkom i t. d. Chciał tchnąć ducha asocyacyi w ludność rzemieślniczą, chciał ją skłonić do podjęcia walki wspólnemi siłami z przewagą wielkiego kapitału, a w tym celu nakazał jej połączyć się w cechy. Ta pedagogia oparta na mechanicznem zbliżeniu żywiołów mało dojrzałych do zawodowego współpracownictwa zawiodła, rząd austryacki chwycił się zatem w r. 1899 nowych środków, zmierzających do osiągnięcia tego samego celu.

Zakres działania instruktorów dla stowarzyszeń rzemieślniczych obejmuje popieranie urzędów przemysłowych w ich działalności, skierowanej do nadzoru i organizacyi cechów, składanie sprawozdań ministerstwu handlu o ekonomicznem położeniu tych warstw ludności, a przedewszystkiem pouczanie członków cechu o korzyściach asocyacyi, oraz udzielanie pomocy przy zawiązywaniu stowarzyszeń. Ministerstwo nakazało instruktorom utrzymywać bezpośrednie stosunki z cechami i stowarzyszeniami rzemieślniczemi, nakładając równocześnie na cechy obowiązek udzielania instruktorom potrzebnych wyjaśnień.

Doświadczenie nas uczy, że zdolność do stowarzyszania się w różnych społeczeństwach w różnym występuje stopniu; karność, poczucie solidarności, umiejętność zrozumienia własnej korzyści, oraz inne czynniki, które tworzą t. zw. ducha asocyacyi można jednak rozwinąć i wykształcić, orzeczenie ustawowe przymusu cechowego wydaje się na pierwszy rzut oka środkiem prowadzącym łatwo i szybko do osiągnięcia tego celu. Kto wie jednak, czy droga, którą obecnie obrało c. k. Ministerstwo handlu, aczkolwiek może dalsza, nie jest przecie pewniejszą. Najprostsze drogi nie zawsze bywają najkrótsze. Ubolewać tylko należy, że instytucyi tej, o ile mi wiadomo, dotychczas na Galicyę nie rozszerzono. Obecnie Koło polskie gorliwie pracuje nad spisaniem i przedstawieniem postulatów krajowych rządowi, możeby należało nie zapominać także i o tym szczególe.

* * *

Jeżeli gdzie, to właśnie w Galicyi zachodzi potrzeba nakłaniania ludności do zawiązywania stowarzyszeń. Już Karol Libelt poświęcił

osobną rozprawkę wykazaniu tego, że Polacy są narodem bardzo towarzyskim, natomiast nie umieją i nie chcą łączyć się w towarzystwa: objaw ten byłby do pewnego stopnia zrozumiałym, gdyby w Galicyi stosunki ekonomiczne były pomyślne, gdyby zatem silny rozwój asocyacyi był zbędnym. Każdy, kto przypatrywał się powierzchownie choćby warunkom rozwoju naszej produkcyi, musi przyznać, że jest wprost odwrotnie. Rozdrobnienie wytwórczości — oto objaw charakterystyczny zarówno dla handlu i rzemiosła, jak niemniej dla rolnictwa. Nasuwa się sama przez się myśl złagodzenia ujemnych skutków, z objawem tym związanych przez zjednoczenia sił, w odosobnieniu za słabych do zdobycia korzystnego stanowiska w ciężkiej walce o byt. Ostatnie lata zaznaczyły się niewątpliwie korzystnie pod tym względem w dziejach ekonomicznych kraju, przynajmniej, o ile chodzi o jego ludność rolniczą. Mam tu na myśli rozwój wiejskich spółek oszczędności i pożyczek, zwanych za granicą kasami Raiffeisena. Pięćdziesiąt osiem lokalnych instytucyj kredytowych tego typu złożyło Wydziałowi krajowemu sprawozdanie z obrotów kasowych i ze swych czynności za r. 1900; liczyły one razem 6144 członków, udziały wynosiły 28.455 K. 61 h., pożyczek udzielono na łączną kwotę 635.407 K. 32 h., wkładki oszczędności doszły do 514.656 K. 61 h. Spółki pobrały 175.000 K. tytułem pożyczki z krajowego funduszu na ten cel przeznaczonego. W cyfrach tych tkwi niewątpliwy postęp w porównaniu z latami, w których Wydział krajowy nie zajmował się zakładaniem spółek, ale z drugiej strony stanowią one wyraźny dowód małego rozwoju asocyacyi w Galicyi w porównaniu z innemi krajami. Dość przypomnieć 10 tysięcy spółek kredytowych państwa niemieckiego, to samo zresztą dotyczy *mutatis mutandis* rozwoju w innych krajach koronnych, z któremi dr. Kudelka zaznajamia czytelników *Przeglądu Powszechnego*.

Zachodzi pytanie, co trzeba zrobić dla przyspieszenia tego ruchu u nas w kraju. Oczywiście należy dążyć do utworzenia związku spółek w celach lustracyi i ułatwienia obrotu pieniężnego. Wzrost liczby spółek z czasem niemal automatycznie doprowadzi do tego wyniku. Trzeba ludność zachęcać do tworzenia spółek w miejscowościach, w których są warunki po temu, przez pouczanie o korzyściach asocyacyi. Poruszono myśl dodania utworzonemu przez Wydział krajowy biuru dla patronatu nad spółkami osobnych urzędników, którzyby byli nauczycielami wędrownymi asocyacyi wśród ludności wiejskiej. Byliby oni zatem instruktorami dla stowarzyszeń rolniczych, ułatwiliby też niezawodnie w wysokim stopniu d-rowi Stefczykowi, zasłużonemu kie-

rownikowi biura patronatu, spełnienie trudnego zadania, poruczonego mu przez Wydział krajowy. O ile stosunki finansowe skarbu krajowego nie stanęłyby na przeszkodzie, powinno się niewątpliwie dążyć do wzmocnienia działalności patronatu przez dodanie mu instruktorów; pamiętać bowiem trzeba, że nie chodziło tu tylko o poprawę stosunków kredytowych i usunięcie lichwy, dotąd jeszcze, szczególnie w Galicyi wschodniej wielce rozpowszechnionej. Doświadczenie nas uczy, że rozwój stowarzyszeń kredytowych zachęca ludność do zawiązywania innych, pokrewnych instytucyj, np. spółek mleczarskich, spółek do sprowadzania nawozów i nasion na wspólny rachunek, wogóle można powiedzieć, że jak stowarzyszenia spożywcze są szkołą przygotowawczą dla wytwórczych, podobnie asocyacya kredytowa jest podstawą i początkiem rozwoju zmierzającego do oparcia ekonomicznego życia ludności rolniczej na systemie stowarzyszania się.

* * *

Rządowi austryackiemu dobrowolna organizacya zawodowa także i w tym wypadku nie wystarcza, uważa on, że stopniowe kształcenie, i rozwijanie wśród poddanych ducha asocyacyi jest drogą powolną i uciążliwą. Kto chce reformy socyalnej, musi użyć radykalniejszych środków, musi odwołać się do pomocy państwa. Obok przymusowych cechów mają zatem powstać przymusowe związki zawodowe rolników. Od szeregu lat austryaccy ministrowie rolnictwa przedkładają Radzie państwa projekt dotyczącej ustawy w nadziei, że, gdy powrócą normalne stosunki parlamentarne, znajdzie się większość dla rządowego projektu. Pan Giovanelli nie sprzeniewierzył się tradycyi, datującej się jeszcze od czasów hr. Falkenhayna i przedłożył po raz czwarty, czy piąty izbie posłów: *Die Regierungsvorlage über die Berufs Genossenschaften der Landwirthe.*

Wobec tego może nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Tow. Kółek rolniczych, oraz lwowskie Tow. gospodarskie oświadczyły się kilkakrotnie stanowczo przeciwko ustawowemu narzucaniu asocyacyi, natomiast Krak. Tow. Rolnicze zajęło w tej ważnej sprawie odrębne stanowisko, oświadczając się za wprowadzeniem izb rolniczych w myśl dawniejszych uchwał swoich z r. 1878. Izby rolnicze, jak wiadomo, w r. 1894 zostały powołane do życia w Prusiech.

* * *

Podczas gdy u nas w Austryi całą ludność utrzymuje w naprężeniu kwestya, w jakim języku mają być odczytywane interpelacye, wniesione w Radzie państwa, dla praktycznych Niemców oś sytuacyi politycznej stanowi ustalenie kierunku przyszłej polityki handlowej. Koła agrarne, które nigdy nie mogły wybaczyć bezpośredniemu następcy żelaznego kanclerza, zawarcie w r. 1894 traktatu handlowego z Rosyą, które wreszcie zmusiły hr. Capriviego do ustąpienia z wysokiego urzędu, obecnie pragną zerwać z polityką handlową, opartą na traktatach długoterminowych, dziesięcio lub dwunastoletnich, dążą one do znacznego podwyższenia ceł rolniczych a zwłaszcza zbożowych. Natomiast przedstawiciele interesów przemysłowych chcą sobie zapewnić zbyt w innych państwach w drodze traktatów, któreby wytworom rolniczym tychże państw otwarły drogę do Niemiec. Kanclerz Rzeszy pragnąc pozyskać głosy agrarne w sejmie pruskim dla rządowego projektu kanałowego, mającego na celu połączenie tanią drogą wodną Niemiec zachodnich z wschodniemi, a zeszłego roku uporczywie zwalczanego przez sfery rolnicze, złożył oświadczenie przychylne żądaniom kół agrarnych. Powstała burza wewnętrzna i zewnętrzna. Robotnicy fabryczni, miasta, izby handlowe i przemysłowe rozwinęły silną agitacyę wymierzoną przeciwko podwyższaniu ceł rolniczych, powołując się przytem na interes konsumentów. Rząd rosyjski zagroził powstrzymaniem wychodźtwa polskich robotników z Królestwa do Prus, podwyższeniem cła na niemieckie żelazo i maszyny, a zatem wojnę celną, rząd włoski wystąpieniem z trójprzymierza. Hr. Bülow złożył nowe oświadczenie w radzie państwa: wyraził nadzieję, że podwyższenie ceł rolniczych nie nastąpi w rozmiarach wykluczających odnowienie traktatów. Jest to niewątpliwie zręcznie zamaskowany odwrót, bardzo korzystny dla przyszłego zbytu naszych wytworów w Niemczech.

* * *

C. k. ministerstwo handlu przedłożyło Izbie posłów w bieżącym roku po raz piąty projekt ustawy o „statystyce pracy". 16 marca 1900 r. Izba niższa uchwaliła w trzeciem czytaniu ustawę podobnej treści, ale zanim Izba Panów miała sposobność powzięcia uchwały w tej sprawie, nastąpiło rozwiązanie Rady Państwa pod naciskiem czeskiej obstrukcyi, rząd zatem obecnie po raz piąty próbuje ustalić w ustawowy sposób zakres działania i przywileje statystycznego urzędu pracy *Arbeitsstatistisches Amt*, powołanego do życia rozporządzeniem cesarskiem z 21 lipca 1898 r.

§ 4 projektu zawiera postanowienia zasadnicze, a zarazem najbardziej sporne, nakłada bowiem na wszystkich wezwanych do tego przez urząd pracy obowiązek dawania dokładnych i prawdziwych wyjaśnień. Organom urzędu pracy należy na ich żądanie okazać listy robotnicze, książeczki służbowe, regulamina fabryczne, wykazy płac, oraz wyciągi z ksiąg, stanowiące podstawę do wymierzania premij, ściąganych tytułem przymusowego ubezpieczenia od wypadków, przedstawiciele tego urzędu mają prawo każdego czasu (nawet w nocy, o ile przedsiębiorstwo jest w ruchu) zwiedzać wszystkie lokale, przeznaczone na użytek danego zakładu przemysłowego. Przedsiębiorca, który nie stosuje się do przepisów § 4 podlega dotkliwym karom pieniężnym aż do wysokości tysiąca koron, natomiast nie wyszczególnia przedłożenie rządowe więzienia, jako sankcyi karnej, aczkolwiek izba posłów wprowadziła do projektu ustawy uchwalonego w r. 1900 poprawkę tej treści.

Projekt rządowy wywołał silną opozycyę w sferach przedsiębiorców przemysłowych, uważających możność ciągłej kontroli nietylko stosunków robotniczych, ale całego toku przedsiębiorstwa ze strony przedstawicieli urzędu pracy za rzecz w wysokim stopniu uciążliwą i niezgodną z wymogami tajemnicy handlowej.

* * *

Ustawodawstwo, zmierzające do ochrony warstw zarobkujących pracą swych rąk, ma jeszcze niejeden problem do rozwiązania, aczkolwiek w ostatnich czasach tak wiele w tym kierunku pracowano teoretycznie i praktycznie. Obecnie coraz to częściej ma się do czynienia z żądaniem, ażeby za przykładem Anglii ustawowo zapewnić ludziom, zatrudnionym w otwartych sklepach obsługiwaniem publiczności, sposobność siedzenia. Miejscowa kasa chorych kupców i aptekarzy w Berlinie przeprowadziła w r. 1899 szczegółowe badania statystyczne, dotyczące szkodliwego wpływu na zdrowie ciągłego siedzenia. Wystosowano kwestyonaryusz do 252 lekarzy, którzy w r. 1899 leczyli 14674 kobiet, przynależnych do kasy chorych z zapytaniem, czy szereg chorób w kwestyonaryuszu wyszczególnionych pozostaje w przyczynowym związku z nieprzerwanem staniem za ladą sklepową? Z odpowiedzi lekarzy okazało się, zdaniem zarządu kasy, że ustawowe uregulowanie tej kwestyi jest niezbędne.

W praktyce urzeczywistnienie tego żądania okazało się bardzo

łatwem, ponieważ § 139 h ust. 1 niemieckiej ustawy przemysłowej pozwala radzie związkowej *(Bundesrath)* wydać dotyczące zarządzenia ustawodawcze w drodze rozporządzenia. Rada związkowa 28 listopada 1900 r. skorzystała z uprawnienia zawartego w ustawie przemysłowej i nakazała właścicielom otwartych dla publiczności sklepów postarać się o sposobność do siedzenia dla wszystkich zajętych obsługiwaniem gości.

Ustawę podobnej treści wydano w stanie Nebrasca 31 marca 1899 r.; tamtejszy prawodawca grozi karami pieniężnemi przedsiębiorcom niedotrzymującym postanowień tej ustawy. W stanie Wisconsin ograniczono zakres działania przepisów tego rodzaju, zawartych w ustawie z 18 marca 1899 r. do wypadków, w których chodzi o kobiety, najbardziej narażone na niebezpieczeństwa, wynikające z braku siedzenia.

* * *

Szef sekcyi w c. k. Ministerstwie spraw wewnętrznych, baron Schwarcenau ogłosił w wiedeńskim dwumiesięczniku dla ekonomii i polityki socyalnej artykuł, zawierający zapowiedź przedłożenia przez rząd Izbie niższej projektu nowej ustawy o domach robotniczych. Austrya posiada już wprawdzie ustawę tego rodzaju z 9 lutego 1892 r., która jednak podobnie jak np. ustawa o kredycie melioracyjnym nie wydała żadnych praktycznych rezultatów z powodu uciążliwych warunków i formalności, złączonych z jej ewentualnem zastosowaniem. Obie ustawy, obecnie obowiązująca i projektowana mają wspólny punkt wyjścia: chodzi mianowicie o skierowanie kapitału prywatnego do szukania lokacyi w budowie domów robotniczych przez znaczne ulgi podatkowe. Nie chodzi zatem o poparcie budowy domów robotniczych przez zasiłki ze skarbu państwa, kraju lub gminy. Baron Schwarcenau wyraża nawet zapatrywanie, że władze publiczne nie mają obowiązku zajmowania się bezpośrednio tą akcyą.

Projekt uwalnia od podatku na lat 24 domy, przeznaczone najmniej przez 75 lat na wynajęcie wyłącznie robotnikom, o ile dochód nie przekracza stopy procentowej oznaczyć się mającej w drodze rozporządzenia. Ta maksymalna dozwolona granica ma przekraczać o 0·15 do 0·30 procent, który przynoszą w danem miejscu i czasie kapitały w podobny sposób lokowane. Ustawa określa szczegółowo wymogi hygieniczne, którym domy robotnicze mają zadosyćczynić, zawiera nadto zakaz podnajmywania.

Tendencya nowego projektu ustawodawczego zasługuje z pewno-

ścią na uznanie. Zwyżka płac robotniczych, której świadkami jesteśmy od dłuższego czasu, staje się częściowo iluzoryczną z powodu znacznego podrożenia pomieszkań; ze względów sanitarnych i moralnych poprawa stosunków pod tym względem jest naglącą koniecznością. Godząc się nawet w zasadzie na ingerencyę prawodawcy, można mieć poważne wątpliwości, czy państwo austryackie jest w danej chwili w stanie podjąć się przeprowadzenia tego zadania wobec niekorzystnego rozwoju stosunków ekonomicznych. Przeciwko systemowi uwolnień podatkowych można podnieść zarzut zasadniczy: tkwi w tym systemie pewna niesprawiedliwość, pewna sprzeczność z zasadą równości wobec prawa, nasuwa się także inne bardziej praktyczne pytanie, czy sytuacya skarbowa Austryi pozwala na zrzeczenie się ewentualnego wzrostu dochodów z tego źródła. Są i tacy, którzy wobec nowego projektu występują z zarzutem, dlaczego jego dobrodziejstwa mają być wyłącznie ograniczone do robotników.

W Austryi największe praktyczne wyniki w dążeniu do poprawy stosunków mieszkalnych osiągnęły, jak dotychczas zakłady ubezpieczeń od wypadków. I tak np. zakład tryesteński wybudował kosztem około 772 tysięcy koron 22 domów, obejmujących 192 pomieszkań. Do każdego pomieszkania należy także ogródek. Czynsz wynosi 278 koron za większe, 222 koron za mniejsze pomieszkanie, złożone z jednego pokoju, izdebki, piwnicy, ustępu i kuchni. Lwowski zakład ubezpieczenia od wypadków także już rozpoczął akcyę w tym kierunku.

W Niemczech głównie pod wpływem żarliwej agitacyi stowarzyszenia *Reichswohnungsgesetz* (z siedzibą w Frankfurcie, a z dochodem przeszło 21 tysięcy marek w r. 1899) Rada państwa wezwała 30 stycznia b. r. kanclerza Rzeszy do utworzenia komisyi, której zadaniem byłoby przeprowadzenie ankiety o niemieckich stosunkach mieszkalnych, zdanie sprawy o projektowanych środkach zaradczych, wreszcie obmyślenie kredytu dla ułatwienia budowy tanich domów.

* * *

Książe Bismark z mownicy niemieckiej Rady państwa rzucił w świat hasło rozdziału między polityką mocarstwową, a handlową, a rozumowanie swoje stosował praktycznie na Austryi. Bismark, kanclerz Rzeszy zawarł trójprzymierze, Bismark minister handlu prowadził wojnę celną z państwem Habsburgów. Najnowsze wypadki dowiodły jednak, że nie wobec każdego wolno stosować tę zasadę. Rosya płaci premie wywozowe za cukier eksportowany poza jej granice, przeważnie

do Stanów Zjednoczonych. Te zaś w ostatnich czasach poczynają podwyższać cło normalne w taryfie przewidziane o wysokość premii eksportowej przez dane państwo, w tym wypadku przez Rosyę, opłacanej, chcąc w ten sposób wytwórców rosyjskich pozbawić zachęty do wywozu, użyczonej im przez rząd rosyjski w formie premii eksportowej. Rosya odpowiedziała podwyższeniem ceł na maszyny, oraz na inne towary prowenienecyi amerykańskiej, a Stany Zjednoczone, które dotąd wyraźnie popierały politykę rosyjską w Chinach, obecnie dokonały zmiany frontu, przechylając się raczej na stronę Japonii, Anglii i Niemiec.

Dr. Adam Krzyżanowski.

Druk ukończono 28 marca 1901 r.

NAJNOWSZE DZIEŁO HARNACKA.

Od lat już kilkudziesięciu wysila się religijny racyonalizm, aby przy pomocy historycznej krytyki rozłożyć ewangelie i odjąć im cechę autentyczności. Coraz to nowe widzimy podejmowane próby, których celem wykazanie w najdrobniejszych szczegółach, z jakich to ewangelie składają się części, gdzie, kiedy, z czego i w jaki sposób te części powstały. Idzie rzeczywiście o przedstawienie ewangelij za zlepek różnorodnych ustępów, nieraz ze sobą wprost sprzecznych a pochodzących z różnych czasów, w takich bowiem warunkach nie mogłyby one uchodzić za źródła historycznej prawdy a jako dokumenty Objawienia żadnej nie posiadałyby wartości. Zdawaćby się mogło, że praca trwająca już kilka lat dziesiątków a rozporządzająca znakomitemi metodami badań doszła nareszcie do jakichś pozytywnych i trwałych wyników. Czegóż to bowiem zorganizowane a umiejętnie kierowane historyczne badania w zeszłem stuleciu nie dokonały! Całe narody i kultury od wieków zapomniane powstały z grobów, a z drugiej znowu strony niejedna legenda do niedawna za historyczną brana prawdę rozwiała się, ustępując miejsca zupełnie innego rodzaju faktom. Co więc powiodło się historycznej krytyce na tylu już polach, czyżby nie miało udać się w zastosowaniu do wypadków nie tak bardzo znowu odległych, o których posiadamy nadto wiadomości z różnych nawet pogańskich i żydowskich pochodzące źródeł. Z wielką też skwapliwością wziąłem do ręki świeżo wyszłe dzieło najuczeńszego obecnie protestanta-racyonalisty, d-ra Adolfa Har-

nacka p. t.: „Istota chrześcijaństwa“ *(Das Wesen des Christenthums)*. Dzieło to powstało z wykładów, które wygłosił Harnack na uniwersytecie berlińskim w roku 1900. Jakiego zaś wzięcia zażywa autor i czego się po jego wykładach spodziewano, tego najlepiej dowodzi fakt, że na te wykłady Harnacka o istocie chrześcijaństwa uczęszczało przeszło sześciuset słuchaczy. Mój Boże! czyżby którykolwiek z naiwnych wyznawców tak modnej na początku XIX. stulecia religii rozumu był przypuścił, że na schyłku tegoż wieku będą „chrześcijańskie baśnie“ (tak je już wówczas nazywano) do tego jeszcze stopnia zajmowały umysły, i to czyje — młodzieży, o której przecież wiemy, że zawsze najchętniej lgnie do wszystkiego, co nowe i postępowe. Z ciekawością więc rzuciłem się na dzieło Harnacka w nadziei, że raz nareszcie dowiem się do czego doprowadziły te wszystkie wysiłki protestanckiego racyonalizmu i jego historyczne nad genezą chrześcijaństwa badania. Harnack to przecie nie pierwszy lepszy dyletant, to uczony autor wielu specyalnych dzieł i rozpraw, w których przy zastosowaniu znakomitej metody, niejeden już rozjaśnił ważny szczegół, dotyczący chrześcijańskiej literatury pierwszych wieków, a przytem to także myśliciel, który niewątpliwie zdołał dojść do syntezy. Oczywiście, pomyślałem, chciał przy końcu stulecia dokonać obrachunku, zapragnął okazać światu trwałe owoce tylu mozolnych badawczych prac i wysileń. Istotnie wziąwszy dzieło Harnacka do ręki, przeczytałem je prawie jednym tchem, im dalej zaś zapuszczałem się, tem bardziej rosło moje zdumienie. Parę razy w ciągu czytania spojrzałem na tytuł i na nazwisko autora z obawy, czy się przypadkiem nie pomyliłem, przy niektórych ustępach prawie własnym nie wierzyłem oczom, przy innych znowu nie wiedziałem co sądzić o autorze, czy podziwiać jego naiwność, czy zdumiewać się nad brakiem konsekwencyi w prostem logicznem myśleniu, czy też żałować go, iż jakaś szczególnego rodzaju duchowa ślepota nie pozwala mu pochwycić prawdy, której już tak jest nieraz blizkim, że tuż tuż zdawałoby się, iż prawie ją chwyta i ogarnia. Przeczytawszy wreszcie książkę do końca, przyszedłem do przekonania, iż to nowe dzieło Harnacka jest

niezrównanym okazem, jest umysłowem zjawiskiem, godnem aby je filozof głębszemu poddał zbadaniu. Wszak w dziele tem przegląda się jak gdyby w zwierciedle duch nietylko współczesnej protestanckiej teologii, ale wogóle duch całego dzisiaj już do zupełnej religijnej anarchii zmierzającego protestantyzmu. Zarzucają nieraz racyonaliści i protestanci katolikom zaślepienie, brak dobrej wiary i bezstronności w ocenianiu naukowych badań z tamtego pochodzących obozu, to znowu podejrzywają katolików, iż obawiają się wyników historyczno-krytycznej nauki i dlatego je hurtownie z góry potępiają i od nich stronią. Przypatrzmy się więc temu najnowszemu okazowi protestancko-racyonalistycznej wiedzy, pamiętając, że mamy tu do czynienia nie z naiwnym a Heglowskim dogmatyzmem przesiąkniętym Straussem, nie z fantastycznym i kapryśnym Renanem, który właściwie nie wiedział co pisał, czy romanse, czy naukowe dzieła, ale z uczonym, o którego gruntownej nauce i dobrej wierze wątpić nie można. Z góry zaś uprzedzam, że nie mam ja wcale zamiaru pisania w niniejszem studyum krytyki dzieła Harnacka, to pozostawiam historykom i teologom, dla mnie jest to dzieło tylko bardzo zajmującym objawem kierunku umysłowego i stanu duchowego, w jakim się obecnie protestancki znajduje racyonalizm.

I.

Już na początku drugiego odczytu spotykamy się u Harnacka z następującem zdaniem: „Mniemał Fryderyk Dawid Strauss przed laty sześćdziesięciu, iż zdołał historyczną wartość nawet pierwszych trzech ewangelij w zupełności rozłożyć. Otóż powiodło się historyczno-krytycznym pracom dwóch pokoleń tę wartość owym ewangeliom w szerokim zakresie napowrót przywrócić“ [1]. Mamy więc w powyższych słowach streszczony pierwszy wynik badań dwóch pokoleń w racyonalizmie wychowanych. Co za wspaniałe wyznanie! Co za tryumf dla tych, którzy nie potrzebowali odbudowywać tego, czego nie burzyli. Pozostała więc jeszcze tylko czwarta ewangelia św. Jana, której

[1] Harnack, *Das Wesen des Christenthums* Leipzig 1900. Str. 14.

historycznej wartości i autentyczności racyonalizm razem z Harnackiem nie uznaje. Nie dziwić się, że im ten św. Jan ze swoją tak głęboką filozoficzną podstawą bruzdzi najwięcej, wszak to dopiero korona tej wielkiej budowy, która w sposób niezbity stwierdza Boskość tak osoby, jak nauki Chrystusa. Pierwsi trzej ewangeliści oparli się głównie na historycznych faktach, św. Jan zaś oparł się na najgłębszych tajnikach wszechistnienia; bez tego chrześcijańskie objawienie byłoby pozostało niezupełnem i niezrozumiałem. Cóż jednak może odpowiedzieć bezstronny czytelnik na powyższe wyznanie Harnacka? może on odpowiedzieć tylko tyle: Bądźmy spokojni, jeżeli dwa pokolenia wystarczyły, aby w oczach protestanckiego racyonalizmu przywrócić historyczną wartość pierwszym trzem ewangeliom, to wystarczy jeszcze jedno pokolenie a przyjdzie kolej i na czwartą, kto wie może już nawet między uczniami Harnacka znajduje się taki, który dokona tego, na co mistrz jeszcze odważyć się nie może. A więc historyczna wartość pierwszych trzech ewangelij odbudowana! Zaiste, gdy się to czyta, to mimowoli nasuwa się myśl, jak wielkim, jak prawdziwym jest ten chrześcijańsko-katolicki pogląd na moralny świata porządek, który stwierdza, iż Bóg fałsz i zło dopuszcza na to, aby suma prawdy i dobra tem potężniej wzrastała, i w tem oczywistszem jaśniała świetle. Czyż Strauss, podejmując dzieło zniszczenia, mógł przypuszczać, iż ono takie wyda owoce! O mistrze tybingskiej szkoły, zakryjcie wasze twarze, posypcie popiołem głowy wasze, czy słyszycie co dzisiaj na początku dwudziestego wieku głosi wasz uczeń. Oto do sześciuset swoich słuchaczy, do kwiatu protestanckiej młodzieży mówi: „Nie sprawdziło się twierdzenie Straussa jakoby ewangelie zawierały bardzo wiele mitycznych pierwiastków, nie sprawdziło się nawet i w tym wypadku gdybyśmy się zgodzili na przyjęte przez Straussa bardzo nieokreślone i błędne pojęcie mityczności“ [1]. Wobec takiego wyznania cóż wypada zrobić ze wszystkiemi opowiadaniami o cudach Chrystusa Pana, któremi każda stronica ewangelii tak jest przepełnioną. Otóż tu sposób

[1] Harnack, str. 16.

patrzenia na rzeczy Harnacka jest niezmiernie charakterystyczny, jest powiedziałbym dla protestancko-racyonalistycznego kierunku myślenia tak typowym, że warto nad tą sprawą cokolwiek dokładniej się zastanowić.

Cuda w ewangeliach opowiadane można rozważać z dwojakiego punktu widzenia, a mianowicie z historycznego i filozoficznego. Obydwa te punkty widzenia uzupełniają się wzajemnie. Kto z filozoficznego stanowiska zaprzeczy możności cudów, ten oczywiście musi wszystkie w ewangeliach opowiadania uznać za mityczne fantazye. Z drugiej znowu strony, kto przy pomocy historycznej krytyki będzie usiłował ewangelie rozłożyć, ten z natury rzeczy dojdzie także i do filozoficznego zaprzeczenia całego zawartego w nich cudownego pierwiastku. Jakże więc wobec tego zagadnienia zachowuje się Harnack? Zaiste gdyby potrzeba było dowodów, że przecież umysł ludzki pomimo wszystkich zboczeń, wśród walk i zwątpień jednak w XIX. stuleciu znaczne poczynił postępy i to nietylko w historycznej krytyce, ale także i w filozoficznem myśleniu, to poglądy Harnacka znakomicie nadałyby się do tego celu, równocześnie jednak są one także świadectwem, że łuska z oczu jeszcze nie spadła. Uczynił wprawdzie racyonalizm parę kroków naprzód, ale do wyprowadzenia ostatecznych wniosków jeszcze bardzo daleko! Głębsza historyczna i filozoficzna analiza już coś dokonały, ale umysły są jeszcze zanadto trwożliwe, aby mogły już całkowicie zerwać z niedawnemi jeszcze przesądami, wywiązuje się więc z tego połowiczność i taka przezabawna niepewność stanowiska, iż czytając trudno czasem własnym uwierzyć oczom. Jeszcze w połowie XIX. wieku można było nieraz nawet między katolikami z imienia spotkać się ze zapatrywaniem, że najważniejszym argumentem przeciw ewangeliom i przeciw Boskiemu chrześcijaństwa pochodzeniu jest fakt że przecież cuda są niemożliwe. I dzisiaj jeszcze pełno jest takich, którzy dowodzą, że badania przyrodnicze wykazały nieubłaganą wszędzie w świecie prawidłowość. Wiedza przyrodnicza — powiadają — cudów nie dopuszcza, gdyż prawa przyrody są prawami bez wyjątków, a więc cuda dziać się nie mogą, a więc

wszystko, co się w ewangeliach mieści, jest mityczną tylko legendą i niczem więcej. Takim to rozumowym dogmatyzmem szerokie nawet przejęły się warstwy i do niedawna zdawało się, że z tej właśnie strony, wierzeniom i uczuciom religijnym największe grożą niebezpieczeństwa. Ale tymczasem cóż się stało? Praca myśli nie ustawała, i oto rozumowy dogmatyzm zaczął otrzymywać ciosy z tej samej ręki, która go wywyższyła. Któż to jest ten nowy Bóg, w którego mi wierzyć nakazujecie? Co to jest owe nieubłagane i wyjątku nieznające prawo przyrody? Tak zaczęła myśl ludzka pytać. I okazało się, że owe mniemane prawa, to tylko tymczasowe stanowiska, to tylko chwilowe spoczynki w mozolnym umysłów ku ideałom prawdy pochodzie. Co dzisiaj jeszcze przedstawia się nam jako nieubłagane prawo przyrody, to jutro już zacznie przybierać kształty jednostronnego poglądu, prawidłowość dzisiejszą obejmie jutro jeszcze wyższa, jeszcze ogólniejsza prawidłowość. Jakiż z tego dalszy można wyprowadzić wniosek? oto ten tylko, iż może istnieć w porządku wszechrzeczy o wiele jeszcze doskonalsza i ogólniejsza prawidłowość, o której my najlżejszego nie mamy pojęcia i że przez nią urzeczywistnia Najwyższa Istota swoje wobec stworzenia plany. Fakt, którego w granicach naszego rozumu nie możemy pojąć, wyda nam się wyłamującym się z pod wszelkiej prawidłowości, chociaż w porządku wszechrzeczy i w umyśle Boga ma on także swoją racyę i prawo, jak wszystko cokolwiek się dzieje. Kto więc myśli swoje krytycznie pogłębił, kto się z więzów racyonalistycznego dogmatyzmu wyzwolił, tego cudowność ewangelicznych opowiadań nie zrazi. Wszak będzie temu lat już blizko pięćdziesiąt, jak wielki niemiecki przyrodnik i filozof śmiał odezwać się, że cały wszechświat jest dla nas jednym wielkim i niepojętym cudem. Dzisiaj więc nie chodzi już o ideę cudu, o co innego toczy się walka. Przeciwnicy chrześcijańskiego na świat poglądu po części to już zrozumieli i dlatego zaczepiają teraz nie pojęcie cudu, ale pojęcie osobistego Boga. Cały wszechświat jest dla nich Bogiem i wszystko w nim wedle koniecznego odbywa się porządku.

Chętnie przyznaję, iż tego rodzaju stanowisko zaprzecza-

jące istnieniu Boga o wiele jest logiczniejsze od stanowiska owego płytkiego deizmu, który uznaje wprawdzie osobistego Boga, ale przecież nad niego wyżej stawia ludzki rozum, odkryte bowiem przez tenże rozum mniemane prawa przyrody okazują się od Boga silniejszemi, Bóg tych praw, w mniemaniu deistów, musi się trzymać i przekroczyć ich nie może. Kto przeczy istnieniu osobistego Boga, dla tego oczywiście odpada potrzeba dowodzenia niemożliwości cudów. Ale komu takie stanowisko nie wystarcza, kto bez Boga nie może zrozumieć ani siebie, ani świata, taki powinien uznać wszystkie logiczne konsekwencye raz zajętego stanowiska. Albo jest Bóg a w takim razie działalność Jego może nam się wydawać niepojętą, cudowną, ale nie jest niemożliwą, albo go niema a w takim razie nie potrzeba wcale dowodzić niemożliwości cudów.

To są dwa jedynie logiczne stanowiska.

Otóż Harnack jest na tyle poważnym myślicielem, że to rozumie. Monistą odrzucającym Osobistego Boga on nie jest, a więc w Niego wierzy, konieczność Jego istnienia uznaje. Jeżeli więc tak jest, to wobec pierwiastku cudownego w ewangeliach nasuwa się mu proste i jedynie możliwe stanowisko: „Nie o cuda chodzi — pisze Harnack — ale o to rozstrzygające zasadnicze pytanie, czy jesteśmy bezradnie wprzągnięci w nieubłaganą konieczność albo czy istnieje Bóg, który światem rządzi *(der im Regimente sitzt* — oto dosadne wyrażenie Harnacka), i którego nawet przyrodę przezwyciężająca moc może być wymodloną i doświadczoną“ [1], a parę wierszy przedtem odzywa się do swoich słuchaczy: Badajcie! Nie dajcie się odstraszyć opowiadaniom o cudach [2]. „Kto odmierzył zakres wszystkich możliwości i całej rzeczywistości? Nikt. Kto może powiedzieć jak daleko sięga działanie duszy na duszę i duszy na materyę? Nikt. Kto śmie twierdzić, że wszystko cokolwiek na tem polu dzieje się nadzwyczajnego polega na złudzeniu lub błędzie!“ [3] Czytając powyższe słowa możnaby mniemać, że Harnack będzie miał także

[1] Harnack, str. 19.
[2] Tamże.
[3] Tamże, str. 18.

odwagę wyprowadzić ostateczne ze swojego stanowiska wnioski. Przecież z jednej strony uznaje historyczność przynajmniej pierwszych trzech ewangelij, wyraźnie stwierdza, że co tam stoi napisane pochodzi z pierwszej ręki od tych, którzy z Chrystusem żyli, z Nim obcowali i nauk Jego słuchali, z drugiej znowu strony wierzy w Boga, przyjmuje możność Bożego działania w świecie, nawet w sposobach przedstawiających się nam jako przezwyciężanie tak zwanych praw przyrody, a więc cóż więcej potrzeba? Nie sądź jednakże zbyt pochopnie łaskawy czytelniku! Duchowa łuska z oczu protestanckiego teologa jeszcze nie spadła! Logika i historya swoją drogą, a nawyknienia i przestarzałe poglądy, które się w umysł wpiły, swoją drogą Cóż więc mówi? oto własne jego słowa: „Że kulawi zaczynali chodzić, że ślepi przewidzieli, a głusi usłyszeli, tego nie można zaprzeczyć tak od razu w krótkiej drodze, ale aby np. burza mogła być jednem uśmierzona słowem, w to nie uwierzymy nigdy“ [1]. To znaczy: Wprawdzie wierzę w Boga, uznaję że dzierży rządy świata, że moc Jego świat przenika, prawdą jest. że najwyższej prawidłowości nie znam, gdyż wiedza moja obejmuje drobny tylko z porządku wszechistnienia wycinek, a więc przyjmuję, że były możliwe takie skromne, przyzwoite przez Chrystusa spełniane cuda, ale aby Chrystus mógł był dokonywać cudów w wielkim stylu, w to nigdy nie uwierzę.

Czy widzisz teraz łaskawy czytelniku ten zupełny brak ścisłości i konsekwencyi w tej głowie, w której racyonalizm zabił logikę!

Wszelkie opowiadania o cudach Chrystusa dzieli Harnack na pięć kategoryj: 1) Opowiadania, które powstały dzięki powiększaniu naturalnych wypadków. 2) Opowiadania będące rzutem w rzeczywistość wewnętrznych stanów ducha. 3) Takie, które powstały, aby było można dowieść, że spełniły się przepowiednie Starego Testamentu. 4) Nadzwyczajne uzdrowienia mające źródło swoje w duchowej sile Jezusa. 5) Rzeczy niepojęte! [2]

[1] Tamże, str. 18.
[2] Str. 19.

Jakąż niezrównaną jest ta ostatnia kategorya! Przyznaje więc, że wydarzało się coś, czego zwykły rozum pojąć nie może, przyznaje, bo musi przyznać, stwierdziwszy poprzednio historyczność opowiadań ewangelij, ale jedynie możliwych z tego wniosków wyprowadzić nie może i nie umie, a jednak czyż samo już wyznanie nie jest w wysokim stopniu pouczającem?

Taż sama naiwna połowiczność objawia się u Harnacka także w jego charakterystyce osobistości Chrystusa. W szkołach rabinów — powiada — nie kształcił się i stamtąd nauki swojej zaczerpnąć nie mógł, ze sektą Esseńczyków żadnej wspólności nie miał, jakichś przewrotów i burz wewnętrznych w tem nadzwyczajnem życiu nie widać, od Greków nauki swojej także nie zaczerpnął [1], a więc skądże ją wziął i z jakiegoż pochodzi ona źródła? Jeżeli rzeczywiście — jak mówi Harnack na początku trzeciego odczytu — ta nauka tchnie cała pokojem, radością i pewnością, jeżeli Chrystus istotnie żył w ciągłem poczuciu Boga, jeżeli nie przemawiał jak przemawia jakiś heroiczny asceta lub pokutnik, który świat od siebie odepchnął, jeżeli oko Jego spoczywało na prawdę z Boską miłością na wszelkich objawach rzeczywistego życia [2], to w takim razie czyż możliwe jest inne wyjaśnienie zagadki, jeżeli nie to, które nam same podają ewangelie? Prawdą zatem jest i według Harnacka faktem, że prawdziwych wśród ludzi synów Bożych stworzył dopiero Jezus Chrystus, prawdą jest, że występował przeciw oficyalnym przewódcom wybranego ludu, którzy przedstawiali Boga za jakiegoś wschodniego despotę, podczas gdy On cały promieniał Boga obecnością. Tamci widzieli Boga tylko w zakonie, On widział go wszędzie; tamci tysiące posiadali przykazań, On tylko jedno, które pochodziło z Boga i od Boga, a więc On jeden tylko Boga znał [3]. A więc z tego wszystkiego wynika prosty wniosek, że... Ale gdzież tam, jakże mógłby protestancki uczony takie wyprowadzać wnioski nawet z przesłanek, które sam postawił! Znać z całego przedstawienia, czuć z tego stylu pełnego życia

[1] Harnack, str. 21 i 22.
[2] Tamże, str. 23.
[3] Tamże, str. 33.

i ciepła, że uczucie Harnacka rwie się do prawdy, ale cóż kiedy myśl obałamucona i przesądami wykarmiona nie pozwala! Woli pozostać połowicznym i ze samym sobą sprzecznym. Wszystko ciągnie go w stronę światła i prawdy, on jednakże tam nie pójdzie, raczej jak Ulisses pozatyka sobie i swoim słuchaczom uszy, aby tylko nie usłyszeli syreniego głosu prawdy. Przypatrzmy się jeszcze dokładniej temu widowisku.

Harnack przyznaje, że nie u św. Jana, ale u Mateusza znajdują się następujące słowa: „Wszystkie rzeczy dane mi są od Ojca mego. I nikt nie zna Syna jedno Ojciec, ani Ojca kto zna jedno Syn, a komuby chciał Syn objawić“ [1]. Synostwo Boże najściślej tu złączone z wiedzą i z poznaniem Boga. Chrystus nazywa Boga Ojcem swoim w Niebiosach. „Ukochałeś mnie — mówi — zanim świat ugruntowany został“. Cóż z tego wszystkiego wynika? Posłuchajmy własnych słów Harnacka: „Tu wszelkie badania muszą ustać — woła. — Nie możemy nawet odpowiedzieć na pytanie od kiedy Chrystus poczuł się Synem Bożym i czy się rzeczywiście cały z tem pojęciem Synostwa Bożego zjednoczył, musimy zatem zadowolić się jedynie tylko stwierdzeniem faktu, że Jezus, który nauczał pokory, siebie i tylko siebie Synem Bożym nazywał“ [2]. Otóż szanowny rektorze berlińskiego uniwersytetu, ja chociaż nie jestem teologiem pomogę twojej logice i na podstawie twoich własnych wywodów odpowiem ci dla czego Chrystus siebie i tylko siebie za Syna Bożego uważał, — oto dla tego: b o N i m i s t o t n i e i r z e c z y w i ś c i e b y ł! Rozważ tylko szanowny rektorze coś sam napisał, wmyśl się w swoje własne słowa, a prawdę poznasz i zrozumiesz. Wszak jądro rzeczy w następującym tkwi ustępie: „Niejednokrotnie występowali wśród ludzkości mężowie, którzy uważali się za wysłanników Boga, ale zawsze to posłannictwo było niezupełnem, splecionem z polityką lub z partykularyzmem i na chwilowe tylko obliczonem potrzeby. Aż tu naraz pojawiło się poselstwo najwszechstronniejsze i najgłębsze

[1] Mat. r. XI. w. 27.
[2] Harnack, str. 81.

ze wszystkich, które chwyta człowieka w najgłębszej jego istocie a w ramach żydowskiego narodu do całej zwraca się ludzkości — poselstwo o Bogu Ojcu; nie jest ono zaś tak marne i kruche jak inne, treść jego z łatwością wyłania się z wszelkich historyczno-czasowych form i osłon. Nigdy to posłannictwo nie przeżyło się, lecz i dzisiaj jeszcze tryumfuje nad wszystkiem, co się działo i co się stało. Ten zaś, który je zwiastował i dzisiaj jeszcze nikomu miejsca swojego nie ustąpił, i dzisiaj nadaje on życiu ludzkiemu sens i wytyka mu cel, on który jest Synem Bożym“ [1]. Któż to napisał? Może jaki katolicki dogmatyk? O nie! To ty sam szanowny rektorze powyższe napisałeś słowa, można je najwyraźniej przeczytać na str. 82 twoich wykładów! Zrzuć więc łuskę z twoich oczu i zechciej z własnych słów wyciągnąć najprostsze w świecie konsekwencye. Wszak znasz przecie owe tak głębokie słowa Goethego: *Von der Gewalt die alle Wesen bindet befreit der Mensch sich, der sich überwindet.* Wszak sam ustępy poświęcone ewangeliom w następujący kończysz sposób: „Nigdy nie zdołamy naszej przestrzenią i czasem ograniczonej wiedzy połączyć z potrzebami naszego wewnętrznego życia, w jednolity a harmonijny pogląd na świat, tylko w pokoju, który z Boga idzie, a nad wszelki wywyższony jest rozum, poznajemy i odnajdujemy tę jedność i harmonię“ [2].

Jak pojąć, jak zrozumieć te wszystkie tak dziwne sprzeczności w umyśle bądź co bądź nie bylejakim? Odpowiedzi na to pytanie dostarczy nam druga połowa wykładów Harnacka, w których rozważa dalszy dziejowy rozwój chrześcijaństwa, we wszystkich późniejszych okresach aż do obecnej chwili. Nie pójdę jednakże wcale w ślad za treścią wszystkich dalszych wykładów Harnacka, to nie wchodzi w zakres mojego zadania, uwydatnię zatem tylko te strony, które są mi potrzebne do wyjaśnienia tej szczególniejszego rodzaju połowiczności, która jakby jakaś gęsta przesłona ogarnęła umysł tego protestanta-racyonalisty, niepozwalając mu dojrzeć światła prawdy w całej

[1] Harnack, str. 82.
[2] Str. 95.

czystości, pomimo iż ono do głębin jego duszy się przedziera. Harnack to typowy okaz długiego dziejowego procesu, a więc przyglądnijmy się temu procesowi opierając się znowu na własnych przeważnie słowach badanego okazu.

II.

Zaraz pierwszy odczyt drugiej połowy dzieła (odczyt dziewiąty), w którym przechodzi Harnack do przedstawienia rozwoju religii chrześcijańskiej w czasach apostolskich jest nader pouczającym tak treścią, którą zawiera, jak szczególnie tem, czego w nim niema, co tam jest zupełnem pominięte milczeniem. Że wobec opowiadań o Zmartwychwstaniu zajmie stanowisko tak samo połowiczne tj. między dwoma zawieszone konsekwencyami, jakie już zajął przedtem w sprawie cudownych czynów Chrystusa, to fakt ten już nikogo nie zadziwi, kto moje w poprzednim ustępie przeczytał uwagi. Harnack pojmuje to doskonale, że bez Zmartwychwstania całe chrześcijaństwo byłoby niemożliwe. Dopiero z tego próżnego grobu trysnęło dla ludzkości nowe życie, śmierć uległa, przezwyciężona, a wiara w życie przyszłe uzyskała trwałą i realną podstawę. „Jako Ukrzyżowany i Zmartwychwstający jest Jezus Chrystus naszym panem“ [1], pisze Harnack; z drugiej jednak strony jak tu uwierzyć w coś, co tak wszelkie ziemskie przekracza pojęcia; a więc radby uwierzyć, ale jako racyonalista wstydzi się. Uznaje, iż najistotniejszą cechą chrześcijańskiej religii jest: „zupełne, posłuszne poddanie się Panu przy zachowaniu całej ducha wolności“ [2], jednak sam jakoś temu Panu poddać się i w niego uwierzyć nie może. Czytając cały wywód ostatecznie nic nie wiemy, ani czy Chrystus zmartwychwstał, ani czy się z nim coś innego stało, wiemy tylko, że wiara w Zmartwychwstanie jest dla chrześcijaństwa podstawową i konieczną, ale nadto dowiadujemy się, że już u osobistych Chrystusa uczniów i w najpierwotniejszej chrześcijańskiej gminie przekonanie o Zmartwychwstaniu było głę-

[1] Str. 103.
[2] Str. 104.

bokie, niezbite, i że to przeświadczenie właśnie stało się punktem wyjścia i bodźcem do całego dalszego działania. Ba, dowiadujemy się jeszcze czegoś więcej: „Gdzie — pyta Harnack — zdarzyło się zresztą coś podobnego w dziejach ludzkości, aby ci, którzy z mistrzem swoim jedli i pili i w ludzkich oglądali go kształtach, aby o nim następnie nauczali nietylko jak o wielkim proroku i Boga głosicielu, ale jak o Boskim ludzkich dziejów kierowniku, będącym stworzenia Bożego początkiem i wewnętrzną nowego życia potęgą“ [1]. Mamy więc znowu coś niezrównanego! Oto pokazuje się, że już pierwsi uczniowie Chrystusa, ci, którzy „z nim jedli i pili“, uważali go za takiego, jakim go św. Jan w swojej przedstawił ewangelii, widocznie zatem i ta ewangelia nie powstała pod wpływem dopiero greckich spekulacyj. Czyż nie miałem prawa powiedzieć, że wystarczy jeszcze jedno pokolenie a będzie odbudowaną historyczna wartość także i czwartej ewangelii? Wszak już sam Harnack to dzieło odbudowy rozpoczął.

Ważniejszem jednakże i o wiele donioślejszem jest to wszystko, czego odczyt dziejom apostolskim poświęcony wcale nie zawiera.

Kto tylko zna choćby pobieżnie pierwsze trzy ewangelie, których historyczność — proszę pamiętać — Harnack uznaje, ten musi przyznać, iż we wszystkich trzech znajdują się oczywiste dowody na następujące fakta: 1) że Chrystus władzę swoją najwyraźniej przelał na swoich uczniów i, że im dał moc nauczania i działania w Jego imieniu; 2) że ustanowił widome znaki ciągłej swojej na ziemi obecności; 3) że powołał do życia organizacyę, która miała dokonane przez Niego dzieło zbawienia ludzkości utrzymywać i przez wszystkie wieki dalej prowadzić, czyli — wyrażając się krótko — że Chrystus ustanowił Kościół, jako swoje stałe widome na ziemi zastępstwo, a nawet, że temu Kościołowi naznaczył sam pierwszego sterownika i głowę [2]. To są fakta, które może zaprzeczać ten, kto uważa ewangelie za

[1] Str. 97.

[2] Por. Mat. XXVI, 26–29, XXVIII, 18—20. Marek XIV, 22—25, XVI, 15—17. Łuk XXII, 17—20, 25—33.

sztuczny zlepek późniejszych czasów, kto jednak historyczność ewangelij uznał, ten faktom powyższym, wobec zupełnej jasności tekstów, zaprzeczyć nie może. Kościół więc jest zawiązkiem wszelkiej późniejszej działalności, on istniał zanim się chrześcijaństwo rozszerzać zaczęło, ustanowił go zaś sam Chrystus. Z tem jednakże łączy się zaraz inny fakt tj., że w tem widomem Chrystusa zastępstwie niema aż po dzień dzisiejszy żadnej przerwy. Taka jest logika faktów. Ale — wszelki duch Pana Boga chwali — jakże mógłby coś podobnego przyznać protestant; gdyby przyznał to musiałby zaprzestać wykładów protestanckiej teologii na berlińskim uniwersytecie, a więc cóż tu zrobić! Ha, pozostaje tylko - milczeć i uznawszy historyczność trzech ewangelij, faktu ustanowienia Kościoła nie dostrzegać. Oto jedyne wyjście, innej rady niema. Takie stanowisko jest konieczne, aby można w dalszym ciągu przedstawić powstanie Kościoła jako zboczenie od pierwotnej chrześcijańskiej idei, protestantyzm zaś uznać za powrót do niej. A teraz przyznaj łaskawy czytelniku, czy to nie jest charakterystyczne i godne uwagi. Zarzucają racyonaliści katolikom, że przemilczają fakty i prawdy dla nich niewygodne. Tu cóż się dzieje! Fakt zasadniczy, jeden z najważniejszych widzimy pominiętym, niedostrzeżonym, z pamięci wymazanym. Dlaczego? No, bardzo naturalnie! Dlatego, bo niewygodny. Czyż wobec tego nie lepiej już stać twardo przy zapatrywaniu, że ewangelie są pismami sfabrykowanemi dla celów istniejącego już Kościoła? Wówczas przynajmniej nie potrzeba przemilczać faktów. Ale kiedy z drugiej znowu strony nie dopuszcza tego historyczna metoda i sumienie uczonego historyka. Sprzeniewierzyć się historycznej prawdzie lub ją przekręcać, to nie uchodzi, uznać ją i wyciągnąć z niej wszystkie konsekwencye, to znaczy podkopać najistotniejsze podstawy protestantyzmu, a więc najlepiej będzie milczeć. Nie chcę wcale twierdzić, aby to przemilczenie faktu ustanowienia przez Chrystusa Kościoła było u Harnacka rozmyślne i ze złą połączone wiarą. Bynajmniej! Wyobrażam sobie, że jak u niego racyonalizm zabił filozoficzną logikę, tak protestantyzm skrzywił jasność i trzeźwość historycznego sądu. Przyj-

muje wprawdzie wyniki, które mu jego historyczna metoda z konieczności przyjąć nakazuje, ale na niektóre fakta jest jego świadomość zupełnie znieczuloną. Jak są ludzie, którzy pewnych barw nie widzą, tak on nie dostrzega wypadków. Skutkiem tego sam ze sobą wchodzi w sprzeczność. I tak np. za twórcę całej messyańskiej dogmatyki uznaje św. Pawła[1], (poprzednio dowodził, że już ci co z Chrystusem „jedli i pili“ uważali go za Syna Bożego i Messyasza), jemu też przypisuje dalej zawiązek Kościoła, pomimo że św. Paweł sam w sposób niezbity stwierdza, że to nie jest prawdą, gdyż Kościół już istniał gdy on swoją apostolską rozpoczął działalność. Właśnie oderwanie chrześcijaństwa od judaizmu i przeniesienie go na grunt powszechnie ludzki, było możliwe tylko dzięki temu, że Kościół już istniał, czyli że była już powszechnie przez chrześcijan uznana władza, która mogła tego dokonać; czyż inaczej byliby się chrześcijanie poddali orzeczeniu pierwszej jerozolimskiej narady? A przecież nawet temu Harnackowi, który istnienia Kościoła przez samego Chrystusa założonego wcale nie widzi, wyrywa się w końcu z głębi duszy następujące wyznanie: „Przez Jezusa Chrystusa jako ich głowę w nowy połączeni lud, żyli pierwsi chrześcijanie w tem wzniosłem przeświadczeniu, że tak Żydzi jak Grecy, tak Grecy jak barbarzyńcy dzięki Jemu uzyskali jedność i, że ludzkość weszła na ostatni najwyższy w dziejach stopień[2].

Tak więc wisząc w powietrzu, nie umiejąc i nie mogąc na żadną stanowczo przechylić się stronę, przedostaje się nareszcie Harnack wśród mnóstwa łamanych sztuk do czasów, w których — według jego zdania — zaczął organizować się Kościół powszechny czyli katolicki. Tu dopiero pojmujemy należycie dlaczego starał się Harnack fakt założenia Kościoła przez samego Jezusa Chrystusa zupełnem pominąć milczeniem; tylko w ten sposób można było twierdzić, że Kościół katolicki powstał jako zboczenie od pierwotnej chrześcijańskiej idei. Koło roku 200 — pisze na początku 11-go odczytu — widzimy Kościół

[1] Harnack, str. 116.
[2] Str. 118.

już zupełnie urządzony i gotowy, a to zarówno pod względem teoretycznych zasad nauki jak i pod względem praktycznej organizacyi. Istnieje już różnica między duchownymi a świeckimi (jak gdyby jej był już Chrystus nie ustanowił, zob. Mat. V, 13. X. Mar. III, 14—20, VI, 7. Łuk. V, 10. VI, 13—16. IX, I, X, 1—3), pewne religijne czynności może spełniać tylko duchowny (jak gdyby tego był także Chrystus nie ustanowił). Żywą wiarę zastępuje wyznanie (jak gdyby żywa wiara nie musiała wyrażać się w jakichś słowach). Powstaje wreszcie cały aparat metafizycznych i teologicznych spekulacyj.

Tutaj warto jest cokolwiek się zatrzymać.

Jak wiemy Harnack uznał historyczność pierwszych trzech ewangelij. Otóż nietrudno jest dowieść, że główne dogmata katolickiego Kościoła mają właśnie już w tych ewangeliach silną, powiedzmy, niewzruszoną podstawę. Wszakże sam Harnack wykazał, że już pierwsi uczniowie uznawali Chrystusa za początek stworzenia (str. 97), za Boskiego kierownika dziejów, a czemże jest cała teorya o „Logos“, jeżeli nie prostem tylko tej myśli rozwinięciem? Rozwinąć ją zaś i w duchu ewangelij ustalić należało koniecznie, herezye bowiem krzywiły naukę ewangelii i przekręcały ją, a więc wypadało w walce z herezyami określić ściśle co jest chrześcijańską nauką, a co nią nie jest. Kto zatem twierdzi, że dopiero grecka filozofia nadała historycznym faktom metafizyczne znaczenie, i że ona dopiero wciągnęła historyczną osobę w zakres kosmologii i filozofii religii, ten staje w sprzeczności z uznaniem ewangelij za historyczne źródła. Na podstawie własnych Harnacka wywodów można dowodzić, że grecka filozofia dostarczyła tylko nazwy, — zresztą bardzo odpowiedniej — na wyrażenie chrześcijańskiej zasadniczej prawdy, tudzież, że dostarczyła metod do systematycznego rozwinięcia i sposobów do uzasadniania poglądów, które od najpierwszych już czasów były wśród chrześcijan ustalone, przyznawali się bowiem do nich już ci, którzy z Chrystusem „jedli i pili“. Prawdą jest, że walka z gnostycyzmem zmusiła Kościół do ujęcia tak nauki jak obrządku i moralności w stałe formy i prawa, ale one wszystkie oparte przecież na ewangeliach i z nich zaczerpnięte, są tylko ustaleniem i rozwi-

nięciem tego co Chrystus sam ustanowił. Należy zawsze pamiętać, że ludzie nie są czystymi duchami, a więc bez jakichś form, jakiejś organizacyi obejść się nie mogą. Harnack sam uważa za wielką chrześcijaństwa zasługę, że zdołało się obronić gnostycyzmowi, a zarazem, że przezwyciężyło dualizm greckiej filozofii religii, a czy mógł Kościół tego dzieła dokonać bez ustalenia zasad ściśle w duchu pierwotnej tradycyi? Jakiż miał być sposób wyróżnienia gnostyka od wyznawcy czystej, prawdziwej chrześcijańskiej nauki? A może należało wszelkiego rodzaju dopuścić poglądy i zapatrywania? Coby się już wówczas było stało z nauką Chrystusa, o tem niech zaświadczy stan w jakim obecnie znajduje się protestantyzm, dopuszczający właśnie w swojem łonie wszystkie dogmatyczne opinie.

Pomijając w dalszym ciągu trafne zresztą nieraz w szczegółach wywody Harnacka odnoszące się do Kościoła wschodniego, przejdźmy już do poglądów na rzymski katolicyzm i na protestantyzm. Tu dopiero przedstawi się nam w należytem świetle obecny stan i obecne umysłowe usposobienie protestancko-racyonalistycznych kół, tu dopiero pokaże się czego te koła przez całe 19-te stulecie pomimo wszystkiego jednak nauczyły się a czego na żaden sposób ani wyzbyć, ani nauczyć się nie mogły.

Zaraz na początku czternastego odczytu spotykamy się ze zdaniem, że Kościół katolicki okazał się w ciągu wieków tak silnym, że sprostał wszelkim politycznym ruchom i że zdołał je zawsze, z krótkiemi tylko przerwami opanować, „my w Niemczech czujemy to dostatecznie“ [1], wzdycha sentymentalnie, a dalej mówi, że Kościół nawet w ruchu umysłowym znaczny bierze udział, wprawdzie — jak na pruskiego protestanta przystoi — dodaje, że Kościół tylko wstrzymuje, „ale wobec błędów i gorączkowości nowoczesnego postępu nawet i to wstrzymywanie nie jest zbawiennych pozbawione następstw“ [2]. W słowach tych mieści się w gruncie rzeczy najzaszczytniejsze uznanie dla nad

[1] Str. 154.
[2] Tamże.

wyraz zbawiennej roli Kościoła, cóżby się bowiem stało z ludzkością, gdyby wobec gorączkowości dzisiejszego postępu i wobec piorunującego wzrastania wszelkich dążeń do nowości z jednej, a bezmyślności i egoizmu państw i władz rządowych i parlamentów z drugiej strony nie było takiej duchowej organizacyi, jaką jest katolicki Kościół, który patrząc na cały postęp *sub specie aeternitatis,* gdzie potrzeba tam ten postęp reguluje. W dalszym ciągu przyznaje Harnack, że Kościół uratował niezależność religii[1]. Takie wyznanie brzmi w tych właśnie ustach bardzo niezwykle, widocznie musi tego na gruncie protestantyzmu brakować. Wszak Harnack to świadek niepodejrzany; jeżeli wolność religijną uratował Kościół, a nie reformacyą to widocznie musi z tą niezależnością na gruncie przez reformacyę wytworzonym nieświetnie wyglądać. Religię, która jest narzędziem w rękach państwa nazywa Harnack pogańską a nie chrześcijańską, jakiż z tego należałoby wyprowadzić wniosek — oczywiście tylko ten, że w takim wypadku prawdziwie chrześcijańskim, jest tylko katolicki Kościół nie zaś protestantyzm. Że nasz autor takiego wniosku nie wyprowadził, to nas nie dziwi, co jednak jest szczególnem, że się sam nie zmiarkował co napisał.

W Kościele widzi Harnack trzy następujące główne cechy: 1) ducha powszechnego; 2) ducha łacińskiego; 3) ducha Augustyna. Doskonale. To są istotnie cechy Kościoła, on się ich wcale nie wypiera. Tak jest, „władzę duchową dzierżyć i ewangelię głosić“[2], oto zadanie Kościoła. Ta zaś jego „absolutna“ władza, nie ma nic wspólnego z despotyzmem władzy świeckiej. „Absolutna monarchia“ papieży i ich nieomylność opiera się całkowicie na prawdzie, że „Chrystus jest Panem naszym“. Kto tylko uzna i wmyśli się należycie w prawdę, że Chrystus jest „Panem“ zrozumie także „absolutyzm“ papieża. Jeżeli Pius IX. istotnie powiedział słowa: „tradycyą jestem ja“[3], to miał prawo to powiedzieć! Tak jest! Od niego wstecz aż do Chrystusa,

[1] Tamże.
[2] Str. 158.
[3] Str. 159.

który jest „Panem naszym“ sięga żywa i nigdy niczem nieprzerwana tradycya. Gdyby Harnack to mógł pojąć, zrozumiałby także dlaczego katolicki Kościół posiada taką „zdolność przystosowywania się do historycznego rozwoju wypadków, jakiej jego zdaniem żaden inny Kościół nie posiada“ [1], dlaczego jest, jak mu się znakomicie udało to wyrazić: „zawsze dawnym Kościołem, a przynajmniej takim się wydaje, a jest zawsze nowym“ [2]. „Zawsze stary i ciągle nowy!“ A dlaczego! bo jest jedynym wiernym przechowawcą czystej Chrystusowej nauki, która także jest zawsze starą i wiecznie nową, bo w urządzeniach i w działaniu zatrzymał do dzisiaj tego ducha i ten kierunek, który mu sam Chrystus nadał. Na pytanie zaś dlaczego przyswoił sobie Kościół ducha Augustyna, odpowiedź prosta, bo duch Augustyna jest duchem prawdziwie i wiernie chrześcijańskim! Jakże wobec tego wszystkiego komicznie wygląda twierdzenie Harnacka, wypowiedziane na str. 163, że Kościołowi katolickiemu we wszystkiem co tylko dotyczy wewnętrznej strony, brakuje wszelkiego związku z ewangelią. Powołuje się na słowa Chrystusa, że „panowanie moje nie jest z tego świata“ i wyprowadza wniosek, że w Kościele niema już związku z ewangelią, jak gdyby Kościół kiedykolwiek uczył czego innego, jak gdyby nieustannie nie powtarzał, że jego panowanie także nie z tego świata; jeżeli zaś sprawuje rząd dusz tu na ziemi, to właśnie tylko w imię tego wyższego panowania, gdyż nawet w trzech uznanych za historyczne ewangeliach wyraźnie stoi napisano, że „cokolwiek rozwiążecie na ziemi będzie rozwiązane i w niebie“.

Do jakiego stopnia Harnack jest zaślepiony, tak że nawet rzeczywistych obecnie dziejących się faktów nie widzi, tego dowodzi najlepiej koniec uwag katolicyzmowi poświęconych: „Powoli — pisze — dokonywa się proces ubożenia Kościoła pomimo pozornego potęgi przyrostu, powoli ale na pewno“ [3]. Poprzednio więc przyznał, że ruch umysłowy w Kościele wzmaga się, wzdychał nawet, że protestanckie Niemcy to wzmaganie się potęgi Ko-

[1] Str. 160.
[2] Tamże.
[3] Str. 165.

ścioła na własnej czują skórze, a tu naraz woła, że Kościół duchowo ubożeje. Nie widzi więc tego żywego ruchu naukowego i umysłowego, który się w katolicyzmie rozbudził, nie widzi także ruchu społecznego, który z tego samego płynie źródła, nie widzi tej gorącości uczuć religijnych, wśród rozmaitych wzrastającej warstw, ani też tego uszlachetniania się etycznych pojęć także pod wpływem Kościoła, tego wszystkiego, biedak, nie widzi i woła, Kościół ubożeje. Nie Kościół ubożeje, ale w głowach protestanckich uczonych wyrabia się przerażający brak poczucia z rzeczywistością, to zaś wszędzie i zawsze jest początkiem duchowego upadku. Ktoby nie wierzył jak dalece stracił Harnack to poczucie z rzeczywistością, tego niech przekonają następujące słowa, które miał odwagę powiedzieć do swoich sześciuset słuchaczy: „Intenzywnie — mówi Harnack — dokonało się w Kościele katolickim z małemi tylko przerwami od roku 1540—1620 i w XIX. stuleciu niesłychane cofnięcie się wstecz. Poważni katolicy tego wcale nie zakrywają, oni wiedzą, że znaczna część duchowego dorobku przepadła". A zaraz nieco dalej: „Jakże to sprawy stoją z romańskiemi narodami, które stanowią przecież właściwy zakres panowania rzymskiego Kościoła? Wielką potęgą jest tylko jeden z nich, a co się stanie gdy jeszcze jedno przejdzie pokolenie? Kościół jako państwo żyje tylko ze swojej przeszłości tak staro-rzymskiej jak średniowiecznej, żyje jako romańsko-rzymskie państwo, państwa zaś nie żyją wiecznie. Czy więc Kościół zdoła utrzymać się wobec przyszłego ukształtowania się wypadków? czy zniesie wzrastające napięcie między nim a duchowem życiem narodów? czy przetrwa upadek romańskich mocarstw?" [1] Bezstronny czytelniku czy uważasz do jakiego stopnia ten uczony mąż duchowo zaniewidział? Wszak co słowo w tym ustępie, to policzek zadany faktom! Kościół więc żyje

[1] W wieczornem wydaniu nr. 62 dziennika *Czas*, spotkałem się z kronikarską notatką o tem właśnie dziele Harnacka. Kronikarz przytoczywszy niektóre wyrwane z całości ustępy bez uwzględnienia ogólnego tła, pisze, że Harnack „występuje z bardzo stosunkowo gorącą apoteozą katolickiego Kościoła". Że to zapatrywanie nie jest zgodne z prawdą, o tem może przekonać treść niniejszego artykułu.

tylko i panuje wśród ludów romańskich! A gdzież to naraz podziało się 20 milionów niemieckich katolików, drugie dwadzieścia katolickich Słowian, kilkanaście milionów katolików w Anglii i w Irlandyi a wreszcie miliony ich w Stanach Zjednoczonych? A więc Kościół duchowo upadł i zubożał! Oczywiście, dowodzi tego najlepiej ten cały ruch umysłowy, filozoficzny i społeczny tak potężnie przez Leona XIII. rozniecony, ale prawda! — zapewne wkrótce zjawi się jakiś protestancki uczony, który udowodni, że Leon XIII. jest tylko mitem i, że nigdy nie istniał! Że Kościół naprężenie między nim a duchowem życiem narodów wytrzyma, to najmniejszej nie ulega wątpliwości, katolicy bowiem wszystkich narodów coraz dzielniej i energiczniej pracują nad tem, aby katolicyzm stanął na wysokości wszystkich naukowych i filozoficznych zadań epoki, wiemy zaś, że „Kościół jest wiecznie stary i ciągle młody", inna jednak rzecz czy protestantyzm zniesie naprężenie między nim a rzeczywistemi faktami dziejów. Czy romańskie narody upadną, o tem nie wiemy; ale to, co sam Harnack opowiada na chlubę protestantów germańskich, to im niedobrze wróży. Posłuchajmy jego wynurzeń w tym kierunku.

Zaraz na wstępie do ostatnich dwu protestantyzmowi poświęconych odczytów, wzdycha temi słowy: „Jakże tu mizernie wygląda!" [1] ale pomimo tego szczyci się ze swoich łachmanów i woła: „Cóż znaczą wszystkie postępy kultury wobec faktu, że dzisiaj 30 milionów Niemców a jeszcze więcej chrześcijan zewnątrz Niemiec posiada religię bez księży, bez ofiar, bez darów łaski Bożej, bez obrzędów, zupełnie duchową religię!" [2] A my dodamy, że posiadają religię, która już całkowicie religią być przestaje. Tak jest, na podstawie własnych słów Harnacka możemy stwierdzić, że protestantyzm już przestaje być religią, a jest tylko polityczno-państwową instytucyą. Dokonał się tu w zupełności powrót do politycznej religii starożytnych, która,

[1] Str. 167.
[2] Tamże.

zdaniem Harnacka, po powstaniu chrześcijaństwa straciła prawo do nazwy religii.

Czytając ustępy o protestantyzmie, rozumiemy dopiero dokładnie, dlaczego Harnack uznawszy historyczność pierwszych trzech ewangelij, pominął zupełnie fakt założenia Kościoła przez Chrystusa, gdyby był bowiem tego nie pominął, byłby był musiał wydać na siebie i na swoich wyrok potępienia. Rozważmy bowiem jaki to był początek reformacyi. Wszak powstała ona jako bunt przesyconych dyalektycznemi subtelnościami dusz ludzkich przeciw Chrystusowemu dziełu, jako bunt podniecany chciwością panujących, którzy pragnęli zagarnąć kościelne majątki i urzeczywistnić ideę wszechwładzy państwa, idei tej zaś Kościół musiał opierać się, gdyż jest z nauką Chrystusa niezgodną. Nie myślę wcale zaprzeczać, że do wywołania reformacyi przyczyniły się w wysokim stopniu instytucye i ludzie, w których rękach spoczywał ster spraw Kościoła, należy nawet przyznać, że reformacya wyszła Kościołowi bardzo na dobre i zbawienne spowodowała następstwa, i tu okazało się, że zło jest *ein Theil von jener grossen Macht die stets das Böse will und stets das Gute schafft,* to jednak nie jest już zasługą reformacyi ale Kościoła, który wśród tych walk do nowego odrodził się życia, on który jest „wiecznie stary i zawsze młody". Otóż Harnack przyznaje, że reformacya była rewolucyą, ale dodaje, że była to rewolucya, która dokonała powrotu do pierwotnych ewangelicznych tradycyj. Naturalnie może to utrzymywać, gdyż zataił fakt utworzenia Kościoła przez Chrystusa, a jednak i w tym nawet wypadku popełnia niekonsekwencyę, którą nieco później wykażę. Uznawszy więc reformacyę za rewolucyę, istotę protestantyzmu w następujący określa sposób: „jest to duchowa wspólność ewangelickich chrześcijan i to wspólność przekonań w rzeczach najważniejszych i w ich zastosowaniu do całej różnorodności życia"[1]. Jak to w rzeczywistości wygląda, wiemy doskonale. Zaiste piękna to wspólność w rzeczach najważniejszych tam, gdzie jedni widzą w Chrystusie Boga-człowieka, inni zaś zwykłego tylko śmiertelnika;

[1] Str. 172.

jedni wierzą, że zmartwychwstał; drudzy, że go uczniowie z grobu wykradli i gdzieś zagrzebali; jedni, że Kościół utworzył; drudzy, że mu się o tem nawet nie marzyło; jedni, że ludzkość zbawił; drudzy, że cała działalność Chrystusa jest tylko mitem a nauka jego kompilacyą żydowskiej teologii i greckiej filozofii — ci wszyscy pragną uchodzić za ewangelickich chrześcijan. Rzeczywiście wspaniała jedność w najważniejszych rzeczach. Ale i tego Harnackowi za mało, woła zatem: „życzymy sobie jeszcze więcej wolności, jeszcze więcej indywidualności w wyrażaniu się i w nauce“ [1]. Istotnie tej duchowej wspólności jednej jeszcze tylko brakuje rzeczy, potrzeba aby do wiernych protestantyzmu wyznawców zaliczono także takich jak np. Haeckel i jego zwolennicy, którzy skrajny głoszą materyalizm, przyjmijcie także i tych, a wówczas duchowa wspólność i harmonia będzie zupełną [2].

Zobaczmy teraz jak to wygląda powrót tej rewolucyi do pierwotnych ewangelicznych tradycyj. Na str. 178 Harnack tak pisze: „Reformacya nie spostrzegłszy się, usunęła wiele form, które nawet w apostolskich już istniały czasach, tak np. w karności, posty, w organizacyi biskupów i dyakonów“. Znowu jedno z tych niezrównanie naiwnych wyznań Harnacka, któremi książka jest przepełniona. Jeżeli zatem to wszystko w czasach apostolskich już istniało, jeżeli Kościół to zachował a reformacya usu-

---

[1] Tamże.

[2] Gdyby kto uważał moje zapatrywania za przesadne, proszę niech weźmie do ręki świeżo wyszłe dzieło protestanckiego pastora Karola Königa p. t. *Im Kampf um Gott und um das eigene Ich* (Freiburg i B. 1900), w którem autor powiada, że dla niego Bóg jest hipotezą (str. 80), a nawet, że dla samego Jezusa pojęcie Boga było tylko hipotezą. Czegoż więcej potrzeba? — Byłem sam raz w Davos w Szwajcaryi świadkiem kazania wypowiedzianego w dzień Wielkiejnocy, w którem kaznodzieja protestancki pastor dowodził, że Zmartwychwstanie jest mitem. Tenże sam pastor miał na cmentarzu wobec rodziny zmarłego mowę, w której znowu dowodził, że wiara w nieśmiertelność duszy jest niedorzeczną i żegnał zmarłego *auf Nimmerwiedersehen*. Takie przekonania nie przeszkadzały mu wcale pełnić obowiązków pastora. Tak wygląda owa „wspólność w rzeczach najważniejszych“.

nęła, to pytam się, któż jest więcej chrześcijański a kto się duchowi ewangelii sprzeniewierzył: Kościół czy reformacya?

Ale niekiedy przemawia przez usta Harnacka także trzeźwy historyk, tak np. przyznaje, że ciężką to było dla protestantzymu klęską, iż musiał urządzić się w ramach odrębnych państwowych kościołów, przyznaje również, że było dlań z wielką szkodą, iż wyzbył się instytucyi zakonów, przyznaje dalej, iż twórcy reformacyi nie stali na wysokości ruchu umysłowego epoki tak, że to wszystko zabiło w protestantyzmie od początku ducha dalszego postępu [1]. I oto cóż się dzieje! słuchajcie czytelnicy i dziwcie się! protestancki teolog woła: „Zachodzi obawa, że protestantyzm stanie się mizerną kopią katolicyzmu, nazywam ją „mizerną", gdyż dwu rzeczy nie uzyska nigdy, tj. papieża i zakonów! zachowa zaś co? swoje prowincyonalne Kościoły i pożenionych duchownych". To nie są żarty co ja tu przytaczam, całkiem na seryo tak jest napisano u Harnacka na str. 185. Skatoliczenie się ewangelickich kościołów, staje się piekącem niebezpieczeństwem dla trzech przyczyn: 1) z powodu bierności i obojętności mas; 2) z powodu, iż ludzie jednak potrzebują jakiegoś stałego w religii oparcia; 3) gdyż państwo potrzebuje konserwatywnej religii, któraby wpajała w poddanych ducha posłuszeństwa i porządku [2]. Oto znowu wspaniałe powiedzenie, które najlepiej dowodzi, że Harnack ciągle chodzi około prawdy, ale do niej trafić nie może, podobny do owego spekulującego biedaka o którym mówi Goethe: *Ist wie ein Thier auf dürrer Heide von einem bösen Geist herumgeführt und rings umher liegt schöne grüne Weide.*

Czegóż więc potrzeba, aby uchylić niebezpieczeństwo skatoliczenia się protestantyzmu? Jedynym ratunkiem ma być jak największa wolność i swoboda wyznawania co tylko kto zechce, czyli mówiąc innemi słowy, najzupełniejsza w rzeczach religijnych anarchia. Ale Harnack jakoś nie bardzo wierzy w urzeczywistnienie tego ideału, owszem przypuszcza, że skatoliczenie dalsze będzie robiło postępy i z pewnego rodzaju uczuciem melancholii pociesza

[1] Str. 179, 180, 181.
[2] Str. 185 i dalsze.

się, że gdyby nawet tak się stało, to przecież ewangelia jeżeli dotąd nie zaginęła to i nadal nie zaginie. I my w to wierzymy jednak nietylko na ten wypadek gdyby protestantyzm skatoliczał, ale nawet gdyby ideał religijnej anarchii tam zwyciężył, wtedy dopiero na prawdę ewangelia doczeka się należytego uznania, gdyż od anarchii umysły z natury rzeczy zwrócą się do katolickiego Kościoła. Słusznie bowiem pisze Harnack, iż „tylko religia tj. miłość Boga i bliźniego nadaje życiu sens — umiejętność tego nigdy dokonać nie zdoła“ [1], ponieważ zaś prawdziwej religii tradycya przechowała się tylko w katolickim Kościele, a zatem im więcej będzie anarchii w protestantyzmie, tem prędzej umysły zwrócą się do uznania w rzeczach religii powagi Kościoła katolickiego. Poważni i głębsi protestanci tak w Niemczech jak szczególnie w Anglii rozumieją to już doskonale i przyznają...

Przestudyowawszy całe to tak zawikłane zjawisko, jakiem jest książka Harnacka, wyprowadźmy nasze ostateczne wnioski.

W umyśle Harnacka walczą ze sobą i ścierają się następujące prądy: po jednej stronie historyczna metoda zmuszająca go do uznania historyczności pierwszych trzech ewangelij, tudzież głębszy filozoficzny krytycyzm, który sprawia, iż będąc wierzącym w Boga deistą, wyzwala się po części z więzów rozumowego dogmatyzmu, po drugiej zaś znowu stronie stoi pruski protestant przesiąknięty na wskróś uprzedzeniami do katolicyzmu, tudzież duchem racyonalizmu. Wynikiem takiego starcia jest jedyna w swoim rodzaju połowiczność i niepewność, prześlizgiwanie się między jednem a drugiem stanowiskiem, aż wkońcu zawisnął w powietrzu, bez żadnej nadziei wyjścia z nieznośnego położenia. Radby uwierzyć — nie może! Radby stanowczo zaprzeczyć — także nie może! Zapędzi się zanadto w jedną stronę, zatrzyma go historyczna metoda i głębszy filozoficzny krytycyzm, zwróci się więc w drugą stronę — odepchnie go uprzedzenie do katolicyzmu, pruskie przesądy i racyonalizm.

[1] Str. 188.

I tak jest ten uczony dla nas — jak powiedziałem — świetnym okazem, aby na nim uwydatnić obecny umysłowy stan i obecnego ducha protestantyzmu. Tak niema rady, — Harnack ma słuszność, protestantyzm albo powoli skatoliczeje i zbrzydziwszy sobie wstrętną rolę, na jaką go państwo skazuje, złączy się napowrót z organizmem, od którego się zuchwale oderwał, albo dojdzie do zupełnej w rzeczach religijnych anarchii, a wówczas jako religia i Kościół przestanie istnieć.

Zbliżają się czasy jakiegoś stanowczego w rozwoju całej ludzkości przełomu, już nowe żywioły na widownię występują, nowe warstwy społeczne i nowe wielkie zagadnienia dziejowe. Czy wobec tego co się zbliża, możliwą jest rzeczą, aby się utrzymało coś tak połowicznego, jakim jest protestantyzm? Chyba nie! Gdy postępy umiejętnych badań wytępią do reszty naiwny rozumowy dogmatyzm, a filozofia krytycznie jeszcze więcej się pogłębi, gdy ruch społeczny świat ogarnie tak, że wszystkie warstwy i wszystkie ludy jednym wielkim chórem upomną się o sprawiedliwe uznanie ludzkiej w nich godności, wówczas odrodzenia dusz może dokonać tylko ta sama siła, która raz już tego dokonała, a tą jest chrześcijaństwo. Ale nie to jakieś mniemane chrześcijaństwo, które nie wie, czy wierzyć, czy wątpić, czy uznawać jakiś żywy związek z Chrystusem, czy wszystko według własnego przekształcać widzimisię, lecz to chrześcijaństwo, które sam Chrystus na opoce ugruntował. W katolickim zaś tylko Kościele odnajdzie je każdy, kto dojdzie do przeświadczenia, że istota chrześcijańskiej religii tkwi „w posłusznem poddaniu się Panu przy zachowaniu prawdziwej ducha wolności“.

Prof. dr. M. Straszewski.

PIÓREM I OŁÓWKIEM.

2. Z Grecyi i Wschodu.

(Ciąg dalszy).

VII.

Pałac królewski na placu Konstytucyi. Demokratyczne urządzenia i mania tytułów. Stosunki parlamentarne i partyjne. Eksploatacya i okradanie skarbu. Król Otton, jego idealizm i działalność. Praktyczny król Jerzy. Królowa Olga. Rosyjska kaplica w królewskim pałacu. Park miejski i Zappeion. Cesarz Hadryan i jego działalność dla Aten. Pamiątki Heroda Attyka i Cezarów rzymskich. Łuk Hadryana. Olimpeion. Pomnik Lysikratesa. Teatr Dionyzosa. Odeion. Brama Beulégo. Brak bakczyszów i *buona mana* w Grecyi. Nike Apteros. Widok z Propyleiów. Propyleie i ich imitacya w Monachium. Akropol dziś a dawniej. Posągi i świątynie. Brauronion. Świątynia Ateny Ergane. Atena Promachos. Erechteion. Kult Ateny Polias. Partenon i jego losy. Bomba wenecka, rzucona przez Niemca. Lord Elgin. Muzeum. Widok z Akropolu. Museion i pomnik Filopapposa. Wzgórze Pnyxu i Areopag. Tezeion. Gmachy dawnego rynku. Dipylon. Gimnasion i Stoa Hadryana. Stoy Attala i olbrzymów. Zegar Andronikosa i brama rynku. Akropolis przy świetle księżyca

Pałac królewski w Atenach jest jedynym świeckim gmachem publicznym, pozbawionym zupełnie stylu i mocno brzydkim. Wygląda jak podłużna na żółto pomalowana komoda. Za pałacem ciągnie się ku parkowi Zappeion, obszerny ogród założony wśród spalonego od słońca stepu przez królowę Amelię, szlachetną i nieszczęśliwą małżonkę króla Ottona. Z tyłu poza królewskim parkiem niewielka, biała, elegancka willa mieszczańska, to pałacyk następcy tronu, tak szczupły, że balową salę

przybudowano do niego obecnie z boku na końcu oszklonej galeryi, bo następczyni tronu lubi walcować, jak każda Niemka, a w pałacyku nie było absolutnie na to miejsca.

Plac, na którym leży pałac królewski, nazwali Grecy placem Konstytucyi, nie bez tendencyi oczywiście. Chodziło im o zaznaczenie wyraźne królowi stanowiska, jakie ma w państwie zajmować. Stanowisko to wybitnem ani wpływowem nie jest. Grecy najdalej może ze wszystkich narodów doszli w przestrzeganiu znanej współczesnej konstytucyjnej zasady: *le roi règne mais ne gouverne pas.* Są oni tak demokratycznie usposobieni, że konstytucya zakazuje noszenia jakichkolwiek tytułów rodowych i nie uznaje szlachectwa, a do króla mówi się tak samo jak do kelnera: *kyrie,* panie. Swoją drogą nigdzie, prócz chyba w Stanach Zjednoczonych republikańskiej Ameryki, nie przepadają tak ludzie za tytułami. Kto tylko ma to szczęście, że jego nazwisko kończy się na *ni* lub *go* podszywa się pod wenecki tytuł lub herb szlachecki, a kto ma nieszczęście nosić nazwisko zakończone na typowe tutejsze *aki* lub *iko,* śpieszy końcówkę cichaczem zamienić na *ani* i *igo.* Oczywiście, że jak egalitarne tak i patryotyczne i parlamentarne frazesy pozostają w Grecyi jak gdzieindziej frazesami. Stosunki parlamentarne i polityczne są tu opłakane. Stronnictwa uważają państwo za dojną krowę, którą z kolei każda partya eksploatuje, a inne pilnują tylko, aby eksploatacya nie trwała zbyt długo i aby na nie przyszła kolej we właściwym czasie. Urzędnicy od góry do dołu są zmieniani przy każdej zmianie ministeryum i wiedzą, że alfą i omegą ich obowiązków jest agitacya polityczna na rzecz swego stronnictwa. Jeśli zaś dziesiąta część anegdot politycznych, jakie mi opowiadają w Atenach, jest prawdą, to istotnie nigdzie chyba skarbu i kraju nie okradają tak klasycznie, ani we Włoszech, ani nawet w Ameryce.

Król Otton był romantykiem i idealistą, który swą koronę i Grecyę współczesną wziął na seryo, chciał pracować i rządzić, zrobił dla sztuki i cywilizacyi, dla oświaty i dobrobytu kraju niezmiernie wiele, a kraść nie pozwalał. Dlatego też umarł w Bambergu na wygnaniu, w melancholii. W całej Grecyi, zwłaszcza

zaś w Atenach, na każdym kroku spotyka się jego imię, jego myśl, pomniki jego hojności i zmysłu artystycznego. Król Jerzy jest oszczędniejszy, a znaczną część swojej listy cywilnej ma zwyczaj składać co roku w banku angielskim na... czarną godzinę. Obowiązki swe pojmuje po nowoczesnemu, wedle znanej orleańsko-koburskiej recepty na wzorowego konstytucyjnego monarchę. Do niczego się nie miesza, nikomu nie przeszkadza, niczemu nie staje na zawadzie. Chcą się bić z Turkiem, zgadza się, choć jako inteligentny wódz przewiduje, że jego wojsko pobiją; chcą się pogodzić, zgadza się i na to. Nie odbiera mu to wszystko snu, ani apetytu. W najgorszym razie siądzie na okręt, i jak jego poprzednik popłynie do domu. Jest to jednak człowiek pełen zdolności, taktu i niewątpliwej dobrej woli dla Grecyi — ale na prawdę cóż poradzi w tym chaosie walk partyjnych, demagogii i szowinizmu, w tej istnej rzeczypospolitej Babińskiej, jaką dzięki parlamentaryzmowi i konstytucyjnym swobodom, niezastosowanym do jej potrzeb i warunków, jest obecna Grecya?

Królowa Olga ma niewątpliwie więcej wartości a zwłaszcza daleko więcej powagi i majestatu, od tego trochę... dzwonkowego króla. Jak wszystkie księżniczki rosyjskiego panującego domu jest to charakter jednolity, energiczny i zupełnie niepospolity. Ktoś o niej mówił przy mnie w Atenach, że jest najdzielniejszym mężczyzną w Grecyi. Popularną nie jest, choć poszanowanie ogólne ją otacza. W greckich salonach i kawiarniach spotkać się można często ze zdaniem, że serce królowej pozostało na północy, choć od lat tylu panuje nad Jońskiem i Egejskiem morzem. Cudzoziemcowi trudno sprawdzić oczywiście, co i o ile w podobnych gadaniach jest słusznem. To pewne, że królowę znać w Atenach i Grecyi daleko więcej od króla, że zorganizowane na wzór rosyjskich i kierowane przez nią zakłady wychowawcze i dobroczynne mają być doskonałe i obok zakładów katolickich najlepsze w kraju, a prócz tego wpływ monarchini na wyższe towarzystwo greckie, pozbawione tradycyi rodowej i narodowej, ma być bardzo dodatni. Jakkolwiek wyznanie wspólne łączy ją z dziećmi jej i całym krajem, królowa zacho-

wała w nabożeństwie rosyjski rytuał, ma w pałacu własną kaplicę, a przy niej rosyjski kler i osobny bardzo piękny chór liturgiczny, podczas gdy rodzina królewska ma inną dworską kaplicę grecką, a król Jerzy — luterską. Język też i obyczaj rosyjski panuje zawsze w otoczeniu królowej.

Wśród obszernego miejskiego parku, pozbawionego cienia i spalonego od słońca, podczas gdy tuż obok rozkosznie szumią i zielenieją magnolie i rododendrony królewskiego ogrodu, stoi Zappeion, obszerny, w półkole zabudowany gmach dla wystaw przemysłu i sztuki, niby to klasyczny a na prawdę niezgrabny i brzydki. Przed perystylem na ogromnej esplanadzie, na której wieczorami zbiera się elegancki świat i rozstawiają swe stoliki przenośne kawiarnie, wznoszą się marmurowe posągi braci Zappas, twórców Zappeionu i otaczającego go parku, niemniej jak i innego mecenasa nauki i fundatora głównego ateńskiego gimnazyum Warwakisa.

Tu już zaczyna się dzielnica, którą założył i ozdobił wspaniałemi gmachami cesarz Hadryan, ów wielki miłośnik Grecyi, a specyalny protektor i dobroczyńca Aten. Pełno tu pomników jego czynnej i mądrej miłości dla grodu Minerwy. Znaczną część najznakomitszych starych świątyń i świeckich gmachów z najlepszej epoki greckiego budownictwa z monarszą hojnością podtrzymywał i upiększał, inne restaurował, wykańczał i przebudowywał, żeby tylko wspomnieć Bachusowy teatr i świątynię olimpijskiego Zeusa. Znikły już jego Panteony i Biblioteka, ale Gimnasion Hadryana, jego Stoa i tryumfalna brama świadczą do dziś o tem, co dla Aten uczynił, a całe miasto bogatych rzymskich will i pałaców gruzami swemi przypomina jego imię. Prawda, że bogatym ale przeładowanym ozdobami i nieraz ciężkim budowom Hadryana daleko do smukłych i lotnych kształtów greckiej architektury. Prawda, że ornamentacya nieraz jest pretensyonalna, a styl popsuty dziwacznemi motywami, przypominającemi Egipt, zawsze jednak we wszystkiem, co pozostało po Hadryanie, przebija ta sama iście rzymska wielkość, która tak imponuje po 18 wiekach w jego mauzoleum.

Współzawodnikiem Hadryana był Ateńczyk Herod Attikus

rodem z Maratonu, który kolosalnych swych bogactw używał na ozdobę Aten. Jego sumptem stanął wspaniały Odeion u stóp Akropolu, niemniej jak i odrestaurowany w najnowszych czasach Stadion. Ozdabiali też Ateny rzymscy Cezarowie, szczególniej August, któremu Ateny zawdzięczają portyk Ateny Archegetis, świątynię Romy i Augusta na Akropolu i schody prowadzące do Propyleów, dalej Antoninus Pius, który założył tu wspaniałe wodociągi i Marek Aureliusz, który jako prawdziwy filozof znaczne sumy łożył na podtrzymywanie szkół ateńskich.

Niezmiernie malowniczo i efektownie odbija swą żółtą i brunatną barwą starej terakoty na tle nikłej zieleni parku i na zawsze świetnym błękicie nieba łuk Hadryana z paru pozostałemi jeszcze przy nim korynckiemi kolumnami. W pobliżu rysuje się na błękicie szereg wysokich kolumn częścią połączonych łukami ze sterczącym w górze kawałkiem gzymsu, częścią stojących samotnie z urwanym szczątkiem korynckiego kapitelu u szczytu, na bardzo szerokiej, marmurem wymoszczonej platformie. To sławny niegdyś chram, który olimpijskiemu Zeusowi wznieść miał na tem miejscu, przed wiekami, ocalony od potopu Deukalion. Wzgórze to, z którego spływa parę strumieni do poblizkiego Ilissosu, mit grecki zrobił Araratem dla swego Noego. Na prawdę dopiero Peisistrates zaczął tu budować przybytek Zeusowi, a budowa ta przez ciąg wieków tyle przechodziła kolei, że dopiero Hadryanowi udało się doprowadzić ją do skutku.

Odtąd już idzie się z poszanowaniem i w uroczystym nastroju; tu już co krok jakaś resztka przeszłości, jakiś cień starej Hellady zalatuje do nas, odbijając się na starych złomach pentelijskiego marmuru i na kamienistym gruncie, pod którym leżą gruzy z czasów Peryklesa i późniejsze z czasów Hadryana i Heroda Attyka.

Na końcu bocznej uliczki, zacieśnionej pomiędzy staremi ruderami lub wysokiemi murami ogrodów — mały placyk, a na tym placyku coś w rodzaju okrągłej świątyńki, ale nie tak obszernej ani tak wykwintnej jak słynne *tempietto* Bramanta w Rimini lub świątynia Westy. Na ciężkiej kamiennej podwalinie wznosi się wysoki, smukły budyneczek, wyglądający raczej

na kawałek zbyt grubej i zbyt krótkiej kolumny. Na górze zachowany dobrze architraw i fryz rzeźbiony, a nad nim, wśród liści akantu, wznosił się niegdyś bronzowy trójnóg, zwykłe trofeum dionizyjskich igrzysk, który zwycięzca na wieczną rzeczy pamiątkę umieszczał na tego rodzaju pomnikach. Z pomników podobnych była utworzona cała ulica prowadząca do teatru Dionizosa. Ze wszystkich ten jeden się został, najstarszy z zabytków korynckiego budownictwa, drogi sercom archeologów pomnik Lysikratesa. Zawdzięcza on swe doskonałe zachowanie temu, że leżał w obrębie dawnego klasztoru francuskich Kapucynów, którzy w jego wnętrzu mieli swoją bibliotekę. Szczupłą ona być musiała, jeżeli w tej ciasnej norze mogła się pomieścić.

Ale oto przestronna ulica wychodzi z poza obrębu miasta. Na lewo otwierają się obszerne obnażone pola, od których wiatr niesie szeroką strugą przenikliwy zapach stepowych ziół i traw. Na prawo podnosi się jakaś góra — na jej szczycie bieleją perystyle i krużganki starych świątyń — kapelusz z głowy: jesteśmy u stóp Akropolu.

Już też trudno od tej chwili oderwać oczu od widoku tak dobrze znanego z życia i z dawnych uniwersyteckich wykładów. Z roztargnieniem przechodzi się obok resztek teatru Bachusa-Dionizosa i obok Odeonu Heroda, choć w innym czasie zatrzymałyby uwagę: cóż to w porównaniu z Partenonem i ze świątynią Nike Apteros, które widać tuż ponad głową w górze, zachowane tak dobrze, że z tej odległości robią wrażenie, jakby nie były ruinami. A jednak i Dionizosowy teatr i Odeon warte są więcej od przelotnego spojrzenia.

„Święty teren Dionizosa“ rozciągał się na szerokiej przestrzeni poza olbrzymiem półkolem, w którem odbywały się widowiska, poświęcone bogom. Należały do niego szerokie krużganki poprzedzające teatr oraz t. z. Stoa Eumenia, długi ozdobny portyk, dochodzący do Odeonu. Pierwotnie była tu tylko okrągła Orchestra, z ołtarzem Dionizosa w pośrodku i tu odbywały się przedstawienia, przy których aktorowie odróżniali się od chóru wysokiemi koturnami. Publiczność stała naokoło, a miejsce amfiteatru zajmowała ubita ziemia, w półkole podnosząca się, podobnie jak

obecnie piętrzą się stopnie amfiteatru. Właściwy gmach teatralny stanął dopiero później ze Skeną, otoczony dwoma Paraskeniami i zakończony z tyłu dekoracyjnym portykiem, t. z. Proskenionem. Dziś jeszcze można odróżnić wyraźnie składowe części teatru, mimo że był przebudowywany wiele razy; ostatnie dwa razy za czasów wielkiego mecenasa Aten, cesarza Hadryana i później w III. stuleciu. Marmurowe płyty, któremi wyłożona była Orchestra, pozostały nietknięte, tak samo jak i stopnie amfiteatru. Na stopniach i w arenie porozrzucane całe rumowisko marmurowych złomów, kawałków kolumn, kapiteli lub głazów, wyjętych z dawnego muru lub z fundamentów. Mimo wieków, które nad nim przeszły, pentelijski marmur lśni w słońcu białością swą, jakby świeżo odbity od skały. Nad nim wyrasta bujnie chwast polny i błękitnieją dzwonki dziwnych jakichś kwiatów.

W górze, ponad świętym terenem Dionizosa, rozciągał się święty teren Eskulapa, który miał tu swoje sanktuarium (Asklepieion), a obok znów wznosiła się na stoku Akropolu świątynia Temidy i Izys. Dziwni byli ci starożytni ze swym kultem religijnym dla wyobrażeń, które nam wydają się całkiem świętości pozbawione, jak teatr, medycyna i jurysprudencya. Z tego wszystkiego pozostało tylko trochę gruzów: więcej z sąsiedniego odeonu Heroda. Ostatni ten gmach był w przeciwieństwie do teatrów pokryty dachem i przeznaczony zapewne przedewszystkiem dla muzykalnych produkcyj, odpowiadałby zatem mniej więcej dzisiejszym salom koncertowym. Ale rozkład podobny do teatralnego: tak samo w półkole idzie amfiteatr siedzeń, między któremi rozchodzą się promienie korytarzyków. Przez arkady perystylu wrażenie dobrze zachowanego wnętrza, odkopanego przed półwiekiem, jest istotnie imponujące.

Teraz droga zaczyna się podnosić i zakręcać ku górze. Ale lepiej drogę zostawić i boczną ścieżką piąć się w górę wśród zapylonych krzaków i najeżonych kolcami aloesów. Wreszcie staje się pośród bramy, poprzedzonej placykiem. To odkopana przed półwiekiem przez Beulégo i nosząca jego nazwę brama wchodowa do Propyleów. Ponad nią wznoszą się osłaniając ją z obu stron ciężkie bastyony pochodzące z czasów gdy Akropol

zmieniono na twierdzę. Szczególniej z lewej strony mury są zupełnie nowoczesne z epoki panowania weneckiego. Przy wejściu kilku stróżów — wstęp, jak wszędzie w Grecyi bezpłatny. Podziwiać trzeba tę bezinteresowność ubogiego kraiku, w którym wszystko stoi dla zwiedzających otworem bezpłatnie, a napiwki nie są znane. A Włochy tak blizko, a Turcya pod bokiem, a Grek słynie z żądzy zarobku. I pomimo wszystko *mancia* i *bakczysz* nie są znane, a przynajmniej żądane: dorożkarz nie oczekuje nic ponad taksę, a w hotelu biorą co kto da z tym samym uprzejmym uśmiechem wdzięczności, czy 10 lept, czy drachmę.

Dość wysokiemi i stromemi schodami, zręcznie wsuniętemi pomiędzy ruiny dawnych, wchodzi się ku Propyleom. Nie kuszę się opisywać Akropolu, bo nie sprostałbym zadaniu. Wrażenie jest wielkie, większe od tego, jakie wywierają wszystkie najsławniejsze ruiny starożytnego świata, z wyjątkiem chyba samotnej i posępnej Poseidonii. Szczególniej obok Partenonu imponuje mała ale prześliczna świątynia Ateny Nike, czyli Nikeapteros, arcydzieło harmonii i wytworności. Stoi ona nad prawym bastyonem, tuż prawie ponad bramą, a z otaczającego ją gzymsu roztacza się jeden z najcudniejszych w świecie widoków. Szeroka falista przestrzeń zielenieje okrytemi bujną trawą wzgórzami, pomiędzy któremi wśród dolin i jarów bieleją kręte nici gościńców i rozrzucone z rzadka grupy domostw, oraz ciemne gąszcze niewielkich gaików. Dalej rozróżnić można wyraźnie stary i nowy Faleron z nadmorskiemi ogrodami i willami. Poza niemi rozciąga się morze, zamykające widnokrąg półkolisto ciemno-szafirową smugą, przez którą przeglądają dalekie brzegi Salaminy i sąsiedniej mniszej wysepki Psyttaleja, a poza niemi dalej jeszcze widać wyniosły brzeg Knidy. Więcej na prawo żółci się nad morzem, w środku wyraźnie zarysowującego się półwyspu, pomiędzy pirejską i falerońską zatoką bogaty i ludny port ateński Peireus. Z przeciwnej strony wzrok ogarnia obszerne, samotne, gruzami usiane przestrzenie dawnego Areopagu i wzgórze Pnyxu, za niemi zaś bezludny także i cichy pagórek Museion z pomnikiem Filopapposa u szczytu.

Kształt Nike-Apteros jest podłużny, dzięki dwom przeciwległym perystylom o czterech kolumnach, a doskonała rekonstrukcya świątyni z jej własnych składowych czynników, jedyna, jakiej wogóle dokonano na Akropolu, przynosi prawdziwy zaszczyt archeologicznej wiedzy i sumienności jej niemieckich budowniczych. Dokoła fryzu zachowała się dotąd większa część słynnych płaskorzeźb, których resztę ukradli Anglicy, a szczęśliwsi odemnie towarzysze wycieczki mogący je dojrzeć, lub udający, że je widzą, rozpływają się nad klasyczną szlachetnością mitologicznych kompozycyj.

Jak cudnie wyglądać musiał Akropol, gdy od bramy wchodowej wiodły w górę szerokie marmurowe schody, uwieńczone tem przedziwnem cackiem z marmurowych krużganków, jakiem były, a po części dziś jeszcze w swem zniszczeniu są Propylee. Król Ludwik I. spróbował odtworzyć je w Monachium, jak próbował odtwarzać tyle innych rzeczy; ale na prozaicznej bawarskiej płaszczyźnie, pod ołowianem niebem północy, Propylee monachijskie zimne i sztywne nie mówią nic i nie dają nawet dalekiego wyobrażenia o Akropolis, tak samo jak Glyptoteka i dwie Pinakoteki nie dają wyobrażenia o greckiej świątyni, a kościół św. Bonifacego lub dworska kaplica — o staro-chrześcijańskiej bazylice.

Trzeba istotnie być na Akropolu i widzieć w pogodny dzień wiosenny, lub w noc księżycową ten podwójny wieniec kolumn, ujmujący szczyt wzgórza w kształcie wielkiego T z podniesionemi w górę końcami, aby mieć pojęcie o niezrównanym uroku, jaki wywiera. Smukłe, lotne kolumny na tle przeźroczystego szafiru, wyglądają naprawdę jak widziadło. Rzekłbyś, że kawał Olimpu rzuciły w tem miejscu na ziemię nieśmiertelne bogi, tylko że jakiś tytan złośliwy i zazdrosny zniszczył i zdruzgotał swym młotem te cudne przybytki, ślad tylko zostawiając dawnej ich nadziemskiej piękności.

Cały Akropol jest jednem rumowiskiem płyt marmurowych i głazów, kawałków kolumn, gzymsów i fryzów. Wszystko to bieli się jak śnieg, białe złomy leżą na innych poczerniałych już i mchem obrosłych, pomiędzy niemi pną się chwasty i trawy,

ujmując śnieżne płyty zielonym pierścieniem, a woń macierzanki i innych górskich ziół tak jest silną i przenikliwą, że aż odurza. W trawie brzęczy rój much i chrząszczy polnych, w załomach kapiteli świergocze ptactwo, wiatr pochyla czasem gałąź bluszczu, wijącego się dokoła leżącej kolumny — zresztą cicho tu zupełnie i zupełnie samotnie. Stróże pozostają u dołu, jedni przy wejściu, inni w ukrytym na przeciwnym stoku góry muzeum. Na szczycie niema nikogo, prócz starych murów i kolumn, starych wspomnień i starych zapomnianych bogów.

Jak innym był widok otwierający się z Propyleów przed oczyma wędrowca w czasie, gdy cały środek góry okryty był przybytkami różnych bóstw, a przed każdym bielił się istny las marmurwych posągów i kunsztownie rzeźbionych ofiarnych trójnogów. Nie było jeszcze wówczas kolosalnego posągu Agryppy, który stanął przed Propyleami dopiero za czasów Augusta. Ale już wśród Propyleów stało mnóstwo przedziwnie pięknych posągów i płaskorzeźb, między niemi posąg Ateny Hygei, patronki zdrowia, Hermes propylejski, wyobrażenie Charytek, Perseusz Myrona walczący z Meduzą, młodzieniec przy ofiarnym trójnogu Lykiosa, lwica spiżowa, w której podanie ludowe widziało wyobrażenie tak samo nazwanej kochanki Arystogejtona Leäny, słynnej z tego, że na torturach nie wydała tajemnicy mordu Tyrana.

Zaraz za Propyleami zaczynał się Brauronion, święty teren Artemidy Brauronii, której przybytek otaczały szczególną czcią attyckie niewiasty, a posąg w środku celli był dziełem Praxytelesa. Wśród wotywnych darów dokoła świątyni odznaczał się Strongelion, naśladowany koń trojański, tu stał posąg Ateny, wytrącającej flet Marsyaszowi, oraz wyobrażenie walki Perseusza z Minotaurem. Obok leżał przybytek Ateny Ergane, patronki sztuki i przemysłu, po którym nie pozostało śladu, oraz miał wznosić się posąg poświęcony jakiemuś bóstwu przez Hermolikosa.

Z przeciwnej strony Propyleów rozpoznać jeszcze można miejsce, na którem wznosił się sławny spiżowy posąg Ateny-Promachos Fidyasza, przedstawiający boginię w pełnej zbroi z puklerzem i włócznią, której złocone ostrze mogli zdala doj-

rzeć żeglarze, przypływający od przylądka Sunion. Ponad teatrem Dionyzosa, na skraju świętej góry, wznosiły się kolosalne grupy posągów, ofiarowane bogom przez króla Attała pergamskiego na pamiątkę zwycięstwa nad Celtami. Podobnie jak posągu Agryppy nie było też zbudowanej w tym samym czasie, przez spodlony i płaszczący się demos ateński, z subsydyami cezarowemi świątyni bogini Romy i Augusta.

A teraz, minąwszy resztki Hekatompedonu, starodawnej świątyni Ateny, zniszczonej przez Persów, a następnie odbudowanej jako skarbiec bogini, królującej na Akropolu, staje się przed Erechteionem.

Jedyne to w swoim rodzaju dzieło greckiej sztuki, do żadnego innego nie podobne, fantastyczne, nierówne, złożone z trzech części na różnych poziomach leżących i z sobą złączonych — a przedewszystkiem pełne niezmiernego uroku. Z wschodniej części, prostylosu o sześciu jońskich kolumnach, wyłamał jedną i uwiózł lord Elgin, słynny rabuś ateńskich starożytności, który też i Nike Apteros pozbawił części fryzu. Wewnątrz celli znajdował się starożytny posąg Ateny Polias z oliwnego drzewa, przed którym palił się wieczny ogień w złotej lampie. Pomiędzy wschodnią, a zachodnią halą wznosił się właściwy Erechteion t. j. Erechtheusa, a za nim w wązkiem przejściu, łączącem południowe skrzydło z północnem, znajdowały się cudowna Poseidonowa studnia oraz ołtarze Hefaistosa i Poseidona.

Szerokiemi schodami, z których dziś jeszcze pozostały szczątki, schodziło się do północnej hali, również jak poprzednia o 6 kolumnach, z których 3 za króla Ottona odbudowano z pozostałych szczątków; zachowały się jeszcze wspaniałe wrota, prowadzące do głównego gmachu, a dopiero podczas wojny o niepodległość zniszczonym został i w kawałki się rozbił bogaty strop rzeźbiony w kasetony i zdobny niegdyś złotem malowaniem.

W skale, tworzącej podwalinę budynku widać jeszcze szeroką rozpadlinę, uważaną w starożytności jako ślad uderzenia trójzębem Poseidona w jego legendowej kłótni z Ateną, która tu zasadziła drzewo oliwne, (stąd posąg jej z oliwnego drzewa)

podczas gdy bóg morza pozostawił po sobie zdrój słonej wody w świętej studni.

Teraz dopiero wchodzimy do najsłynniejszej południowej części Erechteionu, do hali Kariatyd, tak zwanej z powodu sześciu wspaniałych niewieścich posągów podtrzymujących dach. Szlachetne, pełne młodzieńczego uroku i świeżości, a zarazem energii i siły postacie dziewczęce, podtrzymują ciężki architraw tak lekko i swobodnie, jak gdyby to był koszyk zieleni i kwiecia. Jedna z nich jest współczesną terakotową kopią pierwotnego posągu, ukradzionego oczywiście znowu przez lorda Elgina. Dokoła Erechteionu rozciągał się święty teren, świątyni pełen marmurowych posągów spiżowych złoconych trójnogów i basenów ofiarnych; tu znajdowały się też mieszkania kapłanek Ateny Polias zwanych Arreforami, a wśród tych mieszkań osobny placyk przeznaczony był dla ich gimnastycznych ćwiczeń i gry w piłkę.

Tuż obok Erechteionu stoi Partenon. Zachował się on tak dobrze, że na zewnątrz robi wrażenie całego gmachu, po którym przesunął się, nie niszcząc go, ząb czasu. Wszedłszy dopiero wewnątrz widać, że prócz zachowanego frontonu została tylko część otaczających murów i wieniec kolumn. Jak ci ludzie starożytni musieli budować! gmach ten cudny przechodził wszelkie możliwe koleje, przeznaczone wszystkie na to, aby go zeszpecić i zniszczyć: był kościołem, meczetem i fortecznym magazynem, był pod bizantyjskimi Grekami, pod rycerzami Zachodu i pod Turkiem, a ostatecznie trzeba było najbardziej cywilizowanych narodów Europy na to, aby najpiękniejsze dzieło starożytności oddać na pastwę zniszczenia. Jak przeważna większość świątyń Akropolu i ta była poświęcona kultowi opiekuńczej bogini miasta. Ale podczas, gdy w Erechteionie czczono najświętszy przybytek bogini na miejscu uświęconem jej obecnością i jej świętem drzewem, Partenon służył do świętych igrzysk i procesyj na cześć Minerwy, t. zw. Panateneów, które tu się zwykły były kończyć uroczystym pochodem mieszkańców całego miasta, korowodami i hymnami kapłanów przy ołtarzu Ateny. Już w piątym wieku po Chrystusie przebudowano świątynię na kościół poświę-

cony Boga-Rodzicy, przy czem zmieniono rozkład gmachu, dobudowano apsydę i nowe kolumny, a ołtarz stanął tam, gdzie niegdyś był pronaos. W średnich wiekach była tu katedra łacińska, znów odpowiednio przerobiona przez Franków. W XV. w. po zajęciu Grecyi przez Turków, urządzono tu meczet i dobudowano wysoki, zniesiony później minaret. W końcu XVII. w. oblegający turecką twierdzę na Akropolu Wenecyanie zwrócili swe działa na meczet zamieniony na prochownię, a niemiecki oficer rzucił ową słynną bombę, która rozdarła budynek na 2 części i zmiażdżyła do szczętu jego wnętrze, wraz ze znaczną częścią tureckiej załogi. Odtąd pozostał Partenon ruiną, w której gruzach z rozsypanych jej złomów zbudowali znów Turcy mały meczecik, a w sto lat później nieśmiertelny lord Elgin, kupiwszy od Porty pozwolenie na zabranie stąd kilku bloków marmuru, zaczął systematyczne i gruntowne gospodarstwo rabunkowe, przez dłuższy czas zajmując kilkuset robotników odłamywaniam i wywożeniem grup frontowych, rzeźbionych metop i cudnego fryzu. Zakupione znacznie później przez rząd angielski za wpływem Viscontiego i Canovy przecudne te rzeźby stanowią dziś główną ozdobę *British Museum*.

Obecnie rusztowania zasłaniają fronton gmachu i nic nie można dojrzeć z tego, co pozostało ze słynnego fryzu. Ale w przedziwnej piękności czarują jeszcze oko dwie rozbite połowy starej świątyni, a po olbrzymiej celli wyłożonej marmurem, wśród poszczerbionych kolumn i pustych podstaw i złomów błądzi wędrowiec w smętnem zamyśleniu, słuchając tajemniczych szmerów, jakiemi z tych ruin przemawia do niego nieśmiertelna piękność i wielki geniusz Hellady.

Za Partenonem ukryte w górskiej szczelinie obszerne muzeum mieści w kilkunastu salach niezmierne bogactwo wykopanych na Akropolu rzeźb. kawałków posągów i ornamentów ze wszystkich epok greckiej sztuki. Tyle tego, że aż zrozumieć trudno, gdzie to wszystko na tak małej przestrzeni mogło się pomieścić. A ile jeszcze starych posągów i pomników kryje się pod ziemią! bo wykopaliska prowadzone były dotąd tylko na paru punktach Akropolu.

W pobliżu, przy balustradzie okalającej górę, otwiera się przedziwny widok na Ateny i ich okolice. U stóp góry zielenieje park pałacowy i rysują się na jego tle kolumny Olimpeionu i łuku Hadryana. Za niemi, w dali wznoszą się stoki góry Himetu, a dalej szczyty Lykabetos i Pentelikonu. Bliżej żółtawe morze domów z wyróżniającemi się lśniącą białością swych marmurów gmachami akademii i uniwersytetów i z kopułami metropolii i Panagii Chrystospeliotissy. Na lewo w starej części miasta ogromne ruiny Stoy Hadryana i wykwintny gmach Tezeionu, dalej dolina Kefizu okryta oliwnemi gajami i górski grzbiet Parnasu, a jeszcze dalej na lewo, poza łańcuchem dafnijskich pagórków, Eleuzyjska półokrągła zatoka, za którą wznosiły się dawniej mury słynnej na cały Wschód ze swych tajemnic świątyni.

Na południe i zachód od Akropolu ciągną się szerokie, puste przestrzenie, na których niegdyś wznosiło się miasto. Na wyżynie Museionu stoi ciężki ale górujący nad całą okolicą pomnik Filopapposa, wnuka jednego z małoazyatyckich królów, detronizowanych przez Rzymian. Pomnik z II. wieku po Chr. jest oczywiście ciężki i bez artystycznej wartości, ale widok na dziką i pustą okolicę pełen melancholijnego uroku wynagradza mozolne pięcie się pod górę w gorące popołudnie. Droga idzie dalej pomiędzy Pnyxem a Areopagiem. I wzgórze Pnyxu i pochyła, skalista równina Areopagu są dziś istnem morzem kamieni i gruzów, poprzerastałych trawą, którą szczypią liczne stada kóz. Prócz kóz — motyle, chrabąszcze i polne jaszczurki wraz z rojem błyszczących muszek, to jedyni dziś mieszkańcy tych obszernych przestrzeni, na których cisnęły się dawniej ludne i gwarne dzielnice Aten, dokoła góry, poświęconej bogom. Archeologowie odnajdują pod pokładami ziemi i gruzu fundamenta domów, zarysy ulic i nawet rynny sprowadzające w dół wodę. Na szczycie Pnyxu znajdowało się miejsce zebrań publicznych Ateńczyków, a przy odłamie skały, zachowanym dotąd, ustawioną była, jak sądzą, mownica. Na Areopagu obradował karny trybunał starców, mający swe początki w mytycznych czasach. Tu sądzono Oresta o zabójstwo Klytemnestry, tu też oddawano

kult boginiom pomsty, Erynniom, przy sadzawce czarnej wody, posępnej jak dusza ściganego przez nie zbrodniarza. Tu wreszcie (jeżeli nie w jednym z publicznych gmachów w pobliżu, obok Tezeionu) mówił do mężów ateńskich o nieznanym Bogu św. Paweł.

Na lewo wzgórze Nimf, a na niem malowniczy gmach Obserwatoryum, na lewo niewielki ogródek, a przy nim najlepiej zachowana świątynia starych Aten — Tezeion.

Świątynia dorycka znacznie od Partenonu mniejsza, bardzo harmonijna w swych architektonicznych liniach, pozostała istotnie prawie zupełnie taką, jaką była w czasach, gdy tu oddawano kult Aresowi, jak twierdzą jedni, Tezeuszowi, jak dowodzą drudzy, Heraklesowi wedle zdania innych, a najpewniej Heraklesowi i Tezeuszowi razem. Metopy fryzu okalającego świątynię z dwóch stron przedstawiają dzieła pierwszego z herów, z dwóch innych — drugiego. Cella prawie zupełnie bez żadnej zmiany zachowana, tylko w czasach gdy tu urządzono kościół św. Jerzego *pronaos* i *episthodomos* oddzielono od niej ścianami, w miejscu przegradzających wnętrze kolumn. Gdyby jeszcze pozostały grupy posągów na szczycie tympanonu, zewnętrzna szata świątyni byłaby niemal nietkniętą, podobnie jak i wnętrze.

Obok Tezeionu rozciągał się rynek dawnych Aten, dokoła którego stały niegdyś liczne i wspaniałe publiczne gmachy, więc Bouleuterion czyli ratusz, Metroon — świątynia matki bogów, halla królewska, wielkie posągi Pindara, Demostenesa, oraz innych mówców i poetów, a wreszcie bliżej ku stokom Akropolis, Prytanerion. Dziś wszystko to okryte grubym pokładem ziemi, ile że płaszczyzna leżąca u stóp góry Akropolis i pagórka, na którym się wznosi Tezeion, musiała być zasypywana ziemią, staczającą się z ich stoków. Nie widać też ani podwalin, ani żadnych szczątków starożytnych budowli, które znikły nie pozostawiając śladu. Po części też rozbudowały się na tem miejscu liche przedmiejskie domostwa. Na północny-wschód od Tezeionu rozkopane przed 30 laty ruiny są resztkami Dipyionu, górnej bramy wjazdowej do starożytnego miasta. Na prawo stąd, przy

bazarze, ogromna starożytna budowa na więcej niż 120 m. długości, uderza oko: to Gymnasion Hadryana, w którym mieściły się dawniej bogate krużganki, biblioteka i kilka mniejszych świątyń. Obok siedem monolitowych kolumn o korynckich kapitelach i odrębna od nich swą ornamentacyą, oddzielnie stojąca ósma, są resztką wytwornego portyku wzniesionego również przez Hadryana i noszącego jego imię *(Stoa Hadriana)*. Niedaleko stąd inny ogromny portyk, wzniesiony przez pergamskiego króla Attalosa, tworzył rodzaj piętrowego bazaru, w którym liczni przekupnie sprzedawali swe towary. Olbrzymie fundamenty, podstawy kolumn i kawałki ścian zdumiewają rozmiarami i niespożytą siłą. Pojedyncze pokoiki, w których mieściły się kramy, pozostały całkiem nietknięte i pozwalają zdać sobie sprawę z planu i z budowy starożytnego gmachu, obok którego znajdują się resztki innej podobnej hali, z powodu paru odkopanych tu kolosalnych karyatyd, noszącej nazwę stoy olbrzymów.

W tej samej stronie znajduje się obszerna marmurowa Wieża wiatrów, a właściwiej Horologion Andronikosa, rodzaj wodnego zegara, zastępującego w nocy zegary słoneczne. Obok ozdobna brama rynku z czasów Juliusza Cezara czterema korynckiemi kolumnami zachowanemi w całości, przypomina nieco łuk Hadryanowy.

Cudnie całe to miasto ruin i wspomnień wygląda w nocy. Korzystając z uprzejmości ks. prałata Rivellego, którego wpływ w Atenach jest ogromny, uzyskałem z ministeryum pozwolenie odwiedzenia Akropolis w nocy i wybrałem się na tę wycieczkę późnym wieczorem w Wielkanocną niedzielę. Noc była księżycowa, bardzo jasna, ciepła i cicha. W srebrzystych falach miesięcznych tympanon Partenonu zdawał się promienić, a białe kolumny Propyleów nabierały tajemniczego wdzięku. Wśród odwiecznych złomów kładły się dziwne jakieś cienie, a u stóp góry w mgłach nocy kąpiące się miasto majaczyło zdala tysiącem iskier złotych. Siedząc na wystającej platformie Erechteionu, pytałem siebie rychłoli z pod obrosłej bluszczem arkady wysunie się cichy, biały korowód ustrojonych w róże arrefor,

a z pod rozbitej celli Partenonu rozlegnie się naraz starodawny hymn na cześć Ateny. Ale wszystko ciche i głuche, pustka i śmierć panują na Akropolu, snem nieprzespanym śpi od wieków opiekuńcza bogini Peryklesowego miasta i darmo próbuje wędrowiec przywołać siłą wyobraźni cudnie piękne, ale zamarłe na zawsze kształty dawnych stuleci.

(C. d. n.).

Jan Łada.

ROK NARODZENIA CHRYSTUSA PANA.

Sprawa ery Dyonizyańskiej znalazła dla siebie miejsce na treściwą wzmiankę, kiedy poprzednio podany opis chaldejskich zabytków astronomicznych kazał zwrócić uwagę na wskazówki, jakich klinowe pismo użycza dla chronologii.

Ale przypadkowa wzmianka o erze Dyonizyańskiej nie mogła wyczerpać sprawy: służyła tylko za tło, na którem wypadało przedstawić babilońską chronologię, aby zebrać światło dla ery Seleucydów.

Więc po skończonej rozprawie o chaldejskich tablicach astronomicznych wypada dokładniej uzasadnić myśli, potrącone pierwej w pośpiechu, i teraz oprzeć na właściwej podstawie sprawę ery Dyonizyańskiej.

Era ta w samym układzie swoim zawiera błąd zasadniczy, jeżeli zaczyna liczyć lata w ósmym roku przed wypadkiem, obranym za epokę. Aby tę ośmioletnią pomyłkę niewątpliwie spostrzedz, trzeba przedewszystkiem zbadać, czy istotnie Dyonizy za epokę swojej ery obrał tę niedzielę 25-go marca, która nie w 1900 lat wypadała przed ubiegłym rokiem 1900, tylko o 1892 lat wyprzedziła rok ubiegły? Może Dyonizy za epokę obrał czwartek 25-go marca, który w samej rzeczy wypadał w roku 0, więc w 1900 lat przed rokiem 1900-ym, ale błędny jakiś rękopis podał niedzielę zamiast czwartku i stąd powstał ośmioletni odstęp czasu między epoką ery a jej początkiem arytmetycznym?

Sam Dyonizy ułatwia odpowiedź na to pytanie, bo wyraźnie podaje źródło, z którego czerpał opis swojej epoki, stąd możemy sprawdzić, czy w owem źródle znajdziemy epokę tak opisaną, jak czytamy u Dyonizego, więc o 8 lat bliższą do nas, niż wymaga era, czy też znajdziemy w źródle czwartek zamiast niedzieli, więc epokę w roku właściwym.

Dyonizy został twórcą nowej ery przez pracę o dniu Wielkanocnym, w której nieraz powtarza, że stawia każdy krok w ślady swoich przodków po Wierze. Głównie opiera swoje wywody na powadze Ojców Soboru Nicejskiego i kościelnych pisarzy aleksandryjskich, więc z naciskiem i dobitnie podaje ich jako źródło swoje i oświadcza [1], że idzie we wszystkiem za Ojcami nicejskimi, u których stanowczo prawdę widzi, a za pyszałka albo nieuka uważa każdego z tych, co inaczej mniemają, zatem błądzą znacznie, pozbawieni podwaliny niezłomnej. Ale aleksandryjskiego Kościoła arcybiskupi: Atanazy, Teofil i Cyryl w niczem nie odstępują od wielebnych ustaw i nikomu z nas dbałych o wiarę chrześcijańską, w żaden sposób nie wolno odstąpić od

---

[1] Migne, *Patr. Lat.* LXVII, str. 485: „Sequentes per omnia venerabilium 318 pontificum, qui apud Nicaeam, civitatem Bithyniae, contra vesaniam Arii convenerant, etiam rei huius absolutam veramque sententiam... quam postmodum nonnulli vel arrogantia despicientes vel transgredientes inscitia, iudaicis inducti fabulis, diversam atque contrariam formam festivitatis unicae tradiderunt. Et quia sine fundamenti soliditate non potest structura ulla consistere etc., cursum praeferunt errore notabilem.

„Sed alexandrinae urbis archiepiscopi B. Athanasius... V. Theophilus et Cyrillus ab hac synodi veneranda constitutione minime discesserunt etc. Nobis, quibus amor et cura est christianae religionis, a tantorum pontificum constitutione nulla prorsus oportet ratione discedere...

„Quanta vero in ecclesiis toto terrarum orbe diffusis horum Patrum nitamur auctoritate, non labor est ostendere.

„Sufficienter, ut putamus, cunctis indicitur, ne deinceps aliter, quam a sanctis constitutum est Patribus sacratissimum Pascha celebretur. Quod si testimonia tantorum sacerdotum forsitan quis obstinata mente despexerit, etc. Nec non et argumenta aegyptiorum sagacitate quaesita subdidimus, quibus, si forsitan ignorentur, paschales tituli possint facile reperiri, id est, quotus sit annus ab Incarnatione Domini etc.“

Str. 514: „... Sanctorum 318 antistitum, qui apud Nicaeam convenerant, auctoritatem totis nisibus insinuare curaveram etc... quae sanctis Patribus evidenti ratione consentiunt, haec praesenti indidimus operi“.

tak wielkich biskupów. Po tych słowach Dyonizy potwierdza różnemi świadectwami powagę starożytnych Ojców Kościoła, przestrzega przed uporem przy poglądzie przeciwnym nauce Ojców, oświadcza sam, że za rzeczoznawcami aleksandryjskimi idzie w każdym szczególe, więc w liczbie lat od Wcielenia Pańskiego i tym podobnych. I znowu zapewnia, że z wszelkim wysiłkiem nalega na powagę Ojców i to umieścił w swojej pracy, co oczywiście wyraża myśl Ojców.

Temi słowami Dyonizy zwraca czytelnika ku dziełom pisarzy kościelnych, szczególniej aleksandryjskich, aby odkryć pierwotną myśl każdego wywodu, któryby w jego dziele „O dniu Wielkanocy“ wyglądał mniej wyraźnie. Jeżeli tedy można wątpić, czy istotnie Dyonizy obrał dla swojej ery tę epokę, którą u niego znajdujemy, czy rzeczywiście na myśli miał niedzielę a nie czwartek 25-go marca i czy tę niedzielę określił bliżej nowiem 10-go marca w sobotę roku 34-go po epoce, w takim razie można o te szczegóły zapytać się poprzednich pisarzy kościelnych. Odpowiedź ich nie może brzmieć tylu głosami, ile ich słyszymy, kiedy idzie o zasadnicze prawdy Wiary i Obyczajów chrześcijańskich: co do tych prawd można oczywiście zebrać więcej świadectw u Ojców, niż co do szczegółów, o których Kościół nie ma ścisłego obowiązku usilnie pouczać narody. Przecie rok Narodzenia Chrystusa Pana i dzień Jego śmierci zbyt pamiętnie utkwił w sercach chrześcijańskich, aby nie znaleźć w piśmiennictwie kościelnem pokaźnej liczby świadectw na dowód, że Dyonizy powtórzył tylko głos dawno znany w chrześcijaństwie, kiedy tak określał rok Narodzenia Chrystusa, jak dziś czytamy w jego dziełach.

Aby przytoczyć tu w jaśniejszym porządku owe świadectwa, można najpierw mówić o samym roku Narodzenia Chrystusa Pana i razem zebrać wskazówki co do tego roku, podane przez Ewangelistów i Ojców, a nadto dostarczone przypadkiem i ubocznie przez dziejopisów pogańskich; następnie można zestawić opisy dnia śmierci Chrystusowej, rozrzucone w Ewangelii i Ojcach, a stąd osądzić, czy te rozmaite zwroty i opisy nasuwają jaką inną myśl, niż tę, którą czytamy u Dyonizego przy jego opisie

epoki chrześcijańskiej. A jeżeli Dyonizy za Ojcami Kościoła powtórzył swój opis epoki, wypada roztrząsnąć sprawę, dla czego Dyonizy sam ze sobą sprzecznie postąpił, mianowicie o 8 lat wyprzedził własną epokę rokiem 0 swojej ery, czyli jej arytmetycznym początkiem.

Ewangelista Łukasz zostawił najwięcej wskazówek chronologicznych, mianowicie opisuje, że:

Łuk. II. 1.: „...w one dni wyszedł dekret od Césarza Augusta, aby popisano wszytek świat. Ten popis piérwszy stał się od starosty Siriyskiego Cyryna... Szedł też y Iozeph... do... Bethlehem... aby był popisan z Maryą... Y stało się, gdy tam byli... porodziła syna".

Tu dodaje Mateusz (II. 1):

„Gdy się tedy narodził Jezus we dni Heroda króla, Mędrcy ze Wschodu przybyli, abowiem widzieli gwiazdę. Tedy Heród pilnie się wywiadywał od nich czasu gwiazdy; a Iozeph dostał przestrogę: uciecz do Egyptu, Heród szukać będzie dziecięcia. Y uszedł do Egyptu. Heród rozgniéwał się barzo y pobił wszystkie dzieci w Bethlehem ode dwu lat y niżey, według czasu, którego się był wypytywał od mędrców. A gdy umarł, Iozeph przyszedł do ziemi Izraelskiey".

Dalej opowiada Łukasz (III. 1):

„A piętnastego roku panowania Tyberiusza Césarza, gdy Pontius Piłat rządźił żydowską źiemią a Heród (Antipas, syn Heroda króla), Tetrarchą Galileyskim, a Philip brat iego Tetrarchą Itureyskim... Iezus poczynał bydź jakoby we trzydziestu lat", kiedy przyjął chrzest od Jana. Znowu ewangelista Jan dodaje, po wzmiance o chrzcie Jezusowym, że (II. 13): „była blizko P a s c h a żydowska, y wstąpił Iezus do Ieruzalem y znalazł w kościele przedawające"; tu spotykamy pierwszy raz wymienioną Paschę wkrótce po chrzcie Jezusowym, kiedy Jezus liczył około trzydziestu lat wieku. Następnie tenże ewangelista opisuje dalsze wypadki i (IV. 35) dochodzi do opisu rozmowy Jezusowej z Samarytanką przy studni, przyczem czytamy: „jeszcze są cztery miesiące a żniwo przyjdzie": widzimy tedy koniec zimy i blizką P a s c h ę drugą. Jakoż w następnym roz-

dziale czytamy (V. 1): „Potym był dzień święty żydowski y wstąpił Iezus do Ieruzalem“. Liczył tedy około trzydziestu jeden lat wieku. Dalej Jan pisze (VI. 4), że „była blizko Pascha, dzień święty żydowski“ już trzeci kiedy Jezus nakarmił rzesze pięciorgiem chleba i liczył około trzydziestu dwu lat wieku. Nakoniec opisuje Jan wieczerzę, którą Jezus z uczniami (XIII. 1) spożył „przededniem świętym Paschy“ czwartej i ostatniej, kiedy liczył około trzydziestu trzech lat wieku.

Na tych wskazówkach oparci Ojcowie rozumowali w sposób bardzo prosty, a u Idelera (2.385..) streszczony wiernie.

Św. Ireneusz[1] mówi, że „Chrystus Pan przyszedł na świat około roku 41-go rządów Augusta, zaczętych w roku 711-ym od założenia Rzymu podczas tryumwiratu“.

Hesychios[2] „w roku 42-im cesarza Augusta w miesiącu grudniu dnia 25-go... urodził się Pan... i potem przybywał z ludźmi lat 33“.

Tertulian[3] zgodnie wyraża czas, bo liczy Augustowi całych 56 lat rządu, nie wspominając o zaczętym 57-ym; z tych lat 41 całych upłynęło przed Chrystusem Panem, potem 15.

Św. Klemens Aleks. wyraża inaczej myśl tę samą[4], bo liczy Augustowi lata rządu tylko w Egipcie i mówi: „urodził się Pan nasz w roku 28-ym, kiedy August nakazał pierwszy popis... więc pozostałych lat 15 Augusta z 15-ym Tyberiusza dają rok 30-y przy chrzcie Pańskim“. Bitwa pod Actium, w roku 724-ym od zał. Rzymu a 14-ym roku rządów Augusta na Zachodzie rozpoczyna rok 1-y jego władzy nad Egiptem: w 27 lat później upływało 28 lat Augusta w Egipcie a 41 w Rzymie i następował jego rządów rok 42-i, 752-gi od zał. Rzymu, na który wskazywali poprzedni pisarze, jako na rok Narodzenia Chrystusa Pana.

Wyraźnie świadczy z nimi Eusebios[5]: „Był to więc 42-gi rok królestwa Augusta, a władzy nad Egiptem... 28-y... za pierwszego popisu pod rządcą Kyrenosem“. Za nim to samo powtarza św. Hieronim w przekładzie jego roczników i dodaje dokładnie,

[1] Migne, *P. G.* XLI, Adv. Haeres. III, c. 25.
[2] Migne, *P. G.* XLIII, 1057. [3] Migne, *P. L.* II, 614.
[4] Migne, *P. G.* VIII, 885. [5] Migne, *P. G.* XX, 81.

że August umarł po 56-iu latach i 6-iu miesiącach rządów, 19-go sierpnia roku od zał. Rzymu 767-go.

Także św. Epifanios [1] wymienia i rok 42-gi Augusta, i 752-i od zał. Rzymu, i ówczesnych konsulów: Augusta po raz XIII. i Sylwana.

Pierwszy rocznikarz chrześcijański Juliusz Afrykanos [2] również liczy lat 60 od upadku królestwa Macedońskiego w Egipcie do roku 16-go Tyberyusza, kiedy Chrystus liczył lat 31 wieku, zatem w 31 lat pierwej Chrystus przyszedł na świat około roku 29-go od bitwy pod Akcyum.

Następni rocznikarze nic nie zmieniają w tych liczbach; tak Oroziusz [3] podaje rok 752-gi od zał. Rzymu, kiedy August wobec powszechnego pokoju zamknął świątynię Janusa i nakazał popis ludności.

Kasiodor [4] liczy Augustowi lat całych 41 w roku Narodzenia Chrystusa, a w 15 lat później liczy Augustowi lat rządu 56 w roku 767-ym od zał. Rzymu.

Po nim Beda powtarza to samo [5]. Greccy rocznikarze stale powtarzają te same liczby.

Tak zwane Πασχάλιον [6] stawia rok Narodzenia Pańskiego na rok 28-y Augusta w Egipcie, następnie liczy Chrystusowi lat 30 żywota ukrytego, a nakoniec 4 Paschy żydowskie, wymienione według św. Jana i św. Ireneusza [7].

Prócz tych pisarzy ks. Riess [8] przytacza jeszcze zupełnie jednakowe świadectwa Jerzego Synkellosa i Jana Mallali, aby wnosić, że na chronologii ewangelicznej świętego Łukasza oparty Kościół od najdawniejszych czasów przechowywał pierwotne świadectwo, podane w martyrologium rzymskiem: Podczas Olimpiady 194-ej, w roku od założenia Rzymu 752-im, w roku rządów Augusta 42-im, kiedy cały świat

[1] Migne, *P. G.* XLI, 427. [2] Migne, *P. G.* X, 81.
[3] *Hist. Rom.* VI, 22. [4] Migne, *P. L.* LX, 19, 1215.
[5] Migne, *P. L.* XC, 545.
[6] Migne, *P. G.* XCII. 512.
[7] *Adv. Haer.* II, 22, n. 3.
[8] *Geburtsjahr Christi.* Freiburg 1880. Str. 109.

ułożony był w pokoju, Jezus Chrystus w Betleem narodził się 25-go dnia grudnia.

Beda najwyraźniej podaje rok Narodzenia Chrystusa Pana zgodnie z martyrologium rzymskiem[1], mianowicie powtarza, że Chrystus przyszedł na świat „w roku cesarza Augusta 42-im, w 3-im roku Olimpiady 194-ej, w roku 752-im“; przytem jednak Beda postawił zasadę, na której oparci nowsi dziejopisowie uważają dopiero rok 754-y od założenia Rzymu za 1-y po Narodzeniu Chrystusa Pana.

Mianowicie ze względu na rok Narodzenia Chrystusa, 752-gi od założenia Rzymu, można trojako używać liczby porządkowej czyli nazwy roku pierwszego doby chrześcijańskiej: Pizańczycy i niektórzy pisarze wschodni, a nawet w jednym ustępie sam Beda[2], mianują rokiem pierwszym od Chrystusa Pana rok ten sam, przy którego końcu Chrystus Pan przyszedł na świat i zaczął swój rok pierwszy, więc rok 752-gi od zał. Rz.; Dyonizy Szczupły zgodnie z Aleksandryjczykami mianuje rokiem pierwszym od Chrystusa rok 753-ci od zał. Rz., w ciągu którego Chrystus Pan aż do 25-go grudnia liczył zaczęty pierwszy rok wieku, i przy końcu roku 753-go skończył 25-go grudnia swój rok pierwszy; nakoniec Beda[3] wprowadził zasadę, że liczba lat po Chrystusie wymienia rok skończony wieku Chrystusowego *(ab Incarnatione Domini completus est annus)*, a dopiero rok 754-y od zał. Rz. zastał Chrystusa Pana w skończonym pierwszym roku wieku, i może według powyższej zasady nosić porządkową liczbę roku pierwszego po Narodzeniu Chrystusa Pana. Poprzedni rok 753-ci od zał. Rz. nie upływał jeszcze razem ze skończonym rokiem pierwszym, jeszcze zastał Chrystusa w liczbie lat 0 i kilku tygodniach wieku: więc nie może nosić miana ani roku 1-go po Chr. P., ani roku ostatniego przed Chr. P. tylko jakoby rok przy Chrystusie P. utrzymał u Bedy nazwę roku 0 doby chrześcijańskiej. A rok 752-gi od zał. Rz. prawie cały upłynął przed Narodzeniem Chr. P., więc

[1] Migne, *P. L.* cx, 545.
[2] Tamże, str. 493.
[3] Tamże, str. 493.

u Bedy dostał porządkową liczbę roku pierwszego przed Chrystusem Panem, czyli roku ‚1-go [1].

Beda tedy wprowadził do chronologii nowe pojęcie, mianowicie rok przy Chrystusie Panu albo rok 0, między latami przed-Chrystusowemi i po-Chrystusowemi; nadto Beda wprowadził nową zasadę, że lata ery chrześcijańskiej wyrażają liczbę skończonych lat po Narodzeniu Chrystusa Pana.

Pierwsza myśl Bedy o roku 0 między latami przed Chrystusem i po Chrystusie ma swoją dobrą stronę, bo wprowadza do chronologii szereg liczb dodatnich i ujemnych, przedzielonych znakiem 0, więc pozwala dodawać lata przedchrześcijańskie do lat po-Chrystusowych według tych samych prawideł, których arytmetyka używa ściągając sumy z liczb dodatnich i ujemnych. Może też z tego powodu astronomia przyjęła ten sam sposób, co Beda, i wyraża znakiem 0 rok przy Chrystusie czyli 753-ci od zał. Rz.

Ale zasada Bedy, że era chrześcijańska podaje lata skończone wieku Chrystusowego, ma za sobą złą stronę, bo nie odpowiada zwrotom mowy pospolitej. Mianowicie ogół rozumie w liczbach porządkowych ery lata zaczęte od epoki, a nie lata po niej skończone, więc zgodniej z ogółem Dyonizy i Aleksandryjczycy mianują rok 753-ci od zał. Rz. 1-ym po Narodzeniu Chrystusa. Stąd też mało który z nowożytnych chronologów odgadłby, że o cały rok przed rokiem 1-ym ery chrześcijańskiej znajdziemy u Bedy Narodzenie Chrystusa Pana, to znaczy jeszcze nie w roku 0 czyli 753-im od zał. Rz., ale dopiero w ‚1-ym czyli 752-im od zał. Rz. Stąd też jedni i to najliczniejsi rozumieją, że Chrystus Pan przyszedł na świat w r. 753-im, a niektórzy, jak Iwan Mueller, widzą tę epokę ery chrześcijańskiej w roku 754-m od zał. Rz.

Na domiar złego, ogół dziejopisów nowszych nie zważa bardzo na arytmetyczne względy, które wymagają roku 0 między

[1] Przecinek przed liczbą porządkową lat doby przedchrześcijańskiej służy zamiast słów: przed Narodzeniem Chrystusa Pana; więc lata ‚1-y, ‚2-gi i t. d. oznaczają rok pierwszy, drugi i t. d., przed Narodzeniem Chrystusa Pana.

latami przed-Chrystusowemi i po-Chrystusowemi, zatem zatrzymują nazwę roku 1-go od Chr. P. przy roku 754-ym od zał. Rz., a poprzedniemu rokowi czyli 753 mu dają już liczbę roku ‚1-go, stąd wynikło, że jeden i ten sam rok 752-gi dostaje czworaką liczbę porządkową, mianowicie:

u Pizańczyków	wypada	to	rok	1-y od Chr. P.
u Aleksandryjczyków i Dyonizego	„	„	„	0,
u Bedy i astronomów	„	„	„	‚1-y
u dziejopisów	„	„	„	‚2-gi

najgorzej tedy zacierają myśl prawdziwą dziejopisowie, kiedy liczą rok 752-gi Rzymu, w którym Chrystus Pan przyszedł na świat, za rok drugi przed Narodzeniem Chrystusa.

Nie na tem jeszcze koniec gmatwaniny.

Era Dyonizyańska liczy co roku o jednostkę mniej lat od Chr. P., niż pizańska, więc w ubiegłym roku, Dyonizyańskim 1900-ym, u Pizańczyków wypada rok 1901-y; ale co do lat Rzymu niema różnicy w tych erach, bo u Dyonizego na rok 1-y wypada rok 753-ci Rzymu, więc na ubiegły rok Dyonizego $1 + 1899 = 1900$-y od Chr. P. wypada rok $753 + 1899 = 2652$-i Rzymu, a Pizańczyków na rok 1-y wypada rok 752-i, więc na ubiegły rok pizański $1 + 1900 = 1901$-y od Chr. P. wypada rok $752 + 1900 = 2652$-i Rzymu.

Beda przeciwnie liczy co roku tyleż lat od Chr. P., ile podała era Dyonizyańska, ale co do lat Rzymu Beda wyprzedza Dyonizego i Pizańczyków o rok: więc i według Bedy i według Dyonizego liczymy ubiegły rok 1901-y od Chr. P., ale u Dyonizego i Pizańczyków obecnie wypada rok 2653-i Rzymu, a według Bedy rok 1-y po Chr. P. wyrażał rok 754-y Rzymu, więc na ubiegły rok $1 + 1899 = 1900$-y od Chr. Pana wypada rok $754 + 1899 = 2653$-ci Rzymu. Co do lat przed-Chrystusowych Beda idzie zgodnie z Pizańczykami aż do swojego roku 0, po którym dopiero zaczyna iść równo z Dyonizym. Dziejopisowie liczą lata Rzymu zgodnie z Bedą, lata przedchrześcijańskie z Dyonizym, a lata po-Chrystusowe jednakowo z Bedą i Dyonizym.

Tyle tedy drobnych różnic chronologicznych wynikło wskutek rozmaitych odpowiedzi na pytania, który rok nazwać pierw-

szym po Chrystusie Panu? czy sam rok Jego Narodzenia? czy rok następny, kiedy upływał Jego rok pierwszy wieku? czy dopiero ten, kiedy Chrystus liczył skończony rok cały?

Ale większa jeszcze różnica powstała między erą Dyonizyańską a Aleksandryjską z powodu innego pytania: mianowicie szło o to, ile lat do obecnego roku Dyonizyańskiego 1901-go upłynęło od roku 753-go Rzymu, a 1-go po Chr. P.? Aleksandryjczycy inaczej odpowiadają na to pytanie, niż Dyonizy, choć jednakowo z nim poczytują rok 753-ci Rzymu, a 1-y po Chr. P. Z tego wspólnego początku drogi wychodzą obie ery: Dyonizyańska i Aleksandryjska, i dość równym krokiem od tego roku 43-go rządów Augusta w Rzymie idą przy sobie aż do końca rządów Nerwy, któremu obie ery przypisują śmierć w roku 98-ym po Nar. Chr. P. W rządach następnych cesarzy nastaje różnica między erami, którą przedstawić można w następnej tabliczce[1]:

	W erze Dyonizyańskiej	W erze Aleksandryjskiej
Trajan. . . .	98—117	98—116
Hadrian . . .	117—138	117—137
Antonin . . .	138—161	138—157
Marek. . . .	161—180	158—173
Komod . .	180—193	174—185

Słowem era Dyonizyańska daje 96 lat pięciu następcom Nerwy, 98—193, a era Aleksandryjska liczy im lat 88, do roku 185-go, ta różnica ośmioletnia ulega jeszcze gdzieniegdzie zmianom aż do początku rządów Dyoklecyana, a mianowicie do sierpnia roku 284-go Dyonizyańskiego a 276-go Aleksandryjskiego; odtąd różnica ta trwa niezmiennie aż do naszych czasów.

Więc Dyonizy z Aleksandryjczykami zgodnie stawia swoją epokę czyli rok 0 w roku 752-im Rzymu, ale od owej epoki do roku 1901-go Dyonizy liczy lat 1901 a Aleksandryjczycy liczą tylko 1893 lat; czyli przybliżają do nas epokę i rok 752-i Rzymu o ośm lat: według Dyonizego mielibyśmy obecnie rok 2653-i Rzymu, a według Aleksandryjczyków dopiero 2645-y. Zatem

---

[1] Por. Hergenroeter, *Kirch. Gesch.* III, 1057 i św. Maksym. Migne *P. G.* XIX, 1275.

kiedy liczymy od naszego roku wstecz, znajdujemy rok 0 w erze Dyonizyańskiej o ośm lat wcześniejszy od roku 0 w erze Aleksandryjskiej.

Treść wszystkich powyższych wywodów można rzutem oka obejrzeć w następnej tablicy:

Aleksandryjczycy	Dyonizy	Pizańczycy	Beda i Keppler	Dziejopisowie
Rok ,15=738 Rz	,7=746 Rz	,6=746 Rz	,6=747 Rz	,7=747 Rz
„ ,14=739 „	,6=747 „	,5=747 „	,5=748 „	,6=748 „
„ ,13=740 „	,5=748 „	,4=748 „	,4=749 „	,5=749 „
„ ,12=741 „	,4=749 „	,3=749 „	,3=750 „	,4=750 „
„ ,11=742 „	,3=750 „	,2=750 „	,2=751 „	,3=751 „
„ ,10=743 „	,2=751 „	,1=751 „	,1=752 „	,2=752 „
„ ,9=744 „	,1=752 „	1=752 „	0=753 „	,1=753 „
„ ,8=745 „	1=753 „	2=753 „	1=754 „	1=754 „
„ ,7=746 „	2=754 „	3=754 „	2=755 „	2=755 „
„ ,6=747 „	3=755 „	4=755 „	3=756 „	3=756 „
„ ,5=748 „	4=756 „	5=756 „	4=757 „	4=757 „
„ ,4=749 „	5=757 „	6=757 „	5=758 „	5=758 „
„ ,3=750 „	6=758 „	7=758 „	6=759 „	6=759 „
„ ,2=751 „	7=759 „	8=759 „	7=760 „	7=760 „
„ ,1=752 „	8=760 „	9=760 „	8=761 „	8=761 „
„ 1=753 „	9=761 „	10=761 „	9=762 „	9=762 „
„ 2=754 „	10=762 „	11=762 „	10=763 „	10=763 „
„ 3=755 „	11=763 „	12=763 „	11=764 „	11=764 „
„ 4=756 „	12=764 „	13=764 „	12=765 „	12=765 „
„ 5=757 „	13=765 „	14=765 „	13=766 „	13=766 „
„ 6=758 „	14=766 „	15=766 „	14=767 „	14=767 „
. . . . .	. . . . .	. . . . .	. . . . .	. . . . .
1893=2645 „	1901=2653 „	1902=2653 „	1901=2654 „	1901=2654 „

Tablica powyższa służy, żeby zdać jakoby arytmetycznie sprawę z liczb porządkowych, któremi każda z pięciu er oznacza rok jeden i ten sam. Liczby te nie przedstawiałyby nic odrębnego w żadnej erze, gdyby te wszystkie powstały około czasów Chrystusowych: ponieważ wszystkie wychodzą z zasady wspólnej, że Chrystus przyszedł na świat w roku 752-im Rzymu, zatem wszystkie podawałyby tę samą liczbę lat od Chrystusa Pana i od założenia Rzymu. Ale te ery powstały w różnych czasach, ani ich twórcy nie wiedzieli często jedni o drugich: zatem każdy na swój sposób obliczał lata i wyprowadzał wnioski ze wspólnej zasady: więc ostatecznie każda era w naszych czasach podaje

inne liczby porządkowe, i tablica podaje te liczby jakby odprowadzone od obecnego czasu w tył aż do początku ich arytmetycznego, aby czytelnik mógł śledzić, która era stawia swój początek arytmetyczny na miejscu właściwem, skoro oczywiście wszystkie razem nie mogą podawać liczb historycznych.

Ale liczby lat wypisane w tablicy według Bedy i Kepplera, chociażby nie podawały prawdy dziejowej, przecie znaczą coś więcej, niż sam tylko arytmetyczny porządek lat tej ery, bo astronomowie, w braku chronologii pewniejszej, używają tego porządku lat, aby dokładnie podać, kiedy wypadło które zaćmienie słońca albo księżyca, więc lata ery Dyonizyańskiej ustawione według Kepplera z latami Rzymu służą za drogowskaz, ku któremu można zawracać z bezdroża różne daty chronologiczne w tych razach, kiedy źródło dziejowe przy opisie wypadku wspomina o współczesnem zaćmieniu.

Otóż św. Łukasz w słowach przytoczonych powyżej [1], podał szczegół, przez następnych pisarzy zgodnie powtarzany, że Chrystus Pan przyszedł na świat w Betleem w czasie popisu, który na rozkaz Augusta „pierwszy stał się od starosty Siriyskiego Cyryna“. Wzmianka o Cyrynie służy za wskazówkę, aby w szeregu astronomicznym lat, określonych zaćmieniami, wynaleźć rok, w którym popis ów „pierwszy stał się“. Zatem Ideler (II, 394) wyszukał, że Cyryn objął swój urząd w 9 lat po zaćmieniu księżyca, widzialnem w Jerozolimie we wtorek 13-go marca juliańskiego w roku ,3-im według ery przyjętej a 750-ym od zał. Rz., a oczywiście w dziewięć lat po tem zaćmieniu era przyjęta liczy już rok 759-y od zał. Rz. a 6-y po Chrystusie Panu: więc wobec wyniku, do którego doszedł Ideler, era przyjęta stawia liczby lat zupełnie sprzeczne z własnemi zasadami i ze świadectwem ewangelii: ledwo Cyryn zjechał do Syryi, oczywiście przed popisem, era liczy już 6-y rok po Chrystusie Panu a dopiero w czasie popisu era znajduje swoją epokę czyli Narodzenie Chrystusa, więc stawia swój rok 0 dopiero po roku swoim, 6-ym; nadto ewangelia liczy około 30-u lat wieku Chry-

[1] Str. 203.

stusowi w 15-ym roku Tyberyusza czyli 782-ym Rzymu, więc ewangelia wskazuje na Narodzenie Chrystusowe w czasie popisu około roku 752-go Rzymu, a era liczy przed popisem i przed Narodzeniem Chrystusa już rok 759-y Rzymowi.

Zgodnie z ewangelią także pogańskie źródła dziejowe stanowczo przemawiają za liczbą roku 752-go od zał. Rz. podczas popisu Cyryna, a nie dopiero roku 759-go przed popisem. Źródeł tych dostarczają świadectwa Tacyta [1] i Zonarasa [2], wraz z wywodami Norisiusa [3] i Tillemonta [4]. Mianowicie Tacyt wspomina naprzód o konsulacie Cyryna. Znajdujemy też [5] w rocznikach, zwanych *Fasti cuspinianei* konsulów Messalę i Cyryna w roku 743-im Rzymu. Także [6] w rocznikach, zwanych *Fasti idatiani*, czytamy na rok 742-i Rzymu Messalę i Cyryna, którzy ustąpili przed końcem roku, zastąpieni przez Rebellia i Saturnina. Także Clintown, zawodowy badacz f a s t ó w, podaje [7] Messalę i Cyryna przy roku 1-ym Olimpiady 192-ej, w dziesięć lat przed konsulatem Augusta XIII-y raz i Sylwana w roku 3-im Olimpiady 194-ej, zgodnie ze świadectwem Epifaniosa, przytoczonem powyżej [8]; byłby to zatem rok 742-i Rzymu.

Dalej pisze Tacyt, że wkrótce po tym konsulacie, więc niebawem po roku 742-im, Cyryn zdobywszy zameczki Homadieńskie w tryumfie wracał do Rzymu a następnie dostał urząd zawiadowcy czy rządcy, *rectoris*, przy boku Kajusza Cezara, który otrzymał Armenię i dowództwo w wyprawie przeciw Partom. Na tem stanowisku Cyryn ściągnął na siebie zarzuty ze strony przyjaciół Kajusza za to, iż w odwiedziny jeździł do Tyberyusza na Rhodos, aby złożyć poddańczy pokłon przyszłemu cesarzowi. Nie znajdujemy dokładnie podanego czasu tych odwiedzin, ale pewnie wiedzieć można, że Cyryn jeździł do Tyberyusza około

---

[1] *Ann.* III, 48: „Sulpicius Quirinius... consulatum sub divo Augusto, mox expugnatis per Ciliciam Homadiensium castellis insignia triumphi adeptus, datusque rector C. Caesari Armeniam obtinenti, Tiberium quoque Rhodi agentem coluerat".

[2] *Ann.* 713 a. U. c. sqq. p. 370 sqq. Corp. Scr. Byz. in rec. Pinderi.

[3] Opp. ed. Ballerini III, 296. [4] *Hist. des emp.* I, 32, sqq.

[5] Migne, *P. G.* XCII, 1077. [6] Tamże, 1086.

[7] Tamże, 1143. [8] Str. 205.

roku 750-go, a przynajmniej na kilka lat przed rokiem 759-ym. Mianowicie Tyberyusz odniósł tryumf z wyprawy germańskiej w roku 747-ym Rzymu, z woli Augusta miał następnie objąć dowództwo w wyprawie przeciw Partom; jednak Tyberyusz wolał ustąpić na Rhodos i skutkiem tego August wyprawę zlecił Kajuszowi. Wyprawa trwała krótko, bo Partowie przed pierwszą bitwą zażądali pokoju. Zatem już w parę lat po roku 747-ym Cyryn odwiedził Tyberyusza, który na Rhodosie pozostał przez lat siedem, aż do upadku Kajusza. Po powrocie z Rhodosu Tyberyusz zjeżdżał do Rzymu w roku 760-m, a w 762-im ruszył przeciw Germanom po klęsce Warona. Więc ponieważ Cyryn odwiedzał Tyberyusza z początku jego pobytu siedmioletniego na Rhodosie, tedy te odwiedziny miały miejsce znacznie bliżej roku 747-go niż 760-go, więc około roku 750-go a przynajmniej w kilka lat przed rokiem 759-ym. Otóż w ciągu tych wypadków Cyryn zarządzał Wschodem przy boku Kajusza: więc dzieje Cyryna stanowczo przemawiają za rokiem 752-im podczas jego popisu, a wykluczają podobieństwo, aby rok 759-y upływał już przed popisem.

Co dotyczy samego popisu, „który stał się od starosty syryjskiego Cyryna“, trzeba tu zwrócić uwagę, że niektórzy chronolodzy chyba przeoczyli powyższą wzmiankę w Tacycie i Zonarasie o urzędzie Cyryna przy boku Kajusza Cezara na Wschodzie, stąd nie odgadli, co za władzę przypisał ewangelista Cyrynowi, którego mianuje starostą, więc zrozumieli, że około roku 752-go według ewangelii Cyryn piastował zwykły urząd namiestnika rzymskiego, na jakim później widzimy Piłata w Jerozolimie. Tymczasem znaleźli w roku 752-im namiestnikiem syryjskim Saturnina, a Cyryna nie znaleźli nigdzie przedtem i potem na urzędzie namiestnika w Syryi. Stąd powstały przeróżne domysły, jakby zastąpić urzędowego Saturnina rzekomym namiestnikiem wedle ewangelii Cyrynem, albo poprawić wzmiankę ewangelii o staroście Cyrynie zgodnie z urzędowem świadectwem o namiestniku Saturninie. Powyższy opis sprawy okazuje, że Cyryn na stanowisku rektora czy starosty obok naczelnika kraju Kajusza wykonywał władzę w szerszym zakresie, niż zwy-

czajny namiestnik Saturnin, zatem Saturnin musiał także czynnie wystąpić podczas popisu, ale nie samodzielnie, tylko pod zwierzchniczym nadzorem Cyryna. To też Tertulian[1] mówi o popisie mieszkańców cesarstwa, wykonanym za Augusta w Judei przez Sentiusa Saturnina, i dodaje[2], że archiwa rzymskie przechowują ten spis, jako „najwierniejsze świadectwo Narodzenia Pańskiego“. Słowem Tertulian przypisuje Saturninowi udział w sprawie popisu; ale już przed Tertulianem św. Justyn[3] składa wobec cesarza Antonina i senatu księgę obrony chrześcijaństwa, w której mówi, że przed 150-ciu latami narodził się Chrystus, jak świadczy spis mieszkańców pod Cyrynem[4]; oczywiście Justyn na świadectwo nie przywoływałby wypadku wątpliwego wobec cesarza i senatu, zatem najwyższe urzędy cesarstwa znały popis pod starostą Cyrynem. Także św. Cyryl Aleksandryjski[5] odpowiada Julianowi Apostacie na zarzut, że Chrystus nie mógł być Bogiem zarazem i poddanym cesarza Augusta, a tego poddaństwa dowodzi spis mieszkańców za Cyryna. Słowem, wieki najbliższe popisu i osoby najbliższe archiwów cesarskich w rozprawach najpoważniejszych wspominają o popisie za Cyryna jako o wypadku oczywistym i popartym urzędowemi wykazami. Sprawę tedy zupełnie zrozumiałą niepotrzebnie usiłują zawikłać swojemi domysłami ci pisarze, którzy nie umieją widzieć Saturnina na urzędzie zwykłego namiestnika, a nad nim zwierzchnika w osobie Kajusza Cezara z przybocznym jego rektorem czy starostą Cyrynem.

Z powyższych wywodów wypływa krótko wniosek, że Cyryn według roczników nie przybył do Syryi w roku 759-ym Rzymu, skoro w następnym zaraz roku 760-m Tyberyusz był wrócił do Rzymu, po siedmioletnim pobycie na Rhodos, a Cyryn Tyberyusza odwiedził w początkach jego pobytu na Wschodzie,

---

[1] Adv. Marci, IV, 19.

[2] Tamże 7.

[3] Migne, *P. G.* VI. 397.

[4] ἐπὶ Κυρηνίου, tak Grecy pisali pierwotną nazwę Quirinius i z grecka łacinnicy pisali Cirinius.

[5] Migne, *P. G.* LXXVI, 825.

więc sam przybył na Wschód przynajmniej na kilka lat przed rokiem 759-ym, a wkrótce po roku 747-ym od zał. Rz., po którym Tyberyusz ustąpił na Rhodos. Zatem popis pod Cyrynem nie miał miejsca po roku 759-ym według wskazówek powyżej wyłożonych, ale i według pisarzy pogańskich i według ewangelii „stał się od starosty Cyryna“ około roku 752-go. Jeżeli zaś era przyjęta liczy już rok 759-y Rzymu przed popisem, tedy ta era podaje liczbę lat sprzeczną ze świadectwem ewangelii i pomników dziejopisarstwa świeckiego.

Nierównie lepiej, owszem zupełnie dokładnie świadectwa te odpowiadają słowom, któremi Dyonizy określa epokę chrześcijańską, mianowicie Narodzenie Chrystusa w roku, kiedy 25-y dzień marca wypadł w niedzielę. Rok taki istotnie nastąpił w czasie stosownym, bo w 11 lat po rzeczonem zaćmieniu, więc w 2 lata po przyjeździe Cyryna na Wschód, jak wylicza Ideler; zgodnie też era Aleksandryjska podaje na rok swój ,3-i a 750-y Rzymu przyjazd Cyryna, a we dwa lata później popis w roku, kiedy przypadał 25-y marca w niedzielę. Zatem Dyonizyańska epoka, zarówno jak Aleksandryjczycy, znajduje dość czasu w ciągu tych lat, na odwiedziny Cyryna u Tyberyusza, a w ośm lat po popisie stawia powrót Tyberyusza do Augusta w Rzymie. Wszystkie te liczby, zgodne z dziejowemi pomnikami, odpowiadają także świadectwu ewangelii: przyjazd Cyryna na Wschód we dwa lata przed Narodzeniem Chrystusa a w roku 6-ym ery przyjętej, znajduje w dwa lata później 25-y grudnia we wtorek, kiedy według Dyonizego Chrystus przyszedł na świat podczas popisu.

Wybór tedy między erą Dyonizego a jego epoką albo między Dyonizym a Aleksandryjczykami, nie wymaga długiego namysłu, jeżeli Ideler na silnej podstawie oparł swój wniosek, że Cyryn przybył na Wschód w roku, poczytywanym za trzeci p r z e d Chrystusem przez Aleksandryjczyków a za szósty p o Chrystusie przez Dyonizego. Niezawodnie Dyonizy nie tak dobrze obliczył lata swojej ery, jak sam dobrze określił epokę i jak Aleksandryjczycy obliczyli erę, jeżeli lata Dyonizyańskie wikłają sprawę, a jego epoka zarówno jak era Aleksandryjska

znajduje w dwa lata przed Chrystusem (a nie w sześć lat po Chrystusie), rok, w którym Chrystus jeszcze nie przyszedł na świat.

Ale z jakiego źródła Ideler czerpał swoje wskazówki, z których wynika, że Cyryn przybył na Wschód w roku, który era Dyonizyańska poczytuje za 6-ty po Chr. Panu?

Z uszczerbkiem dla powagi swoich słów w tej mierze, Ideler przemilczał źródła, w których czerpał wskazówki: przecie podał ów rok pierwszy Cyryna w Syryi jako niewątpliwy, i przywodzi ten szczegół nie na dowód jakiegobądź poglądu własnego, ale przeciwnie jako zarzut przeciw sobie, i wyznaje rzetelnie, że nie zdoła rozwiązać zagadki, jaką szczegół ten właśnie zadaje i jemu i innym obrońcom Kepplera w jego wywodach co do roku Narodzenia Chrystusa Pana. Keppler mniema, że Heród umarł wkrótce po zaćmieniu księżyca owem w roku ‚3-im, a jeszcze za czasów Heroda przyszedł na świat Chrystus Pan, więc Keppler wnosi, że Chrystus żył już w marcu roku ‚3-go, że zatem najpóźniej w grudniu roku ‚4-go przyszedł na świat: nie mógł zatem Ideler pogodzić wywodu Kepplera o Narodzeniu Chrystusa najpóźniej w roku ‚4-ym ze świadectwem ewangelii o Cyrynie, który przybył na Wschód dopiero w roku 6-ym. Zachodzi tu wyraźnie jakaś pomyłka o lat przynajmniej 9. Ideler widzi to przeciwieństwo między swojem źródłem a wywodem Kepplera, przecie nie wątpi ani o swojem źródle ani o powadze Kepplera. Z jednej tedy strony Ideler powtarza, że erę przyjętą trzeba przedłużyć przynajmniej o cztery lata, podobno nawet o lat siedem, bo Chrystus Pan liczył przynajmniej dwa lata przed śmiercią Heroda, z drugiej strony Ideler nie umie odeprzeć zarzutu, że ów popis Cyryna wymaga ery krótszej o lat przynajmniej sześć, bo Cyryn przybył na Wschód dopiero w roku 6-ym. Ideler zostawia zagadkę nierozwiązaną, ale ani nawet wobec przeciwnych wywodów Kepplera nie wątpi o powadze źródła, za którem podaje pierwszy rok pobytu Cyryna w Syryi, jako zarzut niezbity.

Ideler nad tym zarzutem przeszedł do porządku dalszego: mógł tak postąpić, bo bronił wywodów Kepplera, tylko jako do-

mysłu a nie jako prawdy oczywistej, która rozwiązuje wszystkie zagadki. Także sam Keppler i wszyscy jego zwolennicy wyznają, że tylko w braku czegoś pewniejszego poprzestają na tych dowodach.

Na czemże tedy Keppler opiera swoje wywody?

Czego Keppler dowiódł umiejętnie, co poparł powagą niewzruszoną, jest to zaćmienie księżyca, które, jak wspomniano, wypadło w trzy godziny przed wschodem słońca 13-go marca w roku ery Dyonizyańskiej 3-cim. Ale między rokiem tego zaćmienia a rokiem śmierci Heroda związek zachodzi tak niewyraźnie, że sam Keppler ogłosił swój pogląd tylko jako domysł w sprawie nierozstrzygniętej, a nie jako dowód stanowczy.

Sprawę zaćmienia księżyca w niedługim czasie przed śmiercią Herodową poruszył dziejopis żydowski, Flavius Józef, w obu swoich dziełach głównych: „Wojna żydowska“ I, 33 i „Żydowskie starożytności“ XVII, 6, 7, 8. Według tego pisarza Heród, poważnie już chory, wcale jeszcze nie myślał o swoim końcu blizkim, tylko o łasce u Augusta w Rzymie. Z pochlebstwa tedy dla cesarza, którego opieki potrzebował w zatargu z własnym synem Antypatrem, kazał wbrew prawom umieścić orła rzymskiego nad główną bramą świątyni jerozolimskiej. Oburzeni zniewagą Mojżeszowego zakonu dwaj wpływowi rabini, Juda Sarifai i Maciej Margalothi, gorącemi słowami wzywali młodzież żydowską do obrony świątyni przeciw zamachom Idumejczyka. Nagle ktoś rozniósł po Jerozolimie wieść, że Heród już skonał. Zapalona młodzież, ośmielona chwilą bezkrólewia, w biały dzień przy oklaskach tłumu zdarła orła z bramy świątyni. Heród jednak jeszcze żył i uwiadomiony o wypadku, uwięził czterdziestu młodzieży, winnych zniewagi godła cesarskiego, i wraz z obu rabinami odesłał do Jerycho. Tam za niemi sam przybył, słaby już tak ciężko, że nie mógł wytrzymać jazdy kołami i ledwo zniósł drogę dźwigany w lektyce: jednak nad winnymi nie chciał odprawić sądu w Jerozolimie, gdzie mógłby doznać przeszkód ze strony pospólstwa rozgoryczonego. W Jerycho tedy przewodniczył sądowi i kazał żywcem spalić rabinów wraz z uległą

ich namowom młodzieżą. I księżyc w tejże nocy zaćmił się.

O tem zaćmieniu przypuszcza Keppler, że ono to nastąpiło w roku Dyonizyańskim ,3-cim 13-go marca, chociaż starożytni rocznikarze w kilka lat po popisie Cyryna stawiają ostatni rok Heroda. Tak np. Afrykanos [1] liczy ostatni rok Herodowi w 34 lata po 186-ej Olimpiadzie, więc w 2-im roku 195-ej Olimpiady, czyli 755-ym od zał. Rz., Eusebios liczy już wtedy rok 756-y od zał. Rz. [2], roczniki zwane Πασχάλιον podają rok 2-gi Olimpiady 195-ej zgodnie z Afrykanosem [3], Beda [4] wymienia rok 47-y Augusta i dodaje, że następca Heroda Archelaus panował całych lat 9 do śmierci Augusta. Otóż te wszystkie lata wypadają przy roku Dyonizyańskim 14-m po Chr. Panu a 6-ym u Abissyńczyków czyli według nich 558-ym od założenia Rzymu a 47-ym Augusta: w roku tym wypadło zaćmienie księżyca widzialne w Palestynie w nocy 27-go września [5]. Tak Aleksandryjczycy mają zgodne ze sobą lata: rok ,3-ci a 750-y od zał. Rzymu na przyjazd Cyryna, rok ,1-y a 752-i od zał. Rz. na popis mieszkańców, rok 6-y a 758-y od zał. Rzymu na zaćmienie księżyca we wrześniu przed śmiercią Heroda, która rzeczywiście nastąpiła według rabinów w jesieni, jak Ideler świadczy (II, 392) za świadectwem Megileth Thonit, księgi postu, gdzie wyraźnie czytamy: „siódmy Kislew: dzień postu, bo w ten dzień umarł Hurodes, wróg mędrców“. Era Dyonizyańska ma rok Narodzenia Pańskiego 752-gi od zał. Rz. w siedem lat przed przyjazdem Cyryna w roku 759-ym, a żadnego zaćmienia stosownego niema przed wspomnianem już we wrześniu roku 14-go. Keppler tego zaćmienia nie brał pod uwagę, jako zbyt oddalonego od roku Narodzenia Pańskiego w erze Dyonizyańskiej: stąd to szukał bliż-

[1] Migne, *P. G.* X, 85.
[2] Migne, *P. G.* XIX, 531.
[3] Migne, *P. G.* XCII, 504.
[4] Migne, *P. L.* XC, 545.
[5] Podane w tablicach astronomicznych Oppolzera: *Canon der Finsternisse.* Wien 1887, str. 343, nr. 1884, a szczegółowy jego opis u Pétau: *Doctrina temporum,* ks. 8.

szego i stanął na zaćmieniu marcowem w roku ,3-cim Dyonizyańskim. Ale przeciw temu zaćmieniu powstały zarzuty wkrótce po Kepplerze, a to z prostego powodu, iż między niem a następną Paschą, w parę tygodni później, Józef Flawiusz opisuje tyle wypadków, że na nie potrzeba kilku miesięcy całych, a niemożebna zmieścić wszystkiego w przeciągu kilku tygodni.

Otóż po wzmiance o zaćmieniu Józef ciągnie dalej swój opis i donosi, jak odtąd choroba Heroda przybierała coraz groźniejsze rozmiary: wewnętrzna gorączka trawiła jego siły; nienasyconego głodu nie można było zaspokoić, bo żołądek pełen wrzodów nie przyjmował pokarmu; puchlina spadła na nogi, powstały rany, które zaczęły gnić i wydawać robaki. Heród kazał zwołać lekarzy na radę i według ich wskazówek postanowił szukać ulgi w kąpielach Kallirhoe, miejscu odległem o kilka dni drogi od Jerycho. Tam używał kąpieli ale bez skutku. Lekarze przepisali kąpiele w oleju, ale te zaszkodziły. Wkońcu wrócił Heród do Jerycho. Tu kazał zwołać wszystkich książąt żydowskich z całego królestwa. Kiedy ci przybyli wszyscy, dostali rozkaz, żeby iść do ujeżdżalni, gdzie zostali otoczeni wojskiem i strzeżeni dniem i nocą. Śmierć wisiała nad ich głowami, kiedy Heród dostał posłańca z Rzymu, który donosił, że cesarz stanął po stronie Heroda w jego sporze ze synem i pozwolił skazać Antypatra na śmierć. Heród z wyrokiem na syna nie zwlekał i w pięć dni później sam ducha wyzionął.

Na tyle przygód abisyńska era znajduje dość czasu od września do listopada, w którym wypadał wówczas 6-y Kislew. Dyonizyańska między 13-ym marca a pełnią najbliższą po 23-im marca mieści i te wszystkie wypadki i jeszcze wszystkie następne, o których dalej pisze Józef.

Po śmierci Heroda ściągnięte do Jerycho wojsko wysłuchało testamentu Heroda, który mianował następcą Archelausa. Wojsko złożyło przysięgę nowemu królowi, który wyprawił wspaniały pogrzeb ojcu a następnie odbył siedmiodniową żałobę. Cześć okazywana znienawidzonemu okrutnikowi odwróciła serca Żydów od Archelausa. Wichrzyciele podburzali lud, aby żądał od nowego króla uroczystego święta pokuty za zbrodnię ojca, speł-

nioną nad rabinami, którzy spłonęli na stosie. Archelaus usiłował zmiękczyć lud przez układy. Wysiłki te spełzły na niczem. Nakoniec blizkie święto Paschy gromadziło zwykłe tłumy do Jerozolimy. Wpływ umysłów niezadowolnionych działał szkodliwie na rzesze; doszło w końcu do rozruchów podczas Paschy: Archelaus tedy wyrżnął 3000 Żydów.

Opis wszystkich podróży i przygód Heroda a r ástępnie nieszczęsnych rządów Archelausa, które wywołały rozruchy, stanowczo wyklucza domysł, że zaćmienie wspomniane u Józefa poprzedziło Paschę tak blizko, jak sądził Keppler, a wcale nie widzi za szerokich ram dla siebie w przeciągu pół roku od zaćmienia wrześniowego do Paschy podczas pełni wiosennej.

Nadto cała sprawa rzezi niewiniątek i ucieczka do Egiptu Najświętszej Rodziny tyle zabrała czasu, że następni chronolodzy pomyśleli o dłuższej przerwie czasu między Narodzeniem Pańskiem a śmiercią Heroda, niż Keppler, ani nie poprzestali już na jego słowach o Narodzeniu Chrystusa przynajmniej w grudniu roku ,3-go. Ci pisarze podnosili, że Heród musiał czekać jakiś czas, nim przekonany o zawodzie ze strony Mędrców, którzy nie wrócili już z Betleem, zarządził rzeź niewiniątek. Ani ta rzeź w Betleem i okolicy nie trwała zaledwo jaki dzień albo dwa, tylko musiała przybrać rozmiary niezwykłego ciągu okrucieństw, jeżeli zgroza z tego powodu leciała daleko w świat, i nawet Macrobius (Saturn II, 4) o rzezi niewiniątek wspomina między innemi szczegółami z żywota Augusta: „kiedy przy nim ktoś powtarzał wieść, że w Syryi Heród król żydowski kazał pozabijać wszystkich chłopców, co nie doszli dwóch lat wieku, a w ich liczbie nawet własnego syna, powiedział August: lepiej wieprzem być u Heroda, niż synem“. Nakoniec ubogi cieśla Józef, przestrzeżony o niebezpiecznych zamiarach Heroda, przesiedlił rodzinę i przeniósł cały dobytek do Egiptu, a nie widziałby potrzeby takich strat i uciążliwej tułaczki daleko między obcymi, gdyby niebezpieczeństwo mogło grozić przez czas niedługi, a nie miało trwać przez całe lata; na krótszy czas mógłby schronić Dzieciątko gdziebądź poza granicami królestwa; szczególniej gdyby widział, że już choremu królowi nie dużo do

śmierci brakuje, tedy nie rozpoczynałby podróży aż nad Nil, dokąd ledwoby zaszedł przed śmiercią Heroda. Jednak różni pisarze opowiadają o dłuższym pobycie w Egipcie Najświętszej Rodziny. Te względy, wraz z innemi wskazówkami, sprawiły, że chronolodzy następni po Kepplerze, jak Sanclemente, Patrizzi, Ideler i t. d., liczą, że aż do trzech lat musiał dojść przeciąg czasu między Narodzeniem Chrystusa a śmiercią Heroda, i z zaćmienia w roku 750-ym od zał. Rz. wnoszą, że Chrystus narodził się już w roku 747-ym, któremu dają nazwę roku 1-go od Chrystusa i przez to o 7 lat przedłużają erę chrześcijańską, w której za Bedą ogół stawia rok 1-y dopiero przy roku 754-ym od zał. Rz.

Wynik ten płynie rozsądnie z domysłu o śmierci Heroda w roku dyonizyańskim ,3-im: ani tu nie zostaje nic do wyboru, tylko jedno z dwojga, albo trzeba przyjąć zaćmienie marcowe z roku ,3-go, jako wytyczną chwilę chronologii, i wtedy przedłużyć dyonizyańską erę, o jakichś lat siedem, chociaż za tem zaćmieniem nic koniecznie nie przemawia, a przeciw niemu wyraźnie świadczy głos starożytnych wieków, o Narodzeniu Chrystusa w roku 752-im od zał. Rz., albo trzeba przyjąć zaćmienie wrześniowe z roku 14-go, i wtedy skrócić dyonizyańską erę o lat 8, czyli odstawić arytmetyczny początek ery na jej epokę i liczyć za Aleksandryjczykami lata według ery abisyńskiej: wtedy w całym porządku wypadków wróciłby Dyonizy do zgody zupełnej ze starożytnem świadectwem o Narodzeniu Chrystusa.

Ale wobec tych świadectw starożytnych nie można wątpić, że Dyonizy rzeczywiście to napisał, co obecnie czytamy w jego dziele, mianowicie, że podał Narodzenie Chrystusa w roku, kiedy 25-y dzień marca wypadał w niedzielę, i że znał ten szczegół ze świadectw starożytnych, bo istotnie w dwa lata po przyjeździe Cyryna na Wschód, więc w roku 8-ym ery przyjętej przypadł na nadzielę 25-y dzień marca, a skoro szczegół ten licuje z przytoczonemi wskazówkami dziejopisów, wtedy spoczywa na powadze, której brakuje początkowi ery Dyonizyańskiej, bo w żadnym razie nie można znaleźć epoki chrześcijańskiej w roku 0 tej ery.

Tu jeszcze zwrócić trzeba uwagę na parę szczegółów, które także wyjaśniają sprawę.

Chronolodzy oparci na Dyonizyańskiej erze wiedzą o zaćmieniu księżyca wrześniowem w roku 14-ym po Chr. P. czyli 787-ym od zał. Rz., a 57-ym Augusta, ale pod niem rozumieją to zaćmienie, o którem wspomina Tacyt [1], że nastąpiło w ciągu zimy pierwszej po śmierci Augusta i pomogło Druzowi do zwycięstwa nad rokoszanami w legionach pannońskich. Ale we wrześniu Tacyt nigdy nie upatruje jeszcze zimy; wszak w krajach o wcześniejszej zimie, niż włoska, ani nawet w Petersburgu nikt września nie nazywa miesiącem zimowym. Znowu pod tym względem era abisyńska okazuje przewagę nad Dyonizyańską, bo w czasie owego zaćmienia w nocy 27-go września liczy dopiero rok 6-y po Chr. P., 48-my Augusta, 37-my Heroda i 758-my od zał. Rzymu, a w roku 15-ym (Dyonizyańskim 23-im) po Chr. P. stawia dzień śmierci Augusta 19-y sierpnia a rok 767-y od zał. Rz.; otóż przy końcu następnej zimy znajdujemy rzeczywiście w Oppolzerze [2] zaćmienie księżyca w nocy z 13-go na 14-ty marca roku 24-go Dyonizyańskiej ery widzialne w Pannonii.

Nadto pogląd Kepplera stoi w dość widocznem przeciwieństwie z ewangelistą, który świadczy, że w roku 15-ym Tyberyusza Piłat rządził już w Jerozolimie, kiedy Chrystus poczynał być jakoby w 30-u latach wieku, więc według Kepplera najpóźniej w roku 779-ym od zał. Rz. Tymczasem w tym roku jeszcze w Jerozolimie stanowczo nie było Piłata, ani Tyberyusz nie liczył jeszcze 15-go roku rządów. Tyberyusz nastąpił po śmierci ojca w roku 767-ym od zał. Rz., więc kończył 14-cie lat a zaczynał 15-y dopiero z jesienią w roku 781-ym od zał. Rzymu, więc znowu brakuje u Kepplera paru lat Tyberyuszowi do czasu rządów podawanego w ewangelii. I Piłat w 10-ym roku swojego urzędu pojechał do Rzymu, gdzie już nie zastał Tyberyusza żywego, to znaczy, że w roku 790-ym liczył Piłat

[1] *Ann.* I, 28.
[2] *Can. d. Finst.* str. 343, nr. 1898.

10-y rok swojej władzy, zaczął tedy piastować urząd od roku 781-go od zał. Rz. czyli także brakuje 2-ch lat przy liczbach Kepplera. W erze abisyńskiej wszystkie te liczby stają przy sobie zgodnie, jak łatwo już można to sprawdzić.

Słowem dotychczasowy wywód okazuje, że z jednej strony era abisyńska zgodnie z opisem epoki u Dyonizego stawia Narodzenie Chrystusa i następne wypadki w porządku zrozumiałym zupełnie, a z drugiej strony Dyonizyańska era napotyka w zaćmieniu księżyca przy śmierci Heroda na przeszkody, które naprowadziły Kepplera na myśl o zaćmieniu w roku ‚3-im, ale przez to dzień Narodzenia Chrystusa cofnięty o kilka lat przed rokiem 752-im od zał. Rz. wpada w przeciwieństwo z rokiem przyjazdu Cyryna do Syryi, z czasem rzezi niewiniątek i pobytu Chrystusa w Egipcie, z rokiem przyjazdu Piłata do Jerozolimy i t. d.; słowem powstają zagadki, których nie rozwiązał żaden ze zwolenników poprawki, jaką Keppler wniósł do ery Dyonizyańskiej.

Ta sama uwaga dotyczy także roku Męki i Śmierci Chrystusowej w obu erach, o czem sprawę wypadnie osobno wyjaśnić.

Ks. K. Czaykowski.

W STO LAT PO ODKRYCIACH VOLTY i DAVY'EGO.

Rzut oka na rozwój elektrotechniki i elektromedycyny w XIX. wieku.

(Ciąg dalszy).

IV. Pierwsze badania nad wpływem elektryczności na ustrój. — V. Początek elektromedycyny i rozwój elektrochirurgii. — VI. Epoka Du-Bois Reymonda. — VII. Odkrycie elektrycznych własności nerwów.

IV.

Genezą i pobudką do skreślenia kilku uwag, zawartych w następującym rozdziale, był dla niżej podpisanego mały zbieg okoliczności, który dziwnym trafem wśród podróży naukowej głębiej się zapisał w pamięci, niż szereg innych wrażeń. Gdym mianowicie bawił na studyach neurologicznych we Wiedniu i Berlinie, a w chwilach wolnych od zajęć klinicznych oglądał pamiątki pozostałe nietylko po mistrzach pendzla i pióra, lecz także po pionierach cywilizacyjnego postępu, z pracy, której dziś zbieramy owoce, stale mi się jedna nasuwała obserwacya.

W wielkich tych ogniskach ruchu handlowego i przemysłowego, wśród wiru maszyn i ludzi, każda jednostka zdaje się tak gonić za tym nieuchwytnym postępem, że nie ma nawet czasu oglądnąć się na przeszłość i na tej przeszłości pamiątki; jedni może turyści, mający więcej czasu od innych, czasem bardziej według wskazówek Bedekerów, niż według osobistego poczucia piękna, ostatecznie z pewną bądź co bądź świadomością szukać umieją wśród skarbów ducha, nagromadzonych po gale-

ryach i muzeach. Ale i ci ostatni raczej uchylą głowy przed fortepianami Mozarta lub Schuberta, przed rzeźbą Canovy lub płótnem Makarta, może nawet w zbrojowni przed potężnem działem Kruppa, niż przed ukrytym w kącie przyrządem naukowym, dziś mającym tylko znaczenie historyczne, a przecie doniosłym, bo stanowiącym początek jakiejś epoki odkryć, jakiejś ery postępu. Małe gronko uczonych znajdziemy przed bronzową uchwałą Rzymskiego Senatu lub przed zwojem papyrusów; jeszcze mniejszą przed niezbadanemi napisami jakichś etruskich wykopalisk; nikogo prawie z pewnością przed pierwszą maszyną elektryczną, przed pierwszą busolą, przed pierwszym telegrafem. Nawet w pięknem Muzeum Pocztowem Berlińskiem, w którem tak umiejętnie zgromadzono wszelkie środki komunikacyjne w historycznym rozwoju, tłum ciekawych pędzi ku salom, gdzie telegraf bez drutu, fonografy i Röntgenografia, pomijając modele, przedstawiające pierwsze próby zaprzągnięcia siły elektrycznej w służbę ludzkiej myśli. Wyjątek stanowi może tylko pomnik pruskiego militaryzmu, zwany *Zeughausem*, w którym wśród morderczych narzędzi wieków średnich i nowożytnych, na ubocznym stoliku stoją pierwsze busole, jakiemi robiono elektryczne pomiary i pierwsze tychże zastosowanie do mierzenia szybkości lotu kuli. Dziwny kontrast, jaki panuje między tą relikwią nauki i pokoju, a przygniatającym ogromem potęgi, która podpisała dumnie pod trofeami i mitrailleusami: „Jeden Bóg i jeden król", musi każdego obcego pociągnąć ku sobie i czcią napełnić ku cichej pracy. Przypadek chciał, że ten kontrast wpadł mi w oczy właśnie wtedy, gdy gazety codzienne i tygodniki coraz to nowsze szczegóły przynosiły o jubileuszowej wystawie, urządzonej w Como ku czci Volty, a w końcu i ten smutny szczegół, że wszelkie pozostałe po nim pamiątki zniszczył szalejący żywioł pożaru. Dziwny jakiś żal ogarnął serce, że ogień nie ima się spiżu dział, a niszczy spiż pracy wieków; że pozostawia nietkniętemi dowody przemocy siły nad prawem, a zaciera ślady pamiątek, któreby czcią napełniały potomność ku cichej a płodnej pracy twórców nauki o elektryczności. Za tym dziwnym żalem poszła zarazem i dziwna chęć

bliższego zapoznania się z pierwszemi kartami tych dziejów, wśród których na każdym kroku widnieją imiona skromne, choć wielkie i zwycięskie, choć pokojowe. Wskazówki i pomoc ludzi życzliwych dopomogły mi do zebrania z kilku rzadszych dzieł bibliotecznych paru notatek ciekawych o epoce wynalazków, a im bardziej zajęcia kliniczne i kursa naukowe przekonywały mnie o ogromnym postępie dzisiejszej elektromedycyny i o wielkich skutkach leczniczych najnowszych elektrycznych wynalazków, o tyle znowu, dziwnym kontrastem, czcią głęboką napełniały wszystkie pierwotne próby i badania, trudności i przeszkody, doświadczenia i roztrząsania, które się stały podstawą doniosłych zdobyczy dzisiejszej wiedzy lekarskiej. Sądziłem, że kilka szczegółów z tej zamierzchłej przeszłości przełomu wieków równie interesującem będzie dla szerszego ogółu i postanowiłem podzielić się z tymże kilku ciekawemi szczegółami, zaczerpniętemi w źródłach oryginalnych. Pierwsze to bowiem lata wieku XIX. zapisały w swoich kronikach pierwsze próby zastosowania elektryczności do celów leczniczych, które stały się podstawą elektromedycyny, tak samo jak pierwotne doświadczenia Volty i Davy'ego podstawą elektrotechniki. Chwil kilka poświęcimy im z kolei rzeczy, bo tak nam po stu latach wypada i warto, a potem, tak jak to uczyniliśmy w poprzednich rozdziałach z dziejami elektrotechniki, w krótkich a szybkich rzutach przejdziemy poszczególne wybitne chwile rozwoju elektromedycyny.

Słusznie powiedziano, że myśl zastosowania elektryczności do celów leczniczych jest dość dawną, i że w pierwszym rzędzie zaprzągnięto w tę służbę szereg dziwnych zjawisk, powstających przy potarciu bursztynu. Z chwilą zaś, gdy Otto v. Guericke skonstruował pierwszą dokładną maszynę influencyjną, pozwalającą na wydobywanie większej ilości elektryczności statycznej przez potarcie, do badań teoretycznych i praktycznych zastosowano ją niezwłocznie. Jallabert w połowie wieku XVIII. zebrał wszystkie dotychczasowe badania w jedną systematyczną całość, a zrobiwszy nadto ważne odkrycie, że iskry maszyny influencyjnej pobudzać mogą mięśnie do skurczu, oddał się sze-

regowi badań nad zastosowaniem elektryczności do terapii wogóle, a szczególnie do leczenia mięśni, u których właśnie osłabioną była „siła żywotna kurczliwości". Niewątpliwie też Jallabert uchodzić ma prawo za ojca elektromedycyny, niebawem jednak spostrzegamy, że zdyskredytowane nieco przez przesadną reklamę zastosowanie prądu statycznego do celów leczniczych zwolna ustępuje prądowi stałemu, odkrytemu przez Galvani'ego i Voltę. Przed laty też stu, w r. 1801 berliński lekarz Grappengiesser po raz pierwszy usuwa kontrakturę paralityczną (porażenną) za pomocą prądu stałego. Dzieło tego lekarza, ogłoszone pod tytułem: „Badania nad zastosowaniem galwanizmu do leczenia niektórych chorób", ciekawe zawiera szczegóły. Między innemi autor dzieli choroby wszelkie na dwie kategorye, tj. na takie, które można „galwanicznie" wyleczyć i takie, na które prąd wpływu nie wywiera, jak np. nerwoból twarzy, migrena, kongestye. Do obserwacyj berlińskiego lekarza niebawem dodaje Jakobi z Eutin ciekawe spostrzeżenia nad leczniczym wpływem prądu stałego na oko i ucho, a Struve we Wrocławiu stara się ująć wszystkie dotychczasowe fakta nawet w pewien system i dziełu swojemu nadaje tytuł elektromedycznego podręcznika. Późniejsi krytycy i uczeni odmawiają jednak temu dziełu wartości dodatniej, a słynny Remak wprost nawet przypisuje pracom Struve'go i Aldiniego chwilowy upadek lub bodaj zastój elektromedycyny, aż do epoki odkrycia elektromagnetyzmu.

Równocześnie z badaniami nad zastosowaniem leczniczem prądu stałego, szereg uczonych oddaje się skrupulatnemu roztrząsaniu warunków, wśród których prąd wogóle działa na organizm zwierzęcy i ludzki. Nie chodzi więc tu o cele lecznicze, o wskazanie praktyczne w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz po prostu o analizę szeregu urywkowych, nieraz przypadkowych faktów, które z biegiem lat stają się niejako pierwszym rozdziałem teoretycznej elektromedycyny. Jeszcze przed odkryciami Galvani'ego i Volty obserwował Sultzer z Berlina, że płytki ołowiane i srebrne dziwne jakieś wywierają wrażenie smakowe, gdy się dotkniemy ich równocześnie językiem; później

Cotugno z Neapolu spostrzegł przy sekcyi myszki, że za dotknięciem skalpelu do nerwu międzyżebrowego, dziwny jakoś następował wstrząs skurczowy, wreszcie Swammerdam z Toskanii w swojej *Biblia naturae* opisał sposób sztucznego wywoływania skurczów mięśni za pomocą srebrnego drucika, przewleczonego przez miedzianą blaszkę. Były to jednak tylko luźne spostrzeżenia, a dopiero spór zwolenników Galvani'ego i zwolenników Volty, o którym mówiliśmy w poprzednich rozdziałach, dostarczył właściwego materyału do podwalin nowej nauki. Z jednej strony widzimy szereg uczonych z pierwotnym łukiem metalicznym Galvani'ego, eksperymentujących nad pierwotną łapką żabią lub nad innemi częściami ustroju zwierzęcego i ludzkiego, z drugiej zaś strony szereg badaczy, którzy nie zadawalniając się doświadczeniami ze słupkiem Volty w laboratoryach fizycznych i chemicznych, nieśli takowy do szpitali, do klinik chirurgicznych, a nawet pod szafot, aby przekonywać się o wpływie elektrycznego stosu na czynność życiową odciętych rąk i nóg, lub nawet głów gilotynowanych.

Do pierwszej kategoryi zaliczyćby można Lorrey'a, Starka, Richeranda, Dupuytren'a, Dumas'a i innych, którzy za pomocą blaszek metalicznych wzbudzali skurcz mięśni nogi lub ręki amputowanej. Inni próbowali pobudzić do skurczu serce, albo, jak to wówczas mówiono, „wznowić życie", lecz słaby prąd elektryczny, jakiego dostarczyć może para zwykłych metalicznych blaszek, zwykle nie była wystarczającą, lub przynajmniej bardzo często zawodziła. I tak Volta sam, a prócz niego Pfaff, Valli, Klein i Mezzini nie mogli otrzymać rezultatów dodatnich, podczas gdy Humboldt i Fowler wielką przywiązywali wagę do wywołanych sztucznie skurczów serca. Poza tym szeregiem spostrzeżeń dodatnich lub ujemnych, ciekawych szczegółów nie kryją kroniki ówczesne, a dopiero badania drugiej kategoryi, z pomocą słupka Volty, rzeczywiście wzruszyć pragną naukę w posadach i stają się przyczyną nieraz nader śmiałych hypotez. I znowuż u przełomu wieków, w r. 1801, trzej fizyologowie turyńscy: Vassali-Endi, Giulio i Rossi za pomocą stosu Volty po raz pierwszy wywołali skurcze mięśni na ciałach skazańców.

W krótkim czasie potem, w r. 1803 Aldini w Londynie wsławił się doświadczeniem, które jeszcze więcej narobiło hałasu. Morderca Forster, którego ciało oddano po powieszeniu p. Coate, prezydentowi Kolegium chirurgicznego, pod wpływem prądu słupka Volty, otworzył lewe oko i tak gwałtowne zaczął wykonywać ruchy mięśniami głowy, że wszyscy sądzili, iż wracać zaczyna do życia. Podobne doświadczenie w kilka lat potem Andrew Ure wykonał w Glasgowie na mordercy Clydsdale'u, z tą różnicą, że eksperymentował z bateryą złożoną z 270 stosów. Nic też dziwnego, że prąd, przechodzący przez wydobyty z ciała nerw kulszowy, do tak silnego skurczu pobudził mięśnie nogi, iż przewrócił na ziemię pomocnika, który ją trzymał. Potem pobudzono do skurczu mięśnie palców u ręki, mięśnie stopy oraz mięśnie oddechowe, drażniąc nerw przeponowy na szyi i w klatce piersiowej przez otwór zrobiony między żebrami. Gdy wreszcie podrażniono mięśnie twarzy, a te ostatnie zaczęły naprzemian wyrażać złość, nienawiść, bojaźń i radość, wiele osób uciekło z przerażeniem z amfiteatru, a jeden z dżentelmenów, zemdlawszy, ciekawość naukową przypłacił chorobą. Reszta widzów zakonkludowała wraz ze śmiałym eksperymentatorem, że w danym razie prąd elektryczny powrócić może życie, a chociażby to w powyższym wypadku Clydsdale'a nie było ani etycznem, ani logicznem powracać życie powieszonemu mordercy, to w innych razach przecież byłoby to, według mniemania literackiego Towarzystwa w Glasgowie „i szlachetne i użyteczne".

Dlaczegóżby zresztą miało to być tak bardzo niemożebnem, skoro jeszcze przed odkryciem Volty, Humboldt za pomocą blaszki cynkowej powołał do życia konającą ptaszynę. Wprawdzie to „życie" ograniczyło się na trzepotaniu skrzydełkami przez 6 minut, ale, mając do czynienia po odkryciu Volty z daleko silniejszemi źródłami elektryczności, możeby przecież większe też otrzymać się dały skutki. Takie było zdanie uczonych z Glasgowa; takiem również przekonanie wielkiej części ówczesnego świata uczonego. To też widzimy szereg nowych towarzystw, zawiązujących się po różnych miastach, a mających

na celu zbadanie wpływu stosu Volty na ciało ludzkie tuż po śmierci. Największe z tych towarzystw, zawiązane w Paryżu, pod przewodnictwem doktora Nauche, liczyło w poczet swych członków uczonego turyńskiego Nysten'a. Nie licząc się z żadnemi trudnościami i zwalczając wszelkie przeszkody, potrafił ten uczony przeprowadzić szereg badań, które na owe czasy niemałych wymagały zachodów. Pewnego razu, idąc do *École de médecine* ze stosem Volty pod ręką, usłyszał od kolportera dziennikarskiego, że tegoż samego dnia ma być ukarany śmiercią jakiś złoczyńca. Wystaranie się o polecający list u dyrektora Thouret'a i o pozwolenie prefekta policyi jest dla badacza dziełem jednej chwili; również nie obchodzą go trudności, jakie mu stawia gwardya pałacu sprawiedliwości, służba, wreszcie cmentarnicy. Gdzie może prosi, gdzie może przekupuje lub wynagradza, nawet paktuje z katem i z właścicielem wózka, który miał przewieźć trupa na cmentarz. Wreszcie przełamawszy wszystkie zapory, ledwo może wyprosić o malutkie miejsce w głębokim rowie cmentarnym. Tam wśród spadających na niego gruzów ziemi, rzucanych łopatą grabarzy, wśród ciemności i chłodu, walcząc, jak sam opowiada, z otoczeniem i ze samym sobą, nieustraszony badacz, dochodzi do kilku luźnych wyników, pozornie podtrzymujących hypotezy powyżej wymienione o możliwości zwrócenia życia. Inni badacze wśród mniej lub więcej ciężkich warunków podobne przeprowadzają eksperymenta, a szereg luźnych wniosków, omijających z daleka prawdę, a walczących z jakąś tajemniczą przeszkodą, staje się o tyle błędnem kołem, że w zapalczywej pogoni za fałszywą ideą przywrócenia życia, uczeni niektórzy właściwie odbiegają od głównego tematu zbadania wpływów elektryczności na ustrój zwierzęcy i ludzki. Dla nas dzisiaj jest zrozumiałem, dlaczego słaby stos Volty w niektórych wypadkach do skurczu nie pobudzał mięśni serca i kończyn, a naodwrót dlaczego wielka baterya o stu kilkudziesięciu stosach mogła na mięśniach jeszcze na wpół ciepłych wywołać zjawiska życiowe tkanek, objawiające się w postaci skurczów włókienkowych, które audytoryum brało za oznaki powrotu do życia. Również dla nas dzisiaj jest zro-

zumiałem, dlaczego eksperymenta na ustrojach ciepłokrwistych, jakim jest człowiek, i to w długim stosunkowo czasie po śmierci, nie mogły wydać takich rezultatów, jak doświadczenia Galvani'ego na zimnokrwistej żabie, której tkanki długo po śmierci zachowują wrażliwość i pobudliwość, a nawet pewne cechy, że się tak wyrażę, indywidualnej żywotności. Mięsień żaby, odcięty od organizmu, długo bardzo kurczy się, pod wpływem zewnętrznych bodźców; serce wyjęte z ustroju, zaopatrzone własnemi ośrodkami nerwowemi, długo bardzo bije na stole eksperymentatora. Wszystkiego tego badacze szkoły paryskiej i londyńskiej nie mogli jednak widzieć na trupach skazańców, a kryteryum ich badań, polegające np. w słynnym wypadku moguckim na zapytywaniu kilkakrotnem odciętej głowy, czy czuje, co z nią robią, nie było chyba zawsze dość ścisłem. Z drugiej jednak strony, mimo braku ścisłości w luźnych spostrzeżeniach, mimo błędnie wytkniętej drogi ku nieuchwytnemu celowi przywrócenia życia, badania wszystkie, o których mówiliśmy, doprowadziły do jednego konkretnego wniosku, że stos Volty wywołuje w ustroju żywym objawy podobne jak maszyna influencyjna, a w ustroju umarłym przez pewien czas te same objawy, co w ustroju żywym. Z tych dwu wniosków pierwszy staje się podstawą teoretyczną do praktycznego zastosowania elektryczności w celach leczniczych tych samych, w jakich próbowano stosować maszynę influencyjną, a że niezależnie od badań teoretycznych, jak wspomnieliśmy na początku, kilku lekarzom udało się za pomocą prądu stałego otrzymać skutki lecznicze, przeto ten ostatni z dwojakich powodów zaczyna na początku w. XIX. wchodzić w grę i rozwijać się jako odrębny a potężny środek lekarski.

V.

Epoce odkryć, której poprzednio poświęciliśmy kilka bliższych uwag, epoce pierwszych prób i nieudatnych pod wielu względami badań, zawdzięcza dzisiejsza nauka elektromedycyny swój pierwszy zasiew i swój początek. Odnosi się to zarówno do elektromedycyny praktycznej, mającej za hasło przyniesienie ulgi

choremu według zasady: *Salus aegroti suprema lex;* odnosi się także do elektromedycyny teoretycznej, mającej za zadanie bliższe zbadanie praw i stosunków, według których, praktyk, zajęty żmudną czynnością zawodową, w stosunku z cierpiącą ludzkością postępować winien. W tej łączności teoryi z praktyką i wiedzy ze sztuką leży klucz do zrozumienia szybkiego rozwoju elektromedycyny, w tej łączności również zadatek do dalszego jej postępu.

Do połowy jednak wieku XIX. prawie, zarówno badania teoretyczne, jak i praktyczne zastosowanie tychże noszą cechę spostrzeżeń luźnych. Loder i Bischof w Jenie, Lichtenstein i Hers w Berlinie, Heller w Paryżu, Schaub w Cassel i szereg innych uczonych stają do tego międzynarodowego turnieju kolejno i z zapałem; trudno jednak fakta powiązać w całość systematyczną. I tak: Eschke i Schwabl zastosowują prąd elektryczny do leczenia głuchoty, Klein i Valli do ratowania duszących się wśród asfiksyi, Pfaff i Reil do powracania ruchu porażonym członkom, a Gentilli i Palazzi kuszą się nawet o leczenie melancholii. W przeciągu jakich lat dwudziestu do trzydziestu tyle się też mnoży luźnych, a zawsze dodatnich spostrzeżeń, iż dzisiejszemu krytykowi mimowoli nasunąć się musi myśl, że w pewnej przynajmniej części były to spostrzeżenia mylne o przesadnym zakroju, z których z wielką ostrożnością wybierać należy fakta naukowe i podstawowe. Chociaż nigdzie nie znaleźliśmy podobnego zdania w pobieżnych notatkach historycznych o rozwoju elektroterapii, jednak zdaje się nam, że w jakie ćwierć wieku po odkryciach Volty i Davy'ego, chwilowo elektromedycyna wewnętrzna czyli zastosowanie elektryczności do chorób wewnętrznych i nerwowych doznaje niejako zastoju. Dlatego to zapewne Most dziełu swojemu, wydanemu podówczas w Lüneburgu, nadaje tytuł: „O leczniczych skutkach zaniedbanego już niestety galwanizmu". Natomiast elektromedycyna zewnętrzna, czyli zastosowanie elektryczności do chorób chirurgicznych równocześnie prawie wypływa na wierzch.

Odwieczne prawa, kierujące losami ludzkości, raz po raz zanurzające w toni fakta dziejowe i znowuż naprzemian pod-

noszące je na fali chwilowego powodzenia, odnoszą się także i do historyi wynalazków. Widzieliśmy, jak w wieku XVIII. odkrycie prądu statycznego maszyny indukcyjnej wstrząsnęło światem naukowym, aby potem wskutek przesadnej reklamy ustąpić nieco z pierwszego planu. Widzieliśmy potem, jak na tem miejscu wyrastać zaczęło nowe drzewo, zasiane z początkiem XIX. wieku przez następców Galvani'ego, Volty i Davy'ego, jak głęboko zapuszczało konary w naukę o zgłębianiu przyczyny wszech rzeczy, a gałęziami najwyższego chciało dotknąć stropu, kusząc się o rozwiązanie kwestyi przywracania życia. Najwyższe gałęzie usychają jednak pod wpływem żaru, a świeże pączki kiełkować zaczynają na nowych konarach. Ludzkość z ciekawością rzuca się do nowości i w literaturze chwilowo słychać tylko o świeżem kwieciu. Zobaczymy wprawdzie potem, że uschnięcie było pozornem, i że niebawem obumarłe gałęzie nową w dziejach znajdą wiosnę rozkwitu; na razie jednak, postępując krok w krok za historyografem, zanotować musimy fakt, że od roku 1823 do roku 1843 na główne miejsce w elektromedycynie wysuwa się elektrochirurgia, a mianowicie dwa działy tej nauki t. j. elektrolyza i galwanokaustyka. Już wielki Davy był spostrzegł i opisał, jak prąd elektryczny rozkłada ciała na składniki pierwotne. Wspomnieliśmy o tem w części elektrotechnicznej i zaznaczyliśmy, jak ważne znaczenie to odkrycie miało dla całego następnego rozwoju elektrochemii i elektrometalurgii. W elektromedycynie Prévost i Dumas w r. 1823 zwócili uwagę na własności chemiczne prądu, rozpuszczając zapomocą tegoż kamienie w pęcherzu zwierzęcym. Badania dalsze Donne'go, Phillippsa, Melichera, Crusetl'a i Cinitellego wykazały niebawem, że przy biegunie dodatnim stosu, wytwarza się pewne ścinanie się, stwardnienie tkanek, a przy biegunie ujemnym pewne rozpływanie się takowych. Wiadomem było z elektrochemii, że cynk i miedź lub cynk i węgiel każdego najzwyklejszego stosu elektrycznego zupełnie odrębnie działają; jeżeli np. druty przylutowane do tych metali zanurzymy do wody, to przy drucie, idącym od cynku wydzielą się bańki wodoru, a przy drucie idącym od miedzi dwa razy mniej baniek

tlenu, w stosunku do matematycznego składu molekularnego wody; jeżeli te same druty zanurzymy to rozczynu jakiejś soli, to na biegunie dodatnim (miedzi) wydzieli się kwas, a na biegunie ujemnym (cynk) metal lub wogóle zasadowa podstawa chemicznego rozczynu. Ciała, które się wydzielają na biegunach stosu nazwano jonami; te, które zostają przy biegunie dodatnim czyli anodzie: anionami, te, zaś które wydzielają się przy ujemnym t. j. katodzie: kationami. Wszystkie ciała podzielono na dwie grupy anionów i kationów, a wszystkie zjawiska rozkładu zapomocą prądu elektrycznego, ujęto w karby ścisłych praw elektrolitycznych. Temi to właśnie prawami elektrochemicznemi usiłowała elektromedycyna wytłumaczyć odrębne działanie biegunów na tkanki ustroju ludzkiego, a badania eksperymentalne wykazały, że biegun ujemny służyć może do niszczenia narośli, brodawek i guzów, podczas gdy biegun dodatni naodwrót ścinając krew i soki ustroju, łatwo przyczynić się może do wstrzymywania krwotoków i operowania chorobowo rozszerzonych naczyń. W krótkim stosunkowo czasie nauka o lekarskiej elektrolizie wzbogaciła się licznemi technicznemi ulepszeniami, a przyrządy, o różnym kształcie, zależnie od celu, do którego mają służyć, dzisiaj znajdują się nietylko na każdym stole chirurga, ale i w niejednych rękach profana, używających idealnego odkrycia do prozaicznych celów epilacyi włosów i kosmetyki toaletowej.

Czem rok 1823 dla elektrolizy, tem był rok 1843 dla galwanokaustyki. Sam tytuł tego działu elektrochirurgii tłumaczy dostatecznie jego treść i jego znaczenie. Rozpalona przez prąd elektryczny pętla drutu od czasu pierwszych prób Monachijczyka Steinheila stała się w rękach chirurga drugim nożem, działającym szybko a pewnie, niszczącym tkankę chorą i tamującym krwotoki, któreby przy tem zniszczeniu powstać mogły.

W ten więc sposób przed końcem pierwszej połowy wieku zeszłego, nikły stos Volty i wszystkie z jego przeobrażenia powstałe baterye następnych badaczy oddawać mogły medycynie usługę potrójną i działać na ustrój mocą swych wła-

sności fizyologicznych, chemicznych i fizycznych. Te dwa ostatnie zakresy działalności prądu tak dalece nawet znalazły od razu zwolenników, że jak to zaznaczyliśmy, około r. 1840, podczas gdy elektrochirurgia zbierała wawrzyny, zastosowanie prądu do leczenia chorób nerwowego układu, a tembardziej naukowe zgłębianie praw, od których to leczenie zależy, cofnęły się w cień zapomnienia, a przynajmniej w kategoryę rzeczy zwykłych, z której dopiero epokowe badania takich uczonych, jak Du-Bois-Reymond, Hermann, Helmholtz i Pflüger, wyciągnęły je na porządek dzienny, a właściwie szeregiem ścisłych badań teoretycznych dały substrat do nowych praw i materyał do nowych zastosowań praktycznych. Musimy też na chwilę zejść znowu na ten teren badań naukowych, aby potem łatwiej wyrozumieć całokształt praktycznych dedukcyj. Oczywiście, że w niniejszym szkicu sztucznym musi się wydać taki przedział między elektromedycyną teoretyczną a praktyczną, boć chyba w rzeczywistości szły one zawsze mniej więcej ręka w rękę; musimy jednak dodać dla usprawiedliwienia, że w historyi wynalazków właśnie naprzemian wybijają się epoki badań teoretycznych i praktycznych, o pewnej barwie, jeśli nie wyłącznej, to bodaj przeważającej, tak, że dla historyografa łatwiejszym a dla czytelnika bardziej przeglądowym i poglądowym sposobem jest, naszem zdaniem, trzymanie się głównej cechy pewnych epok, z lekkiem tylko podkreśleniem różnych zdarzeń i prądów podrzędnego dla danej epoki znaczenia.

VI.

Dla okresu historyi elektromedycyny, do omawiania którego przystępujemy, t. j. dla kilkunastu lat, bezpośrednio następujących po tryumfach elektrolizy i galwanokaustyki, charakterystycznem jest dążenie do głębszego teoretycznego rozpatrzenia działania prądów elektrycznych na poszczególne narządy ciała ludzkiego i zwierzęcego, oraz z drugiej strony do bliższego zbadania egzystencyi i präegzystencyi takich prądów w samym organizmie. W tych dwu kategoryach badań wyróżnia się na kartach dziejowych po roku 1840 szereg głośnych imion i po-

tężnych umysłów, przyświecających przez całe dalsze pół wieku nauce, przedewszystkiem w pierwszej kategoryi Du-Bois-Reymond, Helmholtz i Pflüger, a w drugiej kategoryi badań tenże Du-Bois-Reymond, Hermann i Bernstein. Obdarzony przez naturę pomysłowością i biegłością eksperymentalną, Du-Bois Reymond wprowadza do nauki szereg przyrządów ścisłych, że tylko wymienimy jego busole, pozwalające badaczowi mierzyć i obserwować zjawiska elektryczne w ustroju, oraz przyrządy saneczkowe, umożliwiające dokładne regulowanie prądów magneto-indukcyjnych i indukcyjnych, o teoretycznej zasadzie których mowa już była w elektrotechnicznej części naszego szkicu. Uzbrojony w przyrządy przenośne, a ścisłe, mógł odtąd każdy badacz łatwo zbierać spostrzeżenia do skarbnicy wiedzy. Z drugiej strony Helmholtz, zamiłowany we fizyce i matematyce, a dla chleba oddawszy się medycynie, pod mistrzowskim wpływem twórcy fizyologii, Jana Müllera, w krótkim stosunkowo czasie tak liczne i tak wszechstronne dał dowody niezwykłej zdolności zgłębiania zjawisk przez pryzmat praw fizycznych i matematycznej ścisłości, że życie jego rzeczywiście uważać można za szereg udatnych prób wyrywania naturze niezbadanych dotąd tajemnic. Do szkicu niniejszego nie należą z natury rzeczy, ani klasyczna praca „o zachowaniu siły“, ani prosty w konstrukcyi a potężny w działaniu wziernik oczny, ani daleko idące badania nad fermentacyą i gniciem; wystarczy jeżeli wspomnimy o sposobach badania najmniejszych faz czynności mięśnia, sztucznie podrażnionego elektrycznością, o przyrządach, służących do przelewania na papier automatycznie skreślonych przez łapkę żabią dowodów tej czynności i niejako autofotografii przebiegu tejże, wreszcie o genialnej myśli uchwycenia w karby czasu chyżości przenoszenia się prądu elektrycznego po nerwie do mięśnia, którą dawniej uważano za błyskawiczną i nieuchwytną. A przy tem wszystkiem, z pomocą zwykłego, naonczas bardzo pierwotnego mikroskopu, wykazał uczony badacz związek nerwów z komórkami zwojów ośrodkowych, kładąc podwalinę pod wielką naukę o budowie i czynnościach układu nerwowego ośrodkowego i obwodowego. Z kłębka zawikłanych praw natury, wyciągnięte

przez wymienionych badaczy nici końcowe rozwijają się niebawem coraz bardziej i bardziej; z początku poplątane między sobą, z biegiem czasu układają się obok siebie w barwne wstęgi, tworząc najpiękniejszy deseń różnorodnych teoretycznych kombinacyj i naukowych analogij. Rozplątywać tę mozolną tkaninę lat i pokoleń nie dozwalają nam ramy i cel publikacyi; wszelakoż łatwo zrozumieć można, czem były epokowe odkrycia, w połowie XIX. wieku dokonane, gdy się porówna całokształt wiedzy, nauki dzisiejszej o czynnościach ustroju z tem, co wiedziano przed laty. Mając w udoskonalonych przyrządach elektrycznych możność podrażniania czy to kurczliwości mięśniowej, czy wrażliwości zmysłowej, czy zdolności wydzielniczej gruczołów, można było łatwo sztuczne wywoływać czynności różnych narządów organizmu, analizować je fizycznie, chemicznie, biologicznie w porównaniu do czynności rzeczywistych, badać ich przebieg i zawisłość, rozwijając i potwierdzając lub poprawiając hypotetyczną budowę przeszłych domysłów. Z początku używano może nieco chaotycznie i prądu indukcyjnego z przyrządu saneczkowego Du-Bois-Reymonda, zbudowanego na wiadomych nam zasadach Faràday'a, i prądu stałego z różnych stosów, skonstruowanych przez następców Volty; niebawem jednak, od czasu gdy Pflüger pomnikowe ogłosił prawa o działalności podrażniającej prądów przerywanych (indukcyjnych) oraz o tem, że prąd stały działa podrażniająco tylko podczas przerw, a podczas stałego działania odrębny ma wpływ na obu biegunach, do czego się odwołamy poniżej, mówiąc o zastosowaniu leczniczem tychże, od tego tedy czasu więcej ładu panuje w badaniach rówieśników i następców Du-Bois-Reymonda, Helmholtza i Pflügera, które wyrastają w system wykończony fundamentalnej nauki o czynnościach ustroju. Notatka niniejsza nie jest zbiorem tez z popularnej fizyologii, które ciekawy czytelnik może znaleźć gdzieindziej [1], lecz rzutem oka na rozwój teoretycznej i praktycznej elektromedycyny w ciągu zeszłego

[1] Np. w rozprawce: „Jak się objawia życie ludzkie". Dr. Zanietowski. Kraków. Str. 128.

wieku. Zaczepić jednak musieliśmy o tematy, w których elektryczność stała się sprężyną i motorem, źródłem i bodźcem. Zdaje się nam, że czytelnik łatwo pod wpływem naszych uwag wyobrazi sobie przed oczyma, jak postępowała budowa tego całego gmachu, przy pomocy sztucznego wywoływania rozmaitych czynności ustroju, którego skomplikowany mechanizm do coraz prostszych redukował się praw.

VII.

Poza badaniami Du-Bois-Reymonda i jego następców, które, jak widzieliśmy, oświetliły wiedzę szeregiem nowych praw i spostrzeżeń, a elektromedycynę teoretyczną i praktyczną na nowe pchnęły tory, w połowie zeszłego wieku, jak wspomnieliśmy, niemniej ważny zaszedł drugi zwrot w historyi wynalazków. Tym przełomowym po prostu, że się tak wyrazimy, w dziejach elektromedycyny faktem, było baczne zwrócenie uwagi na zjawiska elektryczne w samymże ustroju. Wszystko, o czem dotąd mówiliśmy, począwszy od najpierwotniejszych prób nad żabią łapką, a kończąc na zastosowaniach naukowych i leczniczych prądu, objąćby można obszerną nazwą nauki o wpływie na ustrój elektryczności, poza tym ustrojem wytwarzającej się lub wytworzonej. Ale poza tym działem badań naukowych, od czasu sławnych doświadczeń Galvani'ego i jego następców nad łapką żabią, które stały się, jak to śmiało rzec można, nietylko podstawą teoryi elektromedycyny, ale punktem wyjścia całej nauki o elektryczności i dzisiejszego jej zastosowania do wiedzy i przemysłu, pojawiały się od czasu do czasu obserwacye nad samoistnemi elektrycznemi własnościami tkanek, a przedewszystkiem nerwów. Fakt bowiem, że nerwy są w ustroju jedynemi pośrednikami między zewnętrzną powierzchnią czuciową a wewnętrznemi narządami, o których doświadczenie uczyło, że zawiadują pewnemi czynnościami, fakt, że stan czynny po tych nerwach na kształt jakiejś fali przenosić się musi, nasuwał ciągle badaczom myśl, że czynność nerwów ma coś wspólnego z elektrycznością. Z powodu niedokładności metodyki pozostawały przez długi czas wszelkie poszukiwania bez skutku, a dopiero

ten sam Du-Bois-Reymond zdołał właśnie wykazać za pomocą osobnych przyrządów istnienie prądu samoistnego w nerwach i w mięśniach. Główną zasługą tego badacza, na którą tu nacisk położyć należy, jest zastosowanie odpowiednich galwanometrów, o bardzo znacznym oporze wewnętrznym oraz skonstruowanie przyrządzików, za pomocą których łączyć można nerwy z galwanometrem, zwanych elektrodami niepolaryzującemi. Elektrody te, złożone z rurek wypełnionych siarkanem cynkowym, w których się z jednej strony znajduje drut lub blaszka cynkowa, z galwanometrem połączona, a z drugiej strony korek z gliny wymieszanej z solą kuchenną, na którym nerw leży, dają wszelką gwarancyę, iż w nich samych nie powstają samoistne prądy elektryczne. Jeżeli natomiast położymy nerw na takich elektrodach z galwanometrem połączonych, to igiełka galwanometru wychyli się, co oczywiście jest dowodem, iż w nerwie jakiś prąd istnieć musi. Prąd ten nazwał Du-Bois-Reymond spoczynkowym w przeciwstawieniu do prądów czynnościowych, o których potem będzie mowa. Jeżeli do badania bierzemy nerw, przecięty w jednem miejscu, drugim zaś końcem połączony np. z mięśniem, to w takim razie prąd otrzymujemy tylko przy połączeniu powierzchni podłużnej z przekrojem poprzecznym; jeżeli połączymy dwa punkta powierzchni podłużnej, zwykle prądu nie otrzymujemy; jeżeli wreszcie bierzemy nerw, zupełnie wycięty z ustroju, to zwykle punkta położone bliżej powierzchni poprzecznego przekroju są w stosunku do punktów dalej od niego leżących elektro-ujemnemi, jak cynkowa blaszka stosu Volty względem miedzianej. Du-Bois-Reymond stwierdził dokładnie te wszystkie fakta i udowodnił, co przedewszystkiem jest jego zasługą, że opisane zjawiska uważać należy za własności elektryczne samych nerwów a nie za wynik jakiegoś eksperymentalnego błędu lub artefaktu. Fakta, opisane przez Du-Bois-Reymonda wstrząsnęły oczywiście światem naukowym. W samym organizmie jest elektryczność, jest fluidum! Wnet stanęły przed oczyma pamięci i ryby elektryczne, któremi Scribonius Largus leczył od bólu głowy na 31 lat przed Chrystusem, i „trembladory“ południowej Ameryki, ogłuszające

konie uderzeniem podobnem do wyładowania się iskry elektrycznej, i kąpiele z ryb przeciwko podagrze działające, wedle wersyi Pliniuszów, Galenów i Dioskoridesów. Może wszystkie ustroje mają w sobie mniejszy lub większy ładunek elektryczności? Ale chwilowy zapał ostyga wnet nieco pod wpływem badań Hermanna, który zwraca uwagę, że najsilniejsze prądy powstają przy uszkodzeniu żywego nerwu i że na odwrót nerwy lub części nerwu obumarłe żadnego prądu nie dają *(sind stromlos)* i formułuje przytem prawo o t. zw. „prądach demarkacyjnych". Prawo to opiewa: „W każdem naruszonem włóknie mięśniowem lub nerwowem wyobrazić sobie należy w miejscu uszkodzenia płaszczyznę odgraniczającą substancyę obumierającą od tej, która pozostała nienaruszoną, czyli płaszczyznę demarkacyjną; substancya obumierająca zachowuje się zawsze elektroujemnie względem nienaruszonej, i tem to zachowaniem się tłumaczyć należy wszystkie zjawiska elektryczne w nerwach naruszonych, a będących w stanie spoczynku; takie prądy spoczynkowe możnaby zatem nazwać prądami demarkacyjnemi".

Prawa Hermanna ograniczały nieco polot zbyt pochopnych i ogólnikowych przypuszczeń, ale z drugiej strony, wykazując związek między istnieniem prądu elektrycznego w nerwie, a życiem tegoż, po pewnej przerwie stały się nową pobudką do dalszych badań. Jedni też w zapale posuwają się do twierdzenia, że kręgosłup gymnotów nie jest niczem innem jak zwykłym stosem Volty; drudzy analizują w świetle krytycznem doświadczenia Galvani'ego ze żabią łapką, szukając innych powodów skurczu, niż te, o których dotąd mówiono; inni wreszcie wytężają wszystkie siły na wyszukanie genezy zjawisk w anatomicznej budowie elektrycznych ryb, sprowadzanych z Nilu lub Orinoka. Wśród ogólnego ruchu i zapału najwięcej jednak pożytku przyniosła ścisła obserwacya tych zjawisk, które opisywać zaczęli Du-Bois Reymond i Hermann, oraz dalszy rozwój pierwotnych praw, sformułowanych przez tych badaczy, rozwój, któremu po części oni sami w dalszych latach pracy, po części zaś ich następcy głośną zjednali sławę. Okazało się mianowicie, że w pewnych warunkach prądy nerwowe, o których mówiliśmy

powyżej, a które Du-Bois-Reymond nazwał spoczynkowemi, a Hermann demarkacyjnemi, uledz mogą pewnym zmianom. Jeżeli np. taki nerw, którego własny, samoistny prąd wychyla igiełkę galwanometru, drugim zewnętrznym sztucznie wytworzonym prądem wprawimy w stan czynny, czyli podrażnimy, to igiełka galwanometru cofnie się, na znak, że pierwotny prąd samoistny wśród czynności nerwu osłabł. Nazwano to zjawisko z powodu cofnięcia się igiełki galwanometru „wahaniem wstecznem“, a z powodu czynności sztucznie podrażnionego nerwu „prądem czynnościowym“. Istnienie tego prądu nietylko zbadano dokładnie, ale nadto oznaczono szybkość jego przebiegu i zależność od otaczających wpływów; co więcej rozłożono go na pojedyncze składniki, tłumacząc, dlaczego to czuła igiełka galwanometru raz w jedną, a raz w drugą wychyla się stronę, nie przypadkowo i nie bez głębszej przyczyny. Świetlny promień, który oświetlał tajniki naukowe rozłożonym został niejako na składowe barwy, których suma tworzy dopiero jasny biały ton. Z kolei rzeczy nad tą zastanowimy się sprawą.

(Dok. nast.)

Dr. J. Zanietowski.

KRYTYKA LITERACKA A NAUKA.

(Ciąg dalszy).

III. MOMENTY STYCZNE I ROZBIEŻNE.

Przy roztrząsaniu pytania, czy krytyka literacka jest nauką, zaczęliśmy od badania metod, które na to pytanie usiłowały dać odpowiedź twierdzącą. Przekonaliśmy się jednak, że ani wspaniały gmach Tain'a, ani przeróbka tego gmachu, dokonana przez Hennequina, nie opierają się na trwałych podstawach. Ponieważ już nikt inny ogólniejszego całokształtu naukowej krytyki literackiej nie stworzył, nie pozostaje nam nic innego, jak przypatrzyć się poszczególnym częściom krytyki literackiej tak, jak one w obecnym stanie rzeczy istnieją, i roztrząsnąć, o ile mieszczą w sobie pierwiastek naukowy.

Wobec tak postawionej kwestyi, pytanie nasze da się w następujący sposób określić: czy i jakie są momenty styczne i rozbieżne nauki i krytyki literackiej?

1. Historya w krytyce literackiej.

W szeregu nabytków, jakie ostatni wiek wniósł do dziedziny krytyki literackiej, na pierwszem miejscu stoi historya. Nie bierze się już pod analizę dzieła literackiego samego w sobie, w oderwaniu od warunków i przyczyn, które na powstanie jego wpłynęły, ale wpierw bada się i określa te warunki i przyczyny, i na tej podstawie dopiero rozbiera się zawartość danego utworu.

Racyonalności i słuszności takiego badania nie trzeba już dzisiaj uzasadniać, bo korzyści jego są aż nadto widoczne. Choćby przed oczyma miało się tylko ten jeden wzgląd, ażeby dane dzieło dokładnie zrozumieć i odczuć, sam ten wzgląd jużby za potrzebą takiego badania przemawiał. Jest przecież oczywistem, że poznanie przyczyn i warunków jakiejś rzeczy na samą jej istotę i wartość wewnętrzną wiele światła rzuca.

Choć nie wchodzimy jeszcze w oznaczenie bliższych granic, w jakich badanie to historyczne mieścićby się powinno, to jednak jakąś ogólniejszą granicę wytknąć musimy dlatego, by przy roztrząsaniu naukowej strony tego badania, nie dać się sprowadzić pewnym jego kierunkom z właściwej drogi.

Ogólną tę granicę wytycza sam przedmiot i cel literackiej krytyki. Co się przedmiotu tyczy, to niema i nie może być dwu zdań, że jest nim jakiś dany literacki utwór. A cel? Bliższe roztrząsanie w tem miejscu różnych opinij, jakie są o celu krytyki, uprzedziłoby tylko bez potrzeby pochód naszego rozumowania. Uchylając się od niego na razie, możemy jednak w różnych tych opiniach doszukać się wspólnego gruntu, na podstawie ogólnie przyjętej i uznanej nazwy „krytyka literacka“. Z samej tej nazwy wynika, że celem tym będzie jakaś krytyka literackiego utworu, jakkolwiek tę krytykę ktoś pojmuje, czy jako historyczne określenie cech dzieła, czy jako estetyczną analizę, czy jako refleksyjne odczuwanie jego piękności, lub w jakikolwiek inny sposób. W każdym razie będzie to jakaś umysłowa praca, odnosząca się do dzieł literackich i dzieła te tylko mająca na oku. Chodzi nam tylko o to, ażeby z granic tej krytyki wykluczyć dalsze, poza utwór literacki sięgające, cele.

Głównie mamy tu na myśli cel i konstrukcyę w metodzie Tain'a i Hennequina. Zaznaczyliśmy już przelotnie, że Taine nie bierze utworów literackich za cel ostatni swoich studyów; pojmuje je tylko jako środek do zrozumienia danego autora, a z autora wnioskuje o otaczającem go społeczeństwie. Dzieła literackie odgrywają w tym wypadku rolę zapisków kronikarskich, aktów dyplomatycznych, zwykłych historycznych źródeł, na których opiera się dziejopisarstwo. Ten tylko honor robi Taine

utworom literackim, że w szeregu źródeł historycznych stawia je na pierwszem miejscu; na co dzisiaj chyba żaden historyk nie zgodziłby się. „Jeden wielki poemat — pisze — jedna wielka powieść, wyznania jednego niepospolitego umysłu, więcej są nauczające, niż góra dzieł historycznych; oddałbym pięćdziesiąt tomów starych aktów i sto tomów korespondencyi dyplomatycznej za Pamiętniki Celliniego, Listy św. Pawła, Rozmowy Lutra, lub Komedye Arystofanesa". Pisząc zaś historyę literatury angielskiej, taki sobie stawia cel: „Pragnę napisać historyę jednego piśmiennictwa i poszukiwać w niem psychologii jednego narodu... W dziejach literatury angielskiej będę usiłował odsłonić mechanizm wewnętrzny, dzięki któremu Saksończyk barbarzyński został tym Anglikiem, jakiego oglądamy dzisiaj". Za Tain'em idzie Hennequin, kiedy, jako ostateczny cel swojej krytyki, stawia wnioskowanie „z poszczególnych rysów utworu... bądź o istnieniu pewnych cech umysłowych u autora, bądź o pewnych określonych warunkach całości społecznej, w łonie której ów utwór powstał".

Teorye Tain'a i Hennequina zawartością swoją należą bezsprzecznie ściśle do dziedziny krytyki literackiej, wykraczają jednak poza jej granicę swym celem, a co za celem idzie, i konstrukcyą. Cel taki w sobie wzięty może być także uprawniony do bytu, ale krytyce literackiej jest obcy; dzieła z takim programem pisane będą jakąś historyą, czy psychologią jednostek i narodów, nie wchodzimy już w to, czy zawsze ścisłą i pewną, ale nie literacką krytyką. Sam Hennequin to dobrze rozumiał i wyraził to jasno, przeciwstawiając krytyce literackiej swoją krytykę naukową.

Zaznaczywszy tę granicę, możemy już teraz przypatrzyć się poszczególnym częściom historycznego badania.

Wśród przyczyn, wpływających na powstanie literackiego dzieła, pierwszą, najbezpośredniejszy związek z dziełem mającą, jest autor, jego indywidualność fizyczna i moralna. Pierwszem więc zadaniem krytyka jest charakterystyka i określenie tej indywidualności.

Pomocniczem źródłem do takiego określenia są najpierw

literackie utwory danego autora. W jaki sposób ze źródła tego można korzystać, widzieliśmy już przy metodzie Hennequina. Wskazaliśmy tam na potrzebę sprawdzenia tego źródła, co do charakteru i przekonań autorów, w biografiach, bo, jak zaznaczyliśmy, nie zawsze można ufać ich szczerości, i nie zawsze życie imaginacyjne, wyrażone w utworach, pokrywa się z życiem rzeczywistem. Usuńmy także od razu nasuwającą się niektórym krytykom wątpliwość, czy przechodzenie takie od utworów do poznania autora, aby następnie poznawszy życie i charakter autora, powrócić znowu do utworów, nie jest bezpotrzebnem kołowaniem. Trudność ta jest tylko pozorną. Celem głównym jest zrozumienie utworu, środkiem do tego celu jest poznanie bezpośredniej jego przyczyny, autora, a jedną z pomocy do znajomości autora są także jego literackie dzieła. Znajomość ta, z dzieł zaczerpnięta, w pewnych szczegółach jest wątpliwą, w innych choć wątpliwą nie jest, znaleźć jednak jeszcze może jakieś potwierdzenie i objaśnienie w innych źródłach. Po dokonaniu tego sprawdzenia, kiedy już do dokładnej i pewnej znajomości pisarza doszedłem, powracam z tą znajomością do jego utworów i znajomością tą przyczyny oświetlam jej bezpośredni skutek — literackie dzieło. I choćby studyum takie dzieła nie dorzuciło mi ani jednego szczegółu do tej znajomości autora, jaką skądinąd posiąść mogę, to już samo ugrupowanie właściwości utworu pod kątem tworzącej je duszy, jak z jednej strony daje mi już jakieś określenie dzieła, tak z drugiej wskazuje mi jasno, na które szczegóły przy innych źródłach mam baczniejszą zwrócić uwagę.

Zastrzegłszy tę częściową hipotetyczność literackich dzieł, jako źródła pouczającego o autorze, co do reszty uznajemy zupełnie zasadę Hennequina, że dzieło literackie jest zobrazowaniem właściwości umysłu i duszy swego twórcy, że cechy estetyczne dzieła stoją do cech psychicznych autora w stosunku skutku do przyczyny. Na tej podstawie można dojść do bardzo obfitych wiadomości. Pierwszą grupę tych wiadomości będą stanowiły myśli, przekonania, dążności, ideały, uczucia, w dziele zawarte. Choć warunkowo, rozumiem już jednak, jaki ten czło-

wiek miał pogląd na życie i świat, i na otaczające go stosunki, co kochał a czego nienawidził, do czego i jakimi środkami dążył, jaki miał temperament i jakie zwyczaje. Ze sposobu oddania myśli i uczuć, przeglądnąć mogę dalej organizacyę psychiczną tego człowieka, — i pod tym względem utwory literackie są najwięcej mówiącym dokumentem. Czy rozum grał u niego naczelną rolę, czy wyobraźnia, czy uczucie, czy nerwy, — czy władze te były w harmonii, czy powikłane w walce ze sobą, — w jakim szczególniej kierunku każda z tych władz była uzdolnioną, jakim był zwłaszcza ogólny kierunek wyobraźni, jaką wreszcie była ewolucya tych uzdolnień. Mogę także ze sposobu opisywania zjawisk zewnętrznych dojść do jakichś wskazówek co do zdolności zmysłów, czy wogóle były wrażliwe, czy przytępione, a jeżeli były wrażliwe, to które wrażenia były bardziej zaostrzone, czy wzrokowe, czy słuchowe. Do tych i innych obserwacyj służą mi treść, kompozycya utworu, styl, rodzaj porównań i obrazów, stosunek artystycznej inwencyi i fikcyi do opisywanej rzeczywistości. Nie przy każdym autorze można dojść do równej obfitości szczegółów i do równie wyrazistej charakterystyki, nie przy każdym też tą samą można iść drogą. Jak widzieliśmy poprzednio przy teoryi Hennequina, inaczej postępuje się przy autorach subjektywnych, odkrywających od razu całą swą duszę, inaczej przy tych, co pierwiastek osobisty usiłują w pismach swych zatrzeć, inaczej także przy pisarzach oryginalnych, inaczej przy naśladowcach.

Zdobyta w ten sposób znajomość autora z jego utworów, choćby nawet była we wszystkich szczegółach pewną, nie jest jeszcze całkowitą. Mało chyba było autorów, którzyby siebie samych całkowicie odtworzyli w swych pismach. Tego dopełnienia, jakoteż sprawdzenia poprzednich wiadomości, mogą dostarczyć inne źródła.

Pomijamy w tem miejscu pewną przesadę w wydawaniu najdrobniejszych, tyczących się autora, aktów i notatek, jak też przy pisaniu monografij drobnostkowe dłubanie w małoznacznych szczegółach i wypadkach, w czem już Sainte-Beuve dał zły przykład. O tem, wraz z oznaczeniem bliższej granicy tego

rodzaju badań później, w części metodycznej. Niezależnie od tej bliższej granicy jest oczywistem, że tylko na podstawie biografij, listów prywatnych, sądów i świadectw ludzi współczesnych i innych tego rodzaju dokumentów, roztrząsanych oczywiście z krytyką historyczną, posiąść możemy, w miarę zawartości tych źródeł, znajomość dokładną i ścisłą danego autora, jako człowieka.

W ten sposób dokonana podwójna analiza, najpierw na utworach, następnie na biograficznych danych, kontroluje się wzajemnie i uzupełnia. Przy stosowaniu wyników drugiej tej analizy biograficznej do wyników pierwszej potrzebną jest naturalnie nadzwyczajna ostrożność. Nie wszystkie wypadki życia, choćby nawet ważniejsze, odtworzone są w utworach literackich, a tam, gdzie się odbijają, odbijają się często w drobnej tylko cząstce, zazwyczaj przekształcone, często tylko jako ogólny nastrój utworu, lub jakiś odcień myśli i uczucia. Dlatego też w miejsce luźnych anegdot literackich i opierających się na nich awanturniczych często hipotez, których niestety tyle dziś się namnożyło, głównem zadaniem wielu wybitnych krytyków jest dziś raczej dążenie, by na podstawie podwójnej tej analizy dojść do syntezy, odtwarzającej ściśle charakter danego pisarza, jako człowieka-artysty, charakter, w jego istotnych i podstawowych rysach, z których już wszystkie wypadki i szczegóły życia, jako konsekwencya naturalna wypływają. Charakterystyka taka, poparta biograficznemi szczegółami, pewnemi i co do związku z literackiem dziełem stwierdzonemi ściśle, na dzieło to niejeden rozjaśniający promień rzuca. Już nie patrzymy na nie jak na wyciętą z tła tkaninę, o której nie wiemy, skąd się wzięła i co właściwie ma znaczyć, lecz rozścieliwszy je na tle życia pisarza, widzimy je w swej przyczynie, w swym początku i genezie [1].

[1] Obecnie we Francyi zjawiać się zaczyna nowy rodzaj pomocniczych źródeł, opierający się na psychologii eksperymentalnej, dość jednak ekscentrycznie pomyślany. Dr. Toulouse fizyolog i psycholog podał eksperymentacyi kilku żyjących literatów, między innymi Zolę i Lemaitr'a. Eksperymentacya trwająca lat kilka, metodyczna i szczegółowa. Jakie jest

Kreślimy metodę tych badań, w dzisiejszym jej stanie istnienia, tylko w ogólnych liniach, bo nie wykład metody jest tu celem, ale rozbiór jej naukowego charakteru. Otóż już przy pierwszej tej części charakter ten niedwuznacznie się rysuje. Niema wcale tu mowy o ściślejszej nauce, doszukującej się ścisłych praw psychologicznych, co do duszy i uzdolnień artystów, praw w tem znaczeniu pojętych, w jakiem pojmuje swoje prawa nauka przyrodnicza, nie pojmuje się też w ogólności tych studyów, jako przygotowawczego materyału pod eksperymentalną psychologię. Są to badania ściśle historyczne. Kiedyś, przed laty, gdy historya zajmowała się tylko polityczną stroną życia ludzkiego, trzebaby było, jeżeli nie dowodzić, to przynajmniej uzasadnić, że metoda badań historycznych, odnoszących się do literatury, jest identyczną z metodą badań historycznych, tyczących się politycznego życia. Dziś, gdy historya wszystkie objawy życia ludzkiego stara się objąć, artystyczne także i literackie, obowiązek ten odpada. Jedno tylko trzeba określić, jaki jest ogólny cha-

---

ukształtowanie czaszki, jaki jest prawdopodobny układ zwojów mózgu, jaka siła muszkułów, jaki sposób odżywiania się, jakie zaburzenia żołądkowe, sercowe i mózgowe, jaki oddech i obieg krwi, jakie zmiany temperatury ciała? Idą dalej obserwacye psychologiczne. Jaka stała asocyacya idei, jaka pamięć kolorów i dźwięków, jakie ocenianie odległości, trwania, wymiaru przedmiotów, jaka łatwość wysłowienia się i inne tego rodzaju spostrzeżenia. Wyniki takiej eksperymentacyi na Zoli pojawiły się kilka lat temu w osobnej książce. (*Emile Zola.* Paris 1896). Wiadomość o tem podaje G. Renard w dziele: *La méthode scientifique de l'histoire littéraire.* Paris 1900. Str. 63 i nast.

Pomijając pewną niestosowność osobistą, głównie ze strony poddających się takim spostrzeżeniom, nie widzimy na razie silniejszej racyi, by pod względem nauki przypisać im jakieś donioślejsze znaczenie. O ile metodę tę, w zawiązku dopiero istniejącą, ocenić można, powiększy ona tylko ilość drobnoznacznych faktów, których i tak już mnóstwo literaturę obiega. W każdym razie dla krytyki literackiej ma tylko historyczną wartość. Przyszły krytyk literacki weźmie i ten dokument w ręce, i wyjmie zeń kilka ważniejszych szczegółów. Naturalnie, że i tu potrzeba pewnej krytyki, bo zakraść się mogą i w tego rodzaju obserwacye usterki, czy wskutek niedokładności obserwatora, czy dla nieszczerości i pozy obserwowanego. Zresztą metoda ta nie ma przed sobą wielkiej przyszłości z tego praktycznego względu, że mało będzie wybitniejszych artystów, którzyby się na śmieszność, jaka w poddawaniu się tego rodzaju eksperymentom tkwi, narażać chcieli.

rakter historyi, w stosunku do nauki. O tem na końcu niniejszego rozdziału.

Postąpmy do dalszego studyum tych badań. Indywidualność autora, będąca bezpośrednią przyczyną dzieła, sama od dalszych przyczyn bywa w niejednym względzie zależną. Dalsze te przyczyny stoją zatem do dzieła literackiego także w stosunku przyczynowym, wprawdzie pośrednim, bardzo jednak dla dokładnej jego znajomości ważnym.

Przyczyny te dalsze nazywamy krótko przyczynami pośredniemi. Przy samem poszukiwaniu tych przyczyn, koniecznem jest, dla systematyczności w pracy, poklasyfikować je w pewne kategorye, ale przy tej klasyfikacyi nie trzymają się krytycy jednego szablonu. Często używaną klasyfikacyą jest formuła Tain'a: rasa, otoczenie, moment dziejowy. Ale formule tej nie wszyscy jednakowe podkładają znaczenie. Są jeszcze wielbiciele Tain'a, co, choć pewne braki w jego teoryi uznają, usiłują jednak w ogólnych przynajmniej konturach zachować to naukowe znaczenie, jakie, według ich pojęcia, tej formule nadawał sam Taine [1]. Inni, choć przyjmują klasyfikacyę Tain'a

[1] Bardzo oryginalne stanowisko wobec teoryi Tain'a zajmuje p. Chmielowski. Pisał o niej kilkakrotnie, ostatnim razem w cennem dziele „Metodyka historyi literatury polskiej" (Warszawa 1900). Z jednej strony rozumie doskonale jej braki i wytyka je bardzo wymownie, równocześnie jednak tak staje w jej obronie, iż widocznem jest, że chce, czy chciałby zachować ją w całości; co się zaś tych momentów tyczy, których słuszność i wielbicielowi uznać trudno, spodziewa się w przyszłości takiej ewolucyi nauki, któraby słuszność tej teoryi w całości uzasadniła. Ostateczny, praktyczny, rezultat, do jakiego dochodzi p. Chmielowski, streszcza się najlepiej w tem jego zdaniu: „Przewidzieć niepodobna, jakie jeszcze udoskonalenia w sposobie badania tworów ducha dokonane być mogą, a tymczasem potrzebujemy, z natury umysłu naszego, poglądów ogólnych, ujmujących w pewną całość szereg zjawisk, aby nie utonąć w masie szczegółów, gromadzących się w coraz większej liczbie" (str. 196). Abstrahując od tych nadziei na przyszłość, które bynajmniej sprawić nie mogą, by jakiś pogląd ogólny był obecnie ścisłem prawem, co do reszty nie stoimy od przekonań p. Chmielowskiego daleko. Jeżeli p. Chmielowski pojmuje prawa Tain'a jako poglądy ogólne, lub, jak w innem miejscu mówi, jako uogólnienia literackie, mające wartość względną, to, odsunąwszy tylko na bok kwestyę o rasie, piszemy się na to całkowicie. Ale w takim razie nie rozumiemy

nie przyjmują jej w jego rozumieniu. Opierając się na zasadzie, że oryginalność i wogóle osobowość jednostek literackich jest dla nas ilością nieznaną i, że przyczynami ogólnemi i zbiorowemi można tłumaczyć tylko znamiona ogólne i zbiorowe, odmawiają jej wartości naukowej przy stosowaniu do osobników literackich, a przyznają tę naukowość, choć nie ścisłą, przy stosowaniu jej do literackich epok, szkół, kierunków, znaczących się już pewnemi wspólnemi rysami[1]. Teorya ta nie wytrzymuje jednak krytyki. Jeżeli nie jestem pewny o słuszności tego prawa, co do poszczególnych autorów, składających jakąś literacką epokę, to skądżeż mogę mieć pewność, że wspólność znamion u kilkunastu czy kilkudziesięciu pisarzy jest rzeczywistą, a nie pozorną tylko wspólnością, że u każdego z tych samych, a nie z różnych przyczyn płynęła. Wogóle, jeżeli formuła ta ma mieć jakkolwiek ścisłą wartość, to przedewszystkiem powinna ją mieć w zastosowaniu do jednostek; ma ona określić przyczyny działania ludzkiego, a działanie to ostatecznie na czynach jednostek polega. Niezależnie od tej trudności, trudność największą przedstawia sama podstawa tej teoryi

---

dobrze, jaki właściwie cel praktyczny ma obrona całego systemu, i to obrona, popierana takiemi sentencyami samego Tain'a, które teorematom tego systemu mają zapewnić charakter praw ścisłych. Zapewnienia p. Chmielowskiego, ostatecznie schodzące na to, że sam Taine nie pojmował swoich dążeń reformatorskich, jako dążeń do nauki ścisłej, stoją z temi zdaniami w sprzeczności. Mówiliśmy zresztą o tem w jednym z poprzednich rozdziałów i przytoczyliśmy tam z listu Tain'a zdanie o analogii nauk literacko-historycznych z naukami przyrodniczemi. Mówiąc o tej analogii, nie chciał powiedzieć Taine, że swoją teoryą dąży do ścisłości analogicznej ze ścisłością nauk przyrodniczych, bo dążył do ścisłości im równorzędnej, tylko, ponieważ mówił o naukach, różniących się przedmiotem i środkami badania, nie mógł mówić o tożsamości. Nie rozumiemy też dobrze, jak pogodzić zdanie p. Chmielowskiego o względności literackich uogólnień, z innem jego zdaniem, że zasada o wpływie rasy, środowiska i doby dziejowej, jest już ustaloną (str. 39). Tę samą trudność sprawia nam jego określenie historyi literatury: „Historya literatury jest nauką, dążącą do wykrycia praw rozwoju myśli, uczuć i ideałów ludzkich...“ Nie rozumiemy dobrze, jak p. Chmielowski pojmuje te prawa. Mówimy jeszcze o tej sprawie w toku niniejszego rodziału.

[1] A. Ricardou, *La critique littéraire.* Str. 73 i nast.

formuła Tain'a. Jak sprawa z jej ściśle naukową wartością, niezależnie od jakichkolwiek stosowań, stoi, widzieliśmy już poprzednio.

Najsłuszniejsze stanowisko wobec formuły Tain'a zajmują ci krytycy, którzy odsunęli na bok jej pretensye do ścisłej naukowości, do kategorycznego, nieomylnego prawa i wychodzą z tego ogólnego faktu, że w życiu każdego człowieka bywają różne odnośnie, które zazwyczaj na to życie swój wpływ wywierają. Faktu tego nie uznają za ścisłe prawo, bo ani granice jego nie dadzą się bliżej określić, ani stała prawomocność jego ściśle sprawdzić. Czy te lub inne relacye wpływ swój wywarły, w jakim stopniu wywarły, za tem poszukuje się metodą historyczną w każdym poszczególnym wypadku, a doszukawszy się tego wpływu, stwierdza się jego istnienie. Więc nie na mocy określonego i pewnego *a priori* prawa odbywa się to badanie, i nie stwierdzanie takiego prawa, lecz stwierdzenie poszczególnych relacyj, mogących mieć skądinąd bardzo szeroki i ogólny zakres, jest tego badania celem. Innemi słowy, są to studya historyczne takie, jak je w obecnem stadyum widzimy.

Coraz też ciszej w dzisiejszych studyach literackich, posługujących się formułą Tain'a, o pierwszym czynniku tej formuły, o rasie, a dodajmy, jest to tylko dowodem ścisłości tych studyów. Wobec tego, że już nietylko o psychiczno-fizyologicznych znamionach jakiejś rasy, ale nawet jakiejś narodowości, etnologia dzisiejsza nic ścisłego powiedzieć nie jest w stanie, rozprawianie w krytyce literackiej o tym czynniku byłoby tylko bawieniem się w nieuzasadnione, czcze, nieraz fałszywe ogólniki. I dlatego, ze stanowiska naukowej ścisłości, z uznaniem tylko należy powitać ten fakt, iż niektórzy pisarze wracają już do formuły, przed Tain'em używanej, a streszczającej się w jednem słowie: otoczenie. Otoczenie to dzielą na trzy kategorye: otoczenie psycho-fizyologiczne, otoczenie kosmiczne, otoczenie społeczne [1].

---

[1] G. Renard, *La methode scientifique de l'histoire littéraire.* Paris 1900. Str. 68 i nast.

Pierwszy czynnik, otoczenie psycho-fizyologiczne, ma ciasny zakres i wogóle do małoznacznych tylko wyników może doprowadzić. Oto, gdy już nie można nic ściśle stwierdzonego o rasie powiedzieć, trzeba wziąć pod uwagę jakaś mniejszą całość, jaką jest rodzina. Choć prawo dziedziczności bynajmniej nie jest ściśle sprawdzone, a dziedziczność literacka jest nadzwyczaj rzadkim w historyi wypadkiem, to jednak jakaś wspólność temperamentu, skłonności, uzdolnień u danego autora i u jego przodków, jakoteż u współczesnych mu krewnych jest często widoczną, a we wspólności tej można odnaleźć niejeden rys, tłumaczący organizacyę psycho-fizyologiczną danego autora. Metodą taką posługiwał się, nieraz z wielkim pożytkiem, Sainte-Beuve. W każdym razie, wtedy tylko o tej wspólności coś się orzeka i wyciąga z niej wnioski, gdy do tego ma się wystarczające w ręku dowody. Jest to widnokrąg ciaśniejszy na razie od tego, jaki przy rasie i narodowości się roztacza, ale mniej ulegający złudzeniom[1]. Na razie, bo gdyby kiedyś pewne znamiona rasy lub narodowości były ściślej ustalone, podpadłyby z natury rzeczy pod jego zakres.

Drugie dwa otoczenia, kosmiczne i społeczne, rozdzielają między siebie ten szereg wpływów, jaki Taine nazwą „otoczenia“ i „chwili dziejowej“ objął. Teren tu dla badań nadzwyczaj obfity, mogący wiele doniosłych dostarczyć wskazówek. Klimat, położenie geograficzne kraju, przyroda, rodzaj sąsiedztwa, warunki polityczne, społeczne, ekonomiczne, religijne, współczesne kierunki przekonań i dążeń, bieżące wypadki, wszystko to, w większym lub mniejszym stopniu wpływać może i zazwyczaj wpływa na każdego człowieka. Na tle tego otoczenia nakre-

[1] Renard pojmuje szerzej zakres tego otoczenia, czynniki jednak, jakie w nie wciąga, jak sposób życia danego autora, otoczeniem właściwie nie są. Są to najbezpośredniej osobiste właściwości człowieka, które bada się w jego biografii, przed badaniem wpływów otoczenia. Renard w przytoczonem dziele nie porusza żadnej nowej idei, usiłuje tylko dotychczasowe idee systematycznie i krytycznie zestawić. Nie zawsze jednak cel swój osiąga.

ślona indywidualność autorska zyskuje dopiero pełne swoje zrozumienie.

Z pomiędzy wpływów otoczenia, specyalne dla krytyki literackiej znaczenie mają wpływy literackie; wpływ jednego pisarza na drugiego, jednej epoki na drugą, lub wzajemne wpływy całych literatur na siebie. Wobec faktu, że mało jest oryginalnych twórców, a wielu naśladowców, a tylko oryginalność przedstawia istotną wartość literacką, oddzielenie w dziełach literackich tego, co jest naśladowaniem, od tego, co jest własnością osobistą, lub w stosunku do literatur zagranicznych, oddzielenie pierwiastku rodzimego od pierwiastku obcego, jest niezbędną koniecznością. Tam zaś, gdzie niema naśladowania, lecz tylko jakaś dalsza zależność, poznanie tej zależności jest już poznaniem jakiejś przyczyny, wpływającej na literackie dzieło, czy na zbiór dzieł, a jako takie rzuca mniejsze lub większe światło na charakter ich i wartość.

Najmniej skomplikowanym wypadkiem jest badanie wpływu jednego lub kilku pisarzy na danego autora. Potrzebną jest też rozleglejsza znajomość literatury, aby wiedzieć, w którą stronę za szukaniem tego wpływu się zwrócić. Tę znajomość posiadając, jakoteż skontrolowawszy uprzednio chronologię porównywanych utworów, czy posądzany o zależność utwór jest co do czasu późniejszy, i czy nie trzeba tej zależności jeszcze dalej szukać — przez samo już zestawienie tych utworów dochodzi się do pouczających wyników. Można będzie w nich dostrzedz różne stopnie i rodzaje wpływów, to całkowite naśladownictwo, to zapożyczanie się w pewne tylko formy, lub pomysły, lub tylko w ogólny ton i koloryt pisania. Naturalnie, że przy tego rodzaju studyum konieczną jest ostrożność i ścisłość we wnioskach, aby nie opierać twierdzeń na lada podobieństwie pomysłu i formy

Więcej trudu i uzdolnienia wymagają studya, doszukujące się wpływów większych całości na siebie, czy epok, czy literatur całych. Praca, wobec nawału materyałów, olbrzymia, narażająca często na niebezpieczeństwo powierzchownych sądów i błędnych uogólnień, ale z natury swojej opierająca się także na

danych, ulegających kontroli, i dlatego mogąca dojść do rezultatów ścisłych nauki historycznej.

Uwzględnialiśmy dotychczas głównie metodę przy studyum jednego pisarza; jest rzeczą oczywistą, że ten sam charakter, pod względem nauki, mają ogólniejsze studya historyczne, zajmujące się czy jakąś szkołą literacką, czy epoką, czy literaturą całą, czy ewolucyą rodzajów literackich, wogóle jakimś większym odłamem literackiej twórczości. Pierwszym krokiem przy takiej pracy, suponującym już uprzednią znajomość wszystkich szczegółów, składających się na daną całość, jest podział na grupy naturalne, w rzeczywistości istniejące; podziału zaś tego nie opiera się na jakiemś apryorystycznem prawie, ale na podstawie zaobserwowanych i ściśle stwierdzonych cech wspólnych, a cech, nie gdzieś poza dziełami literackiemi, ale w samych dziełach literackich, w tem, co jest tym dziełom istotnem, tkwiących. Po dokonaniu tego podziału na ogólniejsze i podrzędne kategorye, czy okresy, zależnie od bardziej powszechnych i bardziej istotnych, lub mniej powszechnych i mniej istotnych znamion, po scharakteryzowaniu i określeniu ścisłem tych znamion, wraca się do szczegółów, do charakterystyki dzieł i autorów i charakterystykami temi wypełnia się ogólne ramy. Metodę przy szczegółowych tych charakterystykach omówiliśmy już poprzednio, dodać tu tylko należy, iż układ poszczególnych charakterystyk w całość, ich obszerność, ich wzajemne ustosunkowanie, powinny być takie, któreby większej, lub mniejszej ich doniosłości i rzeczywistemu stanowi całości odpowiadały.

Kiedy już krytyk jakąś większą całość objął i znamiona jej określił, skłania go sama natura umysłu ludzkiego do sformułowania tych znamion w jakieś ogólniejsze prawo. Próbek takich praw istnieje dziś mnóstwo całe. Jakie warunki odpowiadają bardziej poezyi epicznej, jakie liryce lub dramatowi, w jakim stosunku pozostaje jedna epoka literacka do drugiej, czy stosunek ten opiera się na podstawie przeciwieństwa, — jak było w rzeczywistości w ostatniej epoce naturalizmu, idącego po idealizmie — lub, jak chce Bourget, na dalszości rozwoju tak, że rysy istotne następnej epoki tkwią już w zawiązku

w epoce poprzedniej, takich i tym podobnych praw istnieje już wiele i co chwila powstaje.

W obecnym stanie rzeczy, tworzenie takich i tym podobnych praw, nosi na sobie po wielkiej części bardzo nieokreślony charakter. Raz pretendują te prawa do ścisłości nauk przyrodniczych, to znowu są luźnemi, dyletanckiemi spostrzeżeniami. W rzeczywistości, pewne prawa w literaturze mogą być odkrywane, ale muszą się one opierać na jakimś zakresie ściśle stwierdzonych faktów, a jako takie mogą mieć tylko wartość i ścisłość praw historycznych. O prawach historycznych wzmiankujemy zaraz poniżej, obszerniej o całej tej sprawie wypadnie nam pisać w części metodycznej.

Pomijając już inne badania, których charakter historyczny jest aż nadto widoczny, jak naprzykład, badania krytyki bibliograficznej, co do autorstwa i czasu wyjścia danego dzieła, kończymy ten przegląd, o tyle tylko naszkicowany, o ile to było potrzebnem dla określenia charakteru tych badań. Stwierdziliśmy już ich historyczny charakter, wejdźmy teraz w rzecz głębiej i przypatrzmy się, jakim jest charakter historyi pod względem nauki. Rozległą tę kwestyę uprości nam zestawienie historyi z tą naukowością, jaką Taine krytyce literackiej usiłował narzucić.

Nie ulega wątpliwości, że Taine, przy zbieraniu materyałów do swojej Historyi literatury angielskiej, poznał także niedokończone dzieło historyka Buckl'a p. t. „Historya cywilizacyi w Anglii". W dziele tem wygłosił Buckle podobną zasadę do tej, na jakiej teorya literacka Tain'a opiera się, tę mianowicie, że „czyny ludzkie zależą od poprzedzających je czynników, spoczywających bądź w duchu ludzkim, bądź w przyrodzie". Jak Taine, marzył tak samo i Buckle, że zasada ta doprowadzi do wykrycia praw rozwoju ludzkości, a praw ścisłych w sensie nauk przyrodniczych, i jako istotne zadanie historyi stawiał poszukiwanie tych praw. Nie chcemy, przez to zestawienie Tain'a z Bucklem, orzekać całkowitej zależności pierwszego od drugiego, bo już przed zetknięciem się z dziełem Buckl'a znaczą się w pi-

smach Tain'a zawiązki przyszłej jego teoryi, wpływ jednak pewien jest oczywisty.

Teoryę tę Buckla, usiłującą przerzucić historyę do dziedziny nauk przyrodniczych, odnowił później jeszcze Bourdeau w książce „Historya i historycy“, gdzie domaga się od historyi, by dążyła do wykrycia praw mechanicznych ruchu dziejowego. Wogóle jednak przeszła już nad tą teoryą dzisiejsza historyografia do porządku dziennego, z tej prostej przyczyny, że nie mogła ona spełnić zadania, jakie sobie postawiła, bo charakter jej istotny jest od charakteru nauk przyrodniczych odmienny.

Odmienność ta nie zasadza się na różnicy logicznych norm, wedle których metodyczne badanie w historyi i w naukach przyrodniczych się odbywa, bo tu i tam po analizie danego zjawiska dąży się do syntezy, do urobienia sobie poglądu na jego całość, do poglądu zaś takiego dochodzi się zarówno tu, jak tam metodą porównawczą, zestawiającą wspólności i różnice. Nie w różności więc logicznych norm badania leży różnica między historyą a naukami przyrodniczemi, ale w różnych warunkach, z jakiemi te normy w dwu tych dziedzinach się spotykają, a co za tem idzie, w konieczności różnego stosowania tych norm. I tak, objektem badania w naukach przyrodniczych są przedmioty, a w drugim dopiero rzędzie zachodzące procesy, które na tych przedmiotach można obserwować, — w historyi tymczasem objektem tym w ostatniej instancyi są duchowe procesy, ludzkie działanie i pobudki tego działania, a przedmioty o tyle, o ile są tego działania wynikami. Z tą różnicą łączy się druga, wypływająca z natury tych procesów, a dla naszej kwestyi decydująca. Proces taki, stanowiący przedmiot historyi, czy będzie nim działanie poszczególnego człowieka, czy ogólniejsze dziejowe zjawisko, jak kształtowanie się państw, jak stosunki gospodarcze, zawsze ma tylko znaczenie szczegółowe, bo choćby dwa fakty historyczne były najbardziej do siebie zbliżone, identyczne nie będą nigdy. Każdy fakt historyczny dzieje się w określonych warunkach czasu i miejsca, które nigdy dosłownie się nie powtarzają, tak samo nie powta-

rzają się nigdy dosłownie warunki fakt poprzedzające, które na istotną wartość każdego faktu wpływają, ani też warunki po nim następujące. Różnica zatem między podobnemi faktami istnieje nietylko w pewnych zewnętrznych rysach, ale w tem głównie, że każdy z nich ma swoje samodzielne znaczenie i sobie tylko właściwe oszacowanie wartościowe. Inaczej ma się rzecz z przedmiotem nauk przyrodniczych. Choćby nawet żadne zjawisko przyrody nie było w obrębie swego gatunku całkowicie drugiemu równe, to jednak różnice te, jako nieistotne, przy zestawianiu wspólnych cech gatunkowych, czy rodzajowych, można bez uszczerbku odsunąć na bok, istotne zaś cechy będą zawsze te same. Na tej podstawie dają się zjawiska przyrody, jak zjawiska światła, ciepła, ująć pod ogólną, jednoznaczną zasadę, tak samo mając określony wedle znamion wspólnych gatunek roślinny lub zwierzęcy, mamy tem samem dokładne określenie każdego okazu, do tego gatunku należącego. W historyi zaś takie sumowanie faktów pod jednoznaczną zasadę, czy gatunek, wobec pomienionej, każdemu faktowi istotnej, jednostkowości, udać się nie może. I dlatego też metoda porównawcza w historyi polega głównie na porównaniu szczegółowem, dążącem do utworzenia poglądu na dane zjawisko dziejowe, przez oznaczenie związku między częściami składowemi danego zjawiska, jakoteż między następującemi po sobie jego stanami. Porównanie ogółowe łączące spostrzeżenia oddzielnych porównań szczegółowych w ogólne, pokrewne sobie kategorye, jakiem posługują się nauki przyrodnicze, w historyi rzadziej i w innem zastosowaniu, niż w naukach przyrodniczych ma miejsce. Albo zestawia się fakty do badanego faktu podobne i wnioskuje się, że związek przyczynowy, jaki tam zachodził, i przy danym fakcie analogicznym będzie, albo zestawia się fakty różne, przy których jednak te same czynniki, ten sam człowiek, albo to samo stronnictwo, albo ten sam naród, działały, i z właściwości charakteru tych czynników, w pewnym szeregu faktów już poznanych, wnioskuje się, że i w badanym, odmiennym wypadku, czynniki te analogicznie do tych właściwości postępują. Porównanie takie ogółowe, wymagające wiele

ostrożności i ścisłości, często prowadzące do bardzo problematycznych wyników, jest zatem zupełnie odmienne od porównania ogółowego w naukach przyrodniczych. Niema przedewszystkiem tego przymiotu, który stanowi istotę porównań przyrodniczych, żeby porządkować mogło szczegóły pod jednoznaczną generycznie zasadę[1]. Porządkuje je tylko na podstawie analogii.

Z tego rozważania wypływa najpierw dość wyraźnie właściwy charakter historyi, stawiający jej jako główne zadanie, dokładne przedstawienie poszczególnych objawów działania ludzkiego, w ich powstaniu i rozwoju, w ich przyczynach i skutkach. Charakter ten właściwy jest, tak częściowym pracom historycznym, jak ogólniejszym studyom, obejmującym dzieje jednej narodowości, czy ludzkości całej, we wszystkich objawach jej życia i we wszystkich fazach rozwoju. Wypływa dalej, że obcem jest historyi stawianie praw takich, jakie stawiają nauki przyrodnicze. Prócz pomienionej jednostkowości czynów ludzkich, wchodzi tu nadto w grę łącząca się z nią niemożliwość eksperymentacyi, a na eksperymentacyi ostatecznie ścisłość praw przyrodniczych się opiera. Mówiliśmy już o tem w jednym z poprzednich rozdziałów.

Choć nie może historya stawiać praw ścisłych, w sensie nauk przyrodniczych, jakieś jednak stawianie praw, tak zwanych praw historycznych, jest jej zupełnie właściwe. Prawa te powstają przez zastosowanie ogólnych, psychologicznych, zasad, działaniu ludzkiemu właściwych, do szczegółowych warunków historycznego rozwoju. Nie będzie jednak żadne z tych praw aksyomatycznym punktem wyjścia przy historycznem badaniu, ani ostatecznem uogólnieniem historycznych wiadomości, najmniej zaś taką zasadą działania ludzkiego, z którejby się dały wyprowadzić historyczne zjawiska. Wartość ich polega na tem, że w ogólniejszym zakresie faktów, do których się odnoszą, określają różne relacye, uwarunkowania, bliższe lub dalsze przyczynowe związki.

[1] Cfr. W. Wundt. *Methodenlehre.* 2 Afl. 1895. II. Abth IV. Absch. 1. 3. Capitel. — Ch. Sigwart. *Logik.* 2. Afl. 1893 2. Band. 5. Absch. VII. § 99.

Wobec tego, że historya, w zakresie swoich zjawisk, dąży systematycznie, właściwą sobie analizą i syntezą, do wykrycia przyczyn i praw, wynika jasno, czemu dziś ostatecznie nikt poważny nie przeczy, że jest ona w prawdziwem tego słowa znaczeniu nauką. Nie jest nauką w tym sensie i w tym stopniu ścisłą, w jakim chcieli mieć ją Buckle i Taine, bo nie jest jedną z gałęzi nauk przyrodniczych, lecz, odnośnie do swego przedmiotu, jest jedną z nauk duchowych, lub jak inni autorowie je nazywają, humanitarnych.

A zatem i historyczna część w krytyce literackiej ten sam posiada charakter.

Przejdźmy teraz do dalszych części składowych literackiej krytyki.

(C. d. n.).

Ks. J. Pawelski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z nowych powieści.

Adam Krechowiecki: „Fiat lux". — Wł. St. Reymont: „W jesienną noc".

Ciekawem jest zjawiskiem literackiem, że Sienkiewicz nie stworzył u nas dotąd żadnej powieściopisarskiej szkoły, a wcale nie zanosi się na to, przynajmniej na razie, żeby ją jeszcze w przyszłości mógł stworzyć. Jak zjawienie się jego historycznych powieści, choć miało w naszej literaturze jakichś poprzedników, było dość niespodziane, tak dość niezwykłym jest ten brak następców. W tej chwili idzie ze Sienkiewiczem tylko p. Krechowiecki.

Ostatnia powieść p. Krechowieckiego, *Fiat lux!* [1], odnosi się do czasów Jadwigi i Jagiełły. To, że zjawiła się po „Krzyżakach", mogłoby się na pierwszy rzut oka niepodobać, bo wygląda na zanadto pedantyczne trzymanie się Sienkiewicza. Sienkiewicz pisał o wieku XVII., za Sienkiewiczem pisał o wieku XVII. i p. Krechowiecki, Sienkiewicz zwrócił się do epoki Jagiełły i tu znowu ma przy boku towarzysza. Ktoś złośliwy mógłby wspomnieć na wiersz Mickiewicza:

> Krągły słonecznik, licem wielkiem, gorejącem,
> Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Dodaliśmy jednak, że tak wydaje się tylko na pierwszy rzut oka. Sienkiewicz mógł wpłynąć częściowo, istotna jednak przyczyna,

[1] Adam Krechowiecki. *Fiat lux!* Obraz historyczny z czasów Jadwigi Jagiełły. Warszawa. 1901.

dla której p. Krechowiecki poszedł w tę epokę, był 500-letni jubileusz uniwersytetu jagiellońskiego. Zawiązki tego uniwersytetu mają być przewodnią ideą tej powieści, jak to nawet sam tytuł wskazuje; uniwersytetowi też powieść tę dedykuje autor.

Powieść p. Krechowieckiego kończy się mniej więcej na tym momencie, od którego powieść Sienkiewicza właściwie się zaczyna, na śmierci Jadwigi, zaczyna się zaś od wstąpienia Jadwigi na tron polski; całe zatem jej panowanie jest tłem, a zarazem i głównym motywem tej powieści. Zakres więc olbrzymi; wchodzą w tę powieść i zabiegi Wilhelma i starania się Jagiełły o rękę młodej królowej, wahania się jej i walki wewnętrzne, wynikające stąd tragiczne sytuacye, ślub Jadwigi z Jagiełłą i ich nieszczęśliwe pożycie, chrzest Litwy, wyprawa na Ruś, intrygi dworskie, wreszcie ostatnie chwile Jadwigi i założenie po jej śmierci uniwersytetu. Cały Długosz na długość i szerokość wszedł w tę powieść. Prócz tych wybitniejszych postaci występują i drugorzędne każda z osobnem powieściowem zawikłaniem, postacie i nieznane w historyi, i mniej lub więcej znane, jak Gniewosz z Dalewic, lub Spytko z Melsztyna.

Kiedy się pomyśli, że ten olbrzymi materyał, który ledwo w kilku wielkich tomach powieści mógłby się pomieścić, zamknięty jest w jednym tomie, to zdumienie ogarnia. Jest to też tej powieści pierwszy, zasadniczy, błąd. Autor nie nazwał tego utworu powieścią, lecz tylko historycznym obrazem. chciał może tą nazwą tę wadę usprawiedliwić lecz wobec tego, że utwór cały ma się najwidoczniej opierać na literackiej twórczości, nazwa sama o niczem nie decyduje. Z tą wadą łączy się druga. Wskutek nawału wypadków historycznych tworzenie literackie nie mogło się należycie rozwinąć; jest twórczości tyle, że utwór ten nie jest historyą, ale powieścią, jest znowu nieprzetrawionej w umyśle twórczym historyi tyle, że jest nieudaną powieścią. Nie widzi się właściwie w tej powieści głowy autora, odtwarzającej własną siłą świat historyczny, lecz raczej jego ręce, przenoszące całe stronnice drukowanej kroniki na przygotowany do pisania papier, a po drodze, w ciągu tego przenoszenia, przekształcające dorywczo materyał historyczny na treść powieściową, siłą tylko nabytej powieściopisarskiej rutyny. Wskutek takiego procederu postacie powieści są anemiczne, bez duszy, większość scen powieści bez życia i plastyki, pewne momenty psychiczne, nadające się doskonale do rozwinięcia i już zaczątkowo rozwinięte, w dalszym ciągu zbyte kronikarską wzmianką. Specyficzny charakter psychologiczny epoki prawie że nie uwzględniony; ogólnikowa taka psy-

chologia, jak ją w tej powieści widzimy, jest każdej epoce właściwa. To, co miało być głównym celem utworu, założenie uniwersytetu, jest sobie faktem, jak wiele innych drugorzędnych w tej powieści, i tylko wskutek tytułu i perswadowań autora zwraca się na nie jakąś baczniejszą uwagę. Pomijając drobniejsze usterki, ma się jeszcze do autora wielki żal o królową Jadwigę. Wskutek tego, że położył autor bardzo silny nacisk na miłość jej do Wilhelma, a niechęć do Jagiełły, na nieszczęśliwe następnie pożycie jej z mężem i na snujące się na około nich intrygi dworaków, właściwa Jadwidze wielkość, szlachetność, świętość, choć o tych przymiotach pisze także autor, jest prawie całkiem przyćmiona. Pochodzi to stąd, że autor składa obok siebie wypadki historyczne, nie utworzywszy sobie przedtem ich psychologicznej syntezy. Wszystkie te wady tłumaczymy sobie pośpiechem, żeby jeszcze w okresie jubileuszu uniwersyteckiego tę powieść wydać, lecz lepiej byłoby, gdyby wyszła później, a inaczej wypadła.

Popełnilibyśmy wielką niesprawiedliwość, gdybyśmy nie wspomnieli o dodatnich przymiotach tej powieści. W charakterystyce ukazywał zawsze autor wielki talent przy kreśleniu charakterów popędliwych gwałtownych, ten talent jaśnieje tu w pełni, przy charakterystyce litewskiego księcia Skirgiełły. Typ ten oddany jest nadzwyczajnie żywo i plastycznie. Wiele też scen jest bardzo udatnych, że wspomnimy wjazd Wilhelma na Wawel, chwilę, gdy Jagiełło odcina Perkunowi prawicę, opis pojedynku Spytka z Janem z Münsterberga, opis bitwy nad Worsklą.

Wspomnieliśmy na początku o zależności p. Krechowieckiego od Sienkiewicza, dodajmy jednak, by być sprawiedliwym, że zależność ta nie zaciera bynajmniej indywidualności. Redukuje się ona ostatecznie do tego, że p. Krechowiecki pisze powieści historyczne, a w tem pisaniu bierze Sienkiewicza za wzór pod jednym tylko względem, pod względem opisowości, jak w bitwach, pojedynkach i t. d. Różni zaś obydwu rodzaj temperamentu. U Sienkiewicza przeważającą cechą, że metaforycznie naszą myśl oddamy, jest trzeźwość majowego, pogodnego poranku, gdzie wszystkie przedmioty ukazują się w wyrazistych kształtach, gdzie nadto dokoła roztacza się zdrowa, krzepka, normalnie rozwijająca się, natura. Ten przymiot nie odpowiada temperamentowi p. Krechowieckiego. Gdyby Sienkiewicz był Walter Scottem, lubującym się w mglistej poświecie księżycowej i w burzliwych nocach jesiennych, w tajemniczości i fantastyczności, w charakterach ekscentry-

cznych, zależność p. Krechowieckiego byłaby większa, bo w tych momentach tkwi jego artystyczna dusza. — Szkoda, że w tym, w mierze utrzymanym, kierunku nie rozwija p. Krechowiecki bardziej swoich zdolności.

Wiele siły twórczej bije z małego zbiorku obrazków p. Reymonta [1]. I wielka precyzya w uchwyceniu tych tylko rysów, które do istoty obrazka należą, bez rozmazywań i niepotrzebnych przydatków; i malarska koncepcya, wszystkim prawie obrazkom tak właściwa, iż sprawiają one wrażenie małej galeryi pejzaży; w tych pejzażach każdy rys, czy przyrody, czy duszy ludzkiej oddany z płaskorzeźbową wypukłością, wprost z natury żywiołową mocą wyrwany i przeniesiony na papier — a poza tą malarską stroną pełno jeszcze tajemnych drgnień duszy, dla malarza już nieprzystępnych, dużo subtelnego odczuwania nastrojów i psychicznych stanów.

Tytuł całego zbiorku „W jesienną noc", wzorem francuskim od tytułu pierwszej noweli nadany, doskonale charakteryzuje ogólny, bardzo oryginalny, koloryt i nastrój wielu z tych obrazków. To, co autor z przyrody głównie maluje, to jest martwa cisza jesieni na polach odartych i nabrzmiałych wilgocią, cisza, pełna tylko monotonnego szmeru deszczu. Środkiem tych pustych, czarnych pól ciągnie się droga rozmiękła, podobna do błotnistej, grzązkiej rzeki, a po jej bokach rowy i bruzdy pełne wody i bezlistne drzewa, pochylające się bezwładnie. Ku martwym polom, ku szkieletom drzew, ku czarnym, wznoszącym się po wzgórzach i rozstajach krzyżom, podnosi się od wschodu jesienna noc i zarzuca na wszystko brudne łachmany zmroku, a za nocą, niby pies, wciska się wiatr, przewala się ze świstem po przemiękłych podorówkach i rwie ostatnie liście brzozom żółtym i bukom czerwonym. Gdy się noc kończy, zjawia się świt blady, anemiczny, o rozwichrzonych zorzach na czole, podnosi ciężkie powieki chmur i po pustych polach patrzy senną, zapłakaną źrenicą. Na tem jesiennem tle rysują się smutne, ciężkie chwile ludzkiego życia, tylko smutne i ciężkie. Jest w tem pewna jednostronność, jest wiele chwilowego pesymizmu, niema jednak tego beznadziejnego uogólnienia, co powszechnemu życiu całą zabiera pogodę. Autor przedstawia chwile smutne, i choć o innych stronach życia nie mówi, nie chce ich jednak wykluczać. Wpatrzył się tylko na razie w jesień przyrody i życia.

---

[1] Władysław St. Reymont. „W jesienną noc". Warszawa. 1900.

Taki jest ogólny charakter. Od tego charakteru odbiegają niektóre obrazki, jak naiwna legenda ludowa o Chrystusie Panu, chodzącym po ziemi z Piotrem i Judaszem, — jak bardzo piękny obrazek z katakumb, etycznie dodatni i nic z pesymizmem niemający wspólnego, w przygotowawczej tylko części trochę rozwlekły, i w kilku szczegółach z archeologią niezgodny, — jak po części obrazek z pod włoskiego nieba, może na d'Annunzio wzorowany, a dość niezrozumiały, i wywołujący wkońcu raczej efekt dziennikarski, niż artystyczny. Po części także odbiega od tego charakteru sylwetka, kreśląca ostatnie chwile konia „Sokoła", pod względem techniki wspaniała, pod względem jednak rzeczowym chybiona, bo przedstawia tragedyę tam, gdzie tragedyi niema, przypuszcza nadto u zwierzęcia wyobraźnię, tworzącą zupełnie nowe, od doświadczenia poprzedniego niezależne obrazy, co jest niezgodne z prawdą. Podobną sytuacyę ale tylko urywkowo, kreśli nowela Żeromskiego: „Rozdzióbią nas kruki, wrony". Inny znowu obrazek odbiega od ogólnego charakteru ideą fatalizmu, tem bardziej w tym wypadku nieuzasadnioną, że wina widoczna.

W charakterystyczne szczegóły tego zbiorku wchodzić trudno, bo trzebaby wyjść daleko poza granice przeciętnej oceny. Należałoby się dokładniej przypatrzyć wspaniałej, realistycznej, fakturze przy opowiadaniu o dwojgu biednych leśniczych, gdy ze smutkiem opuszczają długoletnie mieszkanie, pakują sprzęty na wóz i idą na komorne, a w ostatniej chwili, sami nie wiedząc czemu, wracają jeszcze do chaty, by po jej kątach bezmyślnie się pobłąkać. Albo ta bogata inwencya autora, co ze zwykłej burzy jesiennej, huczącej nad opuszczonym parkiem i przewracającej nadpsute posągi, potrafi utworzyć oddzielny, żywy, dramatyczny obrazek. Niepotrzebnie tylko i niesłusznie nadaje autor posągowi Wenery podniosłe znaczenie. Opisów w tym małym zbiorku prawdziwie pięknych tyle, że niewiadomo któremu większą poświęcić uwagę. Jak, naprzykład, opisuje autor wnętrze młyna wiejskiego: „Olbrzymia młynica była pogrążona w tumanie, bielmem oślepła. Wiszący u sufitu kaganek rozkrążał nieco czerwonawego światła, w którem słabo się rysowały rzędy ganków i kontury maszyn. Wszystko się trzęsło, dygotało, poruszało owiane mączną kurzawą, goniło i pracowało; trzęsła się podłoga oślizgła, trzęsły się białe ściany; trząsł się pułap, od którego zwieszały się omączone nici pajęczyn, trzęsły się długie, białe skrzynie — a poza niemi, w głębi szarej, poruszały się automatycznie olbrzymie, czarne koła, przez które z krzykiem (!) przepływał

gruby, zielonawy strumień wody i rozwichrzoną, spienioną głową spadał na dół, na ostre pale, aż fundamenty się trzęsły i ziemia jęczała".

Te kilka ogólnych rysów mogą dać o tym drobnym zbiorku jakieś przybliżone pojęcie.

Ks. J. Pawelski.

Z tłumaczeń rosyjskich.

N. A. Lejkin: „Pod hiszpańskiem niebem". — L. Tołstoj: „Anna Karenina". — N. J. Kostomarow: „Kudejar". — Szczedrin-Sałtakow: „Nowele". — J. Poroszin: „Nowele". — Włodzimierz Koroleńko: „Niewidomy muzyk".

Ściślejsza ocena leżących przed nami przekładów z literatury rosyjskiej nie miałaby celu konkretnego; są to dzieła, albo dawniej już u nas znane i już ocenione, albo nie zbyt doniosłej wagi. Poprzestajemy więc na krótkiej notatce.

We wszystkich w nagłówku pomieszczonych dziełach staje przed nami świat zupełnie od naszego odmienny. Stają przed nami i śmieszne tego społeczeństwa strony, jak w powieści Lejkina [1], powieści humorystycznej, bardzo poczytnej, choć, dodajemy, nie pierwszorzędnym obdarzonej humorem; stają i strony poważne, jak we wspaniałej trzy tomowej powieści Tołstoja [2], gdzie widzimy Wielkorosyanina we wszystkich odcieniach i fazach życia rodzinnego, społecznego i państwowego. Bohaterowie tej powieści, a względnie autor, wypowiada wszystko, co myśli, o czem marzy, do czego zmierza, a mówi to z niezwykłą szczerością Znajdujemy również i tragiczne strony tego narodu, jak w źródłowo opracowanej powieści Kostomarowa [3]. Autor ten, tak w Rosyi ceniony i czytany, jak u nas Karol Szajnocha, w opowieści historycznej przedstawia czarne chwile z panowania Iwana IV. Groźnego. Niejednym węzłem zadzierzgnięty stosunek ówczesnej Polski z Rosyą czyni tę pracę Kostomarowa cenną i dla naszej historyi. W nowelach

---

[1] N. A. Lejkin. „Pod hiszpańskiem niebem. Opis humorystyczny podróży małżonków Iwanowów do Biarritz i Madrytu" tłumaczył z rosyjskiego G. W. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1900. Str. 320, w 8-ce.

[2] Leon Tołstoj. „Anna Karenina" przekład z 7 wydania. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1900. Tomów 3, w 8-ce.

[3] N. J. Kostomarow. „Kudejar". Powieść historyczna z czasów Iwana Groźnego tłumaczył ***. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1900. Str. 249, w 8-ce.

Szczedrina[1] widzimy, jak głębsze umysły, chcą przyjść w pomoc społeczeństwu swemu i bodaj w części usunąć, co razi i ośmiesza. Mając widocznie na celu wyższe sfery społeczne, myśl swoją wyrażają we formie bajeczki o bardzo trafnych i nieraz bardzo głębokich poglądach na stan rzeczy. Kilka podobnych rysów narzuca Poroszin[2] w swych nowelkach, z których pierwsza osnuta na tle zaburzeń, wynikłych w głębi Rosyi podczas epidemii cholery, kreśli wybornie psychologię ludu. Druga bardzo smutna i ciemna — smutna jak zima w głębi Rosyi — ciemna jak noc zimowa w czasie śnieżnej burzy — kreśli nam sylwetkę byłego sołdata, życiem i trudami obozowemi złamanego — obecnie stróża nocnego w zapadłem wielkorosyjskiem miasteczku. A stróż ten, to zlepek służbistości, apatyi, bezmyślnego wyczekiwania co los przyniesie, i wiary, która umierającemu od zimna każe przez sen mówić: „Prawda, że Bóg ciężko mnie doświadczał, ale teraz będę mógł umrzeć spokojnie". Spokojna śmierć, bez myśli co potem będzie — spokojna, byle spokojna, oto wymarzona zapłata za długie, pełne cierpienia, życie. Co do utworu Koroleńki[3], mozoliłem się nad odpowiedzią na pytanie: po co tłumacz, a względnie Spółka Wydawnicza powiększyła literaturę polską tak słabą pracą. Zanadto cenimy Spółkę Wydawniczą, aby ją posądzić o brak głębszej myśli w wyborze dzieł, które swą poważną firmą zaszczyca — składamy przeto wybór tej książeczki jedynie na przypadek.

Ks. Alfred Wróblewski.

Ireneusz z Lugdunu a nasze ewangelie. Studyum krytyczne. *Ks. dr. Józef Kaczmarczyk.* Kraków 1901. (Str. 108).

Od dłuższego czasu wre w Niemczech, a poniekąd i w innych krajach zacięta walka o czas, w którym powstały księgi Pisma św. Nowego Zakonu, a głównie cztery kanoniczne ewangelie. Nowomodny protestantyzm, który zatracił zupełnie nadprzyrodzony pierwiastek, chciałby odebrać naszym ewangeliom wartość współczesnych, wiarogodnych świadectw i przypisać je czasom późniejszym. Musi do tego

[1] Szczedrin-Sałtakow. „Nowele. — Karaś idealista. — Wierny Trezor". W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1900. Str. 29, w 8-ce.

[2] Nowele J. Poroszina. „Przed burzą. — Stróż nocny". Tłumaczył z rosyjskiego G. W. W Krakowie. Główny skład w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1899. Str. 155, w 8-ce.

[3] Włodzimierz Koroleńko. „Niewidomy muzyk". Przekład z rosyjskiego St. M. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1900.

dążyć, bo ewangelie zawierają zbyt wyraźne świadectwa o bóstwie Chrystusa i o nadprzyrodzonym charakterze chrystyanizmu. Ale praca to trudna: za autentycznością ewangelij przemawia cała tradycya, przemawiają wszyscy pisarze od wieku II. — i to nietylko z obozu katolickiego, ale i z różnych sekt heretyckich, przemawia język i forma samych ewangelij i zupełny brak poszlak, że te dzieła mogły powstać później, jak w drugiej połowie pierwszego wieku. Ale od czego „wyższa, wewnętrzna krytyka!“ Nowa t. zw. krytyczna szkoła niewierzących teologów protestanckich porzuciła prawie zupełnie drogę pozytywnej historycznej krytyki; nie dba o najjaśniejsze świadectwa historyi, lecz układa sobie *a priori* system, w jaki sposób musiały powstać ewangelie, naciąga do tego systemu całą historyę i przekręca fakta najwidoczniejsze, by tylko uratować „system“. A że zawsze błąd jest i będzie różny, to nic dziwnego, że w tej sprawie *quod capita, tot sensus* (a może *nonsensus*); co jeden „krytyk“ uznaje jako pewnik, to drugi zbija. Na jedno się chyba godzą, że ewangelie w tej formie, jak je dziś mamy, nie mogły powstać prędzej jak w drugim wieku; są one późniejszą recenzyą i przeróbką jakichś pierwotnych ewangelij z pierwszego wieku, których dziś ani śladu nie mamy. Ta krecia robota nowomodnych hyperkrytyków ma jednak tę zasługę, iż obudziła w obozie katolików i wierzących protestantów potężną reakcyę: wielu uczonych mężów dostarczyło, opierając się na pewnym gruncie tradycyi i historyi, wspaniałych i niezbitych dowodów co do autencyi naszych ewangelij. To też sami racyonaliści wyznają, że na polu krytyki Pisma Nowego Zakonu nastąpiła znaczna reakcya ku tradycyjnym poglądom.

W tę ważną a trudną dziedzinę krytyki wkracza książka ks. d-ra Kaczmarczyka. Zajmuje się ona jedną z najważniejszych postaci drugiego wieku, św. Ireneuszem z Lugdunu i jego stosunkiem do naszych ewangelij. Świadectwa tego Ojca Kościoła mają nieocenioną wartość dla historyi Kanonu Nowego Testamentu i są wspaniałym dowodem autentyczności ewangelij. Mają zaś to znaczenie nietylko dlatego, że pochodzą od męża, znanego ze swej świętości, uczoności i sumienności, ale że są świadectwem człowieka, który był pośrednim uczniem apostołów: św. Ireneusz był bowiem uczniem św. Polikarpa ze Smyrny, a ten czerpał wiarę z ust św. Jana Ewangelisty. To też nic dziwnego, że racyonaliści starają się obniżyć wartość jego świadectw. Nie mogą ich zaprzeczyć lub na swoje przekręcić; starają się przynajmniej dowieść, że św. Ireneusz nie był uczniem Polikarpa, a Polikarp nie był uczniem św. Jana apostoła, lecz jakiegoś „prezbytera“ tegoż imienia.

Ten sam prezbyter miał być też nauczycielem biskupa Papiasza i na jego słowach opierają się rzekomo wszystkie świadectwa późniejszych Ojców co do autentyczności ewangelij.

Przeciw tym zarzutom zwrócona jest pierwsza część rozprawki ks. K. Kaczmarczyka, której autor dał tytuł: „Św. Ireneusz a tradycya apostolska". Bada on w tej części stosunek św. Ireneusza do Polikarpa, Polikarpa i Papiasza do św. Jana Ewangelisty i kwestyę o istnieniu t. zw. „Jana prezbytera". Po gruntownem zbadaniu tych kwestyj i ocenieniu przeciwnych argumentów racyonalistów, dochodzi autor do wniosku, że św. Ireneusz był rzeczywiście uczniem św. Polikarpa, a ten ostatni bezpośrednim uczniem św. Jana apostoła. O ile możności opiera się przytem na pewnych podstawach historycznych, a tylko tam, gdzie niema innej drogi, wchodzi na pole konjektur i domysłów; w każdym razie opierają się te konjektury na pewnych danych, uwzględniają zarzuty przeciwników i mają, bądź co bądź, ogromną wyższość nad dowolnemi, apryorystycznemi hipotezami przeciwników.

Druga część rozprawki zajmuje się świadectwami św. Ireneusza co do czasu powstania i autentyczności naszych ewangelij. Autor rozbiera przedewszystkiem klasyczny tekst Ojca Kościoła z dzieła: *adversus haereses* (III, 1, 1) i na podstawie tego tekstu, jako też świadectw innych Ojców Kościoła dochodzi do wniosków, że ewangelia św. Mateusza powstała między rokiem 45 a 50, św. Marka i Łukasza po roku 60, a św. Jana z końcem pierwszego wieku. Dalej przytacza autor mnóstwo dosłownych i wyraźnych cytatów z ewangelij, które znajdują się w dziełach Ireneusza i ukazują, że ten święty miał przed sobą nasze kanoniczne ewangelie i uważał je za autentyczne dzieła apostolskie, a nie miał pojęcia o żadnych „piorwotnych" ewangeliach, t. zw. *Urmatthäus, Urmarkus* i t. d. ani o żadnych λόγια Mateusza (różnych naszych ewangelij), które wynaleźli nowocześni krytycy, jakby na udowodnienie, że to nie w II-gim wieku, ale obecnie jest epoka pseudokrytycyzmu, w której mogą się zdarzyć rzeczy, o jakich się dawniejszym pokoleniom nie śniło. Uzupełniają tę część rozdziały: 4. „Ireneusz a problem synoptyczny" i 6. „Ireneusz a starych heretyków o naszych ewangeliach świadectwa". W pierwszym z nich tłumaczy autor kwestye, jaki jest stosunek wzajemny trzech pierwszych ewangelij. Rozumie autor ten wzajemny stosunek w ten sposób, że powstały one na podstawie wspólnego typu pierwotnej ustnej katechezy o najważniejszych zdarzeniach z życia Chrystusa Pana. Przytem przyznaje,

że Marek i Łukasz korzystali z ewangelii św. Mateusza, która przed ich dziełami powstała.

W ostatnim rozdziale podnosi autor, jak ważnem świadectwem dla autentyczności naszych ewangelij jest fakt, że nawet najdawniejsi heretycy z I-go i II-go wieku, którym ewangelie wcale nie były na rękę, nie śmieli im odmawiać pochodzenia apostolskiego; tak silnem i ogólnem było przekonanie o tem, z jakich czasów one pochodzą.

Rozprawa młodego autora robi wrażenie pracy sumiennej i świadczy chlubnie o jego krytycznym zmyśle. Można się nie zgadzać z niektóremi szczegółami, możnaby żądać tu i owdzie jaśniejszego przedstawienia rzeczy, ale na ogólny rezultat musi się zgodzić każdy nieuprzedzony. Co do formy, to język jest tu i owdzie niecałkiem poprawny, ale to wada prawie wszystkich naukowych publikacyj, zwłaszcza z dziedziny nauk biblijnych, tem łatwiejsza do wytłumaczenia, że na tej zwłaszcza niwie mamy w polskiej literaturze teologicznej nader mało pracowników. To też nowego pracownika serdecznie witamy.

Ks. dr. Adam Gerstmann.

Pismo święte w streszczeniu i wyjątkach ułożyła *Marya Zawiszyna.* Lwów 1900. (Str. 284).

Książka ta zawiera w kilkudziesięciu rozdziałach najważniejsze części Pisma św. w mniej lub więcej obszernych streszczeniach. Mniej więcej połowa ustępów jest wyjęta z ksiąg Starego Zakonu; druga połowa obejmująca wyjątki z Nowego Zakonu, dzieli się na trzy części: żywot Jezusa Chrystusa (ewangelie), apostołowie (dzieje apostolskie), listy apostołów (z apokalipsą).

Książka ta zdaje się mieć na celu zapoznać szerszą publiczność z Pismem świętem, a przynajmniej z jego najwybitniejszemi częściami. Czy czyni zadość temu zadaniu? Zdaje nam się, że nie. Już co do wyboru i układu części, nie możemy się zgodzić we wszystkiem z autorką. Tak np. załatwia się z całą historyą Józefa, syna Jakóba, w dwudziestu kilku wierszach, z historyą trzech magów w sześciu wierszach, opuszcza zupełnie historyę ucieczki do Egiptu i t. d., a poświęca np. dwie i pół strony na „nieczystości i oczyszczenia“ a dwie strony na „sądy i kary“ według prawa Mojżesza. Tak samo opuszcza najpiękniejsze psalmy (np. 21), dość dziwnie układa zdarzenia z publicznego życia Zbawiciela i t. d. Ważniejszym jednak błędem jest sposób, w jaki autorka cytuje Pismo św. Aby Pismo św. uczynić przystępnem dla ogółu są tylko dwie drogi: albo podaje się systematycznie wiadomości,

które z niego czerpiemy, jak to czyni historya biblijna, albo też podaje się dosłowny tekst Pisma z odpowiedniemi komentarzami. Zamiast tego podaje autorka tekst czasem dosłownie (w tłumaczeniu Wuyka), miejscami cokolwiek zmieniony, a miejscami w krótszem lub dłuższem streszczeniu, a czyni to w ten sposób, że nie zaznacza nigdzie, co jest tekstem, a co własnym dodatkiem lub streszczeniem. Ktoby chciał dojść, co właściwie w tej książce jest słowem Bożem, musiałby ją czytać, mając wciąż pod ręką autentyczny tekst Pisma św., a w takim razie po cóż ta książka? Jeszcze większym błędem jest to, że autorka podaje ustępy z Pisma bez żadnych komentarzy. Wiadomo przecież, że wiele ustępów z Pisma świętego jest trudnych do zrozumienia, potrzeba przy nich znacznego zapasu wiadomości lingwistycznych, archeologicznych, historycznych, teologicznych i t. d. Dlatego też Kościół, wychodząc z tej zasady, że *omnis prophetia Scripturae propria interpretatione non fit* (II. Pet. 1, 20), nie daje wiernym do rąk ksiąg Pisma św. bez opatrzenia go w komentarze. Inaczej czytanie Pisma nie przyniesie spodziewanych korzyści, a może stać się nawet szkodliwem. Tak np. damy konia z rzędem temu profanowi w teologii, który przeczyta z prawdziwą korzyścią i zrozumieniem w książce pani Zawiszyny rozdziały z ksiąg proroków: Izajasza (w którym opuszczono jedno z najważniejszych proroctw o narodzeniu Mesyasza z dziewicy), Amosa, Micheasza, Jeremiasza, Ezechiela lub wyjątki z apokalipsy. Kończymy zdaniem, że książka p. Zawiszyny chybiła celu. Nie daje ona ani poznania, ani tem mniej zrozumienia Pisma świętego.

Ks. dr. Adam Gerstmann.

Rozprawa egzegetyczna o pokusach Chrystusa Pana. Napisał *ks. dr. Stanisław Spis,* profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kanonik kapituły krakowskiej i t. d. Kraków 1900. Spółka Wydawnicza Polska. (W 8-ce, str. 70).

Wszystko w tej rozprawie, tak treść jak wzorowa forma, jak nawet sama zewnętrzna strona sprawiają wrażenie, że praca autora wypadła stosownie do chwili jubileuszu uniwersyteckiego, której jest poświęcona.

W rozprawie tej porusza autor wiele pytań bardzo poważnych. Jednem z nich, dość często poruszanych, jest pytanie: „dlaczego zły duch stara się o rzecz niemożebną? Wszak Chrystus Pan będąc Bogiem i człowiekiem w jednej osobie nie mógł grzeszyć, tak jak Święci Pańscy w niebie i aniołowie grzeszyć nie mogą! Wszak zły duch wie-

dział, iż Chrystus Pan jest Synem Bożym... dlaczegoż więc zły duch podejmuje czynność niemożebną, a więc i niepożyteczną?“ Czcigodny autor nie przystaje na to, jakoby zły duch miał dobrze znać niepojętą tajemnicę Wcielenia, jakoby mógł znać sposób, w jaki słowo Boże połączyło ze sobą przyrodę ludzką. Ze świętymi Tomaszem i Ambrożym autor uznaje, że dyabeł widział u Pana znaki Bóstwa, ale także znaki ludzkiej natury, a stąd, że czart wpadał na domysł o Bóstwie Chrystusa, ale niepewny i niespokojny, usiłował właśnie poddawać pokusy cudotwórstwa, aby wiedzieć dokładnie, kim jest ten prorok. „Tak kusi, zauważył za świętym Ambrożym autor, iż przytem bada, czy jest Synem Bożym, a tak bada, iż przytem kusi... Na ciekawe i badawcze pytanie, czy jest Synem Bożym, nie otrzymał żadnej odpowiedzi, a na podstępną radę (cudotwórstwa) otrzymał słowami Pisma św. odpowiedź i naukę, która go wstydem okryła i pokonała“.

Inne słowa znowu niejednego zastanawiają: „y wywiódł Go na górę wysoką y okazał Mu wszystkie królestwa wszego świata w ocemgnieniu“. Nad tą górą wysoką nieraz słychać podziw i pytanie, gdzie taka góra możebna? Autor najspokojniej rozstrzyga pytanie słowami św. Chryzostoma, że czart wskazywał tylko, gdzie leżą z każdej strony świata jedne królestwa za drugiemi, a bliższych kilka krajów i królestw dawniej udzielnych widać było z góry Nebo i z kilku innych. Nie trzeba tedy szukać odpowiedzi w śmiesznym domyśle, że czart na mapie geograficznej pokazał wszystkie królestwa. Innych znowu zastanawia myśl, jak czart brał Pana i przenosił na górę albo na ganek kościelny? Uczony autor także uwalnia od tej troski, bo obeznany z Ojcami Kościoła rozumieć pozwala te słowa o pieszej podróży i przywodzi właściwe słowa greckie św. Łukasza: „przeprowadził Go“, co nie wymaga żadnej podróży powietrzem.

Wzmianka o słowach greckich pozwala przejść do jednego zarzutu, jaki można zrobić Rozprawie. W książce jak ta Rozprawa, powinien nietylko wydawca i drukarz dorównać treści wytworną szatą, ale i korektor przyłożyć trudu do poprawy greckich akcentów i arytmetycznych liczb. Jak wszystko w Rozprawie wypada godne jej treści, tak korekta grecka i arytmetyczna nie zadawalnia wcale. W owych znaczkach greckich co chwila razi błąd, a w liczbach cytat nie można czasem odgadnąć, o co idzie, np.: „św. Grzegorz w tem miejscu tylko *36* dni liczy postu naszego przed Wielkanocą, gdyż niedziel do tego postu nie zalicza“. Wszak z niedzielami mamy dni postu 46, bez sześciu

niedziel dni 40: zatem korektor wstawił liczbę *36* zamiast innej i zatarł myśl św. Grzegorza.

Ks. K. Czaykowski.

Listy Stefana Witwickiego do Józefa Bohdana Zaleskiego wydał *Dyonizy Zaleski.* We Lwowie. Nakładem wydawcy. 1901. (W 8-ce, str. 4 nl.+135).

Tak małą dotychczas ilość ogłoszono listów Witwickiego, że za wydanie omawianego zbioru należy się prawdziwa wdzięczność p. Zaleskiemu. Zwłaszcza gdy listy te przewyższają treścią swoją korespondencye wszystkich naszych poetów XIX. wieku, z wyjątkiem chyba korespondencyi Bohdana Zaleskiego, tyle w nich cennego i bogatego materyału do biografii najrozmaitszych ludzi, do objaśnienia całego mnóstwa faktów, jakie wydarzały się na emigracyi. A ważne są te listy nietylko dla biografii ich autora, którego skromna postać oczekuje dotąd swojego biografa. Niezmiernie wiele napotkać można tutaj materyałów do charakterystyki wydarzeń emigracyjnych, do tem lepszego wyświetlenia czynności rozmaitych partyj i stronnictw, których tak wiele namnożyło się było pośród wychodźtwa polskiego we Francyi. Śmiało rzecz można, że bez tych listów autora „Poezyj biblijnych“ nie obejdzie się żaden historyk emigracyjnych czasów. Najcenniejszą wartość mają te listy do biografii Zaleskiego, przynoszą bowiem wiele zupełnie nieznanych dotychczas faktów, niektóre zaś znane wyświetlają. A materyał to autentyczny, na którym biograf śmiało może się oprzeć, nie należy bowiem zapominać, że Witwicki był dla Bohdana oprócz jednego Józefa Zaleskiego jedynym przyjacielem po r. 1840, że był on jedynym jego powiernikiem, wszakżeż ten przyjacielski stosunek trwał lata długie, bo jeszcze w czasach warszawskich po r. 1820 się nawiązał. Przekonujemy się z tych listów, że Zaleski niejednokrotnie szedł za radą Witwickiego, że przed nim otwierał duszę swoją całą, zwierzał się z myśli i planów swoich. Boć przecież w chwilach dopustów Bożych, w chwilach trosk ciężkich rodzinnych, Witwicki jeden umiał Zaleskiego pocieszyć, był zdolny wlać weń nadzieję w lepszą i pogodniejszą przyszłość. Śmiało rzecz można, że nic innego nie połączyło obu poetów węzłem przyjaźni prawdziwej, gorącej, bo dozgonnej, jak tylko głęboko w nich obu wkorzenione uczucie religijne, które ze strony Witwickiego wywołało „Poezye biblijne“, „Ołtarzyk“ i „Podarek ślubny“, ze strony zaś Zaleskiego długi szereg „Hymnów i modlitw“. Religijność wstrzymuje ich obydwu od popadnięcia w błędy

Towiańskiego, obaj starają się odwieść Mickiewicza od błędnej nauki, a skoro ten trwa uporczywie w błędzie, poświęcają przyjaźń i zrywają z nim stosunki, Witwicki nadto w piśmie p. t. „Towiańszczyzna“ występuje stanowczo przeciwko nowej doktrynie. W pracy nad duchowem odrodzeniem emigracyi przebyli obaj wiek swój męski pełen sił, jak zaś związek ich był silny, dowodem tego następujące słowa Bohdana w liście do Ignacego Domejki: „Mało kto wie, czem był Stefan dla mnie. Mniejsza, że przyjaciel mojej młodości, ale pod koniec żywota był doprawdy dla mnie więcej niż druh i brat, był jako anioł-stróż i pocieszyciel zarazem. Wypłakałem się też po nim na grobie i po dziś dzień nie mogę się utulić w sieroctwie mojem, tak tęskno w sercu po nim. Dla niego śmierć była Bożą łaską, bo dojrzały był dawno dla nieba, cierpiał długo i strasznie, a pomimo tego dopełniał obowiązków i wytrwał Panu aż do końca. On dzisiaj patronem naszym w niebiesiech“.

Stanisław Zdziarski.

Witwicki Stefan. Listy do Klementyny Grabowskiej. Wydał *Stanisław Zdziarski.* Lwów 1900. (Str. 12).

Wydane przez p. Stanisława Zdziarskiego, z rękopisu nr. 4188 Biblioteki Ossolińskich, trzy listy, były pisane przez autora „Wieczorów pielgrzyma“ (w latach 1838, 1839 i 1842) do pani Klementyny z Wyganowskich Grabowskiej, zamieszkałej w Łukowie, w której domu w r. 1832 bawi czas jakiś A. Mickiewicz, a której Witwicki osobiście nie znał. Jak wiadomo Witwicki dotknięty był nieuleczalną chorobą schnięcia kości pacierzowej. Pani Grabowska, interesując się życiem naszych emigrantów, zapytywała o nich w swych listach, np. o Mickiewicza, o Bohdana Jańskiego, także o Witwickiego, o jego troski i zdrowie. „Ja zawsze biedują — pisze ten ostatni — i bardzo biedują z mojem zdrowiem, trudno mi było powtórzyć podróż do Baden, a Vichy nic nie pomogło...“ Pani Grabowska więc śle tym emigrantom pomoc materyalną z kraju i zajmuje się sprzedażą ich dzieł, jak np. sprzedażą „Wieczorów pielgrzyma“.

W listach tych swoich donosi Witwicki o pracach i zajęciach Mickiewicza, o Jańskim i jego wydawcach, o Domejce... Donosi o klerykach w Rzymie: Kajsiewiczu, Semenence, Hubem, Duńskim, Turowskim i Kaczanowskim i o dwu w seminaryum wersalskiem: o Jełowickim Aleksandrze i Kamockim.

Zdala od rodzinnego kraju rozmyśla o jego przyszłości; pisze

w listach tych o wychowaniu młodzieży, zwłaszcza dziewcząt, przyszłych matek, gospodyń i obywatelek. „Miłość kraju — pisze on — nie w światowej chlubie, nie na światowem uczuciu, ale na modlitwie oparta i w codzienną pracę obrócona, wydałaby jak największe i błogosławione owoce...“

Panią Grabowską pochwala, iż zapisała się do „Bractwa Opatrzności“ i zachęca do odnawiania Bractw, w dawnej Polsce po całym kraju rozniesionych, a dziś już bardzo podupadłych i samemu tylko ubogiemu ludowi zostawionych. „Podniecić je i do wszystkich klas rozszerzyć, byłoby dziełem pobożności i najgłębszego patryotyzmu“. „Niech osoby najznaczniejsze, najpierwsze, nie wstydzą połączać się tu z prostymi mieszczanami i mieszczankami; przed Bogiem wszyscyśmy równi, a dla kraju wszyscyśmy potrzebni...“

Donosi też, iż robi drugą edycyę „Ołtarzyka“, która pod względem stylu ma być znacznie lepsza i ma tę nadzieję, „że ta książka wejdzie z czasem w ręce całego narodu“; nawołuje więc on do „religii dla samej religii, a więcej — pisze — narodowi swemu uczynimy niż przez najliberalniejsze zabiegi i poruszenia“.

Taką jest treść tych listów.

Henryk Ułaszyn.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Un Siècle de l'Eglise de France 1800—1900. *Mgr Baunard,* recteur de l'Université de Lille. Paris, librairie Ch. Poussielgue, rue Cassette. 1901. (Str. 514).

Nieraz słyszy się skargę: czemuż to Francuzi zapomnieli już pisać? Czemuż w płodach religijnych zdrobniałość, w historycznych pedantyzm dokumentowy, w literackich dekadentyzm wszelkiego rodzaju i stopnia, obcięły skrzydła ich myśli, tej myśli niegdyś potężnej, płomiennej a jasnej? Na zapytania te odpowiada swem dziełem Mgr Baunard. Świadczy ono, iż choć wielu Francuzów zapomniało pisać, choć u wielu poziom duchowy zniżył się, „spospolicial“ pod przygniatającem jarzmem masoneryi i giełdy — przecież sama Francya jeszcze nie zginęła. Żyje duch, żyje owa myśl silna, płomienna i jasna, działająca niegdyś *gesta Dei per Francos* — tylko że jej nieswojsko było

wśród brukowego zgiełku, więc się schroniła na macierzyńskie łono Kościoła. Tu jest bezpieczną i swobodną, stąd może wzbić się wysoko i objąć wzrokiem teraźniejszość i przeszłość, niezmącona pyłem stronniczych sądów i walk. Mgr Baunard silnie się trzyma opoki Piotrowej, z ostatnich więzów gallikańskiej ciasnoty występuje na szerokie pole katolicyzmu. Jest wpierw katolikiem, a potem Francuzem; jest historykiem a nie prokuratorem, ani prawnym obrońcą, jest wzniosłym a prostym, klasyczną bo szczerą wzniosłością i prostotą. Nie poświęca myśli dla faktów, ani faktów dla myśli: jednem słowem pisze przepysznie, tak, jak nie pisano od dawna i jak dawniej nawet rzadko pisano.

Można jedynie uczynić pewien zarzut co do budowy dzieła. Mgr Baunard dzieli nasamprzód wiek XIX. (który n. b. zaczyna od 1 stycznia 1800 i kończy na 1 stycznia 1900, a nie dzisiejszym sposobem od 1801 do 1901) na dwie nierówne połowy, a te znów na rozdziały, w których opowiada z osobna dzieje stosunku Francyi do Stolicy św., dzieje stosunków duchowieństwa do różnolitych francuskich rządów, potem wewnętrznych stosunków kleru, traktuje osobno kaznodziejstwo i piśmiennictwo religijne, osobno szkolnictwo, misye, martyrologię i życie świętych, których, pomimo tego co ludzie gadają, i w ubiegłym wieku nie brakło. System ten zmusza go często do powracania w tył i utrudnia czytelnikowi obejmowanie obrazu epok, które mu są podane częściowo, a nie w całości w ich postępie chronologicznym. Przy końcu jednak sam autor streścił swą pracę w pysznym poglądowym rozdziale i tak naprawił błąd swojej metody, jeśli wogóle nazwać można błędem układ treści używany przez wielu historyków dzisiejszych.

Mówiliśmy na wstępie, iż Mgr Baunard jest wpierw katolikiem, a potem Francuzem; więcej ze stanowiska chrześcijańskiego żądać trudno, zważywszy zwłaszcza, że jest „wpierw Francuzem, a potem człowiekiem“. Nietylko kraj swój kocha, ale jest w nim rozkochany, więc zapomina, że Francya przez trzysta lat była niemal wrogą chrześcijaństwu potęgą, bo przez wiek XVI. i XVII. trzymała jedną ręką spółkę z Islamem, a drugą z protestantyzmem niemieckim, szwedzkim, węgierskim, a w XVIII. stała się gniazdem niewiary. On przeszłość swojej ojczyzny widzi w aureoli krucyat, które jej zasłużyły miano „Najstarszej Córki Kościoła“ i misyj, przez które zasługuje nań dzisiaj. Cieszy się niemi i ma słuszność, bo są w Europie kraje, które się ani misyami, ani krucyatami poszczycić nie mogą. Szereg portre-

tów, dający nam poznać rysy najznaczniejszych chrześcijańskich mężów Francyi z XIX. w. uzupełnia opowiadanie.

Mgr Baunard skreślił dzieje katolicyzmu we Francyi; u wstępu zatem wiedzie czytelnika do stóp Stolicy św., a raczej na wspólny cmentarz Walencyi, gdzie świeżo bez modlitwy, bez krzyża, złożono zwłoki Piusa VI., zmarłego w niewoli francuskiej. „Były papież skonał; będzie ostatnim a z nim i zabobon się skończył“, pisał wtedy do swego rządu obywatel Deyclier z Walencyi, a większość ludzi, nawet katolików, uwierzyła, że „będzie ostatnim“. Wielkie więc było zdumienie, gdy d. 14 marca 1800 z wysepki Adryatyku, na której, za bagnetami Suwarowa, tuliło się *conclave*, rozległy się na nowo słowa: *Habemus Papam!* — Na tron św. Piotra wstąpił Pius VII. „Wiek XIX. — pisze autor — zawiera dzieje stopniowej abdykacyi władzy świeckiej na rzecz demokracyi i równie stopniowego postępu w przeciwnym kierunku najwyższej władzy duchownej, która przez całe stulecie nie przestała coraz bardziej skupiać się i wzrastać. Dzieje tego wzrostu dzieli na trzy okresy: Papiestwo odnawiające *(la Papauté réparatrice)*, Papiestwo walczące i organizujące *(la Papauté militante et constituante)* i Papiestwo zdobywające *(la Papauté conquérante)*. Pierwszy okres rozpoczął się w chwili, gdy naprzeciw siebie stanęli Pius VII. i Bonaparte, a rozpoczął się cudem wymodlonym przez papieża-męczennika, króla-męczennika i tłumy w imię wolności niewinnie wymordowanych. Pierwszy konsul wierzył w Boga i na tem kończyła się jego religia, ale chcąc odbudować państwo, musiał obok tronu odnowić ołtarz, rozpoczął tedy układy z papieżem. Chciał wszakże, aby tron nad ołtarzem górował, więc postawił żądanie, aby wszyscy dawni biskupi po dobrej czy przymuszonej woli złożyli swą godność, która im napowrót lub ich następcom za jego prezentą oddaną być miała. Ani się domyślał, że czyniąc to, dąży do wzmocnienia nie swojej lecz papieskiej władzy. Episkopat francuski został był w r. 1682 wprzężony do tryumfalnego rydwanu Ludwika XIV., który uczynił zeń grono dworskich prałatów, podobnie jak szlachtę z ziemian i rycerzy na dworaków przemieniał. Im bardziej byli zależnymi od króla, tem się bardziej oddalali od Rzymu. Wytworzył się Kościół gallikański, „katolicki, apostolski ale nie rzymski“, jak miał o nim Voltaire powiedzieć. Było w nim niewątpliwie dużo dusz świętych, zwłaszcza po ubogich, prowincyonalnych plebaniach, ale w gałęzi nawpół od pnia odciętej nie mogły już soki ożywcze swobodnie krążyć. Potrzeba było gromu rewolucyi, morza krwi i łez, aby zbudzić w duszach uśpione

cnoty wiary, męstwa i poświęcenia. Większość biskupów powracała ledwie z wygnania, gdy nowy papież zażądał od nich złożenia godności i wieczną chwałą licznego ich grona pozostanie na wieki, iż na niespełna stu pasterzy, jedenastu tylko odmówiło posłuszeństwa Głowie Kościoła. Pęta, jakie na nich następnie Napoleon nałożył, równie były ciężkie jak za czasu Burbonów; odtąd jednak ta wielka zachodziła różnica, iż przynajmniej dla części duchowieństwa były to już poniewolne pęta: uznawszy czynnie swą przynależność do Stolicy św., nie zamykało ono napowrót uczynionego w gallikańskich swobodach wyłomu. Podróż Piusa VII. na koronacyę Napoleona wzmocniła jeszcze tę spójnię. To co miało służyć ku uświetnieniu tryumfu zwycięzcy, odwróciło oczy kraju od tryumfatora na przedstawiciela wyższej, nieśmiertelnej potęgi. „Przejechałem Francyę wśród klęczącego ludu“ — pisał Pius VII., a zapał był tak ogólny, że zazdrosny Cezar bał się dozwolić papieżowi odprawienia nabożeństwa w katedrze. Napoleon chciał z Kościoła utworzyć sobie narzędzie; wkrótce jednak musiał poznać swój błąd. Wszczęła się długoletnia walka, opór Piusa VII. przeciw nowym ścieśnieniom wolności kościelnych, tem trudniejszy, iż nie wszyscy biskupi stawali po stronie Stolicy św. Cesarz dobierał ich sobie po większej części ze starej szlachty, licząc na ich tradycye karności wobec tronu, u niektórych też duch gallikański burzył się przeciw opiece papieża, wkraczającej niby w ich prawa. „Staniecie się tak dalece Gallikanami — wyrzekł raz Pius VII. — iż przestaniecie być katolikami“. A Mgr Baunard dodaje, że tak byli zajęci oddawaniem cesarzowi co jest cesarskiego, iż zapominali o tem, co byli winni Bogu... Obok tych wszakże były dusze gorące, sięgające wzrokiem ponad granice Francyi i tron Napoleona, był przedewszystkiem bohaterski a łagodny przełożony Seminaryum i Zgromadzenia Saint-Sulpice, ks. Emery, jedyny człowiek, którego, cesarz przyznawał, że się boi. A był to wielki, na wzór św. Pawła, „uwodziciel dusz“, silniejszy wpływem od samego mocarza w walce z papieżem. Spór zaostrzał się coraz bardziej; z kolei przyszła od Piusa VII. odmowa bezprawnego rozwodu dla króla Hieronima, protest przeciw zajęciu Rzymu przez wojska francuskie, klątwa na Napoleona i uwięzienie. Po raz trzeci w dziejach był papież jeńcem francuskim — wtedy jednak sprawa Kościoła stanęła górą, bo sobór biskupów francuskich przez cesarza zwołany, oświadczył, że bez Stolicy św. nie może stanowić. Nowy konkordat, wydarty następnie Piusowi VII. został natychmiast przez tegoż odwołanym, a gdy

z kolei Napoleon ujrzał się uwięzionym, głos papieża — jedyny w Europie — odezwał się w jego obronie.

Za następcy Piusa VII. walka była mniej głośną, ale może trudniejszą, bo wróg w formie karbonaryzmu i innych tajnych związków działał podziemnie. We Francyi restauracya Burbonów przyniosła nową falę niebezpieczeństwa. Katolicyzm stał się religią urzędową w całem znaczeniu słowa, a rojaliści wracający do władzy tak byli przywykli łączyć sprawę króla ze sprawą Bożą, iż obecnie mniemali, że cześć oddana królowi starczy za nabożeństwo, a tryumf Burbonów za chwałę Bożą. Zapoznanie zmiany stosunków z jednej strony, z drugiej owa cecha urzędowa nadana religii przy obojętności Ludwika XVIII. i absolutnej wolności pisma i słowa, nie dobre wydały owoce. Pod osłoną królewskich lilij burzyło się w cieniu zatrute zarzewie XVIII. w., a rządy europejskie, ślepe na własne niebezpieczeństwo, przeszkadzały Leonowi XII. w zwalczaniu sekt. Ludwik XVIII. skonał bez Sakramentów, a Karol X., choć mu dobrej woli nie brakło, nie miał już sił do wstrzymania złego. Próżnemi były wysiłki Jezuitów, których jako przednią straż papież powołał do boju. W r. 1828 Karol X. zwyciężony podpisał edykt skazujący ich na wygnanie, w r. 1829 drugi edykt kasujący wolność nauczania, a w r. 1830 opuścił tron, zastąpiony wkrótce przez Ludwika Filipa. Wtedy już Grzegorz XVI. rozpoczął był swe pracowite rządy. Tyle było ruin dokoła, tyle nowych przyczyn zniszczenia, iż troska o podźwignięcie tego co upadło i ochronę tego co stało, zaprzątnęła całą uwagę Stolicy św.

Ludwik Filip zaczął swe panowanie w duchu tych, co go na tron przywiedli. Wkrótce jednak spostrzegł naprzeciw siebie ruch religijny, którego był zrazu zapoznał siły i znaczenie. Ruch ten — walka katolicyzmu, dławionego między gallikanizmem a rewolucyjną niewiarą — wzmagał się od początku wieku, przemawiał wymownemi usty Józefa de Maistre, Chateaubrianda, Mgra d'Astros i coraz liczniejszego grona t. zw. ultramontanów, to jest katolików, dla których duchowy punkt ciężkości był nie w Paryżu lecz w Rzymie. Szala poczęła się przeważać, gdy w szranki wstąpił nowy szermierz płomienny, śmiały, genialny ks. de Lamennais. Było ich dwóch braci, którzy równocześnie poświęcili się służbie kościelnej, jeden w kierunku cichej ale życiodajnej nauczycielskiej pracy, drugi zbrojny w miecz pióra i słowa. Ks. de Lamennais stał się wnet duszą młodego duchowieństwa, istotnym przywódcą nowożytnej krucyaty. Obok niego stanął do walki młody Dominikanin, O. Lacordaire, największy mowca wieku.

Obaj widzieli jasno stan rzeczy: z jednej strony wiarę przyczepioną do przeżytych form społecznych i politycznych, z drugiej nowożytne pojęcia złączone z niewiarą. Postanowili religię uwolnić z pęt, a przeciwnikom wytrącić broń, łącząc wiarę z postępem — tak powstał dziennik *l'Avenir*. Ale niestety nie uniknęli zasadzki, jaką piekło wszystkim nowatorom zastawia: zapędzili się zbyt daleko i Kościół był zmuszonym potępić ich błędy. Wtedy nastąpił rozbrat: Lamennais nie poddał się; jak zbuntowany archanioł miotał się jeszcze i szarpał nie już przeciw wrogom Krzyża, lecz przeciw Głowie Kościoła. Umarł niepojednany. O. Lacordaire zaś wyszedł z pogromu jak ziemia z pod letniej ulewy: jeszcze jaśniejszy, bo we łzach pokory skąpany, potężniejszy, bo moc swoją na własnej duszy wyćwiczył. A ćwiczenie było twardem wśród tryumfu przeciwnych i nieufności stronników. Ta ostatnia zwłaszcza była bolesną: „Rzym jest ostatniem schronieniem tych co zbłądzili, przeciw bezwzględności tych co nie błądzą“ [1] — zawołał wtedy tuląc się z ufnością w karcące go ojcowskie ramiona.

Lacordaire pracował dalej; pracował też gorąco i dzielnie hr. de Montalembert, długoletni obrońca czynem i słowem wszystkiego, co wzniosłe, co uciemiężone, co prawe. My Polacy możemy się chlubić, że ten wielki syn Kościoła był też i przyjacielem naszej niedoli... Niezmiernie świetnym jest rozdział, w którym Mgr Baunard maluje czasy Piusa IX., ukazując Francyę, trzymającą zbrojną straż przy Watykanie, wstrzymującą zwojami swego sztandaru cisnące się fale „najazdu barbarzyńców“ [2], definicyę dogmatu Niepokalanego Poczęcia, opatrznościowy Sobór lateraneński, potem — odstępstwo, zdradzieckie opuszczenie Ojca św. przez Napoleona III., a na tem tle ruchy stronnictw we Francyi, dzielących nie tylko już wiernych i niewiernych, ale katolików pomiędzy sobą. Co prawda wszyscy ci dążyli do tego samego celu, ale jedni, jak Veuillot, chcieli zdobyć go szturmem, drudzy, jak kardynał Dupanloup, usiłowali powolniejszemi środkami doprowadzić do kapitulacyi. Nie obeszło się przytem bez sporów, które Mgr Baunard opowiada bezstronnie, ganiąc gwałtowność Veuillota, ale chwaląc jego gorliwość i czystość intencyi, nie szczędząc również po-

---

[1] *Rome est le dernier refuge de ceux qui errent contre les duretés de ceux qui n'errent pas.* Zdanie to nie przytoczone przez autora, znajduje się, o ile pamiętam, w jednym z listów do P. Sweczin.

[2] Tego wyrażenia również Mgr Baunard nie pisze, było wszakże używane powszednio w Rzymie po wejściu zaborców.

dziwu szerokiej a pięknej działalności biskupa orleańskiego. Nad jego opozycyą w sprawie nieomylności prześlizguje się zręcznie, tak, iż ktoby o fakcie nie wiedział, nie mógłby dowiedzieć się z książki — lepsze to niż polemiki pośmiertne. Za to arcybiskup Darbois parekroć spotyka się z naganą w kwestyach trudnych do osądzenia dla niewtajemniczonych we francuskie sprawy kościelne. Wogóle obraz czasów drugiego cesarstwa bardzo czarny i smętny: skryta niechęć czy brak zasad u góry, wzrost demoralizacyi, szerzonej przez teatra, powieści, ryciny i t. p., rozbujałość antichrześcijańskiej filozofii pod piórem wielkich pisarzy jak Cousin, Auguste Comte, Littré, Renan... Genezę ich błędów wszakże autor wywodzi z Niemiec, od Kanta i Hegla, wspomina „Żywot Jezusa“ Strauss'a, zanim wymienia bluźnierczy romans Renana. Po chwilowym tryumfie negacyi widzimy już atoli zwrot w stronę przeciwną, dążenie do zapełnienia wytworzonej próżni lada czem, magią, spirytyzmem, kabałą, lamaizmem, buddyzmem, wszystkiem — nawet poezyą wiary, byle nie samą wiarą. A obok tego postęp od początku wieku ogromny u wielu, szkoły pod kierunkiem duchownym rozsiane po całym kraju pomimo stawianych im zapór, uniwersytety duchowne silne w dzielnych profesorów, choć stosunkowo ubogie w uczniów z łatwo wytłumaczonego powodu, tj. zapewne trudności w otrzymaniu rządowej posady dla ucznia, choćby celującego, z owych szkół głównych. Dalej olbrzymie rozszerzenie się czci dla Serca Jezusowego, dla Najśw. Sakramentu, dla Matki Boskiej. Dwa rozdziały zatytułowane: *Le règne de Jésus Christ (Le Sacrè Coeur et l'Eucharistie)*, a następnie *Le siècle de Marie*, są istnemi pieśniami miłości i zachwytu, pieśniami także radości, bo żaden wiek we Francyi tyle hołdów nie przyniósł Jezusowi i Maryi, co ten sceptyczny na pozór i zimny wiek XIX. Cześć dla Najśw. Serca, zrodzona w objawieniach bł. Maryi Małgorzaty Alacoque, była od dwustu lat znaną i zaniedbaną; mądrale XVIII. w. uważali ją za zabobon, najlepsi za materyalizowanie wiary. I nie dziw: mroźny duch jansenizmu nie mógł znosić płomieni Serca Jezusowego, jego pycha i sztywność niebiańskiego wdzięku Najśw. Panny. Ludwik XVI. dopiero w więzieniu siebie i kraj swój temu Sercu zapisał w ofierze. Podobnie wierni unikali raczej niż szukali Jezusa ukrytego w Hostyi; już św. Franciszek Salezy walczył z zasadą spowiedników niedopuszczania do częstej komunii. Dziś niestety ludzie nie są lepsi, ale się zdaje, jakoby Pan Bóg, zważywszy właśnie ich słabość, zataił swój majestat, by im ukazać tylko skarby swego serca i najkrótszą doń drogę przez Maryę

ucieczkę grzesznych. Parokrotne objawienia się Najśw. Panny i tysiączne za przyczyną Jej zdziałane cuda były odpowiedzią niebios na teorye racyonalistów, objawienie w Lourdes zatwierdzeniem dogmatu Niepokalanego Poczęcia. I zda się, że ziarno Boże nie padło na skałę, bo rozżarzyły się serca, jęły się mnożyć przybytki, bractwa, zgromadzenia zakonne, powstało nieznane dotąd nabożeństwo majowe, czerwiec poświęcono czci Najśw. Serca. Francuska Sodalicya imienia Maryi, niesłusznie, według autora, oskarżana o polityczne cele, zaliczyła w swój poczet ludzi znakomitych nauką, dzielnością i stanowiskiem, wydała mnóstwo świętych dusz, które swój miecz, lub pióro, lub zdolności fachowe na chwałę Bożą dzierżyli. Nakoniec, jako protest narodu przeciw uroszczeniom masońskim, wzniosła się wspaniała świątynia Najśw. Serca, górująca z Montmartre nad fizycznym i moralnym zgiełkiem Paryża.

Wogóle budowa kościołów dużo zawdzięcza we Francyi XIX. wiekowi, a raczej jego drugiej połowie. Wiemy, że i u nas wiele gmachów od 1770 r. do 1830 lub 1840 rozebrano dla cegły, wiele przekształcono i oszpecono pod pozorem modernizowania. Toż samo na większą skalę działo się nad Sekwaną i Loarą. Po rewolucyi dużo kościołów wymagało naprawy, rzucono się tedy do restaurowania, ale w sposób fatalny. Gotyk prawdziwy nie był w modzie, więc go na wyścigi psuto, gdzie się dało. Dziwna jest rzecz, iż około 1810—1830 r. sztuka opuszczając swe różnorodne pola działania skoncentrowała się w duszach poetów. W czasie, który wydał Byrona, Chateaubrianda, Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, wszystko oprócz ich pieśni było niemiłosiernie brzydkie: sprzęty, ubiory, budowle. Piękno uciekło z dzieł ludzkich w dziedzinę ducha... Wszystko jednak na świecie musi jak dusza w ciało, przyoblec się w kształt materyalny. Wkrótce też ozwały się głosy wołające niemal o pomstę do nieba za krzywdę wyrządzaną arcydziełom przeszłości: Wiktor Hugo ze stanowiska sztuki, Montalembert głośniej i goręcej, bo ze stanowiska sztuki kościelnej. Wołanie takie rzadko przebrzmiewa bez echa, bo jest samo zazwyczaj wynikiem poczynającego się prądu. I teraz więc nastąpił szczęśliwy zwrot: „XVI. w. był odrodzeniem sztuki pogańskiej — pisze Mgr Baunard — wiek XIX. przyniósł odrodzenie sztuki chrześcijańskiej". Znalazł się wnet rój artystów, budowniczych, rzeźbiarzy, malarzy z wielkim Hipolitem Flandrin na czele, poczęto na nowo malować witraże. A gdy z zewnętrzną szatą świątyń skończono, posunięto dzieło epuracyi aż do rytuału. Pod wpływem jansenistów Kościół gallikański

utworzył był sobie odrębny sposób chwalenia Boga, różniąc się od Rzymu nawet w formułach przy udzielaniu niektórych sakramentów. Obecnie gdy kilku księży, złączywszy się pod regułą św. Benedykta, zajęło na nowo opuszczone opactwo w Solesmes, pierwszy ich opat, Dom Guéranger, podniósł myśl powrotu do powszechnej liturgii. Zrazu powstała burza, na opata spadły zewsząd gromy, zwano go nowatorem, wichrzycielem. Myśli jednak chwycili się gorąco biskup z Langres, Parisis i Mgr Pie, za ich wpływem poczęła się zwolna garnąć do niej jedna dyecezya po drugiej, a gdy Pius IX. zasiadł na Stolicy św., wszystkie serca odtajały i zmiękły. Od r. 1849 wprowadzono napowrót rytuał rzymski do Francyi.

Brak tu miejsca, aby w ślad za autorem przypomnieć dzieje Kościoła francuskiego od wojny niemieckiej, stosunki duchowieństwa wobec Leona XIII. z jednej strony, a rządu republiki z drugiej. Dzieje to zresztą zbyt świeże w ogólnej pamięci a nie skończone, skoro w zaraniu nowego wieku widzimy dalszy ciąg wczorajszych zapasów, też same napaści, tenże sam ucisk pod hasłem wolności. Niepodobna też przytoczyć imion bojowników walczących za wiarę w parlamencie, jak Mgr Freppel, hr. de Mun, Lamy i tylu innych, niestety niedość jeszcze licznych, aby ich głosy przemogły. Leon XIII. uczynił co było możliwem, aby sprawę religii otrząsnąć z wszelkiej politycznej przymieszki, zachęcił katolików z wszelkich obozów do brania udziału w rządzie, by snać odsuwaniem się nie podali kraju w zupełną moc przeciwników. Wielu usłuchało, ale jak dotąd — daremnie: nie oni się oddalają, ale rząd ich odpycha, ruguje z urzędów, z armii. Na szczęście są pola trudniej dla złości ludzkiej dostępne, nauka, miłosierdzie, apostolstwo. Wspomnieliśmy już o katolickich szkółkach, szkołach i uniwersytetach, których uczniowie najlepsze otrzymują stopnie; poza szkołami też istnieje — w wielkiej części dzięki Jezuitom — obszerna literatura, książki, wydawnictwa naukowe lub społeczne, tem jędrniejsze treścią, że w najważniejszych podstawach oparte są na opoce prawdy. Tamte dwa pola — miłosierdzie i misye — to chluba Francyi, to dwa filary powstrzymujące ponad nią gniew Boży. Jedno i drugie starsze jest od XIX. w. Miłosierdzie istniało po wsze czasy, tylko że w formach odmiennych, miało — jak wiele innych rzeczy — cechę prywatną, indywidualną, ubogi miewał do czynienia z ludźmi a nie z instytucyami. Po zamkach a zwłaszcza po klasztorach wykonywano je na szeroką skalę. Dziś przeciwnie, człowiek nie umie już działać inaczej jak stadem; potworzyły się więc stowarzyszenia. Najpierwsze

z nich, kongregacya św. Wincentego, datująca od początku wieku a złożona głównie z młodych ludzi, słuchaczy uniwersytetu i t. p., miała na celu niesienie pomocy chorym, pociechy więźniom, nauki dziatwie wiejskiej, uganiającej się za zarobkiem w Paryżu. „Najznakomitsi ludzie zarówno jak i prości wykonywali też same czynności — pisze w życiorysie brata ks. Ozanam. — Zalew r. 1830 pochłonął kongregacyę. Opatrzność jednak wskrzesiła ją pod nową postacią“... Jeden z jej odłamów, t. zw. stowarzyszenie dobrych nauk, odżył pod kierunkiem profesora filozofii Bailly i obok „dobrych nauk“ zaczął uprawiać dobre uczynki; jednym z głównych jego członków był wielki piewca św. Franciszka — Fryderyk Ozanam. Ale na cóż wchodzić w szczegóły? Miłosierdzie we Francyi jest istnem morzem, w którem pióro sprawozdawcy i uwaga czytelnika musiałyby utonąć. Dość powiedzieć, że obecnie, dzięki miłosierdziu prywatnemu, działającemu w formie stowarzyszeń duchownych i świeckich, raczej krępowanych niż wspomaganych przez rząd, przewidziane są i wedle możności wsparte wszelkie moralne i fizyczne potrzeby ubogiego od urodzenia do śmierci a nawet i po śmierci, bo mu zapewniają pogrzeb chrześcijański i modły. Najwymowniejszem świadectwem działalności są podane przez autora cyfry: w ciągu r. 1899 kongregacye religijne przytuliły, odziały i wyżywiły około 250.000 osób; z tych 60.000 sierot a 100.000 starców, z których 28.000 przypada na same Siostrzyczki ubogich *(Petites Soeurs des Pauvres)*. W r. 1897 stowarzyszenie, podobne naszemu zakładowi Brata Alberta, ugościło na noc 140.000 ludzi. Wszystko to płaci się z jałmużny, którą gdyby rząd chciał zastąpić, należałoby mu dodać rocznie przeszło 110 milionów do budżetu państwa...

Jeżeli dzieje miłosierdzia we Francyi są morzem, to dzieje apostolstwa jej synów są oceanem, którego Bóg jeden zdolen jest zgłębić zasługi. Niepodobna skreślić ich tutaj, choćby w krótkości. Wystarczy powiedzieć, że po żywym ruchu misyjnym XVII. w. nastąpił chłód filozofizmu, wśród którego hufiec bojowników Bożych z przeszło 3.000 zeszedł na 300. Rewolucya rozpędzając księży francuskich, przyczyniła się wielce do wskrzeszenia katolicyzmu w Anglii; Napoleon przerwał prześladowanie, ale misyj zabraniał tak w kraju, jak za granicą. Później dopiero, gdy wojny ucichły, można było nawiązać napowrót zerwane nici wielkich dzieł przed stu laty przez Franciszkanów, Jezuitów i t. p. zaczętych w Ameryce północnej, w Chinach, Indyach, w Japonii, gdzie opuszczona reszta chrześcijan żyła bez sakramentów ni świątyń, na wyspach Polinezyi i w Afryce. Wszędzie

tu misyonarz wyprzedził żołnierza i kupca, a bodajby sam był chodzi w te kraje! Dziś nie już hufiec, ale cała armia zakonników i zakonnic pracuje i umiera dla zdobycia dusz, pomiędzy nimi liczba Francuzów wszystkie narody przeważa, a że nie pracują na darmo, świadczy znów przeciętna cyfra 26 milionów, które owczarni Chrystusowej w ciągu XIX. w. przybyło. Gdzie zaś taka jest walka, tam muszą padać ofiary, gdzie tyle dusz zdobytych, tam i męczenników nie braknie. Mgr Baunard poświęca im cały rozdział, otwierając ich poczet imionami trzech arcybiskupów paryskich: Mgra Affre, poległego z ręki rewolucyonistów w czerwcu 1848, Mgra Sibour, który wydawszy list pasterski, głoszący Niepokalane Poczęcie, padł u stóp ołtarza pod nożem oszalałego kapłana, wołającego: *A bas les déesses,* i nakoniec Mgra Darboy, „biskupa cezaryanina, który nie zawsze dostatecznie umiał być pasterzem i nauczycielem swego ludu według ducha rzymskiego — ale umiał być męczennikiem“. Ten, jak wiadomo, był jednym z zakładników zamordowanych podczas Komuny, więc wraz z nim autor wymienia ich wszystkich, a po nich gromady świętych, umęczonych na misyach aż do ostatnich męczenników chińskich. Po męczennikach idą inni święci, znani i nieznani, skarby łask przez wiek ubiegły wylanych na ziemię i żniwo z nich, o ile może być oczom ludzkim widoczne. W tych końcowych rozdziałach ton wznosi się coraz wyżej, bo też i coraz wyższe omawia przedmioty. Zamiast — jak wielu pobożnych — gorszyć się tylko i wzdychać nad przewrotnością dzisiejszych czasów i ludzi, ten kapłan rozumny a umiarkowany, zbadawszy nagromadzoną w owem stuleciu sumę dobrego i złego, uznaje faktycznie, że się równoważą, iż w miarę wzrostu niewiary i zabobonu wzrasta gorliwość i poświęcenie w sercach wiernych. Pod tytułem: *Les deux Cités* (Dwa miasta) czyni porównanie między wiekiem XIX. bezbożnych, który, wielki jedynie w dziedzinie wynalazków praktycznych, przyniósł w miejsce zapowiedzianej wolności — ucisk, w miejsce równości — walki między klasami, w miejsce braterstwa — nienawiść, a wiekiem XIX. chrześcijan, gdzie wokoło wywyższonej władzy Stolicy św., pod błyskawicami powtarzających się cudów, lud wierzący skupia się coraz szczelniej pod sztandarami zgody, miłości Boga i miłości bliźniego.

„Oto wiek XIX.: walka na zabój pomiędzy ziemią a niebem. Zaprzeczają istnienia Boga a Bóg się objawia. Ziemia mnoży bluźnierstwa i zbrodnie, niebo mnoży dobrodziejstwa i cuda. Czyż mam zapasy te nazwać wojną Tytanów? Nie, raczej ‚wielką walką, która nie-

gdyś stoczyła się w niebie', a która teraz przeniosła się na ziemię pomiędzy ducha, który wypiera się Boga i ducha, który Go uznaje, wołając: *Quis ut Deus?* A pomiędzy tymi dwoma dusze, dusze o które walka się toczy, dusze zgubione, albo zbawione, według wodza, po którego stronie stawają. Wieczne i odwieczne dzieje, dzieje czasów, któreśmy wczora przebyli"...

Dzieło kończy się przepyszną parafrazą Modlitwy Pańskiej. Zaprawdę całe dzieło przepyszne, istne *Sursum Corda* wśród przygniatającej atmosfery „praktycznego" świata, istny promień światła, ukazujący nam drogę, po jakiej Bóg naszą biedną ludzkość prowadzi wpośród walk i upadków, wśród przepaści i cierni, ale mimo jej wiedzy — pod górę.

T. W.

Deutsche Jesuitenmissionäre des XVII. und XVIII. Jahrhunderts. Ein Beitrag zur Missionsgeschichte und zur deutschen Biographie. *A. Huonder S. J.* Ergänzungshefte zu den *Stimmen aus Maria-Laach.* Nr. 74. Freiburg im Breisgau. 1899. (Str. 230).

Towarzystwo Jezusowe, w okresie soboru Trydenckiego powstałe, brało od początku żywy udział w pracy misyjnej, której rozbudzenie, a w następstwie wspaniały rozwój słusznie się zalicza do piękniejszych owoców soboru. Ks. A. Huonder wziął sobie za zadanie przedstawić działalność misyjną nie całego Towarzystwa, tylko pewnej jego części, tj. prowincyi niemieckich. Owszem, ujął swoją pracę w ciaśniejsze jeszcze ramy, bo kreśli jedynie działalność misyjną Jezuitów niemieckich z wieku XVII. i XVIII.; a ponieważ rozpoczęła się ona dopiero w r. 1670, zakon zaś przestał istnieć w r. 1772, więc daje nam obraz tej działalności w przeciągu jednego wieku. Pracę swoją podzielił na dwie części. W pierwszej maluje w ogólnych rysach stosunek krajów misyjnych do państw europejskich i na jego tle kreśli położenie misyonarza, począwszy od wyjazdu z Europy, a skończywszy na jego pobycie, pracy i jej skutkach między nawracanymi. W drugiej podaje krótkie życiorysy misyonarzy.

Czemu prowincye niemieckie tak późno zajęły się misyami? Wszak już w roku 1564 istniały Niemiecka, Austryacka i Reńska prowincya, z drugiej znów strony nie można odmówić ich członkom ani wysokiej zdatności (którą zna już św. Franciszek Ksawery), ani gorliwości i poświęcenia. Głównym powodem były opłakane stosunki w Niemczech, którym przedewszystkiem trzeba było iść z pomocą.

Chociaż więc już koło r. 1562 kilku Jezuitów niemieckich prosiło o pozwolenie udania się na misye (jak wtedy mówiono „do Indyj"), to przecież ofiary ich nie przyjęto. Dlatego też do r. 1670 zaledwie trzydziestu kilku Jezuitów niemieckich pracowało wśród pogan i innowierców w zamorskich krajach. Za to od r. 1670, kiedy i prowincye niemieckie wzrosły i potrzeby w kraju się zmniejszyły, napływ ich do Ameryki, Azyi, Afryki szybko i ciągle się wzmagał i doszedł w końcu do poważnej liczby przeszło 800 misyonarzy.

Pierwszym ich celem i najważniejszem zadaniem było oczywiście nawracanie pogan. Jak dzisiaj, tak i wtedy, i tem bardziej wtedy nie przychodziło ono bez trudności. Sama podróż morska przedstawiała w tych czasach duże niebezpieczeństwo, pobyt zaś na miejscu, wyszukiwanie i spotykanie się z ludami dzikiemi, okrutnemi, wymagały ogromnego poświęcenia, gotowości nawet na śmierć (która dość często była nagrodą misyonarzów). Tacy ojcowie jak Sepp, Arlet, Fritz. Schmid błyszczą swoją pracowitością, zaparciem się, heroizmem, jako typy apostołów wielkiej miary.

Ale prócz wiary niósł misyonarz i cywilizacyę. Pod tym względem należy się Jezuitom niemieckim wielkie uznanie. Czy to zakładając nowe stacye misyjne, czy pracując w już istniejących, wszędzie swoim zmysłem praktycznym, gospodarczym wprowadzali ład, ulepszenia, dobrobyt. Sławne redukcye paraguajskie ich przedewszystkiem pracy zawdzięczają swój wspaniały rozkwit. Równocześnie i na polu nauki położyli niektórzy prawdziwie wielkie zasługi. Jedni przyczynili się niemało do znajomości Chin (Martini, Hallerstein), Kalifornii i Meksyku (Kino, Bärgert) i innych krajów; inni obserwacyami oddali znaczne przysługi astronomii (na dworze pekińskim: Schall, Kögler, Hallerstein; w Kochinchinie: Siebert, Koffler; Ruess w Peru, Stancel w Brazylii); inni wreszcie zdobyli sobie powagę w dziedzinie badań językowych (Hausleden, Roth).

Nie mamy jeszcze dzieła, któreby w sposób gruntowny i wszechstronny omawiało działalność misyjną Kościoła katolickiego i płynące stąd ogromne jego zasługi cywilizacyjne. Nie mogło ono jeszcze powstać, bo do tego muszą czy to poszczególne kraje, czy może raczej poszczególne zakony i kongregacye (gdyż one przedewszystkiem ten rodzaj pracy uprawiały), przygotować materyał w wyczerpujących monografiach — a dotąd tego nie uczyniły. Ks. Huonder dał początek, a pragnie dać i zachętę.

M. B.

Turkestan, die Wiege der indogermanischen Völker. *Franz v. Schwarz.* Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1900. (Str. XXX., 606).

Kilka lat temu zaczęła katolicka niemiecka firma Herdera wydawać osobną bibliotekę geograficzną i wydrukowała dotychczas szesnaście dzieł z zakresu geografii i etnografii. Wydawnictwo znalazło wkrótce uznanie nietylko u katolików, ale i u protestantów, którzy musieli uznać, że książki te odpowiadają najzupełniej nowożytnym wymaganiom; to też niektóre z nich doczekały się licznych wydań. Do rozszerzenia się i znaczenia biblioteki geograficznej przyczyniła się w pierwszym rzędzie ta okoliczność, że autorami dzieł są nietylko ludzie uczeni, ale ludzie, którzy kilka i kilkanaście lat swego życia w odpowiednich krajach spędzili w misyach naukowych lub innych, mieli więc okazyę do dokładnego zbadania terenu, a z gruntowną nauką łączyli i bystry dar obserwacyjny. To też nie dziw, że dzieła ich potrafiły zainteresować nietylko ludzi fachowych, ale i przeciętnych czytelników, którzy z miłem zdziwieniem zauważyli, że książki te, acz naukowe, nie są bynajmniej ciemne i nudne, ale owszem jasne i zajmujące.

Powyższe przymioty znajdzie czytelnik i w książce p. Schwarza o Turkestanie. Autor spędził w Turkestanie piętnaście lat na stanowisku dyrektora obserwatoryum astronomicznego w Taszkencie, a ponieważ z polecenia władzy wojskowej musiał często zdejmować pomiary geograficzne, oznaczać długość i szerokość różnych miejscowości, miał okazyę do zwiedzenia niejednokrotnego całego kraju, o którym obecnie pisze. Tem też różni się jego książka od innych dzieł niemieckich, francuskich i angielskich, że podaje ona systematyczne, ile możności wyczerpujące opracowanie, które obejmuje całokształt kraju, podczas gdy inne zajmowały się jedynie przedstawianiem odrębnych mniejszych części, a wychodziły prawie zawsze z pod pióra, na które niebardzo można się było spuścić. Dzieło opracowane systematycznie i dające dokładny pogląd na całość kraju było bardzo na czasie, raz dlatego, że i dziś jeszcze należy Turkestan do mniej znanych w Europie krain, choć zwraca uwagę całego świata z powodu stosunków z Rosyą, a powtóre dlatego, że kraj ten odgrywał nader wielką rolę w dziejach ludzkości i słusznie nazwany został kolebką indogermańskich szczepów.

Oparty więc na źródłach i własnych a sumiennych spostrzeżeniach, daje nam autor w trzech rozdziałach wstępnych pogląd ogólny

na pochodzenie obecnej ludności, a zaznajamiając nas z typem, charakterem i rozszerzeniem geograficznem pojedynczych szczepów, przechodzi szczegółowo do szczepów koczowniczych i innych, już osiedlonych, i zajmujących się rzemiosłem lub uprawą roli. Między temi dwiema klasami znachodzą się niesłychane różnice tak w sposobie życia, jak i w religii i w obyczajach. Stosunki rodzinne i religijne nomadów, ich wędrówki na leże zimowe i letnie pastwiska, ich jurty skórzane, wszystko to interesuje autora, a zainteresuje, nie wątpimy o tem, i czytelnika. A wiele tam tych nomadów! Cyganie, Turkmeni, Kałmucy, Usbecy, Kara-Kirgizi — niemało więc potrzeba było zachodów, żeby wynaleźć i zręcznie przedstawić ich indywidualne, charakterystyczne cechy, dobre i złe strony. Zachwyca się p. Schwarz najwięcej tak zwanymi kajzackimi Kirgizami, z którymi ciągle się stykał; o nich też dowiadujemy się mnóstwo ciekawych dla każdego rzeczy. Jest to szczep dzielny, odważny, zdrowy (stąd na stepach turkestańskich przysłowie: zdrowy jak Kirgiz), szlachetny, wierny i umiejący szanować cudzą własność. Kirgizi kajzaccy prowadzą przez stepy karawany rosyjskie i turkestańskie a i wojskom niemałą często oddają przysługę. I tak kiedy wojska generała Kaufmanna w czasie wyprawy do Chiwy ginęły prawie od pragnienia w pustyni Adam-Krylgan, zawdzięczały ratunek swój jednemu z Kirgizów, który zawiódł osłabionych żołnierzy do ukrytego opodal, nikomu nieznanego źródła i uratował wojsko całe.

Najwięcej zajmuje się autor ludnością osiadłą, a opisowi stolicy, Taszkentu, poświęca prawie połowę swego dzieła. W r. 1865 zdobyli miasto Rosyanie i uczynili z niego miasto stołeczne z siedzibą generalnego guwernera i głównodowodzącego wszystkiemi wojskami Turkestanu. Rozmaicie tłumaczono sobie nazwę Taszkent. Dosłownie oznacza ona „miasto kamienne“ (tureckie *tasch* = kamień, perskie *kent* = miasto), ale nietylko że samo nie jest z kamieni zbudowane, lecz nawet w okolicy i śladu kamienia nie znaleźć. Autor wywodzi, zdaje się logiczniej, nazwę od słowa: *schaschkent*, które się znachodzi już u Arabów piszących o dzisiejszym Taszkencie. *Schaschkent* oznacza więc to samo co greckie *hexapolis* (*schasch* w sanskrycie = sześć), ponieważ prawdopodobnie tworzyło ono w starożytności z pięciu innemi jeszcze miastami związek, na którego czele samo stało. Nie zrozumiałą dla siebie nazwę *schaschkent* przemienili mieszkańcy na Taszkent. Taszkent, jak i inne miasta centralnej Azyi, składa się niby z rynku, z bazaru położonego w środku miasta, z ugrupowanych do-

koła bazaru części miastowych i z otaczających miejscowość i zaliczonych jeszcze do niej ogrodów i pól. Ten typ wykazują wszystkie inne miasta turkestańskie, tak, że kto jedno z nich poznał, poznał wszystkie. Do rozwoju miasta przyczyniło się bogactwo wód; pod tym względem żadna inna miejscowość z Taszkentem nie może iść w zawody. Mieszkańcy miasta i kraju są przeważnie fanatycznymi Sunitami; zajmują się na pierwszem miejscu jedwabnictwem i garncarstwem, wywożą do Rosyi i Indyj mnóstwo produktów krajowych, a w zamian otrzymują towary rosyjskie, które Anglii, odgrywającej tu niegdyś wielką w kupiectwie rolę, zupełnie konkurencyę uniemożliwiły. W tych rozmaitych poglądach i opisach nie brak też i obrazków miłych i dowcipnych, gdy autor np. omawia rozmaite, trochę ujemne strony charakteru mieszkańców; nie zapomniał przecież nawet pociągnąć wcale udatnej paraleli między Don Juanem europejskim a turkestańskim.

O Rosyi w Turkestanie wyraża się p. Schwarz bezstronnie i przychylnie. Zaimponowały mu przedewszystkiem środki komunikacyjne, mimo niezmiernych trudności wyśmienicie urządzone, chociaż „bezbrzeżne stepy, bezwodne i z roślinności ogołocone pustynie, nie do przebycia pasma gór, pokryte wiecznym śniegiem, rozdzielają mieszkańców różnych oaz“. Mimo tych trudności sieć poczt przerznęła cały Turkestan, a poczty te nie pozostawiają znów tak wiele do życzenia.

Dzieło p. Schwarza wydał Herder w nader gustownej szacie, zdobią je liczne, oryginalne, doskonale wykonane ryciny. Porusza ono wiele kwestyj u nas albo mniej, albo zupełnie nieznanych; może więc być ozdobą każdej biblioteki tak pod względem treści, jak i pod względem zewnętrznej szaty.

Ks. Wiktor Wiecki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

WALKA O KRZYŻ. Dziwnych doczekaliśmy się już, dziwniejszych, jeżeli nas wszystko nie myli, doczekamy się jeszcze czasów. Lata ostatnie, które rzekomo wysoko podniosły sztandar tolerancyi i szczycą się rozbrzmiewającemi dokoła hasłami o wolności i braterstwie, zamieniły tolerancyę na fanatyzm, a wolność i braterstwo na łańcuchy i niewolę, jeżeli tylko z przysługujących praw chcą skorzystać, nie już Kościół jako taki, ale wierzący chrześcijanie. Za zbrodnię dawniej, w czasach przesądów i niedorosłych do wymagań dzisiejszej chwili wierzeń średniowiecznych, poczytywano występki uwłaczające godności ludzkiej, dzisiaj te same występki podniesiono nieomal do wysokości ideału a za zbrodnię poczytano: stać wiernie przy nauce Kościoła i okazać tę wierność nietylko słowem ale i czynem.

Trzydzieści lat temu zniknęły na uniwersytecie budapeszteńskim krzyże, zdobiące sale wykładowe. Nie pytano się wtenczas, czy słuchacze chrześcijańscy na to się zgodzą, czy zamach ten odpowiada duchowi wszechnicy, która przez kardynała Pázmany'ego była założona ku „chwale Bożej“, nie starano się nawet dziwnego tego postępku upozorować jakimkolwiek dekretem, nie uwzględniono ani ministeryum, ani senatu

akademickiego, lecz ot! tak sobie na własną odpowiedzialność rektorzy, pochodzący z pokolenia Judy albo przynajmniej duchem tego pokolenia zawiani, usunęli ten symbol miłości i przebaczenia z murów akademii. Trzydzieści też lat mogli nieprzyjaciela Krzyża tryumfować; zatryumfowali i w początkach tego roku, kiedy senat, nie uwzględniając próśb i życzeń katolickich studentów, kierując się za to tem bardziej względami winnemi liberalno-żydowskiemu rządowi, postanowił zachować stan dawny i krzyży w salach nie umieszczać. Nietylko katolicka, ale wogóle chrześcijańska wierząca młodzież, czuła się tą rezolucyą dotknięta w swych przekonaniach religijnych, to też rząd ani przypuszczał niespodzianki, jaką mu ta sama młodzież gotowała. W dniu 18 marca zgromadzili się licznie słuchacze chrześcijańscy w auli uniwersyteckiej a każdy prawie z obecnych przyniósł z sobą mały, drewniany krzyżyk. Akademik Konstanty Bota odczytał wobec zgromadzonych proklamacyę młodzieży, w której w spokojnych ale energicznych i stanowczych słowach napiętnował niecne zamiary rządu, a zarazem zwrócił uwagę, że demonstracya obecna nie ma żadnego politycznego, ani nawet wyznaniowego charakteru, lecz odpowiada jedynie religijnym potrzebom młodzieży, która nie pozwoliła wpłynąć na siebie „niemoralnemu kosmopolitycznemu duchowi“ opinii. Kiedy pojedyncze sale otworzono, rozeszli się po nich zgromadzeni i w jednej chwili z nad każdej katedry zwieszał się Chrystus na krzyżu.

Nauki przyrodnicze opowiadają nam dziwy o wpływie światła na rozmaite płazy i gady, których przeznaczeniem żyć w błocie i ciemnościach, a nie zaznać błogiej światła i ciepła działalności. Podobne dziwy możnaby też opowiedzieć o wrażeniu, jakie ten postępek młodzieży chrześcijańskiej wywołał. Jakiś protestant, Bergmann, stanął w obronie zagrożonego równouprawnienia, wołając a raczej ryczące: *Abzug das Kreuz.* Zakotłowało między studentami, niefortunnego obrońcę wolności i równości poturbowano nie na żarty, a garstka żydowskich bohaterów, uciekając w popłochu, zamanifestowała obrazę s w y c h ś w i ę t y c h uczuć okrzykami: „precz z krzyżem, precz z Jezuitami“. Profesor historyi prawa, Király, kiedy wszedł do sali i ujrzał zdu-

miony nad tą katedrą, z której zawsze spływało światło, ten znak zacofania i średnich wieków, wyniósł się przerażony. Profesor znów prawa kościelnego, dr. Kováts, zapomniał z przerażenia co robi i dlatego niepomny swej doktorskiej godności wszedł na stół i zdjął krzyż z słowami: „jako urzędnik zdejmuję sam krzyż, ponieważ żaden z panów nie chce tego uczynić"; sługa bowiem uniwersytecki miał więcej poczucia swej godności od profesora prawa i jego wezwaniu, by zdjął krzyż, nie chciał zadośćuczynić. A co za *rajwach* panował dopiero tam, gdzie się zgromadziły uczennice uniwersyteckie, które bardzo hałaśliwie zażądały krzyża w swej szkole; tam już żaden profesor sprzeciwić się nie mógł! Był to dzień sądu, porażka Żydów i wolnomyślnych profesorów.

Zebrany senat oświadczył, że stosownie do zarządzenia ze stycznia b. r. krzyże mają być pozdejmowane z sal, a w swych uczuciach religijnych obrażonych Żydów uspokoił obietnicą, że wytoczy śledztwo dyscyplinarne i autorów tego niemiłego zajścia surowo ukarze. Chodziło tylko o to, by ich znaleźć! Nie było to trudno, gdyż już następnego dnia wręczyli studenci chrześcijańscy rektorowi *memorandum* z podpisami wszystkich winnych. Z prawdziwie podziwienia godną, szlachetną odwagą przyznają się wszyscy do „zbrodni", i przyjmują na siebie wszelką odpowiedzialność, kładąc nacisk jedynie na to, że nie działali z pobudek politycznych lub wyznaniowych. Równocześnie też rozrzucono między słuchaczy ognistą odezwę: „Do walki, młode pokolenie! Wysoko niech strzela twej wiary święty ogień! Zmyj upokarzające plamy, któremi licznych barbarzyńców ręka ciebie obrzuciła! Pełne świętego ognia, czuj, mów, rozentuzyazmuj się! Niech każdy dzielny Węgier od ciebie się uczy, a jeżeli serca wszystkich patryotów jednem tętnem zabiją, naszem będzie zwycięstwo, naszym tryumf". Ta proklamacya, a jeszcze więcej *memorandum*, zrobiły bardzo niemiłe wrażenie w senacie, bo jakżeż tu karać, kiedy winowajcy nietylko sami do winy się przyznają, ale kiedy przedewszystkiem tych winowajców tak wiele, bo z wyjątkiem małej liberalno-żydowskiej garstki, prawie cała młodzież ze zbrodniarzami się

solidaryzowała. A tu jeszcze nie koniec utrapień senatu! Kilkuset protestanckich uczciwych uczniów ogłasza w publicznym proteście, że „sercem i duszą witają ten ruch chrześcijańskich słuchaczy uniwersytetu, uznają patryotyczny, narodowy cel za swój i przyłączają się do niego“. To już musi trochę krwi napsuć, uniwersytet sam staje po stronie winnych; od czego jednak modna sprawiedliwość! Rozpoczęto śledztwo, a pierwszym aktem sądu uniwersyteckiego było zamianowanie sekretarzem śledczego komitetu p. Margittay, który publicznie krzyżowi bluźnił i religijne uczucia zgromadzonej młodzieży, czując za sobą siłę i bagnet, w brutalny sposób obraził. Od uczniów obwinionych nic nie było można wydobyć, oświadczyli oni kategorycznie, że nie są upoważnieni do wyjawienia nazwisk swych współkolegów. Senat udał się więc do wielce moralnego a w obozie liberalnym wypróbowanego środka, przyobiecał mianowicie delinkwentom uwolnienie, względnie zaś złagodzenie kary, jeżeli drugich wyjawią; i ten środek odbił się o hart duszy słuchaczy akademickich. Niechby tak jakiś klerykał w ten sposób uczniów swych do wydania winnych zachęcał!

Pozostało więc jeszcze ministeryum. Minister oświaty, Vlassics, oświadczył deputacyi klubu uniwersyteckiego, że urodził się i żyje w innej atmosferze, i dlatego ruchu młodzieży nie rozumie. Zapewnił dalej, że jeżeli zajście się powtórzy, użyje „drakońskich środków“ do stłumienia buntu. Dziwna ta atmosfera, w której urodził się i żyje minister! Przesłania ona oczy ministrowi i sędziom, gdy chodzi o oszustów np. i tym podobnych honorowych mężów, pozwala im za to bystro patrzeć, poznać i śledzić każdego, którego jedyną winą jest charakter niezmazany i niewzruszone przekonanie religijne. Smutno to, że w kraju, który religii katolickiej tyle zawdzięcza, chrześcijanin i katolik zostaje napiętnowany mianem zdrajcy, jeżeli ze swemi przekonaniami się nie ukrywa; smutniej jeszcze, że chcąc te przekonania swoje objawić, musi się uciec do środków hazardownych i niekoniecznie pochwały godnych. Przyznać jednak trzeba, że opinia publiczna w Węgrzech nie podziela w tej kwestyi zdania senatu, ministra i Żydów. Baron

Ivor Kaas broni w publicznym, długim liście tego postępowania studentów. „W zwierzęciu ludzkiem poznaliście duszę nieśmiertelną, w przemijającej naturze nieskończoną twórczość Boga, w towarzystwie konieczność moralności, bez której ono się rozpadnie, w państwie potrzebę religii, bo tylko ona potrafi uszlachetnić a panującego i poddanego w jedności połączyć. Symbolowi zmartwychwstania i odkupienia wróciliście w przybytku wiedzy jego prawa. Dobrze sobie postępujecie... ja chwalę waszą otwartość i waszą moralną odwagę. Bądźcie przekonani, żeście dobrze uczynili".

Jeden z epilogów tej nie ze wszystkiem jeszcze ukończonej sprawy, odegrał się niedawno w Wiedniu. Deputacya chrześcijańskich akademików z Budapesztu przyjechała do stolicy nad Dunajem, by na grobie zamordowanej cesarzowej złożyć wieniec, jako wyraz narodowych uczuć i lojalności młodzieży węgierskiej. W Wiedniu dar ten odrzucono, ponieważ w wieńcu, *horribile dictu,* znajdował się uwity z kwiatów krzyż. Sprawa bez komentarza sama za siebie mówi; nam pozostaje chyba pytanie, kiedy rozkażą nam pozdejmować krzyże z naszych świątyń i cmentarzy, by polityczną oznaką nie drażnić członków innej wiary!

PRZYSIĘGA KORONACYJNA W ANGLII.

Już to prasa liberalna spotyka czasami trudności, z których niełatwo się wywikłać, a potrzeba rozmaitych sztuk i sztuczek, aby je ominąć. O ile trudności te odnoszą się do zachwalanej wolności i reklamowanej tolerancyi, to gdy się tę wolność i tolerancyę w stosunku do katolików gwałci i depcze, najlepszym środkiem jest albo milczenie, gdy redaktor jakiegoś pisma ma jeszcze choć trochę poczucia honoru i godności, albo aprobowanie faktu, gdy wytarte czoła niczego się już zawstydzić nie potrafią i popuszczają wodze szalonej nienawiści i namiętnej złości. Niełatwe też stanowisko miała prasa protestancka i liberalna w omawianiu przysięgi koronacyjnej króla Edwarda VII.; na jej jednak pochwałę trzeba przyznać, że z wyjątkiem kilku zbyt krewkich i nieopatrznych organów, potrafiła dość bezstronnie patrzeć się na fakt, którego

istnienie w wieku XX. coś trochę ciekawie wygląda. Przysięga ta w części nas obchodzącej brzmi, jak następuje: „wyznaję, oświadczam i uroczyście i otwarcie w obecności Boga głoszę, że wierzę, iż w Sakramencie Ołtarza niema żadnej zamiany elementów chleba i wina na ciało i krew Chrystusa przed lub po konsekracyi dokonanej przez kogokolwiek; i że wzywanie lub adorowanie (!) Dziewicy Maryi albo innych Świętych, i ofiara Mszy św., jak jest obecnie w zwyczaju w Kościele katolickim, jest zabobonem i bałwochwalstwem...“ Przysięgający oświadcza jeszcze, że słowa ślubu bierze w znaczeniu zwykłem i nie używa żadnych restrykcyj, nie chce też korzystać z jakichkolwiek ustępstw lub dyspens przez papieża w tym względzie udzielonych.

Przysięga angielska ma swoje uzasadnienie w historyi kraju; począwszy od r. 1643 obowiązywała ona czy to podejrzanych o przynależność do Kościoła katolickiego, czy też wszystkich, którzy chcieli piastować jakikolwiek urząd publiczny. W r. 1689 zobowiązano do złożenia tej przysięgi i królów angielskich, uwolniono jednak od tego ciężaru innych dygnitarzy, tak że lord-kanclerz Eldon publicznie w parlamencie rzucił pytanie, które jeszcze dzisiaj czeka na odpowiedź: „jak mogliście zatrzymać przysięgę dla króla a zwolnić inne osobistości, które mniejsze urzędy piastują?“ Król Edward musiał się poddać konieczności przez prawo nałożonej, ale wiedział, że przysięgą tą obraża kilkanaście milionów wiernych katolickich poddanych swego państwa, że rzuca im w twarz zarzutem bałwochwalstwa i nieprawdomówności, i dlatego, jak donoszą z uznaniem nawet protestanckie gazety angielskie, słowa przysięgi wymawiał tak cicho i głosem tak przytłumionym, że niepodobna było go zrozumieć. Lepsza też część protestanckiej prasy angielskiej wyraziła się o przysiędze bardzo niepochlebnie. *Times* twierdzi, że monarchia jeszcze wtenczas pozostanie protestancką, gdy i rota przysięgi zostanie zmieniona, *Daily News* mówią „o prostaczych, okrutnych zdaniach starej formuły“, *The Pilot* surowo gani wyrażenia o bałwochwalstwie i zabobonach, pisze

o shańbionej religii katolickiej i stwierdza prawdę, że nie wolno obrazić w państwie króla Edwarda mahometan lub hindusów, wolno za to rzucić największą obelgę w twarz katolikom Anglii, Irlandyi i Kanady; *The Guardian* wreszcie piętnuje ostremi słowy deklaracyę królewską, nazywa ją „wyjątkowo obrażającą“, „wyrafinowanem shańbieniem“ Kościoła katolickiego i sądzi, że skutki tej przysięgi mogą być dla państwa wcale nieszczególne.

Nic też dziwnego, że katolicy angielscy uczuli się głęboko obrażeni formułą przysięgi. Ośmnastu katolickich parów, na pierwszem miejscu książe Norfolku, zaprotestowało w słowach pełnych wprawdzie uległości i winnego królowi uszanowania, niemniej jednak stanowczych, a kardynał Vaughan zwróciwszy w liście pasterskim uwagę na fakt, że przysięga w wysokim stopniu obraża wszystkie prawie religie chrześcijańskie świata, przepisał na dzień 3 marca komunię generalną i nabożeństwo ekspiacyjne jako zadośćuczynienie za tak ciężką obrazę Najśw. Sakramentu. Katolicka znów prasa przypomniała, że w Indyach znajdują się miliony bałwochwalców, których prawo angielskie nie zna i obrażać ich nie pozwala, i zwróciła uwagę, że jeszcze w r. 1867 Sir Colman O'Loghlen nazwał przysięgę „zabytkiem barbarzyńskim“ i że lord Kimberley jawnie oświadczył, iż nigdy nie składał żadnej deklaracyi z taką boleścią, jak tę, która obrażała mężów wielkiej zasługi i piastujących wysokie godności w państwie.

Choć więc dziwnem co najmniej wydaje się, że większą wolność wyznania mają poddani od swego własnego monarchy, i choć głos opinii publicznej potępił przysięgę jako obrażającą, niesprawiedliwą i wyzywającą, choć nawet prasa protestancka bardzo lekceważąco o niej się odezwała, to jednak tak w niższej jak i wyższej izbie na interpelacye odpowiedziano, że zmiana przeprowadzić się nie da. Więc jak dawniej tak i nadal będzie musiał cały świat katolicki przyjąć rzuconą sobie w twarz obelgę, że jest bałwochwalczym i zabobonnym, i długie jeszcze lata będzie świadczyła przysięga angielska, jak trzeba rozumieć tolerancyę i dla kogo ta tolerancya istnieje.

PRZECIW POJEDYNKOWI.

Opinia jest wprawdzie wielką potęgą i lubi najczęściej urągać zasadom religii i wymogom zdrowego rozsądku. Ufna jednak w swą moc, potrafi się czasami tak daleko zagalopować, że wywołuje reakcyę i opinii przeciwstawia opinię. Podobnie ma się też rzecz i ze sprawą pojedynków. Barbarzyński ten zabytek lat dawnych uważano mimo to za wykwit cywilizacyi i sądzono, że choć sprzeciwia się on prawom Boskim, kościelnym i przyrodzonym, i chociaż gardzi zdrowego rozumu postulatami i bynajmniej celu swego nie osiąga, to jednak jest pożytecznym, niekiedy nawet koniecznym. To też ofiary jego są niezliczone prawie i niejeden zmarnowany talent, niejedno zrujnowane szczęście domowe lub rodzinne świadczą przeciwko barbarzyńskiemu zwyczajowi. Ostatnie lata tyle przyniosły we wszystkich prawie krajach dowodów na potwierdzenie powyższych słów, że nie dziwić się, iż reakcya zdrowszej i szlachetniejszej części społeczeństwa nastąpiła. Infant hiszpański, Don Alfonso de Bourbon, podjął pierwszy walkę przeciw pojedynkowi w liście do markiza Tacoli'ego, i zainicyował ligę ogólną przeciwpojedynkową; to też jemu zawdzięczamy powstanie takiej ligi we Francyi. Zaznaczamy znaczenie tej ligi francuskiej, bo przykład stamtąd pochodzący, jak działał wiele w złem, tak też i w dobrem wiele zdziałać potrafi. W liście do Józefa du Bourg, którego książe hiszpański obrał za krzewiciela swych zasad we Francyi, wyraża książe przekonanie, że liga taka musi się przyjąć, byle tylko na jej czele stanęli ludzie wpływowi i wybitni znaczeniem lub zasługą. Za staraniami p. du Bourg ukonstytuował się 10 marca b. r. komitet centralny w Paryżu, a liczy on w swem gronie istotnie osoby wybitne. Wszyscy, którzy chcą do ligi należeć, podpisują deklaracyę, w której głoszą publicznie, że uważają pojedynek jako coś, co uwłacza sumieniu i rozumowi, a tego, kto z zasady pojedynku odmówił, za człowieka honorowego, przed którym czoła pochylić wypada. Komitet wzywa dalej, aby wszędzie ustanowić sądy honorowe, któreby na prawdę potrafiły godności obrażonego bronić i zadosyćuczynienie mu dać.

Wiele już miast francuskich ma swoje komitety drugorzędne, a do względnie szybkiego rozrostu ligi przyczyniła się z jednej strony okoliczność, że wielu wybitnych wojskowych z ligą się solidaryzuje i do udziału się zgłasza, z drugiej zaś zjednała stowarzyszeniu niemało członków znana sprawa Déroulède i Buffeta. Pan Buffet, zastępca księcia orleańskiego, przyznał otwarcie w gazetach, że ze stanowiska kościelnego musi pojedynek potępić, nie może się jednak przed nim cofnąć. *Bien public* z Gentu zarzuciło mu z tego powodu brak odwagi i sprzeczność w postępowaniu, choć Buffet tem się od wszystkich zarzutów uniewinnić pragnął, że miał wprawdzie zamiar stanąć na placu i pozwolić strzelać, sam jednak od strzelania się powstrzymać. Pojedynek nie przyszedł do skutku, gdyż nawet wolna Szwajcarya uznała, że obaj panowie mają zamiar dopuścić się czynności prawami krajowemi wzbronionej i kazała im opuścić granicę państwa. Wobec tego uznali sekundanci, że sprawa załatwiona i że wymaganiom honoru stało się zadość. Francuzi osłupieli, kiedy poznali tę nową zdobycz cywilizacyi, że mianowicie sama energiczna interwencya władzy może bez broni i rozlewu krwi sprawę zupełnie honorowo załatwić. Poznali więc, że pojedynek nie jest bynajmniej wykwitem cywilizacyi, ale raczej wykwitem mody i zwycięstwem niezdrowej opinii nad zdrowym rozsądkiem: że zatem liga przeciw pojedynkom nie jest bynajmniej takim absurdem, jakby się pewnym sferom wydawać mogło.

Dziś liga rozszerzyła się już na Włochy i Niemcy i rozszerza się nawet w Austryi; spodziewamy się, że i myślący ludzie w Galicyi potrafią przejąć z Francyi ten nie już rzekomy, ale prawdziwy dorobek cywilizacyi.

JESZCZE O AGITACYACH MASOŃSKICH.

W przeszłym numerze *Przeglądu* omówiliśmy obszernie rozruchy w Hiszpanii i Portugalii, a oparci na pewnych dokumentach wykazaliśmy, co sądzić o owych rozruchach, o ich olbrzymich rozmiarach i prawdziwych przyczynach. Przytoczone tam dwa źródła wolnomularskie, wskazały, gdzie szukać prawdziwych racyj zaciekłej walki. Masonerya,

ufna w swoją potęgę i wiedząc, że w wieku oświaty i równości, tylko Kościół zostaje wyjęty z pod prawa, nie ukrywa się wcale z swem judzeniem i nienawiścią. *Rivista della Massoneria Italiana* b. r. podaje nam dwa nowe a cenne przyczynki do zrozumienia dzisiejszych stosunków. Wielki mistrz włoski br. Nathan winszuje loży francuskiej tak usilnie, stanowczo i z przekonania prowadzonej walki przeciw zakonom i zachęca ich, by w imieniu obywatelskiej i ogólnoludzkiej religii postarali się o konfiskatę dóbr zakonnych, a sumienie i samowiedzę ludu francuskiego i nadal oświecali i wzmacniali (l. c. str. 38). I znowu br. Nathan winszuje loży i liberalnej partyi w Hiszpanii jej odwagi i wytrwałości. Wielki mistrz chwali przedewszystkiem to, że losy hiszpańskiej loży nie zależą od losów upadającej już dynastyi i że masonerya hiszpańska nie pozwala, by jarzmo jezuickiej sekty zawładło krajem; stąd też zasługą loży, że odważnie broni praw wolności i postępu (l. c. str. 40).

Mimo to czerwone, żydowskie gazety będą nas dalej informowały o olbrzymim ruchu, wywołanym przebudzeniem się i samowiedzą ludu. My tej samowiedzy i tego przebudzenia się dokonanego przez lożę i jej czerwonych pachołków, a wspomaganego przez nieludzkie namiętności, w tym ruchu nie widzimy.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z rolniczego ruchu spółkowego w Austryi.

(Ciąg dalszy).

III. Czechy. IV. Styrya.

III. Czechy.

W Czechach organizowanie kas Raiffeisenowskich rozpoczęło się dopiero w ostatniem dziesięcioleciu. Przedtem działały tam powiatowe rolnicze kasy zaliczkowe powstałe z dawnych funduszów kontrybucyjnych (zbożowych i podatkowych) lub towarzystwa zaliczkowe systemu Schultze-Delitzscha.

Rolnicze powiatowe kasy zaliczkowe w liczbie 167 (w 1895) posiadały wprawdzie przeszło 200.000 uczestników i przeszło $16^1/_2$ mil. K. kapitału zakładowego, ale wskutek organizacyi nieodpowiedniej i niedbałego zarządu fundusze te są przeważnie uwiązane w pożyczkach nieściąganych i potrzeb kredytu osobistego nie zaspokajają. Towarzystwa zaliczkowe (czeskie-*założne*) w liczbie 478 (w 1896) obracały wprawdzie bardzo poważnemi funduszami, ale jak zwykle działalność ich skupiała się głównie w sferze ludności miejskiej, wyjątkowo zaś tylko dosięgała niektórych trochę lepiej sytuowanych warstw wiejskich. Mimo to czynniki miarodajne, głównie zarząd krajowy, były tego mniemania, że te organizacye czynią zadość potrzebom kredytowym ludności wiejskiej.

To też prywatna inicyatywa zdołała w 1888—1892 wyłącznie w okolicach niemieckich z biedniejszą ludnością założyć zaledwie 12 kas Raiffeisenowskich. Dopiero gdy gorący ich pionier, Stefan Richter, wybrany posłem złożył w sejmie w 1892 wniosek o udzielenie z funduszu krajowego 5.000 złr. na popieranie rozwoju kas Raiffeisenowskich, sprawa weszła na lepsze tory, jakkolwiek z powodu niechętnego stanowiska Czechów dopiero w 1894 uchwalił sejm przyjść z pomocą nowym tym instytucyom. Charakterystycznem jest, że czeski Bank krajowy wezwany przez sejm do współdziałania, oświadczył gotowość eskontowania weksli kas Raiffeisenowskich podług stopy procentowej Banku austro-węgierskiego, co oczywiście dowodziło bezdennej nieznajomości instytucyi nieśmiertelnego burmistrza z Heddesdorfu, w łonie zarządu wielkiej instytucyi krajowej. Tymczasem dzięki poparciu ze strony niemieckiego centralnego związku towarzystw rolniczych i niemieckiej sekcyi Rady kultury krajowej, liczba kas wzrosła o tyle, że z początkiem 1895 można już było założyć centralny związek niemieckich spółek rolniczych w Czechach, do którego oprócz 51 kas Raiffeisenowskich przystąpiły jeszcze 4 spółki nabywczo-sprzedawcze i spółka dla przygotowywania lnu. Równocześnie i Czesi porzucając swoje uprzedzenia, jęli organizować „Raiffeisenki“ i już z początkiem r. 1897 założyli swój czeski związek.

Przyznana tymczasem pomoc krajowa udzieloną została w zasiłkach po 500 K. na koszta założenia, zwracalnych po zebraniu odpowiedniego funduszu zapasowego lub w razie rozwiązania spółki. Zarazem nakładały te zasiłki obowiązek poddania się rewizyi ze strony związku lub Wydziału krajowego.

Centralny związek niemieckich spółek rolniczych za-

wiązany nie jako spółka, lecz jako towarzystwo, nie miał należytej podstawy finansowej i musiał walczyć z wielkiemi trudnościami. Całą siłę z początku zwrócił on na organizacyę kas Raiffeisenowskich, jako podstawy całej pracy spółkowej i wydał w 1897 podręcznik zawierający wszystkie potrzebne pouczenia, pióra Stefana Richtera. Wkrótce okazała się konieczna potrzeba organizacyi zakupna i zbytu artykułów i produktów rolniczych; rozchodziło się jednak o to, czy należy w tym celu zakładać osobne spółki, czy też użyć do tego kas Raiffeisenowskich. Dla rozjaśnienia tej kwestyi zbadał Stefan Richter na wiosnę 1897 r. urządzenia ważniejszych spółek w Niemczech; wyniki jego badań przyjął wiec związkowy 27 czerwca 1897 za podstawę dalszej organizacyi.

Postanowiono więc handlową działalność rolniczą powierzyć przedewszystkiem spółkowym kasom oszczędnościowo-pożyczkowym, osobne zaś spółki nabywczo-sprzedawcze zakładać w razie potrzeby tylko z małym obszarem i ile możności w ścisłym związku z kasami spółkowemi. Handlowa ta działalność ma się ograniczać wyłącznie na wspólne nabywanie wszelkiego rodzaju artykułów i przedmiotów potrzebnych w gospodarstwie wiejskiem, z wykluczeniem wszelkich składów towarowych, (wyjąwszy niektóre drobne artykuły). Przytem należy ściśle trzymać się zasady płacenia gotówką, a zakupno towarów trzeba skupić w jednej centralnej instytucyi. W myśl tych postanowień dokonano reorganizacyi związku na spółkę z ograniczoną poręką zapisaną w sądzie handlowym w lipcu 1898.

Cele zakreślone statutem związku są te same, co w związku morawskim niemieckich spółek rolniczych.

Członkami, oprócz kas Raiffeisenowskich, mogą być wszelkiego rodzaju spółki rolnicze, centralny rolniczy związek niemiecki w Czechach, oraz osoby prywatne własnowolne.

Udziały opiewają na 20 K. z 30-krotną poręką. Spółki przynależące do związku liczące nie więcej jak 50 członków, obowiązane są wpłacić przynajmniej jeden udział; wyżej zaś 50 za każde pełne czy zaczęte 25 członków, znowu po jednym udziale. Dalej obowiązane są poddać się kontroli i rewizyi ze strony związku i opłacać roczne wkładki na koszta związkowe.

Wiec związkowy wybiera wydział składający się z 20 członków, który ze swego łona wybiera zarząd złożony z przewodniczącego, jego zastępcy, dyrektora kierującego, rewizora i dwóch członków.

Zreorganizowany w ten sposób związek jest więc nietylko związkiem opiekuńczo-rewizyjnym, lecz także stanowi centralną kasę spółkową i centralne biuro dla wspólnego zakupna i zbytu.

Z końcem 1899 istniało w Czechach 298 niemieckich kas Raiffeisenowskich. Według zamknięć rachunkowych za 1898 r. 229 kas (z których tylko 9 nie należało do związku) liczyło 16.600 członków, wykazywało w stanie wkładek przeszło 8.8 mil. K., a w pożyczkach 6.7 mil. K. Procent od wkładek wynosił 4% a od pożyczek $4^1/_2$%, tak, iż kasy pracowały z bardzo skromną różnicą procentową ($^1/_2$%). Ogólny obrót kasowy wszystkich tych kas przenosił z górą $20^1/_2$ mil. K. Obrót zaś 194 kas będących w stosunkach z centralną kasą związkową wynosił $10^1/_2$ mil. K., w pierwszym zaś półroczu 1899 już z górą $9^1/_2$ mil. K. Z końcem 1898 z owych 194 kas 115 było wierzycielkami związkowej kasy, 79 zaś dłużniczkami. *Maximum* kredytu dla kas oznaczone z początku na 200 K. na członka, podwyższono potem w specyalnych razach i na 600 K. Od wkładek płaci centralna kasa 4%, od pożyczek pobiera $4^1/_4$%. Roczna wkładka związkowa wynosi dla spółek liczących mniej niż 50 członków 10 K., od 50 do 150 członków 20 K., a powyżej tego 30 K. Oprócz tego pobiera centralna kasa prowizyę $^1/_{10}$% obliczaną zrazu od większej strony rachunku bieżącego, od r. 1898 zaś tylko od strony pożyczkowej, aby nie obciążać zbytecznie kas wkładkujących. Ponieważ wszelkie te przychody są bardzo umiarkowane, przeto pokrycie kosztów możliwe jest, oprócz subwencyj, tylko zyskami z innych gałęzi, głównie z pośrednictwa we wspólnych zakupnach. Od Sejmu otrzymuje związek rocznie 2000 K., od ministeryum rolnictwa zaś dostał w 1898 nadzwyczajny zasiłek 8000 K.

Obroty pieniężne załatwia związek począwszy od r. 1896 za pośrednictwem Banku krajowego. Rachunkowość centralnej kasy prowadzi biuro związkowe.

Oprócz kas oszczędnościowo-pożyczkowych należało do związku w połowie 1899 r. 5 spółek nabywczo-sprzedawczych, 2 spichrzowe i kilka innych. Poza związkiem istniało jeszcze kilka spółek rolniczych.

Największe obroty ze spółek związkowych wykazuje istniejąca od r. 1888 „Rolnicza spółka kredytowa nabywczo-sprzedawcza“ w Podersam, operująca wekslami i nietrzymająca się wogóle zasad systemu Raiffeisena. Posiada własny budynek, skład z przyrządami do czyszczenia zboża, śrótownik i wagę pomostową. Zajmuje się bezpośrednią lub ko-

misową sprzedażą jęczmienia i chmielu i dostarczaniem nawozów, pasz, nasion i t. p. W 1898 liczyła około 230 członków, z których każdy miał udział 100 K. z poręką 6-krotną. Okręg działalności spółki jest za wielki a brak kredytu obrotowego, którego z powodu ograniczonej poręki nie można tanio uzyskać, sprawia bardzo wielkie trudności. To też przy obrocie kasowym przeszło 1 mil. K. bilans r. 1898 zamknięto stratą 800 K.

Pod wpływem niemieckiej sekcyi Rady kultury krajowej powstało w niemieckich okolicach Czech około 40 stowarzyszeń dla hodowli bydła (z czego połowa na podstawie ustawy o towarzystwach, a więc nie jako spółki), 2 spółki dla utrzymywania buhajów, 2 spółki dla hodowli koni i 1 dla hodowli świń. Dotychczas nie należą one do związku, który jednak oświadczył gotowość przyjęcia ich i wspierania pożyczkami oraz uczestnictwem we wspólnych zakupnach.

Spółki mleczarskie w Czechach nie są rozpowszechnione. Z dwóch spółek dla uprawy lnu, jedna w Kruna (od 1894) jest sztuczną kreacyą dokonaną subwencyami rządu i kraju, i ta nie przyjęła się wśród ludności, druga w Oberplan zawiązała się dopiero w 1898. Spółka torfiarska w Sebastiansberg zawiązała się w 1893 i wydzierżawiwszy od gminy tamtejszej pokłady torfowe za 400 K. rocznego czynszu, eksploatuje je racyonalnie z dobrym wynikiem. Z początkiem 1899 liczyła 51 członków mających 110 udziałów po 100 K. z ograniczoną poręką. Należy do związku.

Ciekawa jest spółkowa kasa ubezpieczenia bydła dla gminy Kupferberg i kilku sąsiednich (od 1897). Udziały wynoszą 4 K. od ubezpieczonej sztuki, a poręka 50 K.

Każdy spólnik musi wszystko swoje bydło podlegające asekuracyi ubezpieczyć. Handlarze bydła są wykluczeni. Ubezpieczenie jest ważne w 14 dni po przyjęciu. Odszkodowanie wynosi 85% wartości rzeźnej sztuk padłych, 95% dobitych, przy innych sztukach, których mięso po zwykłem zabiciu okazało się niezdatnem do użycia dla ludzi, całą wartość mięsa — bez uwzględnienia innych części. Dla pokrycia kosztów i odszkodowań, pobiera się z końcem roku premię od każdego udziału. Spółka miała 50 członków ze 100 udziałami. Organizacya ta zbyt prymitywna, a okręg działalności prawdopodobnie za duży.

Ze spółek spichrzowych tylko pierwsza niemiecka spółka spichrzowa dla politycznych powiatów Dux, Teplitz i Brüx — w Bilinie, rozpoczęła (we wrześniu r. 1898) swe czynności.

Celem jej głównym jest spieniężanie płodów rolniczych swoich członków przy pomocy spichrzów, może także członkom dostarczać artykułów gospodarskich. Członkami mogą być własnowolni rolnicy i zwolennicy rolnictwa oraz osoby prawne (gminy i stowarzyszenia rolnicze) mające siedzibę swą w okręgu spółki. Udział wynosi 10 K.; ilość udziałów stosuje się do wysokości czystego przychodu katastralnego spólnika, a mianowicie po jednym za każde 50 złr. takowego. Największa ilość udziałów dopuszczalna jest 25; każdy spólnik ma jednakże tylko prawo jednego głosu. Poręka jest 3-krotna. Spółka należy do związku. Do spichrza przyjmuje się tylko zboże wyprodukowane przez spólnika we własnem gospodarstwie. Na kwit składowy wypłacają kasy Raiffeisenowskie dostawcy 80% ceny bieżącej na rachunek spółki spichrzowej. Funduszów na to dostarcza centralna kasa związkowa, która udziela spółce spichrzowej kredytu do wysokości 75% wartości znajdującego się w składzie zboża, podług co tygodniowych wykazów. Koszta tego obrotu pieniężnego ponosi spółka spichrzowa. Sprzedaż zboża odbywa się na rachunek spółki, jednakże na zysk lub stratę członków, właścicieli sprzedawanego zboża, ma więc charakter sprzedaży komisowej zmniejszającej ryzyko dla spółki. Z końcem czerwca r. 1899 spółka liczyła 465 członków z 972 udziałami. Obrót pieniężny w pierwszym roku doszedł 1,166.614 K. Przyjęto do spichrza w tym roku 131 wagonów zboża. Sprzedaż z początku była trudna, potem znaleziono dosyć odbiorców. Zakupiono dla członków 42 wagonów owsa, kukurudzy, nawozów, pasz i soli. Spółka otrzymała z ministeryum rolnictwa zasiłek 10.000 K. oraz obietnicę dalszego zasiłku na rozszerzenie spichrza. Pierwszy rok zamknięto zyskiem 2672 K.

Stosownie do postanowień wiecowych zorganizował związek wspólne zakupna nawozów, nasion, węgli, smarów, słomy, ziemniaków, worków, narzędzi i t. p.; w r. 1898 dostarczono tych artykułów za 138.000 K., w r. 1899 już za 1.4 mil. K. (przeważnie nawozów).

Do wzrostu obrotów przyczyniło się wielce przystąpienie na członka związkowego centralnego niemieckiego związku rolniczego z 345 towarzystwami lokalnemi oraz przyjęcie do związku wielu większych gospodarzy i dzierżawców niemieckich, zamieszkałych w okolicach czeskich, którzy w ten sposób mogli uczestniczyć w korzyściach wspólnych zakupów. Z pośród bowiem kas tylko 107 sprowadzało towary rolnicze, ogółem za sumę 350.000 K. Organizacyi wspólnego zbytu produktów nie mógł jeszcze związek podjąć, ograniczył się więc do

stworzenia biura stręczeń dla sprzedaży zbóż i ziemniaków, oraz pośrednictwa w sprzedaży zbóż do siewu.

IV. Styrya.

Aż do początku r. 1890 w Styryi źródłem kredytu rolniczego były tylko kasy oszczędności i stowarzyszenia zaliczkowe [1]. Pierwsze w liczbie 54 praktykowały tylko kredyt hipoteczny, stosunkowo dosyć drogi, drugie zaś rozwinęły się ogółem wziąwszy wcale słabo (tylko 5 w północnej a 32 w środkowej Styryi w r. 1896), działając głównie wśród ludności miejskiej, i starając się raczej o wysokie zyski, niż o zadosyćuczynienie potrzebom kredytowym ludności rolniczej. Tylko w południowej Styryi rozwinęły się towarzystwa zaliczkowe z nieograniczoną poręką (37 w r. 1897), przeważnie słoweńskie, uwzględniające więcej potrzeby ludności wiejskiej, jakkolwiek ich organizacya, stwarzająca dwojakiego rodzaju członków, nie jest bez zarzutu.

Styryjskie towarzystwo rolnicze w r. 1888 i w 1892 zwracało uwagę Wydziału krajowego na potrzebę popierania rozwoju kas Raiffeisenowskich, ponieważ tylko instytucya krajowa może przełamać nieufność ludności włościańskiej, z drugiej zaś strony organizacya wymaga pewnych funduszów na pokrycie pierwszych kosztów.

W r. 1893 sejm styryjski postanowił wspierać kasy Raiffeisenowskie zasiłkami bezprocentowemi na koszta założenia (od 100—500 K.) i pożyczkami 3% (do 4000 K.) na rozpoczęcie pierwszych operacyj, na które to cele przeznaczył 200.000 K. do dyspozycyi Wydziału krajowego, powierzając mu czuwanie nad całą akcyą. Wydział krajowy ogłosił wkrótce pouczenie o organizacyi i celach kas Raiffeisenowskich, statut normalny i wezwał władze rządowe i autonomiczne, duchowieństwo i nauczycielstwo, redakcye pism i t. p. do współdziałania w całej akcyi. Warto zauważyć, że ministeryum handlu uwolniło korespondencyę kas Raiffeisenowskich z władzami rządowemi i z Wydziałem krajowym od opłaty pocztowej.

Według statutu normalnego przyjętego przez sejm w r. 1893, celem tych kas z poręką wyłącznie nieograniczoną jest udzielanie kredytu i przyjmowanie oszczędności. Członkami mogą być tylko własno-

---

[1] *Mittheilungen der Deutschen Landwirtschafts-Gesellschaft* (Berlin) 1898· Beilagen zu Nr. 10—15. *Gesch. der oesterr. Land- und Forstwirtschaft*, jak wyżej, oraz Sprawozdania Wydziału kraj. styryjskiego o kasach Raiffeisenowskich za r. 1898.

wolni mieszkańcy okręgu spółki. Zresztą organizacya zastosowana do ustaw austryackich.

Dzięki pomocy kraju i gorącego zajęcia się tą sprawą ze strony Styryjskiego towarzystwa rolniczego, zaczęły szybko powstawać spółkowe kasy Raiffeisenowskie. W połowie r. 1895 na wezwanie Wydziału krajowego Styryjski bank eskontowy zaczął przyjmować wkłady od kas spółkowych na 4%, Wydział zaś krajowy pośredniczył w udzielaniu z tych wkładów pożyczek spółkom potrzebującym kredytu. W r. 1896 sejm podwyższył fundusz krajowy dla popierania kas Raiffeisenowskich i ustanowił dla nich osobnego rewizora.

Podług zamknięć rachunkowych za r. 1898, 129 kas liczyło 11.400 członków i miało przeszło 9 mil. K. obrotu kasowego. Stan wkładek oszczędności wynosił przeszło 3.7 mil. K., na pożyczkach u członków miały kasy niespełna 3 mil. K., w Banku eskontowym blizko 1.2 mil. K. Dłużne zaś były kasy do funduszu krajowego prawie 300.000 K. pożyczek i 44.000 K. zasiłków. Fundusz rezerwowy z r. 1897 wynosił 32.347 K., za r. 1898 zaś powiększył się o 24.050 K., koszta administracyjne wynosiły 23.696 K. Sumę funduszów kas spółkowych umieszczonych w innych kasach Raiffeisenowskich szacowano zaledwie na 200.000 K. Z funduszów krajowych udzielono kasom do końca r. 1899 68.150 K. zasiłków bezprocentowych i 451.200 K. 3% pożyczek, z czego spłaciły już prawie 10.000 K. zasiłków i 116.822 K. pożyczek.

W listopadzie r. 1899 istniało ogółem 167 kas, z czego tylko 8 w południowej słoweńskiej, 43 w górskiej północnej, a 116 w środkowej części kraju. Liczyły one 13.240 członków i zajmowały obszar z ludnością blizko 350.000 dusz, czyli blizko 40% rolniczej ludności Styryi. Procent wkładek wynosił prawie powszechnie 4, pożyczek 5%. Przewodniczącymi zarządów są prawie wyłącznie włościanie, wśród przewodniczących rad nadzorczych jest kilkudziesięciu proboszczów, wśród kasyerów jest przeszło 60 nauczycieli, paru księży, kupców, zresztą chłopi.

Oprócz kas Raiffeisenowskich, innych spółek rolniczych w Styryi niema. W ostatnich tylko latach powstało kilkanaście spółek dla hodowli bydła i utrzymywania rozpłodników, dzięki finansowej pomocy krajowej.

W jesieni r. 1899 zwrócił się Wydział krajowy do członka zarządu Towarzystwa rolniczego i posła sejmowego barona d-ra Pawła

Störcka z prośbą o przedstawienie projektu dalszej organizacyi kas Raiffeisenowskich i wogóle spółek rolniczych w Styryi, zapytując w szczególności, czy wskazanem jest założenie związku kas Raiffeisenowskich w Styryi. W odpowiedzi na to wezwanie, złożył baron Störck sprawozdanie o spółkach rolniczych w Dolnej Austryi i w niemieckich okolicach Czech i Moraw (z którego właśnie korzystaliśmy w poprzednich rozdziałach), a następnie przedłożył memoryał zawierający żądane projekty. Ze względu na racyonalne i praktyczne wywody w tym memoryale zawarte, pozwolimy sobie pokrótce je tutaj przytoczyć.

W odpowiedzi na główne pytanie, czy potrzebnem jest w Styryi utworzenie związku kas Raiffeisenowskich, nie ogranicza się dr. Störck do wskazania na przykład ojczyzny kas Raiffeisenowskich, tj. Niemiec, oraz wielu krajów austryackich, lecz rozbiera szczegółowo główne zadania tego rodzaju związków, któremi są mianowicie: wyrównywanie pieniężne, rewizya i patronat.

Wyrównywanie, właściwie regulowanie ruchu pieniężnego, polega z jednej strony na fruktyfikowaniu niezatrudnionych nadwyżek funduszów kas Raiffeisenowskich, a z drugiej strony na udzielaniu kredytu kasom niemającym dostatecznego funduszu obrotowego. Uskutecznia się to zwykle za pomocą centralnej kasy, która otwiera kasom rachunek bieżący, przyjmując i oprocentowując wkłady i udzielając pożyczek w miarę potrzeby. Centralna kasa potrzebując w tym celu również kredytu, musi być osobą prawną, co się najlepiej osiąga w formie spółki z ograniczoną poręką. Zgodnie z ideą spółkową różnica wypłacanych i pobieranych procentów nie powinna być wyższą, niż potrzeba na pokrycie kosztów. Najstosowniejszem okazało się, gdy kasa centralna jest kasą księgową, tj. prowadzi tylko rachunkowość, obrót zaś pieniężny powierza jakiejś większej instytucyi charakteru społeczno-publicznego, unika bowiem w ten sposób trudności lokowania funduszów i oszczędza znacznie na kosztach administracyjnych.

Pierwotnie kasy Raiffeisenowskie pożyczały sobie nawzajem funduszów bezpośrednio, co jednak było urządzeniem bardzo niewystarczającem. W razie bowiem znaczniejszego zapotrzebowania pieniężnego wycofanie kapitałów sprawiało oczywiście niepokonalne trudności, narażając na szwank całą organizacyę kas spółkowych. O uzyskaniu zaś kredytu, którego w takich chwilach niezbędnie potrzeba, nie mogło być mowy. Ale i w normalnych zresztą czasach wzajemne pożyczanie pieniędzy z kasy do kasy przysparza dużo pisaniny, unieruchomia fundusze, a przynosi zbyt mały zysk, tak iż kasy przeważnie nie chcą

użyczać w tym celu swych funduszów. Stąd też wiele kas składa swe nadwyżki raczej w bankach i większych kasach oszczędności, co nie dowodzi bynajmniej, że kasy nie umieją znaleźć zajęcia dla swych pieniędzy, lecz przeciwnie wykazuje, że stosownie do zasady Raiffeisena w udzielaniu kredytu kierują się względami rzeczywistej potrzeby ekonomicznej i bezpieczeństwa — nie zaś chęcią zyskania procentów. Oprócz tego takie nadwyżki służą jako niezbędna rezerwa w razie większego wycofywania wkładek.

Wszystkim tym względom czyni zadość istnienie centralnej kasy, która nadto może zapobiegać temu, iżby poszczególne spółkowe kasy przeciążały się obcemi kapitałami ponad swą siłę kredytową.

Przytem należy zauważyć, iż okazało się korzystnem organizacyą centralnej kasy objąć nietylko kasy Raiffeisenowskie, lecz także i inne spółki rolnicze. Te bowiem inne spółki rolnicze mają znacznie większą potrzebę kredytu obrotowego, a napotykają na wielkie przeszkody w uzyskaniu tegoż. Otóż jest rzeczą zupełnie słuszną i sprawiedliwą, aby kapitały złożone przez ludność rolniczą były użyte dla podniesienia stosunków gospodarczych wiejskich, bo właśnie kasy Raiffeisena mają być podstawą całej rolniczej pracy spółkowej, mającej na celu podniesienie dobrobytu ludności wiejskiej.

Oczywiście udzielanie kredytu spółkom rolniczym musi się odbywać z zachowaniem należytych rozmiarów i ostrożności. Z rozwojem zaś takich spółek oddają im kasy łącznie z kasą centralną wielkie usługi w ułatwianiu obrotu pieniężnego (np. spółkom spichrzowym, nabywczo-sprzedawczym, mleczarskim i t. p.) a same nawzajem znajdują korzystne zajęcie dla swoich funduszów.

Połączenie w jednej centralnej organizacyi spółek opartych na poręce ograniczonej (jak to zwykle są spółki rolnicze) ze spółkami o poręce nieograniczonej, nie przedstawia bynajmniej żadnego niebezpieczeństwa. Centralne bowiem kasy są spółkami o poręce ograniczonej, a przeto każda przynależąca do nich spółka odpowiada za zobowiązania centralnej instytucyi tylko do wysokości statutowej poręki, stosownie do ilości subskrybowanych przez nią udziałów.

Odpowiedzialność więc wobec centralnej kasy jest dla wszystkich spółek uczestniczących równomierna; natomiast, co się tyczy kredytu, spółki z poręką nieograniczoną, odnoszą większą korzyść, gdyż może im centralna kasa przyznać większy kredyt, niż spółkom o poręce ograniczonej. Przy uzyskaniu zaś kredytu zakładowego i obrotowego podług war-

tości realności, inwentarza, zapasów towarowych i t. p. spółki obu rodzajów jednako są traktowane.

Co się tyczy drugiego zadania związkowej organizacyi spółek, tj. rewizyi rachunkowej, kasowej i kontroli ich działalności, to uzasadnienie jej niezbędności jest zbytecznem. Leży ono zresztą we własnym interesie spółek, ponieważ zabezpiecza je od strat i wzmacnia zaufanie ludności.

Według niemieckiej ustawy o spółkach z 1 maja r. 1899 rewizya jest obowiązkową dla wszystkich spółek. Ustawa austryacka z 9 kwietnia r. 1873 służąca za podstawę organizacyi kas i spółek rolniczych nie zna niestety tego obowiązku. Tylko dotyczące kas Raiffeisenowskich ustawy z 1 czerwca r. 1889 i z 11 czerwca r. 1894, przyznające im pewne ulgi podatkowe i należytościowe, nakładają na nie obowiązek poddania się kontroli — oczywiście jedynie ze względów fiskalnych.

Obowiązek poddania się rewizyi przyjmują w Austryi kasy i spółki na siebie, jako warunek otrzymania zasiłku lub pożyczki z funduszów publicznych, krajowych.

Władza krajowa może rewizyi dokonywać pomimo istnienia związku jak np. w Austryi Dolnej, atoli idei spółkowej, opierającej się na zasadach samopomocy i samorządu, odpowiada o wiele lepiej powierzenie tej rewizyi związkowi spółek, podczas gdy władzom publicznym pozostaje zadanie usuwać przeszkody administracyjno-fiskalne, i wspierać cały ruch materyalnie. Dla wykonywania rewizyj może władza krajowa oddać do rozporządzenia związku specyalnych urzędników krajowych, płatnych z funduszu krajowego, przez coby odpadła potrzeba osobnych na to subwencyj. Oczywiście urzędnicy ci mogliby być używani tylko do prac związanych z rewizyą spółek, przyczem władza krajowa mogłaby im polecić także rewizyę spółek pozostających poza związkiem.

Jeżeli zaś związek sam zajmuje się rewizyą spółek, wtedy byłoby tylko wskazanem, aby sam ze swej strony poddał się rewizyi Wydziału krajowego, przez coby jego działalność otrzymywała rodzaj sankcyi budzącej zaufanie, a Wydział krajowy miałby sposobność dokładnego przekonania się o użyciu udzielanych przez się funduszów.

Trzecie główne zadanie centralnej organizacyi spółkowej — patronat, obejmuje zastępstwo interesów spółkowych w sprawach administracyjnych, fiskalnych, sądowych i ustawowych, pośrednictwo w rozdziale subwencyj publicznych, wspieranie spółek radą i pomocą przy

zakładaniu i podczas działalności, wydawnictwo potrzebnych druków i formularzy, prowadzenie statystyki rozwoju i działalności spółek, i wogóle wspieranie całego spółkowego ruchu rolniczego. Wprawdzie zadania te przypadają w udziale także państwu i krajom, ale dotyczy to głównie kwestyj zasadniczych i ogólnych, podczas gdy organizacya związkowa pracować ma właśnie nad szczegółowem i praktycznem wypełnieniem ich w okręgu swej działalności.

Omówiwszy w ten sposób zadania związku w sprawach kredytu wiejskiego, roztrząsa projektodawca kwestyę organizacyi wspólnego zakupna artykułów rolniczych.

Nadmieniwszy, że luźne organizacye, jako to towarzystwa, kasyna rolnicze i t. p. dla braku należytej finansowej podstawy nie mogą należycie podołać temu zadaniu, wykazuje, że dopiero oddanie tej sprawy w ręce spółek przyczynia się do pogłębienia całej akcyi, przyczem jednak koniecznem uzupełnieniem jest złączenie się wszystkich spółek do wspólnego nabywania potrzebnych artykułów, bo w taki tylko sposób mogą rolnicy zyskać odpowiednie znaczenie na rynku.

Jako ważne zasady organizacyi spółkowych zakupów wymienia dr. Störck: 1) należy ograniczyć je wyłącznie do artykułów potrzeb rolniczych, z wykluczeniem towarów kolonialnych i wogóle kupieckich i nie powinno się z zasady utrzymywać towarów na składzie, lecz kupować tylko na zamówienia członków, wyjąwszy chyba artykuły dla taniej ceny lub tańszego przewozu nabywane w większej ilości, o ile taki zapas z pewnością w najbliższym czasie zostanie spotrzebowany. 2) Wszystkie otrzymane towary należy płacić gotówką. Tyczy to zarówno centralnej organizacyi w stosunku do dostawców jak i spółki i ich członków wobec związkowej spółki.

W kwestyi, czy dla interesu nabywczego należy utworzyć osobne spółki, czy też powierzyć go spółkowym kasom oszczędnościowo-pożyczkowym, oświadcza się autor, za tym drugim systemem. Połączenie tych dwóch działalności w praktyce bardzo licznych kas okazało się nietylko możebnem ale i bardzo korzystnem.

Okręgi działalności osobnych spółek nabywczych, którymby potrzeba było dokładnie znać stosunki swych członków, musiałyby być również małe, jak okręgi kas spółkowych, i wobec ich rozpowszechnienia, przeważnieby się z niemi schodziły, zarząd zaś ich, wobec zwykłego na wsi braku odpowiednich ludzi, składałby się zwykle z tych samych osób; co byłoby tylko niepotrzebnem przysporzeniem pisaniny i stratą czasu na czcze formalności. Nadto kasy rozporządzają kapitałem obrotowym,

jaki osobne spółki nabywcze nie zawszeby miały do rozporządzenia, a z tytułu swej solidarnej odpowiedzialności, mają większy bodziec do ostrożności w interesach. Następnie kasy udzielając członkom pożyczek na zapłatę dostarczonych towarów, dają tem samem włościanom wygodniejszą sposobność zaopatrzenia się w artykuły gospodarskie.

Z podobnych względów praktyczniej bywa też jednej i tej samej organizacyi centralnej powierzyć oprócz pieniężnego także i towarowy interes, przy odrębnem oczywiście prowadzeniu rachunków i funduszów obu oddziałów; w ten sposób nietylko oszczędza się na kosztach administracyjnych, lecz również zyskuje się na pokrycie ogólnych kosztów przychody z ruchu towarowego. Łatwiej wytrzymuje go doliczanie umiarkowanej prowizyi, niż obrót pieniężny, który szczupłą różnicą procentów nie może pokryć swych kosztów.

Ryzyka zaś interes towarowy dla kas Raiffeisenowskich nie przedstawia groźnego, gdyż owszem znając dokładnie stosunki swoich członków zapobiegać mogą zamówieniom niepotrzebnym lub przechodzącym możność gospodarczą danych jednostek.

Do uczestnictwa we wspólnych zakupnach można bez wahania przypuścić oprócz spółek także i inne osoby prawne, zwłaszcza stowarzyszenia rolnicze, przyjmując je na członków centralnej spółki, przyczem oczywiście jednak musi się im postawić ostrzejsze warunki, dla braku dalej idącej odpowiedzialności, chyba, że znajdą one poparcie którejś ze związkowych kas spółkowych. Natomiast dopuszczanie na członków osób pojedynczych dla uczestnictwa w pośrednictwie towarowem sprzeciwia się właściwie duchowi związku mającemu być organizacyą organizacyj a nie jednostek. Co się tyczy zbytu produktów rolniczych, to powierzenie go spółkowym kasom możliwe jest tylko w bardzo skromnych rozmiarach, w dalszym rozwoju potrzeba jest koniecznie specyalnych spółek przetwórczych, i sprzedawczych; zadaniem zaś instytucyi związkowej jest skupiać ich działalność czy to bezpośrednio czy też za pomocą osobnych oddziałów lub organizacyj podporządkowanych.

Pośrednictwo w sprawach hipotecznych, ochrona ziemi i t. p. należą już do zadań dalszych mogących być podejmowanemi w miarę rozwoju organizacyi centralnej i ruchu spółkowego wogóle.

W duchu tych wywodów baron Störck opracował projekt statutu dla związku spółek rolniczych w Styryi, jako spółki z ograniczoną poręką.

Zadania związku są: regulowanie ruchu pieniężnego, rewizya,

dostarczanie artykułów rolniczych, zbyt produktów i patronat wogóle. Członkami mogą być: spółkowe kasy Raiffeisenowskie, wszelkie spółki i stowarzyszenia rolnicze, oraz osoby fizyczne wybrane do zarządu. Organami spółki są: wiec związkowy, wydział (z 18 członków, z których 12 musi być członkami spółek związkowych), zarząd i rada nadzorcza. Udział, 10 K. z poręką 50-krotną, obowiązane są spółki i stowarzyszenia wpłacać od każdych 50 członków i reszty większej od 20. Członkowie uczestniczący w interesie towarowym związku obowiązani są wpłacić po udziale od każdych 10.000 K. rocznego obrotu w stosunku ze związkiem. Związek poddaje się rewizyi Wydziału krajowego.

Dnia 8 października r. 1900 ukonstytuował się na podstawie tych statutów związek spółek rolniczych w Styryi, (przyczem barona d-ra Störcka obrano patronem). Jako wkładkę roczną uchwalono, że każda spółka ma płacić po 20 hal. od członka.

(Dok. nast.).

Dr. Tadeusz Kudelka.

Druk ukończono 29 kwietnia 1901 r.

FREDERI MISTRAL.

Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską.

„Dzisiaj zwiastuję wam wesołą nowinę; wielki wieszcz narodził się nam. Jeżeli Zachód żadnych więcej wieszczów nie daje, Południe ich jeszcze zawsze stwarza. Jest siła w słońcu!

„Jest to wieszcz Homerowski, jak ludzie Deukaliona z jednego kamienia utoczony; grecki wieszcz w Awinionie...

„Witaj nam pomiędzy pisarzami tych stron! Należysz do innego klimatu i innego języka, ale twój klimat, twój język i twoje niebo przyniosłeś z sobą. Nie pytamy się, skąd przychodzisz i kim jesteś. *Tu Marcellus eris.*

„O wieszczu z Maiano! Tyś jest aloesem Prowansyi. W jednym dniu wyrosłeś w olbrzyma, w dwudziestym piątym roku zakwitłeś; dusza twa poetyczna napełnia wonią Awinion, Arles, Marsylię, Toulon, Hyères i całą Francyę; lecz woń twego dzieła za lat tysiąc nie rozwieje się“ [1].

Temi gorącemi słowy witał Lamartine pojawienie się epopei *Mirèio,* napisanej przez Mistrala. Poeta uczucia odczuł, bystry krytyk zrozumiał, że na arenę wystąpił autor, którego imię przejdzie do potomności, którego zasługa złotemi literami będzie na zawsze zapisana w księdze powstającego prowansalskiego

[1] Lamartine, *Cours familier de littérature, 40 entretien.*

piśmiennictwa, a któremu słusznie przystoi tytuł, jaki mu dali ziomkowie: Homera Prowansyi.

* * *

Na pół prawie drogi między starem miastem papieży Awinionem a dawną stolicą Arles, niedaleko znanego nam już San-Roumié (Saint-Rémy), leży wioska Maiano. W sinej dali na północy majaczeją śnieżne szczyty Parnasu nowoprowansalskich poetów, *Mont-Ventoux,* na południe zaś wciskają się w dolinę Rodanu i skalistą opokę Crau'y niebieskie Alpiny. Pełno tam jeszcze rzymskich pamiątek a badacz znajduje na każdym kroku wspomnienia starożytności, mówiące mu marmurami kolumn i murami budowli, że kroczy po klasycznej ziemi. „To kraj, gdzie po długim okresie walk i nieszczęść roztoczył najpierw anioł pieśni swe skrzydła; tu znajdują się te góry, z których po raz pierwszy wytrysło źródło owego odżywczego strumienia, którego wody miały przepłynąć całą Europę i ukształtować jej obyczaje". Na tej ziemi, co obok piękna, jakie jej nadaje chwalebna przeszłość, łączy jeszcze urocze piękno południowej przyrody, stała kolebka Mistrala, urodzonego w Maiano w dzień Narodzenia Najświętszej Panny 1830 roku. Ze starego pochodził on rodu, bo już w początkach szesnastego wieku przenieśli się jego przodkowie z Delfinatu do San-Roumié, a ceniąc sobie więcej uczciwe imię od godności i zaszczytów, zatracili z biegiem czasów tytuł szlachecki, przenieśli się do Maiano, nabyli mały folwarczek i zajmowali się wyłącznie uprawą swych pól i winnic.

Dziecinne lata Mistrala, tak jak je nam w swych pismach przedstawia, upływały prawie sielankowo, bo też wiele niewypowiedzianie uroczych i naiwnych wspomnień składało się na jego sny chłopięce, które marzył pod gorącem niebem nad brzegami zasianego kwiatami strumienia. „Mój ojciec — opowiada w przedmowie do swych *Lis Isclo d'or,* ‚Złote wyspy' — ożenił się powtórnie licząc lat pięćdziesiąt pięć. Z matką moją zaznajomił się w następujących okolicznościach: W dzień św. Jana znajdował się Francés Mistral na swem polu, które właśnie

kosiła garść dzielnych żniwiarzy. Mnóstwo dziewcząt postępowało za kosarzami i zbierało kłosy, ominięte przez grabie. Francés, mój ojciec, ujrzał niespodzianie piękne dziewczę, które pozostawało kawałek poza innemi, jakby się wstydziło razem z niemi kłosy zbierać. Zbliżył się tedy do niej i zapytał:

„Dziecko moje, czyjaś ty córka? Jak się nazywasz?“

Dziewczyna odpowiedziała: „Jestem córką Stefana Poulineta, mera z Maiano; nazywam się Adelajda“.

„Jakto — powiada ojciec — córka Poulineta, mera z Maiano, zbiera tu kłosy?“

„Panie — mówi dziewczyna — stanowimy bardzo liczną familię; jest nas dwoje dziewcząt i sześciu chłopców. Ojciec jest, jak ci wiadomo, wcale zamożny, ale gdy go prosimy o pieniądze na nasze stroje i suknie, odpowiada nam zawsze: ‚moje dzieci, chcecie się stroić, zaróbcie na to‘. I dlatego to zbieram kłosy“.

„W pół roku po tem spotkaniu, które przypomina biblijną scenę między Rutą i Boozem, poprosił Francés Poulineta o rękę Adelajdy, a z tego małżeństwa ja się narodziłem“.

Ojciec Mistrala, człowiek pełen poświęcenia i miłości bliźniego, zbudował w czasach rewolucyi podziemną skrytkę, która służyła za schronienie wszystkim na liście proskrypcyjnej Jakobinów umieszczonym bez względu na osobiste przekonania nieszczęśliwych ofiar fanatyzmu. To też swoboda i pogoda umysłu nie opuszczała go ani na chwilę; kiedy sąsiedzi skarżyli się na wichry lub śniegi i deszcze, mawiał zawsze z niezwykłą prostotą: „Ten, co jest w górze, wie dobrze, co robi i czego nam brak“. Miał więc młody poeta zawsze przed oczami tę wzniosłą a skromną postać ojca, któremu wystawił spiżowy posąg w opowiadaniu *La mort dóu meissounié,* „Śmierć żniwiarza“ i w swem niezrównanem arcydziele *Mirèio.*

Przykład dawany przez ojca potęgowało jeszcze postępowanie matki, która nietylko wpajała w ulubionego syna zasady katolickie, ale z niezwykłą delikatnością uczucia zwracała jego wrażliwy umysł na piękność przyrody a opowiadaniem legend i baśni, śpiewaniem dawnych, częściowo już zapomnianych pieśni

rycerskich, karmiła jego wyobraźnię. Jeżeli dlatego w opowiadaniach Mistrala postać ojca pojawia się jakby ze spiżu ukuta i przypomina postacie dawnych, minionych czasów, to nad matką unosi się znów aureola poezyi i urok gorącego, południowego czaru. Jakiem też pod czujnem okiem i tkliwem sercem matki było to jego „dzieciństwo sielskie, anielskie“, opowiada nam Mistral w obrazku *Li Rèi*, „Królowie“ [1].

„Jutro Trzech Króli. Chcecie więc dzieci ujrzeć wjazd Królów, wynijdźcie naprzeciw nich a zabierzcie i dary z sobą“.

Tak mówiły pewnego razu w wigilię szóstego stycznia matki z Maiano a wszystkie dzieci z wioski, między niemi i mały Fryderyk, wyszły naprzeciwko Mędrców, którzy z wielkim orszakiem do Maiano przyjść i Jezusowi cześć oddać mieli. Szli tedy wszyscy razem, i rozczochrane chłopięta i złocistowłose dziewczątka w czepeczkach i sabotach, drogą, która wiedzie do Arles, a z sobą zabrali ciasta dla Królów, suszone figi dla paziów i siano dla wielbłądów. Zimno było; przenikający wiatr szumiał a słońce chowało się do Rodanu. Daleko i szeroko nie było widać nikogo, tylko stara kobiecina dźwigała wiązkę suchych gałązek.

„Dokąd to tak późno, moje dzieci?“

„Idziemy naprzeciw Trzech Króli“.

I dumni, jak garstka małych świętych Michałów, szli naprzód po piaszczystej drodze, śmiejąc się i śpiewając. Dzień miał się już ku schyłkowi. Za ponuremi cyprysami znikła wieża kościoła z Maiano, szerokie błonie było puste i ponure, a cała przyroda cicha i smutna. Samotny pasterz, strzegący swoich owiec, otulił się silniej w zgrzebny płaszcz i zapytał:

„Dokąd to tak późno, moje dzieci?“

„Idziemy naprzeciwko Trzech Króli. Dalekoż jeszcze do nich?“

„Hm! Trzech Króli? Prawda, prawda! Stamtąd powinni nadejść“.

I naprzód szły ciągle dzieci z ciastem, figami i wiązkami

[1] *Armana prouvençau.* 1886.

siana; już też i dzień się skończył; słońce tonęło za czarną zasłoną chmur a wiatr zimniej powiewał. Dzieci szły powoli; najśmielsze nawet traciły odwagę, nagle jednak zawołały wszystkie od razu: „Tam idą, tam idą!“

I naprawdę! W dali blask jakiegoś królewskiego zjawiska olśnił ich oczy. Morze najżywszych kolorów rozlało się na zachodniem niebie, purpurowe płomienie strzeliły ku górze, a półkole świecące złotem i rubinami obramowało horyzont.

„Królowie, Królowie! Tam ich korony! Tam ich płaszcze! Tam ich sztandary! Tam ich rumaki i wielbłądy!“

Jak wryci stanęli wszyscy. Lecz w momencie rozwiało się gdzieś za chmurami to zjawisko, ostatnie pozdrowienie zachodzącego słońca, i znowu ujrzały się dzieci samotne na ciemnem błoniu. Sowy jęczały, trwoga opanowała młode serduszka; wracały smutne.

„Widziałyście ich?“ — pytały matki.

„Nie, zniknęli tam za górami“.

„Jakąż więc drogą szłyście?“

„Drogą do Arles“.

„Biedactwa wy nasze! Ze wschodu przecież przychodzą Królowie, nie z zachodu. Trzeba wam było iść ku San-Roumié. O! gdybyście ich byli widzieli, jak wchodzili do Maiano z paziami i wielbłądami, wśród dźwięku trąb i bębnów! Teraz znajdują się w kościele i oddają cześć Dzieciątku. Po kolacyi pójdziecie ich zobaczyć“.

Podwójne to oddziaływanie rodziców na przyszłego mistrza słowa, połączone ze swobodnem życiem wiejskiem, kształciło jego charakter i serce tak dalece, że słusznie matka wołała: „Najświętsza Panienko! ależ to chłopię nie jest wcale do innych podobne!“ [1]. Bo też już w ósmym roku życia opiewał mały poeta towarzysza swych wycieczek, kotka Merlaco, a formę wiersza nadawał legendom, zasłyszanym od matki. Przyzwyczajonemu do wolnego błądzenia po łąkach i polach chłopcu, nie bardzo

---

[1] *Armana prouvençau* 1889. *Li Tèste d'Ase*, „Ośle głowy“. (Tak nazywa Mistral kwiat kosaćcu, *Iris Pseudacorus*).

uśmiechała się szkoła; pod rozmaitemi pozorami usuwał się od niej tak często, że ojciec chcąc niepotrzebnej stracie czasu zapobiedz, oddał go do liceum w Awinionie. Ciężkie chwile wypadło mu tu spędzić, chwile pełne tęsknoty i rozczarowania, aż wreszcie studya i bliższe zapoznanie się z Homerem i Wirgilim otworzyły nowe światy przed żądnym już wiedzy młodzieńcem. W zwyczajach i scenach, opisywanych przez dwóch klasyków, znalazł wiele momentów przypominających mu ojczyznę a tak się samymi autorami przejął, tak się w nich wgłębił i ich zrozumiał, że „na dziczek prowansalski zaszczepił latorośl klasycyzmu, który sprawił, że jego poezya w kwiat się rozwinęła“ [1]. Czternaście lat kończył a już tłumaczył na język ojczysty eklogi Wirgiliusza, nie był jednak jeszcze pewnym, w jakim kierunku ma się doskonalić. Tradycya, wychowanie, miłość bliższej ojczyzny, częściowo też i wpływ otoczenia pchały go do języka prowansalskiego; ściślejsze znowu zapoznanie się z Wiktorem Hugo a przedewszystkiem z Lamartinem, którego uwielbiał, okazywało mu tęczowe zjawisko oczekującej go sławy, jeżeli porzuci ten język niezrozumiały dla szerszego ogółu i zacznie ubierać myśli w język ulubionego autora „Medytacyj“. Niepewność tę rozstrzygnęło na korzyść Prowansyi .pierwsze zapoznanie się Mistrala z Roumanillem i wielki wpływ, jaki patryarcha na swego ucznia zawsze wywierał [2].

Przyjaźń ta zawarta w dziecinnych prawie latach, miała trwać życie całe i ona też popchnęła Mistrala do zajęcia się literaturą prowansalską. „Trawieni żądzą wydoskonalenia języka naszych matek, zgłębialiśmy razem księgi prowansalskie i powzięliśmy postanowienie wskrzeszenia języka według jego tradycyi i jego narodowego charakteru; doszliśmy do tego celu wspomagani dobrą radą naszych braci, Felibrów“ [3]. Chwile te były pełne walk, ale zarazem pełne miłych wspomnień. Po trzydziestu jeszcze latach wspominał Mistral godzinę, w której czytał po raz pierwszy „Stokrótki“: „Zaledwie pokazał mi te

[1] Welter, *Frederi Mistral, der Dichter der Provence*, str. 16.
[2] *Przegląd Powszechny*, 1901, tom LXIX, str. 187.
[3] Cornut, *Les maîtres du Félibrige. Mistral*, str. 141.

urocze ‚Stokrótki' w ich wiosennej świeżości, a dreszcz rozkoszy wstrząsnął całem mojem jestestwem i zawołałem: To jest jutrzenka, na którą dusza moja czekała, by się ku światłu obudzić. Wprawdzie już wtenczas czytałem coś po prowansalsku, lecz gniewało mnie zawsze, gdym widział jak język nasz bywał przedmiotem drwinek. Roumanille dopiero pierwszy nad brzegami Rodanu wyśpiewał wszystkie uczucia serca w prostej lecz świeżej formie. Padliśmy sobie w ramiona i zawarli przyjaźń pod gwiazdą tak szczęśliwą, że od trzydziestu lat idziemy zawsze ręka w rękę, a miłość nasza i gorliwość nie osłabiły się" [1].

Temu ścisłemu związkowi dwóch dusz nie przeszkodziło i rozstanie. Mistral musiał dalej się kształcić, złożył egzamin dojrzałości, otrzymał licencyat z prawa, lecz nie podobał sobie w tych zajęciach i wrócił na wieś, tym razem już na stałe. Życie na wsi odtąd pędzone, dało krytykom francuskim okazyę do ubliżających młodzieńcowi pogłosek. Nazwano go człowiekiem nieokrzesanym, bez wykształcenia, którego jedyną oryginalnością jest chyba niesłychana ignorancya; i trzeba było dopiero pióra St. Réné-Taillandiera, by zrehabilitować sławę pojawiającego się talentu.

Za czasu swego pobytu w Maiano pracował Mistral od kilku już lat nad poematem *Mirèio,* brał udział w wydaniu „Prowansalek" i razem z Roumanille'm założył stowarzyszenie Felibrów. Już wtenczas objawił się jego wielki talent poetycki a kiedy Saint Réné-Taillandier przeczytał w „Prowansalkach" Mistrala *Bonjour en tóuti,* mógł z niezbytnią przesadą twierdzić: „Co inni za zwykłą farandolę uważają, to bierze Mistral bardzo na seryo. Należy on do tych, którzy za główne swe zadanie uważają wskrzeszenie pięknego języka przeszłości. Jeżeli ta szkoła rozwinie się harmonijnie i przyniesie piękne owoce, to skutek ten będzie jego staraniom przypisany" [2]. Dlatego też Mistral, jako jeden z najuczeńszych prowansalskich literatów, brał z Roumanille'm przeważny udział w założeniu Felibrów

[1] Welter l. c. str. 22.

[2] S. Réné-Taillandier, *Etudes littéraires,* str. 295.

a jak swem *Bonjour en tóuti* rozpoczął pieśni „Prowansalek“, tak znowu w „Kalendarzu“ *Armana* dał nam na pierwszej stronie *Cant di Felibre,* w którego wierszach rozwija program przyszłej szkoły.

Czas ten był najpiękniejszym w młodości Mistrala. „Gdy się w jaką uroczystość np. na św. Teodoryka zbierzemy w *Châteauneuf-du-Pape,* aby tam w wesołem zgromadzeniu śpiewać i biesiadować, trudno pod złotym słońca płaszczem o szczęście, któreby się naszemu równało.

„Konstantyn strzelec (brat Anzelma Mathieu), który już raniutko przeszukał gaje dębowe, zjawia się z zapełnioną torbą myśliwską, i tak sobie od niechcenia rzuca na kuchnię kilka pięknych zajęcy, dziewięć lub dziesięć kuropatw i cztery, pięć królików.

„Podczas gdy rożen obraca się nad płonącemi gałązkami, stawia najstarszy Mathieu na stół w jednym szeregu zapleśniałe butelki i opowiada uroczystym tonem o wieku, przymiotach i historyi każdej butelki z osobna.

„Tymczasem nakryto stół, goście zasiedli. Katarzyna, młoda żona myśliwca, wnosi dymiące potrawy, które wydają z siebie aromatyczną woń; Anzelm, trubadur, pełni doskonale rolę gospodarza; kosztujemy wina, wesołe rozmowy zawiązują się, dowcip zaczyna krążyć a w uśmiechu stykają się z sobą przyjaźń i radość. Z korkami flaszek, chyżo, chyżo i piosnki strzelają... opiewamy wszystko, co piękne i dobre, miłość i Prowansyę a pod koniec uczty pojawia się wcielenie gościnności, stara matka Mathieu'a i mówi wzruszona: ‚Wy Felibrzy wszyscyście mojemi dziećmi; kocham was wszystkich, jakbyście byli moimi‘“ [1].

Odtąd rozpoczyna się na seryo działalność literacka Mistrala; roczniki „Kalendarza“ zawierają mnóstwo wdzięcznych wierszy, głębokich balad, dowcipnych opowieści i literackich artykułów. Najbardziej zajmował się jednak poeta swą *Mirèio,* który to poemat miał naznaczyć literaturze prowansalskiej miej-

[1] Przedmowa Mistrala do *La Farandoulo* Anzelma Mathieu.

sce w literaturze świata. Ludwik Legré i Adolf Dumas skłonili młodego literata, by przyjechał do Paryża a w stolicy zapoznali go z Lamartinem. Autor „Medytacyj“ poznał niezwykły talent Mistrala a kiedy 21 lutego 1859 r. pojawiła się *Mirèio*, przyczynił się Lamartine niemało do rozgłosu tak samego poety, jak i jego dzieła. Mistral okazał się wdzięcznym i pierwszy swój większy utwór poświęcił staremu poecie, sam zaś wybrał się po raz drugi do Paryża, gdzie tymczasem *Mirèio* doznała niebywałego rozgłosu. W Prowansyi lękano się, żeby rosnąca sława nie sprowadziła poety na manowce, to też Reboul, ludowy wieszcz z Nîmes, gorąco i z powagą ojca upominał Mistrala: „Piję na zdrowie *Mirèi*'i, mówił żegnając Fryderyka na uczcie, wydanej ku czci Roumanille'a, Mistrala i Aubanela, najpiękniejszego zwierciadła, w jakiem się Prowansya odbiła...[1] Mistralu, wybierasz się do Paryża! Pamiętaj, że w Paryżu schody z kruchego szkła! Nie zapominaj o twej matce! Nie zapomnij nigdy, żeś twą *Mirèio* w domu wiejskim stworzył i że to właśnie ciebie wielkim czyni! Nie zapomnij nigdy, że wierzący chrześcijanin z parafii św. Pawła ciebie wczoraj uwieńczył“.

„Tak mówił Reboul, a łzy trysnęły z jego oczu a serca wszystkich były wzruszone i pełne szczęścia“[2]. Ciężkie w istocie przyszły chwile dla Mistrala. Paryż leżał u jego stóp; Lamartine głosił jego chwałę; wybitni mężowie, jak Alfred de Vigny, Sainte-Beuve, Laprade, Villemain i inni ubiegali się o przyjaźń tego wiejskiego poety; akademia uwieńczyła utwór *Mirèio*, malarze czerpali z niej natchnienie do swych obrazów, a poeci i kompozytorzy znajdowali w niej treść do swych oper i pieśni[3]. Zdawało się, że Mistral ulegnie pokusie, nęcącej go do sprzeniewierzenia się Prowansyi i pozostanie w Paryżu, ale na jego chwałę trzeba przyznać, że umiał się oprzeć tym podszeptom. Od Paryża odstręczał go lekki ton tamtejszego świata, obojęt-

[1] Była w tem przemówieniu pewna gra słów, trudna do oddania w języku polskim: „Beve à Mirèio lou plus bèu mirau ounte jamai la Prouvènço se fugue miraiado“.

[2] *Armana prouvençau.* 1860.

[3] Tak np. napisał Gounod operę *Mireille.*

tność lub bezgraniczna tolerancya w rzeczach wiary i moralności. Mimo więc próśb, mimo świetnych propozycyj opuścił z lekkiem sercem Paryż i wrócił, niezepsuty ani rozpieszczony, do swego Maiano. „Ci wieśniacy — pisał po powrocie do Lamartine'a — nie zdawali sobie sprawy z pojęcia ‚sława', bo wszystko co sięga poza horyzont ich pól i ich idei, jest dla nich czemś nieoznaczonem i mglistem. A jednak odczuli instynktownie, że tam w dali zaszło coś nowego, co przyniosło chlubę naszym stronom. Ktokolwiek wiózł swe zboże lub owoce do Arles, dowiadywał się skrzętnie, co mówiono o mnie w wielkiem mieście, w Paryżu. A gdy kto przyniósł wesołą wiadomość, uszczęśliwiał wieczorem wszystkich sąsiadów; kosarze, wieśniacy, dziewczęta mawiali między sobą: i któżby był przypuszczał, że ten chłopak, Frederi, którego wszyscy znamy i z którym przecież jesteśmy przez ‚ty', takie piękne rzeczy napisać potrafi i to właśnie o nas!

„Gdym przybył do domu wyszła naprzeciw do Maiano matka, ucałowała mnie przed wszystkimi i powiedziała (a były to jej pierwsze słowa): rano i wieczór modliłam się zawsze szczerze za pana de Lamartine, a jeżeli Pan Bóg mnie wysłucha, to będzie on szczęśliwy".

Wziętość i rosnąca Mistrala sława wpłynęły dodatnio na twórczość innych Felibrów. W r. 1860 wydał Aubanel *La Miougrano entre-duberto,* „Otwarty granat", dzieło pełne słodyczy i siły, światła i cieni i takiego uczucia, że żadnemu prawie prowansalskiemu poecie z nim się nie mierzyć. Anzelm Mathieu puścił w świat pod tytułem *La Farandoulo* zbiór kapryśnych romansów, a Mistral i Roumanille drukowali poezye Reboula, Adolfa Dumasa i Pawła Giéra pod zbiorowym tytułem *Liame de rasin,* „Winne grono". Te i inne utwory otworzyły oczy i największym pesymistom prowansalskim a twórcom felibryzmu dodały otuchy i siły do dalszej pracy i dalszej walki. Roumanille znajdował się w siódmem niebie. „Ja — pisał w r. 1859 do swego przyjaciela Dureta — ja sam odkryłem naszą gwiazdą w r. 1845 w zakładzie Dupuy w Awinionie, gdziem za me grzechy był profesorem i gdziem na moje szczęście miał młodego Fryderyka za

ucznia. Tak! w tem dziecku poznałem talent niezwykły i odtąd nie spuściłem go już z oka; ja go zachęcałem a on brał udział w mych pracach. A teraz powiedzcie mi, czy naszym wielkim poetą nie opiekowałem się tak, jak się opiekuje ojciec dziecięciem swojem; czym pozostawił na jego drodze choć jeden kamień, o któryby mógł się był urazić?" Nie zadziwi więc nikogo, że kiedy felibryzm zorganizował się już jako tako, został Mistral na pierwszych igrzyskach kwiatowych w Apt w roku 1862 mianowanym *Capoulié* stowarzyszenia. Poeta był też jakby stworzony na głowę związku. Patrzał się on bardzo szeroko, widział niebezpieczeństwa grożące szkole prowansalskiej i dążył do ich usunięcia. Dla tego też tchnął w felibryzm nowego ducha, a jego ideałem było połączyć wszystkie łacińskie plemiona w służbie piękna, prawdy i dobra. Do tego celu posłużyło mu w pierwszej linii nawiązanie stosunków z Katalonią, które było w przeważnej części jego zasługą.

W r. 1859 zaprowadzono, jakeśmy to już innym razem pisali[1], w Barcelonie igrzyska kwiatowe, *joch florals*. W imieniu katalońskich piewców, przyniósł o tym fakcie wiadomość do Prowansyi Damàs Calvet, i zetknął się z Roumanille'm, Aubanelem i Mistralem w Taraskonie. Oczarowany Mistral odpowiedział prześliczną odą *I troubaire catalan*, w której wspomina o ścisłych stosunkach, jakie niegdyś łączyły Katalonię i Prowansyę, a kończąc wzywa gorącemi słowy do umiłowania języka ojczystego, bo naród, który strzeże swego języka, dzierży w swem ręku klucz do rozwiązania pęt niewoli: *se tèn la lengo, tèn la clau*. Prowansalski poeta zrozumiał, że teraz da się najlepiej uskutecznić jego marzenie. „Czegoż od ciebie, Prowansalczyku, zażądała Opatrzność, gdy ci pragnienie wielkich czynów wlała w serce? Czyś nie jest może po to wybrany, byś był naturalną łącznią, która rozgałęzienia łacińskiej rasy: Francyę, Włochy i Hiszpanię, w jedno zleje?"[2] Nie chodziło, rozumie się, Mistralowi o zjednoczenie polityczne trzech narodów, ale raczej o po-

[1] *Przegląd Powszechny*, r. 1900, t. LXVII, str. 156.

[2] *Armana prouvençau*. 1862.

łączenie idealne, duchowe w służbie piękna. Katalończycy odpowiedzieli wezwaniu a stosunki zacieśniły się jeszcze więcej, gdy w r. 1866 Wiktor Balaguer, „poeta Montseratu“, wydalony z kraju, znalazł gorące i serdeczne przyjęcie w Prowansyi. Po powrocie z wygnania nietylko, że przysłał swoim przyjaciołom z nad Camarguy prześlicznej roboty puhar, który odtąd wielką w zebraniach Felibrów odgrywa rolę, ale zaprosił ich nadto w roku 1868 na igrzyska do Barcelony.

Podróż Mistrala i jego przyjaciół do Katalonii była jednym tryumfem i przechowała się na zawsze w wspomnieniach wszystkich Prowansalczyków, a szczególniej Mistrala. Kiedy bowiem wstępowali w bramy miasta Figuiera, odezwały się dzwony z wież wszystkich kościołów, a tłumy ludu płynęły do katedry, gdzie za inicyatywą Balaguera odprawiono uroczyste, żałobne nabożeństwo za duszę ojca Mistrala, który za czasów cesarstwa walczył pod murami Figuiery. Na igrzyskach w Barcelonie nastąpiło połączenie Katalonii, Prowansyi i Kastylii prezentowanej przez znanego poetę, Ludwika Zorrillę. Tu też spotkał Mistral po raz pierwszy przyszłego piewcę „Atlantydy“ [1], Hyacinta Verdaguera i powitał go słowami, które niegdyś wypowiedział do niego Lamartine: *Tu Marcellus eris.* Po zwiedzeniu narodowej świętości Katalonii, Montseratu, wrócili Felibrzy do domów, by tam się godnie przygotować na przyjęcie poetów katalońskich, którzy pod wodzą Balaguera postanowili wziąć udział w igrzyskach mających się odbyć w Saint-Rémy, rodzinnem miejscu Roumanille'a.

Nawiązane stosunki z Katalonią i obopólne, serdeczne odwiedziny, sprawiły, że uwaga Paryża kierowała się coraz więcej na Prowansyę. W igrzyskach w Saint-Rémy 1869 r. brali udział po raz pierwszy literaci i dziennikarze paryscy, stawili się licznie i francuscy uczeni, jak Gaston Paris i Paweł Mayer; założono więc już teraz w Montpellier stowarzyszenie filologiczne pod nazwą *Société pour l'étude des langues romanes*, przyczem wykazano, że *lengo d'oc* używają mieszkańcy trzydziestu departamentów francuskich. Wkrótce, bo już w r. 1874 przystąpiły i Włochy

[1] *Przegląd Powszechny*, r. 1900. t. LXVII, str. 156.

do związku literackiego, a w r. 1878 nawet Rumunia, której reprezentant, znany w kraju poeta Vasile Alessandri, otrzymał na igrzyskach w Montpellier pierwszą nagrodę za swoją pieśń o szczepie łacińskim, *Latina ginte.*

Wśród tego powodzenia nie zapomnieli jednak Felibrzy o swem głównem zadaniu i nie zaparli się religijnej strony swego związku. W roku 1875 zgromadzili się licznie u stóp *Mont-Victoire*, gdzie zbudowano olbrzymi krzyż, jako wotum za oszczędzenie ich Prowansyi w czasie wojny francusko-pruskiej a w kilka miesięcy później napłynęli niemniej licznie do Forcalquié na uroczystość poświęcenia kaplicy Matki Najświętszej, której się oddali w opiekę. „Zdala i z blizka napływali poeci i w dniu tym osiedli Felibrzy zwycięsko na wyżynach Alp“ [1].

Kładąc tak wielkie zasługi dla rozbudzenia życia narodowego i uszlachetniania ludu, dając łączeniem się z plemionami romańskiemi silne podstawy związkowi, nie zapomnieli Felibrzy, że są trubadurami, i że ich życie w dozwolonej mierze powinno odzwierciedlać życie ich przodków literackich. Stąd też nuta wesołości i szczęścia pojawia się w całem działaniu Mistrala i jego towarzyszy. Zaprzyjaźnił się on z Alfonsem Daudetem i wraz z nim i z innymi wybitnymi ludźmi przepędził niejedną wesołą chwilę, którą potem z nieporównanym humorem opisywał w „Kalendarzu“. Na wycieczkach przedsięwziętych z towarzyszami, poznał Mistral wielką część swej ojczyzny, zaznajomił się z ludem i jego zwyczajami, brał udział w ich zabawach i wszystkich serca zjednywał sobie i Felibrom. Życie to było trochę hałaśliwe; nieraz starsza jakaś matrona pogniewała się na tę młodzieńczą wesołość, ale wtenczas wyniośle przystępował do niej poeta: „Spokojnie mateczko, spokojnie! Nam poetom wszystko dozwolone“. A kiedy mateczka jeszcze się dąsała, rozbrajał ją wyszeptanemi niby w tajemnicy do ucha staruszki słowami: „my przecież tworzymy psalmy“ [1].

Do utrzymania tego trubadurskiego ducha przyczyniła się

---

[1] Welter, l. c. str. 118.

[2] Alf. Daudet: *Trente ans de Paris.*

niemało przyjaźń, jaką Mistral i inni Felibrzy zawarli z Rosyaninem, hrabią Mikołajem Siemionowem i lordem Bonapartem-Wyse. Pierwszy tak ukochał Prowansyę, że wybudował sobie nawet nad brzegami Rodanu wspaniałą willę *Au Chêne-Vert* i w niej Felibrów i Mistrala gościnnie podejmował. Drugi zapoznał się przypadkiem w Awinionie z epopeją *Mirèio* i tak się w poemacie i jego autorze rozmiłował, że nietylko oddał się z całym zapałem studyom nad językiem prowansalskim, ale kilka miesięcy każdego roku w Prowansyi w towarzystwie Mistrala i innych Felibrów spędzał. Był to pan hojny i bogaty; sam wesoły, chciał dokoła siebie widzieć tylko wesołe twarze i wszystko robił, żeby one zawsze wesołemi były. „Jak bardzo żałuję, pisał Aubanel do swego przyjaciela Ludwika Legré 12 listopada 1861 r., że tego rozkosznego wieczora, któryśmy z Bonapartem spędzili, nie byłeś u mnie. Zebrali się wszyscy Felibrzy z Awinionu i Mistral. Siedzieliśmy u stołu od szóstej wieczór do drugiej w nocy; ucztowaliśmy z początku w milczeniu, jak ludzie, którzy się skupiają i są głodni... Wkrótce jednak *Châteauneuf* rozwiązał języki a entuzyazm doszedł do zenitu. Każdy wznosił toasty ekscentryczne, na które mylord jeszcze ekscentryczniej odpowiadał... Piliśmy za wszystko a nieustannie, a tak dzielnie, długo i obficie, że Anglia nie trzymała się już silnie na nogach, lecz wspomożona przez Mistrala i jednego z Felibrów, zatoczyła się na podwórze. Tam Anglia dostała morskiej choroby, a podczas gdy heroiczny Mistral ułożył ją do łóżka, śpiewała banda Felibrów pod oknami pokoju pieśń o Magali tak potężnie i hałaśliwie, że aż patrol policyjny nadbiegł, aby zobaczyć, co właściwie ten hałas znaczy“ [1]. Bonaparte-Wyse założył też między Felibrami „Stowarzyszenie wesołych braci“, którego przełożonym sam został, bo nikt tak jak on nie umiał wprowadzić radości i odblasku szczęścia w ciemne nieraz chwile życia.

A jednak i teraz znalazł Mistral dużo chwil wolnych do dalszych prac, owszem energiczne zachody koło rozwoju feli-

[1] L. Legré, l. c. str. 148.

bryzmu przyczyniły się niemało do podniesienia jego twórczości. Zachęcony niezrównanem powodzeniem *Mirèi*'i wydał w r. 1867 nowy poemat *Calendau, pouèmo prouvençau,* powitany czterowierszem przez Emila Deschamps:

On disait que Mireille, en ce vaste univers
N'avait pas de rivale au grand tournoi des vers;
Calendal parait et Mireille
N'est plus la splendeur sans pareille.

Siedem lat później, w r. 1874, pojawił się tomik lirycznych poezyj *Lis Isclo d'or,* „Złote wyspy". Tytuł ten nie wszystkim się podobał, niektórym się zdawało, że jest on za pretensyonalny i za wiele obiecujący. Poeta tymczasem pisze w przedmowie, że myśl do tego tytułu podała mu grupa samotnych, skalistych, pustych wysp nad wybrzeżem Hyères położonych i pyta zresztą wcale słusznie, czy tych kilku rozkosznych chwil, w których miłość, natchnienie i boleść poetów stwarzają nie można nazwać złotemi wyspami istnienia. Niedługo potem zgromadzeni Felibrzy wybrali go w Awinionie na nowo *Capoulié* stowarzyszenia a 27 września 1876 r. wstąpił w małżeńskie związki z p. Maryą Rivière, którą obrano niebawem królową igrzysk w Montpellier. Felibryzm już się ostatecznie ukształtował i przyjął zaproponowane przez Mistrala ustawy; dzieło jego życia było właściwie ukończone, mógł spokojnie patrzeć na skutki swych zabiegów i cieszyć się zaszczytami, jakie nań zewsząd spadały. Akademia tuluska policzyła go w r. 1879 w poczet swych członków, a był to zaszczyt nielada, gdyż według rozporządzeń Ludwika XIV. tylko pisarze w języku francuskim tworzący mogli zostać członkami akademii, a z wyjątkiem Mistrala tylko jeszcze jeden, Jansemin, na wiele lat przedtem dostąpił tego zaszczytu. We wrześniu następującego roku uwieńczono laurowym wieńcem posąg Mistrala z okazyi przedstawienia opery Gounoda *Mireille;* entuzyazm ogarnął wszystkich. Cieszyło to uznanie poetę, zachęcało go do dalszej pracy, nic jednak nie mogło go tak uradować, jak rozwój stowarzyszenia, które wybiegło już poza granice Prowansyi i osiedliło się silnie w samym nawet Paryżu. W r. 1876 powstał w stolicy związek, składający się z literatów

i artystów Francyi południowej, *Société de la Cigale;* z niego rozwinęło się trzy lata później stowarzyszenie o charakterze wyłącznie felibrowskim, *Société des Félibres de Paris.* W maju każdego roku zbierają się członkowie paryscy w ogrodzie luksemburskim przy posągu Klemencyi Isaury, stąd zaś udają się do Sceaux do grobu i pomnika Floriana, znanego poety, którego za życia przyjęto do grona paryskich Felibrów. W Sceaux odbywają się co roku igrzyska kwiatowe i sądy miłości, które zwabiają tysiące żądnych wrażeń i widowiska ciekawych Paryżan. Felibrzy ze stolicy postanowili w r. 1884 uroczyście obchodzić czterowiekową rocznicę połączenia się Prowansyi z Francyą; musiał więc Mistral znowu wybrać się w podróż do Paryża. Prezydent Grévy i hrabia Paryża przyjmowali go z wszelkiemi honorami, akademia skorzystała z okazyi, żeby uwieńczyć dopiero co wyszłą wierszowaną nowelę *Nerto,* a najwybitniejsi uczeni i poeci, jak Wiktor Hugo, A. Daudet, Sully-Prudhomme, Gounod, Rodin, Cabanel i inni wręczyli mu śliczny album z własnoręcznie napisanemi utworami. I do Maiano doszła wiadomość o nowych tryumfach ubóstwianego poety; to też przyjęcie, jakie mu w domu zgotowano, przechodziło wszystkie inne. W całej wiosce wznosiły się bramy tryumfalne, dzwony okolicy głosiły wesołą wiadomość Prowansyi, szeregi w biel ubranych dziewcząt rzucały kwiaty a na transparentach połyskiwały tytuły dzieł Mistrala: *Mirèio, Calendal, Nerto.* Sympatya ta nie ograniczała się tylko do Paryża i Prowansyi; kiedy Mistral zwiedzał w następnym roku Szwajcaryę, była jego podróż jednym tryumfem; wszyscy wybitni cudzoziemcy, przepędzający lato nad Lemanem, starali się na wyścigi okazać mu swą cześć i swe uznanie. A on tymczasem zawsze pozostał skromny i swobodny, jakby nic nie wiedział o swej wartości; zaszczyty i godności, których mu życie nie żałowało, składał w ofierze swemu krajowi. Dla tego też złożył niezadługo swój urząd *Capoulié'*go i powierzył go Roumanille'owi a sam swobodniej już i spokojniej wykończał największe swe dzieło, które miało oddać niepospolite usługi literatom i filologom, *Trésor dóu Felibrige,* „Skarb felibryzmu". Dwadzieścia przeszło lat pracował

Mistral po ośm i więcej godzin dziennie nad tym olbrzymim słownikiem Prowansyi a od r. 1878—1888 wydawał go w pojedynczych zeszytach. W dwóch olbrzymich tomach znajdują się wszystkie słowa języka prowansalskiego, ich pochodzenie i synonimy, oraz odpowiednie wyrazy pokrewnych języków romańskich. Wielką literacką wartość nadają słownikowi gęsto wplatane przysłowia, legendy, baśnie, zdarzenia historyczne, które znaczenie pierwotne języka lub słowa dziwnie pięknie wyświetlają. I jak niegdyś Roumanille, tak i Mistral z ludu wiadomości swe w zakresie języka czerpał. „Spotkałem go raz, pisze wielki Mistrala wielbiciel, Gaston Paris, w Maguelonne, jak wypytywał rybaków o techniczne różne wyrażenia przez nich używane, a których sam jeszcze nie znał. Siedział w okręcie, z miną znawcy brał do rąk każdy kawałek przyborów okrętowych, dotykał się pojedynczych części łodzi i mówił: ‚my nazywamy to w domu tak a tak, a wy?‘ Zachwyceni rybacy zapoznawali go wesoło z całym swym zasobem słów, a on spisywał wszystko, co było dlań nowem“. Stąd też słownik Mistrala przyjęto z ogromnem zaciekawieniem i z żywem uznaniem. *Institut de France* przyznał słownikowi nagrodę Reynaud'a 10.000 fr., a uniwersytety w Halli i Bonn mianowały Mistrala honorowym doktorem.

Ostatnie jednak lata nie oszczędziły i Mistralowi przykrości. Wprawdzie i teraz pozostało mu wiernem natchnienie; dramat „Królowa Joanna“ i „Pieśń o Rodanie“ świadczą o tem. Za to zaszły różne zmiany w łonie samego felibryzmu. Mistral pragnął połączenia wszystkich szczepów romańskich na polu nauki i sztuki; dużo z dzisiejszych Felibrów wprowadziło za to do stowarzyszenia waśni polityczne i rzuciło się na pole socyalne, utrudniając przez to spokojną działalność dla kraju. Jak można było przewidzieć waśni przedostały się i na pole religijne. Roumanille, Mistral, Aubanel, Lambert w niczem religijnych uczuć nie obrażali i obrazić ich nie mogli, gdyż sami zawsze gorącą się odznaczali wiarą. I choć dziś jeszcze dużo nawet księży zalicza się do felibryzmu, i chociaż główna część prowansalskich poetów szczyci się swoją wiarą, to jednak w ich szeregi zakradło się wiele niesfornych umysłów niosących rozdwojenie.

Fakt to dość smutny, bo owe różnice w poglądach narodowościowych i religijnych nie przyczyniają się do wzrostu znaczenia i powagi związku prowansalskiego, owszem mogą go całkiem wypaczyć. To też nieraz Mistral musiał naprawiać szkody stąd wynikłe, a nie zawsze mu się to udawało. Dziś też czuje się poeta, aczkolwiek czczony i wielbiony, jednak trochę samotnym. Rok 1883 zabrał mu ukochaną matkę; trzy lata później oddał grobowej ziemi współtowarzysza swej pracy Aubanela; w r. 1891 pożegnał na zawsze patryarchę swego, Roumanille'a, a jeszcze nie przebolał tego ciosu, gdy już przyszło mu się rozstać z Bonapartem-Wyse (1892), z Janem Brunet (1894), Anzelmem Mathieu (1895), Pawłem Arène i Alfonsem Daudet (1897). Ciężkie to były chwile, przez które przechodził Mistral, a osładzała je jedynie myśl, że mógł tym drogim zmarłym wystawić posągi od spiżu trwalsze, i że jednak praca jego życia wydała piękne owoce, bo rozbudziła ducha narodowego i poprowadziła go wysoko w krainę piękna i prawdziwego szczęścia.

(C. d. n.).

Ks. Wiktor Wiecki.

W STO LAT PO ODKRYCIACH VOLTY i DAVY'EGO.

Rzut oka na rozwój elektrotechniki i elektromedycyny w XIX. wieku.

(Dokończenie).

VIII. Teorye o czynności nerwów i praktyczne ich zastosowanie. — IX. Chwilowe zachwianie zdobyczy elektromedycyny teoretycznej. — X. Elektromedycyna praktyczna od epoki Duchenne'a i Remaka do naszych czasów.

VIII.

Jak widzieliśmy powyżej, przez odkrycie zjawisk elektrycznych w tkankach żywych rzucony został pomost analogij i podobieństw między doświadczeniem fizycznem a eksperymentem biologicznym, przyczyniając się do szybszego rozwoju praw przyczynowych, które w naukach przyrodniczych tem bliżej zawsze były celu, im bardziej je podporządkowywano pod wspólny mianownik nauki o przemianach różnych postaci energii, a tem były na odwrót zawsze mniej uchwytne i mniej wolne od zarzutu, im bardziej je rozdrabniano na poszczególne wyjątkowe reguły. Dalsze badania wykazały nadto nietylko ogólną analogię między zjawiskami elektrycznemi w ustroju i poza ustrojem, ale związek ścisły między przebiegiem tych zjawisk w czasie, a czynnością życiową tkanek. Ażeby zbadać charakter i czas trwania tych prądów zbudował Bernstein osobny przyrząd zwany r e o t o m e m r ó ż n i c z k o w y m, pozwalający na dowolne niejako ucinanie, jak to sama nazwa wskazuje, czasu upływającego między podrażnieniem nerwu lub mięśnia, a chwilą połączenia tychże z galwanometrem. Doświadczenia, wykonane zapomocą tego

przyrządu nasamprzód na mięśniach wykazały, iż prąd powstający w mięśniu czynnym, podczas pojedynczego skurczu tegoż, w pierwszej chwili jest bardzo słaby, potem stopniowo wzrasta, a w końcu stopniowo zaczyna się zmniejszać; czas trwania tego prądu nawet udało się oznaczyć, a wynosi on minimalny ułamek czterech tysięcznych sekundy. Doświadczenia te przekonały zatem fizyologów, że wśród każdej czynności mięśnia także powstaje prąd czynnościowy, i że przedstawia pewien określony przebieg falisty. Nadto doświadczenia przeprowadzone zapomocą reotomu na mięśniach zatrutych t. zw. kurarą, wykazały, że przy każdej czynności powstaje właściwie nie jeden lecz dwa składowe prądy; jeden z nich ma kierunek jednakowy z kierunkiem fali skurczu mięśnia i zwie się a d t e r m i n a l n y m, drugi zaś, występujący nieco później, ma kierunek odwrotny i został nazwany a b t e r m i n a l n y m. Miejsce, w którem powstaje fala stanu czynnego, każdorazowo pozostaje ujemnem względem miejsc, w których protoplazma zostaje w spoczynku. Czas upływający między powstaniem prądu abterminalnego i adterminalnego odpowiada zupełnie długości tej drogi, którą fala stanu czynnego musi przebyć podczas skurczu mięśnia. Również i w nerwach podobne znaleziono zjawiska; z pomocą czułych galwanometrów i reotomu różniczkowego wykazano i tu istnienie prądu czynnościowego podczas każdego podrażnienia nerwu, przebieg falisty tegoż, krótkie jego trwanie, (0·007 sek.) a nawet zależność wahania wstecznego, podobnie jak w mięśniach od powstawania dwu prądów czynnościowych tj. abterminalnego i adterminalnego. Nie potrzeba chyba podkreślać, jak wielkie znaczenie dla nauki miały sformułowane szczegółowo prawidła czynności nerwów. Zdobyto je przy pomocy elektryczności, a elektromedycynę teoretyczną śmiało można nazwać matką nauki o czynnościach układu nerwowego. Wystarczy rzucić okiem na przeszłość, aby się przekonać, jak mało wiedziano o tych nerwach. Od czasu kiedy Herophilus odróżnił wogóle nerwy od ścięgien, a Erasistratus przyszedł do przekonania, że one wychodzą z mózgu i rdzenia, nóż anatoma przyniósł w średnich i nowożytnych wiekach trochę wiadomości o ich przebiegu,

a doświadczenie lekarzy trochę szczegółów o ich funkcyi zewnętrznej. Jakże jednak daleko we wszystkich badaniach od zgłębienia funkcyi wewnętrznych, od uchwycenia przebiegu czynności nerwowej i od sformułowania klucza, zapomocą którego dziś czynność nerwów umysł ludzki potrafi badać, kontrolować, mierzyć co do natężenia i śledzić w przebiegu. Zasługą też jest wielką Du-Bois-Reymond'a, Hermanna i Bernsteina, że ściśle zbadali owe prądy nerwowe, które dziś uważać możemy za znak niechybny przebiegu fali, stanu czynnego, za wyraz czynności nerwów i mięśni, wreszcie za środek pozwalający badać charakter i przebieg tego stanu nietylko „abstrakcyjnie" w samych nerwach, ale w skomplikowanym związku czynności narządów, do których nerwy dochodzą.

Ostatnie to zdanie musimy nieco bliżej wyjaśnić. Nie mówimy w niniejszym szkicu o frenologii ani o psychofizyologii, więc też nam bardzo zbaczać nie wolno w te dziedziny, w które śmiałym krokiem wkroczył Gall, zdyskredytowany i wyśmiany przez rówieśników. Wielka nauka o funkcyach mózgu i innych częściach układu nerwowego, odżywszy jednak potem na mocy spostrzeżeń przeróżnych, zmusiła uczonych do przypuszczenia, że i w tym układzie, tak jak w innych narządach ustroju, istnieje ekonomiczny podział czynności według wzorowych praw podziału pracy w najdrobniejszych organizmach. Jeżeli uszkodzenie zwoju czołowego w mózgu pociąga za sobą niemotę, jeżeli zniszczenie rdzenia przedłużonego paraliżuje ruchy serca i płuc, jeżeli wyjęcie mózgu kogutowi nie przeszkadza latać i biegać, dlatego, że ma nienaruszony rdzeń kręgowy, zatem w tym rdzeniu przedłużonym istnieje coś, co zawiaduje czynności oddechania, w rdzeniu kręgowym ruchami kończyn, w zwoju czołowym mową i t. d., i t. d. Jak w oku zlokalizowaną jest zdolność widzenia, w uchu słyszenia, w mięśniach zdolność ruchu, tak też w poszczególnych częściach mózgu i rdzenia zlokalizowaną jest władza kierująca poszczególnemi czynnościami. Na naukę tę, ze zrozumiałych powodów zwaną nauką o „lokalizacyi", złożyły się zestawienia materyałów sekcyjnych z objawami za życia dostrzeżonemi u osób dotkniętych pewnemi cierpieniami,

głównie zaś i przedewszystkiem sztuczne wywoływanie pewnych czynności zapomocą prądu elektrycznego. Jeżeli ruch jakiegoś palca wywołać można podrażnieniem elektrycznem mięśni tego palca lub nerwu idącego do tych mięśni lub wreszcie jakiejś grupy komórek mózgowych, z których ta droga nerwowa wychodzi, to łatwo z tego prosty wyciągnąć wniosek, którędy się przenoszą bodźce, powodujące w normalnych warunkach daną czynność ruchomą. Nie zawsze jednak tym sposobem dały się wykazać owe drogi, a w pomoc przyszły wtedy właśnie opisane zjawiska prądów czynnościowych. Proszę obraz dopiero co opisanego doświadczenia odwrócić, a łatwo zrozumiemy, że podczas ruchu palca w nerwie do tegoż idącym i w pewnej grupie komórek mózgowych tą czynnością zawiadujących, musi powstać podczas czynności prąd czynnościowy. Możemy zapomocą odpowiednich przyrządów wyszukiwać po prostu gdzie dla każdej czynności powstaje w mózgu prąd czynnościowy. Tak zbadano życiowe własności ośrodków nerwowych i zlokalizowano każdą poszczególną funkcyę, konstruując niejako dokładną mapę geograficzną biologicznych zjawisk, znowuż przy pomocy tego potężnego środka, jakim jest elektryczność.

O tej samej sprawie pisaliśmy dokładnie w tomach LVII. i LVIII. niniejszego pisma i tamże odsyłamy ciekawego czytelnika [1], zaznaczając tu tylko genezę tych ważnych badań i rolę jaką w nich elektryczność odegrała.

IX.

Fakta, stwierdzone przez Hermanna, Du Bois-Reymond'a i Bernsteina przetrwały mimo sporów i walk całe lata i dziś jeszcze uchodzą za naukowe dogmaty, pomimo że były może obserwowane nie z tą ścisłością, na jaką dziś pozwalają nam wydoskonalone metody badania. Począwszy od samych zjawisk najprostszych, a kończąc na skombinowanych teoryach, analizu-

[1] „Dzisiejsze stanowisko medycyny". Dr. Zanietowski. t. LVII. „Lombroso w świetle nauki przyrodniczo-lekarskiej". (Ustęp o metodach ekstyrpacyjnej i irrytacyjnej). Dr. Zanietowski, t. LVIII.

jących genezę skomplikowanych prądów nerwowych, nagromadziło się w obszernym dziale nauki, zajmującej się badaniem zjawisk elektrycznych w ustrojach żyjących, przez krótki stosunkowo przeciąg czasu tyle faktów do faktów i teoryj do teoryj, tak szybko i tak licznie, że dział ten nawet wyróżniono i odosobniono jako specyalną naukę elektrofizyologii. Pomimo, iż do dzisiejszego może dnia nie wytłumaczono wszechstronnie i definitywnie istoty wszystkich zjawisk elektrycznych, musi jednak każdy uchylić czoła przed ogromem faktów spostrzeżonych i zdobyczy na tem polu poczynionych i przed różnorodnością ścisłych obserwacyj, dokonanych żmudną pracą pokoleń. W ostatnich dopiero czasach chwilowo zagroziło całości tego gmachu pojawienie się teoryj, które jednym zamachem zaprzeczały wszystkiemu, co dotychczas uznano i zjawiska życiowe zredukować pragnęły do zwykłych procesów fizycznych. Świat naukowy przyjął te tezy po części ze sceptycznem niedowierzaniem, po części zaś milczeniem, które zdawało się być dowodem chwilowej kapitulacyi dotychczasowych praw przed nowemi teoryami. Niebawem jednak krytycznej analizie poddawano tezy i szeregiem doświadczeń systematycznych udowodniono, co w nich było zasadniczo błędnego, a co pod ułudnym pozorem stać się mogło przyczyną fałszywego wniosku.

Trudno oczywiście w szczupłych niniejszych ramach zapoznać czytelnika ze wszystkiemi szczegółami tego sporu. Postaramy się tylko jak najkrócej streścić najważniejsze rezultaty tegoż, tem bardziej uważając to za rzecz konieczną, że w samych oryginalnych dziełach wnioski są dość porozrzucane, a związek poszczególnych rozdziałów nie zawsze dość przejrzysty. Część prac zajmuje się badaniem zachowania się prądów w różnego rodzaju muftach lub osłonkach z soli kuchennej, siarkanu cynku lub innych płynów naokoło metalicznego rdzenia z niklu, platyny lub cynku i dochodzi wskutek obserwacyi natężenia i charakteru prądów, z pomocą galwanometru Hermanna i elektrod zwykłych sznurkowych, lub w przeważnej części wypadków elektrod z chlorku srebra, do wniosku, że wszystkie zjawiska biologiczne nerwowe na takiej sztucznej osłonce powtórzyć się dają.

Jako pendant do doświadczeń z rurkami, z których wywnioskowano, że prądy elektryczne, zachodzące w nerwie podczas jego czynności, są li tylko zjawiskami czysto fizycznemi, przytoczyćby można te eksperymenta, które przeprowadzono na nerwach wyschniętych, wyciętych lub obumarłych. Skoro prądy nerwowe nie mają być zjawiskiem biologicznem, zatem powinny istnieć także w nerwie martwym. I tak rzeczywiście jest, wołała część badaczy; z precyzyą i dokładnością *(deutlich u. präcis)* obserwować można prąd spoczynkowy, prądy elektrotoniczne, a nawet wahanie wsteczne na nerwach obumarłych; ba, nawet zastosowanie podniet nie elektrycznych, celem uniknięcia komplikacyj, a więc przecinanie, uderzanie, strychninizowanie, wywołuje w nerwie obumarłym wahanie wsteczne. Najciekawszym jednak a przynajmniej najbardziej może dającym do myślenia jest fakt, iż ma wystarczyć zamiast nerwu obumarłego zwykła rurka z cieczą o jądrze platynowem i przecięcie nagłe drutu platynowego, a na galwanometrze powstanie wychylenie zupełnie identyczne z wahaniem wstecznem, czyli z prądem czynnościowym, będącym przecież wyrazem wyłącznym funkcyi życiowej nerwu, przynajmniej według dotychczasowych zapatrywań. Ten ostatni fakt byłby rzeczywiście ciosem śmiertelnym dla całej elektromedycyny, gdyby był prawdziwym, lub przynajmniej, w razie łudzących pozorów, prawdziwie wytłumaczonym. Na szczęście jednak dla dotychczasowych zdobyczy naukowych, jeśli się tak wyrazić można, podkopanie fundamentów się nie udało, a co za tem idzie, i gmach potężny nie runął w przepaść.

Doświadczenia negatywne, które przedstawiliśmy powyżej, podzielić można na dwie główne kategorye; pierwsza z nich odnosi się do nerwów obumarłych lub wyschniętych, na których obserwowano wszystkie zjawiska dotąd uważane za biologiczne własności nerwu, a więc prądy spoczynkowe i czynnościowe; do drugiej kategoryi należą doświadczenia przerobione na mufcie czyli osłonce płynnej, na której wszystkie t. zw. prądy nerwowe miały występować. Niebawem jednak, jak wspomnieliśmy, przerobiono obie kategorye powyższe doświadczeń z tą różnicą, że nie poprzestano na kilku ogólnikowych próbach, lecz, szukając

źródła błędu, zastosowano do doświadczeń różnego rodzaju elektrody, jako to papierowe, glinowe, metalowe i różnego rodzaju prądy, a mianowicie prąd stały, indukcyjny, przemienny, jednokierunkowy i dwukierunkowy, wreszcie rozbrojenia kondensatora.

I cóż okazało się?

Oto stwierdzono przedewszystkiem, że nerwy wyschnięte lub pozostawione przez pewien czas w nizkiej temperaturze, w związku z żabią łapką, nigdy nie okazują własności elektrycznych, jeżeli równocześnie nie występuje czynność nerwu, objawiająca się w danym wypadku skurczem łapki. Jest to oczywistym dowodem ścisłego związku, istniejącego między czynnością nerwów, a ich własnościami elektrycznemi, którego obóz negatywny nie zdołał zaprzeczyć mylnemi obserwacyami nad nerwami, które właściwie nie były obumarłe, albo nieodpowiednio zetknięte z przyrządami doświadczalnemi. Również i zjawiska obserwowane na rurkach z płynem czyli „muftach" okazały się tylko a n a l o g i c z n e, ale absolutnie nie i d e n t y c z n e z prądami czynnościowemi nerwu. Analogiczne, powiadamy, o tyle, że w takiej rurce mogą powstać podobnie jak w nerwie odgałęzienia prądu doprowadzonego, zewnętrznego, a powodującego wychylenie igiełki galwanometru, różne zaś o tyle, że w mufcie k i e r u n e k tego odprowadzonego prądu zależy od kierunku prądu doprowadzonego, podczas gdy w nerwie zupełnie od niego jest niezawisłym. Nadto występuje i ta różnica na jaw, że w doświadczeniach, przeprowadzonych na muftach czyli rurkach, wielkość wychyleń igiełki, spowodowanych przez prąd odprowadzony, rośnie wraz z natężeniem prądu doprowadzonego, podczas gdy w nerwie prąd czynnościowy, obserwowany za pomocą galwanometru, w miarę wzrostu prądu doprowadzonego, tylko do pewnych się wzmaga granic, które zależą od indywidualnych cech biologicznych nerwu. Wszystkie zatem wspomniane powyżej szczegóły, jawnie udowodniły, iż hypotezy partyi przewrotu na mylnych tylko polegały metodach lub na zbyt śmiałem uogólnianiu analogij, istniejących między zjawiskami fizycznemi i fizyologicznemi. Nie mogły one jednak zniszczyć pracy

szeregu lat i wytrącić dalszym pokoleniom szeregu praw sformułowanych i zdobytych doświadczeń, które miały być nadal światłem wśród poszukiwań.

Przebrnąwszy z czytelnikiem przez cały szereg zdobyczy elektromedycyny teoretycznej, przychodzimy do leczniczych zastosowań tejże, które wydedukować będzie łatwo. W żadnym bowiem może dziale nauki niema większej łączności między teoryą a praktyką.

X.

Zanim przystąpimy z kolei rzeczy do omówienia znacznych postępów, jakie zrobiła elektromedycyna praktyczna po roku 1850, na podstawie ścisłych badań teoretycznych, małe zastrzeżenie wypada nam zrobić. Odnosi się ono do przeszłych rozdziałów, a jest w swej treści usprawiedliwieniem, dlaczego czytelnika nużyliśmy może za długo roztrząsaniem zdobyczy teoretycznej elektromedycyny między r. 1830 a 1850. Genezą tego była zarówno chęć uprzystępnienia praw, z natury rzeczy mało ogółowi znanych, jak również udowodnienia, na jak ścisłych podstawach dzisiejsza praktyczna elektromedycyna się opiera. Spopularyzowanie tego działu jest bodaj użyteczniejszem niż popularyzowanie ogólnikowe samej elektroterapii, które nawet w pewnych warunkach może niedźwiedzią oddać przysługę, stając się drogą do szerzenia nienaukowej autoterapii lub wprost szkodliwej „kurfuszerki“. To też w następnym rozdziale nie znajdzie czytelnik praw elekroterapii, lecz rzut oka historyczno-porównawczy na jej rozwój od chwili, kiedy pierwsze świetne kroki Duchenne'a i Remaka zapisały się w dziejach, aż do czasów dzisiejszych, kiedy każdy poważnie myślący lekarz i profan, uznając wprawdzie znaczenie hygieny i dyetetyki, profilaktyki i terapii ogólnej, dla zdrowia nerwów ustroju, przecież uchylić musi głowę przed znaczeniem i mocą tego potężnego środka leczniczego i rozpoznawczego, jakim jest elektryczność, ściśle zastosowana i umiejętnie pojęta. Z takiego rzutu oka nabierze czytelnik więcej pojęcia o sprawie i więcej zaufania do wiedzy, niż z najbardziej szczegółowych opisów, które raczej

znużyć mogą, niż cel osiągnąć. Kto zaś z ciekawych czytelników chciałby bliżej poznać w formie dostępnej bliższe naukowe arkana samej elektroterapii, tego uprzejmie odsyłamy do notatek[1] skreślonych przez niżej podpisanego podczas podróży naukowej, a drukowanych w *Nowinach lekarskich* w Poznaniu.

Po epoce badań teoretycznych, nadających całkiem odmienny kierunek teoretycznej elektromedycynie, następuje w połowie XIX. wieku epoka rozkwitu tych wszystkich praktycznych zastosowań, które, aczkolwiek zupełnie samodzielne, w historyi rozwoju ducha uważać przecież można jako bujny owoc teoretycznego zasiewu. Między rokiem 1850 a 1860 Duchenne dla nauki o prądach przerywanych, a Remak dla nauki o prądach stałych tak fundamentalne zdobywają fakty, że wspomniane dziesięciolecie śmiało uważać można za pierwszy właściwy okres rozkwitu elektroterapii. O ile bowiem wszystkie próby dotychczasowe, dokonywane w pierwszej połowie XIX w., bądź to zapomocą stosu Volty, bądź też zapomocą maszyny influencyjnej, doprowadzały, jak widzieliśmy, naprzemian do rezultatów dodatnich i ujemnych, o tyleż znowu wykazanie istnienia pewnych punktów na powierzchni ciała ludzkiego, w których poszczególne nerwy, odpowiednio do anatomicznego przebiegu, łatwiej dadzą się elektryzować, gdyż przebiegają bliżej tejże powierzchni ciała, stało się podstawą racyonalnej i skutecznej elektroterapii. Dzieło, wydane w Paryżu przez Duchenne'a pod tytułem: *de l'Electrisation localisée* jest też słupem granicznym tej nowej drogi, która odtąd zowie się elektroterapią ściśle zlokalizowaną w przeciwieństwie do ogólnikowej, że się wyrażę nieco trywialnie, macaniny dotychczasowej. Oryginalnym jest początek pracy Duchenne'a i ciekawem ze wszechmiar album ludzkich fizyognomij, w którem ten badacz, właśnie za pomocą drażnienia różnych punktów nerwowych na twarzy, dochodzi do wyczerpującego studyum mechanizmu ludzkiej fizyognomii. Niemniej oryginalnym był pomysł następców Duchenne'a, a wśród

[1] „O nowszych metodach elektroterapeutycznych neurologicznych szkół niemieckich. Dr Zanietowski. Poznań 1901.

nich przedewszystkiem szkoły monachijskiej, aby punkta nerwowe, z których najłatwiej za życia wprowadzić pewne mięśnie w czynny stan skurczu, oznaczyć na skórze kamieniem piekielnym, i podczas sekcyi pośmiertnej sprawdzić położenie anatomiczne tych punktów; badania te oczywiście doprowadziły do kompletnego potwierdzenia hypotetycznych domysłów, że takie punkty odpowiadają właśnie miejscom, w których nerw przebiega bliżej powierzchni skóry. Każdy z czytelników sam oceni ważność tego odkrycia. Jeżeli np. doświadczenie uczyło, iż sparaliżowane mięśnie palców powracały do zdrowia, skoro je przez pewną ilość posiedzeń sztucznie pobudzano do skurczu, czyli do normalnego wykonywania funkcyj życiowych zapomocą prądu elektrycznego, to oczywiście leżało w intencyi lekarza i pacyenta, aby ten skurcz wywołać jak najłatwiej, jak najczęściej i jak najmniej bolesnemi środkami. Tymczasem elektryzowanie różnych miejsc skóry „na oślep" prowadziło oczywiście do celów bądź to wątpliwych, bądź też wprost nieudatnych, podczas gdy na odwrót uchwycenie wroga za miejsce najsłabsze i najdostępniejsze ułatwiało oczywiście zwycięstwo. To samo odnosi się i do prądu stałego, nad którym prawie równocześnie zaczął pracować Remak, wprowadzając do nauki dla punktów, odkrytych przez Duchenne'a, nazwę „punktów motorycznych". Powiadamy „tem bardziej", ponieważ, jak widzieliśmy powyżej, słynny teoretyk Pflüger wykrył odrębne działanie obu biegunów prądu stałego. Biegun dodatni drażliwość i wrażliwość uspokaja, pobudliwość obniża, kurczliwość zmniejsza; biegun ujemny działa wprost przeciwnie. I znowuż jasnem będzie dla czytelnika jak na dłoni, że w takiem cierpieniu, jak rwa kończyny dolnej, oznaczona utartą nawet wśród profanów nazwą *ischias*, wtedy ból będzie skutecznie leczony, gdy do dotkniętego chorobowo nerwu przyłożonym będzie biegun dodatni prądu, i to właśnie w miejscach, gdzie ten nerw przebiega najbardziej powierzchownie, czyli w powyżej wymienionych „punktach motorycznych". Tak, jak fotograf wybiera do swojego zdjęcia najlepszy kąt widzenia, a artylerzysta przy oblężeniu najsłabszy punkt obrony, tak i lekarz winien mieć dobre oko i pewną rękę

w walce z wrogiem. Świadomość podstaw teoretycznych jest u lekarza niejako równie konieczną rzeczą, jak dla artylerzysty umiejętność obchodzenia się z działem, które mu oddano; doświadczenie zaś praktyczne i znajomość budowy organizmu są warunkami nieodzownemi, aby mierzyć nie bez planu przed siebie lecz strzelać do wroga, tam gdzie on najbardziej szkodliwy i gdzie najłatwiej go zwyciężyć. W tem to świetle należy rozumieć znaczenie odkrytych „punktów motorycznych“ i wartość nauki Duchenne'a i Remaka z tego punktu widzenia należycie ocenić. Nabrała ona niebawem jeszcze większego znaczenia, gdy zapomocą elektryczności zaczęto nietylko choroby leczyć, ale i rozpoznawać. Oto bowiem ze spostrzeżeń, zebranych podczas przepuszczania prądu elektrycznego przez pewne miejsca organizmu chorego i takież miejsca organizmu zdrowego, powstawał powoli odrębny dział, któryby nazwać można elektropatologią w przeciwieństwie do elektrofizyologii czyli zbioru zjawisk, wywołanych za pomocą elektryczności na organizmie normalnym, o którym mówiliśmy wyżej. Całe pokolenie uczonych, a przedewszystkiem Erb, szereg tych elektropatologicznych chorobowych zwyrodnień czyli zmian wykrytych za pomocą elektryczności, ujmuje w karby ścisłych prawideł, a elektrodyagnostyka czyli zbiór wskazówek, według których za pomocą prądu elektrycznego chorobę układu nerwowego rozpoznać można, staje się taką pomocniczą nauką dla elektroterapii, jak dyagnostyka dla medycyny wogóle. Lekarz dostaje do ręki nietylko broń skuteczną, ale i lunetę, pozwalającą na dokładne śledzenie ruchów wroga. Już niema odtąd mowy o ułudnych obrazach, które Potemkin okazuje wielkiej Katarzynie, aby ją oszukać co do rzeczywistego stanu rozwoju agrarnego; już zniknęły po sobie, jak Potemkinowskie fantazye, i filozofia naturalna Schellinga, i mistycyzm Messmera, i nihilizm Dietla, a na to miejsce występuje w medycynie kierunek „organicystyczny“ czyli kierunek, opierający się na lokalnej dyagnozie stanu każdego z organów, każdego z narządów. Wdziera się ten kierunek do wszystkich działów medycyny, za nożem Rokitańskiego, za słuchawką Laennec'a, za młotkiem per-

kussyjnym Corvisar'a; kieruje on kliniczną termometryą, mikroskopią i chemią; uposaża szpitale w laboratorya, a wiedzę w świetne zdobycze. Dlaczegóżby elektromedycyna miała w tym ogólnym ruchu dyagnostycznym pozostać w tyle? i ona ulega duchowi czasu, i ona zostaje porwaną prądem postępu, a szereg elektrodyagnostycznych spostrzeżeń, zdobytych za życia, pokrywając się i potwierdzając wzajemnie z wynikami, stwierdzonemi po śmierci, przez nóż anatoma lub mikroskop histologa, łączy się w piękny i bogaty materyał, będący podstawą nauki o chorobach nerwowych czyli neuropatologii. Taką jest charakterystyka elektromedycyny praktycznej po r. 1850; konstrukcya galwanometrów lekarskich rozpoczęta na wielką skalę około r. 1870, oraz międzynarodowy kongres elektryków, który w r. 1881 uchwalił pewne konwencyonalne normy i jednostki, nadały tej nauce niejako oficyalny stempel i postawiły ją w rzędzie nauk ścisłych.

Trudniejszą nieco jest charakterystyka ostatnich dziesiątek lat XIX. wieku. Poza wielkim rozwojem elektrochirurgii, a mianowicie opisanych już powyżej działów galwanokaustyki i elektrolizy, oraz coraz to większem udoskonaleniem Röntgenografii, dozwalającej przenikać w głąb ustroju ludzkiego zapomocą niewidzialnych promieni katodowych, widzimy dążność zastosowania do celów leczniczych najnowszych zdobyczy elektrotechniki prądów silnych, o których na swojem miejscu mówiliśmy, a które zawdzięczamy odkryciom Tesli i d'Arsonvala. Technika tych „silnych prądów" wdziera się do medycyny, a ogromnie wysokie napięcia, kilkanaście tysięcy razy silniejsze od pierwotnego stosiku Volty, niby cudownie przechodzą po ciele ludzkim lub naokoło niego, nie wpływając na zakres ruchów lub czucia, lecz działając dodatnio na ogólną przemianę materyi. Również zaprzągnięte zostają w służbę leczniczą własności świetlne i termiczne tych prądów w postaci kąpieli świetlnych. Szereg nowo powstałych fabryk rozsyła na wszystkie strony coraz to nowsze konstrukcye i modyfikacye odnośnych przyrządów, a szereg nowych nazw zapełnia literaturę. Równocześnie z tym całym ruchem od czasów Charcota zostaje na jaw wyciągniętą zapoznana

maszyna influencyjna, wytwarzająca prąd statyczny; zaprószona wśród zapomnienia, odświeża się na nowo w modyfikacyach Wisnshursta, Töplera i Glasera i staje wśród młodszej braci z tą powagą, jaką jej nadaje doświadczenie lat minionych. Wprawdzie służy ona przeważnie dziś tylko do leczenia przeróżnych nerwic: jak histerya, neurastenia i inne choroby, na które dużo osób zapatruje się z nieco sceptycznego stanowiska, lecz cóż to szkodzi temu przyrządowi, który był świadkiem świtu elektromedycyny i na którego deskach pierwsza żabia łapka skurczem swoim dała pobudkę do wielkiej pracy wieków. To też staje ona w najbardziej postępowych laboratoryach z całą powagą i z całą świadomością tego, jak wielkiemi są skutki małego początku. Równocześnie z tym gorączkowym ruchem terapeutycznym, po cichych laboratoryach rozwija się z drugiej strony kierunek dyagnostyczny. Mniej bijący w oczy efektami, bo zbierający powoli cegiełkę do cegiełki, rozwija się on jednak świadom swojego celu, idąc za wskazówkami twórców elektromedycyny, którzy na podstawach ściśle naukowych coraz to nowsze dla praktycznej medycyny jednali zdobycze. Trudno czytelnika pamięć i cierpliwość obarczać takimi rzeczami, jak monodyzacya Narkiewicza, jak Voltaïzacya Dubois i Hoorwega, jak kataforeza Meissnera, jak prace o zastosowaniu dyagnostycznem i terapeutycznem rozładowań kondensatora, skreślone gdzieindziej przez piszącego; są to wszystko zdobycze i prace najnowszych lat, drukowane w pismach fachowych, których treść nie nadaje się do ram niniejszego szkicu. Ciekawy czytelnik, znajdzie najwięcej odnośnych szczegółów w *Dzienniku Elektroterapeutycznym* wrocławskim[1], a tu tylko poprzestajemy na zaznaczeniu, iż ciągle nowe się pojawiają prace, wzbogacające całokształt elektromedycyny i umożliwiające chorobę łatwiej zwalczyć i głębiej rozpoznać. Nie można jednak i nie powinno się taić, że ten postęp elektromedycyny u przełomu wieku XIX. przypomina co do charakteru przełomową epokę odkryć

[1] *Zeitschr. für Elektrotherapie* 1900. Zanietowski, nr. 1 i 4, Dubois, nr. 1, Meissner, nr. 1, Narkiewicz, nr. 3.

na końcu wieku XVIII. I tam i tu z jednej strony wiele zachwytu; z drugiej strony wiele walk i przeszkód, a mało uznania i poparcia. Wiek gorączkowy i na wskróś praktyczny nie potrafi często zrozumieć badań o zakroju naukowym, chłodno chrzcząc mianem „teoretyków“ tych, co pod postępem ścisłe murują podwaliny. Chce się czemprędzej skutków widocznych, czemprędzej i jak najmniejszym kosztem, a co nie przynosi korzyści „realnej“, nie jest wiele warte. A czy żaba Galvani'ego lub żmudne prace Volty i Davy'ego przynosiły ich twórcom skutki realne? Z pewnością nie, ale co za to przyniosły całej ludzkości, na to odpowiedź dają dzisiaj przemysł i handel, fabryki i komunikacya, światło i ciepło, jednem słowem wszechstronny ruch i postęp. Patrzmy częściej i głębiej w przeszłość, a mniej będzie u nas sceptycyzmu i więcej mądrej równowagi w ocenianiu teraźniejszości. Taki sam sceptycyzm, jak powyżej opisany, panuje także dziś w niektórych sferach co do elektromedycyny praktycznej. Podkopuje się jej wartość z różnych względów i powodów, a najczęściej b e z powodu. Pomnik pracy wieków stoi jednak niewzruszony, niby postać majestatyczna! Świadoma przeszłości, a przyszłości pewna.

Jedna ręka tejże schylona ku cierpiącej ludzkości: to elektromedycyna; druga, wzniesiona w górę, trzymająca pochodnię postępu i daleko rzucająca krąg świetlnych promieni: to elektrotechnika. Oby niniejsze skromne notatki, skreślone przez adepta sztuki elektrolekarskiej, opartej w praktyce na teoretycznych podstawach wiedzy ścisłej, były uważane za hołd, złożony u przełomu wieków dla twórców wielkiej nauki i oby zwróciły oczy czytelnika ku temu majestatycznemu posągowi wiedzy, który stoi i stać będzie cichy, spiżowy i wielki.

Dr. J. Zanietowski.

ELEMENTARZ POLSKICH IDEAŁÓW.

W ostatnich miesiącach pojawiła się książka Prusa, pod tytułem: „Najogólniejsze ideały życiowe“; i nazwisko autora i tytuł książki wskazują, że będzie to ważniejszy wypadek literacki. Przeoczając nawet ten pociągający urok, jaki słowo „ideał“ na każdego wywiera, zwłaszcza dziś, kiedy tak powszechny głód ideałów czuć się daje, już ten fakt, że wybitny powieściopisarz, dążący w swoich powieściach do głębszej, dodatniej syntezy życia, a tem samem do postaciowania jakichś ideałów, ujmuje wynik długoletniej, artystycznej pracy w ściśle określony, teoretyczny program, już ten fakt nadaje temu dziełu cechę ważności. Cecha ta tem ważniejszą się staje, że autor, równolegle do powieściopisarskiej działalności, poświęcał swe pióro ustawicznie obserwacyom życiowym; każdy wypadek donioślejszy, polityczny, społeczny, naukowy, artystyczny, zastanawiał Prusa głębiej i był mu motywem licznych, oryginalnie pojętych dziennikarskich fejletonów. Więc nie jest to tylko książka powieściopisarza, którego ideały mogłyby ostatecznie nie bardzo być do życia dostosowane, lecz nadto książka bacznego obserwatora życia, i to życia bieżącego, który, z tem bieżącem życiem w ustawicznem zostaje zetknięciu.

Genezę tego dzieła tłumaczy bardzo jasno sam autor. Od szeregu lat zastanawiał się nad położeniem naszego kraju, przypatrywał się jego wycinanym lasom, wodom pozbawionym ryb,

polom niewydającym tyle plonu, ile wydaćby mogły. Widział złe drogi, szpetne ulice miasteczek, chaty niewygodne i niezdrowe, a w tych chatach ludność biedną i ciemną. Niewiele lepszy widok przedstawił mu się i w innych warstwach i urządzeniach społecznych Polski dzisiejszej; wszędzie widział, że społeczeństwo nasze znajduje się bardzo daleko poza innemi europejskiemi społeczeństwami. Wszedł więc w siebie i zadał sobie kilka ważnych pytań. Jakby powinno wyglądać doskonale rozwinięte społeczeństwo i doskonale rozwinięty człowiek? Czem nasz naród i nasi ludzie różnią się od podobnych ideałów? Co powinniśmy robić, jakie przymioty w sobie rozwijać, ażeby zbliżyć się do ideałów człowieka i społeczeństwa?

Zagadnienia więc pierwszorzędnej doniosłości.

Przypomina ta praca Prusa, nie szczegółami i nie wykonaniem, lecz tylko ogólnym charakterem, dawniejsze polskie dzieła, jakie się w tym rodzaju w poprzednich epokach, aż po chwilę dzisiejszą, pojawiały. Ma rzeczowe pokrewieństwo z „Żywotem człowieka poczciwego“ Reja; ponadto z komentarzami *De republica emendanda* Frycza Modrzewskiego i z Górnickiego „Rozmową“. Tylko, gdy Modrzewski, między środkami naprawy Rzeczypospolitej wskazuje także na biegłość w rzeczach wojennych, Górnicki zaś na zaostrzenie ustaw państwowych, na wrócenie królewskiej władzy i senatorskiej powagi, — Prus, wobec dzisiejszego stanu, o tych rzeczach już mówić nie może. Ale poza tą różnicą, z różnych stosunków płynącą, ogólny charakter jest ten sam. Punkt wyjścia u Prusa nie różni się od punktu wyjścia Modrzewskiego, że społeczeństwo tak powinno być urządzone, „aby się onym wszystkim mieszczanom, abo wspólnie żyjącym obywatelom, na wszem dobrze wodziło“.

I.

Zanim wyłożymy myśli w tem dziele zawarte, musimy kilka uwag poświęcić jego formie, jego metodzie, jego podstawom. W ten sposób złożymy zarazem ze serca ciężar zarzutów, któryby nam w dalszym ciągu, przy swobodnem rozwijaniu idei autora, bardzo przeszkadzał.

Myślimy, iż nie jest przesadzonem żądanie, żeby dzieło o tak podniosłym charakterze, będące bądź co bądź manifestem do całego społeczeństwa, nosiło i w swej formie to poważne znamię, jakie głębsza myśl społeczna nadawać zwykła. A więc forma ścisła, jędrna, jednolita, bez pedanteryi i drobiazgowości szkolnej, wolna od bawidełek i ozdóbek literackich, słowem, forma społeczno-filozoficznych rozmyślań, jeden wypływ myślącej i ważnością swej myśli przejętej duszy. Otóż takiej formy, mogącej mieć skądinąd liczne indywidualne zabarwienia, w dziele Prusa brak. W głębi dzieła, jakby w podziemiu, drga głębsza myśl i głębsze uczucie społeczne, ale myśl ta przybiera na się ustawicznie tylko drobiazgowe kształty, kształty szkolnego podręcznika.

Wyobraźmy sobie, że jakiś stary profesor ma szereg wykładów dla dorastającej młodzieży o duszy ludzkiej, o społeczeństwie, o ludzkiem życiu. Profesor ten jest przekonany, że słuchacze jego nic, albo przynajmniej bardzo mało o przedmiocie wykładu wiedzą, więc pomny na zasadę *breve iter per exempla,* co chwilę przy rzeczach najprostszych używa porównań, obrazów, maluje na tablicy różne symbole i uzmysłowienia; uzmysłowienia, obrazy, porównania, bardzo oryginalne, dla dorastającej młodzieży bardzo stosowne, ale dla dorosłej nie zawsze potrzebne. Profesor ten nadto chce być systematycznym, więc każdy nowy szereg myśli ujmuje w kategorye, kategorye te dzieli na podkategorye i jeszcze na pod-podkategorye, — tych podziałów i podddziałów tyle, że, jeżeli wolno z pewną przesadą się wyrazić, gdybyśmy w nie stosownie ubrali kilka najbardziej rozhukanych, romantycznych poematów, otrzymalibyśmy kilka, bardzo sztywnych, teoretycznych podręczników. Wreszcie, profesor ten chciałby włożyć do głowy uczniom swoim wszystko, co tylko o życiu powiedzieć można, więc w końcu wykład przemienia się w istne *silva rerum,* w kieszonkową encyklopedyę. — Taki jest charakter książki Prusa. Rzadko kiedy spotykaliśmy się z tem literackiem zjawiskiem, by sam sposób przedstawiania przedmiotu, sama strona formy, w tym stopniu ujmowała istotnej wartości rzeczy, wartości, która w rzeczywistości jest, i nawet

z wielu względów w samej formie jest, tylko jest przygnieciona nadmiarem profesorskiej pedanteryi. Wskutek tej wady książka ta traci wiele. A szkoda — odrzucić tylko niepotrzebny balast, przerobić ją nieco, a i wpływ jej będzie doniosły i znaczenie literackie niepospolite.

Ale może narzucamy nasze pojęcie i wedle niego sądzimy, może w rzeczywistości należy książkę tę pojąć jako ścisły podręcznik, przeplatany tylko tu i owdzie praktycznemi wskazówkami co do naszych stosunków? Wchodzi w to pytanie kwestya metody. Otóż faktem jest, że mimo całej zewnętrznej ścisłości, mimo licznych klasyfikacyj, prawdziwej ścisłości w tej książce brak. Omawiamy tę stronę dzieła dlatego tylko, aby zaznaczyć niezdecydowany jego charakter, chwiejący się między ścisłością naukowej pracy, a swobodnem rozmyślaniem literata; inaczej roztrząsanie takie byłoby tylko pedanteryą ze strony krytyka, tem bardziej, że autor sam niejednokrotnie o nieścisłości swej pracy wspomina. Z tego też względu wystarczy zwrócić uwagę tylko na najistotniejszy moment tej pracy.

Kiedy mowa o najogólniejszych ideałach życiowych, pierwsze pytanie, co autor pod niemi rozumie. Określiwszy ideał, jako „umysłowy obraz rzeczy jeszcze nieistniejącej, ale doskonalszej, aniżeli rzeczywistość i upragnionej, potrzebnej nam do szczęścia“, pod ideałami życiowemi rozumie te, „które są nam potrzebne w życiu realnem, ziemskiem i w tem życiu dają się urzeczywistnić“. Określenie wprawdzie swobodne, niepoprzedzone analizą psychologiczną ideału, ani dokładniejszem objaśnieniem stosunku ideałów do rzeczywistości [1], ale ostatecznie wystarczające zupełnie do zrozumienia zamiaru autora. Jakie teraz ideały oznacza autor, jako najogólniejsze ideały życiowe, a przedewszystkiem, na czem to oznaczenie buduje?

W oznaczeniu tem ideałów wychodzi autor z tej zasady, że wszystkie sądy ludzkie można podzielić na trzy klasy. Jedna klasa sądów tyczy się jakości rzeczy, druga zmian, jakim rzecz

[1] Najpoważniejszem dotychczas studyum filozoficznem o ideale jest dzieło A. Ricardou: *De l'idéal*. Paris 1890. Co do ważnej bardzo kwestyi o stosunku ideałów do rzeczywistości cf. str. 18 i nast.

ulega, trzecia wreszcie działań, jakie rzecz dana wykonuje. I tak, kiedy mówię o cegle, że ma formę równoległościanu, że jest ciężka, krucha, chropowata, mówię o jej jakości; kiedy mówię dalej, że słońce cegłę rozgrzało, młotek ją rozbił, mówię o jej zmianach; mówię wreszcie o działaniu cegły, gdy opowiadam, że rozbiła szybę, lub poruszyła wagę. Tę potrójną klasę sądów stosuje autor do człowieka. Na pytanie, jakim jest człowiek, czy pod względem fizycznym, czy duchowym, odpowiedź zawsze będzie mówiła o jakiejś doskonałości lub niedoskonałości człowieka. Co do zmian, jakim człowiek ulega, to zauważa autor, że zmiany te będą dla człowieka albo pomyślne, albo niepomyślne, uczynią go więc szczęśliwym lub nieszczęśliwym; działanie wreszcie ludzkie jest albo użyteczne, albo szkodliwe. Stąd bezpośrednio, bez żadnych innych rozumowań, wyprowadza autor wniosek, że doskonałość, szczęście, użyteczność, są trzema najogólniejszemi i najwyższemi ideałami życiowemi.

Najpierw nietrudno zauważyć, że potrójna ta klasa sądów ludzkich — jakim jest człowiek, jakim zmianom ulega człowiek, jakie są skutki jego działania — bynajmniej nie obejmuje wszystkich sądów o człowieku, a nawet nie stanowi, jak chciałby Prus, najogólniejszych poglądów umysłu ludzkiego na człowieka. Zapytać jeszcze naprzykład mogę, czem jest człowiek, a więc o jego istotę, która jest podstawą jakości, zmian i działania, zapytać także mogę, jaki jest cel człowieka. A potem klasyfikacya Prusa, dobra w naukach eksperymentalnych, do kwestyi ideałów życiowych jest zupełnie nieodpowiednio zastosowana; w tem zastosowaniu przypomina ona trochę aforyzm Schoppenhauera: „dwa a dwa jest lampa“. Jakość, rozumuje Prus, mówi o odrębnym ideale doskonałości; ze zmiany wynika szczęście lub nieszczęście człowieka, a więc szczęście jest drugim ideałem od doskonałości oddzielnym; z działania wynika użyteczność lub szkodliwość, a więc użyteczność jest znowu ideałem odrębnym od doskonałości i szczęścia, — lecz cóż stanie się z tą odrębnością, jeżeli ze zmiany i z działania wypływa także doskonałość człowieka. Wtedy stanie się jasnem, że podział ten nie

jest ścisłym podziałem. Że zaś ze zmiany i działania wypływa i doskonałość, jest oczywistem, bo jakżeż mogę osiągnąć doskonałość, jak nie przez działanie, działanie zaś nie w inny sposób człowieka udoskonala, jak w ten, że jakość niedoskonałą zmienia w doskonalszą. I wogóle, użyteczność i szczęście zlewają się z doskonałością pod wielu względami w jedno. Dążność do szczęścia jest podstawą każdego dążenia człowieka, a więc także dążenia do doskonałości. Użyteczność znowu jest tylko wynikiem doskonałości, bo o tyle tylko jest się użytecznym, o ile się w jakiejś rzeczy pewien stopień doskonałości posiada. Zresztą użyteczność niema wartości sama w sobie, lecz o tyle tylko, o ile jest środkiem do jakiegoś celu. Pozostaje więc ostatecznie jako ideał tylko doskonałość, i ta wchodzi w pojęcie każdego ideału.

Podział ten zatem nie jest ścisły. Przelotnie wspomina autor o innym podziale i szkoda, że nie oparł na nim swej pracy. Oznaczenie najogólniejszych ideałów ludzkiego życia musi się oprzeć na najogólniejszych tego życia odnośniach. Odnośnie zaś takie są trzy: stosunek człowieka do samego siebie, stosunek człowieka do drugich ludzi, stosunek człowieka do Boga.

Zanalizowaliśmy najwybitniejszy moment pracy Prusa, ażeby wykazać, że pod zewnętrzną jej ścisłością nie zawsze mieści się ścisłość rzeczowa. Autor wychodzi z jakiegoś luźnego spostrzeżenia i na tem spostrzeżeniu buduje olbrzymie rusztowania klasyfikacyj i wniosków, które niekoniecznie z założeniem harmonizują. Dowodów tej nieścisłości moglibyśmy przytoczyć więcej, ale drobiazgowa taka krytyka nie jest celem naszej rozprawy [1]. Nawet nie odmawiamy wszelkiej racyi bytu pomienionej klasyfikacyi ideałów, byle ta klasyfikacya nie miała pretensyi do ścisłości, lecz opierała się tylko na swobodnej

[1] Zwrócimy tylko uwagę na kilka rzeczowych błędów. I tak niesłusznie zalicza autor do społeczeństwa polskiego i Żydów. Z wyjątkiem nielicznych jednostek, które się zasymilowały, reszta stanowi państwo w państwie. Określenie moralności, jakie daje autor, że jest to taki sposób działania, który uwzględnia cudze potrzeby i nie działa na cudzą szkodę,—

obserwacyi życiowej. W życiu uderza nas u pewnych ludzi dążenie do jakiejś doskonałości, u innych znowu ludzi zastanawia nas nietyle doskonałość, jak raczej praktyczność i użyteczność ich pracy, inni wreszcie zdają się, ani o doskonałości, ani o użyteczności, nie myśleć, tylko o własnem, samolubnem szczęściu. W zastosowaniu do polskiego charakteru ma ta klasyfikacya, jak zobaczymy później, nawet bardzo dodatnie strony.

I jeszcze jedna uwaga ogólniejszej natury co do podstaw filozoficznych tej pracy, uwaga, zamykająca się w tem pytaniu: dlaczego człowiek ma dążyć do ideałów? Przyczyny istotnej, zmuszającej umysł nieprzezwyciężoną koniecznością, w tej książce nie znajdziemy. Racye utylitarne, jakie autor podaje, że inaczej życie jednostki jest nieszczęśliwe, a życie społeczne musi się rozpaść, racye te nie są ostatniemi racyami, i dlatego też nie wiele znaczą w tych wypadkach, w których z dążnością do ideału staje do walki samolubne szczęście. Autor w takich wypadkach każe ze szczęścia zrezygnować i bez względu na szczęście dążyć do ideału. Ale najpierw nie daje żadnej pobudki, zmuszającej do takiej rezygnacyi, a potem, choć rezygnacya z błędnie samolubnego szczęścia jest etycznie słuszna, rezygnacya ze wszelkiego ogólniej pojętego szczęścia jest psychologicznie niemożliwą. Gdyby Prus głębiej pojął zasady rozumnej i prawdziwej etyki, wskazałaby mu ona, że dążność do doskonałości i dążność do szczęścia dadzą się harmonijnie pogodzić. Etyka taka dałaby mu też klucz do gruntownego zrozumienia ideałów. Prus chce tę kwestyę rozwiązać utylitarnemi, na tem życiu ograniczającemi się, a zatem zewnętrznemi, wartościami, tymczasem kwestya ideałów życiowych jest kwestyą etyczną, a kwestyi etycznej nie można niezależnie od religii rozwiązać.

O religii wspomina Prus i wspomina z wielką czcią i uszanowaniem, ale najpierw, zbyt ogólnikowo, a potem zdaje się ją

---

jest niemożliwe dla tego, że wspomina tylko o stosunku człowieka do drugich ludzi. Fałszem też jest, że Bóg stworzył zło i niedoskonałość. Zbyt też pohopnym jest sąd Prusa, gdy żąda, by robotnicy byli właścicielami wytworów i narzędzi. Pomijamy inne uwagi, by nie przedłużać zbytnio tej litanii.

tak pojmować, jak gdyby miała tylko odnośnię do uczucia. Jest to z gruntu błędne. Religia obejmuje całą istotę człowieka i dlatego z wszystkiemi władzami duszy, z całem życiem człowieka, z jego ostatecznym celem, z jego dążeniami, a więc i ideałami, ma nierozerwalny związek — tak nierozerwalny, że bez religii właściwego sensu życia absolutnie pojąć nie można. Dopiero kiedy religia pouczy, że życie to jest doskonalącem się przygotowaniem do przyszłego życia, że przyszłe to życie jest dopiero właściwą zapłatą lub karą za życie doczesne, dopiero wtedy dla rozumu rozjaśnia się światło, a dla woli przybywa stanowcza pobudka.

Wskazawszy na słabsze strony dzieła, przypatrzmy się teraz jaki jest jego program życiowy. Nie będziemy wchodzić w szczegóły, bo szczegółów tych las, w którym zgubić się łatwo, wejdziemy tylko w jego przewodnią ideę.

II.

Najłatwiej jeszcze uda nam się wniknąć w naczelną ideę tego programu, jeżeli powtórzymy za Prusem następującą, bardzo przejrzystą bajeczkę.

Oto, gdzieś, z jakiegoś miasta, wypędzono kilkuset współobywateli na wygnanie. Wygnańcy ci dotarli do pustej, kamienistej, doliny i tam się osiedlili na „pewien czas". W dolinie tej musieli mieszkać w jaskiniach, sypiać na barłogu, wyłamywać karki dla zebrania garści jagód; odzież ich rozlatywała się w strzępy, dręczyły ich choroby z zimna, przepracowania i niedostatku. Nadomiar nędzy, wygnani dzielili się na partye, zazwyczaj obojętne jedne dla drugich, czasem nienawidzące się wzajemnie. Niektórzy z nich posiadali broń palną, co pozwalało im dość obficie zaopatrywać się w mięso. Ludzie ci jednak zaspokoiwszy własne potrzeby, zamiast polować na bawoły i jelenie dla pożytku bezbronnych towarzyszów, woleli marnować proch na zabijanie kolorowych ptaków, których piórkami ozdabiali własne i swoich kobiet łachmany. Nie trzeba dodawać, że między nieszczęśnikami panowała zupełna anarchia. Po prostu nie można było znaleźć dwu ludzi, którzyby się zgodzili na

jeden projekt, a zgodziwszy się, przeprowadzili go do końca, każdy chodził, którędy chciał i robił, co mu się podobało. W tych nieszczęśliwych chwilach, na myśl o dawnem ojczystem mieście, o bogatej przeszłości, ogarniała ich taka tęsknota i rozpacz, że opuściwszy góry, chcieli gwałtem wracać na dawne stanowiska, ale dobrze uzbrojone mieszczaństwo łatwo z tułaczami rozprawiło się. Jedni zginęli, inni wrócili na pustynię, jeszcze bardziej złamani i obdarci.

Chwilami czuli, że choć niekiedy trzeba się porozumieć i zjednoczyć siły. Lecz nienaturalny tryb życia, brak planu nasuwały im tylko dziwaczne projekty. Raz, naprzykład, umyślili wybudować na środku doliny wielką wieżę.

— Po co chcecie wznosić ten gmach? — zapytał ich ktoś spokojniejszy.

— A... bo pod San Francisco stoi taka sama wieża...

— Pod San Francisco jest morze i stoi nad niem latarnia morska, która tu, jeżeli nie jest całkiem zbyteczna, to przynajmniej nie pilna. Ale powiem wam jedną rzecz: gdybyście, zamiast tych kamieni, znosili ziemię urodzajną, już mielibyśmy ogród, a w nim owoc, jarzyny, może pszenicę na Wielkanoc!

— Ten zawsze myśli tylko o jedzeniu — odpowiedzieli inni. — Przecież raz chciej zrozumieć, że nie samym chlebem żyje człowiek...

„Pomijam — dodaje Prus — długie pasmo tułaczych dziejów, na prawdę pisanych krwią i łzami. Pomijam wiekuisty brak jakiegokolwiek planu, zarówno w małych, jak i wielkich rzeczach. Pomijam ekscentryczne pomysły, nieustanne działanie każdego na własną rękę, nadludzkie, a jednak jałowe poświęcenia, a potem — okropne zawody i rozpacze. Przez ten czas — cały świat ucywilizowany orał, siał, zbierał, wydobywał minerały, uczył się, badał, rósł w zamożność i bezpieczeństwo, robił wynalazki. Lecz wygnańcy tułali się bez kierunku, bez celu, żyjąc z dnia na dzień i pracując o tyle tylko, aby nie umrzeć z głodu".

Bajeczką tą, którą do kogo należy odnieść, każdy jasno rozumie, chce Prus uzasadnić konieczność pracy, bo ona tylko daje podstawę do życia, a w tej pracy konieczność jakiegoś

planu, potrzebę jakichś drogowskazów, przewodnich ideałów, a ideałów nie marzycielskich, ale konkretnych, realnych, opierających się na ścisłej ekonomii życia.

Widzieliśmy już poprzednio, że ideałami temi są: doskonałość, szczęście, użyteczność.

Żaden z tych ideałów, pisze Prus, nie powinien być w życiu zaniedbany, żaden też nie może zastąpić innych. Każdy człowiek i każdy naród ma prawo być szczęśliwym, ma obowiązek być użytecznym i musi dążyć ku doskonałości. Gdy tego nie chce, lub nie może czynić, życie jego i charakter są okaleczałe, nawet potworne; przeciwnie, gdy wszystkie te trzy ideały razem, należycie uporządkowane, urzeczywistnia, jest wzorowym. Mamy tu ogólną odpowiedź na pierwsze pytanie Prusa, jakby powinno wyglądać doskonale rozwinięte społeczeństwo i doskonale rozwinięty człowiek.

Ale ideały te muszą być należycie uporządkowane. W tem uporządkowaniu wychodzi Prus z codziennej obserwacyi życia, z tego prostego faktu, że dążność do szczęścia jest każdemu człowiekowi wrodzoną; w tym kierunku wydziera się serce człowieka, pracuje myśl, trudzą się ramiona. Ale też widzi i inne prawo, jakie w tem życiu człowiekowi natura i społeczeństwo nakładają. Wymagają one od człowieka — przedewszystkiem — użyteczności, potem doskonałości w tym pożytku, jaki on wytwarza, a dopiero w końcu pozwalają mu być szczęśliwym o tyle, o ile to jest potrzebne, ażeby był użytecznym i coraz doskonalszym. A ponieważ człowiek jak najczęściej stara się zrzucić to jarzmo, więc i historya cywilizacyi przedstawia się jako pasmo okrutnych walk między człowiekiem łaknącym szczęścia, a jego otoczeniem, które domaga się coraz doskonalszej użyteczności.

Wynika stąd, że dążność tę do szczęścia należy tem prawem ograniczyć, bo inaczej, wskutek ciągłych ścierań się z naturą i społeczeństwem, i szczęście nie będzie możliwe. Czy chce, czy nie chce człowiek, musi być dla drugich w jakiś sposób użytecznym, w tej użyteczności doskonalić się, a dopiero w zapłatę za tę użyteczność otrzyma jakieś ziemskie szczęście. Szczęście zaś to czysto ziemskie, nie będzie, jak zauważa Prus, jakąś

nieograniczoną swobodą, nieustającą przyjemnością, nie może też polegać na silnych wzruszeniach, bo te kończą się ruiną ciała i duszy, lecz, zdaniem jego, zasadza się ono „na drobnych wzruszeniach, na względnym spokoju duszy i na doskonaleniu się naszych rozmaitych uzdolnień". Jedni ludzie i jedne narody, częściowo wskutek szczęśliwych wrodzonych skłonności, głównie zaś wskutek własnego wyrobienia, z tem prawem umieją się pogodzić, w granicach tego prawa coraz bardziej się rozwijają, i przedstawiają dlatego typ doskonale rozwinięty; inni nie chcą tego prawa zrozumieć, lecz, ponieważ ostatecznie także poddać mu się muszą, więc prowadzą egzystencyę nieszczęśliwą, bez programu, bo marzycielski program nieograniczonego szczęścia ziemskiego musi być co chwilę zawieszany, egzystencyę popychaną tylko z dnia na dzień przez konieczność tego prawa, bez jakiegokolwiek w granicach tego prawa rozwoju. Niewolnicy życia, popędzani tylko biczem konieczności, poruszający się o tyle tylko, o ile ich bicz do tego zmusza.

Więc nie na mocy jakichś wysokich, idealnych aspiracyj, ale z najbardziej poziomego punktu patrzenia, jaki tylko może w tej kwestyi istnieć, na podstawie samej konieczności rzeczy, odartej niestety z tej głębokiej myśli i tego szlachetnego uroku, jaki etyka chrześcijańska tej konieczności nadaje, dochodzi Prus do następnego uporządkowania ideałów, które stanowi najistotniejszą istotę tej książki.

„Bądź użyteczny, to jest, ciągle pracuj dla innych, — siebie doskonal, — a o własne szczęście dbaj o tyle tylko, ile potrzeba, ażebyś mógł być użytecznym i doskonałym". W innem miejscu wyraża autor to samo dokładniej w ten sposób: „Doskonalcie wolę, myśl, uczucie, ich cielesne organy i ich materyalne narzędzia; bądźcie użytecznymi dla samych siebie, dla swoich i dla obcych, a szczęście, o ile istnieje na tej ziemi, samo przyjdzie".

Jak w stosunku do tego programu stoi polska natura i polskie społeczeństwo, widzieliśmy już w poprzednio przytoczonej bajeczce. Przypatrzmy się jeszcze jednej drugiej obserwacyi Prusa, aby otrzymać dokładniejszą odpowiedź na drugie

jego pytanie, czem nasz naród i nasi ludzie różnią się od wzoru, jaki w tym programie się mieści.

Nasuwa się tu najpierw uwaga o narodowym charakterze. Jeżeli społeczeństwo i jego jednostki nie dorastają do wskazanego wzoru, to przyczyna leży w nich samych, głównie w jakimś braku równowagi między władzami duszy, między myślą, uczuciem i wolą.

W oznaczeniu tego braku równowagi odróżnia Prus inteligencyę naszą od naszego ludu, a odróżnia na korzyść ludu. Zdaniem jego, charakter naszego ludu jest normalny i między myślą, uczuciem i wolą posiada wystarczającą proporcyę. Charakter ten tylko nie jest rozwinięty. Chłop nasz, pisze autor, jest to nieco zagłodzony, lecz zdrowy, uczciwy i zdolny barbarzyńca, którego władze psychiczne znajdują się dopiero na szczeblach najniższych, który jeszcze nie dorósł do idej panujących, ani nawet do twórczości duchowej.

A charakter inteligencyi? „Oto panującą władzą duszy — pisze Prus — jest u c z u c i e, a panującym ideałem — s z c z ę ś c i e. Stąd zaś najwyższą ideą dla nas jest — u ż y c i e".

Jako objektywny obserwator widzi autor także dodatnie strony z tego usposobienia płynące. Z uczucia wynikają w polskim charakterze dosyć silne, choć nierozwinięte, skłonności religijne i jakie-takie instynkty społeczne; panowanie zaś ideału szczęścia o tyle tylko jest korzystne, że daje niejakie zdolności do sztuk pięknych. Ale w zasadzie, rozpanoszenie się to uczuciowości i nieokiełznany popęd do szczęścia, przy słabym rozwoju myśli i przy braku woli, połączone z całkowitem zapomnieniem na użyteczność i doskonałość, jest najfatalniejszem usposobieniem, jakie w życiu społecznem istnieć może. A i to usposobienie, jak zauważa Prus, dziś jeszcze bardziej się skrzywiło. „Za czasów ‚Pana Tadeusza' Polak umiał bawić się, jeść, pić i urządzać zajazdy, a przytem kochał się czerstwo, po gospodarsku. Dzisiejszy zaś Polak wszystkie swoje ideały, przynajmniej we współczesnych romansach, umieszcza pod — parasolką".

Nie będziemy przechodzili za Prusem wszystkich wad,

z tego usposobienia płynących, jak niechęć do pracy, zwłaszcza pracy systematycznej, wytrwałej, jak nadwrażliwość, lub nieustanne wahanie się między wybuchami radości i rozpaczy. Wszystko to skupia się w tym nieokiełznanym popędzie do nieograniczonego szczęścia na ziemi, do bezgranicznej swobody, jaka na tym świecie istnieć nie może, a za podstawę ma wybujanie uczucia, kosztem innych władz duszy.

Zauważa Prus, że gdybyśmy obok uczucia posiadali równie dobrze rozwiniętą myśl i wolę, należelibyśmy do ras najdoskonalszych w świecie. W tej uwadze streszcza się istota odpowiedzi na trzecie pytanie Prusa, co powinniśmy robić, aby zbliżyć się do ideałów człowieka i społeczeństwa. Za tem zrównoważeniem władz duszy, pójdzie także i zrównoważenie ideałów życiowych, na pierwsze miejsce programu życia wysunie się doskonałość i użyteczność.

Pomijamy bardziej szczegółowe a bardzo cenne wskazówki autora, jak o poprawie bytu ludu przez naukę wiejskich rzemiosł i poprawienie żywności, jak o wiązaniu się w stowarzyszenia o celach społecznych — po te i inne wskazówki, odnoszące się do rolnictwa, przemysłu, nauki, sztuki, społecznych urządzeń, lepiej do samego dzieła odesłać. Chodzi nam tylko o zaznaczenie istoty rzeczy, a istota tej reformy mieści się w wyrabianiu myśli i woli i ustawicznem kierowaniu tych władz duszy ku doskonałości i użyteczności.

Z tej pracy nad sobą, z ustawicznych „drobnych zwycięstw“ samego siebie, z „nieustannego spełniania użytecznych czynów“, wyrobi się prędzej, czy później w człowieku równowaga władz psychicznych, charakter silny, do którego przyszłość należeć musi. Cechy takich charakterów zwycięskich określa autor w sposób następujący:

„1) Zdolność do wielkiej pracy, która uczyni ich użytecznemi, a zarazem wielka energia, która pozwoli im wytrwać w życiowym wyścigu“.

„2) Umysł logiczny i realny, który doskonale oceniając rzeczy ziemskie, nie odwracałby się od rzeczy nadziemskich“.

„3) Uczucie optymistyczno-altruistyczne. Optymizm bowiem

jest najpotężniejszym orężem przeciw troskom życiowym, zaś altruizm, czyli życzliwość dla bliźnich, jest najsilniejszym kitem, który ludzi spaja w jedną całość".

Jest oczywistem, że wraz z takiem wyrobieniem się jednostek i cała społeczna sprawa pomyślny obrót weźmie, bo wszystkie niedole społeczne ostatecznie z wadliwego charakteru jednostek wypływają.

Nazwaliśmy to dzieło elementarzem. Chcieliśmy przez to zaznaczyć najpierw jego najistotniejszą wadę, że brak mu głębszego filozoficznego uzasadnienia i istotnej normy etycznej, jakie tylko etyka chrystyanizmu dać może; chcieliśmy nadto określić jego charakter, uczący elementarnych warunków życia, pierwszych jego liter, bez znajomości których księga życia na zawsze pozostałaby dla nas zamkniętą. A że jest dostosowane do naszych potrzeb, stąd cała nazwa tytułu.

Programowi Prusa nadalibyśmy najchętniej taką formę:

Bądźcie doskonali pod każdym względem, tak w stosunku do Boga, jak w stosunku do siebie i bliźnich — bądźcie, o ile to w waszej mocy będzie, użyteczni — i choć o szczęściu myśleć nie będziecie, jakieś szczęście, czyste, szlachetne, będzie waszym udziałem na ziemi, a po niem przyjdzie szczęście nieskończone, wieczyste, oddające wam w posiadanie praźródło wszelkiej doskonałości i ideału, które jest właściwie tem, za czem człowiek szukający szczęścia na tym świecie, po omacku szuka.

Ks. Jan Pawelski.

PIÓREM I OŁÓWKIEM.

2. Z Grecyi i Wschodu.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Hotele w Atenach. Taniość w Grecyi. Uprzejmość służby. Wszechświatowy turysta. Prałat Rivelli. Stan katolicyzmu w Grecyi. Wyzwolenie z francuskiego jarzma. Swoboda religijna. *Collegium Leoninum* i zakłady katolickie. Niezależność od rządu. Katolickie i greckie duchowieństwo. Greckie obrzędy religijne. Stosunek do Greków. Wielkoczwartkowa komunia. Ciemna jutrznia i ewangelie w różnych językach. Wykład obrzędów greckich. Wielki Piątek w Atenach. Święto kwiatów i wiosny. *Batailles des fleurs* w cerkwiach. Groby Zbawiciela. Iluminacya miasta. Nocne procesye. Resurekcya i świąteczne strzelanie. Okolice Aten. Stary i nowy Faleron. Peireus. Dafni i Eleusis. Kult Demetery i Dionyzosa.

Życie w Atenach nad wszelki wyraz łatwe, miłe, wygodne i tanie. Dzięki nizkiej wartości greckich pieniędzy, cudzoziemiec dostaje tyle drachm za swoje franki, że nie wie co robić ze swojem bogactwem. Hotele pierwszorzędne są tak wykwintne, jak najlepsze w Szwajcaryi i Włoszech. Przy Placu Konstytucyi hale wchodowe pełne kwiatów i roślin egzotycznych, jaśnieją co wieczór setkami lamp elektrycznych, a roi się w nich od Anglików i Amerykanów postrojonych przy *table d'hôte*'ach zupełnie jak w zachodnich pałacowych karawanserajach.

W moim hotelu skromniej a oczywiście i taniej, nawet i bardzo tanio, choć moi ateńscy znajomi podnoszą oczy i ręce do góry, krzycząc na zdzierstwo z powodu, że płacę nie 9 drachm

na dobę za całe utrzymanie, ale 9 franków. Pokój mam śliczny z widokiem na Akropol, jedzenie po prostu wykwintne a usługę idealną. Takiej uprzejmości jak tu nie spotykałem nawet w Szwajcaryi. Przychodzę do hotelu — w sieniach osobny chłopak otrzepuje mi obuwie z kurzu, drugi cicho i zgrabnie mnie rozbiera, trzeci w restauracyi już mi przysunął krzesło pod okno, bo tak lubię, podał gazetę i zapowiada, że mi zmieniono jakąś potrawę w *menu*, bo uważano, że przed tygodniem jej niewiele jadłem. Tylko tu jechać doprawdy, zamiast tłuc się, głodzić i rujnować po Abbazyach. Przypytuje się do mnie i przez kilka dni stale mi towarzyszy przy jedzeniu ciekawy Niemiec, wracający z dwuletniej podróży nie naokoło świata, ale chyba wzdłuż i w poprzek kuli ziemskiej, bo był nawet w takich miejscach, o których się ani śniło memu komiwojażerowi z Korfu. Dość powiedzieć, że przejechał Boliwię i miesiąc siedział w Honolulu. Żebyż przejechał Peru lub Brazylię, żebyż siedział w Sydney lub Batawii — ale Boliwia i Honolulu! Bardzo zresztą cichy i bardzo a bardzo ciekawy człowieczek — rozmowa z nim więcej zajmująca od książki.

Wieczory mam miłe. Spędzam je na katolickiem *episcopia*, jak tu z włoska nazywają dom biskupa i misyonarzy. Arcybiskupa niema obecnie w Atenach: przed miesiącem zmarł podczas pobytu w Rzymie. Administratorem dyecezyi jest ks. prałat Rivelli. Wikaryusz generalny wszystkich biskupów, jacy od lat trzydziestu, t. z. od założenia biskupstwa w Atenach, zajmowali tę stolicę. Niezmiernie to miły, rozumny, energiczny człowiek. Rządzi od tak dawna dyecezyą, którą sam niejako stworzył, jest duszą wszystkiego, co się tu dla Kościoła robi, kieruje osobiście katolickiem gimnazyum i niższemi szkołami, konwiktem dla chłopców oraz małem seminaryum, a przy tem wszystkiem ma czas dla gości i umie zawsze być dla nich miłym i wesołym gospodarzem. Wpływ jego tu ogromny, nietylko wśród katolików. Widziany jest dobrze u dworu, w ministeryach, w wyższych sferach towarzyskich — wszędzie jego słowo ma wielką powagę, wszędzie jego osoba cieszy się wyjątkowym szacunkiem. Ma on przeciw sobie francuskie poselstwo, a wiadomo, jak wiele

ma wpływu Francya w Rzymie. Zbrodnią zaś jego było wyzwolenie Kościoła w Grecyi z pod protektoratu Francyi, który Greków katolików kompromitował wobec ich rodaków niekatolickich, jak kompromituje i naraża na prześladowanie tylu katolików na Wschodzie. Istotnie, jak wszędzie na Wschodzie, Kościół katolicki w Grecyi był dawniej narodową francuską instytucyą, w szkołach katolickich uczono w języku francuskim, tak samo kazano w kościele. Nie dziw, że Grecy uważali katolicyzm za coś cudzoziemskiego. Od czasu Mgra Rivellego zaprowadzono język grecki jako wyłącznie panujący w kościele, w szkole, w obcowaniu księży, którzy dawniej, będąc wychowani w Propagandzie i nieraz pochodząc z Włoch, używali między sobą włoskiego języka. W święta na katedrze powiewają greckie flagi zamiast francuskich. A następstwo? Katoliccy księża, których dawniej obrzucano błotem i kamieniami, są dziś szanowani i traktowani uprzejmie, kościół, w którym nie można było szyb utrzymać, bo je codzień wybijali z patryotyzmu i gorliwości religijnej pobożni ulicznicy, pełen jest co święto — Mgr. Rivelli jest jedną z najpopularniejszych osób w Atenach. Katolików jest tu 7000, w całej archidyecezyi obejmującej królestwo greckie z wyjątkiem wysp 18.000. Oprócz tego arcybiskup ateński jest administratorem apostolskim archidyecezyi w Naxos (liczącej tylko 400 katolików) i w tym charakterze spełnia obowiązki metropolity dyecezyi w Tinie, w Santorinie i w Syrze, bo Ateny jako takie, sufraganii nie mają. Kler składa się z księży świeckich, którym dopomagają, zwłaszcza w adwencie i poście OO. Jezuici, mający domy w Syrze i Tinie na Archipelagu, oraz księża Oblaci św. Franciszka Salezego z Troyes, mający kolegium w Peireus. W Atenach znajduje się gimnazyum wraz z konwiktem, założone i utrzymywane kosztem Leona XIII. i noszące jego imię. Znaną jest wspaniałomyślność wielkiego papieża dla spraw kościelnych Wschodu — i *Collegium Leoninum* stanowi piękny jej pomnik. Wspaniały ten gmach urządzony według wszystkich wymagań higieny i pedagogii, cieszy się najlepszą sławą w Atenach i ma około 300 uczniów, większą połowę z nich innowierców. Z początku kierowali nim Salezyanie z Troyes, ale

młode to zgromadzenie nie miało odpowiednich sił, aby sprostać trudnemu zadaniu — obecnie objął zakład pod swój zarząd kler świecki, a właściwiej Mgr Rivelli, który jest tu wszystkiem. Profesorami są nauczyciele szkół średnich rządowych i uniwersytetu, wykład odbywa się w języku i duchu narodowym greckim wedle rządowych programów, ale zmodyfikowanych w duchu katolickim. Innowiercom nauki religii udziela jeden ze świeckich profesorów ich wyznania, ale wedle planu nakreślonego przez ks. Rivellego — więc to tylko, co i przez Kościół katolicki jest przyjęte, z opuszczeniem kwestyj spornych. Obok gimnazyum mieści się konwikt dla 60 internistów, oraz osobny zakład dla młodzieży chcącej poświęcić się stanowi duchownemu. Są tu dalej szkoły elementarne i nawet froeblowska dla chłopców, a wszystko mieści się w olbrzymim kompleksie gmachów, należących do parafii katolickiej i otaczających katedrę. Żeńskiemi szkołami od ochrony do wyższego pensyonatu dla panien z najlepszych rodzin kierują SS. św. Józefa w Atenach i Peireus, a Siostry z jakiejś włoskiej kongregacyi w Patras.

Katolicyzm w ostatnich czasach cieszy się dość wielką swobodą w Grecyi. Konstytucya wzbrania propagandy religijnej i kapłan, któryby niekatolika przyjął na łono Kościoła, podlegałby karze. Przy mieszanych małżeństwach nie jest dozwolone wychowywać dzieci w jednem wyznaniu: synowie iść muszą po ojcu, córki po matce. Poza tem jednak nie można zaprzeczyć, że katolicyzm jest tu w lepszem położeniu niż we Francyi. Rząd nie płaci nic na utrzymanie parafij, ale kilkakrotnie oświadczał gotowość subwencyonowania kultu katolickiego w zamian za bardzo małe ustępstwa (bodaj że tylko w zamian za naznaczanie biskupów wyłącznie z pomiędzy poddanych greckich). Propozycyi nie przyjęto, bo subwencye rządowe pociągnęłyby za sobą zależność Kościoła od rządu, a może z czasem i coraz to nowe wymagania tego ostatniego. Kler panującego wyznania, choć licho uposażony, drogo to spłaca upokarzającą zawisłością od świeckiej władzy, wiadomo zaś, że rozwoju katolicyzmu nie powstrzymał nigdy brak pieniędzy, powstrzymuje go jednak

zawsze ingerencya i wpływ rządu, żeby tylko przypomnieć idącą dotąd w jarzmie józefińskiem Austryę.

Kościół katolicki pod wezwaniem św. Dyonizego Areopagity jest niezaprzeczenie najwspanialszą świątynią w Atenach. Cały z białego pentelijskiego marmuru z wspaniałym portykiem i szerokiemi schodami, w wieńcu pięknych palm i egzotycznych krzewów wygląda w istocie okazale. Urządzenie wewnętrzne poważne i stylowe odpowiada wymaganiom i nastrojowi bazyliki, a brakującej jeszcze wewnętrznej ornamentacyi dokonać ma artysta, sprowadzony w tym celu z Rzymu krótko przed mojem przybyciem; kler ateński nie jest liczny — składa się bowiem z sześciu czy siedmiu księży, z których kilku staruszków, a jeden jest proboszczem filialnego kościoła w starej części Aten, służącego dawniej za parafię przed zbudowaniem katedry. Księża muszą się dwoić i troić, być *omnia omnibus,* ale spełniają trudne zadanie gorliwie, a wrażenie robią najlepsze. Podczas mego pobytu bawili też dwaj wielkopostni kaznodzieje, włoski z Tiny a francuski przybyły z Paryża, członek redakcyi *Etudes politiques et religieuses,* niezmiernie inteligentny i miły O. Bremond.

Ceremonie religijne odprawiają się z niezmierną uroczystością, bardzo poważnie, wspaniale i pięknie. Podczas Wielkiego Tygodnia i świąt obszerny kościół bywał wprost nabity ludźmi na wszystkich nabożeństwach, a zachowanie się publiczności można było nazwać wzorowem. We Wielki Piątek, katoliccy posłowie obcych mocarstw przystępowali z wielkiem nabożeństwem i w prawdziwie budujący sposób do adoracyi krzyża zaraz po duchowieństwie, a przewodniczył im poseł francuski, podobno wraz z całą rodziną odznaczający się wielką pobożnością. We Francyi toby mu nie uszło i dawno musiałby tam dać dymisyę swemu katolicyzmowi, albo sam dostałby dymisyę od rządu. Ale wedle recepty Gambetty antyklerykalizm nie jest artykułem sportowym, zwłaszcza na Wschodzie, gdzie Francya tak zazdrośnie strzeże praw swego protektoratu, a jej przedstawiciele biorą z urzędu udział we wszystkich kościelnych uroczystościach.

Swoboda wyznań jest tu prawie zupełna. Rząd nie wtrąca

się do spraw wewnętrznych katolików, ani im przeszkadza w publicznych obrzędach. Procesye dawniej odbywały się publicznie po ulicach — obecnie ze względów roztropności wyrzekli się tego katolicy, nie stawianoby im jednak przeszkód, gdyby chcieli wznowić dawny zwyczaj. Propagandy wzbrania konstytucya — w niższych warstwach niema też dla niej pola. Grek jest głęboko religijny, ale zarazem ślepo przywiązany do form i tradycyi wschodniego Kościoła. Pytałem Mgra Rivellego, czy nie byłoby wskazane wzniesienie w Atenach katolickiego kościoła greckiego i odprawianie w nim wspaniałych nabożeństw tego obrządku z całą ścisłością majestatycznego rytuału. Odpowiedział mi, że na to za wcześnie, że katolicy greccy wszyscy wyznają obrządek łaciński, przeto nabożeństwa takie byłyby czemś nadto zwracającem uwagę i wywołującem podejrzenia. Należałoby raczej zacząć od odprawiania greckich nabożeństw w kościele łacińskim. Mnie to wydało się półśrodkiem i szczerze żałowałem, że obok tylu cerkwi jedna bodaj nie należy do grecko-katolickiego obrządku, nie dorównywa innym pod względem wspaniałości i czystości liturgii oraz urządzenia. W cerkwiach tutejszych nie bywa nigdy udzielaną nauka religii, a parę dorocznych kazań miewają wyłącznie świeccy. Tem większe wrażenie wywieraliby niewątpliwie kapłani greccy, którzyby zajęli się z umiejętną gorliwością nauczaniem prawd wiary, których lud jest spragniony, zachowując przytem w całej ścisłości formy zewnętrzne kultu, tak na Wschodzie czczone i ściśle strzeżone.

W wyższych warstwach istnieje niewątpliwie pewna skłonność do katolicyzmu, zwłaszcza u kobiet, wychowanych w klasztornych zakładach katolickich w Atenach, Patras, Naxos, na Syrze i Korfu. Niektóre z nich prywatnie są katoliczkami i uczęszczają przy okazyi do sakramentów, ale w otoczeniu sceptycznem lub fanatycznie niechętnem katolicyzmowi tracą z czasem jeśli nie wiarę to przynajmniej poczucie obowiązków, jakie ona wkłada, spowiadają się u księży katolickich a do komunii przystępują w cerkwi. Praktyka ta zasadniczym przepisom katechizmowym wręcz przeciwna, tak się tu zagnieździła, że episkopat katolicki królestwa podał do Rzymu dość dziwne *quaesitum*,

czy godzi się spowiadać i absolucyi udzielać Grekom niekatolikom. Oczywiście kongregacya odpowiedziała odmownie, ale podobno dość trudno przychodzi wykorzenić zakaz, tak wiele pań z wyższej sfery stara się spowiadać u księży katolickich, przystępując następnie do komunii w cerkwi. Choć nadużywanie katolickiego konfesyonału przez innowierców trudno nazwać czemś dodatniem, dodatnią niewątpliwie jest atrakcya, jaką ma Kościół katolicki dla Greków, którzy zwłaszcza w większe święta napełniają go masami. Chór kościelny śpiewa równocześnie w rosyjskiej kaplicy królowej. Na Wielkanoc suma musiała spóźnić się o kwadrans, ponieważ nabożeństwo w pałacu królewskim, jako w Palmową Niedzielę starego stylu, trwało wyjątkowo dłużej.

Na ulicach Aten spotkać można nieraz duchownych niekatolickich w niezmiernie szerokich sukniach, z olbrzymiemi rękawami i w okrągłych kołpakach podobnych kształtem do biretów protestanckich pastorów. W stolicy kraju wyglądają poważnie i schludnie; z tego jednak, co o nich słyszę, nie zdaje mi się, aby pod względem intelektualnym i towarzyskim, a zwłaszcza duszpasterskim, stali o wiele wyżej od korfiockiego kleru. Wspominałem przed chwilą, że nie miewają kazań. Dodać trzeba jeszcze, że jako nauczycieli religii zastępują ich również świeccy. Ani jeden profesor teologii na uniwersytecie ateńskim nie należy do stanu duchownego, a z dwudziestu kilku kaznodziei, którzy w Wielki Piątek przemawiali z ambon ateńskich cerkwi (jest to jedyny dzień w roku podobno, w którym w parafialnych cerkwiach obowiązkowo odbywają się kazania) jeden tylko jedyny był kapłanem, bardzo zdolny sekretarz ateńskiego synodu.

Nabożeństwa odbywają się zresztą okazale, a wspaniały rytuał wschodni, bogactwo szat liturgicznych, mnogość świateł i złoceń nadają im malowniczy urok. Śpiewy bywają nieraz piękne, o ile ich nie psuje nosowe i przeciągłe akcentowanie niektórych ustępów nabożeństwa, będące właściwością greckiej liturgii, jak i innych wschodnich, a u słowiańskich ludów wschodniego obrządku nieznane.

Niektóre z ceremonij są bardzo ładne. Przy pogrzebach

niosą umarłych na noszach, okrytych świeżemi kwiatami. Widziałem pogrzeb młodego człowieka wychodzący z cerkwi Kapnicarea. Najprzód szedł wśród chorągwi papas przyodziany w białą kapę; za nim czterech ludzi niosło prawie przy samej ziemi na białym całunie spoczywające zwłoki zmarłego, tak okryte kwieciem, że tylko woskowy profil twarzy, sam jeden wyglądał, z pod barwnego i wonnego płaszcza otoczony białemi liliami, jakby aureolą. Za noszami dotykając ich dłonią postępowała stara kobieta owinięta zwojami czarnego welonu, a przenikliwy zapach lilij, róż i hyacentów, mieszał się dziwnie z wonią palącego się wosku i dymów kadzideł. W Wielki Czwartek na nabożeństwie w metropolii publiczność w znacznej części złożona z inteligencyi, przystępowała do komunii bardzo licznie. Nie uważałem jednak żadnego skupienia, ani zewnętrznych oznak pobożności, jakie u nas niezmiennie towarzyszą temu aktowi. Panowie i panie zbliżali się do ołtarza, tak jak u nas przystępuje się do kropielnicy, z obojętnym, tu i ówdzie nawet znudzonym wyrazem twarzy. Nie chciałbym wydawać apodyktycznych sądów, miałem jednak wrażenie, że wszystkim chodziło jedynie o spełnienie zewnętrznej formalności, wymaganej przez towarzyskie względy. Wieczorem miało miejsce w metropolii, podczas ciemnej jutrzni odśpiewanie pasyi w dwunastu z kolei językach. Pierwszą odśpiewał ze swego tronu metropolita, poważny staruszek z siwą brodą, któremu wbrew zwyczajom naszego pontyfikału, z licznego duchowieństwa asystowało tylko dwóch dyakonów. Następne ewangelie odśpiewywali z ambony różni mniej lub więcej dostojni papasowie; słuchając jednak ich nosowego i monotonnego śpiewu, przypomniał mi się ów jegomość, który także mówił bardzo wielu językami, *aber alle böhmisch.* Ku memu wielkiemu zdziwieniu dość wielu mężczyzn zbitą masą napełniających przednią część nawy przy ambonie i tronie biskupim, miało w rękach książeczki i pilnie rozczytywało się w nich. Dowiedziałem się, że są to wydane przed rokiem przez greckiego proboszcza w Marsylii 12 różno-językcznych ewangelij, pisanych jednak greckiemi literami i zaopatrzonych przekładem. Grecy wogóle książek do nabożeństwa nie

używają, ta jednak bardzo się w Atenach rozpowszechniła. Przyszło mi na myśl, jak praktycznemi byłyby książeczki z wykładem nabożeństwa wielkotygodniowego, dla naszego ludu, nie mogłem jednak długo oddawać się refleksyom ani budować uważnem słuchaniem przez Greków z grecka po francusku sylabizowanych ewangelij, gdyż zaduch i właściwe greckiemu pospólstwu wyziewy cebuli i starej oliwy, zmusiły mnie do rychłego odwrotu.

Wielki Piątek jest u Greków dniem świątecznym może najbardziej uroczystym w roku, ale uroczystość ta wcale nie jest żałobna. Miasto całe zapełnia się przekupniami sprzedającymi kwiaty i robi się podobnem do wielkiego ogrodu; zwłaszcza okolice cerkwi zmieniają się w istną wystawę ogrodniczą. W cerkwiach przed carskiemi wrotami urządzony bywa grób nie tak ozdobnie, jak u nas, ale przecie nieraz bardzo ładnie. Dokoła katafalku, na którym leży płaszczenica, stoją wazony z kwiatami, albo z drutów okręconych kwiatami tworzy się rodzaj kopuły. Fala ludzi płynie zbitą masą od cerkwi do cerkwi, a każdy niesie w ręku pęk świeżych kwiatów, które śpieszy rzucić na grób Zbawiciela. Piękny ten zwyczaj przejęty od Greków przez Słowian na półwyspie Bałkańskim, a w Rosyi nieznany, ma swoje źródło zapewne w tradycyjnem okrywaniu zmarłych kwiatami. W praktyce jednak połączony on jest z nadużyciami, do których daje powód żywy temperament Greków i zwykłe na południu lekkie traktowanie rzeczy świętych. Tłum krąży po ulicach, śmiejąc się, śpiewając, żartując i ofiarując sobie nawzajem kwiaty. We drzwiach cerkwi stoją młodzi ludzie zaopatrzeni w koszyk kwiatów i flaszki z perfumami, któremi obficie skrapiają wchodzące damy, obrzucając je równocześnie kwiecistym deszczem. Wywiązują się z tego czasem prawdziwe *batailles des fleurs,* ale w rodzaju tych, jakie w Nizzy staczali rosyjscy turyści Lejkina z kupieckiego stanu. W cerkwi ścisk, głośne rozmowy i śmiechy, wzajemne popychanie się dokoła grobowca, obrzucanie kwiatami całego środka cerkwi, pisk i wrzask dzieci przełażących 3 razy jedno za drugiem pod stół pokryty płaszczenicą, nie wiem już wskutek jakiegoś religijnego

przepisu czy zabobonu. Popi stukają w tacę, domagając się jałmużny, panie polewają grób wodą kolońską, urywki greckich i francuskich frazesów, dowcipów i przekleństw, krzyżują się w powietrzu — jednem słowem istna wieża Babel. I u nas dużoby się dało powiedzieć o odwiedzaniu grobów, które zbyt często stają się gatunkiem towarzyskiego sportu, a w Warszawie kwesta wielkotygodniowa bywa nieraz wprost skandalem, ale przecie to wszystko nie daje słabego nawet pojęcia o tem, co się dzieje w cerkwiach greckich w Wielki Piątek.

Wieczorem w całem mieście ruch ogromny. Po głównych ulicach, i dokoła placów poprzeciągano niezliczoną ilość zgiętych w łuk i oczepionych żarowemi lampkami drutów. Kawiarnie roją się od ludzi, ulice pełne pań elegancko postrojonych w jaskrawe barwy. Poważnego nastroju, jaki dzień ten cechuje nawet w bezwyznaniowej Francyi i masońskich Włoszech, tutaj ani śladu. Wielki Piątek nie jest w Grecyi dniem śmierci i żałoby, przeciwnie jest on tutaj radosnem świętem kwiatów i wiosny.

Z zapadnięciem zmroku ulica ożywia się jeszcze bardziej. Przechodnie zapalają jedni od drugich woskowe świeczki, lub papierowe latarki i niedługo cała ta ludzka fala płynąca środkiem ulic staje się rzeką ognia. Dokoła łuków zapalają się lampki tworząc istotnie przepyszną iluminacyę. W fantastycznych zakrętach złote nici płomieni wiją się dokoła placów, ulic i gmachów lub tworzą z obu stron szerokich ulic miejskich, jakby ogniste sklepienia jakiejś czarodziejskiej galeryi. Z tego mnóstwa światła rozsypanego zewsząd wytwarzają się najoryginalniejsze w świecie ramy dla wielkopiątkowych procesyj, mających wyruszyć o późnej godzinie z różnych cerkwi i obchodzić równocześnie wszystkie niemal dzielnice i ulice miasta.

Procesye te znowuż, to po prostu coś nadzwyczajnego. Naprzód idzie muzyka grająca marsz żałobny, a w przestankach tłum wrzeszczy w niemożliwie dziki i hałaśliwy sposób *kyrie eleison*. Potem wśród straży kilkunastu żołnierzy postępuje duchowieństwo i jak nieboszczyków na marach niosą płaszczenicę, to jest wyobrażenie Zbawiciela na płótnie; tłum ze świecami cisnący się

i wrzeszczący zamyka pochód. Procesye te chodzą po mieście, bez żadnego określonego planu na chybił trafił, co chwila krzyżują się i wymijają, przy czem w ciaśniejszych ulicach powstaje nieopisany zgiełk, chaos, duszenie się i zamieszanie. Jakby wirem porwani ludzie pędzą od jednej procesyi do drugiej, a w tym tłumie gniotąc i obalając przechodniów bez żadnej ceremonii, co chwila przejeżdżają przez największy ścisk powozem. Wrzask gniecionych, wycie *kyrie eleison*, rżenie koni, pisk dzieci, dźwięki muzyki, wszystko to razem wytwarza wprost piekielną symfonię, a dziwaczna iluminacya, mnóstwo migających zewsząd świateł, iskrzące się oczy i ostre profile roznamiętnionego tłumu łączą się w obraz godny Breughela lub Würza. Malowniczości i typowego charakteru jest w nim bez końca, kościelnego niema oczywiście nic, ale na turystę wrażenie wywiera on niezmierne. Towarzysz wszystkich moich wycieczek, po Atenach i okolicach, O. Bremond nie mógł sobie rady dać: istotnie trudno sobie wystawić coś oryginalniejszego. Powrót procesyi do iluminowanych cerkwi, do których wnętrza nie mogły docisnąć się tłumy, był również bardzo malowniczy. Niektóre z prześlicznych starych bizantyńskich cerkiewek rysowały się na czarnem tle nocy, jak kosztowne filigranowe zabawki, oświetlone wewnątrz lampką elektryczną. Z wązkich okienek kopuły, z tryforiów i rozwartego portalu przeglądały złote smugi ognia, wywołując wprost czarodziejskie wrażenie, a w fali światła płynącej od drzwi czarny ruchliwy tłum otaczający cerkiew wyglądał jak cienie na chińskiej latarni.

Po nabożeństwie zaczynają się strzelaniny i wesoła zabawa trwa przez całą noc. Szczególny mają ci ludzie sposób obchodzenia rocznicy Męki Pańskiej, którą zresztą i katolicy święcą strzelając nieustannie, tylko nie ze strzelb ale z petard w dziedzińcu kościelnym. Grecy robią niestety inaczej. Do hotelu odprowadzało mnie grono znajomych i jednemu z nich, profesorowi Leoninum, tuż przy bramie przeszyto śrutem paltot na ramionach: o cal wyżej strzał utkwiłby w szyi. Podczas wielkanocnych świąt jest gorzej jeszcze, Grecy strzelają na wiwat nietylko śrutem ale i kulami i żadna Wielkanoc bez kilkunastu

zabójstw nie obejdzie się. Kiedy nazajutrz jechałem powozem do Peireus strzelano wprost przed konie i tylko dzięki spokojności szkap fiakierskich obeszło się bez wypadku.

Przed metropolią na placu ustawiono wielką estradę otoczoną zewsząd sznurami lamp. W nocy przedświątecznej, po skończonej rezurekcyi wychodzi z cerkwi królewski dwór z synodem, ministrami i dygnitarzami państwa i tu odbywa się uroczystość zwykłych na Wschodzie i w Rosyi powinszowań Zmartwychwstania Pańskiego, życzenia szczęśliwej Wielkiej Nocy.

* * *

Okolice Aten są bardzo urozmaicone i ciekawe. Z wycieczek najwięcej interesu budzą zwykłe: wyspa Salamina, pole bitwy na Maratonie, góry Hymetu i Pentelikonu, Peireus z dwoma bliższemi Aten portami, Faleron, wreszcie Eleuzis.

Faleronów jest dwa — bardzo od siebie odrębnych. Nowy Faleron leży na pół drogi od Peireus, ma ładny kurhauz, teatr podobny do cerkwi i cerkiew wyglądającą na teatr, dużo will, ogrodów, ogródków i parę nowych teatrów. Wszystko to banalne bardzo i szablonowe, tylko nie banalnem jest morze. Uderza ono o brzegi w dzień pogodny i cichy z takim hukiem i szumem, jakby chciało rozbić i zalać niezbyt wysoki ląd. Na wiosnę pusto tu jeszcze i cicho, latem zato co wieczór roi się od gości kąpielowych bo pół Aten mieszka tu na letnich siedzibach a drugie pół przyjeżdża co wieczór kąpać się i odetchnąć świeżem morskiem powietrzem.

Stary Faleron wygląda inaczej. Leży on na lewo, dość daleko i samotnie w okolicy pustej, cichej, mającej stepowy charakter i melancholię stepu. Kilka domów tylko wznosi się nad brzegiem i malutka mokra od obryzgujących ją fal kawiarnia, a morze w pobliżu wybrzeża całe zasiane ogromnemi głazami i odłamami skał, ale smętny, nagi i bardzo dziki krajobraz, na którego tle pieni się i huczy wir bałwanów zatoki, wyryje się w pamięci każdego, kto go raz zobaczył.

Peireus był przed sześćdziesięciu pięciu laty malutką rybacką wioszczyną, którą nazywano Porto Leone. Z powodu

położenia nad morzem, w centrze kraju, próbowano pierwotnie tu ustanowić stolicę, nim ją przeniesiono do Aten. Jakby na skinienie laski czarnoksięskiej na pustem wybrzeżu w ciągu paru lat powstało i rozwinęło się bogate, ludne i wspaniale zabudowane miasto, w którem obok Syry skupił się cały handel grecki. Ateny są stolicą, w której ludzie bawią się, uczą, politykują, tracą pieniądze — w Peireus robią interesa i napełniają pugilaresy.

Miasto zbudowane na stokach góry Munychia, leży na wysokim cyplu, rozszerzającym się w końcu i zaokrąglonym. Z jednej strony przytyka do niego zatoka Peireus, z drugiej wchodzi w ląd całkiem okrągła zatoczka Zea a zresztą półwysep oblany jest wodami falerońskiej zatoki. Od strony kolei i zatoki pirejskiej ciśnie się, huczy i faluje nad morzem gorączkowym ruchem miasto handlowe. Tu stoją w porcie na kotwicy liczne okręty a przy brzegu czernieje pomost setek łodzi. Na wybrzeżu roi się ludność wszystkich części świata. Murzyn z kędzierzawą głowę i mięsistemi wargami, obok Araba w białym płaszczu, fustanella albańska, obok wełnianej burki peloponeskiego górala, majtkowie z Europy, Azyi, Afryki i Ameryki, jednem słowem, cała ta mozaika ludów, strojów, języków i typów, która stanowi charakterystyczną cechę i niedorównany niczem urok Wschodu.

Nad samem morzem rozsiadły się liczne sklepy, składy, kantory handlowe i jedne koło drugich krzesłami i stołami zajmują całą szerokość ulicy kawiarni, zawsze pełne ludzi, brudu, hałaśliwe, takie jednem słowem, jakie tylko tu i w południowych Włoszech się spotyka. Parę skwerów z zapylonemi drzewkami i pomnikami narodowych bohaterów, parę dość dużych i potężnie brzydkich cerkwi przerywa jednostajność tego obrazu. Przez wązkie i brudne uliczki przedostajemy się do nowszych dzielnic, do miasta will i pałaców nad zatobą Zea — i tu już znika charakter lokalny, zgiełk, ruch handlowy, wschodni brud i wschodnia malowniczość — jesteśmy w jakiejś dzielnicy Marsylii, Bordeaux lub Barcelony. Wśród ogrodów poza kratami złoconemi przeglądają wytworne domy pejrejskich milionerów —

między niemi tuż nad morzem przy ruinach dawnego amfiteatru nowiutki, jeszcze niezamieszkały przez młodzież gmach gimnazyum i konwiktu OO. Oblatów św. Franciszka Salezego, którzy nas przyjmują z francuską uprzejmością i opowiadają o trudnych stosunkach, w jakich powstał i utrzymuje się ich zakład.

Kościółek katolicki w przeciwnej stronie miasta bardzo jest malutki i ubogi jak na 2400 katolików, między którymi sporo majętnych ludzi. Za to probostwo eleganckie a dom sąsiedni Sióstr wspaniały.

Do Eleusis jedzie się dawną „świętą drogą“, piaszczystym gościńcem wśród oliwnych drzew i zielonych wzgórz. Za botanicznym ogrodem otwiera się szeroki widnokrąg, na którego krańcach widnieją sinawe, lasem obrosłe góry. W pół drogi dawny klasztor Dafni, zrujnowany podczas wojny o niepodległość, z bardzo piękną, w bizantyńskim stylu wzniesioną cerkwią w ruinie. Dalej wskazują miejsce, na którem wznosiła się świątynia Afrodyty. Za nią gościniec skręca na prawo i wije się nad morzem aż wreszcie dobiega małej, przez Albańczyków zamieszkałej wioski, w której wspaniałe ruiny Propyleów i świątyń świadczą o czci oddawanej bogini Demeter-Cererze. Grecki mit o Persefonie, przebywającej większą część roku na ziemi lub Olimpie a pozostałe miesiące w królestwie małżonka Hadesa, symbolizuje tak dobrze los całego roślinnego świata, że słusznie z kultem niepocieszonej Demetery szukającej porwanego dziecka, zespolono uroczyste święta i procesye, podnoszące religijne znaczenie rolnictwa, wiążąc je zarazem z podobnemi obchodami ku czci boga winnic i towarzyskiego życia, Dionyzosa. Rozkochani w weselu, swobodzie i używaniu życia Ateńczycy stawiali wprawdzie swej opiekuńczej bogini liczne świątynie na Akropolu — ale więcej od mądrej Ateny pociągały ich wesołe korowody na cześć bogini płodów ziemi Demetery i tak jej blizkiego Dionyzosa. Wspanialszemi tu musiały być i liczniejszemi procesye z owocami, kwiatami i pochodniami do Eleusis od tych, jakie ciągnęły ku Partenonowi.

(Dok. nast.) *Jan Łada.*

SPRAWA CHIŃSKA

W ŚWIETLE FILOZOFII DZIEJÓW I ETYKI.

Gdy z początkiem sierpnia 1894 r. czytelnicy europejskich dzienników dowiedzieli się, iż Chiny i Japonia wypowiedziały sobie wzajemnie wojnę, wątpię czy był między nimi choćby jeden taki, któryby był zdawał sobie jasno sprawę z tego, co zaszło i na co się zanosi, a chyba już na pewno można twierdzić, że nie było ani jednego, który byłby przypuszczał, że powyższa wiadomość będzie oznaczała początek zupełnie nowej we współczesnych dziejach fazy. Ogół przyjął tę wiadomość zapewne dosyć obojętnie, tak jak się przyjmuje mnóstwo z każdego dnia politycznych nowinek, a może niejeden z czytelników, kpiąc, powiedział sobie, jak to dobrze, że gdzieś tam na końcu świata jakimś dwu półdzikim narodom zachciało się trochę między sobą się poczubić, będzie przynajmniej o czem czytać w gazetach, a bez obawy ponoszenia jakichkolwiek przykrych następstw, które blizka wojna zawsze dla każdego za sobą pociąga spokojnego obywatela. Co z tego wyniknie, o tem nikt chyba nie myślał, a jestem pewny, że nawet ci, co udają, że słyszą jak trawa rośnie tj. dyplomaci z zawodu, wcale nie przeczuwali na co się właściwie zanosi. Tymczasem cóż się dzisiaj okazuje? Oto występuje przed nami w sposób coraz oczywistszy fakt, że ta chińsko-japońska wojna, to początek czegoś zupełnie

we współczesnych dziejach nowego, że to wypadek, który oznacza stanowczy zwrot w politycznych dążeniach całego świata. Jak na schyłku XVIII. stulecia rozbiór Polski nadał europejskiej polityce nowy kierunek i stał się faktem warunkującym cały dalszy jej przebieg w wieku XIX, tak śmiało można już dzisiaj twierdzić, że podobnym znowu faktem przy końcu XIX. stulecia stała się chińsko-japońska wojna; ona nadała kierunek polityce już nie Europy, ale świata na wiek XX. Jak pod znakiem sprawy polskiej stała polityka wieku XIX., tak niewątpliwie pod znakiem sprawy chińskiej będzie odbywał się przebieg polityki wieku XX. przynajmniej w pierwszych jego dziesiątkach. Cóż nadało temu na pozór tak obojętnemu i dla Europy dalekiemu wypadkowi, jakim była wojna chińsko-japońska, takie nad wyraz doniosłe znaczenie? Aby na to pytanie odpowiedzieć, należy zdać sobie sprawę z tego, co się w Europie już od 1870 r. powoli przygotowywać zaczęło.

Wiadoma to powszechnie rzecz, iż nieurobione przed rokiem 1870 i w stanie jeszcze ciągłego fermentu znajdujące się polityczne stosunki Europy, zaczęły po wojnie niemiecko-francuskiej a szczególnie po r. 1878, gdy Austrya nie odważywszy się na genialną politykę Andrassego, zrezygnowała z wielkiej, powszechno-dziejowej roli, jaką jej — zdawało się — Opatrzność wyznaczyła, i dobrowolnie ustąpiła Rosyi stanowiska pierwszej i przewodniej wśród ludów południowo-wschodniej Europy potęgi, że od owego to czasu zaczęły te stosunki polityczne Europy przybierać formy coraz stalsze, coraz więcej skrystalizowane. Powstały przymierza uniemożliwiające zwichnięcie równowagi, zapewniony zaś pomimo ciągłych zbrojeń, a właściwie tylko dzięki tym zbrojeniom, pokój z jednej, a postępy techniki i wynalazki w dziedzinie nauk przyrodniczych z drugiej strony, spowodowały taki nadzwyczajny rozkwit przemysłu, produkcyi, tudzież różnorodnych z tem w związku stojących giełdowych spekulacyj, iż zaczęło być europejskiemu kapitałowi a także i europejskiej przedsiębiorczości wobec gorączkowej chęci bogacenia się, poprostu za ciasno. Nietylko Anglia uczuła potrzebę rozszerzania się i stworzenia sobie większej Anglii, ale i inne państwa

i narody to samo ogarnęło pragnienie. Francya także zapragnęła rozszerzyć się i przez zdobycze kolonialne pokrzepić swoją, tak ciężko w Europie pognębioną narodową próżność, zapragnęły tego także i Niemcy, dla których w Europie nic już nie było do zyskania, a więc dalej w szeroki świat, kto chce być światową potęgą, ten w ciasnych europejskich granicach zamykać się już nie może. Najgłębiej jednak pojęła i zrozumiała swoje nowe położenie Rosya. Uniknąwszy w roku 1878 po pokoju w San Stefano, dzięki powolności Austryi, największego niebezpieczeństwa, jakie jej kiedykolwiek groziło, powiedziała sobie Rosya, że dosyć tej zaściankowej sentymentalno-słowiańskiej polityki. Nie chcą jej puścić do Carogrodu — mniejsza o to, wszak ona jest czemś więcej, niż tylko państwem i narodem, ona jest całym osobnym dla siebie światem, co jej po Bałkanach i Bosforze, ona i tak tam dojdzie, tylko z innej strony, tj. zagarnąwszy pierwej całą Azyę. Jakie potajemne działały sprężyny, które ten niesłychany zwrot w polityce Rosyi umożliwiły, to na długo zapewne pozostanie dla historyi zagadką faktem jednak jest, że ten zwrot przygotowywał się od dawna, przygotowywał się przez podboje na Kaukazie w kraju zakaspijskim i w Turkestanie, przygotowywał się przez stosunki z Persyą, z Afganistanem i z Anglią w Indyach, ale z drugiej strony jest również faktem, iż polityka Rosyi długi czas nie zdawała sobie sprawy, do czego tam właściwie dąży. Było jej w Europie za duszno i za ciasno z powodu braku dostępu do otwartego morza, do którego ją na żaden sposób dopuścić nie chciano, szukała więc dla siebie powietrza, jakiegoś swobodnego ujścia i sposobu wydostania się na pełne morze, szukała przez pustynie i stepy. Ani Mikołaj I., ani Aleksander II. wcale nie myśleli o wielkiej polityce na dalekim Wschodzie. Jest niewątpliwie zasługą Aleksandra III., że właściwą rolę polityczną Rosyi zrozumiał. Azya to jest ten świat, na który ona oczy swoje zwrócić powinna, tam jej przyszłość, tam panowanie. Rosya nie potrzebuje szukać kolonij, ona ma przed sobą olbrzymi, jednolity, prawie czwartą część całego lądu obejmu-

jący szmat ziemi, pełen nieprzebranych bogactw, wyzyskać je tylko, a któż z nią mierzyć się zdoła? Aby jednak módz tak olbrzymie przestrzenie opanować i należycie zużytkować, do tego potrzeba komunikacyj. Największą przeszkodą do opanowania Azyi była dla Rosyi przestrzeń. Ale w miarę postępów techniki i na to znajduje się rada. Powstaje wielka i genialna myśl transsyberyjskiej kolei aż do oceanu Spokojnego. Że kolej taka możliwa, dowiedli już u siebie Amerykanie, czemuż więc nie pójść za ich przykładem, tem więcej, że ta kolej otworzy przystęp do oceanu, do którego przez Bosfor, przez Bałtyk, przez Perską zatokę dostać się trudno, bo wszędzie czuwa Anglik ze swoją olbrzymią flotą i nie puszcza; do oceanu Spokojnego na własnym gruncie już nikt jej drogi nie zagrodzi. Ma tam wprawdzie Rosya na wschodzie i na południu sąsiada, który jednak zbyt wiele nie sprawiał jej kłopotu. Tym sąsiadem jest cesarstwo chińskie. Rosya tak naturą kraju jak pochodzeniem swoich ludów, czuła się zawsze do Chin tak zbliżoną, iż wiedziała doskonale, że Chiny dla siebie na pewno pozyskać potrafi. Im Chiny słabsze, tem dla niej lepiej, mniemała zaś, że tam ze współzawodnictwem mocarstw takiem jak w Turcyi, już się nie spotka. Zdarzył się jednakże na tym dalekim wschodzie fakt zupełnie niespodziewany, fakt, jakiego historya ludzkości dotąd drugiego nie znała. Oto na najdalszym wschodzie, gdzie słońce najwcześniej z oceanu się wynurza, aby przyświecać w nieprzerwanym już dalej ciągu wszystkim aż do Atlantyckiego oceanu lądom, znalazł się naród, który bez żadnej rewolucyi z dołu w ciągu lat 30 przebył taki rozwój, do którego przebycia dawniej kiedyś i 300 lat nie byłyby wystarczyły. Narodem tym jest Japonia. Będąc jeszcze w połowie XIX. stulecia krajem barbarzyństwa i ciemnoty, od wieków w całej kulturze swojej zupełnie od Chin zależna, naraz około 1870 roku budzi się Japonia z wiekowego uśpienia, dzięki energii jednego panującego i kilku jego pomocników rozrywa pęta gnębiącego ją feudalizmu, nadaje sobie zupełnie nową, prawną, społeczną i polityczną organizacyę, przejmuje wszystkie nabytki europejskiej cywilizacyi i staje się naraz jednem z najlepiej urządzonych państw

nowożytnych. To wszystko dokonało się w latach niespełna 30. Jest rzeczą dzisiaj prawie jeszcze niemożliwą cały ten proces przekształcenia się Japonii w nowożytne państwo i społeczeństwo należycie ogarnąć i zrozumieć. Ma ten proces obok strony politycznej także niezmiernie doniosłą stronę psychologiczną. Na długo jeszcze będzie to tak dla socyologów jak i dla psychologów bardzo wdzięcznym tematem do badania, jak się to stało, że czas potrzebny do wzrostu jednego pokolenia mógł wystarczyć, aby całe społeczeństwo w tak radykalny przekształcić sposób. Niewątpliwie bardzo różnorodne działały tu czynniki. Najwięcej dokonał wpływ Stanów Zjednoczonych tudzież Anglii, które to państwa z Japonią już od połowy XIX. stulecia bezpośrednie nawiązały stosunki. Przyczyniło się zaś do tego wiele pomieszanie ras we krwi japońskiej, żywość temperamentu i usposobienia, tudzież wielka wrażliwość a przytem także ruchliwość i śmiałość w przedsiębiorstwach właściwa wszystkim wyspiarzom do morskich zmuszonym wypraw, także wszechstronność zajęć wskazana wielką klimatu i natury rozmaitością, to wszystko sprawiło, że Japończyk łatwiej się wszelkim nowym poddaje wpływom, podczas gdy Chińczyk chociaż rasą pokrewny, ale będący pod względem usposobienia zupełnem Japończyka przeciwieństwem od wszelkich nowości stroni. Należy także podnieść, iż najnowsi badacze i znawcy japońskich stosunków np. Tokuzo Fukuda w dziele: *Die gesellschaftliche und wirtschaftliche Entwickelung Japans* dowodzi, iż nowy porządek rzeczy w Japonii nie jest taką zupełną nowością, lecz że przygotował go do pewnego stopnia rozwój z czasów dawniejszych. Ale mniejsza o przyczyny, fakt pozostaje faktem, że naraz po roku 1870 jakby z pod ziemi wyrosło na najdalszym Wschodzie potężne państwo, naród cywilizowany, pracowity i ruchliwy, rząd mądry, śmiały a przebiegły, który mógł zamarzyć o przewodniej roli wśród ludów rasy żółtej i mógł dla Rosyi, docierającej nareszcie do oceanu i uważającej żółtą rasę za swoją własność, groźnym stać się współzawodnikiem. Zamach wykonany w Japonii na ówczesnego rosyjskiego następcę tronu a dzisiejszego cesarza, którego on z największem tylko uniknął niebezpieczeń-

stwem, był jakby symboliczną zapowiedzią tej walki, która się między Rosyą a Japonią z natury rzeczy na dalekim zapowiadała Wschodzie. Rosya, która wszędzie widziała tłumiącego jej rozwój Anglika, naraz tam, gdzie tego najmniej się spodziewała, z nową spotkała się przeszkodą, czuła zaś ona to doskonale, że poza tym na najdalszym krańcu posiadłości zagradzającym jej drogę Japończykiem, stoi także ukryty Anglik i tam dopuszczeniu jej do morza niechętny. Cały ten rozwój wypadków jednakże mógł doprowadzić do przeciwieństwa interesów rosyjsko-japońskich. Byłby to niewątpliwie epizod pełen doniosłego politycznego znaczenia, cóż jednak zaszło, że z tego wszystkiego wywiązało się zagadnienie natury tak powszechnej, powiedzmy światowej, jakiem jest dzisiaj sprawa chińska?

Pytanie to godne zaiste bliższej rozwagi.

Japonia, jak każde społeczeństwo nowem zaczynające żyć życiem, poczuła zaraz potrzebę rozszerzania swojego wpływu, potrzebę działania na zewnątrz. Dla tego ruchliwego i szybko mnożącego się narodu, wyspiarskie jego siedziby musiały być za ciasne. Podobnie jak w starożytności Grekom za ciasno było na ich wyspach i na skalistych Hellady i Małej Azyi wybrzeżach, jak w nowszych czasach Brytańskie wyspy nie mogły na długo wystarczyć Anglo-Sasom, tak też i Japończycy potrzebowali koniecznie dla siebie więcej miejsca a nadewszystko pragnęli dostać się na stały ląd Azyi, gdyż tylko tam mogli znaleźć trwałą dla swojego dalszego rozwoju podstawę. Ma Japonia zaraz naprzeciwko półwysep Koreański, oddzielony od niej wązkim tylko stosunkowo morza przesmykiem, półwysep będący dalszym niejako ciągiem japońskiego archipelagu jakby przez samą przyrodę na stały ląd Azyi rzucony pomost. Z Koreą łączyły Japonię wiekowe stosunki, już w r. 200 po nar. Chr. dokonali Japończycy pod wodzą cesarzowej Dżingo pierwszego Korei podboju, niewątpliwie stamtąd przeszła także chińska kultura na japońskie wyspy, na Koreę więc zaczęła na odwrót odmłodzona Japonia pierwszy wywierać nacisk. Przez Koreę na azyatycki ląd, — stało się tam hasłem. Ale z drugiej znowu strony zwróciła także i Rosya na ten półwysep oko;

graniczy z nim wprawdzie wązkim tylko paskiem ziemi, ale tam dostrzegła jedyną dla siebie drogę do zupełnie otwartego morza. Cóż jej bowiem ze syberyjskich przyjdzie portów, skoro z powodu zamarzania są prawie przez dwie trzecie części każdego roku niedostępne, tu już nie polityka, ale sama przyroda sprzysięgła się przeciw Rosyi. Ale Rosya planów swoich tak łatwo nie zrzeka się! Korea wsuwa się jakby klinem między Chiny i Japonię, Korea ma porty znakomite i nigdy niezamarzające, a więc Korea musi być rosyjską. Z trzeciej znowu strony stanęły Chiny, dosyć wprawdzie na wszystko obojętne, ale jednak trudno im było zapomnieć, że Korea jest od wieków lennem chińskiego cesarza państwem i, że jej cała cywilizacya z Chin pochodzi. Rozpoczęło się zatem jeszcze przed rokiem 1890 wzajemne trzech państw współzawodnictwo o Koreę. Należy jednak z naciskiem podnieść, że z planami na Koreę łączyła Japonia o wiele dalej jeszcze sięgające i o wiele śmielsze plany. A gdyby też postawiwszy raz nogę na stałym lądzie udało się wpływ swój i ducha świeżo przyswojonej sobie cywilizacyi rozszerzyć dalej, a gdyby się udało tak wstrząsnąć i do nowego obudzić życia tego już od dawna w wiekowym śnie drzemiącego kolosa tj. państwo chińskie. Zasiadały na chińskim tronie Synów słońca już dynastye mongolskie i mandżurskie, dlaczegóżby nie mogła raz zasiąść także i japońska dynastya, a wówczas cóżby się stało? Drżyj kulo ziemska, gdy 40 milionów Japończyków pozyska dla nowej cywilizacyi, zorganizuje i uzbroi 400 milionów Chińczyków. Urzeczywistnią się marzenia Czyngiskanów i Tamerlanów, przyjdzie chwila, że żółta rasa wyrówna swoje z białą rachunki a będąc i tak wszelkiej wogóle kultury matką, odzyska napowrót to stanowisko na ziemi, jakie jej przed tysiącami lat semickie i aryjskie odebrały ludy. Że w gorętszych japońskich głowach tego rodzaju plany do dzisiaj się snują, to najmniejszej nie ulega wątpliwości; aby się o tem przekonać wystarczy zwrócić uwagę na to, co japońskie niekiedy piszą dzienniki. Spotkały się więc ze sobą dwojakiego rodzaju światowe dążenia. Jedno idące z zachodu na wschód i zmierzające do opanowania całego stałego lądu między Atlantykiem a Ocea-

nem Spokojnym przez rasę białą, drugie idące ze wschodu na zachód i usiłujące to samo urzeczywistnić dla rasy żółtej.

Rosyjska kultura z aryjskich wprawdzie pochodzi źródeł, europejską też na sobie nosi cechę, aryjskie jednak w niej pierwiastki tak są zespolone z turańskiemi, rasowe pokrewieństwo, wiekowe społeczne urządzenia, system rządów, to wszystko charakterowi turańskiej rasy tak odpowiednie, że jeżeli jakie państwo jest zdolne te stepy i te najdalsze świata zakątki opanować, to z pewnością Rosya; postępuje zaś ona powoli i z właściwą wszystkim wschodnim rządom przezornością, uderza nagle w chwili, gdy wszystko przygotowane, gdy grunt zupełnie przysposobiony a powodzenie pewne, zresztą działa cicho, cierpliwie, plany zaś swoje układa nie na lata, ale na stulecia.

Przeciwnie Japonia! Społeczeństwo zupełnie odmłodzone, z pomieszania różnych ras, ze szczególną jednak, zdaje się, przewagą rasy żółtej powstałe, w twardej feudalizmu szkole wychowane a więc do indywidualizmu skłonne, społeczeństwo od europejskiego wprawdzie zupełnie różne, wpływem chrześcijańskich idej prawie jeszcze nie dotknięte, nie jest jednakże wykluczoną możliwość, czy to plemię tak pojętne, przyswoiwszy sobie jak dotąd naukowe, techniczne i społeczno-polityczne nabytki zachodniej cywilizacyi, czy nie zapragnie także idealnych dóbr chrześcijańskiej religii. Wszak dawniej wraz z cywilizacyą rasy żółtej przyjęła Japonia także i jej religijne systemy, dlaczegóż więc teraz, gdy nowa cywilizacya napływa tam głównie ze Stanów Zjednoczonych i z Anglii, a więc z krajów ideami wolności na wskróś przesiąkłych, gdzie duch chrześcijański przecież tak potężnie utrzymuje się i wzrasta, nie mogłaby Japonia i na polu religii do zupełnego dojść odrodzenia. Co do jednej rzeczy zaś można już dzisiaj być pewnym: w zastój już chyba Japonia nigdy nie popadnie. Systemem więc rządów, organizacyą społeczną i pochodzeniem wielkiej liczby ludności Rosya Chinom bliższa, dawniejszą znowu od cywilizacyi chińskiej zależnością bliższą jej Japonia. Powstaje więc zagadnienie, kto tego drzemiącego olbrzyma ze snu obudzi, kto nim wstrząśnie i do nowego popchnie życia? Japonia pragnęłaby to zrobić od razu

za jednym zapędem, niecierpliwa, jak każdy naród niedawno do nowego obudzony życia. Japończykom zdawało się, a może i dzisiaj jeszcze w to wierzą, że równie szybko jak sami przyswoili sobie europejską cywilizacyę potrafiliby ją także wpoić Chińczykom. Zapominają, że 40 milionów ruchliwych wyspiarzy, to nie 400 milionów ociężałej, przeważnie rolniczej a więc konserwatywnej i na olbrzymich przestrzeniach rozrzuconej ludności, która od tysięcy już lat skostniała w formach kultury, stanowiącej zupełne europejskiej cywilizacyi przeciwieństwo. Rosya pracę swoją rozłożyła widocznie na dziesiątki lat, jeżeli nie na stulecia, stopniowo pragnęła opanować Chiny, powoli te miliony do zależności od siebie przyzwyczajać, aż nareszcie przyszłaby ta chwila, w której ujrzy się panią całej Azyi i wszystkie jej ludy pod swoje zagarnie panowanie. Tylko że nie wiadomo, coby się wówczas stało, czy Azya byłaby pozyskaną dla cywilizacyi, czy też może Rosya przemieniłaby się w Azyę. Gdyby Japonia dzieło powolnego cywilizowania Chin w swoje wzięła ręce, możeby tego także nie dokonała prędko, ale na wszelki sposób możnaby być pewnym, że wielki tam rozpocząłby się w każdym kierunku ruch i rozwój, który mógłby także i dla Rosyi bardzo błogie za sobą pociągnąć następstwa. W dziecinne strachy i majaczenia o podboju i panowaniu rasy żółtej nad białą chyba nikt nie uwierzy. Dopóki w Syberyi, w Turkestanie i w Mandżuryi panuje Rosya, dopóki za nią inne stoją mocarstwa ze swojem wojskiem, ze swojemi flotami i uzbrojeniem, dotąd niebezpieczeństwo od żółtej grożące rasy istnieć będzie tylko w mózgach japońskich albo chińskich zapaleńców lub w niemieckich głowach, które tego potrzebują, aby usprawiedliwić urządzane na Chińczyków polowania, tak jak potrzebują „polskiego niebezpieczeństwa“, do upozorowania swojej dzikiej względem Polaków polityki. Natomiast gdyby powiew postępu i indywidualizmu zaczął także wiać od Wschodu, to w takich warunkach Rosya mająca za sąsiada stopniowo przez Japonię cywilizowane Chiny, musiałaby mieć się ciągle na baczności, musiałaby nieustannie u siebie wszelkie urządzenia państwowe

doskonalić a więc w zastój popaśćby także nie mogła. Rozpoczęłoby się szlachetne między rasą białą a żółtą na polu kultury współzawodnictwo. Ale trudno dalej rozprawiać nad tem, coby być mogło; tych kilka uwag i myśli rzuciłem tylko dlatego, aby wykazać, że rozwiązanie sprawy chińskiej przez Japonię nietylko nie groziłoby jakimś Europie niebezpieczeństwem, ale przeciwnie mogłoby nawet zbawienne dla świata a szczególnie dla Rosyi sprowadzić skutki. Z dwojakich zatem tak sprzecznych dążeń, jakiemi są dążenia Rosyi i Japonii, musiało oczywiście wywiązać się starcie. Rosya mądra i ostrożna, nie wybudowawszy jeszcze syberyjskich kolei, pozbawiona więc operacyjnej podstawy, nie mogła wprost na Japonię uderzyć, wysunęła więc Chiny, zachęcając je do wytrwania w zastoju i do stanowczego w sprawie Korei oporu. Rozpoczęła się chińsko-japońska wojna, a wynikiem jej był zupełny pogrom Chin. Droga do Pekinu stanęła dla Japonii otworem, japoński mikado, zdawało się, że zostanie „Synem słońca“ a wielkie dzieło cywilizowania i odrodzenia Chin się rozpocznie. Ale w tej chwili wystąpiła Rosya i nie dopuściła, aby zwycięska Japonia jakiekolwiek ze swoich zwycięstw wyciągnęła korzyści, a szczególnie, aby się usadowiła na stałym lądzie Azyi. Że Rosya to uczyniła, nie zadziwiło nikogo, byłaby chyba musiała zrzec się wszelkiej w Azyi roli i porzucić wszystkie śmiałe plany, jakie od niedawna powzięła, ale co było rzeczą zupełnie niespodziewaną, że Rosyę poparły w energiczny sposób inne europejskie mocarstwa. Japonia natomiast nie znalazłszy dostatecznego poparcia w Anglii, na razie cofnęła się, dając tem dowód niezwykłego umiarkowania i wielkiej politycznej mądrości. Ale to chińskiej sprawy nie zakończyło, ona dopiero teraz, dzięki wdaniu się reszty mocarstw, rozpoczęła się na prawdę; powikłała się zaś w sposób taki, iż stała się istnym światowym gordyjskim węzłem. Współzawodnictwo Japonii i Rosyi w Chinach jest dla każdego jasne i zrozumiałe, tak samo jak zrozumiałem jest w starożytności współzawodnictwo Aten i Sparty, Rzymu i Kartaginy, a w wiekach średnich Anglii i Francyi lub

w nowszych czasach Francyi i Niemiec; cóż jednak miały na tym najdalszym Wschodzie inne mocarstwa do zyskania? Przecież chyba nikt ani na chwilę nie przypuści, aby mogła Anglia lub Francya, Niemcy czy Stany Zjednoczone marzyć o podboju czy o podziale Chin. Można było dzielić się tuż do własnych granic przylegającą Polską, lecz podbijać i dzielić się Chinami, to byłoby najwyższą polityczną niedorzecznością. Istota zaś polityki znosi — jak pisze Ratzenhofer — każdą nikczemność, nie znosi tylko niedorzeczności. A więc może chodziło o jakieś idealne dobra? Może o chrześcijan i chrześcijańskich misyonarzy? Głośno tak mówiono i pisano, ale była to najwstrętniejsza hipokryzya, jakiej kiedykolwiek dopuściła się europejska dyplomacya. Wszak niedawno spokojnie pozwoliła na wymordowanie w Turcyi tysięcy chrześcijańskich Armeńczyków, czyżby się nagle teraz było obudziło sumienie? W dyplomacyi sumienie odzywa się tylko wówczas, gdy chodzi o interes. Miały zaś mocarstwa na dalekim Wschodzie dwojakiego rodzaju interesy. Najpierwej bardzo zależało niektórym z nich, szczególnie zaś Niemcom, aby tam Rosya ugrzęzła jak można najgłębiej, w takich bowiem warunkach nie będzie Europy tak przygniatała, może nawet zapomni o Bosforze a Bałkan tem pewniej zostawi na boku. Ale o wiele jeszcze ważniejszym był interes drugi.

Jak już poprzednio wspomniałem, zaczęło narodom europejskim po roku 1870 robić się coraz ciaśniej. Wzrastający w niebywały przedtem sposób ruchomy kapitał, nie mógł już znaleźć dostatecznego w Europie pola do działania i do wyzysku. Zużytkowywano wprawdzie ciągle nowe wynalazki i odkrycia, szczególnie w zakresie elektrotechniki, ale to wszystko było za mało. Ekonomiczna walka o byt zaczęła istnienie wielu przemysłów obok siebie robić nieznośnem, robotnik domagał się coraz więcej, kartele ograniczały swobodę ruchów, a więc potrzeba większej Europy stawała się piekącą. Stany Zjednoczone przestawały być już upustem dla starego świata, owszem one go coraz więcej ugniatać już zaczęły i groźnym stawały się współzawodnikiem z początku na polu rolniczej produkcyi,

obecnie już nawet i na polu przemysłu. A więc dalejże szukać powietrza, miejsca zbytu dla towarów, pola dla kapitałów i dla swobodnego wyzysku. Gdzie? W Afryce, w południowej Ameryce, może w Australii i na wyspach Oceanii? to wszystko jednak za mało, tam wszędzie pełno współzawodników, praca ciężka i żmudna, klimat nieraz dla Europejczyka zabójczy. Że to co tu piszę nie jest przesadą, dowodzi najlepiej fakt, iż Anglia już w połowie XIX-go stulecia prowadziła wojny w obronie swoich spekulantów (sławna wojna o opium z Chinami), wszystkie zaś w ostatnich latach podjęte wojny, miały wyłącznie za cel odebranie słabemu jego posiadłości, aby się tylko samemu rozszerzyć. W imię tej zasady odebrały Stany Zjednoczone Hiszpanii jej kolonie, Anglia zaś rozpoczęła wojnę z Burami, aby im zabrać ich złotodajne góry i skały. W takich znajdując się warunkach, zwróciły wszystkie produkujące nad potrzebę narody pożądliwe oczy na to olbrzymie państwo, jakiem są Chiny, na to społeczeństwo bez przemysłu i bez potrzeb, na ten świat zamknięty i prawie nieznany, a pełen niedotkniętych jeszcze i nigdy niewyzyskiwanych skarbów, wreszcie na tego robotnika, jakiego drugiego na całym niema świecie, bo cierpliwy, niezmiernie mało potrzebujący a za trzech pracujący Europejczyków, istna idealna maszyna, która przy *minimum* potrzeby, produkuje *maximum* fizyczno-mechaniczej siły. Ze szczególną jednak chciwością zwróciły na Chiny uwagę Niemcy. Anglia zaczęła wprawdzie najwcześniej, bo już w połowie zeszłego stulecia, wyzyskiwać Chiny, ale ona znalazła tymczasem jeszcze gdzieindziej wspaniałe dla siebie pola do działania. Kanada, Australia, wschodnia i południowa Afryka, to obszary, na których anglosaska rasa przez długie jeszcze może rozrastać się lata, jako pole zaś do wyzysku, ma Anglia Indye, Chin więc tak koniecznie nie potrzebuje; jeżeli zwracała na nie w ostatnich czasach baczną uwagę, to raczej dlatego, aby tam zagrodzić drogę Rosyi i wzmocnić Japonię, swojego naturalnego sprzymierzeńca. Dla Anglii bowiem losy rasy białej w Europie, są całkiem obojętne. Gdyby nawet rasa żółta pod przewodem Japonii nad całą zapanowała Europą, to Anglii nicby to nie

zaszkodziło, podzieliłaby się z Japonią panowaniem nad światem i byłby spokój — Rosya jest dla Anglii o wiele niebezpieczniejszą, gdyby bowiem zagarnęła Rosya Chiny, musiałaby siłą wypadków, mając przystęp do Indyj od północnego zachodu i po te sięgnąć także kraje. Wszak Rosya jest spadkobierczynią Mongołów, którzy już raz nad całą panowali Azyą, zagarnąwszy Indye. Podbój Indyj dokonywał się zawsze od strony Afganistanu, nigdy od Wschodu. Rosya poszłaby tam tą samą drogą, po której szły niegdyś ludy aryjskie i Mongołowie. Francya już więcej w Chinach interesowana, ma bowiem w swojem posiadaniu część tak zwanych Indyj zagangesowych, tu mogłaby Japonia i ucywilizowane przez nią Chiny być jej groźne, gdyż kraje te były już od wieków pod wpływem chińskiej kultury. Najgorzej jednak Niemcom, te spóźniły się ze swoją kolonialną polityką, wszędzie im ciasno, gdyby się więc tak dało uczynić Chiny przedmiotem wyzysku, gdyby dla niemieckiej brutalnej pięści pozyskało się cierpliwego chińskiego robotnika a dla niemieckiego towaru chińskiego konsumenta! A więc artysta na najmłodszym cezarów tronie maluje wielki obraz, przedstawiający niebezpieczeństwo grożące europejskim ludom od żółtej rasy, gnębiąc i uciskając u siebie własnych poddanych polskiego pochodzenia, nawołuje się narody europejskie do obrony tych samych idealnych dóbr, za które u siebie prześladuje się Polaków, dwu zaś biednych katolickich misyonarzy, dostarcza pozorów do uzbrojenia wielkiej wyprawy i wysłania jej na zajęcie prawem bezprawia kawałka chińskiego wybrzeża. Miał to być tylko wstęp do postawienia w dalszym ciągu nogi na chińskich karkach i postępowania z Chińczykami tak, jak się od wieków postępowało ze Słowianami i z tylu innemi ościennemi plemionami. Dopiero wystąpienie Niemiec, zawikłało sprawę chińską w sposób dla Europy bardzo niebezpieczny. Przedtem była ta sprawa polityczno-dziejowem zagadnieniem między Rosyą z jednej a Japonią i z tyłu za nią schowaną Anglią z drugiej strony. Walka miała toczyć się o to, kto zaskrzepłą mumię chińską do życia obudzi, kto nią zawładnie i dla europejskiej pozyska cywilizacyi. Rosya czy Japonia? Naraz rzeczy się

zmieniły! Za przykładem Niemiec, zapragnęło każde państwo dla siebie w Chinach punktu oparcia, zapragnęło portów, wybrzeża i koncesyj. Wszyscy zaczęli szarpać, skubać, kąsać, deptać tego drzemiącego olbrzyma, zaczęli sięgać i dobierać się do jego wnętrza. Jak kruki i sępy szarpią ciało i wnętrzności nieboszczyka, tak tu na zastygły wprawdzie, ale żywy społeczny organizm, zleciały się kruki i sępy, aby zasilić się i nasycić jego żywotnemi sokami. Aż nagle olbrzym poczuł to skubanie i zaczął otrząsać się i oganiać. Tkwiąca na dnie każdej duszy chińskiej pogarda dla obcych, zmieniła się w straszną nienawiść, która znowu tak nagle i gwałtownie wybuchnęła, że krew polała się strumieniami [1]. Brutalny Niemiec pierwszy padł ofiarą a z nim razem tysiące niewinnych chrześcijan, a nawet o mało że przedstawiciele wszystkich mocarstw tych szalonych wybuchów nienawiści własnem nie opłacili życiem. Łatwo pojąć, że mocarstwa a szczególnie Niemcy po zamordowaniu ich posła, musiały wystąpić czynnie i tak rozpoczęła się zapamiętała walka Chin przeciw Europie. Walka już nie narodu z narodem, państwa z państwem, ale kultury z kulturą, świata ze światem, cywilizacyi bardzo starożytnej i bardzo niegdyś wielkiej a będącej zastygłym wprawdzie, ale zawsze jeszcze żywym wzorem

[1] W pierwszym tomie moich „Dziejów filozofii", wydanym w r. 1894, gdzie w rozdziale trzecim przedstawiłem wogóle po raz pierwszy rozwój chińskiej filozofii, podaję na str. 229 następującą charakterystykę Chińczyka: „Natura jego grubo realistyczna i zmysłowa z pewną przymieszką mongolskiej flegmy a przy troskliwem od młodości wychowaniu, odznacza się zwykle miłem towarzyskiem obejściem. Ale obok tej mongolskiej flegmy, objawia się u Chińczyka nieraz także pewna zmienność usposobień. Łagodny Chińczyk staje się często wobec niższego od siebie cudzoziemca dumnym i zuchwałym, zaś wobec przełożonych swoich jest płaszczącym się niewolnikiem; rozważny i sumienny aż do zbytku, jest nieraz chytrym i chciwym w obrachowywaniu zysków, — zwykle bojaźliwy, narazi się w najniezgrabniejszy sposób na wielkie niebezpieczeństwo, zamiłowany w wygodach, zniesie spokojnie największy niedostatek a z życiem pożegna się bez najmniejszego szemrania. Postępu nie lubi, wszelkich nowości obawia się, ideałem jego jest postępować drogą utartą a ciągnąc jak największe z życia korzyści". — Wypadki z ostatnich lat prawdziwość tej mojej charakterystyki najzupełniej potwierdziły.

najpierwotniejszego typu wszelkiej cywilizacyi wogóle, z cywilizacyą w dziejach ludzkości najmłodszą, niezmiernie ruchliwą, potrzebującą ciągłego rozszerzania się, a więc zaczepną.

Teraz nie można już pytać, kto pozyska Chiny dla tej nowej cywilizacyi, Rosya czy Japonia? ale nadto należy rozważać pytanie, czy wogóle jakakolwiek cywilizacyjna praca będzie tam możliwą, czy wśród tych nieprzeliczonych mas ludności, stojącej w przeważnej liczbie na najniższym jeszcze stopniu umysłowego rozwoju, nie zapanuje stan anarchii, który dla świata ciągłą będzie groźbą i źródłem ciągłych zawikłań; wszak czytamy właśnie, że przedstawiciele mocarstw oświadczają się sami przeciw otwarciu całych Chin dla cudzoziemców, gdyż opieka nad nimi byłaby niemożliwą. Wątpię bardzo, czy egoizm mocarstw dopuści kiedykolwiek Japonię do spełnienia w Chinach zadania, które tylko ona jedna spełnićby tam mogła, gdyby się to bowiem urzeczywistniło, przestałyby Chiny być przedmiotem wyzysku. Pozostaje więc Rosya. Ta może czekać! stan zupełnej w Chinach anarchii wyjdzie tylko na jej korzyść. Jak zabrała Mandżuryę, tak weźmie i Mongolię, Tybet z Dalaj-Lamą pod swój zagarnie protektorat, zacznie w różnych kierunkach powoli budować koleje i będzie czekała. Takie są oto następstwa niemieckiej światowej polityki. Dziwna to zaiste rzecz, że wszędzie, gdzie tylko żywioł pruski się wmiesza, tam powstaje zaraz walka, zamęt i nienawiść. Nie myślimy wcale usprawiedliwiać Chińczyków z okrucieństw popełnianych na obcych i na chrześcijanach; dla pracy około zbawienia dusz, trudne tam zaiste bardzo warunki. Zapewne są trudności, które tkwią już w rasowej Chińczyków naturze, nie jest jednakże zgodne z prawdą, aby byli oni mniej zdolni do przyjęcia chrześcijaństwa od wielu innych ludów, przeciwnie nawet śmiem twierdzić, że w ich czci dla przodków, tkwi coś, co zbliżone jest do chrześcijańskiej wiary w duchów obcowanie i coby się dało dla chrześcijaństwa wyzyskać, jak to zresztą już w XVII. wieku znakomicie zrozumieli misyonarze z Tow. Jezusowego. Chińczyk zresztą jest nawet pod względem religij-

nym pełen tolerancyi: od tysięcy lat istnieje tam obok siebie kilka religij i znoszą się doskonale. Ale pozwolę sobie zapytać każdego bezstronnego człowieka, coby się było stało w starożytności, gdyby tak w ślad za świętym Piotrem i Pawłem, głoszącymi światu wiarę w Chrystusa Odkupiciela, byli szli wszelkiego rodzaju brutalni wyzyskiwacze, giełdziarze, spekulanty, kupcy, przemysłowcy, i gdyby byli zaczęli swojemi praktykami kłam zadawać wszystkim Apostołów naukom? Wątpię, czy w takim wypadku religia chrześcijańska byłaby stała się panującą w rzymskiem państwie i czy byłaby dokonała odrodzenia dusz ludzkich. Czyż więc można dziwić się Chińczykom, że mają nieufność do nauk misyonarzy, skoro ci, którzy się chrześcijanami mienią, zupełnie inaczej postępują, aniżeli ich własna naucza religia. Już w XIII. wieku była chwila, że skutkiem wielkich, przez stolicę Apostolską powziętych planów, o mało cała Azya Środkowa wraz z Chinami i mongolską wówczas dynastyą, nie przeszły na łono katolickiego Kościoła. Już papież Innocenty IV-ty wysyłał w latach 1245 i 1247 poselstwa do Tatarów, aby ich skłonić do przyjęcia chrześcijaństwa i do wspólnego z Europą przeciw islamowi działania. Św. Ludwik, król francuski, odpowiada wysłańcom mongolskich chanów, że pójdzie wspólnie z nimi przeciw Saracenom, jeżeli przejdą na łono katolickiego Kościoła. Na soborze w Lyonie występuje chińsko-tatarskie poselstwo i ofiaruje Grzegorzowi X. sojusz przeciw Muzułmanom. W roku 1278 pisze Mikołaj III. list do Kublaj-chana, „ukochanego syna w Chrystusie“, w którym chwali go, że przyjął chrzest, a w roku 1285 zapowiada tenże sam Kublaj-chan papieżowi „w imieniu Chrystusa“, że gotów jest zaczepić Muzułmanów w Syryi i domaga się od Francuzów, aby ich zaczepili w Egipcie. Tymczasem cóż się dzieje; oto chrześcijańscy królowie, Alfons III. Aragoński i Jakób Sycylijski, podpisują 25 kwietnia 1290 tajny traktat z sułtanem Egiptu, w którym obowiązują się nie udzielać przeciw niemu pomocy, ani papieżowi, ani łacińskim narodom, ani Grekom, ani Tatarom. Pomimo tego jeszcze następca Kublaja, Timur-chan, a jako chiń-

ski cesarz nazwany Czing-Tsong, wysyłał poselstwa do Paryża, zachęcając do wspólnej przeciw Turkom wyprawy. Wszystko na darmo, wnuk św. Ludwika Filip Piękny, zamiast zmierzać do urzeczywistnienia najwspanialszych powszechno-dziejowych planów na Wschodzie, zamiast współdziałać z mongolską w Chinach dynastyą celem zgniecenia największego wroga chrześcijan tj. islamu, wolał wojować z papieżami i schizmę w zachodnim rozniecać Kościele.

Jak głęboko przecież na tym najdalszym Wschodzie była w owych czasach zakorzeniona cześć dla Papiestwa, jak wielkiem pragnienie chrześcijaństwa, dowodzi najlepiej fakt, że jeszcze w roku 1338 wysłał cesarz chiński poselstwo z 16 osób do papieża Benedykta XII., ale ci posłowie cóż zobaczyli? oto papieża zgnębionego i świeckim poddanego królom, i powrócili z niczem; aż wreszcie w roku 1369 dynastya tatarska obalona, ustąpiła miejsca dynastyi narodowej, która wypędziła misyonarzy i Chiny odtąd dla obcych zupełnie zamknęła. Mongołowie zaś i Tatarzy przyjęli później w części islam, w części religię Buddy. Jak w XIII. i XIV. wieku Azya i Chiny przepadły dla chrześcijaństwa i Kościoła a wielkie papieży plany spełzły na niczem, tylko dzięki wstrętnej polityce niby chrześcijańskich królów, tak to samo powtórzyło się znowu w wieku XVII., gdy OO. Jezuici byli na drodze do pozyskania Chin dla Kościoła. Nietylko miliony ludności, ale nawet cesarzowa i następca tronu byli już ochrzczeni, i znowu wszystko popsuła chciwość Portugalczyków. W naszych oczach powtarza się to samo po raz trzeci. Chrześcijańskie niby rządy, dla szerzenia chrześcijaństwa największe powodują przeszkody. Zaiste, patrząc na to wszystko, przychodzi się do przekonania, że zanim się Chińczyków nawróci i dla chrześcijańskiej pozyska cywilizacyi, należałoby pierwej odrodzić dusze europejskich chrześcijan, należałoby wpoić im przekonanie, że nie wystarczy wyznawać chrześcijaństwo w słowach, ale że powinnoby się przedewszystkiem chrześcijańską etykę a szczególnie te, tak proste przykazania: „Nie czyń drugiemu co tobie niemiłe“ i „kochaj bliźniego twojego“, zastosować do polityki

i do społeczno-ekonomicznej pracy, wówczas dopiero możnaby zacząć pogan ze skutkiem nawracać. Obecnie faktem jest, że dzięki wysoce niemoralnej polityce Europy wobec Chin a szczególnie skutkiem wdania się Niemiec, sprawa chińska bardzo się zawikłała. Czy się to jeszcze na Europie srodze nie zemści, to wielkie pytanie.

Prof. dr. M. Straszewski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z nowych powieści.

Wacław Sieroszewski: „Latorośle, Pustelnia w górach, Czukcze". — Tenże: „Brzask, Puszcza białowieska, Grecka szczelina, Dno nędzy". — Stanisław Przybyszewski: „Androgyne".

W nowej naszej powieści na chwilę zapanowała cisza; trzej najwybitniejsi jej przedstawiciele, Żeromski, Reymont, Sieroszewski, albo milczą, albo dają tylko rzeczy drobne. Mamy przed sobą dwa tomy drobnych obrazków Sieroszewskiego [1].

Dwa te tomy są ważne z tego względu, że w twórczości autora przedstawiają stan przejściowy. Dotychczas przebywał on w egzotycznej dla nas sferze, opisywał ziemie, życie i zwyczaje Tunguzów, Czukczów, Jakutów, kraje, gdzie spędzał lata wygnania — bliższych nam przedmiotów nie dotykał. Wyrażano niejednokrotnie ciekawość, jakby Sieroszewski życie nasze odtworzył? W dwu tych tomach mamy już jakąś na to odpowiedź.

Uwagę przedewszystkiem zwraca na siebie obrazek pod tytułem: „Brzask", w którym autor przedstawia jeden moment z własnego życia, moment bardzo ważny, bo chwilę powrotu z wygnania do rodzinnego kraju.

---

[1] Wacław Sieroszewski: „Latorośle, Pustelnia w górach, Czukcze". Warszawa 1900.

Tenże: „Brzask, Puszcza białowieska, Grecka szczelina, Dno nędzy". Warszawa 1900.

Nie tyle opis, jak raczej refleksya, a refleksya nie sentymentalnego marzyciela, ani też filozofa, ale człowieka czynu. Jest w tej refleksyi i uczucie, jest i marzenie, jest i jakiś filozoficzny pogląd na życie, jest i opisowość, ale to wszystko podporządkowane żądzy czynu, czerstwej i pewnej siebie. Wygnany na długie lata ze swego środowiska, rzucony w odległe puszcze, w świat obcy i dziki, skazany tem samem na życie pustelnicze, jak z jednej strony miał czas pogłębić dno duszy, wyrzucić z serca wszelką nienawiść i zastąpić ją wielką wyrozumiałością dla ludzkiej biedy, tak z drugiej rwał się coraz silniej do jakiegoś działania. Ostatecznie, działać można w każdym zakątku świata — i teoretycznie, ten ogólniejszy punkt patrzenia na życie zdobył sobie wygnaniec. Wyobraźnia wyrobiona ciemnością biegunowych zim z łatwością przedstawiała mu kulę ziemską, jako jedną całość — „srebrzystą u biegunów, pozłocisto-zieloną wpół ciała, oblaną błękitnemi morzami, pocentkowaną żółtemi plamami pustyń, porysowaną szaremi żyłami górskich łańcuchów, owiniętą płachtami dni, zórz i nocy płynących za sobą niezmiennie". Ale, choć wśród obszarów tej ziemi pełno było zakątków prześlicznych, krain rajskich, czuł on jednak dobrze, że dla pełni jego uczuć, dla jego hymnu życia, istniał jeden tylko punkt na całym tym globie. I do tego ukochanego miejsca dąży z powrotem obecnie. Jeszcze dręczy go przez chwilę wątpliwość, czy do tego punktu dotrze, czy nie staną nowe, niezwalczone przeszkody — uczucie zwykłe, gdy po wielu zawodach zbliża się do człowieka wielkie szczęście — ale wątpliwość ta rozbija się, jak o mur, o dziwną, na niczem nie opartą pewność. „Osiągniesz... I spełni się wszystko, co kochasz i ziści się więcej, niż śmiesz pomyśleć... tylko żyj, dąż, pragnij!" A kiedy przebył linię puszcz, poza którą już inne rządzą prawa, objęła mu duszę rzewna, spokojna radość. To, na co czekał lata, spełniło się. To b r z a s k, po którym nastąpią dni złote! „Dusza leciała ku tym dniom skupiona w jeden ostry, przenikliwy grot, z poczuciem, że góry przebije, tamy zburzy, zniszczy wszelkie przeszkody... Czułem ogromną wdzięczność do świata za wszystko, co mi dał, za to poczucie siły i ten wicher pragnień. Tak: wszystko kocham i wszystkim przebaczam, lecz strzeżcie się, gdyż wiem, co mi się należy i wezmę".

To ogólny program przyszłego działania, a jakiż bliższy, bardziej szczegółowy? Wśród nocy cichej, ciemnej i mętnej jedzie autor parowcem po rzece. „Tylko koła bez przerwy, uparcie tłukły o wodę i sternik stał w swej kryształowej budce, w seledynowych potokach elektrycznego światła, z rękami na kole rudlowem, nieruchomy, zapa-

trzony w dal, jak posąg uwagi. Lecz i on nie wiedział, gdzie jest i co ma przed sobą, i płynął od znaku do znaku".

I kompozycyę i wykonanie szczegółów i całą duszę tego obrazka określilibyśmy, jako prostą, powietrzną linię ptaka, wracającego skwapliwie do rodzinnego gniazda. Cała podróż z wygnania do kraju szkicowana tylko zarysami zjawisk, jakby z perspektywy powietrznej widziana. Raz jedzie wracający wygnaniec wozem po wyschłej jesiennej drodze, to przepływa na łodziach i promach rzeki, to znowu w kolejowym wagonie, wreszcie na parowcu. Po bokach mkną nikłe, chyże obrazy — raz przewinie się białe miasto, wdzięcznie schowane w zielonych ogrodach, potem wielkie, brunatne wsi, za niemi ciemne, dzikie, tajgą porosłe urmany, nagie, skaliste szczyty i przepaści o fioletowych, głębokich dnach, to znowu stepy i puszcze nieskończenie smętne i milczące. Tak samo przewijający się na parowcu ludzie — i najrozmaitsze typy dalekiego Wschodu o rozdymających się nozdrzach ogromnych, płaskich nosów, o czarnych jak noc spojrzeniach i blade postacie Aryjczyków o stalowym wzroku i spokojnych, wstrzemięźliwych ruchach, i modlitwa Tatarów i orgie po kątach statku, — wszystko to narzucone krótko, w przelocie. Są to tylko wrażenia ślizgające się po wierzchu świadomości, myśl cała ku ostatecznemu celowi podróży skierowana. Tylko czasem jaki przedmiot dla wygnańca niezwykły podziała jak iskra elektryczna — po dziewiczych puszczach zjawiający się plant kolei żelaznej, lub lipa przydrożna, drzewo, w którego cieniu upłynęło jego dzieciństwo. Wtedy zrywa nieznacznie liść lipy, przygląda mu się długo ze wzruszeniem i myśli ze smutkiem, że tyle lat, najlepszych lat, był oderwany od drzewa jak ten liść.

Utwory takie programowe, na szerokiem tle całego życia osnute, czytało się nieraz u poetów. Ale wszystkie szczegóły takich poematów czerpane są zazwyczaj z wyobraźni. Ten ma tę wyższość, że przy całej lotności i ogólniejszym punkcie widzenia rzeczy, tamtym utworom właściwym, opiera się we wszystkich szczegółach na rzeczywistości, a rzeczywistości tak różnolitej i barwnej, że trudno, by i najśmielsza wyobraźnia coś bardziej barwnego w tym rodzaju stworzyła. A przytem, nie zawsze w tamtych utworach widziało się taką harmonię myśli, wyobraźni i uczucia i tyle krzepkiej żądzy czynu.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tym drobnym utworem, bo był wart tego. Tem przykrzej zaznaczyć, że w całych dwu tomach jeszcze tylko jeden obrazek zasługuje na bliższą uwagę. Utwory w tych dwu tomach zawarte dzielą się na dwie klasy; jedne są dalszym ciągiem

dotychczasowej twórczości autora, o egzotycznym charakterze, drugie opisują nasze życie. I jedne i drugie są nadzwyczajnie słabe, znać w nich niedbałość, opuszczenie skrzydeł. W egzotycznych opowieściach brak tej realistycznej siły i tej wyższej artystycznej miary, jaka poprzednie dzieła autora cechowała — są to sobie bajeczki („Dno nędzy", „Czukcze"), jakie niańki opowiadają wieczorami dzieciom, gdzie okropność siedzi na okropności, a na tej okropności jeszcze jedna okropność. Zwłaszcza „Dno nędzy" przekracza pod tym względem wszelką miarę. To zaś, coby w tych utworach mogło egzotyzmem zainteresować, jest towarem dość lichego gatunku. Taki sam egzotyzm można zobaczyć na zewnętrznych, malowanych ścianach małomiejskich panoram, gdzie od razu wszystkie krwiożercze zwierzęta, lwy, tygrysy, pantery, wyglądają krwawemi ślepiami z za krzaków, a przed krzakami skłębiona potwornie gromada dzikich rozpłatuje sobie pałkami łby. Druga klasa utworów, prócz niedbałości, jest jeszcze z tego względu słabą, że autor po raz pierwszy w ten świat wchodzi. Na tym terenie jest mu jeszcze nieswojsko, więc stara go się dostosować do dotyczasowego swego terenu. Albo przedstawia jakąś pustelnię w górach, a więc coś pokrewnego z odludnemi puszczami, albo opowiada jakąś historyę z życia dzieci, a więc maluje dusze jeszcze nierozwinięte i nie przedstawiające odmiennego etnicznego typu. W dodatku każe tym dzieciom błąkać się po strychach, po jakiejś rzecznej wysepce, a więc znowu miejsca odludne. Ostatecznie jest ta historyjka o dzieciach nawet miłą opowieścią, ale nie przekracza przeciętnego poziomu.

Jest jeszcze jeden obrazek bardziej wartościowy, „Puszcza białowieska". Ten sam temat opisał Sienkiewicz, ciekawem zatem będzie zestawienie dwu tych pisarzy. Co najpierw uderza w „Puszczy białowieskiej" Sienkiewicza i Sieroszewskiego, to ta sama kompozycya utworu. Obydwaj zaczynają od przyjazdu swego do puszczy, następnie kilka wycieczek w głąb, z zaznaczeniem odniesionych wrażeń i powrót. Może być, że sam ogrom puszczy tak zawłada umysłem, że nie pozwala twórczości poza siebie wybiedz i tylko w granicach kilkudniowej rzeczywistości zamknąć się jej każe. Co się zaś rozmaitości i wyrazistości odniesionych wrażeń tyczy, to palmę zwycięską odnosi Sieroszewski. Sienkiewicz widocznie nie był w najlepszem, artystycznem usposobieniu, notował tylko pierwsze podpadające pod zmysły wrażenia, bez współudziału, uczucia i wyobraźni twórczej. Zestawmy, naprzykład, jakich doznali obydwaj wrażeń wobec zwałów leśnych — a najpierw Sienkie-

wicz: „Oto na ogromnych przestrzeniach, wszędzie niemal leżą zwały drzew. Stosy te, spróchniałe i gnijące, piętrzą się czasem na kilkanaście stóp wysoko. Nad niemi jeszcze sterczą, jak domy, olbrzymie wykroty". Opis sztywny, bez uczucia, bez jakiejkolwiek własnej refleksyi. A Sieroszewski? „Przykryte całunem grzybów i mchów drzewo wygląda jak ogromny, smętny sarkofag. Gdy się trafi na szereg takich sarkofagów, leżących u stóp wyniośle wybujałych żywych osobników, dziwne uczucie ogarnia człowieka: nie chce się mówić, myśleć, a siada się i godzinami słucha uważnie, jak szumią w górze gałązki, jak dzięcioł kuje w oddali, jak przepływa promień słońca niby złota wskazówka zegaru po rudawem podłożu lasu. Czasem przeleci cicho czarny motyl, szary ptak gwizdnie, lub ciekawa wiewiórka wyjrzy z poblizkiej rosochy".

To, co może dać pojęcie o istotnych znamionach tej puszczy, zaznacza Sienkiewicz sucho, jakby był tylko fachowym geografem. Zaznacza jako takie istotne znamiona: najpierw mieszaninę różnych gatunków drzew, a następnie wysokość drzew, strzelających w górę wyniosłym, pozbawionym gałęzi pniem, który dopiero u wierzchołka rozkłada się w gałęziastą koronę. Porównania literackie, jakich w tem miejscu używa, są dość zwykłe, jak naprzykład, porównanie do szeregu masztów, nakrytych zieloną kopułą, lub porównanie olbrzymich drzew do ojców, pod któremi młoda gęstwina się zieleni. Sieroszewski w odczuciu artystycznem istoty tej puszczy stoi nieskończenie wyżej. Pomogła mu do tego bardzo znajomość tajg północnej Syberyi, zabajkalskich urmanów i puszcz Kaukazu, z któremi puszczę białowieską porównuje, ale główna przyczyna leży w tej zdolności, która jedną z głównych wartości nowej powieści stanowi, w subtelnem odczuwaniu odcieni. „W tajdze syberyjskiej — pisze między innemi określeniami — prawie niema podszycia, niema wesołych, szmaragdowych łąk, jest za to mnogość jezior, kępiastych bagien i moczarów, gdzie drzewa chore, słabo uliścione, sterczą krzywo w rozmaitym kierunku, jak sterczy zarost na pomarszczonem obliczu azyaty... Tajga martwa... Cały jej urok w jej smętności i jej bezmiarze". Urmany porównuje do olbrzymiej, leśnej piwnicy — wilgotno, cicho, czarno w nich, jak w katakumbach; promień słońca, gdy się przekradnie szczytowym otworem, świeci smutno, mdło, jak przez więzienne okienko. „Puszcza kaukazka to znowu świat kontrastów, to śliczny gotyk, pełny mrocznych cieniów, smug światła i stłumionych barw". „Puszcza białowieska uderza nadewszystko przedziwną harmonią rozmiarów i światła. Drzewa bardzo kształtne i wyniosłe nie są jednak

ani tyle wybujałe, ani rosną tak zwarto, aby zatracały swą fizyognomię... A że skupiają się w duże, zwarte połacie jednego gatunku, więc spojrzenie wciąż odnajduje nowe kombinacye tonów, zarysów i perspektywy. Jest to niby cudowny poemat, bardzo spokojny, bardzo przejrzysty i bardzo swojski. Każde drzewo to niby wyraz, a wszystkie je znamy. Ale wydane przez ziemię żyzną, wolną, zachowały właściwy im dobór, porządek i własne prawa, tworzą niezwykle urocze, niespodzianie piękne gaje, sploty... akordy głębokie i tajemnicze".

Jak z dwu tych utworów: „Puszczy białowieskiej" i „Brzasku" widzimy, dobre imię Sieroszewskiego, jako wybitnego powieściopisarza, jest zupełnie zasłużone. Oby tylko nie chciał stanąć w połowie drogi.

Długie dni i miesiące przeleżał fantastyczny utwór p. Przybyszewskiego „Androgyne" [1] na redakcyjnej półce. Minęła słotna jesień, mijała zima, a on leżał nieporuszony, nieskalany dotknięciem motłochu, w nieodłącznem sąsiedztwie jakiejś agronomicznej rozprawy i jakiegoś poematu, niepamiętam którego autora, w każdym razie nieodrodnego potomka świętej pamięci Sotera Rozbickiego. Leżał cichy, milczący, jak kamień grobowy, powlekany z dnia na dzień coraz pokaźniejszą warstwą pyłu, a po tej zapylonej płaszczyźnie, jak rzeki, przebiegać zaczęły nitki pajęcze. *Habent sua fata libelli.*

Co się w tej książce mieścić mogło, wiedziało się mniej więcej z miesięcznika, gdzie się częściami ukazywała, a choćby się i tej znajomości nie miało, to z góry można wiedzieć, że każdy nowy utwór p. Przybyszewskiego będzie prawie dosłownem powtórzeniem poprzednich — rozwodnieniem, jednej, wciąż tej samej, bardzo płytkiej, na wskróś zrobaczonej idei, dla wyrażenia której i dwu słów za wiele, na kilkaset napuszonych zdań. Wobec takiej pisarskiej metody mógłby nawet p. Przybyszewski zupełnie spokojnie pióro na bok odłożyć. Co pół roku wyrwać tylko z dotychczas wydanych fantazyj po kilkanaście kartek, pomieszać je na los szczęścia, i nowy utwór gotowy.

I czyż nie słusznie, że tak długo, tak wygodnie, w tak niezamąconej ciszy, nowy ten utwór spoczywał? Idzie teraz wiosna, przyjdzie po niej lato, niech wszystkie cztery pory roku nad jego ciszą przepłyną.

Sprawiedliwość jednak przyznać każe, że w ostatnich czasach, długo już po ukazaniu się niniejszego utworu, nastąpił pewien korzy-

[1] Stanisław Przybyszewski: „Androgyne". Kraków. 1900.

stny, choć małoznaczny jeszcze zwrot w twórczości autora. Mamy tu na myśli drukującą się obecnie, w jednym z miesięczników, powieść, skądinąd wcale nie do polecenia, „Synowie ziemi“. Najpierw zrozumiał po części autor tę prostą prawdę, że chcąc artystycznie odtwarzać „nielogiczne przeskoki duszy“ trzeba być samemu w tem odtwarzaniu logicznym. A potem już nie nazywa występku świętością, jak dawniej robił, ale piętnuje go bez litości do ostatka, jako zbrodnię. Robi to jednak tak, że wcale mu to nie zapiera wrót do powtórzenia dawnej praktyki — może to być sobie zwykłe nerwowe znużenie i przygnębienie. Ostatecznie, do etycznie słusznego stanowiska autorowi jeszcze bardzo daleko, nie doszedł jeszcze nawet do tego punktu, na jakim stali dekadenci Baudelaire i Verlaine, którzy nietylko mieli chwile, gdzie potępiali występek, ale mieli też i chwile, w których odczuwali szlachetność. A tak czekamy spełnienia zrobionej nam przez autora obietnicy, że kiedyś w swej twórczości i niebo obejmie.

Ks. J. Pawelski.

I. **Symfonia jesienna.** *D. mol.* Lwów 1901.
II. **Thème Varié.** *Tenże.* Lwów 1901.

Dwie książeczki w niepokaźnych okładkach, jedna z tytułem trochę banalnym, druga — z trochę dziwacznym, jedna wierszem, druga poetyczną prozą. Zjawisk podobnych tyle dziś jest, że przechodzi się nad niemi chętnie do porządku dziennego. Żyjemy w epoce reakcyi romantyzmu i to romantyzmu z najbardziej rozwichrzonych i niejasnych jego okresów, a poeci nowej szkoły tak pracowicie każą nam szukać śladów swojej myśli, z takiem zamiłowaniem owijają się w mgłę i ciemność, że wobec każdego nowego utworu Młodej Polski, czy też młodej poezyi, pierwszem wrażeniem jest niedowierzanie, niepokój, a powiedzmy szczerze, i trochę mimowolnej niechęci.

To darmo: nam ludziom, a zwłaszcza krytykom starszego pokolenia, trudno oswoić się z temi nowemi strunami. Za wiele w nich dla nas chaosu i rozdźwięku, indywidualizm nadto gniotący, kąt widzenia nadto odmienny od tego, do jakiegośmy przywykli. A jednak tych nowych prądów nie możemy pomijać ani lekceważyć, choćby dlatego, że w tej powodzi dziwacznej, roznerwowanej, z niczem w świecie nie liczącej się literatury, wyłącznie podmiotowych nastrojów i wrażeń chwili, trafiają się rzeczy niewątpliwie piękne. Z tem zaś liczyć się trzeba, choć ktoś się nie zgadza z kierunkiem i formą: piękno bowiem zostaje.

Do takich rzeczy, z któremi można się nie zgadzać, ale trzeba przy nich zatrzymać się, bo są zawsze niepowszednie, a nieraz niezwykle piękne, należą dwa tomiki poezyj D. mola.

Pierwszy zaczyna się wierszem owianym tchnieniem Słowackiego:

Jest gdzieś w przestrzeni wielki skarbiec ducha,
Kędy wszechwiedna, tajemnicza władza
Umysłów ludzkich spuściznę zgromadza,
Najlotniejszego świadoma okrucha.

Żadna tam wtargnąć nie śmie zawierucha,
Ni czas błękitnych tknąć się waży pował.
Gdzie Bóg klejnoty koronne przechował
I zapomnianych, wielkich haseł słucha...

Płoną tam słowa, jak rubiny ciemne,
Krwią opłynięte, świetne — choć daremne,
Łzy twórczych pragnień skrzepłe w perły czarne.

I wszystkie myśli ludzkie, dobre, górne,
W skarbiec ów Boży zebrane jak w urnę,
Żyją — i nigdy nie pójdą na marne.

Jeżeli w wierszu tym drga rzadko spotykana dziś nuta czci i przywiązania dla przeszłości i dla skarbów jej ducha, w następnym zwraca się poeta ku przyszłym wiekom, ku nowym światom i czasom, zwraca się ku nim z oczekiwaniem i tęsknotą: „Wiem“ — woła —

...że jakieś wielkie czasy idą zdala —
I że nie próżno duchem czekam na nie.

I dodaje z uniesieniem:

Ku czasom owym w przyszłość rwę się — duszą!

Reszta poezyj odzwierciedla nastroje i wrażenia duszy poety, przedewszystkiem na tle wrażeń przyrody. Niektóre mają niezwykły urok.

Oto urywek z „Preludu“:

Nie odlataj! Trwaj mi dłużej,
O chwilo!
Nim się liście te na róży
Odchylą...
Nim się dusza moja zbudzi,
Nim wskrześnie,
Niech nie wraca między ludzi
Zawcześnie!...

Gdzieindziej odzywa się nuta znanej Heinowskiej piosenki, *(Mein Herz ist gleich dem Meere...)* ale parafraza bodaj czy nie piękniejsza od oryginału,

....kiedy w głębię ducha mego patrzę
Jak przez szmaragd fal morskich przejrzysty zielony,
Widzę jeszcze skarb dawno na dnie zatopiony,
Klejnoty piersi mojej ukryte, najrzadsze...

w innem miejscu znów w nikłym a tęczowemi odcieniami mieniącym się obrazie przesuwają się lekko nakreślone fantastyczne sylwetki dawnych mar egipskiej królewnej śpiącej pod świętych skarabeów strażą, i zakonnicy przesuwającej zmartwiałą dłonią średniowieczne paciorki, albo też zalatuje zapach rozkwitłej czeremchy i sosen starego boru. Rzadziej zwraca się poeta ku reminiscencyom własnej przeszłości i raz tylko jeden uderza o strunę skargi i żalu u innych poruszaną tak często. Za to kilkakrotnie myśl jego biegnie śladem duszy bratniej, której własna jego dusza zawdzięcza, że ją „ta ziemia czarem swym nie trzyma“ i woła, że pójdzie za nią:

Cieniem wiernym upadnę u twych stóp i w pyle,
Te myśli moje w kwietne rozrzucę ci grzędy,
Na powietrzu rozproszę jak barwne motyle,
Aż je dojrzysz — i ręce ku nim ściągniesz skore
Myśląc, że kwiaty kwitną —
a to pieśń ma gore!...

Cała ta pierwsza połowa poezyi, składającej „Symfonię jesienną“, ma odrębny charakter od grupy następnej utworów, łączących się ściśle kierunkiem i nastrojem z drugą książeczką *Thème Varié*. Tu już wchodzimy w las modernistycznego symbolizmu, ogarnia nas w całej pełni ulubiona dziś wśród najmłodszych poezya impresyonistyczna.

Co powiedzieć o utworach, w których zdanie przesuwa się za zdaniem i wiersz za wierszem, podobne do luźnych, wonnych i barwnych kwiatów, rzucanych każden z osobna, bez wiążącej je nici, lub do akordów dźwięcznych, miękkich, subtelnych nieraz, ale nie tworzących razem jednolitej harmonii, nie pozostawiających też po sobie jednolitego wrażenia? Na to, aby to ocenić, a nawet i odczuć, trzebaby w tej nowoczesnej atmosferze poetycznych nastrojów wyrosnąć i przejąć się niemi: inaczej pozostaną one zawsze czemś obcem, dziwnem i niezrozumiałem. Jeżeli jednak zapomnimy o wszystkich przywyknieniach i zasadach literackich, jeżeli powiemy sobie, że:

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen

i bodaj na chwilę pogodzimy się z tą myślą, że od poezyi nowoczesnej nie należy wymagać więcej, jak od przelotnych wrażeń zapachu kwiatów, uroku samej tylko pięknej barwy, lub jakiegoś *Thème Varié* w muzyce — wówczas będziemy mogli przyznać i „Nowym Strunom“ i „Symfonii jesiennej“, wreszcie i *Thème Varié* jakąś artystyczną wartość.

Jeżeli co w tem jest bowiem, to czar formy zewnętrznej, która pieści ucho, porywa i łudzi myśli swemi blaskami i płynie wciąż lotna, promienna, robiąca wrażenie jakiejś *fontaine loumineuse.*

O falo ogromna, powrotna falo życia

pisze autor jako motto na czele „Symfonii“. I prawda, że fala powraca... któżby się przed trzema dziesiątkami lat spodziewał w epoce samowładztwa naturalizmu, że przyjdzie znów chwila, w której kult zewnętrznej formy owładnie w tym stopniu poezyą!

Oto próbka jak się ta powracająca fala przedstawia u naszego poety:

Tajemnych skarg wymowa
W tumany zwiędłych liści
Płomienne rzuca słowa —
I barwi je czerwono
I palą się i płoną,
Próśb wrzących antyfoną.
Sen jakiś zły się iści!...
Aż gdzieś przez chmur kotarę
Ostatnie błyski ślące,
We mgły zapada szare
Jesienne, krwawe słońce.
Wtedy w rozgłosach ech
Odbity wicher mdleje
I jak ów brytan gdy mu tchu nie starczy
Pada na mech
I w ciszy
Warczy
I dyszy...
A w krąg, gromadą
Na rdzawych mchach,
Cienie się kładą —
I czuwa — Strach...
I znowu milkną knieje
I krzepnie puszcza głucha
A w ciszy bór tężeje,
Prostuje się — i słucha...

Że w tem jest efekt, że to wywołuje nastrój, temu nikt nie zaprzeczy. Zdać sobie z tego jednak jasno sprawę, pochwycić myśl i streścić ją — to już trudniej.

Czy treści tej niema? Nie chcemy tego twierdzić... Być może tylko nam nie udaje się jej pochwycić.

Ten sam charakter, co „Nowe Struny“ i „Symfonia“, ma *Thème Varié,* tomik poezyi, a raczej poetycznych fantazyj, pisanych prozą, ale przyznać trzeba, prozą niezwykle piękną. Od pierwszej karty obejmuje nas egzotyczna atmosfera najnowszego kierunku literatury i pozostajemy już do końca pod jej wpływem upajającym, dziwnym, przewracającym do góry nogami wszystkie dotychczasowe pojęcia o warunkach, budowie, treści literackiego utworu. Ustęp po ustępie przesuwa się przed naszemi oczyma, barwny ale półtonami barw, przymglony, ale lśniący wciąż tęczowemi pryzmatami, mający coś z matowego blasku perły i ze słonecznych refleksów opalu. Melodya frazesów, idących jedne za drugiemi, jak złociste ziarna kosztownego różańca, upaja i rozmarza; myśl pieszczona słodką muzyką słów daje kołysać się fali, jak łódź bez steru i wiosła, unoszona po bezbrzeżnych przestrzeniach oceanu. A kiedy zmysł krytyczny, jak stary zgorzkniały natręt próbuje dopomnieć się o swoje prawa i „pytać“ co to znaczy — chciałoby się usunąć go i zamknąć ucho na niemiłe pytanie, które wydaje się rozdźwiękiem. Czyż może być inaczej wobec takich ustępów:

Zbliżasz się ku mnie śnie mój, wołany tęsknotą bezmierną, przed tysiącami tysięcy lat, z parnych, wilgotnych dżungli rajskiego ogrodu wylęgłą!...

Zasłuchaj się jeno w pieśń moją...

Wytęż serce i poznaj, że dla ciebie oto roztopionem złotem dźwięku, na powietrzu się rozlewa w przeczyste formy krzepnąc...

Przejdziesz, przeminiesz jak cień, jeno słowo moje żywe — zostanie po tobie!

Z oddali, z przeszłości, pod śnieżną biel rozkwitłego sadu, w smudze blasku idziesz ku mnie...

Czuję zapach fiołków i wiem, żeś już blizko!

O śnie, słoneczny śnie mego życia...

Albo:

Szukam słów srebrnych i jasnych, jak pył blasku od gwiazd bożych mżący...

Szukam słów nieuchwytnych jak woń — i jak błyskawice ciche, w ciemności gasnących...

. . . . . .

O dźwięcząca mgławico myśli, które jak gwiazdy spadające, odrywają się od stropu duszy mojej i gasną — oświecać jej migotem swoim bladym — nie śmiejąc!

O błędny roju słów, które przytułku nie znajdą nigdy!

O srebrny roju słów!

„Srebrny rój słów“ — to istotnie najlepsze określenie całej tej poezyi. Wśród obfitej, nadto obfitej produkcyi literackiej nowego kierunku, wyróżnia się ona tem, że jest wyrazem istotnego indywidualnego nastroju, szczerych wrażeń, i jeśli nie uczuć, to drgnień serca poety. Niema w niej pozy, niema też i zmysłowego haszyszu, którego w innych utworach podobnych tak wiele; prawdziwy talent nie dający się, co prawda, ująć w żadne karby, nadaje nawet drugiej połowie twórczości D-mola artystyczną wartość. Czy nie byłaby ona większą, gdyby „rój srebrnych słów“ złączył się jak w pierwszej połowie „Symfonii“ w jednolitą i zrozumiałą harmonię?

Jan Łada.

Język Wacława Potockiego. Przyczynek do historyi języka polskiego. *Aleksander Brückner.* (Osobne odbicie z XXXI. tomu Rozpraw Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności). Kraków. 1900.

Najogólniejszy sąd o tej pracy byłby: nie jedna z najlepszych, wszakże jedna z najważniejszych rzeczy, napisanych przez profesora Brücknera.

Tytuł zapowiada „przyczynek do historyi języka polskiego“, studyum o języku Wacława Potockiego. Oczekujemy też studyum językowego, tego się spodziewamy w toku rozprawy. Znajdujemy wszakże co innego.

Szesnaście pierwszych stron zajmują uwagi o leksykografii polskiej, a przedewszystkiem o słowniku Lindego; na następnych pięciu autor tłumaczy cel i zadanie swego dzieła; na czterech dalszych znajdujemy ocenę ogólną języka poety; wreszcie na stu dwudziestu słownik, do którego dostarczyły materyału dzieła poety drukowane i zostające w rękopisie, z ogromną przewagą tych ostatnich. Jak z tego przeglądu treści widzimy, praca powinnaby mieć napis: Słownik do dzieł Wacława Potockiego, z przydaniem uwag o Słowniku Lindego. Nie jest to studyum o języku Potockiego wogóle, nie obejmuje wszystkich jego obszarów, form, składni, stylu wreszcie (bo i to należy do badań językowych), zajmuje się tylko jego zasobem leksykalnym. Daje tedy rozprawa mniej, aniżeli tytuł zapowiada.

Równocześnie wszakże daje więcej. Albowiem po pierwsze, oprócz dzieł Wacława Potockiego autor korzystał także z innych pism w. XVII., częścią druków, częścią niebadanych dotąd rękopisów; po wtóre, oprócz i obok zjawisk językowych traktuje także zjawiska z innych dziedzin życia umysłowego, jak przysłowia, opowieści, zagadki ludowe i szlacheckie i t. p. Jest więc rozprawa ta zakończeniem i uzupełnieniem poprzednich, poświęconych Potockiemu, wydanych w XXVII. i XXIX. tomie Rozpraw Wydziału filologicznego [1].

Co w tamtych dwóch rozprawach nie znalazło miejsca, z jakiegokolwiek powodu, czy przez brak łączności ideowej, czy przez opuszczenie — to dostało się tutaj i tu znalazło schronienie razem z wielu innemi szczegółami. To zestawienie razem rzeczy, należących do różnych zakresów, i skupienie ich pod jednym tytułem obniża do pewnego stopnia wartość pracy. Robi to bowiem wrażenie, jakoby się przy głównej sprawie chciało przemycić wiele drobniejszych, których szkoda, aby leżały marnie w notatkach rękopiśmiennych, a niewiadomo w jakiby je sposób wydać można.

Do tego błędu głównego przybywa drugi, stanowiący już może właściwość pisarską prof. Brücknera: pewna chaotyczność w układzie materyału, dorywczość i gorączkowość, brak spokoju w obmyśleniu i ułożeniu pracy, stąd zaś wynika dość często niejasność. Wiele szczegółów ważnych autor potrąca ale nie tłumaczy, budzi tylko ciekawość, którą właśnie, jeśli kto, to on powinienby zaspokoić. Pochodzi to najwidoczniej z pośpiechu w pisaniu. Niejednokrotnie odbiera się wrażenie takie, jak gdyby autor podawał czytelnikowi surowy materyał, notatki swoje i wyciągi, dosyć luźnie z sobą połączone. Czytelnik wielkiemi względami u niego nie cieszy się; większa część rozpraw berlińskiego profesora jest do czytania ciężka i mozolna, nawet dla „fachowca".

Ten drugi jednakże zarzut robimy z zastrzeżeniem. Kto śledzi działalność naukową prof. Brücknera, kto w wydawnictwach, poświęconych filologii, kto w naszych kwartalnikach i miesięcznikach nieustannie spotyka rozprawy Brücknera, a każda z nich ważna, każda cenna, każda przynosi coś nowego, czy to nowy i nieznany dotąd materyał, czy nowe poglądy, kto czyta jego recenzye i sprawozdania,

---

[1] „Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim". Czytelnicy *Przeglądu Powszechnego* mają w pamięci wyborną pracę prof. Hecka, poświęconą omówieniu tych właśnie rozpraw.

nacechowane niezwykłą erudycyą, ten wobec takiej pracowitości i wobec takich jej wyników chętnie ów błąd kompozycyjny wybaczy.

Otóż studyum o języku Potockiego ma, obok wad, wszystkie zalety prac Brücknera. Główny zrąb rozprawy, słownik, przynosi materyał albo dotąd nieznany, albo tłumaczony dotąd błędnie. Już samo zajęcie się inną epoką języka polskiego, aniżeli wiekami średniemi, zasługuje w całej pełni na uznanie. Językiem staropolskim do XVI. w. zajmowano się już dosyć, chociaż oczywiście nigdy za wiele, gdy tymczasem inne epoki były i są prawie zupełnie zaniedbane. Do historyi języka polskiego od wieku XVI. mamy prac niezwykle mało, tem cenniejszą jest każda, która ten brak wypełnia. Wybór tematu jest tem więcej godny pochwały, że język Potockiego może być uważany za typ języka ówczesnej szlachty. U jednych autorów ówczesnych jest on zanadto wypolerowany, dworski, u innych zanadto przepełniony prowincyonalizmami. Potocki jest w pośrodku. Nie był dworakiem, ani jurystą, siedział całe życie na swej dziedzinie, ale ta dziedzina była w Małopolsce, stosunkowo niedaleko Krakowa, a ten ziemianin i gospodarz był człowiekiem wszechstronnie wykształconym. Stąd język jego, potrącający niejednokrotnie o zwroty i wyrażenia ludowe, jest jednakże w całej pełni czysty i szlachetny, jest na prawdę językiem literackim, poeta zaś włada nim doskonale, ma ogromne poczucie językowe. Otóż dobrze się stało, że się zajęto właśnie językiem Potockiego; nasz słownik historyczny pomnożył się skutkiem tego o znaczną liczbę nowych, dotąd nieznanych słów lub ich znaczeń, powiększył się nowemi i oryginalnemi zwrotami. Zajęcie się tym pisarzem wyjaśniło pochodzenie wielu wyrazów obcych, dotąd błędnie tłumaczonych. Poznajemy z tej rozprawy mniej więcej stan języka polskiego literackiego w drugiej połowie wieku XVII.

Niestety nie poznajemy zupełnie dokładnie, nie ogarniamy całości, choćby względnej, i to jest może największy brak omawianej przez nas rozprawy prof. Brücknera. Tych kilka stron ogólnej oceny języka Potockiego jest stanowczo za mało. Wszak sam zasób słów nie stanowi języka. Radzibyśmy też widzieć, w jaki sposób te słowa się z sobą łączą, jakim przy tem ulegają zmianom. Te rzeczy autor zbywa pobieżnie, ze szkodą dla nauki i dla siebie samego.

Znakomite są uwagi o Słowniku Lindego, pierwsze w naszem piśmiennictwie naukowem. Prof. Brückner ocenia ogromną wartość tego dzieła; przez porównanie ze słownikami innych języków dochodzi do wniosku, że dzieło to w czasie swego pojawienia się było najznako-

mitszym słownikiem w całej Europie i wyprzedziło leksykografię europejską o całe dziesięciolecia. „Dzieło Lindego, gdy się pojawiało, nie miało sobie równego, nietylko w nauce słowiańskiej, lecz i w europejskiej, gdyż żaden inny żyjący język (prócz klasycznych) nie mógł się dziełem o podobnych rozmiarach i podobnem wykonaniu pochlubić. Jungmanny, Grimmy i t. d., należą już do czasów znacznie późniejszych". Wykazawszy zaś wielką wartość Słownika, ukazuje na kilkunastu przykładach jego błędy, powstałe czy to przez mylne zrozumienie tekstu, czy przez przeoczenie, czy wreszcie przez błędy druku; niejedną z błędnych pozycyj Słownika prostuje, prostując tym sposobem równocześnie błędy tych dzieł, które się na Lindem opierają, np. Karłowicza Słownik wyrazów obcego pochodzenia. Te korrektury prof. Brücknera tak są bystre, świadczą o takiej znajomości rzeczy u piszącego, że powstaje w nas pragnienie, aby autor sprawy tej nie zaniedbał, ale ciągnął ją dalej i dał nam dokładniejsze skontrolowanie i poprawienie wielkiego Słownika.

Oprócz wiadomości językowych, rozprawa, jak już mówiliśmy, zawiera bardzo wiele szczegółów z innych dziedzin życia umysłowego, objaśniających dzieje kultury polskiej, autor uwzględnia także stronę obyczajową, uzupełniając tym sposobem poprzednie swoje prace. Więc oprócz samych wyrazów i zwrotów autor cytuje całe ustępy z rękopisów Potockiego, charakterystyczne dla dziejów obyczajowości polskiej, pouczające o sposobie życia ówczesnego szlachcica, jak się ubierał, jak jadał, jak się bawił, jak spełniał swoje zadania obywatelskie i t. d., „tysiączne rysy, znamienne dla czasów i ludzi, dla ksiąg i szkół, dla dworów i dworków, dla kościoła i klasztoru, dla rządu i wojska, dla miasta i mieściny, dla chłopka i żyda". Cały świat ówczesny staje przed nami żywy, ruchliwy, ze wszystkiemi zaletami i wadami.

Zwraca wreszcie autor uwagę na przysłowia, zagadki, bajki i powieści ludowe, wogóle na żywioły ludowe, objawiające się w poezyi Potockiego, nader rzadkie u innych poetów wieku XVII., lubujących się w wymuskanej dworskości, w mitologii, w romansowości. Cenny to materyał dla folklorystów polskich, którzy mogą go porównywać z dzisiejszym i wysnuwać stąd odpowiednie wnioski.

Chciałoby się ten i ów szczegół przytoczyć, ale trzeba zachować miarę; już i tak sprawozdanie nasze się przeciąga, a mielibyśmy przytoczyć za mało, to już lepiej nie przytaczać wcale.

Sąd ogólny o rozprawie omawianej da się streścić w następujących słowach. Niezgodność treści z tytułem; chaotyczność w przed-

stawieniu; brak szczegółowego omówienia języka Potockiego: to są wady utworu. Cała jednak treść ma wartość pierwszorzędną; cenny bardzo przyczynek i do dziejów języka polskiego i do dziejów kultury. Obyśmy takich prac, choćby z takiemi wadami, mieli jak najwięcej.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Ludwik Osiński i ówczesna krytyka literacka. *Dr. Tadeusz Grabowski.* W Krakowie. Druk „Czasu". Nakładem autora. 1901. (W 8-ce m., str. 4 nl. i 92).

W zeszycie kwietniowym *Przeglądu* daliśmy czytelnikom ocenę pracy d-ra Grabowskiego o Michale Grabowskim, ocenę surową, w której zarzucaliśmy autorowi niedokładne obznajomienie się z przedmiotem opracowywanym, jakoteż niesumienne wyzyskanie materyałów. Z przykrością na samym wstępie oceny pracy wymienionej w nagłówku musimy podtrzymać także w odniesieniu do niej obydwa te zarzuty, jakie uczyniliśmy poprzedniej rozprawie szan. autora. Bo i z tej rozprawy o Osińskim, która zdaje się zapowiadać dalsze monografie z dziejów krytyki polskiej, widoczna jest powierzchowność w traktowaniu danego przedmiotu, jakoteż niedostateczne obznajomienie się autora z literaturą przedmiotu, choć ta ostatnia wada nie występuje tutaj w tej mierze, co w poprzedniej rozprawie o Michale Grabowskim. Gdybyśmy mieli do czynienia z autorem, który nie posiada odpowiednich zdolności, ażeby mógł pracować wydatnie w historyi literatury naszej, zarzuty tego rodzaju, jakie robimy d-rowi Grabowskiemu, stawialibyśmy z lekkiem sercem. Ale jeśli z rozprawy omawianej widoczne są wielkie zdolności, zwłaszcza w kierunku syntezy, jeśli widać z niej gładki styl, miejscami nawet piękny, to — wyznać musimy — że czynienie takich ciężkich zarzutów rozprawie jest dla piszącego przykre.

Co się tyczy samego ujęcia przedmiotu, to nie mielibyśmy nic do zarzucenia oprócz... nierównomiernego traktowania przedmiotu. Bo chociaż tytuł rozprawy powiada nam, iż autor będzie zajmował się nietylko samym Osińskim jako krytykiem, ale da nam nadto obraz współczesnej krytyki literackiej w Polsce, to przecież niepodobna zaprzeczyć, że o Osińskim mówi autor za mało w stosunku do tego, co zapowiadał tytuł. Jeśli umieści się na tytule na czele nazwisko człowieka i położy się na nie główny nacisk, jeśli dalej człowiek ten zajmował najwybitniejsze miejsce w rzędzie krytyków ówczesnych w Polsce jeśli zdanie jego było długi czas u nas niemal decydującem w sprawach tyczących się sztuki, to przecież, sądzę, należy mu się w roz-

prawie więcej miejsca, znacznie więcej, aniżeli tym wszystkim innym, którzy nie dorośli do tego poziomu, na jakim stał tamten. Jasną tedy jest rzeczą, że jeśli autor położył główny nacisk w swojej pracy na Osińskiego, jeśli ten Osiński był głównym filarem ówczesnej krytyki literackiej u nas, to należy mu się większa uwaga, aniżeli tym wszystkim, którzy przeszli niemal bez odgłosu i to nie dlatego, ażeby byli zapoznani, ale z tej przyczyny, że im się to zupełnie słusznie należało. W rozprawie tymczasem omawianej niemal połowę studyum poświęcił autor przedstawieniu obrazu ówczesnej krytyki polskiej.

Ale i ten obraz krytyki literackiej u nas, jaką mieliśmy przed Osińskim i za czasów jego, nie jest u d-ra Grabowskiego taki, jak być powinien. Autor stara się kilku słowami określić poglądy krytyczne tego czy innego autora, skutkiem czego niejednokrotnie zdarzy mu się opuszczenie pojęć charakterystycznych. Dobra jest zwięzłość, ale tylko wtedy, jeśli autor umie zebrać to wszystko, w czem mieści się treść właściwa, w kilku zdaniach. Z rozprawy omawianej nie widać tego, stąd też niepodobna sobie wyrobić należytego wyobrażenia o najcharakterystyczniejszych chociażby pojęciach tego lub innego krytyka. Sądzę, że praca ta byłaby ogromnie zyskała, gdyby autor był nie ścieśniał się i trochę obszerniej traktował przedmiot, zarówno zarys krytyki samej ówczesnej, jak niemniej też samego Osińskiego. Bo czyż wiele dowie się czytelnik takiego określenia: książe A. Czartoryski w przedmowie do „Panny na wydaniu“ — „daje pogląd na poezyę dramatyczną, niezbyt wprawdzie samodzielny i podnoszący zbytnio teatr francuski“ (str. 14). Należało przecież przy Czartoryskim podnieść chociażby to, że liczył się on ze sławą Szekspira, że zalecał w tonie dydaktycznym czerpanie treści dla dramatu z czasów odległych — rzymskich lub narodowych, popierając swe żądania zdaniem: *audita visis laudamus libentius*. Bo — zdaniem Czartoryskiego — bohater, którego znamy tylko z dziejów, będzie budził większą cześć, niż człowiek współczesny, którego zalety i wady tkwią nam żywo w pamięci. Warto było podnieść, że Czartoryski radził tworzyć komedye na tle współczesnem, by tem skuteczniej moralizować, że pierwszy u nas starał się określić wprowadzone przez siebie do naszego języka słowo „geniusz“, jako „tworzące natchnienie“, różniące się od dowcipu, który jedynie do „pojmowania rzeczy wynalezionych nam pomaga“. Z tego bylibyśmy się dowiedzieli znacznie więcej, jakie były pojęcia Czartoryskiego, aniżeli z wyżej przytoczonego określenia d-ra Grabowskiego. Komedya dalej p. t. „Panna na wydaniu“ została wydrukowana, jeśli

nas pamięć nie zawodzi, w r. 1774 a nie 1771, jak utrzymuje szan. autor. Warto było dalej zaznaczyć, że „Sztuka rymotwórcza“ Dmochowskiego roztrząsała głównie stronę formalną poezyi, co zupełnie zostało pominięte w omawianej przez nas pracy. A już wprost nie do wybaczenia jest pominięcie nadzwyczaj oryginalnego na owe czasy poglądu na cel krytyki, poglądu, wybijającego się ponad szablon nudnych przepisów francuskich, jaki wypowiedział Krasicki w dwu dużych rozprawkach „O krytyce“. „Dosyć jest — pisał — sądzić o pisarzu w tem, co jest, jeżeli dostatecznie podług zamysłu autora; ale zakładać na tem, czego nie przydał i przydać nie chciał, ani tem dziełu nie zaszkodził podług swego zamierzenia, — nie byłaby krytyka sprawiedliwa“. A przecież pogląd to samodzielny, co więcej, do dzisiaj powszechnie uznawany! W ogólności co się tyczy tej części pracy, w której szan. autor mówi o innych krytykach ówczesnych, to przyznać trzeba, że mimo wielu trafnych spostrzeżeń jest ona przecież powierzchowna i nie daje dokładnego wyobrażenia o poglądach krytycznych przy końcu XVIII. i z początkiem XIX. wieku.

O Osińskim, jako o krytyku, mówi autor dopiero od str. 75. Każdy chyba zgodzi się z nami, że to cokolwiek za mało, za skąpo, w stosunku do objętości pracy, liczącej 92 strony. Ale idźmy po porządku! I tak bardzo szczupłej literatury traktującej o Osińskim — nie zna autor dokładnie. Nieznana mu jest praca A. E. Koźmiana p. t. „Wizerunki osób społeczeństwa warszawskiego“, drukowana w *Przeglądzie Poznańskim* z roku 1857, w której sporo miejsca zajmuje Ludwik Osiński, nieznana mu jest nadto rozprawka Rzętkowskiego, zamieszczona w *Tygodniku Illustrowanym* z r. 1875. Na *ośm* tedy prac, traktujących o Osińskim, nie zna dr. Grabowski *dwu*. Literatura przedmiotu opracowywanego nie była chyba tak bogata, ażeby godziło się zapominać o tych dwu pracach, z któremi należało się liczyć, jeśli szan. autor liczył się z artykułami K. Wł. Wójcickiego.

Że w wykładach Osińskiego historyi literatury powszechnej znajdował się cały legion dosłownych wprost nieraz przekładów z Laharpe'a *Cours de la Littérature*, o tem nie od dzisiaj wiedziano. Mimo tego przecież do dziś nie możemy skonstatować, jaka jest ilość tych przyswojeń, które Osiński podawał jako swój własny sąd. Jakkolwiek nie uważamy wcale za stosowne z d-rem Grabowskim zestawianie całego szeregu tych zapożyczek, to przecież mamy prawo żądać od autora specyalnej monografii o Osińskim, ażeby chociaż w przypisku podał krótko cytaty stron i wierszy wspólnych u Laharpe'a i u Osińskiego

w tym guście: „str.... w... odpowiada str.... w...“ Tej dokładności ma nauka prawo żądać od monografii specyalnej, bo nie dość jest wiedzieć, że Osiński czerpał z Laharpe'a całemi stronami, owszem konieczną jest stwierdzić, wiele wziął od niego. Więc znowu mimo podjętej przez d-ra Grabowskiego pracy o Osińskim, kwestya ta pozostanie nadal nie rozstrzygnięta. A przecież nic w tem ani trudnego, ani nużącego nie było, gdyby autor czytając wykłady Laharpe'a i Osińskiego był porobił odpowiednie notatki.

Ciekawem zaś byłoby takie zestawienie z wielu względów. W ocenie np. „Iliady“ zaczerpnął Osiński (II, str. 32) zdanie rozpoczynające się od słów: „Dziś rodzaj broni“ z Laharpe'a (I, str. 197), poczem kontynuując dalej swoje rozumowanie czerpie z Laharpe'a, ale zapożycza się z tej części jego pracy, która była przed ustępem wyzyskanym dopiero:

Laharpe: II. str. 194.	Osiński: II. str. 34.
Plusieurs des fictions d'Homère ont en un sense allegorique si evident... i t. d.	Zaprzeczyć także nie można, iż niektóre z jego zmyśleń mają widocznie znaczenie allegoryczne.

W dalszym znowu ciągu na następnej już stronie korzysta z Laharpe'a, ale z tomu I, str. 181:

Que Juppiter se querelle avec Junon, la maltraite... cela ne peut nous interesseur. Mais quand Junon aille emprunter la ceinture de Venus pour reveiller la tendresse de son époux... n'est ce par là une fiction charmante.	Kiedy Jowisz spór wiedzie z Junoną, kiedy ją gromi słowami, obraz ten nie jest dosyć szlachetnym. Ale kiedy ta sama Junona pożycza uroczej przepaski *(sic!)* od Wenery, aby władcę piorunów odwróciła na chwilę od widoku wojny... jakże to zmyślenie jest świetnem, jak zachwycającem. (II, 35).

Ciekawem dla nauki byłoby przynajmniej wyliczenie tych ustępów zapożyczonych przez Osińskiego z Laharpe'a dlatego, że najpierw wiedzielibyśmy już raz dokładnie, wiele wziął Osiński od swojego mistrza, a nadto jak i w jaki sposób z niego korzystał. A tego w pracy d-ra Grabowskiego nie znaleźliśmy, w pracy specyalnej!

O poglądach Osińskiego na poezyę mówi szan. autor przy sposobności streszczania wykładów warszawskich, ale i w tem streszczeniu opuścił wiele szczegółów bardzo charakterystycznych. I tak przy poezyi bohaterskiej, przy epopei nie znajdujemy wcale ani słowa o tem, jakie znamiona przywiązywał Osiński do tego rodzaju utworów. A przecież

o tem najwyraźniej nam mówi pod koniec rozbioru „Iliady“ uważając jako nieodłączne cechy eposu: 1) jedność akcyi, 2) wybór przedmiotu, który powinien być narodowy, wzniosły i bohaterski, 3) smak, prawdę, wyobraźnię, jasność, 4) moc, 5) prostotę. Warto nadto było przy Homerze zauważyć, że Osiński uważał go jeszcze za osobę bezsprzecznie historyczną, podczas gdy równocześnie Ernest Groddek uwzględniał już w swoich prelekcyach teoryę homerycką Wolffa. Wypadało podnieść i podkreślić mówiąc o rozbiorze „Luzyady“ brak znajomości literatury średniowiecznej u Osińskiego, który przeniósł trubadurów prowansalskich poza Pireneje! Jako też wspomnieć o tem, że Osiński stawiał wyżej „Monachomachię“ i „Myszeidę“ Krasickiego od „Wojny chocimskiej“, że do głównych zalet „Myszeidy“ zaliczał „cudowność, zmyślenia, zużytkowanie miejscowych zabobonów i czarów“. A już wprost niewytłumaczonem jest opuszczenie następującego zdania, iż „od niewyczerpanych Szecherazydy powieści aż do dziecinnych podań pospolitego gminu ma w czem geniusz obierać“. Wszakżeż zalecanie pierwiastku ludowego dla poezyi artystycznej stoi w tak rażącej sprzeczności z współczesnemi wycieczkami Osińskiego na obiadach u jenerała Krasińskiego przeciwko elementom ludowym u romantyków, wszakżeż niebawem w swoich wykładach potępi ten sam Osiński zabobony w dramatach Szekspira! Tak samo niewytłumaczonem jest pominięcie zdania Osińskiego o „Odprawie posłów greckich“ Kochanowskiego, którą wbrew surowym sądom współczesnej krytyki nazywa „pierwszym artystycznym dramatem polskim“ i ceni ją wysoko, jako też pochlebnego sądu o tłumaczeniu psalmów przez tegoż poetę. Trudno również wybaczyć autorowi pominięcie zupełne poglądów Osińskiego na romantyzm polski, a przecież materyałów do tej kwestyi była spora ilość i to materyałów autentycznych. Czem to tłumaczyć? Dlaczego wreszcie nie starał się autor rzucić chociażby trochę światła na mnóstwo sprzeczności, jakie zachodzi w wykładach Osińskiego? Boć przecież wszystko to zależało do zakresu pracy podjętej przez d-ra Grabowskiego. A czyż pracę, w której napotyka się tak wielką ilość braków, można nazwać sumienną i gruntowną?

Stanisław Zdziarski.

O cnotach heroicznych. Wydał *ks. J. Tylka.* Tarnów 1900.

„W czasach obecnych, brak nam wybitnych świętych ludzi, którzyby jaśnieli cnotami heroicznemi“. Tak zaczyna swą przedmowę szanowny autor; a że braku tego przyczyną jest zapoznanie cnoty, autor

przynosi w darze ludziom „dobrej i najlepszej woli“ cenną pracę swoją. Przynosi ją w formie wdzięcznej — bo malutkiej, zaledwie 66 stron liczącej książeczki, której jedynym celem, ukazać piękno cnoty heroicznej. Oparty na niezłomnej a wzniosłej nauce św. Tomasza z Akwinu, omawia treściwie a jasno heroizm cnót teologicznych i kardynalnych a kończy nader pożytecznym rozdziałem o Sakramencie Pokuty i Ołtarza. W nadziei, że dziełko to, tak dobre i tak na czasie będące, doczeka się następnych wydań, załączam parę drobnych, zewnętrznej tylko strony tyczących się uwag. Odnośniki do cytatów należałoby usunąć na dół — zbyt liczne bowiem, utrudniają czytanie. Sądziłbym również, iż nader piękne modlitwy, które autor wplata w tekst, korzystniej dla dziełka i czytelnikaby wypadły, gdyby je szanowny autor umieścił na końcu każdego rozdziału. Wyrazy łacińskie, jak: potencyonalny i subjektywny zastąpić należy polskiemi. Usunięcie tych usterek, przyczyniając się do jasności, przyspieszy spełnienie celu autora — a celem tym, widzieć to dziełko w rękach wszystkich Polaków-katolików.

Ks. Alfred Wróblewski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Völkerpsychologie. Eine Untersuchung der Entwicklungsgesetze von Sprache, Mythus und Sitte von *Wilhelm Wundt*. Erster Band: Die Sprache. (Lipsk. 1900. I. część stron 627, II. 621).

Można się w wielu rzeczach nie zgadzać z Wundtem, ale niepodobna zaprzeczyć, że jest on w swoich badaniach zawsze gruntowny, systematyczny, samodzielny, — że odznacza się nadzwyczajną, zdumiewającą pracowitością i że zebrał olbrzymi materyał empiryczny w licznych dziełach swoich. Obecnie wziął się do nowej pracy, która wymaga studyów bardzo rozległych i wyczerpujących, ale też wielkie zasługi odda nauce o duszy: będzie to psychologia narodów, obejmująca rozwój mowy, mitologii i obyczajów.

Tom I. traktuje o prawach, które dadzą się wykryć w dziejach mowy ludzkiej. Autor uwzględnia wszystkie języki, jakie dotychczas poznano na całej kuli ziemskiej i dochodzi do wyników bardzo ciekawych i pouczających, które spróbujemy streścić jak najkrócej, poczem dodamy kilka uwag krytycznych. Określiwszy we wstępie pojęcie i zadanie psychologii narodów w ten sposób, że jej przedmiotem są

„te przebiegi duchowe, które są podstawą ogólnego rozwoju społeczeństw ludzkich i powstania wspólnych wytworów duchowych o wartości powszechnego znaczenia“ (str. 6), zastanawia się autor nad znaczeniem i genezą „ruchów wyrazowych“ *(Ausdrucksbewegungen)*, tj. wyrażających uczucia, pragnienia i myśli. Odrzuca on zarówno fizyologiczne (Spencera, Jamesa i t. d.), jak i psychologiczne tłumaczenie tych ruchów, bo według niego afekt i towarzyszące mu zjawiska fizyczne, są jednym procesem psycho-fizycznym. Jakkolwiek zresztą Wundt uważa pochodzenie człowieka od zwierząt za rzecz dowiedzioną, stwierdza on przecież, że znaki, któremi porozumiewają się zwierzęta pomiędzy sobą, różnią się bardzo od mowy ludzkiej, że nawet małpa nie używa jeszcze ruchów wskazujących (str. 126). Gestykulacya ludów dzikich ma już wszelkie znamiona mowy, bo odróżnia kategorye logiczne: rzeczy, własności, stany i t. d. (188), i zaznacza całe zdania (204 sqq.). Nic podobnego nie odkrywamy u zwierząt (218). Inteligencya dzikich objawia się i w ich piśmie obrazowem (zajmujący przykład na str. 233). Gesty są początkowo czynnościami popędowemi, a więc nie trzeba do ich wytłumaczenia przypisywać człowiekowi osobnej „władzy duchowej“, zwanej „rozumem“! (243).

Dalej przechodzi autor do właściwej mowy głosowej, którą odróżnia bardzo dobrze od śpiewu ptaków. Głosy zwierzęce są zawsze tylko wyrazem uczuć (248 sqq.); i w śpiewie ptaków nie można odróżnić nic podobnego do wyrazów mowy. Są wprawdzie badacze, którym się zdaje, że wyrazy takie słyszą, ale to jest niewątpliwie złudzeniem: kiedy np. w śpiewie wiedeńskiego słowika leśnego *Sylvia philomela*, słyszy jeden obserwator imiona: Jacob i Philipp, — opowiada drugi o słowiku polskim, że ten wymawia imię: Dawid; także inne brzmienia, przypisane przez Niemca słowikowi wiedeńskiemu, różnią się bardzo od głosów, które ma wydawać słowik polski, według twierdzenia Polaka (p. str. 254). Znać tutaj wpływ języków, któremi mówią obserwatorzy, — ludzie zaś zwyczajni nie mogą się wcale dosłuchać owych wyrazów. Zastanawiając się nad powstaniem śpiewu, zbija Wundt hipotezę Darwina (którą wielu uważa za fakt dowiedziony), że pierwszych początków śpiewu należy szukać zarówno u ludzi, jak i u ptaków w owych okrzykach wabiących, któremi samiec stara się przynęcić ku sobie samicę. Darwin powołuje się tu na dwa świadectwa, które nie dowodzą niczego, a nawet, co więcej, sprzeciwiają się jedno drugiemu: oto 1) mają samce niektórych gatunków małp posiadać lepiej rozwinięte narządy głosowe od samic, a po 2) wszyscy uznają,

że głosy niewiast są przyjemniejsze od męskich, z czego można wnosić, że one „pierwej nabyły zdolności muzykalnych dla przywabiania płci drugiej". („Pochodzenie człowieka" II., str. 295 sqq. przekładu niemieckiego). Oto próbka logiki, jaką nieraz posługują się Darwiniści: ponieważ jest jakiś związek między śpiewem ptaków a popędem ich płciowym, więc można przypuścić, że i mężczyzna pierwotny zaczął śpiewać dla pozyskania sobie niewiasty; (?) — jest to tem bardziej prawdopodobne, (?!) że i małpy samce głośniej krzyczą od samic. Z drugiej zaś strony jest faktem, że niewiasty mają przyjemniejsze głosy od nas, a więc one najpierw zaczęły śpiewać dla pozyskania sobie mężczyzn! — Jakże jedno z drugiem pogodzić? — Słusznie dodaje Wundt (261): „Słabość tych argumentów jest oczywista. Że tak znakomity przyrodnik mógł do nich jakąś wagę przywiązywać, to pozostanie w każdym razie przykładem pouczającym, jak wielki wpływ wywierają mniemania z góry powzięte". Niema różnicy pomiędzy płcią męską a żeńską pod względem uzdolnienia do śpiewu a zresztą śpiew ludzki jest czemś bardzo odmiennem od ptasiego: jest sztuką.

Początek zaś tej sztuki upatruje autor, idąc za Karolem Bücherem, (*Arbeit und Rythmus*, 1899), w pieśniach, nuconych przy pracy, które w swej formie najpierwotniejszej nie zawierają często nic oprócz głosów artykułowanych bez znaczenia, ale zastosowanych do rytmu roboty: resztki takich głosów znajdujemy w refrenach wielu pieśni ludowych. Jest to, jak sądzimy, hipoteza, za którą wiele przemawia — w każdym zaś razie jest ona daleko więcej podobną do prawdy od hipotezy Darwina.

Zastanawiając się w dalszym ciągu nad właściwościami mowy dziecięcej, usiłuje Wundt udowodnić, że dzieci nie tworzą nowych wyrazów (jak sądzi wielu psychologów) czyli własnej mowy, tylko posługują się głosami, jakie im poddaje otoczenie (str. 278 sqq.). Potem przechodzi autor do głosów, które człowiek pierwotny wydawał instynktowo, tj. do wykrzykników i wyrazów onomatopoetycznych. Są to „ruchy popędowe" *(Triebbewegungen)* albo „gesty głosowe" *(Lautgeberden)*. Rozdział IV. traktuje obszernie o głosowni. Tu znajdujemy dobrą krytykę hipotez Curtiusa i innych (353), które mają wyjaśnić przemiany głosowe. Wpływ klimatu na głosownię nie da się wykazać (399). Każda zmiana głosowa jest procesem psycho-fizycznym (471). Rozdział V. mówi o tworzeniu wyrazów, o warunkach psycho-fizycznych tego tworzenia (także o amnezyi, parafazyi i innych chorobach mowy), o psychologii wyobrażeń słownych, o rdzeniach, o reduplikacyi

i wyrazach złożonych i t. d. Szczególnie ciekawy jest tutaj rozbiór zagadnienia, dotyczącego t. zw. „rdzeniów językowych“ (*Wurzeltheorie* 547 sqq.). Wundt usiłuje wykazać, że ta teorya nie da się utrzymać, że języki nie dadzą się sprowadzić do tego rodzaju pierwiastków, jednem słowem: on chce obalić nawet takie wyniki badań lingwistycznych, które dotąd uważano prawie powszechnie za pewne. Nie było żadnego „okresu pierwiastków“, lecz od samego początku mowy tworzyły się wyrazy. Także podział na języki „nieodmienne“, „zlepne“ i „odmienne“ nie ma, według autora, podstawy.

W tomie II. zajmuje się autor częściami mowy, a więc powstawaniem rzeczowników, przymiotników, wyróżnianiem rodzajów i t. d., budową zdania, dalej kwestyą, kiedy i dlaczego zmienia się znaczenie wyrazów, a wkońcu początkiem mowy. I ten tom zawiera dużo poglądów nowych i bardzo godnych uwagi: rozróżnianie rodzajów w nazwach roślin i rzeczy nieżyjących nie ma być dziełem wyobraźni twórczej, dopatrującej się jakiegoś podobieństwa między dębem a mężczyzną, między brzozą a niewiastą i t. p.; — ale tłumaczy się tak, że osobnemi przyrostkami uwydatniano większą wartość pewnych przedmiotów, innym zaś dawano przyrostki, które stawiały je niżej; otóż końcówki męskie dostawały się drzewom dla człowieka cenniejszym, drugim zaś żeńskie, resztę zaś rzeczy zaliczono do rodzaju „nijakiego“ (20 sqq.). Powstanie przypadków trzeba wyjaśniać, zdaniem autora, psychologicznie a nie logicznie (58 sqq.). Teorya przypadków logiczno-gramatyczna przeciwstawia przypadek pierwszy, w którym kładzie się podmiot, czwartemu (przedmiot bliższy) i trzeciemu (przedmiot dalszy), drugi zaś uważa za formę przydawkową pokrewną przymiotnikowi. Całkiem znów inaczej zapatruje się na przypadki teorya lokalistyczna, która przypadki 2, 3 i 4-ty sprowadza do pytań: „skąd“, „gdzie“ i „dokąd“? Z tych trzech przypadków, oznaczających miejsce, miała wydzielić się reszta, a mianowicie łaciński *ablativus*, sanskrycki *localis* i *instrumentalis*. Miejsce tych teoryj, dziś już przestarzałych, zajęła „dualistyczna“, która usiłuje pogodzić przeciwieństwa, zachodzące między tamtemi dwiema, ale też chciałaby wtłoczyć żywą myśl w system abstrakcyjny. Oprócz 8-miu przypadków sanskrytu, znajdujemy jeszcze inne w innych językach: w uralskich wyraża się osobnemi przyrostkami byt w jakiejś rzeczy i równoczesny z nią i t. d., — w językach kaukaskich stwierdzają badacze istnienie aż 47 a względnie 95 form przypadkowych (str. 69). Wszystkie je-

dnak języki mają przypadki 1, 2, 3 i 4, chociaż niejednemu brakuje form osobnych dla ich wyrażenia.

Wogóle przekonywa nas coraz lepiej studyum porównawcze języków, że te same myśli można wyrażać w sposób bardzo różny od naszego, a przecież dla innych zrozumiały. Tak np. mówią Malajczycy, gdy chcą powiedzieć, „że strzelec zabija lwa“: „strzelec — lew — zabić — on — go“. Ostyak mówi: „moje stanie“ zam. „ja stoję“ (156). Jako główne rodzaje zdań wymienia autor: wykrzyknikowe, orzekające i pytajne (249). W zdaniu wystarczy samo imię (np. „co za radość!“). Najpierw powstawały zdania, wyrażające pewne uczucia, po nich dopiero zdania „logiczne“, tj. wyrażające myśli (271). Autor oświadcza się przeciwko tym, którzy przyznają pewnym językom wartość większą a innym mniejszą. Ta klasyfikacya języków jest równie dowolną i nieuzasadnioną, jak owo ocenianie całych narodów, w którem inni Niemcy tak sobie podobają (408) Mówiąc (na końcu) o pochodzeniu języków indo-europejskich, dochodzi autor do wyniku całkiem ujemnego, tj., że właściwie nic o tem nie możemy powiedzieć (612).

A teraz kilka uwag krytycznych: Przedewszystkiem musimy zarzucić Wundtowi, że jakkolwiek oddaje się złudzeniu, iż nigdy nie opuszcza pewnego gruntu empiryi, to przecież i w tej jego psychologii języka widoczny jest wpływ jego założeń metafizycznych. Według niego musi filozofia odrzucić pojęcie „duszy“ jako istoty, posiadającej byt substancyalny, ponieważ ścisła umiejętność nigdzie jej nie znajduje i zna tylko wrażenia, wyobrażenia, popędy i t. d. (str. 9). Wszystkie zaś zjawiska duchowe, a więc i t. zw. „rozum“ czyli pojmowanie, które dochodzi do skutku przez t. zw. „apercepcyę“ dadzą się sprowadzić do aktów woli („apercepcyą“ nazywa Wundt akt uwagi, ujmującej wyobrażenie; por. jego *Physiologische Psychologie* II^4 s. 267 i *Logik* I^2 s. 30). Wszystkie zjawiska na świecie, a więc i myślenie da się wywieść z „objawów popędu“ *(Triebäusserungen)* czyli aktów woli *(Willenshandlungen)*. Cały świat cielesny i duchowy tworzą jakieś „wole“, obdarzone zdolnością do wyobrażania, które staje się przez „apercepcyę“ myśleniem. Niema żadnych istot obdarzonych wolą czyli t. zw. „dusz“ psychologii dawniejszej, są tylko popędy, w których zespalają się w całość nierozłączną wyobrażania, uczucia i akty woli, i z których rozwijają się inne, wyższe, ale nie różniące się od tych popędów specyficznie, stany świadomości (*System der Philosophie* s. 579). To zaś, co każdy z nas nazywa swojem „ja“, jest „organizacyą duchową“, złożoną ze zjawisk elementarnych a identyczną z ustrojem

cielesnym (tamże s. 389). Sam jednak Wundt przyznaje, że to jego pojmowanie rzeczy nie da się udowodnić i nosi na sobie piętno „urojenia“ (*einen imaginären Charakter* ib. s. 391). I rzeczywiście są to fantazye metafizyczne, z któremi niepodobna pogodzić tego, co nam mówi samowiedza nasza o myśleniu, o rozróżnianiu stosunków między rzeczami i t. d. Kiedy np. rozpoznaję przyczynę pewnego zjawiska, łączę, według Wundta, aktem woli treść jednego wyobrażenia z treścią drugiego. A tymczasem mam świadomość, że te stosunki „wyobrażeń“ (czyli raczej pojęć) są od woli mojej całkiem niezawisłe, że nigdy nie mogę uważać za przyczynę tego, w czem rozpoznałem skutek. Wogóle jesteśmy wszyscy przeświadczeni, że poznawanie jest samo w sobie czemś od woli niezawisłem, i że do niej nie da się sprowadzić, bo jakkolwiek możemy odwracać niekiedy umyślnie uwagę od jakiejś rzeczy, a kiedyindziej pragniemy ją poznać, to przecież pojmujemy, że prawdy przez nas poznane, będą zawsze prawdami, że wola nasza nie potrafi ich zmienić.

Otóż ta błędna metafizyka Wundta nie przysłużyła się dobrze i badaniom jego, dotyczącym mowy. Kiedy inni psychologowie pojmują, że człowiek nie mógłby mówić, gdyby nie miał rozumu, że wyrazami oznaczamy pojęcia, że w każdem zdaniu łączą się dwa przynajmniej pojęcia, z których stosunku zdajemy sobie sprawę, upatruje Wundt w mowie objaw popędu i sądzi, że można wyjaśnić jej powstanie, obchodząc się bez „hipotezy“ rozumu. Podobnie jak gesty są początkowo czynnościami „popędowemi“ (*Triebhandlungen*), a przecież służą do wyrażania myśli, tak i wyrazy tworzył sobie człowiek pierwotny bez namysłu, instynktowo, bez świadomego zamiaru, żeby z ich pomocą oznaczać przedmioty i porozumiewać się z bliźnimi (I. 240, 243 i 318). Z procesów niższych, z asocyacyj wyobrażeń wywiązują się z czasem procesy intelektualne, w których czynną jest „apercepcya“ pod wpływem woli (I. 516 i 564). W dobie, w której mowa powstała, nie był jeszcze człowiek zdolny do refleksyi logicznej, nie mógł nazywać rzeczy według ich znamion, nie miał pojęć własności i stanów (II. 472 i 474).

Zapatrywanie to dałoby się obronić, gdybyśmy je pojęli w ten sposób, że mowa nie jest dziełem samej tylko refleksyi, bo oczywistą jest rzeczą, że człowiek nie mógł wymyślić sobie z całą świadomością form gramatycznych, rodzajów zdań, prawideł składni i t. d. Zaczął on raczej mówić pod wpływem wrodzonego popędu, który mu kazał wypowiadać każde silniejsze uczucie, każde wrażenie świeżo doznane.

Ale Wundt rozumie rzecz inaczej. Według niego jest umysłowość ludzka wynikiem długoletniego rozwoju ze stanu zwierzęcości, w którym nie byliśmy jeszcze zdolni do aktów rozumowych, w którym więc żadna refleksya logiczna nie była możliwa. Człowiek więc pierwotny wydawał głosy artykułowane, nie myśląc jeszcze wcale, nie nazywając świadomie przedmiotów, nie rozróżniając rzeczy, własności, stanów i innych kategoryj logicznych. Że zaś powstały przypadki i inne wyrazy, oznaczające stosunki i t. d., to było dziełem „apercepcyi". Skądże jednak bierze się ta „apercepcya", spełniająca w psychologii Wundta właśnie to samo zadanie, które u innych wykonywa rozum? Oto można po prostu powiedzieć, że Wundt usuwa rozum jako „władzę duchową" a wprowadza go tylnemi drzwiczkami pod postacią „apercepcyi"! Oto bowiem z popędów wyłania się u niego nie wiedzieć jakim sposobem uwaga, która łączy pojęcia, zdaje sobie sprawę ze stosunków, zachodzących pomiędzy rzeczami, czyli spełnia funkcyę pierwotnego myślenia, a przecież nie jest właściwie rozumem, tylko czynnością woli!

Wychodząc ze stanowiska ewolucyonizmu, nie chce Wundt przyznać, że w duszy ludzkiej występuje pierwiastek nowy, którego niema u zwierząt, a który jest niezbędnym warunkiem mowy. Zgadza się wprawdzie autor z tymi, którzy odmawiają wszystkim zwierzętom rozumu i uwydatnia różnicę, zachodzącą pomiędzy myśleniem ludzkiem a t. zw. „inteligencyą" zwierząt (str. 126 — por. także jego „Odczyty o duszy ludzkiej i zwierzęcej"), ale z drugiej strony chciałby wykazać, że nie jest to różnica istotna, że rozum może być uważany za wyższy stopień dążeń bezwiednych, właściwych wszystkim jestestwom czującym. Kiedy więc dziecko zaczyna mówić, nazywać przedmioty po swojemu, tworzyć własne zdania, nie jest to jeszcze, według Wundta, objawem rozwijającego się rozumu, niema tu nawet początków refleksyi logicznej, są to raczej instynktowe wyrażenia uczuć i asocyacye wyobrażeń (283 sqq.). Czy jednak to twierdzenie da się pogodzić z rzeczywistością? Jeżeli więc np. dziecko wypowiada zdania: „Cukier jest słodki", albo: „to nowa brama!" — nie wyraża ono jeszcze myśli w znaczeniu właściwem? Czyż mogłoby ono coś takiego powiedzieć, gdyby nie miało pojęć cukru i słodyczy, gdyby nie rozróżniało rzeczy, zwanej „cukrem" od innych, gdyby nie rozumiało, że cukier ma pewną własność, którą oznacza wyraz: „słodki", a która wywołuje wrażenie przyjemne, — gdyby dalej nie posiadało już pojęć: „brama" i „nowy"? — Nie chcemy naturalnie powiedzieć, że dziecko już wie, co

logicy nazywają „pojęciem“ i że ono potrafi dobrze określić znaczenie owych wyrazów; uważamy tylko za rzecz niewątpliwą, że nawet najprostsze zdanie nie może powstać bez pojęć, na podstawie samego skojarzenia się wyobrażeń, czyli bez rozumu. Ta sama zdolność do abstrakcyi, do uogólniania, do rozróżniania substancyi od jej własności lub stanu, do rozróżniania jedności i wielości, miejsca i czasu, przyczyny i skutku, do łączenia pojęć w sądach i wnioskach, — ta sama zdolność, która stanowi istotę rozumu, jest niezbędna do wydawania sądów najpospolitszych, jak np. „to jest drzewo“. Kiedy bowiem dziecko lub dziki wypowiada to zdanie samodzielnie, zdaje sobie sprawę z tego, że ma przed sobą „rzecz“ czyli coś, co posiada byt substancyalny, co istnieje obecnie w pewnym punkcie przestrzeni, podlega jego zmysłom, ma własności wspólne całej grupie przedmiotów, nazwanych „drzewami“ i t. d. Jest to myśl, czyli akt duchowy bardzo różny od „czynności popędowych“, od instynktowego wyrażania uczuć zapomocą wykrzykników nieartykułowanych i od kojarzenia się wyobrażeń.

Mylne też jest z pewnością zdanie Wundta (przytoczone powyżej), że w czasie, kiedy mowa powstała, nie mógł jeszcze człowiek nazywać rzeczy według ich znamion (jak sądzą inni badacze), bo nie miał pojęcia własności. Niepodobna bowiem przypuścić, żeby jestestwo nadające nazwy przedmiotom, nie odróżniało np. barwy zielonej drzewa od samego drzewa, albo nie potrafiło nazwać konia „szybkim“ *(equus = ὠκύς, sanskr. açva)*. Ale i to zapatrywanie autora łączy się ściśle z jego doktryną ewolucyonistyczną: chciałby on koniecznie rozum sprowadzić do spostrzeżeń (por. II., 573 i 587), pojęcia do wyobrażeń, — dlatego też wydaje mu się całkiem prawdopodobną hipoteza, że człowiek mógł zacząć mówić, nie mając jeszcze pojęć ogólnych, że te pojęcia wytworzyły się dopiero później w dalszym rozwoju, po upływie wielu może stuleci. Oświadcza się on przeciw aksyomatowi ogólnie przyjętemu, że każdy wyraz mowy ludzkiej oznacza pojęcie ogólne (II., 456). Powołuje on się na to, że jakkolwiek niema istotnie wyrazu, który nie mógłby oznaczać wielu przedmiotów, to jednak w rzeczywistości człowiek myśli często o jednej tylko rzeczy, o jednem zjawisku, kiedy używa np. wyrazów: „łyska się“, „dom się pali“, a więc te wyrazy nie obejmują wówczas w myśli mówiącego wszystkich innych zjawisk tego rodzaju. Na to jednak nasuwa się sama odpowiedź, że niktby nie użył słów wymienionych ze świadomością o żadnem zjawisku, gdyby nie wiedział, że one oznaczają wszystkie zjawiska tego rodzaju, czyli że są nazwami pojęć ogólnych. Otóż i pierwsi ludzie musieli odró-

żniać gatunek np. koni od wszystkich innych stworzeń, kiedy im dali wspólną nazwę; takie jednak odróżnianie byłoby niemożliwe, gdyby nie rozpoznawali przymiotów konia, warunkiem zaś rozpoznania przymiotu jest pojęcie własności.

Autor odrzuca także definicyę zdania, ogólnie przyjętą, że jest to „myśl wyrażona słowami“ (II., 225) z powodu, że 1) pojęcie „myśli“ nie da się określić i że 2) zdanie nie musi koniecznie wyrażać tego, co gramatycy, trzymający się owej definicyi, nazywają „myślą“ tj. sądu. Na to odpowiadamy: chociaż ścisła definicya „myśli“ nie jest możliwa, to przecież rozumiemy wszyscy, jakie stany umysłowe oznacza się tym wyrazem; są to akty psychiczne, w których zestawiamy pojęcia, zdajemy sobie sprawę ze stosunku, zachodzącego pomiędzy niemi i przyznajemy a względnie odmawiamy jakiemuś przedmiotowi albo samo tylko istnienie (albo możliwość lub konieczność istnienia) albo zarazem własność, stan, czynność i t. d. Takie zestawienie dwóch przynajmniej pojęć da się wykryć we wszystkich zdaniach; — niema zaś zdania, jeżeli tylko jedną rzecz wymieniamy lub wyliczamy kilka przedmiotów; nie są też zdaniami słowa, wyrażające rozkaz lub życzenie, jak „chodź!“ „idź!“ i t. p. Natomiast nie jest wcale rzeczą konieczną, żeby w każdem wyrażeniu myśli dały się odróżniać gramatyczny podmiot i orzeczenie. Tak zw. *impersonalia* nie mają podmiotu, a przecież i one orzekają coś o czemś, jakkolwiek w sposób ogólnikowy i nie dosyć dokładny: kiedy np. powiem: „taje“, wyrażam myśl, że w obecnej chwili woda zamarzła przechodzi znowu w stan płynny, w miejscowości, w której przebywam. (Wundt nazywa *impersonale* na str. 220 „sądem nieokreślonym“). Odwrotnie znów niema orzeczenia w wykrzykniku: „szkoda!“ — lecz każdy zrozumie, że mówiący chciał wyrazić myśl: „ja uważam za szkodę to, co się stało“, albo: „szkoda jest, że nie stało się to, o czem mówimy“. Podobnie ma się rzecz z innemi wyrażeniami, które nam wydają się bardzo dziwnemi i niezręcznemi, ale w innych językach są pospolite i zastępują nasze zdania, jak np. mówią Ostyacy: „moje stanie“ zamiast: „ja stoję“.

Wszelako Wundt pojmuje zdanie inaczej: według niego ono nie jest syntezą pojęć, ale przeciwnie rozkłada na części całość, znajdującą się w świadomości (II., 236). Określa on je jako „wyraz słowny dowolnego rozczłonkowania wyobrażenia całkowitego na składniki tego wyobrażenia, między któremi stwierdza się stosunki logiczne“ (może zresztą ktoś inny lepiej przetłumaczy oryginalną

i niełatwą do zrozumienia definicyę autora: *der sprachliche Ausdruck für die willkürliche Gliederung einer Gesammtvorstellung in ihre in logische Beziehungen zu einander gesetzten Bestandtheile*, str. 240). Już w swojej logice spróbował Wundt wykazać, że sąd nie powstaje przez syntezę pojęć, ale przeciwnie przez analizę całkowitego wyobrażenia (I^2 s. 154 sqq.). Otóż i zdanie ma zawsze rozkładać na części jakąś całość. Nie mogę np. powiedzieć: „ta tablica jest czarna", jeżeli nie mam w duszy wyobrażenia całej tablicy i nie analizuję go, wyróżniając barwę czarną od innych wrażeń, w tym wypadku odebranych. Takiej analizy dokonywamy istotnie, gdy wydajemy sądy, a w szczególności sądy, polegające na spostrzeżeniach *(Wahrnehmungsurteile)*. Czyż jednak *eo ipso* udało się Wundtowi dowieść, że w sądzie i zdaniu niema żadnej syntezy? Czyż to nie jest syntezą dwóch pojęć, kiedy stwierdzamy, że pewnej tablicy trzeba przyznać własność, którą nazywamy zabarwieniem czarnem? Albo kiedy powiem: „on jest moim przyjacielem", — czyż nie wyrażam przekonania, że mam podstawę do zespolenia pojęć: tego człowieka, mojej osoby i przyjaźni? Nie jest to żadne „rozczłonkowanie dowolne(?) wyobrażenia" (bo nawet wyobrazić stosunku przyjaźni nikt nie potrafi sobie, można go tylko pojąć), ale raczej uznaję, że nasz stosunek trzeba wciągnąć w zakres pojęcia przyjaźni.

Na tem kończymy, pomijając już inne zarzuty, które psychologowie i lingwiści mogą jeszcze uczynić Wundtowi, które jednak nie pozbawią jego dzieła niepośledniej wartości.

Ks. dr. Aleksander Pechnik.

Die Descendenztheorie. Gemeinverständliche Vorlesungen über den Auf- und Niedergang einer naturwissenschaftlichen Hypothese v. *Dr. Albert Fleischmann* o. ö. Prof. der Zoologie u. vergleichenden Anatomie in Erlangen. Leipzig 1901.

W roku 1859 zjawiła się książka Darwina: „Powstanie gatunków drogą naturalnego doboru". Dziecko, któremu ojciec nie zapomniał dać szaty o pięknych i ponętnych barwach skromnych wyrażeń, powątpiewań i pewnej nieufności we własne siły, miało i bez tego wiele powabu i wesoły uśmiech, więc zaczęło się cieszyć prawie ogólną sympatyą. Uczeni, szeroko rozrzuceni po odległych, czasem nawet całkiem nieprzyrodniczych gałęziach wiedzy, zwrócili badawczy wzrok w stronę malca, a nawet takie warstwy społeczne, które przedtem niczem tak mało się nie interesowały, jak ruchem naukowym, zaczęły pilnie nad-

stawiać uszu na słowa i zdania uczonych. Powstał na długiej linii ruch, któremu nie zabrakło i kierunku antyreligijnego, a ostatnie dziesiątki zeszłego stulecia otrzymały nazwę epoki Darwina.

Na polu zoologii i botaniki, które najwięcej obchodził i na które zeszedł pomysł angielskiego przyrodnika, z natury rzeczy ruch był żywszy i większy. Wnet jednak nie zabrakło i różnicy w zapatrywaniach, która coraz wybitniej występując, rozdzieliła obóz przyrodników. Dzieło Darwina, którego zadaniem było wykazać, jak mogły przekształcać się jedne gatunki w drugie przez dobór, przyjmuje z góry za podstawę teoryę descendencyi Lamarka: że wszystkie istoty organiczne są pokrewne między sobą i wyższe rozwinęły się z niższych. — Pomysł niezaprzeczenie już sam w sobie pełen wdzięku i powabu. Wszakże myśl sprowadzania faktów często bardzo od siebie różnych do jednej przyczyny, do jednego punktu wyjścia bardzo głęboko zapuszcza korzenie aż na dno umysłu ludzkiego. Czemużby nie mogła kiełkować na ziemi botanika czy zoologa? Przecież oni szczególnie mają przed oczyma stare zdanie: πάντα ῥεῖ. Wówczas ta cała masa organizmów taka rozmaita kształtami, budową, sposobem życia wygląda jak jedno, wielkie i rozłożyste drzewo, na którem, „zielone i pączkami ozdobione gałęzie przedstawiają istniejące obecnie gatunki, a gałęzie powstałe poprzednich lat, to długi szereg po sobie następujących gatunków wygasłych. W każdym peryodzie wzrostu usiłowały nowe gałęzie róść we wszystkich kierunkach, przerastać już istniejące gałęzie i konary i zagłuszać je. Wielkie konary, rozdzielające się na gałęzie, były same za czasu młodości pnia, gałązkami puszczającemi pączki. Jak z wielu gałęzi bujających wówczas, kiedy drzewo było jeszcze drzewkiem, przetrwały tylko dwie lub trzy i dziś jako potężne konary, wydają wszystkie gałęzie; tak z wielu gatunków, które w dawnych czasach istniały, pozostały tylko nieliczne, dziś żyjące i zmienione pokolenia. Pewne gałęzie z czasu pierwszego rozwoju poschły i odpadły, a te zaginione gałęzie rozmaitej wielkości, przedstawiają całe rzędy, rodziny i rodzaje, które już dziś nie mają przedstawicieli i tylko z kopalnych resztek są nam znane. Jak spostrzegamy, że tu i owdzie nizko na pniu wyrasta w miejscu rozwidlenia cienka, samotna gałązka, która przypadkiem wskutek sprzyjających okoliczności, przetrwała na wierzchołku pnia, tak widzimy czasem zwierzę np. dzióbaka, które pokrewieństwem swem poniekąd łączy dwie duże gałęzie żyjącego świata. Jak pączki rosnąc wydają nowe pączki, a te znów wyrastając, rozgałęziają się na wszystkie strony i przerastają wiele słabszych gałęzi,

tak też, zdaje mi się, stało się z wielkiem drzewem żyjącego jestestwa, które wypełnia skorupę ziemską odpadłemi i połamanemi konarami, a wspaniałem rozgałęzieniem wciąż postępującem naprzód jej powierzchnię pokrywa“ (K. Darwin — „Powstanie gat.“). — Prócz tego nowa teorya miała lekkie zabarwienie legendowe, poetyczne i wdzięczne, a tym wszystkim, którym zawadza Kościół, uznający między innemi i księgę *Genesis* za Pismo św., podawała gotową broń do ręki.

Więc jedna partya uczonych, sprzyjająca nowemu poglądowi, przyjęła descendencyę i uznała ją za teoryę jedynie naukową, zaznaczając zarazem, że odtąd przedmiotem dalszych dyskusyj, ma być tylko kwestya, o ile samo tłumaczenie przez dobór odpowiada przedmiotowej prawdzie. Inni natomiast przyrodnicy położyli znak zapytania zaraz przy podstawie teoryi i poczęli pytać o dowody świadczące o pokrewieństwie istot żyjących. Między partyami wywiązał się spór, niekiedy tak ostry, że *epitheta ornantia,* któremi się raczono, nie nadawały się się do druku, a wystarczy przeglądnąć parę stronic *Jenaische Zeitschrift für Naturwissenschaften* (1876, 10 Bd.), gdzie rzecznik teoryi, E. Haeckel, nie oszczędza W. Hisa, A. Goettego, L. Aggassiza, A. Wiganda, A. Bastiana, aby mieć o tem wyobrażenie więcej niż dostateczne. Partye i dziś istnieją, ale tyle się zmieniło, że od jakiego dziesiątka lat zwiększa się liczba przeciwników teoryi, bo pewna liczba uczonych opuściła obóz jej zwolenników i stoi na pasie neutralnym, a niektórzy wprost przeszli do nieprzyjaciół. Do liczby tych ostatnich należy A. Fleischmann, profesor zoologii i anatomii porównawczej na uniwersytecie w Erlangen. Gorliwy z początku obrońca teoryi pracował przez 10 lat na korzyść descendencyi. Szukając jednak dla niej rzetelnych i pozytywnych punktów oparcia, zmienił zdanie — w ostatnim czasie wygłosił szereg odczytów o obecnym stanie descendencyi i dał je do druku p. t.: *Die Descendenztheorie. Gemeinverständliche Vorlesungen über den Auf- und Niedergang einer wissenschaftlichen Hypothese* — w tym celu *dass die falschen Ansichten von dem wissenschaftlichen Werte dieser Theorie zerstört werden.* (Przedmowa).

Więc celem książki jest wykazanie naukowej wartości, a jej treścią krytyczne omówienie samych podstaw teoryi descendencyi. Pytanie: czy typy wyższych organizmów powstały z niższych i jak styl budowy jednego typu przemienił się w styl drugiego, może być rozwiązane na polu i w świetle faktów anatomii, paleontologii i historyi rozwoju. Tu też szukali uczeni potwierdzenia teoryi, a p. Fleischmann wykazuje ich zdobycze po 40 latach pracy.

Z dziedziny paleontologii omawia obszernie konia i ślimaka słodkowodnego. Pomysł tego *Paradepferd der Descendenztheorie* Haeckla, opierał się na szeregu skamieniałych odnoży i zębów, wykazującym kolejne i stopniowe przekształcanie, jakiemu uległo zwierzę wielkości mniej więcej naszego lisa, zanim powstał koń dzisiejszy. — Otóż szereg ten naprzód nie jest jedyny. Różni paleontologowie różne mają poglądy na genealogiczne następstwo skamielin, a nam naprawdę pozostawiony wolny wybór z większej ilości dosyć różnych zarysów drzew rodowych np. zarys Marsha, Copego, Schlossera. Szereg taki, jakkolwiek on wygląda, przedstawia części szkieletowe odnoży zwierząt, uznanych przez paleontologów za konie i sam za dowód nie wystarczy, gdyż zwierzę prócz szkieletu odnoży, posiada inne części składowe, a te mogą się bardzo różnić mimo podobieństwa tamtych. O miękkich częściach mowy być nie może, bo wygniły, ale są inne resztki tych samych organizmów. Są zęby i wykazują grube różnice, które znów pociągają za sobą różnice pod względem kształtu czaszki. Dokładne badania wykazują również znaczne różnice w innych częściach szkieletu. Następstwem tego było, że paleontologowie podzielili cały szereg rodowy na trzy rodziny: *Hyracotherinae, Palaeotherinae* i *Equinae*, z których tylko ostatnia przedstawia prawdziwe konie. *Equinae* połączono z tamtemi gatunkiem *Meryhippus*, który dotąd jest znany ze zębów trzonowych i z nazwy. W prostej linii poprzedników konia stał *Hipparion* i *Hippidium*. Gruntowna jednak analiza dokładniej zachowanych szkieletów spowodowała wykluczenie ich i dziś tworzą tylko boczne gałęzie. Jeszcze niedawno liczono wiele na *Hippariona* jako ważną przejściową formę. — Niemałą trudnością dla rodowodów powyższych jest fakt, że we wschodnich Indyach warstwy mioceńskie najwyższe jako też warstwy górne plioceńskie w Italii i Algierze wykazują gatunki dzisiejszego konia wraz z gatunkami dawniejszemi: równocześnie występują pień i jego najmłodsze gałązki wierzchołkowe. Ten fakt nasuwa na myśl istniejące dziś równocześnie różne gatunki konia. Do tego wszystkiego dodać jeszcze trzeba, że nazwy *eo-, oro-, meso-, miohippus* oznaczają rodzaje, które obejmują większą lub mniejszą liczbę gatunków. Więc podstawiając w miejsce nazw rodzajowych poznane do dziś gatunki, dostaniemy zamiast jednego *mesohippus* dziesięć różnych *mesohippus*, za jednego *hippariona* dwadzieścia różnych *hipparionów*. — Jaka jest właściwie ilość nazw gatunkowych, z całą stanowczością nie można powiedzieć, gdy się zważy trudności, z jakiemi paleontologia ma do walczenia.

Przy omawianiu słodkowodnego ślimaka maluje p. Fleischmann ogólny obraz badań paleontologicznych i geologicznych.

Wychodząc z faktu, że w pokładach następujących po sobie znajdują się skorupy ślimaków, różne pod względem wielkości, rzeźby, kształtu, usiłują paleontologowie wykazać przy pomocy studyum stosunku wzajemnego warstw, że te skorupy nietylko są zbliżone do siebie lokalnie ale i genetycznie. Rzecz ma się tak: Na miejscu odkrycia zbiera badacz możliwie najbogatszy materyał z jak najliczniejszych warstw. W domu po oczyszczeniu skorup przystępuje do ich sortowania na podstawie wzajemnego podobieństwa i różnic. W ten sposób zostają naprzód określone typy form i otrzymują nazwy. Pozostały materyał układa w szeregi, które stanowią człony między typowemi formami i okazują kolejne przechodzenie jednej w drugą. Podobny obraz mielibyśmy, gdyby ktoś ustawił trzy trójkąty: rozwartokątny, prostokątny i ostrokątny w pewnej odległości od siebie, a następnie poczynając od rozwartego, wypełniał luki innemi trójkątami o coraz mniej rozwartych kątach aż do prostokątnego, potem o coraz ostrzejszych Szereg ten okazywałby przejście trójkąta rozwarto-kątnego w prostokątny i ostrokątny. W dalszym ciągu uwzględnia paleontolog stosunki geologiczne. Wraca na miejsce pierwotne i porównywa, czy szereg w domu ustawiony odpowiada szeregowi warstw leżących na sobie.

Ponieważ o bliższem lub dalszem pokrewieństwie skorup musi rozstrzygać subjektywny sąd uczonego, więc powstają spory o szeregi skorup nie całkiem do siebie przystające. A z czegóż wnosi paleontolog różnicę i stopniowe przekształcanie jednej formy w drugą? Z różnych wypukłości skorupy, słabiej lub silniej rozwiniętych skrętów, z tego, w jaki sposób zwinięta jest skorupa, czy zwoje przebiegają w jednej płaszczyźnie, czy też piętrzą się ponad sobą. Tymczasem kształt domka ślimaczego i jego rzeźba nie są w przyrodzie tak ściśle i pedantycznie określone, jak się zwykle w teoryi przyjmuje i niema takiego prawidła, że indywidua tego samego gatunku współcześnie żyjące lub indywidua wielu generacyj muszą mieć skorupy identycznie takie same.

W kilku odczytach p. Fleischmann rozbiera krytycznie odkrycia na polu anatomii porównawczej w zakresie zwierząt kręgowych i wykazuje znaczenie ich dla descendencyi. Anatomia wykazała wspólny styl w budowie odnoży ssawców, ptaków, gadów i płazów. Najniższe kręgowce, ryby, dotąd usuwają się z pod tego prawa. Problem Gegen-

baura, wyprowadzający odnoża z pletwy, jest naciągany i mało znalazł zwolenników, więc dziś niema nawet ponętnej teoryi pod tym względem. Z budowy zaś typowej odnoży w czterech gromadach wyższych niewiele więcej możemy wnosić o wspólnem pokrewieństwie tych grup, jak ze stylu gotyckiego w różnych kościołach o tym samym architekcie. Prócz tego odnoże — to jeden organ, który może być bardzo podobny do innych organów samych w sobie bardzo różnych. Że sąd na takiej podstawie oparty, jest powierzchowny, dowodzą liczne przykłady z historyi rozwoju descendencyi.

Szukając przodków dla zwierząt ssących, wzięto za punkt wyjścia niżej uorganizowane ssawce i robiono sobie z początku pomost do niższych kręgowców przez torbacze, *marsupialia*. Późniejsze badania anatomiczne wykazały, że zbyt się one różnią od wyższych ssawców, więc wyznaczono im rolę bocznej gałęzi. Pozostały stekowce, *monotremata*. Dziób i kloaka przypominają ptaki, więc opierając się na tych dwóch organach przyznano im znaczenie łącznika między ssawcami i ptakami. Nie potrzeba było nawet zbyt gruntownych badań anatomicznych, aby zrozumieć niemożliwość takiego poglądu. Nowsze badania zaczęły szukać dzióbaka na drodze od ssawców do gadów. Wykazały, że ma on wiele cech zgodnych z gadami, ale cechy zwierząt ssących taką mają przewagę, że potrzeba bardzo bujnej wyobraźni, by sobie wystawić taką jaszczurkę przekształcającą się w zwierzę z organizacyą choćby słabą dzióbaka. Dopiero obserwacya form pośrednich mogłaby temu wyobrażeniu nadać znaczenie. Dlatego też niektórzy nawet z obozu przyjaciół drzew genealogicznych uważają już dziś stekowce za gałąź boczną podobnie, jak to uczyniono dawniej z torbaczami.

Ryby dwudyszne były w teoryi łącznikiem między rybami oddychającemi za pomocą skrzeli i płazami płucnemi. Kwestya jednak rozwoju odnoży z pletw dotąd nie rozwiązana, a badania innych części organizmu nie dostarczyły przekonywających dowodów lub nawet doprowadziły niektórych nowszych anatomów do prostego zaprzeczenia związku żab z rybami dwudysznemi.

W rezultacie badane gromady kręgowców nie dają i dziś odpowiedzi na pytanie postawione przed 40 laty. Głębsze studyum anatomiczne rozwiało żywione nadzieje lub je bardzo osłabiło i obecnie trzeba szczerze wyznać, że brak nawet punktów zaczepnych, aby pytajniki usunąć. Jeszcze większa powstaje trudność, gdy od gromad przejdziemy do typów i zapytamy o ich wspólnych przodków. P. Fleisch-

mann przechodzi dokładnie tylko typ członkonogich, mięczaków i szkarłupni.

W pierściennicach poczęła teorya descendencyi upatrywać przodków typu członkonogich, a Fritz Müller w dziełku: *Für Darwin*, usiłował drogę jej utorować przez larwy raków. Inne próby odbywały się na larwach owadów. Są jednak dziś podręczniki, w których autorowie, choć zwolennicy nowej teoryi, zwalczają te zapatrywania. Niedawno odkryty *Peripatus* zwrócił na siebie uwagę, gdyż skupia w sobie pewne cechy owadów i pierścienic. Ale żyjące dziś grupy tych zwierząt tak ostro odróżniają się nawzajem anatomicznie i biologicznie, że Haeckel musiał się uciec do wykombinowania nowych nazw dla hypotetycznych cech hypotetycznych przodków. — Podobne rezultaty wydały badania mięczaków. Fryburski zaś paleontolog, G. Steinmann, który skądinąd sympatyzuje z descendencyą, wypowiada głośno w uroczystej mowie, że wielkie grupy, wykazujące wiele wspólnych cech, niekoniecznie są pokrewne i pochodzenie wszystkich członków takiej grupy, niekoniecznie trzeba wyprowadzać z jednego rodowego pnia, a jako przykład wylicza szkarłupnie. Zdanie takie jest przeciwne zapatrywaniu dotąd ogólnie przyjętemu.

Wielkie nadzieje pokładała teorya w historyi rozwoju: Fakt, że każdy organizm z początku swego istnienia indywidualnego jest jedną komórką, rodzi myśl, że to jest spadek po przodkach jednokomórkowych. Ale faktem również jest, że te proste komórki różnią się w budowie protoplazmy i posiadają rozmaite kierunki rozwoju: z jednej będzie tylko ssak, a z drugiej tylko ptak. Można wpłynąć na przebieg rozwoju takiej komórki, można przeszkodzić rozwojowi prawidłowemu i spowodować chorobliwe zboczenia — mimo jednak rozlicznych i długich prób dotąd przynajmniej z jaja ptasiego jeszcze nie otrzymano jaszczurki. — Powstało prawo biogenetyczne: w rozwoju jednostek powtarzają się najważniejsze transformacye, którym ulegali przodkowie w długotrwałych okresach podczas ewolucyi dążącej do tego stopnia wydoskonalenia, jaki zajmuje ich dziś istniejące potomstwo. W świetle tego prawa gąsienice owadów przypominają robaki, kijanki żabie nasuwają na myśl ryby. Ścisłe badania jednak wykazały, że zachodzi tu coś podobnego, jak u owych motyli, które, gdy usiędą na drzewie i złożą skrzydełka, są podobne do suchego liścia i dopiero rozłożywszy skrzydła w czasie lotu, okazują charakterystyczne pstre barwy. Kijanki są tak podobne do ryb, jak te motyle do liści.

Niewiele lepszych dowodów dostarczają organizmy, które z chwilą

urodzenia swego występują w gotowych kształtach rodziców. Podług prawa biogenetycznego w pierwotnej jego formie powinien taki np. przyszły ptak przechodzić w skorupie stopnie swoich niżej uorganizowanych poprzedników. Tymczasem w zarodku np. kurczęcia wcześnie występują cechy, tylko wyższym zwierzętom właściwe, a już chyba niepodobna wystawić sobie zwierzęcia swobodnie żyjącego z organizacyą, jaką embryon w różnych stadyach wykazuje. To też wnet powyższe prawo uległo modyfikacyi. Zjawiska obserwowane na embryonie, rozdzielono na palingenetyczne, które podają krótką treść historyi przodków i na cenogenetyczne, nowo nabyte w kolei czasów, które zagłuszały lub nawet zatarły ślady palingenetyczne. Analiza ostatnich lat wykryła, że procesów cenogenetycznych jest daleko więcej jak palingenetycznych. Dlatego niektórzy badacze nie przywiązują już zbyt wielkiej wagi do ontogenezy, a wyżej wspomniany Steinmann wyraził przed dwoma laty takie zdanie, że proces palingenetyczny jest tak niedostateczny i tak bardzo przemieniony, iż przy budowie drzew rodowych, żadną miarą nie może dostarczać pierwszorzędnych dowodów, *ja sie kann, wie wir wissen, gerade den falschen Weg weisen.*

Niezaprzeczenie okazują zarodki tego samego typu zwierząt pewne podobieństwo. U kręgowców tworzą się na początku kanału pokarmowego boczne wypukliny, które na zewnątrz ujawniają się szparami. U ryb wykształcą się z tego jamy skrzelowe, a w nich skrzele. W innych gromadach pozostają one na stopniu minimalnych rozmiarów, nie służą do oddychania i wyjąwszy pierwszą parę, które mieć będzie nowe znaczenie fizyologiczne, wnet zanikają. Chcąc z tego zjawiska snuć wniosek, że to jest pozostałość po wodnych przodkach, należy wprzód udowodnić, że te maleńkie, zanikające kieszonki wyższych kręgowców posiadały niegdyś zdolność wyrastania na jamy skrzelowe. Studyum historyi rozwoju służy do pogłębienia i rozszerzenia zakresu wspólnych cech, poznanych na drodze anatomii porównaczej. Niema jednak powodu, cechom wspólnym występującym w zarodkach jak powyższe kieszonki lub struna grzbietowa, przypisywać większą wartość nad tę, którą mają cechy wspólne trwające w ciągu całego życia. — Wogóle badania embryologiczne nad kręgowcami wykazały, że cechy charakterystyczne gatunków już w najniższem stadyum embryonów są wyciśnięte — kto nie ma wprawy, łatwo nie widzi różnic, ale wprawny wykaże je bez wielkich trudności.

Taki jest stan obecny teoryi descendencyi. Ukazawszy się światu zdobyła wnet prawie wyłącznie dla siebie szerokie pola nauk przyro-

dniczych i zaludniła w niebywały sposób pracownikami obszary anatomii, embryologii, paleontologii. Praca ich przyczyniła się do lepszego poznania przyrody, więc wydała owoce, ale niemi teorya descendencyi karmić się nie może. To też urosła chyba tylko w lata, na wyglądzie nawet straciła. Strojne szaty, w które ją przyozdobiono na razie w nadziei blizkich powodzeń na drodze odkryć, dziś wyglądają poblakłe, robione jakby na wyrost, a niektóre nawet utraciła, bo nie były jej własnością. Więc każdy, zajmujący się kwestyą, pyta o przyszłość. Prof. Fleischmann nie czyni teoryi żadnych nadziei. Przyjaciele jej żywią i dziś nadzieję, każą czekać na nowe formy kopalne, a skoro setny raz przekonują się, że bardzo stara skamielina nie jest formą przejściową pnia rodowego tylko boczną gałęzią, dodają, że już w najdawniejszych peryodach, z których posiadamy szczątki organizmów kopalnych, istniały wszystkie wielkie grupy zwierząt, a nawet po części na drobniejsze grupy już się rozdzieliły. Innemi słowami: poprzedników dla typów zwierzęcych trzeba szukać tam, skąd żadnych pozytywnych wiadomości mieć nie można. Dziś coraz większa jest liczba uczonych, którzy o obecnym stanie wiedzy mówią z wielkiem umiarkowaniem, nie boją się otwarcie nazwać ludzki rozum ograniczonym i skromnie spoglądają w przyszłość.

W zeszytach marcowych *Biologisches Centralblatt*, znajduje się krytyka książki p. Fleischmann'a p. t.: *Ein moderner Gegner der Descendenzlehre v. Prof. L. Plate.* Krytyk zarzuca naprzód autorowi trochę błędne wyrażenie się o stosunku nauk przyrodniczych do religii. Zarzut rzeczywiście słuszny — ale te zapatrywania autor wypowiada ubocznie, one nie należą do rzeczy, dowodów nie stanowią. Z tego powodu też powyżej nie było o nich wzmianki. Następują zarzuty ogólne i szczegółowe, z których może najważniejszy jest ten, że p. Fleischmann nie uwzględnia wszystkiego. Jeśli teraz p. Fleischmann zechce uwzględnić te zarzuty i rzeczy opuszczone, to z powodu pierwszych nie będzie w wielkim kłopocie, a na drugie odpowie to samo, co powiedział w swej książce przy omawianiu analogicznych przykładów. P. Plate straszy autora, że wpadnie w ręce teologii i nauki o stworzeniu. Ale cóż znaczyć będzie ta przestroga, gdy p. Fleischmann powie, że taki zarzut jest nienaukowy, bo uczony powinien z miłości dla prawdy nawet na takie strachy nie zważać? Wkońcu nie obiecuje krytyk książce powodzenia. O tem trudno stanowczy sąd wydać na razie — ale można powiedzieć, że jeśli książka p. Fleischmann'a nie

znajdzie powodzenia, nie będzie tego przyczyną nader słaba krytyka p. Plate'go, a jeśli znajdzie powodzenie, to taka krytyka nic jej nie zaszkodzi.

Ks. J. B.

Smutnoje wriemia w sowriemiennoj jemu polskoj literaturie. Czast' 1. 1605—1607. *Wierzbowskij Teodor.* (Matierijały k istoriji moskowskawo gosudarstwa w XVI. i XVII. stolietijach. Wypusk III.). Warszawa, 1900. Typografija warszawskawo uczieb nawo okruga. (Str. XV+163).

Badania nad smutną historyą Dymitra Samozwańca wzmogły się w ostatnich czasach niepomiernie. Od roku bowiem 1898, kiedy to ks. P. Pierling T. J. ogłosił list Dymitra do papieża Klemensa VIII., dwu wybitnych uczonych — prof. Stanisław Ptaszycki i dr. Jan Baudouin de Courtenay zbadało ów list ze strony językowej, dwu innych zaś — dr. Aleksander Hirszberg i Eugeniusz Szczepkin ogłosiło obszerne prace o dziejach Dymitra. To nieustanne zajęcie się Samozwańcem dało prof. Wierzbowskiemu, który obdarza naukę naszą ciągle obfitemi materyałami do historyi literatury XVI. i XVII. wieku, dobrą sposobność do ogłoszenia w wydawanej przez niego publikacyi kilku współczesnych Dymitrowi utworów polskich, odnoszących się treścią swoją do smutnych tych wypadków. Ulotne zaś te pisma rzucają ciekawe światło na ówczesne stosunki i mają też znaczenie dla historyka, gdyż są w stanie wykazać obustronne naprężenie umysłów, jakie w tym czasie z powodu sprawy Dymitra Samozwańca panowało, a nadto wyświetlić tem lepiej zapatrywania ogółu szlacheckiego na poszczególne wypadki tej smutnej historyi.

Rzecz dziwna, że pisma te przechowały się do nas w nadzwyczaj małej liczbie egzemplarzy, czasem w dwu lub jednym tylko. Pierwsza z nich p. t.: „Mars moskiewski krwawy", napisana przez Jana Żabczyca, ukazała się w dwu wydaniach w roku 1605 i 1606. Napisana przez szlachcica, przebywającego na dworze Mniszków, przynosi nowe szczegóły, z których najważniejszy o pobycie Dymitra w Samborze. Że szczegółów tych nie napotyka się wiele, temu winna forma wierszowana, jako też dążenie, ażeby początkowe litery każdego dwuwiersza razem złożone dały pełny tytuł Dymitra Samozwańca. Temuż samemu autorowi zawdzięczamy drugą broszurę p. t.: „Poseł Moskiewski", wydaną w r. 1605 i po raz drugi w r. 1606. Treścią jej jest opis pobytu w Polsce A. W. Bezobrazowa, który przybył

celem poślubienia imieniem Dymitra Maryny Mniszkównej i odwiezienia jej do Moskwy. Broszura trzecia z rzędu, „Hymenaeus“, Jana Jurkowskiego, jest małoznacząca, gdyż stanowi panegiryk, słaby pod względem formy, z okazyi zamążpójścia Maryny Mniszkównej. Czwarte pismo, nadzwyczaj cenne pod względem poetyckim, „Pieśń na fest ucieszny“ ks. Stanisława Grochowskiego, wyszło w r. 1606 dwa razy, po raz drugi w wydaniu zwiększonem i obejmuje pokrótce całe dzieje Dymitra. Kiedy Maryna Mniszkówna odjechać miała z Polski, wydaje znany już nam Żabczyc trzecią broszurę p. t. „Żegnanie ojczyzny“, w którym to utworze należy podkreślić fakt, iż Dymitr wysyłał gońców, ażeby przyspieszyć odjazd żony do Moskwy. Dwie następne broszury Jana Danieckiego, „Przyjaciel szczery“ i część druga „Żałosnego narzekania Korony polskiej“ są już podrzędniejszego znaczenia. Bardzo interesującem jest natomiast pismo Jana Lifftela p. t.: „Gody Moskiewskie“. Kim był Lifftel — tego bliżej nie wiemy. Wiadomo tylko tyle, że był cudzoziemcem, zostającym na dworze Mikołaja Oleśnickiego, z którym razem był w Moskwie. Utwór zaś jego, napisany jeszcze w Moskwie, pod świeżem wrażeniem wypadków, zasługuje na uwagę historyka. Broszurę tę wydał prof. Wierzbowski z jedynego egzemplarza, jaki przechował się w Bibliotece Ossolińskich. Również z unikatu Biblioteki Kórnickiej przedrukował prof. Wierzbowski „Pobudkę sławnej Korony Polskiej“, wydaną anonimowo w Krakowie w r. 1607 lub 1608. Za autora jej uważa Wojciecha Rakowskiego. Podnieść też należy uwagę wydawcy, iż w pismo to wprowadził Rakowski kilkanaście ustępów z poematu Marcina Paszkowskiego p. t.: „Wenecya“. Również do unikatów należy „Lament serdeczny“, wydany anonimowo. Znaczenie wszelako jego jest bardzo nieznaczne. Zaznaczyć nakoniec wypada, że prof. Wierzbowski zaopatrzył całą pracę w bogaty we wiadomości wstęp, że dalej dodał indeks imion własnych, dla nieumiejących zaś po polsku słowniczek. Zeszyt omówiony nie wyczerpuje bynajmniej druków polskich, odnoszących się do dziejów Dymitra Samozwańca. Miejmy nadzieję, że niebawem przyjdzie nam, dzięki mrówczej pracowitości prof. Wierzbowskiego mówić o dalszym ciągu tej kolekcyi.

Stanisław Zdziarski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

PROTESTANTYZM WE FRANCYI.

Coraz to smutniejsze wiadomości dochodzą nas z Francyi. W tym kraju, który tak gorącem odznaczał się niegdyś przywiązaniem do wiary i Kościoła, przechodzi ten sam Kościół ciężkie walki i czasami zdaje się nawet, jakby się chwiały podwaliny Jego. Jak długo fale prześladowań uderzają z zewnątrz, Kościół się ich lękać nie potrzebuje; słowo Chrystusa o opoce Piotrowej, jak sprawdzało się dotąd, sprawdzi się i w przyszłości. Nie takich wrogów widział już Kościół powalonych u swych stóp. Gorzej jednak, jeżeli zdrajcy znajdą się w samych szeregach żołnierzy Chrystusowych i jeżeli zaburzenia powstają w samem Kościoła łonie. A tak się rzecz ma w istocie, jeżeli wierzyć możemy francuskim protestanckim pismom, jak *Prêtre converti* lub *Chrétien français*. Z tych i tym podobnych pism dowiadujemy się, że protestantyzm roztoczył swe polipie ramiona nietylko w Austryi i Czechach i że hasło *Los von Rom* rozbrzmiewa nietylko nad Dunajem lub w Hiszpanii; i Francyę zaszczycili protestanci swemi odwiedzinami i agitują nietylko między ludem, ale w pierwszej linii między klerem. Na oko sądząc, trzeba powiedzieć, że krecia ta robota wydaje owoce. Protestantyzm liczy, jak nam donoszą dwa wspomniane

dzienniki, wiele parafij, a w ostatnich tylko latach powiększyło jego szeregi 348 księży, którzy wyrzekli się Kościoła i przeszli do czystej ewangelii.

Odstępstwom nie przeczymy; propaganda protestancka istnieje i rozwinęła we Francyi żywą działalność; skutki jednak, podobnie jak w Austryi, nie odpowiadają bynajmniej oczekiwaniom. Tych protestanckich parafij dzisiaj znów tak wiele we Francyi niema; gruntownie i zasadniczo wykazał to w roku zeszłym ks. Portalié w szeregu artykułów ogłoszonych w *Etudes réligieuses*. Wiele z tych gmin zniknęło zupełnie, inne zmalały do niepoznania; z pomiędzy protestantów jedni nie uczęszczają wcale do zborów, inni w nic już nie wierzą, nie są więc niebezpiecznymi, a inni jeszcze przez mieszane małżeństwa skłaniają się ku katolicyzmowi i dzieci swoje po katolicku wychowują. Propaganda między ludem nie cieszy się również zbytniemi rezultatami. Mimo zepsucia, jakie w rozmaitych sferach francuskich panuje, posiada lud jednak dużo przywiązania do Kościoła i wiary, a jak ktoś słusznie zauważył, lekkomyślny Francuz, mimo swych grzechów i upadków, spodziewa się zawsze szczęśliwej godziny śmierci i nie chce zrywać oficyalnie z Kościołem, który go wychował, i do którego pragnie koniecznie kiedyś powrócić; takich więc odstręcza od protestantyzmu rozkład sekty, niewiara i zbytnia wolność obyczajów, jaka cechuje protestanckich pastorów i odstępców. Pozostał kler, i o nim pisze apostata Charbonnel, że w ostatnich latach pomnożył o 348 predykantów szeregi protestanckie.

Jest to wprawdzie tylko gołosłowne twierdzenie; skontrolować się ta liczba nie da, bo niczego tak protestanci nie unikają, jak podania faktów konkretnych, statystycznych, na którychby się bezpiecznie oprzeć można. A chociażby i ta liczba prawdziwą była, jest ona jeszcze dość małą, jeżeli się uwzględni te tysiące księży świeckich i zakonnych, tak w samej Francyi jak i jej misyach. Zresztą nie wiadomo, ilu w tej liczbie znajduje się rodowitych Francuzów, ilu przybyszów, konwertytów, którzy na nowo odpadli; faktem jest tylko, że przez ich odstępstwo Kościół żadnej straty nie poniósł, owszem na tem

zyskał. Ci księża-odstępcy chcieli najpierw utworzyć osobną sektę wzorem dawnych Jansenistów; ale zbywało im niestety na wszystkich warunkach. Janseniści liczyli w swym gronie ludzi uczonych, wybitnych znaczeniem i stanowiskiem, i niejeden z biskupów i książąt Kościoła do nich należał; zawsze jednak mieli oni jakąś wiarę, a pobudki ich odstępstwa nie były ogółem tak złe, jak pobudki dzisiejszych odstępców. Co sądzić dziś o przyczynach przejść na protestantyzm, wiemy dobrze z codziennych doświadczeń i z tego, co nam podają gazety; to też nie dziw, że każdy z tych apostatów zrzuca od razu maskę i nie kryje się ze swą bezbożnością; rzadko jeszcze znaleźć między nimi człowieka, któryby wierzył w Bóstwo Jezusa, w życie przyszłe, w wieczność kar lub inspiracye ksiąg świętych. Jest to dodatnia strona tego ruchu, gdyż z tego powodu księża-odstępcy utracili wszystek wpływ na lud, który znowu nie chce, jakeśmy to wyżej powiedzieli, zerwać zupełnie z Kościołem a swoją drogą irytuje się i tem, że protestanci podają mu odgrzewane, znane wszystkim rzeczy, i nie znajdują w całej swej nauce nic nowego ani oryginalnego, coby mogło pociągnąć umysł lub wpłynąć na wyobraźnię. Doszło już do tego, że dzisiaj urządzają protestanci swe zgromadzenia po kawiarniach i restauracyach; zniżono tam ceny pokarmów i napojów, lecz, jak nam piszą, niewielki to wszystko odnosi skutek, bo Francuz, który dał się raz złapać na wędkę, drugi raz na zgromadzeniu i wykładzie już się nie pojawi. Stałymi gośćmi tych nabożeństw kawiarnianych i restauracyjnych są tylko młodzi Niemcy, a i tych ciągnie jedynie praktyczna strona sprawy: taniość wiktuałów i okazya nauczenia się języka krajowego; nie taki jednak cel mieli na oku protestanci francuscy. Zresztą są oni skompromitowani w oczach wszystkich przez swe łączenie się z protestantami z Ameryki, Anglii i Holandyi, i to też najwięcej ich powagę osłabia; bez tej protekcyi obejść się jednak nie mogą, gdyż bez ich pieniędzy cała sprawa przedstawiałaby jeszcze smutniejsze rezultaty. Sposób wreszcie tej propagandy nie odwdzięczającej się niestety tak, jak tego oczekiwano, jest we Francyi przynajmniej trochę oryginalny. Używają oni i tu pie-

niędzy i olbrzymie sumy wyrzucają, aby je rozdzielić między upatrzonych a z reszty zakupić dużo książek, obrazków i t. p. To jest jednak w ich opinii rzeczą podrzędną. Pastorzy i uczeni ewangeliccy wkradają się przeważnie w łaski i zaufanie księży, cieszących się nie najlepszą sławą. Pozornie szukają porady w sprawach duchownych, chcą się nawrócić, przedstawiają swe trudności i zapatrywania kapłana osłabiają sofistyczną argumentacyą; tym sposobem w niezahartowaną duszę sączy się jad, aż dojdzie do tego, że takiemu księdzu nic więcej nie pozostaje jak tylko odstępstwo. Wielką w każdym razie oddają protestantom przysługę dzisiejsze racyonalistyczne egzegetyczne szkoły. Francya zachowywała się długo wobec tych nowych prądów w egzegezie zanadto sceptycznie i lekceważąco, to też kiedy się one raz do kraju przedostały, wyrządziły tam niemałą szkodę. Wszystko, co tylko zdołała stworzyć fantazya pseudo-uczonych niemieckich lub angielskich, przyjęły niektóre niedowarzone głowy, jako niezbite fakta, zapominając o tem, że co jeden taki uczony za nieśmiertelną prawdę uważał, to drugi dziesięć razy zbił, wydrwił i nową teoryę postawił, która z kolei rzeczy los pierwszej podzieliła, aby trzeciej ustąpić. Gdy przez te głębokie nauki wypaczono całe Pismo św., odarto je z Boskiego charakteru i zniżono do rzędu zwykłych bajek, urojeń i mitów, nic dziwnego, że umysł, który wszystko za dobrą monetę przyjmował, wypaczył się i odpadł od wiary tem łatwiej, że już przedtem nie najżywszą wiarą się odznaczał; tak więc pobudki odstępstw nie były wcale tak czyste ani duchowe, jakby to w nas wmówić chciano. Nic też dziwnego, że dawno osiedli protestanci zachowują się bardzo obojętnie wobec całego ruchu i że księża-odstępcy, tak zwani *evadés,* więcej protestantyzmowi zaszkodzili, aniżeli pomogli.

Śmiesznem się tylko wydaje żądanie niektórych katolików, aby ograniczyć egzegezę i wykłady Pisma św. W takiem życzeniu przebija ukryta obawa, czy też może nauka nie dojdzie do rezultatów Pismu św. przeciwnych. Tego się lękać nikt nie powinien; prawdziwa nauka, jak zawsze, tak i nadal będzie z nauką objawioną harmonizowała. Sprzeczność tylko wtedy

się pokaże, gdy mrzonki, urojenia i osobiste zapatrywania będziemy przyjmować za stwierdzone i udowodnione tezy. To jednak nie jest bynajmniej nauką, lecz właśnie jej wypaczeniem.

PSEUDO-RÓWNOUPRAWNIENIE AMERYKAŃSKIE.

Interesujące wiadomości o stanie Kościoła katolickiego w Ameryce przynosi nam ostatni szematyzm *Catholic Directory*. W samych Stanach Zjednoczonych liczy Kościół rzymski 10,774.932 wyznawców, 13 arcybiskupów, 1 kardynała, 80 biskupów i 11.987 księży w 10.427 kościołach. Szkoły i zakłady dają katolickie wychowanie 1,055.632 dzieciom, a 247 orfelinatów wraz z 885 innemi instytucyami dobroczynnemi świadczy chlubnie o ofiarności katolickiej. Do tych milionów przyłączają się jeszcze wyspy Filipińskie z 6,565.998, Portorico z 1,012.400 i wyspy Sandwichskie z 33.000 współwyznawców. Piękna ta liczba mówi o potędze akcyi i organizacyi katolickiej, a mimo to stanowisko Kościoła w Ameryce nie jest dzisiaj wcale zadowalniające. Sądzono kiedyś, że katolicyzm w tubylcach znajdzie nietylko uznanie, ale i poparcie i że lud sam konwersyą pomnoży szeregi wiernych. Była to jednak niemiła iluzya. Jak donoszą gazety katolickie amerykańskie, Kościół spotyka się tam nietylko z obojętnością, ale z zupełnie niezrozumiałą, kalwińską nienawiścią. „Jest to złudzeniem, jeżeli niektórzy łatwowierni katolicy sądzą, że naród amerykański sprzyja, jako całość, Kościołowi lub jego instytucyom“. Podobne stanowisko zajmuje rząd. Prezydent Mac Kinley należy do loży, przyjęto z wielkim hałasem do niej niedawno wiceprezydenta p. Roosevelt, a i ciało ustawodawcze w Hawannie, rozdzielające na Kubie Kościół i państwo, wykazuje pewne zbyt ścisłe pokrewieństwo, łączące je z kielnią i fartuchem. Łatwo więc zrozumieć, że rząd Kościołowi katolickiemu, wbrew swym hasłom o równości i wspólnej wszystkim wolności, niewiele pomaga, a za to dużo szkodzi. Tak dążą usiłowania rządu wcale jawnie do pozbawienia szkół wszelkiego charakteru wyznaniowego. Wykluczono więc na katolickich Filipinach wszelki wykład religijny w szkołach, a dla przeprowadzenia tej reformy wysłano ze Stanów 1000 nauczycieli z odpowiedniemi instrukcyami. In-

strukcye te brzmią na pozór dość niewinnie. Nikt, a więc i żaden nauczyciel „nie ma nauki jakiegokolwiek Kościoła, sekty religijnej lub któregobądź wyznania wykładać lub krytykować; nie ma też na uczniów publicznych szkół wpływać, by się oświadczyli za lub przeciw jakiemuś Kościołowi lub sekcie". Inaczej postępujący będą karani. Za to może kapłan lub predykant trzy razy w tygodniu na życzenie rodziców w czasach pozaszkolnych, choć w lokalu szkolnym, uczyć religii przez pół godziny. Powyższa zasada zdaje się odpowiadać pewnym względom sprawiedliwości, gdyż stawia równą miarę dla wszystkich; jeżeli się jednak zważy, że utrudnia się działalność katolickiemu kapłanowi, a ułatwia metodystom i innym sekciarzom, łatwo pojąć, że jest ona w pierwszej linii przeciwko katolikom zwrócona. Tak też rozumią sprawę i pisma katolickie, z których jedno robi bardzo trafną uwagę, że predykanci baptyści zaznajamiają prezydenta w imieniu 4 milionów baptystów ze swojemi życzeniami względem wysp filipińskich, nowojorskie zaś, waszyngtońskie i baltimorskie żydostwo śmiało wypowiada, co mu się w urządzeniu szkół nie podoba, a rząd wszystkim tym pragnieniom i żądaniom ulega; życzeń za to ośmnastu milionów katolików, żyjących pod hegemonią amerykańską nie uwzględnia się wcale. W ostatnich też czasach cofnął rząd udzielane dotychczas zapomogi katolickim indyjskim szkołom. Jest to cios niemały, bo bez szkół katolickich niema mowy o skutecznem nawracaniu Indyan, a przecież nawróceni wielkie przysługi społeczeństwu i cywilizacyi oddają. Fundusze będą teraz musieli łożyć katolicy sami, a to rzecz trudna, raz że ofiarność ich z dnia na dzień maleje, a powtóre olbrzymie podatki w kraju wolności uniemożliwiają śpieszenie z pomocą, tem bardziej, że chcąc zaspokoić swe religijne potrzeby, muszą na wszystko łożyć pieniądze z własnej kieszeni. Na prośby i zupełnie słuszne żądania katolików rząd jest głuchy, a co najwięcej odpowiada protekcyą udzielaną predykantom w celu odwodzenia ludzi od Kościoła. *Los von Rom* znane nietylko w Europie; cała np. Manila przepełniona s ł u g a m i s ł o w a, którzy nie mogąc utrzymać w ryzach własnych wyznawców, idą „r o b i ć" między katolikami.

Skutków wielkich nie osiągają; pokazuje to choćby uciekanie się do wielce oryginalnych środków. Tak np. w Brooklyn rozdają młode panie i panny po wieczornem nabożeństwie w templu bułeczki z szynką i tym podobne przysmaki, a w tym samym czasie obchodzi pastor kościół, „by się z ludźmi zapoznać". Niewiele to pomaga, ale wyświetla niejedno.

A katolicy? Amerykanizm, ta niebezpieczna odmiana liberalizmu teologicznego, po potępieniu go przez Ojca św. nie podnosi tak bardzo dziś głowy, „ale pod powierzchnią, pisze katolicka *Amerika,* zgnilizna dalej żre", przyczynia się niemało do zobojętnienia mas i odwrócenia ich uwagi od groźnego niebezpieczeństwa. Brak jedności również dużo sprawie szkodzi. Myślano od dawna o federacyi wszystkich stowarzyszeń katolickich, która to federacya potrafiłaby może oprzeć się zakusom zgubnej polityki amerykańskiej, a jednak ta federacya nie może dojść do skutku. I jak ma dojść, skoro nawet kler, nawet książęta Kościoła dzielą się tu na partye. Arcybiskup z Filadelfii, msgr. Hyen, sam odradza, nie chce być „agresywnym, lecz raczej ufać szlachetnemu narodowi, ufać tym mężom, którzy dotychczas z małemi wyjątkami pokazali, że czują uczciwie i sprawiedliwie". Ciętą odpowiedź dała wprawdzie ks. arcybiskupowi gazeta z Ohio *Catholic Columbian,* wskazując dokąd to zaufanie już zawiodło i jeszcze zawiedzie, lecz mimo to jedności niema i nie tak prędko jeszcze ona nastąpi. Zawiści wreszcie partyjne i narodowe wszelką akcyę uniemożliwiają. W imię słuszności musimy wprawdzie przyznać, że wymagania pojedynczych narodowości są często uzasadnione i słuszne i że brak tam tego równouprawnienia, które zawsze Kościołowi jest istotne; wystąpić jedynie trzeba przeciw nietaktownym formom, w jakich zadośćuczynienia życzeniom się wymaga. Ten brak taktu zdaje się być główną przyczyną, dla której różne narody w Ameryce nie otrzymują tego, czego słusznie żądać mogą.

W ostatnich dopiero czasach szykany rządowe rozbudziły trochę ducha między katolikami. Przełożeni i przedstawiciele wyższych szkół katolickich, zgromadzeni w kwietniu na rocznej konferencyi w Chicago, zawezwali do energiczniejszej pracy

i do przebudzenia się z długoletniego uśpienia. Niewielkim pewnie będzie skutek tej odezwy, w każdym razie pierwszy krok już uczyniony, a powzięte uchwały będą mogły i uśpione umysły rozbudzić.

»SPŁOSZONY KLERYKALIZM«?

Gdy tak w Nowym Świecie wszystko idzie mniej więcej przewidzianemi drogami, Świat Stary coraz to nowe gotuje niespodzianki. Partya niemiecka w parlamencie austryackim nie uważała za potrzebne kryć się więcej ze swojem hasłem i prawdziwym celem: *Los von Rom — Los von Oesterreich.* Gospodarka ta kilku niesfornych krzykaczy, musiała wreszcie stanąć kością w gardle i najcierpliwszym — i oto ostatnie dnie przyniosły tę niespodziankę, która uderzyła jak kamień w gniazdo ós i wywołała rozruchy niebywałe u Żydów, liberałów i wolnomularzy. Następca tronu, arcyksiąże Franciszek Ferdynand, obejmuje protektorat nad katolickim związkiem szkolnym, rozszerzonym po całej Austryi, a liczącym do 46.000 członków. Nic to jeszcze! Delegacyi dziękującej za tak wielki dowód przychylności, oświadcza, że staje on z własnej inicyatywy na czele związku; zachęca do solidarności i silnego łączenia się, gdyż dzisiejszy ruch *Los von Rom* równoważy się z ruchem *Los von Oesterreich;* przyrzeka wreszcie, że związkowi będzie protektorem nie tylko z imienia, ale i z rzeczy. Wiadomość ta spadła w prasę, jak grom. Gazety katolickie widziały w tem wystąpieniu arcyksięcia dowód jego religijnych uczuć i zarazem zapowiedź energiczniejszej akcyi na przyszłość; Żydzi i liberali za to uczuli się poruszeni do żywego tą manifestacyą, oplwali jadem postać arcyksięcia i tak się o nim wyrażali, że naprawdę dziwić się, jak austryacki rząd temu tamy stawić nie potrafił. Nic wreszcie dziwnego! Chodziłoż tu przecież o znienawidzonych klerykałów, którzy wszystkiemu na świecie są winni, gdyż nie chcą wzorem innych partyj rozsiewać niezgody między klasami społecznemi. Kiedy zmarły cesarz niemiecki, Fryderyk III. objął protektorat nad lożą niemiecką, pisma żydowskie przyjęły krok ten z uznaniem i doszły do wprost ge-

nialnego wniosku, że jednak loża nie jest żadnym związkiem politycznym, skoro nawet książęta jego kierownictwo obejmują; kiedy znów arcyksiąże Rudolf objawiał swe liberalne, antireligijne poglądy, ta sama prasa piała pochwalne hymny na cześć tego księcia, który potrafił się wyrwać z rąk Kościoła — dziś kiedy książe katolicki odważnie objawia swe zasady i przekonania religijne, powstaje hałas i gwałt, jakby się ziemia rozstąpić miała. — Być katolikiem w Austryi księciu krwi nie wolno, wolno mu za to być liberałem lub semitą, a rząd na wszystko pozwala i patrzy przez szpary; słucha nawet z pokorą i cierpliwością, jak takie najniższego rodzaju indywiduum, jak Eisenkolb, które tylko przez pomyłkę chyba znalazło miejsce w parlamencie i jedynie dzięki bezgranicznej cierpliwości i niepojętemu niedołęstwu pewnych osobistości stamtąd nie wyleciało, wyraża się o arcyksięciu publicznie: *und ein gemeiner Kerl bleibt er doch,* i to w chwili, kiedy prezydent, r z e c z n i e d o u w i e r z e n i a, wzywał mowców do wyrażania się z większem uszanowaniem o rodzinie cesarskiej. Burdy, hałasy, interpelacye płynęły gęstym potokiem do parlamentu — widocznie cios siedział.

Ale nie dosyć tego! Z celi klasztornej wychodzi „o r d y n a r n y a g i t a t o r“, ks. Abel, jak go szef polskich, a raczej polsko-żydowskich przewrotowców w swym delikatnym, pełnym taktu stylu nazywa, i urządza olbrzymią kilkutysięczną procesyę, rekrutującą się nie, jak pisze s z e f, z „właścicieli domów, szynkarzy, drobniejszych urzędników, woźnych“, ale prawdziwie z inteligencyi; tych dziesięć tysięcy przeciąga ulicami miasta, skupia się w pokorze przed Bogiem, objawia swe religijne zasady, dowodząc tem samem, że poza Wolfami, Schönererowcami i tym podobnymi towarzyszami z pod tej samej czerwonej i czarno-białej chorągwi, stoją jeszcze tysiące wiernie przy sztandarze Kościoła i wiary. I znowu jad i nienawiść, jakiemi ziała prasa żydowska, musiały zastąpić rzeczowe, bezstronne przedstawienie rzeczy. Jak wobec tego jednak można pisać o „spłoszonym klerykalizmie“ w Austryi, to chyba tylko s z e f i jego

towarzysze zrozumieją; jedno pojmujemy, że spłoszenie klerykalizmu jest za prawdę ich celem i marzeniem, a co w sercu to i na ustach.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z rolniczego ruchu spółkowego w Austryi.

(Dokończenie).

V. Ogólny związek spółek rolniczych w Austryi. VI. Państwowe poparcie dla rolniczego ruchu spółkowego.

V. Ogólny związek spółek rolniczych w Austryi.

Ważnym krokiem w rozwoju rolniczego ruchu spółkowego w Austryi jest zawiązany w dniu 22 sierpnia r. 1898 „Ogólny związek spółek rolniczych w Austryi“ jako towarzystwo, z siedzibą w Wiedniu.

Członkami jego mogą być: 1. krajowe organizacye spółkowe, jako to: związki, Wydziały krajowe, towarzystwa i komitety rolnicze kierujące tym ruchem; 2. pojedyncze spółki — o ile w danym kraju niema organizacyi centralnej; i 3. osoby fizyczne, wybrane do zarządu.

Towarzystwo ma za cel: ogólne zastępstwo interesów spółek i związków wobec ustawodawstwa i administracyi; wspieranie swych członków we wszystkich sprawach spółkowych; ujednostajnienie całego rolniczego ruchu spółkowego; stworzenie wspólnej statystyki i wydawanie czasopisma dla tegoż ruchu; stworzenie centralnej instytucyi pieniężnej i towarowej dla całego okręgu związkowego.

Na wiecu związkowym każdy członek ma jeden głos — organizacye zaś krajowe mają po jednym głosie na każde 20 należących do nich spółek. Na czele zarządu stoi jeneralny patron, którym obecnie jest członek Wydziału krajowego dolno-austryackiego prof. Franciszek Richter.

Do związku przystąpiły natychmiast krajowe organizacye Dolnej i Górnej Austryi, Karyntyi, Tyrolu, Vorarlbergu, Śląska, niemieckie związki Czech i Moraw i związek Styryjski. Ogółem przeszło 1600 spółek dotychczas wyłącznie niemieckich.

Na koszta związkowe płacą uczestnicy wkładki roczne, a prócz tego ministeryum rolnictwa udzieliło związkowi zapomogi 2400 K.

Po przeprowadzeniu obszernych rokowań, doprowadził Ogólny

związek do skutku stworzenie centralnej organizacyi towarowej dla całego okręgu związkowego dnia 17 października r. 1900. Mianowicie założono przy Ogólnym związku Oddział handlowy mający dwojakie zadania: częścią doradczo-organizacyjne, częścią czysto handlowe. Ze względu na pierwsze zadania ogólnej natury, spodziewa się związek otrzymać subwencyę rządową, która pokryje koszta prowadzenia tego oddziału. W sprawach handlowych zadaniem biura będzie przedewszystkiem układać się z dostawcami artykułów rolniczych co do warunków dostawy, lub też z kupcami hurtownymi co do warunków sprzedaży produktów. Załatwienie zaś interesów będzie rzeczą poszczególnych organizacyj krajowych, które jednakże mogą je powierzyć kierownikowi biura handlowego.

Za swe pośrednictwo pobierać ma biuro pewną prowizyę od rzeczywistego obrotu. Uczestniczące organizacye wybierają wydział wykonawczy. Kierownikiem biura, które 1 listopada r. 1900 rozpoczęło swe czynności wybrano dotychczasowego dyrektora niemieckiego związku spółek rolniczych w Czechach, Stefana Richtera.

VI. Państwowe poparcie dla rolniczego ruchu spółkowego.

Zawiła i szeroko zwykle omawiana kwestya stanowiska państwa i rządu wobec rolniczego ruchu spółkowego, została w Austryi rozstrzygnięta bez długich przygotowań w ten sposób, że ministeryum rolnictwa postanowiło poprzeć ten ruch całym zasobem środków administracyjnych i materyalnych będących w jego rozporządzeniu. Program akcyi ministerstwa w tym kierunku był przed ogłoszeniem przedmiotem obrad nowo do życia powołanej państwowej Rady rolniczej na sesyi majowej r. 1899.

Sprawozdawcą tej kwestyi był patron morawskiego związku niemieckich spółek rolniczych, dr. Stefan Licht, jeden z najgorliwszych działaczy rolniczego ruchu spółkowego w Austryi. Zapatrywania jego znalazły prawie w zupełności uznanie Rady rolniczej i zasługują ze wszech miar na uwagę sfer interesujących się u nas ruchem rolniczym spółkowym, tem bardziej, że program ministeryalny zgadza się z niemi w wielu punktach. Przedstawimy więc je w najogólniejszych zarysach.

Referat swój[1] dr. Licht rozpoczyna od słów uznania dla pro-

[1] *Mittheilungen über die Verhandlungen des Landwirtschafts Rathes 1898—1899.* Wien. 1900. Str. 104—122.

gramu ministeryum rolnictwa w sprawie systematycznego popierania rolniczego ruchu spółkowego, który mu ministeryum w projekcie przedłożyło. Pozostawiając na boku wszelkie biurokratyczne regulaminowanie, ministeryum chce tylko wspierać i opiekować się swobodnym ruchem spółkowym, z uwzględnieniem wszelkich stosunków i właściwości poszczególnych krajów. Wobec celu całej akcyi tj. utrzymania zdrowego i dzielnego stanu chłopskiego, państwo powinno nietylko środkami administracyjnemi, lecz również i materyalnemi obudzać samopomoc i usuwać wszelkie przeszkody jej rozwoju.

Głównemi wymogami akcyi w tym kierunku są: systematyczność, oraz zupełnie jasne pojęcie celu i środków.

Nic bowiem bardziej sprawie nie może zaszkodzić, jak niepowodzenie spółkowych przedsiębiorstw, wzniecające na długie lata nieufność do nich wśród ludności wiejskiej.

Bardzo doniosłe znaczenie ma przedewszystkiem stanowisko władz administracyjnych — a zwłaszcza skarbowych. Nie wystarczy jednakże zalecić tym władzom zajęcie sprzyjającego stanowiska wobec tego ruchu, lecz ponieważ wszystkie te władze nie mają należytego o nim wyobrażenia, należałoby je stosownie o tem pouczyć i objaśnić, w którym to celu proponuje referent wydanie zarysu rolniczego ruchu spółkowego ze szczególnem uwzględnieniem stosunków austryackich. Zarys taki wydany w głównych językach krajowych, posłużyłby nietylko dla urzędników wszelkiego rodzaju, lecz rozpowszechniałby ideę spółkową w szerokich warstwach ludności.

Co się tyczy sposobu popierania spółek rolniczych, to przedewszystkiem byłoby zadaniem państwa wspierać skupianie się spółek w związkach opiekuńczo-rewizyjnych, które zarazem pośredniczą w ruchu pieniężnym i towarowym i zapobiegać w ten sposób rozstrzeliwaniu się sił i zbaczaniu na manowce. Nawzajem organizacye takie mogą w akcyi popierania spółek, oddać organom państwowym wielkie usługi radą, informacyą i pośrednictwem.

Bardzo ważną, nawet wprost niezbędną jest pomoc państwowa w przygotowaniu zastępu fachowych urzędników dla związków i dla spółek, za pomocą stypendyów na podróże informacyjno-naukowe i zasiłków na urządzanie kursów dla rachmistrzów i kierowników spółek. Również koniecznem jest uwzględnienie pracy spółkowej w szkolnictwie rolniczem wszystkich stopni.

Przechodząc do kwestyi, z jakich źródeł i w jakich rozmiarach należy zaczerpnąć środków publicznych na wspieranie rozwoju spółek

rolniczych, uważa dr. Licht stworzenie państwowej centralnej kasy spółkowej (na wzór pruskiej) za zbyteczne w obecnym stanie rzeczy, wobec nadzwyczajnych różnic w kulturalnym i gospodarczym rozwoju krajów austryackich, któreby uniemożliwiły objęcie nią całego państwa.

Istniejące dotychczas związkowe kasy spółkowe w niektórych krajach, wystarczają zupełnie, rozchodziłoby się tylko o rozpowszechnienie takich instytucyj w miarę potrzeby, co już jest rzeczą samychże krajów.

Z rozwojem jednak organizacyi spółkowego zakupna i zbytu oraz spółek wytwórczych, okaże się potrzeba znacznych a tanich kredytów obrotowych i zakładowych (inwestycyjnych), których nie będzie mógł dostarczyć nikt inny tylko państwo i kraje.

Jako źródła potrzebnych w tym celu funduszów, wymienia dr. Licht przedewszystkiem nadwyżki pocztowej kasy oszczędności, kapitały zakładów ubezpieczeń robotników od wypadków, fundusze kas kontrybucyjnych krajów korony czeskiej i rezerwy zbiorowych kas sierocińskich, które to dwa ostatnie źródła zasługują na specyalne uwzględnienie.

Istniejące na Morawach kontrybucyjne kasy zaliczkowe w liczbie 432 posiadały w r. 1896 blizko 21.8 mil. K. kapitału zakładowego i przeszło 2,360.000 K. kapitałów rezerwowych. Z tych funduszów przeszło połowa uwiązana jest w pożyczkach hipotecznych niezbyt korzystnych dla dłużników, prawie ósma część umieszczona jest w papierach wartościowych, tak iż kredytowi osobistemu, co ma być właściwym ich celem, służą bardzo niedostatecznie. Gospodarka tych kas jest bardzo nieporządna — a droga; mimo przychodu wynoszącego prawie 4·67% majątku, uczestnicy, których liczba wynosiła 117.000, otrzymali zaledwie 741.000 K. czyli *3·40%*, podczas gdy koszta administracyjne pochłonęły aż 306.000 K. czyli 1·27% w stosunku do majątku ogólnego.

Nie o wiele lepiej przedstawiają się powiatowe rolnicze kasy zaliczkowe w Czechach, powstałe tak samo z funduszów zbożowych i podatkowych (kontrybucyjnych), których w r. 1895 istniało 167. Miały one przeszło 16½ mil. K. majątku zakładowego i niespełna 2 mil. K. funduszów rezerwowych. I u nich także kredyt hipoteczny znaczne posiada rozmiary i gospodarka nie jest bez zarzutu. Pomimo dość niedrogiej administracyi z przychodu wynoszącego niemal 1 mil. K., tylko 685.000 K. rozdzielono między 200.000 uczestników, czyli tylko 3·67% majątku.

Na Śląsku wreszcie majątek funduszów kontrybucyjnych

w r. 1895 wynosił bez mała 3 mil. K., z czego $^4/_5$ leżało na pożyczkach hipotecznych, reszta w obligacyach państwowych, w kasach oszczędności a tylko *15.600 K.(!)* było użytych w kredycie osobistym. Czysty przychód wynosił około $3^1/_3\,\%$.

Niezadowalniający ten stan funduszów kontrybucyjnych, wywołuje wśród ludności życzenia, by fundusze te przelać do kas Raiffeisenowskich, czemu na przeszkodzie stoją prawa uczestników do korzystania z tychże funduszów. Otóż zdaniem d-ra Lichta najstosowniej — przynajmniej dla Moraw i Śląska — byłoby fundusze te porozdzielać na poszczególne gminy według liczby uczestników, mających prawo do funduszu, z tym warunkiem, że sumy te będą złożone jako wkładki w spółkowych kasach oszczędnościowo-pożyczkowych, podległych rewizyi związku lub kraju, a obejmujących swym okręgiem dotyczące gminy. Procent, któryby w drodze ustawodawczej można oznaczyć na razie na $3^1/_2\,\%$, wypłaconoby uczestnikom funduszowym, którzyby w ten sposób otrzymywali korzyści nawet trochę wyższe niż dotychczas. Kasy zaś Raiffeisenowskie otrzymałyby tym sposobem tani fundusz obrotowy, któryby spływał do kas centralnych i mógł być użyty na kredyt zakładowy dla spółkowych przedsiębiorstw. Z funduszów rezerwowych kas kontrybucyjnych utworzyłby się krajowy fundusz spółkowy, który możnaby oddać centralnym organizacyom spółkowym na udzielanie kredytu zakładowego pod kontrolą kraju. Zmobilizowanie tych funduszów dałoby się przeprowadzić konwertując długi hipoteczne przy pomocy krajowych zakładów hipotecznych a oddając wierzytelności kredytu osobistego kasom Raiffeisenowskim lub innym stowarzyszeniom kredytowym, po należytem sprawdzeniu ich rzeczywistej wartości. Projektowana w taki sposób reforma funduszów kontrybucyjnych nie uszczuplałaby bynajmniej praw i korzyści dawnych uczestników, lecz byłaby tylko przeprowadzeniem ich w nowożytną — odpowiadającą dzisiejszym stosunkom formę działalności, bardziej skutecznej niż w obecnym ich stanie.

Projekt d-ra Lichta zasługuje na uwagę i u nas ze względu na gminne i powiatowe kasy pożyczkowe, których działalność pozostawia wiele do życzenia, a których znaczne kapitały (przeszło $13^1/_2$ mil. K. w r. 1895) umieszczone w kasach Raiffeisenowskich w miarę ich rozwoju pod troskliwą opieką kraju, mogłyby się bardziej niż obecnie przyczynić do podniesienia stanu włościańskiego. Przelanie zaś funduszów nie napotykałoby znaczniejszych trudności, ponieważ są one własnością nie prywatną lecz gminną.

Niemniej ważnem źródłem kredytów dla spółek rolniczych mogłaby stać się reforma zbiorowych kas sierocińskich, proponowana przez dyrektora dolno-austryackiego krajowego zakładu hipotecznego v. Hattingberga. Proponuje on mianowicie skonwertowanie lokacyj hipotecznych tych kas, wynoszących przeszło $167^1/_2$ mil. K. w r. 1896, na odpowiedniejsze daleko pożyczki krajowych banków i zakładów hipotecznych, przez co nadmierne fundusze rezerwowe tych kas, wynoszące obecnie z górą $38^1/_4$ mil. K. zostałyby wolne. Dla zakładów hipotecznych wystarczy bowiem w zupełności rezerwa 4%, czyli około 6.7 mil. K. na zabezpieczenie tych kapitałów sierocińskich. Pozostanie zaś przeszło $31^1/_2$ mil. K., które będzie można oddać krajowym organizacyom spółkowym z obowiązkiem spłacania 4% rocznie przez 27 lat, z czego połowa przeznaczoną byłaby na amortyzacye, druga na oprocentowanie tego funduszu mogące być użyte na rozwój opieki nad sierotami.

Propozycya ta zwłaszcza dla Galicyi i Dolnej Austryi, jako krajów nieposiadających funduszów kontrybucyjnych, zasługuje na szczególną uwagę.

Wreszcie możebnem byłoby dostarczenie spółkom funduszów w formie krajowych pożyczek, przyczem kraj i państwo pokrywałyby tylko nieznaczną stosunkowo kwotę amortyzacyjną.

Szczegółowo omówił następnie dr. Licht program ministeryum w sprawie popierania rozwoju spichrzów zbożowych, do którego układania sam był zaproszony.

Przedewszystkiem rozchodzi się w tej akcyi nie o uzyskanie wpływu na światowy targ zbożowy, lecz tylko o poprawę miejscowych stosunków zbytu zboża. Dlatego ministeryum nie myśli bynajmniej budować wielkich elewatorowych spichrzów na wzór Prus (i Rosyi) lecz tylko popierać rozwój małych spółkowych spichrzów zbożowych, na wzór rozwijających się pomyślnie w południowych Niemczech.

Przedewszystkiem zawsze trzeba będzie zbadać, czy zachodzi potrzeba składu spichrzowego w danej okolicy i czy znajdzie on tam odpowiednie warunki rozwoju, mianowicie: czy okręg spółkowy produkuje dostateczną ilość zboża i czy dostawa tegoż ze strony producentów będzie zapewniona, oraz czy ludność jest już wykształcona w pracy spółkowej i posiada odpowiednich kierowników, jak również, czy rozwój miejscowych spółek kredytowych ułatwi prowadzenie składu zbożowego. Z drugiej strony przed założeniem spichrza należy poczynić kroki dla zapewnienia zbytu, zawiązać rokowania z młynami, browarami i t. d.

Zakładanie i prowadzenie spółek spichrzowych musi się odbywać pod kierownictwem i kontrolą krajowego związku, który ma więcej doświadczenia w tej mierze i może zabezpieczyć jednolitość całej akcyi.

Spółka powinna ile możności obejmować obwód istniejącego rynku zbożowego i spichrz umieścić przy stacyi kolejowej, korzystając z ułatwień przyznanych przez ministeryum kolejowe.

Spółki spichrzowe mają powstawać jako dzieło spółkowej samopomocy. Udziały członków mają stanowić znaczną część kapitału zakładowego, poręka zaś ich ma dać podstawę kredytową dla kapitału obrotowego i reszty kapitału zakładowego, niepokrytego udziałami i subwencyą publiczną. Dla zbadania warunków rozwoju spichrza, jakoteż potrzeby i rozmiarów materyalnego poparcia, należy poustanawiać krajowe komisye dla wydawania opinij, składające się z przedstawicieli Wydziałów krajowych, Rad kultury krajowej, z referentów rolniczych i technicznych przy namiestnictwach, oraz z delegatów krajowych organizacyj spółkowych, którym zapewni się w tej mierze znaczny wpływ. Komisya ta może stać się z czasem ciałem doradczem we wszystkich sprawach rolniczego ruchu spólkowego.

Co się tyczy tego, w jakiej formie państwo ma użyczać spółkom pomocy materyalnej, to ministeryum rolnictwa postanawia dawać nie pożyczki lecz zasiłki, mające stanowić część, bynajmniej zaś nie całość kapitału zakładowego. Dr. Licht zaś uważa, że, (nie trzymając się bynajmniej żadnego szablonu), najodpowiedniej będzie gdy 30% potrzebnego kapitału zakładowego dostarczy rząd i kraj po połowie.

Do popierania spółek przyczynić się mogą w wysokim stopniu rozmaite zarządy państwowe, zwłaszcza wojskowe, pokrywając swoje zapotrzebowania za pośrednictwem spółek.

Jako ważny czynnik w rozwoju rolniczego ruchu spółkowego, dr. Licht uważa możliwe ograniczenie formalizmu i fiskalizmu ze strony władz, zwłaszcza niższego rzędu, które dla nowopowstających spółek są bardzo uciążliwe. W szczególności wykazuje niesłuszność ściągania podatku rentowego od procentów narosłych w rachunku bieżącym kasy centralnej, ponieważ byłoby to podwójnem opodatkowaniem tych samych kwot, wypłacanych poszczególnym włożycielom jako procent od wkładek oszczędności przez kasy spółkowe, zarazem podnosi potrzebę uwolnienia kwitów składowych, wydawanych przez spółki spichrzowe od należytości stemplowych. Ze względu zaś na wielkie usługi, jakie oddają ruchowi spółkowemu krajowe zakłady hipoteczne, prowadząc centralne kasy spółkowe niemal bezinteresownie i wspomagając je przystępnym

kredytem, referent domaga się uwolnienia ich listów zastawnych i obligacyj od $1^1/_2\%$-wego podatku rentowego, który zbytecznie ciąży na tych instytucyach niemających na celu zysków, lecz dobro powszechne. Na zakończenie popiera sprawozdawca dwie rezolucye I. austryackiego wiecu kas Raiffeisenowskich z 26 października 1897 r. Jedna domaga się dla spółkowych kas oszczędnościowo-pożyczkowych, odpowiadających wymogom ustawy z 1 czerwca 1889 r. i stojących pod pośrednią lub bezpośrednią kontrolą kraju, przyznania bezpieczeństwa pupilarnego dla wkładek oszczędności, przynajmniej o tyle, aby gminy mogły być członkami tych kas, lub mieć w nich swoje rachunki bieżące.

Druga zaś wspomina o potrzebie nowej ustawy o spółkach zarobkowych i gospodarczych i domaga się przytem uwzględnienia należytego potrzeb i interesów spółek rolniczych.

Wreszcie wypada wspomnieć, iż referent zaznaczył, że kółka rolnicze w Galicyi, jakkolwiek organizacyą różne od spółek, działalnością swoją wielce się do nich zbliżają i z tego względu uprawnione są również do żądania pomocy państwowej dla rozwoju swej organizacyi centralnej.

Zgodnie z wnioskiem d-ra Lichta uchwaliła państwowa Rada rolnicza, na posiedzeniu dnia 31 maja r. 1899, wezwanie do rządu, by w myśl zasad wyłuszczonych w powyższym referacie, wspierał spółki rolnicze środkami materyalnemi i administracyjnemi, z zachowaniem ich samorządu i swobodnej organizacyi.

W ślad za tem, ministeryum rolnictwa ogłosiło swój program, uwzględniający zasadnicze postulaty d-ra Lichta. Można się spodziewać, że program ten nie zostanie martwą literą, lecz wcieli się w czyn, sądząc po znacznych kredytach wstawionych w budżecie ministeryum rolnictwa na popieranie spółek rolniczych.

Nakreślony powyżej zarys ruchu spółkowego rolniczego w kilku krajach austryackich, wykazuje jak szybko dojść można do bardzo poważnych wyników, opierając się na organizacyi kas Raiffeisenowskich.

Dla kraju naszego, który w tym kierunku dopiero rozpoczyna pracę, przykłady powyższe mogą być nietylko dowodem, że trafił na dobrą drogę do podniesienia stanu włościańskiego, lecz co więcej bodźcem do wytężonej a szerokiej pracy w tym kierunku, w którym nas inne kraje monarchii tak bardzo wyprzedziły. Wprawdzie nasze Kółka rolnicze wcześniej może podjęły pracę na tej niwie, atoli brak

należytych podstaw finansowych nie dozwolił należycie rozwinąć się ich działalności. Dopiero rozpowszechnienie kas Raiffeisena użyczy im odpowiedniego oparcia i popchnie całą sprawę na tory pomyślnego rozwoju.

Konieczność zaś energicznej pracy nad rozwojem kas wiejskich i spółek rolniczych jest wprost naglącą, wobec zapowiedzianej i rozpoczętej akcyi ministeryum rolnictwa. Gdy bowiem akcya ta nie znajdzie w kraju naszym należnego odgłosu, to znowu fundusze państwowe użyte będą przeważnie na poparcie innych nawet zasobniejszych krajów, a nam przypadnie tylko w udziale wątpliwa przyjemność przyczynienia się naszym groszem do ich pokrycia. Nadto w razie nie wejścia w życie przymusowych stowarzyszeń rolniczych, rząd będzie popierał istniejące spółki rolnicze; jeżeli więc ich w kraju naszym nie zastanie, to znowu do szeregu upośledzeń naszych przybędzie jeszcze jedno, tym razem jednak nie bez naszej winy.

Dr. Tadeusz Kudelka.

Druk ukończono 29 maja 1901 r.

JEGO EMINENCYI KSIĘDZU KARDYNAŁOWI

JANOWI KNIAZIOWI Z KOZIELSKA PUZYNIE

KSIĘCIU BISKUPOWI KRAKOWSKIEMU,

NAJPRZEWIELEBNIEJSZEMU KSIĘDZU ARCYBISKUPOWI

JÓZEFOWI BILCZEWSKIEMU,

METROPOLICIE LWOWSKIEMU,

NAJPRZEWIELEBNIEJSZEMU KSIĘDZU BISKUPOWI

ANATOLOWI NOWAKOWI,

P. T. DUCHOWIEŃSTWU,

JEGO MAGNIFICENCYI REKTOROWI UNIWERSYTETU

DR. M. JAKUBOWSKIEMU,

PROFESOROM UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,

WSPÓŁPRACOWNIKOM «PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO»,

PRZYJACIOŁOM I ZNAJOMYM,

KTÓRZY WZIĘLI UDZIAŁ W ODDANIU OSTATNIEJ POSŁUGI

Ś. P. KSIĘDZU MARYANOWI MORAWSKIEMU T. J.

NADTO WSZYSTKIM, KTÓRZY POŚWIĘCILI PAMIĘCI ZMARŁEGO

POŚMIERTNE WSPOMNIENIA LUB W JAKIKOLWIEK SPOSÓB

DALI NAM DOWÓD SWEGO WSPÓŁCZUCIA,

SKŁADAMY NINIEJSZEM WYRAZY

PRAWDZIWEJ WDZIĘCZNOŚCI

REDAKCYA «PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO».

†

X. MARYAN MORAWSKI T. J.

Przez siedmnaście lat swego istnienia *Przegląd Powszechny* trzy razy obchodził żałobę po zmarłych członkach swojej redakcyi, zamieszczając za każdym razem pośmiertne wspomnienie. Każde z nich wyszło z pod pióra tego, który *Przegląd Powszechny* założył, zrobił go tem, czem jest obecnie, i siedmnaście lat z górą naczelnym był jego redaktorem.

Trzy poprzednie nekrologi pisał ten, o którym czwarty pisać przychodzi. Okrutna ironia życia, a raczej Boskie zrządzenie, temu nazwisku, co jaśniało zawsze dotąd u spodu najcelniejszych artykułów i chlubnie zamykało dwieście dziewięć zeszytów, każe 210-ty numer otworzyć, do nagłówka się przenieść — pod czarny krzyż żałobny.

Trudny i ciężki mamy dziś spełnić obowiązek. Chciałoby się rzucić pióro i zawołać: niech ten nekrolog kto inny pisze, to nad moje siły. Jednak — to

obowiązek. Choć ciężko i trudno, spełnić go trzeba. Niech ból serce ściska, żal pierś przygniata, niech pamięć najdroższa do dna żywego w uczuciach nurtuje, — spełnić musimy ten najpierwszy obowiązek redaktorski i, choć najnieudolniej, żałobę naszą zaznaczyć, rys dając ogólny naszego ukochanego zmarłego.

Da Bóg, w niedługim czasie zabierzemy się do obszerniejszego opracowania życia i działalności naszego rodzimego, w najlepszem znaczeniu wyrazu — filozofa chrześcijańskiego.

Życie ziemskie człowieka jednem jest tylko pasmem ustawicznych dobrodziejstw i łask, jakie Bóg każdemu z nas powierza do strzeżenia, współdziałania i przymnażania, czyli — po ewangelicznemu — do godnego włodarzenia. Bóg jednak, nie ulegający sztywnym formułkom, wcale nie jest obowiązany pod jedną miarą wszystkim zarówno udzielać darów swych i talentów. Każdemu daje dosyć, owszem, daje każdemu więcej, niż ściśle się należy, nikogo nie krzywdzi; jednemu jednak daje mniej, drugiemu więcej. Ś. p. X. Maryan Morawski otrzymał od Pana Boga naprawdę bardzo wiele. To też na niego i na jego życie patrzeć należy jako na prawdziwe a podziwu godne arcydzieło rąk Bożych. Wprawdzie arcydzieło to żywe i wolne — do jego rozwoju, doskonalenia się i wykończenia potrzeba było własnej jego pracy i współdziałania; ale sama ta praca i to współdziałanie również Bożym jest darem.

Talentów, od Boga otrzymanych, O. Maryan nie zakopał, ale wiernie niemi włodarzył, umiał je oceniać, a, oceniając, wdzięcznym być Dawcy, który mu

je powierzył. Z tą samą wdzięcznością za Boże dobrodziejstwa przejdźmy z całego a ciągłego ich szeregu, jaki wypełnia życie zmarłego, choć te, co większą mają wagę i do charakterystyki jego są niezbędniejsze.

Urodził się dnia 15 sierpnia 1845 r. w samą uroczystość Wniebowzięcia N. Maryi Panny, jakby na znak tego gorącego a rzewnego do niej nabożeństwa, którem się odznaczał od najpierwszych lat dzieciństwa. Przyszedł na świat w Gräfenbergu, gdzie dwa lata temu poznali się z sobą i dokąd, już się pobrawszy, na kuracyę przyjeżdżali przyszli jego rodzice: Wojciech, syn referendarzostwa Morawskich, i Marya, bogata jedynaczka Mikołaja hr. Grocholskiego, gubernatora kamienieckiego.

Teorya dziedziczenia po rodzicach i przodkach przymiotów, zdolności i skłonności znakomite znajduje poparcie na osobie X. Maryana.

Rodzice i dziadkowie jego, tak ze strony ojca, jak również ze strony matki, wszyscy sześcioro ludźmi byli niepospolitymi i do bardzo wybitnych należeli wśród współcześnie z nimi żyjących. Wspólną im wszystkim wybitną cechą ich charakteru była żywa wiara i pobożność gorąca, miłość ojczyzny i duch ofiarności. Wszyscy również sześcioro odznaczali się zamiłowaniem do nauk i wielkiemi zdolnościami umysłowemi.

A nadto w szczególności. Ojciec X. Maryana odziedziczył po ojcu swym niezwykłą bystrość i głębokość umysłu filozoficznego, nieposzlakowaną prawość i wysokie poczucie obowiązków obywatelskich; po matce zaś, Pauli z hr. Łubieńskich, wzgardę rzeczy doczesnych i zaparcie się siebie; dodał zaś do

tych przymiotów rzutkość i odwagę, do bohaterstwa dochodzącą, a w drugiej połowie swego życia heroiczną niemal żarliwość apostolską, dla której, po stracie małżonki, udał się na studya teologiczne i przyjął święcenia kapłańskie. Wzorowy ten kapłan podziw wzbudzał swą pobożnością, pokorą i gorliwością o dusz zbawienie.

Na matce znów O. Maryana odbiły się charakterystyczne cechy jej ojca, który wśród wiru i zgiełku zabaw światowych umiał podeptać wszelki wzgląd ludzki, gdy chodziło o Boga i sprawy Boże. Matka zaś, z domu hr. Chołoniewska, przekazała swej jedynaczce cnoty te same, jakiemi jaśniała rodzona jej siostra, czcigodna Matka Cecylia, Wizytka, i rodzony jej brat, świątobliwy kapłan, Stanisław. Matka X. Maryana odznaczała się nadto wielką żywością charakteru, pociągiem do nauk, bardzo wybitnemi zdolnościami umysłowemi i wysoce wyrobionym zmysłem estetycznym.

Wszystkie te przymioty i zalety odziedziczył X. Maryan, i to w stopniu bardzo wysokim.

Prócz zarodków cnót i zalet odziedziczonych, Bóg rzucił w duszę X. Maryana posiew wielu jeszcze innych zdolności i przymiotów, jemu właściwych i określających charakter jego indywidualny.

Całe to bogate dziedzictwo duchowe i cały ten indywidualny posag zarodkowy to jednak tylko bogactwo n a t u r y. Boża ł a s k a dopiero musiała naturę tę podnieść i uświęcić, aby dusza poczęła żyć życiem niepojęcie wyższem od naturalnego, życiem Bożem, życiem nadprzyrodzonem, które dziecię ludzkie Bożem czyni dziecięciem, dziedzicem Królestwa niebieskiego.

X. Maryan z radością notuje w swoim pamiętniczku duchownym to dobrodziejstwo Boże, że tegoż samego dnia, którego na świat przyszedł, „został dla nieba odrodzony“. Ponieważ zaś urodził się przed czasem zwykłym na dwa miesiące prawie, przeto uświęconym został przez chrzest o wiele wcześniej, niż to się dzieje zazwyczaj.

Przywilej ten wyjątkowy był jakby zapowiedzią szczególnych rządów, jakie Boska Opatrzność roztoczyć miała nad osobą O. Maryana i jego ziemskiem życiem.

Czuwała ta Opatrzność nad tem, co jest w czasie i w wieczności najważniejszem, nad zachowaniem w jego duszy niewinności nadprzyrodzonej i świętości, przez chrzest w nią wlanej. Matka X. Maryana, na łożu śmiertelnem, błagała Boga gorąco o to, ażeby jej dzieci przez całe życie uchronił od grzechu ciężkiego, ażeby zachował w ich sercach niewinność od chrztu aż do ostatniego tchnienia. Z błogą radością możemy to stwierdzić, opierając się zwłaszcza na zapewnieniu stanowczem dawnego przewodnika duchownego O. Maryana, że tej prośby matki co do najstarszego syna Pan Bóg wysłuchał.

Dziwnie ku sobie pociąga dziecko chrześcijańskie, póki jeszcze nie miało nieszczęścia przez grzech śmiertelny utracić łaski, na chrzcie otrzymanej. Urok ten wzmaga się, w miarę tego, jak dziecko, przyszedłszy już do swej chrześcijańskiej świadomości, to zarodkowe i potencyonalne życie łaski, jakie przez chrzest w duszę jego wlanem zostało, przez własne akty wolne nadprzyrodzone aktywuje, rozwija i potęguje. Jest coś w takich dzieciach tak pięknego,

miłego, wdzięcznego, i taka w nich przebija szczerość serdeczna i święta prostota, że musi się je pokochać, i odblask w nich Boży podziwiać, że chciałoby się z niemi tylko przestawać, przysługi im robić i serca ich sobie zjednywać.

Kto bliżej się zetknął z Ojcem Maryanem, temuż samemu ulegał wpływowi. Jeden np. z profesorów Wydziału filozoficznego na Wszechnicy Jagiellońskiej tak się o tym wpływie wyraża w liście do krewnych zmarłego: „Jego słowa były zawsze opromienione blaskiem i rozumu i czystości anielskiej, ciągnął ku sobie urokiem świętości". Były w nim naprawdę wszystkie zalety dziecięcej i świętej prostoty. Tem się tłumaczy to, że tak się do niego lgnęło sercem całem, tak chciało się być z nim i przy nim jak najdłużej, tak chciało się przyjemność mu zrobić, przysługę wyświadczyć jaką. Słuszny podziw wzbudzała przedziwna prostota obok rzadkiej bystrości i głębokości rozumu, zapał i wdzięk młodzieńczy obok mądrości sędziwej i daru niezrównanej rady, serdeczna wyrozumiałość i ujmująca uprzejmość w pożyciu obok nieubłaganej siły zasad i przekonań i nieugiętej woli, gdy o obowiązek chodziło. A wszystko opromieniała pogoda ducha i słodycz przedziwna. Przebijała ona w całej postaci, w każdem słowie, ale szczególniej w oczach prześlicznych.

Wrodzone zalety i zdolności wraz z darami nadprzyrodzonymi w sposób jakby zarodkowy złożone zostały w młodocianej duszy O. Maryana przez dobrotliwego Boga i powierzone opiece rodziców. Na nich spadł ważny obowiązek pielęgnowania i rozwijania tej tak bogato uposażonej natury. Wywiązali

się z niego znakomicie. Wychowanie, jakie O. Maryan odebrał w wieku swym dziecinnym i młodzieńczym, pod każdym względem rozwojowi temu sprzyjało i odbywało się w warunkach najpomyślniejszych.

Tradycye rodzinne O. Maryana ściśle są związane z Zakonem Towarzystwa Jezusowego, którego szczególnymi byli zwolennikami, przyjaciółmi i dobrodziejami jego rodzice i dziadkowie, Grocholscy i Morawscy. Nic też dziwnego, że młodego Maryana postanowiono oddać do szkół, zostających pod kierownictwem tego Zakonu. Szkół takich na razie wtedy w Polsce nie było, zdecydowano się więc posłać go do Metz, gdzie już wiele polskich rodzin synów swych wychowywało.

W Metz O. Maryan ukończył całe 8-klasowe liceum ze świetnym postępem, zdał egzamin bakalaureatu i rozpoczął filozofię.

W naukach tych szkolnych jak i przez całe zakonne swe studya odznaczał się niesłychanem do nich zamiłowaniem i rzadką pilnością.

Wielkie zdolności zbyt często niestety nie chodzą w parze z wielką pilnością i pracowitością. U O. Maryana było przeciwnie: nadzwyczajne miał zdolności do nauk, ale też i pilnym był nadzwyczajnie. Szybkie więc czynił postępy i celował w naukach.

Z Metz na wakacye jeździł co roku do Polski, i to naprzemian, raz do Strzyżawki na Podole, na drugi rok do Oporowa w Księstwie, zostając w ten sposób pod ciągłym wpływem bogobojnych dziadków Grocholskich i ukochanej swej babuni Morawskiej.

Wśród takich czynników wychowawczych szybko i nad wiek rozwijał się i dojrzewał umysłowo, a jesz-

cze szybciej wzrastał w życiu duchownem. Ten postęp na drodze Bożej musiał się prędko odbywać, skoro mógł O. Maryan we wspomnianym już pamiętniczku duchownym zapisać sobie, że jako dziesięcioletnie dziecko w czasie rekolekcyj, odbytych wkrótce po wstąpieniu (w r. 1855) do konwiktu w Metz, „po raz pierwszy głębiej zrozumiał i odczuł stosunek do Boga". Niżej znów czytamy tamże:

„1860. Zacząłem klasę humaniorów, rozmiłowałem się w poezyi i świecie klasycznym, ale również pod względem duchownym wiele skorzystałem od profesora X. Chambellan i wyższe uczułem pragnienia".

Już stąd widać, że Bóg od pierwszych lat prowadził O. Maryana drogą chrześcijańskiej doskonałości i hojnemi obsypał łaskami wewnętrznemi. Była to szczególna opieka nadprzyrodzona Boskiej Opatrzności, ale jeszcze nie nadzwyczajna. Nie brak jednak w jego życiu i nadzwyczajnych działań tej Opatrzności. Wymienimy tutaj choć dwa w pamiętniczku zapisane:

„1846. Śmiertelną złożony chorobą (w drugim roku życia) i uważany za umarłego, cudownie zostałem uzdrowiony za przyczyną Matki Boskiej w Piekarach".

„1863. Dnia 18 listopada o 9-tej godzinie rano łaska powołania uderzyła we mnie jak grom".

Silna to musiała być łaska, skoro już 9 grudnia tegoż roku widzimy go w starowiejskim nowicyacie Towarzystwa Jezusowego, a w pamiętniczku czytamy:

„1864. W nowicyacie łaski obfite. Wszystko w Towarzystwie jak najwięcej mi się podobało. Rekolekcye miesięczne odprawiłem z największym skutkiem".

W Zakonie oddał się X. Maryan na służbę Bogu całkowicie bez żadnych zastrzeżeń; z całą żarliwością i wielkodusznością, bez żadnych oglądań się wstecz za światem, przed furtą zostawionym, całopalną z siebie złożył Bogu ofiarę.

Od początku zakonnego swego życia wzorem był żywym i wzniosłym przykładem dla swoich współbraci. Jego koledzy zakonni jednogłośnie świadczą, że X. Maryan już wtedy niezwykły w nich wzbudzał szacunek swą świętą gorliwością; a z uwielbieniem już największem wspominają sobie swego ukochanego duchownego ci wszyscy, którzy w czasie swych studyów zakonnych mieli szczęście serca swe i sumienia pod jego kształcić przewodnictwem. Ale i ci, co później wstąpiwszy do Zakonu, nie przeszli przez tę duchowną opiekę (był tylko sześć lat duchownym kleryków-filozofów, jednocześnie profesorem ich będąc, w latach 73—79), choć trochę zaś bliżej poznali O. Maryana, podziwiają jego wysoce duchowny nastrój i branie przez niego całego życia i wszystkich spraw z najwyższego — nadprzyrodzonego stanowiska. Przełożeni zakonni wysokie musieli mieć wyobrażenie o cnocie jego i duchownem wyrobieniu, skoro go osądzili za najodpowiedniejszego do kierowania nowicyatem jeszcze wtedy, kiedy zaledwie 30 lat liczył,— i tylko przez wzgląd na nadzwyczajne jego filozoficzne zdolności pozostawiono go na profesurze filozofii, a trudny urząd mistrza nowicyuszów komu innemu powierzono.

Z umysłu silny kładziemy nacisk na duchowną i nadprzyrodzoną stronę życia X. Maryana i dłużej się nad nią zastanawiamy: chcąc bowiem w nekrologu

tym podać charakterystykę zmarłego, choć krótką, wierną jednak i możliwie gruntowną, a rozpatrując się w życiu jego i licznym, jakim rozporządzamy, materyale, doszliśmy do przeświadczenia, że zrozumieć życia X. Maryana, jego działalności i charakteru nie podobna, jeśli się wszystkiego nie oprze na jego przez Boga naprzyrodzonem uprzywilejowaniu, na jego blizkim i ścisłym do Boga i z Bogiem stosunku.

Od zarania swego życia umiłował Boga nadewszystko i w nim się całą duszą rozmiłował, w miłości tej Bożej wzrastał wciąż wyżej i wyżej, aż doszedł do tego ścisłego z Bogiem zjednoczenia, jakie z chwilą zgonu podstawą mu się stało i istotą wiekuistego szczęścia niebieskiego.

W świetle tej jego miłosnej z Bogiem zażyłości można dopiero ocenić i jako tako zrozumieć duszę O. Maryana, jej rwanie się do wszystkiego, co wielkie i święte, co dobre i piękne, co Boże jest i Boskie ma piętno na sobie wyryte.

Miłość to Boża nauczyła go ludzi miłować. Miłował ich w Bogu i dla Boga, bo Boga w nich umiłował. A miłował ich wszystkich bez wyjątku, bo wszystkich za bliźnich swych uważał. Nie miał i nie mógł mieć nieprzyjaciół, bo wszystkim dobrze życzył, a za złe dobrem się odpłacał. Tym zaś, których z nim łączyły bliższe jakieś węzły, był już najlepszym, najwierniejszym i najtkliwszym przyjacielem.

O. Maryan przez całą swą, liczną bardzo rodzinę, był gorąco kochany i uwielbiany, ale bo też był jej jasnem ogniskiem, z którego promienie światła i ciepła rozchodziły się na wszystkich jej członków, krewnych, nietylko blizkich i bliższych, ale nawet naj-

dalszych. Wszystkich zawsze w sercu swem nosił i każdemu z nich przy nadarzonej sposobności szczerą zawsze okazywał życzliwość i przywiązanie serdeczne. Dla rodzeństwa zaś osieroconego (przez śmierć ojca, X. Wojciecha, który umarł w r. 1875; matkę utracił X. Maryan już w 9-tym roku życia), był — jak pięknie się wyraża ktoś mu najbliższy — „troskliwym ojcem i czułą matką i najtkliwszym bratem".

Miłość do rodziny jest podstawą miłości ojczyzny, boć ojczyzna jest tylko jedną wielką, wspólną nam wszystkim, rodziną. Jej dobro jest dobrem wspólnem wszystkich jej członków. Stąd obowiązki względem ojczyzny pierwszeństwo mają przed obowiązkami względem jednostek i własnej nawet rodziny. Miłość ojczyzny jest koniecznym objawem i wypływem chrześcijańskiej miłości bliźniego. Zrozumiał to dobrze X. Maryan i gorąco Boga w ojczyźnie miłując, gorąco też ojczyznę w Bogu umiłował. Od lat już dziecinnych uwydatnia się w nim miłość do Polski i do wszystkiego, co swojskie. Oddany do Metz, tęsknił za krajem bardzo i za ojczystą mową. Pisał rozpaczliwe listy do dziadka, że: „przecie on Polak a doskonale można tylko jednym władać językiem, cóżby to zaś za hańba była, gdyby nie umiał po polsku najlepiej". Na pierwszą wieść o powstaniu w r. 1863 chciał uciec z konwiktu i stanąć w szeregach powstańczych. Powstrzymała go jednak od tego wola ojca, który, z tej samej miłości ku ojczyźnie wychodząc, w powstaniu owem nieszczęsnem widział tylko nową wielką klęskę narodową, i chociaż sam z prawdziwem bohaterstwem walczył w powstaniu r. 1831, teraz jednak pod utratą ojcowskiego błogosławieństwa, nie pozwolił synowi wziąć w walce udziału.

Młody Maryan zakaz ojcowski przyjął jako rozkaz Boży, skłonił przed nim głowę i, choć serce mu się krajało, zaniechał pierwotnego zamiaru. Był to dla niego prawdziwie heroiczny akt posłuszeństwa. A Bóg, jakby w nagrodę za to, wkrótce właśnie potem udzielił mu owej nadzwyczajnej łaski, przez którą raczył go wezwać pod własne swoje znaki. W powołaniu swem zakonnem X. Maryan znalazł ujście dla swego ducha ofiarności szersze o wiele i głębsze, niż gdyby piersią i krwią własną na polu walki zastawiał się za ojczyznę. Miłość do kraju ojczystego wzmogła się jeszcze w zakonie, a, co najważniejsza, oczyściła się z tego, co ziemskiem w niej było i cielesnem, na odwiecznych prawdach Bożych oparta.

Całą też duszą współczuł i współcierpiał z biedą i nędzą ziomków swych drogich. Każda sprawa, dobro publiczne mająca na celu, szczerze go zajmowała i do jej poparcia przykładał się chętnie.

Najboleśniej odczuwał brudy i męty moralne, tu i ówdzie na jaw się w polskiem społeczeństwie wydobywające. Dolegał mu i do żywego dotykał każdy objaw społeczny odwrócenia się od Boga i dziczenia obyczajów. Nie milczał na to, ale słowem żywem i piórem występował z bezwzględną odwagą i otwartością, zawsze jednak z nadzwyczajną oględnością i delikatnością, prostując co było spaczone, wytykając co było mętne i błędne, nauczając gruntownie i zasadniczo, co prawdą jest, co prawem odwiecznem. W poglądach swych na sprawy publiczne wielką odznaczał się zawsze trzeźwością i zdrowym zmysłem praktycznym tak, iż nie wiedzieć, co więcej w nim podziwiać, czy głębokość umysłu filozoficznego czy rzutkość i trafność jego sądu, gdy o czyn cho-

dziło. A sprowadzał wszystko do prawd najwyższych, a wszystko ożywiał gorącą swą wiarą w Bożą nad nami Opatrzność.

Miłując Boga i ludzi, dusze ich umiłował przedewszystkiem, krwią Zbawiciela odkupione. To też pałał żądzą pozyskania ich Bogu jak najwięcej, nad zbawieniem ich i udoskonaleniem pracował żarliwie. Inne zajęcia obowiązkowe, jakie życie jego wypełniły, nie pozwalały mu wiele czasu poświęcać na sprawowanie prac urzędu kapłańskiego; gdzie tylko jednak mógł i o ile mógł, zawsze gorliwie apostołował.

W gorliwości swej poszedł za daleko zaraz z początku prac swych kapłańskich. Już od urodzenia wątłego będąc zdrowia, bardzo je zniszczył w czasie posługi duchownej w r. 1871, niesionej jeńcom francuskim w Poznaniu; a podczas misyi ludowej, na Górnym Śląsku, stracił głos, którego dawnej mocy nie odzyskał już do końca życia.

Ładnie charakteryzuje gorliwość apostolską X. Maryana, do bohaterstwa nieomal dochodzącą, ta właśnie posługa duchowna wśród jeńców wojennych. Dosłownie podajemy wspomnienie z tego czasu, obejmujące parę szczegółów, do niej się odnoszących: „Kiedy po wojnie francuskiej przywieziono tysiące chorych i rannych jeńców do Poznania, zaczęły wśród nich grasować dwie straszne choroby: czarna ospa i tyfus plamisty. Prusacy naprędce wtedy zbili drewniane baraki, przenieśli tam trzystu chorych, a do pielęgnowania zawezwali cztery Siostry Miłosierdzia z Siostrą Maryą Ludwiką Łubieńską, ciotką X. Maryana, na czele. Ona to właśnie sprowadziła tam swego siostrzeńca. Przez 6 tygodni O. Maryan, niezmordowany

i niepomny na siebie, gotował na śmierć chorych. Nieraz godzinami całemi klęczał przy łóżku takiego chorego, który nie chciał się spowiadać. A znajdowali się tam i tacy, co od pierwszej Komunii świętej nie byli do spowiedzi. — Płakał zaś łzami rzewnemi, że, nie umiejąc po arabsku ani po turecku, nie może przygotować do Chrzu św. biednych muzułmanów, których wielu było między jeńcami".

Z największym skutkiem i największem błogosławieństwem Bożem O. Maryan kierował duszami dążącemi do wyższej doskonałości. Do tego rodzaju apostołowania otrzymał od Boga dar szczególny. Mistrzem był w prowadzeniu dusz: delikatnym, stanowczym, trzeźwym. Nigdy się nie mylił i nigdy nie cofał. Niewiele mówił, ale każde jego słowo balsamem było kojącym dla duszy znękanej i pociechy potrzebującej. Nieraz jedno króciutkie jego zdanie dziwny wpływ wywierało.

Z szczególną lubością zajmował się duszami natury subtelnej, duszami przez wiele prób i krzyżów od Boga doświadczanemi, duszami wreszcie, które dopiero było trzeba do wiary doprowadzić. Odczuwał duszę w najlżejszem jej poruszeniu, w każdej boleści, trudności, niepokoju. Przytomny był, bystry, o zdumiewającej pamięci w sprawach powierzonej mu duszy dotyczących. On dusze jakby przenikał, czytał w ich wnętrzu; tak zawsze wiedział, co im poradzić i jak je prowadzić.

Nie krępował ich teoretycznemi szablonami ani też własnemi zapatrywaniami. Nie dusze do siebie naginał ale siebie do nich stosował. Usuwał się jakby sam zupełnie, a miejsce robił łasce Bożej; potrącał

tylko najdelikatniej dusze w kierunku, w jakim łaska działała.

W drodze do doskonałości nigdy mu dosyć nie było: szedł zawsze sam naprzód i drugich wciąż naprzód popychał.

Był to ojciec duchowny, co świętych Bogu przysparzał; na to zdaje się stworzony, by świętych prowadził.

Nie danem mu jednak było — jak już wspomnieliśmy — wiele się tej ulubionej pracy oddawać. Głównem bowiem polem apostolskiej jego działalności z woli Bożej i Zakonu, była katedra nauczycielska, i urząd pisarski.

Profesorem był X. Maryan naprzód przez 6 lat w Starejwsi, wykładając filozofię klerykom Towarzystwa Jezusowego; potem przez lat trzynaście wykładał teologię dogmatyczną na Wszechnicy Jagiellońskiej. Cechowała jego wykłady gruntowność i jasność. Nic w nich nie było pedantycznego i szablonowego. W przedstawieniu łączył prostotę z pewną sobie właściwą oryginalnością, w której nierzadkie były połyski prawdziwego geniusza.

W sposobie brania się do wykładanego przedmiotu najbardziej może charakterystyczną jest wielka śmiałość, z jaką, nie krępując się zdaniami pewnej jakiejś szkoły filozoficznej czy teologicznej, szedł w tolerancyi swej dla odkryć i zdań nowych bardzo daleko, nigdy jednak za daleko. Dla uczniów był zawsze z wielką miłością i wyrozumiałością, nigdy z ust jego nie wyszło słowo cierpkie, tem mniej choć trochę obrażające. Nikogo nie zrażał, wszystkim zachęty i otuchy dodawał.

Z natury rzeczy dłużej musimy się nieco zatrzymać nad charakterystyką pisarskiej działalności X. Morawskiego.

Zawód swój pisarski wcześnie rozpoczął, bo już w r. 1870, będąc wtedy dopiero uczniem drugiego roku teologii. Wtedy to, w czasie Soboru Watykańskiego, wielkie zapanowało u nas pomieszanie pojęć, nawet w łonie samego duchowieństwa, co do nieomylności papieża w rzeczach wiary i obyczajów. Widząc to X. Maryan, uczynił ślub bronienia nauki katolickiej o tej nieomylności i pomiędzy kolegami zakonnymi założył związek w tym celu, aby jednoczyć się w modlitwach o ogłoszenie nieomylności papieża jako dogmatu wiary. Wtedy właśnie powstało w Krakowie pismo pod redakcyą X. Goliana, które za główne postawiło sobie zadanie bronić dogmatu nieomylności przed napaściami zacofanej prasy. Pismo to (p. t.: *Tygodnik Soborowy* zaczęło wychodzić z początkiem roku 1870) i przez cały czas swego istnienia zasilane było piórem X. Maryana.

Później, już jako profesor filozofii, pisywał liczne artykuły do *Przeglądu Lwowskiego*. One to głównie złożyły się na poważne i gruntowne dzieło o filozofii i jej zadaniu, które doczekało się trzech wydań i oddało prawdziwe przysługi wielu zabierającym się do filozofii a niemogącym się zoryentować wśród kierunków i pojęć filozoficznych. Praca ta stawia od razu X. Morawskiego w rzędzie najwybitniejszych polskich filozofów.

Nie teraz czas i nie tu miejsce uzasadniać to nasze twierdzenie. W nekrologu nie możemy w to wchodzić, poprzestajemy na razie na zaznaczeniu naszego zapatrywania. Nie będziemy tu również wda-

wali się w szczegóły bibliograficzne i ocenę rozpraw, książek i broszur. Zasługują one z pewnością na obszerniejsze omówienie. Tutaj niech nam tylko wystarczy powiedzieć, że wszystkie jego prace literackie są albo ściśle filozoficzne (z większych: „Filozofia i jej zadanie“, „Celowość w naturze“, „Podstawy etyki i prawa“), albo filozoficzną noszą na sobie cechę („Wieczory nad Lemanem“, „Obcowanie Świętych“). W dziełkach nawet ascetycznych uderza filozoficzne ujęcie przedmiotu, filozoficzny sposób myślenia i wyrażania się.

Niepospolitym nadto był teologiem ale właśnie dlatego mógł w teologii wysoko stanąć, że wniósł do niej gruntowne filozoficzne wykształcenie i wyrobienie.

Pisał gruntownie, sięgał do samej głębi przedmiotu. Sposób pisania miał jasny i prosty, styl jędrny, a przytem powabny i wdzięczny.

Najistotniejszem znamieniem literackiej strony wszystkich prac X. Morawskiego jest prostota, ale prostota w wielkim stylu. Pominąwszy niektóre ustępy „Wieczorów nad Lemanem“, nigdzie nie znajdziemy w jego pismach pierwiastka czysto dekoracyjnego. Króluje tu samodzielnie myśl jasna, wyrazista, zdecydowana, a dopiero pod jej przewodem współdziałają wyobraźnia i uczucie, i to tylko o tyle, o ile to jest potrzebne do wycieniowania całej kompozycyi i oddzielnych jej części. A wszystko to dzieje się z rozmysłem i płynie z głębokiego estetycznego poczucia, które właśnie w tej prostocie i w tej harmonii myśli z wyobraźnią i uczuciem wysokie piękno upatruje.

Ta prostota nietylko wszelką zbyteczną ozdobność wyklucza, ale i wszelką jaskrawość wyrażeń, wszelką efektowność zwrotów. I tem tłumaczy się,

dlaczego pisma X. Morawskiego nie budziły takiego rozgłosu, jaki bywa udziałem niejednego filozofa, nieporównanie mniej zdolnego, samodzielnego i wybitnego. Do rozgłosu dzieł filozoficznych potrzebną jest dzisiaj pewna doza paradoksalności, a ta zupełnie była obcą X. Morawskiemu. W pismach jego przemawia umysł, tylko prawdy szukający i ku niej tylko wiodący, a że ten umysł jest bystry, że wyróżnia najlżejsze odcienie błędu i prawdy i wyraziście je zestawia, więc do namiętnych sporów, a tem samem i do szybkiego rozgłosu, nie daje sposobności.

Dodajmy do tego, że prawdę, której szukał, i którą wskazywał, ukochał miłością głęboką, i że to umiłowanie cicho, nieznacznie, przedmiotowością prawdy przesłonięte, jakby jakaś podziemna rzeka, poprzez wszystkie jego utwory przepływa. To nam poniekąd tłumaczy ten niezwykły urok, jaki z pism jego płynie.

Cokolwiek zaś pisał, to pisał dlatego, żeby czytelników swych do poznania i umiłowania prawdy, dobra i piękna pobudzić. Choć wiedzę i naukę nad życie umiłował, nie uprawiał jej jednak dla niej samej: wyższe, apostolskie spełniał w swych studyach i pismach zadania.

To, co powszechnie wielce pomaga w pisaniu, pamięć mianowicie wierna i trwała, dla niego było prawdziwą przeszkodą. Taką miał pamięć nadzwyczajną, że prawie dosłownie przez długi czas, długie nawet lata, wiernie w niej zachowywał to, co raz uważnie przeczytał; a tak się umiał wmyśleć w rzeczy czytane, a potem spamiętane, że, jeśli trafiały mu do przekonania, przyzwyczajał się uważać je za swoje własne i nieraz bezwiednie podawał za własny tok

myśli i sposób ich wyrażenia, co kiedyś przed laty w innym wyczytał autorze. Tem się tłumaczy dziwny napozór fakt, że w pismach jego tu i owdzie da się odszukać cały, dłuższy nawet nieraz, ustęp, który się czytało w innym pisarzu. Nieraz podobieństwo jest prawie rażące. Stąd krytycy robili czasem zarzut X. Morawskiemu, że podaje za swoje to, co drudzy wymyślili i napisali. Zarzut to ostry i przykry, a tak niesłuszny, tak nie ma cienia nawet podstawy, że aż wstrętem przejmuje samo o nim wspomnienie. Zarzut ten wnosi oczywistą psychologiczną kontradykcyę w charakter X. Morawskiego: stoi w sprzeczności otwartej z najistotniejszemi, najwybitniejszemi cechami jego charakteru, prostotą mianowicie i najindywidualniejszą samodzielnością.

Pisarska działalność X. Morawskiego w ostatnich ośmnastu latach jego życia najściślej się wiąże z historyą powstania, rozwoju i życia *Przeglądu Powszechnego.* Słowo więc o niej.

Ludziom szerszego pokroju i choć trochę z wyższego patrzącym stanowiska na ruch społeczny, religijny i naukowy, w świecie i u nas, nie może wystarczyć prasa codzienna, z blizka się tylko przypatrująca faktom i kwestyom dnia. Dla oryentacyi w tym ruchu i wśród ścierających się pojęć i zdań, dla wyrobienia sobie zdrowych i trzeźwych poglądów i zasad, odczuwa się nadto potrzebę pism peryodycznych, któreby ów ruch w całości obejmowały, nadawały mu wyraźne kształty i poddawały go dokładnej a zasadniczej krytyce.

Kiedy się zabierano do założenia *Przeglądu Powszechnego,* zastanawiano się dobrze nad tem, czy istnie-

jące wówczas pisma peryodyczne dostatecznie nie czynią już zadość wspomnianej potrzebie, i osądzono, że obok nich jest jeszcze miejsce. Przekonano się, że jeszcze potrzeba pisma peryodycznego o szerokich ramach, za hasło aktualność i zasadniczość mającego, któreby na wszelkiem polu podnosiło kwestye najaktualniejsze a sprowadzało je do zasad, reasumowało doniosłe wypadki i wybitne prądy myśli, pojawiające się w kraju i po świecie, a dochodziło do ich gruntu i sądziło je rozumem, oświeconym wiarą, doświadczeniem własnych nieszczęść i widokiem kolei, przez które sąsiednie przechodzą narody.

Potrzeba było pisma peryodycznego o takim programie, a przytem niezależnego, nie związanego z interesami żadnego stronnictwa, stojącego o własnych siłach materyalnych.

Tę potrzebę zrozumiał dobrze i ocenił ówczesny przełożony polskiej prowincyi Towarzystwa Jezusowego, X. Henryk Jackowski, i umyślił jej zaradzić. Osądził, że większa chwała Boża tego wymaga, aby zakonna prowincya, rządom jego powierzona, obok innych ważnych prac, które za jego również inicyatywą i staraniem na siebie przyjęła, podjęła się jeszcze wydawnictwa pisma peryodycznego o powyższym programie. Do założenia nowego pisma i kierowania jego redakcyą powołał X. Morawskiego, jako najodpowiedniejszego do tego trudnego zadania.

Właśnie wtedy ustępował z pola publicystycznego *Przegląd Lwowski*, pismo, które w swoim czasie znakomite oddało przysługi sprawie religijnej

i narodowej. Wielce zasłużony jego redaktor, przez trzynaście lat sam na własnych barkach dźwigając całe brzemię redakcyi, zbyt już był strudzony, aby mógł nadal tej pracy nad siły podołać. Pragnął jednak gorąco, aby pismo wychodziło dalej pod redakcyą księży Towarzystwa Jezusowego. Temu jego życzeniu, dowodzącemu wielkiego zaufania do Zakonu, przynajmniej o tyle stało się zadość, że zakładający się w Krakowie *Przegląd Powszechny* dobre rokował na przyszłość nadzieje i godnie obiecywał zastąpić lwowskiego poprzednika.

X. Maryan podjął się włożonego nań zadania z całą energią i z całą gorliwością. Zakreślił więc sobie naprzód prześliczny plan, który podał do wiadomości publicznej zaraz w pierwszym numerze *Przeglądu*, a potem z całą konsekwencyą i całym zapałem zabrał się do wprowadzania go w życie. Na program ten zwracamy uwagę czytelników *Przeglądu Powszechnego*. Uzupełnia on znakomicie charakterystykę zmarłego, a już najdokładniej nam określa działalność jego publicystyczną.

Z tego programowego artykułu jedno zwłaszcza przypominamy miejsce, które silnie uwydatnia wybitną i istotną cechę naszego pisma. Chętnie je tu przytaczamy:

„Przedewszystkiem .... chcemy łączyć czytelników naszych z życiem, działaniem i losami Kościoła katolickiego w świecie; narodowością ziemską odrębni od innych narodów, jak członek od członków, nadziemską duszą katolicyzmu jesteśmy j e d n o z całym katolickim światem i do tej jedności i solidarności winniśmy się poczuwać: bo — jak głęboko powiedział Tarnowski — k t o c h c e ż y c i e m i e ć,

utrzymywać lub znaleźć, ten je musi połączyć z tem, co nieśmiertelne, siłę swoją oprzeć o to, co niezwyciężone".

Podnosimy nadto jeszcze inny ważny szczegół, na który nacisk położono w programie, a który stanowi bardzo sympatyczny rys poglądów i pociągów X. Maryana. Oto jego słowa:

„W kraju naszym nie znamy różnic prowincyi; wszystkie nas zarówno obchodzą: granice dzielnic są tylko polityczne. Poza krajem w szczególniejszy sposób pragniemy zbliżyć naszych czytelników do tylu słowiańskich ludów, z którymi nas wiążą pochodzenie, język, sąsiedztwo, często dzieje i nawet polityczny interes, a o których wogóle tak mało się u nas wie i mało myśli, mniej niezawodnie, niż inni Słowianie o nas i wiedzą i myślą".

Urzeczywistniając powyższe pragnienie, X. Maryan pobudził i zachęcił X. Badeniego do licznych wycieczek pomiędzy Słowian. Wycieczki te i wspomnienia z nich, w *Przeglądzie* zamieszczane, niemało się przyczyniły do jakiegoś chociaż zainteresowania się u nas naszymi pobratymcami i ich losami. Gdy zabrakło X. Badeniego, X. Maryan dużo nad tem przemyśliwał, ktoby go na tem polu mógł godnie zastąpić, i cieszył się nadzieją wypełnienia i nadal tego szczegółu programu.

Cel i zadanie *Przeglądu Powszechnego* pojął X. Morawski jak najbardziej po apostolsku. Dobrze zrozumiał, że w naszych czasach praca pisarska, a zwłaszcza publicystyczna, w duchu katolickim prowadzona, jest środkiem nader skutecznym szerzenia chwały Bożej, jest służbą Bożą. Świadomy był swego powołania pisarskiego, jako przeznaczenia z woli Bożej do

szerzenia przez pismo Królestwa Bożego na ziemi. To też wszelkiemi siłami dążył do tego, aby odpowiedzieć swemu zadaniu i redagowane przez siebie pismo silną uczynić twierdzą prawdy i wiary. Chciał, aby *Przegląd Powszechny* przysłużył się dzielnie sprawie Bożej, rugując z naszego społeczeństwa ciemnotę i zacofanie, a prawdziwy popierając w niem postęp i szerząc chrześcijańską oświatę; bolał nieraz nad tem, że niezawsze dało się w *Przeglądzie* przeprowadzić to, co się wydawało potrzebnem do tej jego misyi apostolskiej.

Ze wszystkich artykułów, jakie wypełniają 69 tomów *Przeglądu*, najświetniejsze — jak głos publiczny przyznaje — są te, co wyszły z pod pióra naczelnego redaktora. Kładł w nie duszę własną i pisał je zawsze z największem zamiłowaniem odnośnego przedmiotu. Pisząc takie np. „Wieczory nad Lemanem“, cały był w nich, o nich i o rozstrząsanych w nich prawdach najchętniej myślał i mówił a, — co pięknie świadczy o jego prostocie i pokorze — przedewszystkiem i sam gorąco o to się modlił i innych modlitwom usilnie polecał, aby myśl Bożą ziścił w swej pracy.

Ten piękny rys jego charakteru pisarskiego najjaśniej zabłysnął w ostatniej chorobie, która go zaskoczyła właśnie wtedy, kiedy gotował do druku pierwszą część „Obcowania Świętych“.

Ostatnia choroba trafiła na organizm, wycieńczony już prawie do ostatka długoletniemi a różnorodnemi dolegliwościami. X. Maryan nigdy nie był mocnego zdrowia, ale od lat kilkunastu tak już był schorowany i osłabiony, tak wychudzony i wynędzniały,

że powszechnie się dziwiono, skąd jeszcze sił czerpie do życia. A co już najwyższy podziw wzbudzało, to to, że bystrość i przytomność umysłu z upadkiem sił ciała nie słabła, ale wciąż się raczej wzmagała. Przez tę jednak ciężką walkę z nacierającemi coraz natarczywiej cierpieniami malała odporność organizmu i siły z każdym rokiem zanikały. Trzeba je było podtrzymywać różnemi środkami, byle przedłużyć ku chwale Bożej i dobru ogółu to ulatujące życie. Jeździł więc — z polecenia lekarzy i przełożonych — raz po raz do dalekich nawet krajów i różnych próbował sposobów ratunku. Pomagało mu to znakomicie.

W ostatnich jednak dwu latach zbyt już wyczerpał się organizm; dalsze podróże były ponad jego siły. Więzy, łączące duszę z ciałem, stawały się coraz luźniejsze i subtelniejsze, ciało coraz niklejsze: zdawało się, że do duszy jego znacznie bliżej, niż u innych ludzi. Dusza, jakby mniej materyą ciała krępowana, z większą swobodą obracała się w sferze myśli i ducha; praca umysłowa, dzięki niewyczerpanej sile woli, odbywała się z większą jeszcze, niż dawniej, intensywnością. W filozoficznych i teologicznych rozmowach jeszcze więcej, niż dawniej, zadziwiał świeżością umysłu, jasnością i głębokością, najprostszem i najtrafniejszem ujmowaniem przedmiotów najtrudniejszych, a nadewszystko wznoszeniem się na stanowisko najwyższe i najogólniejsze.

Na te właśnie lata ostatnie życia przypada pisanie dzieła o „Obcowaniu Świętych“, dogmacie za mało dotychczas rozumianym, objaśnianym i uwzględnianym.

Przez całe życie X. Morawski gromadził w swej duszy materyały, do opracowania trudnego tego te-

matu niezbędne: naukę, zdobytą przez studya i doświadczenie nad sobą i kierowanemi przez siebie duszami. Na papier niestety naukę tę tylko o tyle przenosił, o ile na razie potrzebnem to było do druku najbliższych arkuszy. Stąd poszło, że materyału do dwu części następnych, jakie zapowiedział w przedmowie do dzieła, nie zostawił zgoła żadnego.

„Obcowanie Świętych“ żywo zajmowało jego umysł od bardzo dawna. Już jako młodziutki zakonnik za zasadę swego życia duchownego postawił sobie to zdanie Pisma św. „We mnie mieszka a ja w nim“. To mieszkanie i życie mistyczne Chrystusa w duszach, przez łaskę uświęconych, sprawia, że każdy, kto jest w stanie łaski poświęcającej, może z św. Pawłem powiedzieć: „Żyję ja, już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus“. Otóż to życie mistyczne, ta unia realna dusz świętych z Chrystusem, jest podstawą i korzeniem komunii dusz z sobą, jest fundamentem Obcowania Świętych. Tem się psychologicznie tłumaczy sympatya X. Maryana do tego dogmatu, to jego żywe zainteresowanie się przedmiotem i pragnienie gorące ukończenia przed śmiercią swej o nim pracy. Modlił się o przedłużenie życia ziemskiego i starał się je podtrzymać — w tym tylko celu, aby ku chwale Bożej rozpoczęte dzieło doprowadzić do końca. Panu Bogu inaczej się podobało.

Pierwszą część „Obcowania Świętych“ drukował oddzielnymi artykułami w *Przeglądzie Powszechnym*, a następnie z pewnemi zmianami i uzupełnieniami począł ją wydawać osobno p. t. „Komunia między duszami“. Ostatnia choroba zaskoczyła go w czasie korekty dziewiątego arkusza. Z myślą, że do ukoń-

czenia tej części trzeba jeszcze przygotować do druku jedenaście, co najmniej, arkuszy, kładł się do łóżka, z którego już nie miał się podnieść.

Myśl ta trapiła go bardzo. Kiedy choroba przybrała groźniejszą już postać, kiedy niebezpieczeństwo stawało się bliższem, z największą rezygnacyą przyjął złowrogą wiadomość i poddał się najchętniej woli Bożej, mimo to jednak, myśląc o rychłem a pożądanem dobieżeniu do kresu ziemskiej pielgrzymki, nie przestał myśleć o drogiem swem dziele. Wzywa więc telegraficznie z daleka kogoś, do kogo miał zaufanie w tej mierze, aby się z nim porozumieć co do kończenia książki na wypadek śmierci. A tak mu ta sprawa na sercu leżała, że niepokoił się pewną zwłoką w przybyciu oczekiwanej osoby. Kiedy już wreszcie przybył ten, kogo chory potrzebował, zaczął z nim rzecz całą układać i udzielać mu swych rad i wskazówek, pouczać go i informować — z takim spokojem i opanowaniem cierpień i działań silnej gorączki, a z taką przytomnością i bystrością umysłu, że zdawało się mieć do czynienia raczej z uczonym profesorem, z katedry przemawiającym, niż z bezsilnym i nadmiernie wycieńczonym człowiekiem u progu śmierci.

Stanowczo zarządził, aby po jego śmierci zabrano się zaraz do ukończenia i wydania pierwszej części; sam drżącą ręką na kilkanaście godzin przed zgonem robił jeszcze znaki ołówkiem w podanych mu notatkach, aby ułatwić robotę temu, komu ją polecał; a zapytany co do dwu części następnych, zaczął tłumaczyć swój plan i główną myśl swoją, o najtrudniejszych rzeczach filozoficznych i teologicznych rozprawiając ze zdumiewającą prawdziwie świeżością umysłu i przytomnością.

Co głównie go zaprzątało aż do końca, to myśl o Obcowaniu Świętych, tak o książce, jak zwłaszcza o samym jej przedmiocie, i o tem, co najściślej jest z nim złączone: o niebie i połączeniu z Jezusem. Myślą od dawna był w niebie, z rozkoszą wpatrzony w Boskiego Oblubieńca swej duszy, a chwila zgonu była dlań tylko środkiem koniecznym do tego, by całą swej duszy istotą dostać się tam, gdzie serce już było.

X. Stanisław Kobyłecki.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronica

W sto lat po odkryciach Volty i Davy'ego. Rzut oka na rozwój elektrotechniki i elektromedycyny w XIX. wieku. Przez *d-ra Józefa Zanietowskiego.* 1 224 331

José Roumanille. Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską. (Dok.). Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 20

Murzyńska cywilizacya nad Nigrem. (C. d.). Przez *T. Wodzicką.* 38

Myśl średniowiecznej sztuki. (C. d.) Przez *ks. Józefa Tuszowskiego T. J.* 64

Najnowsze dzieło Harnacka Przez *prof. d-ra M. Straszewskiego* 157

Piórem i ołówkiem. (C. d.). Przez *Jana Ładę:*

2. Z Grecyi i Wschodu 183 359

Rok narodzenia Chrystusa Pana. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 200

Krytyka literacka a nauka. (C. d.). III. Momenty styczne i rozbieżne. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.* 242

X. Maryan Morawski T. J. Przez *X. Stanisława Kobyłeckiego T. J.* . . . . . I—XXVII

Frederi Mistral. Ze studyów nad współczesną literaturą prowansalską. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 313

Elementarz polskich ideałów. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.* 345

Sprawa chińska w świetle filozofii dziejów i etyki. Przez *prof. d-ra Maurycego Straszewskiego* 373

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

Z nowych powieści: Sewer: „Legenda, Kto ona, Euthanasya". — Władysław Orkan: „Nad urwiskiem". — Tenże: „Komornicy". — Marion: „Miraże". — Władysław Zdora: „Fuimus". — Zofia Kowerska: „Z pamiętnika ornitologa". *(Ks. J. Pawelski T. J.)* 89

Michał Grabowski, jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne. Dr. Tadeusz Grabowski. *(Stanisław Zdziarski)* . . 100

Kazania świąteczne. (Serya pierwsza). Ks. dr. Jougan. *(Ks. Alfred Wróblewski T. J.)* 107

Spis druków epoki Jagiellońskiej w zbiorze Emeryka hrabiego Hutten-Czapskiego w Krakowie, opracował Feliks Kopera. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 108

Z nowych powieści: Adam Krechowiecki: „Fiat lux". Wł. St. Reymont: „W jesienną noc". *(Ks. J. Pawelski T. J.)* . . 260

Z tłumaczeń rosyjskich: N. A. Lejkin: „Pod hiszpańskiem niebem". L. Tolstoj: „Anna Karenina". — N. J. Kostomarow: „Kudejar". — Szczedrin-Sałtakow: „Nowele". J. Poroszin: „Nowele". Włodzimierz Korolenko: „Niewidomy muzyk". *(Ks. Alfred Wróblewski T. J.)* 265

Ireneusz z Lugdunu a nasze ewangelie. Studyum krytyczne. Ks. dr. Józef Kaczmarczyk. *(Ks. dr. Adam Gerstmann)* . 266

Pismo święte w streszczeniu i wyjątkach ułożyła Marya Zawiszyna. *(Ks. dr. Adam Gerstmann.)* 269

Rozprawa egzegetyczna o pokusach Chrystusa Pana. Napisał ks. dr. Stanisław Spis, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kanonik kapituły krakowskiej i t. d. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 270

Listy Stefana Witwickiego do Józefa Bohdana Zaleskiego wydał Dyonizy Zaleski. *(Stanisław Zdziarski)* 272

Witwicki Stefan. Listy do Klementyny Grabowskiej. Wydał Stanisław Zdziarski. *(Henryk Ułaszyn)* 273

Z nowych powieści: Wacław Sieroszewski: „Latorośle, Pustelnia w górach, Czukcze". — Tenże: „Brzask, Puszcza białowieska, Grecka szczelina, Dno nędzy". — Stanisław Przybyszewski: „Androgyne". *(Ks. J. Pawelski T. J.)* 391

I. Symfonia jesienna. D. mol. II. Thème Varié. Tenże. *(Jan Łada)*. 397

Język Wacława Potockiego. Przyczynek do historyi języka polskiego. Aleksander Brückner. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 402

Ludwik Osiński i ówczesna krytyka literacka. Dr. Tadeusz Grabowski. *(Stanisław Zdziarski)* 406

O cnotach heroicznych. Wydał ks. J. Tylka. *(Ks. Alfred Wróblewski T. J.)* 410

Stronica

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Das Princip des Katholicismus und die Wissenschaft. Grundsätzliche Erörterungen aus Anlass einer Tagesfrage. Georg Freiherr von Hertling. *(Dr. M. Straszewski)* . . . 111

Theologische Zeitfragen von Christian Pesch S. I. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 119

Religion und Moral oder Giebt es eine Moral ohne Gott? Eine Untersuchung von Victor Cathrein. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 120

Novum Testamentum Graece et Latine. Pars I.: Evangelia. Fridericus Brandscheid. *(Ks. dr. Adam Gerstmann)* . . . 122

La structure du protoplasma et les théories sur l'hérédité et les grands problèmes de la biologie générale. Par Yves Delage, prof. à la Sorbonne. *(Ks. J. B. T. J.)* 123

Vita di S. Rita da Cascia dell' ordine eremitano di S. Agostino. Scritta dal P. M. Lorenzo Maria Tardi dello stesso ordine. *(M.)* 128

Un Siècle de l'Eglise de France 1800—1900. Mgr Baunard, recteur de l'Université de Lille. *(T. W.)* 274

Deutsche Jesuitenmissionäre des XVII. und XVIII. Jahrhunderts. Ein Beitrag zur Missionsgeschichte und zur deutschen Biographie. A. Huonder S. J. Ergänzungshefte zu den *Stimmen aus Maria-Laach.* Nr. 74. *(M. B. T. J.)* . . 285

Turkestan, die Wiege der indogermanischen Völker. Franz v. Schwarz. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 287

Völkerpsychologie. Eine Untersuchung der Entwicklungsgesetze von Sprache, Mythus und Sitte von Wilhelm Wundt. Erster Band: Die Sprache. *(Ks. dr. Aleksander Pechnik)* 411

Die Descendenztheorie. Gemeinverständliche Vorlesungen über den Auf- und Niedergang einer naturwissenschaftlichen Hypothese v. Dr. Albert Fleischmann o. ö. Profesor der Zoologie und vergleichenden Anatomie in Erlangen. *(Ks. J. B. T. J.)* 420

Smutnoje wriemia w sowriemiennoj jemu polskoj literaturie. Czast' I. 1605—1607. Wierzbowskij Teodor. (Matierijały k istoriji moskowskawo gosudarstwa w XVI. i XVII. stolietijach. Wypusk III.) *(Stanisław Zdziarski)*. 429

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Z tajemnic klasztornych. — Szermierze moralności. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 136

Kronika ekonomiczno-socyalna. Instruktorowie dla stowarzyszeń rzemieślniczych i rolniczych. — Przymusowa orga-

Stronica

nizacya zawodowa dla ludności rolniczej. — Przygotowania do odnowienia traktatów handlowych w Niemczech. — Projekt ustawy o statystyce pracy. — Sposobność do siedzenia w sklepach. — Domy robotnicze. — Wojna celna Rosyi ze Stanami Zjednoczonemi. Przez *d-ra Adama Krzyżanowskiego* 148

MAJ.

Sprawy Kościoła: Walka o krzyż. — Przysięga koronacyjna w Anglii. — Przeciw pojedynkowi. — Jeszcze o agitacyach masońskich. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 290

Z rolniczego ruchu spółkowego w Austryi. (C. d.). III. Czechy. IV. Styrya. Przez *d-ra Tadeusza Kudelkę* 299

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Protestantyzm we Francyi.—Pseudo-równouprawnienie amerykańskie. — „Spłoszony klerykalizm"? Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 431

Z rolniczego ruchu spółkowego w Austryi. (Dok.) V. Ogólny związek spółek rolniczych w Austryi. — VI. Państwowe poparcie dla rolniczego ruchu spółkowego. Przez *d-ra Tadeusza Kudelkę* 440

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: X. Stanisław Kobylecki T. J.